

king stephen

LOS ŚWIATA SPOCZYWA W RĘKACH MĘŻCZYZNY CIERPIĄCEGO NA BEZSENNOŚĆ...

bezsenność



PUBLISZCZYSTWA

STEPHEN KING

BEZSENNOŚĆ

Z angielskiego przełożył KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI

Tytuł oryginału: INSOMNIA

Tabby... i Alowi Kooperowi, który doskonale zna to boisko.

Czemu nie jestem winien.

PROLOG

NAKRĘCANIE ZEGARA ŚMIERCI (I)

Starość to wyspa otoczona oceanem śmierci Juan Montalvo: „O pięknie”

Nikt - a już z pewnością nie doktor Litdifield - nie powiedział Ralphowi Robertsowi zwyczajnie i po prostu, że jego żona umiera, ale nadeszła chwila, kiedy Ralph to zrozumiał i nikt niczego mu już mówić nie musiał. Miesiące dzielące marzec od lipca pozostawiły po sobie wspomnienie niemego krzyku bólu, chaosu i rozpacz: rozmowy z lekarzami, wieczorne jazdy z Carolyn do szpitala, wyprawy na specjalistyczne badania do innych stanów i innych szpitali (większość czasu w trakcie tych wypraw Ralph spędził dziękując Bogu za polisę żony: Blue Cross/Major Medical), godziny przesiedzane w bibliotece publicznej w Derry, poświęcone najpierw poszukiwaniu rozwiązań, które mogli przeoczyć lekarze, później zaś na poszukiwaniu nadziei... brzytwy, której można by się było chwycić. Przez te cztery miesiące Ralph Roberts czuł się niczym pijak podczas jakiegoś koszmarnego karnawału, w czasie którego ludzie jadący na górskiej kolejce wrzeszczą z prawdziwego strachu, ludzie zagubieni w gabinecie luster zgubili się rzeczywiście, a karły, garbusy i kobiety z brodami patrzą na człowieka z fałszywymi uśmiechami na ustach i przerażeniem w oczach. Ralph zaczął odbierać życie w ten sposób gdzieś w połowie maja, a gdy nadszedł czerwiec, zaczął również pojmować, że handlarze, którzy przy tej alejce ustawili stoliki, sprzedają wyłącznie lewe lekarstwa, a płynąca z katarynki wesoła melodyjka niczym się nie różni od marsza pogrzebowego. Karnawał? Tak - karnawał. Karnawał dusz potępionych.

Końcem wiosny i początkiem lata 1992 roku próbował odpędzić od siebie te obrazy - i to coś znacznie straszniejszego, co się za nimi kryło - ale na przełomie czerwca i lipca stało się to w końcu całkiem niemożliwe. Fala upałów, najgorsza od 1971 roku, ogarnęła środkowe Maine; Derry gotowało się niczym we wrzątku, pociło w parnym powietrzu w temperaturze przekraczającej trzydzieści stopni. Życie w mieście, nigdy nie przypominającym ruchliwej metropolii, zamarło całkowicie. Cisza zapanowała w nim niepodzielnie, a w tej ciszy Ralph Roberts po raz pierwszy usłyszał tykanie zegara śmierci i pojął, że podczas gdy chłód i zieleń wiosny zmieniły się w gorący upał lata, skromne szansę Carolyn spadły do zera. Carolyn miała umrzeć. Być może nie tego lata - lekarze twierdzili, że w rękawach mają jeszcze całą masę asów, i z całą pewnością mówili prawdę - ale jesienią lub zimą Carolyn, towarzysząca mu wiernie przez tak wiele lat życia, jedyna kobieta, którą kiedykolwiek kochał, miała umrzeć. Próbował zaprzeczyć temu faktowi, wymyślał sam sobie od idiotów, ale w ciężkiej

ciszy, w upalnym, dusznym powietrzu ze wszystkich kątów dobiegało go tykanie... tykanie zegara śmierci słyssał nawet w czterech ścianach mieszkania.

Najgłośniejsze rozlegało się ono jednak z wnętrza samej Carolyn, a kiedy obracała ku niemu spokojną, bladą twarz - by, na przykład, poprosić go o włączenie radia, którego chciała posłuchać, przygotowując im fasolę na kolację, albo poszedł do sklepu i przyniósł jej loda na patyku - dostrzegał, że i ona słyssa ten zegar. Dostrzegał to w jej ciemnych oczach, najpierw tylko wtedy, gdy była przytomna, lecz potem także, gdy jej wzrok przyćmiewały środki przeciwbólowe. Wtedy już tykanie było bardzo głośnie i kiedy w te upalne letnie noce leżał obok niej w łóżku - zwykła powłoczka wydawała się ważyć ładnych parę kilo i chyba wszystkie psy w Derry wyły do księżycy - słyssał go, słyssał zegara śmierci tykającego w ciele Carolyn i miał wrażenie, że serce mu pęknie ze smutku... i ze strachu. Ile będzie musiała wycierpieć, nim nadejdzie koniec? Ile on będzie musiał wycierpieć? Jak uda mu się żyć bez niej?

W tym właśnie przerażającym okresie życia Ralph zaczął coraz częściej spacerować w upalne letnie popołudnia i długie mroczne wieczory. Do domu wracał często tak zmęczony, że nie mógł jeść. Spodziewał się, że Carolyn zgani go za te jego nowe obyczaje, że powie: „Daj sobie spokój, ty stary wariacie! Zabijesz się, jeśli nie przestaniesz łązić po tym upale”, lecz ona nigdy nic takiego nie powiedziała, więc w końcu zdał sobie sprawę, że po prostu nic szczególnego nie dostrzegła. Wiedziała, że wychodzi... co to, to tak, owszem, ale nie że spaceruje kilometrami, że często wraca do domu drżąc ze zmęczenia od stóp do głów, bliski udaru. Dawno, dawno temu Ralphowi wydawało się, że Carolyn widzi wszystko, nawet jeśli chodziło tylko o przedziałek we włosach kilka milimetrów wyżej lub niżej. Lecz to przeszło, minęło, guz mózgu pozbawił ją zdolności obserwacji, tak jak miał pozbawić ją życia.

Spacerował więc dalej, ciesząc się upałem, choć czasem kręciło mu się od niego w głowie i dzwoniło w uszach. Cieszył się nim dlatego właśnie, że dzwoniło mu w uszach, a zdarzały się nawet godziny, kiedy w głowie kręciło mu się tak bardzo, a w uszach dzwoniło tak głośnie, że nie słyssał nawet tykania zegara śmierci

Podczas tego upalnego lipca przeszedł piechotą niemal całe Derry; stary człowiek o wąskich ramionach, rzednących siwych włosach i wielkich dłoniach wyglądających tak, jakby nadal nie bały się ciężkiej pracy. Chodził Witcham Street na Pustkowie, Kansas Street na Nebolt Street i Main Street aż na Most Całusów, ale najchętniej wędrował na zachód, wzdłuż Harris Avenue, przy której w ich domku nadal piękna i nadal kochana Carolyn spędzała ostatnie miesiące życia, nieprzytomna z bólów głowy i morfiny, na Harris Avenue Extension biegnącą do portu lotniczego hrabstwa Derry. Szedł pozbawioną drzew, wydaną na pastwę

bezlitosnego słońca ulicą, aż nogi uginały się pod nim, zawracał, gdy miał trudności z utrzymaniem równowagi.

Odpoczywał na zacienionym terenie piknikowym, leżącym w pobliżu służbowego wjazdu na lotnisko. Nocami piły tu i zabawiały się dzieciaki, noce pulsowały muzyką rap z wielkich przenośnych radiomagnetofonów, ale w ciągu dnia miejsce to należało niemal wyłącznie do Ralph'a i grupy jego przyjaciół, których Bili McGovern nazywał Starymi Piernikami z Harris Avenue. Stare Pierniki zbierały się na terenie piknikowym, by pograć w szachy i w durnia albo po prostu pogadać. Wielu z nich Ralph znał od lat (ze Stanem Eberlym chodził nawet do podstawówki) i czuł się w ich towarzystwie całkiem swobodnie... pod warunkiem, że nie byli zbyt wścibscy. Na ogół nie byli. Prawie wszyscy należeli do starej jankeskiej szkoły i wyznawali zasadę, że jeśli mężczyzna nie chce o czymś mówić, to jest to tylko jego sprawa.

Właśnie podczas jednej z takich przechadzek Ralph się zorientował, że z jego sąsiadem, Edem Deepneau, coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

Tego dnia zaszedł dalej niż zazwyczaj, prawdopodobnie dlatego, że na niebie pojawiły się ciemne burzowe chmury, powietrze zaś - choć z rzadka - poruszał jednak chłodny wiaterek. Wpadł w coś w rodzaju transu, o niczym nie myślał, nie patrzył na nic oprócz zakurzonych nosków adidasów. Do przytomności doprowadził go dopiero samolot United Airlines - lot z Bostonu o czwartej czterdzieści pięć - który przeleciał mu nad głową z ogłuszającym rykiem silników.

Patrzył, jak odrzutowiec leci nad starymi torami kolejowymi i nad ogrodzeniem z drutów kolczastych wzdłuż granicy terenów lotniska, patrzył, jak ląduje i spod kół unoszą się niewielkie obłoczki dymu. Potem zerknął na zegarek, zorientował się, jak pusto jest dookoła, podniósł wzrok i rozszerzonymi ze zdumienia oczami spojrzął na pomarańczowy dach baru „Howard JohnsonY”. Rzeczywiście, wpadł w trans. Przeszedł z osiem kilometrów, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, ile mu to zabrało czasu.

Ile czasu zabrało to Carolyn? - szepnął mu w głowie jakiś głos.

Tak, ile czasu zabrało to Carolyn. Carolyn wróciła do domu, odlicza pewnie minuty dzielące ją od kolejnego darvonu complex, on zaś utknął tu, przy lotnisku... tu, praktycznie w połowie drogi do Newport.

Ralph spojrzął w niebo i po raz pierwszy tak naprawdę dostrzegł sine jak sińce chmury gromadzące się nad lotniskiem. Nie oznaczały jeszcze deszczu, a już na pewno nie zacznie padać za chwilę, ale jeśli zacznie, on z pewnością przemoknie do suchej nitki - jedynym schronieniem w okolicy była szopa na terenie piknikowym przy pasie startowym nr

3, a właściwie zwykła rozchwiana wiata, trochę śmierdząca piwem.

Jeszcze raz spojrzął na pomarańczowy dach „HoJo”, po czym sięgnął do kieszeni i pomacał plik banknotów spiętych srebrnym uchwytem. Dostał go od Carolyn, w prezencie na sześćdziesiąte piąte urodziny. Kto mu zabroni zadzwonić po taksówkę... oprócz spojrzenia taksówkarza. Już sobie wyobrażał: „Głupi staruchu” - mówiły jego oczy, wpatrzone w niego we wstecznym lusterku. „Głupi staruchu, nie powinieneś tak leżeć przed siebie w ten upał. Gdybyś się wybrał popływać, utonąłbyś”.

To paranoja, Ralph - powiedział mu głos w głowie, bardzo przypominający teraz gdaczący, pełen wyższości głos Billa MoGoverna.

Dobra, może to paranoja, a może i nie, ale już raczej zaryzykuje i wróci piechotą.

A jeśli nie będzie to zwykły deszcz? Zeszłego lata, w sierpniu, wiało tak strasznie, że wichura powybiła wszystkie okna wychodzące na zachód.

Niech wieje, powiedział sobie Ralph. Mnie tam byle co nie uszkodzi.

Obrócił się i ruszył z powrotem w kierunku miasta; za każdym krokiem spod starych adidasów unosiły się obłoczki kurzu z wyschniętej ziemi. Z zachodu, od strony gdzie zbierały się chmury, dobiegły go pierwsze pomruki grzmotu. Słońce, choć już zakryte, nie poddawało się jednak bez walki, zdobiąc złotem krawędzie chmur i przeświecając przez nie blaskiem jakby gigantycznego projektora filmowego. Ralpha radowało, że zdecydował się na spacer, mimo iż bolały go nogi i dokuczał kręgosłup.

No, pomyślał. Przynajmniej wreszcie zasną. Będę spał jak jakiś cholerny kamień.

Po lewej ręce miał teraz skraj lotniska - wielkie pole zrudziałej trawy z zanurzonymi w niej, niczym wrak w oceanie, zardzewiałymi szynami kolejowymi. Daleko, za siatką, widział boeinga United Airlines wielkości dziecinnej zabawki, kołującego w stronę terminalu, który przyjmował także samoloty Deltę. Nagle jego uwagę przyciągnął inny wehikuł: samochód odjeżdżający przed terminalu General Aviation, po tej stronie lotniska. Samochód jechał asfaltową alejką do bocznej bramy wychodzącej na Harris Avenue Extension. Ralph widywał ostatnio sporo wyjeżdżających przez nią samochodów - zaledwie jakieś siedemdziesiąt metrów dzieliło ją od miejsca, w którym zbierały się Stare Pierniki. Po chwili nawet rozpoznał wóz, datsuna Eda i Helen Deepneau. Ale pędzi!

Stał na poboczu. Patrzył na jadący w stronę bramy samochodzik, nie zdając sobie sprawy z tego, że zaciska dłonie. Z zewnątrz bramę otwierało się specjalną plastikową kartą, od środka sprawę załatwiała fotokomórka, ale znajdowała się ona blisko, bardzo blisko ogrodzenia i przy tej prędkości...

W ostatniej chwili (przynajmniej tak mu się wydawało) brązowy samochodzik

zatrzymał się z piskiem opon. W powietrze uniosły się obłoczki dymu z palonej gumy, niczym spod kół lądującego boeinga. Brama zaczęła się powoli unosić, Ralph rozluźnił zaciśnięte w kieszeniach pięści.

Z otwartego okna po stronie kierowcy wyłoniła się ręka i zaczęła machać w górę i w dół, najwyraźniej popędzając pełznącą powoli po prowadnicach bramę. Było w tym coś tak absurdalnego, że Ralph aż się uśmiechnął, uśmiech jednak spelzł mu z warg, zanim odsłonił zęby. Z zachodu, tam gdzie zbierały się chmury, wiał coraz silniejszy wiatr i wiatr ten niósł w jego kierunku głos kierowcy datsuna.

- Ty sukincóro! Ty kurwo! Ty piczo! W dupę ci wsadzę! Rusz się! Rusz się, ty pieprzona dziwko! Pieprzona dziwka! Pierdolona kurwa! Picza!

- To nie może być Ed Deepneau - mruknął Ralph. Ruszył przed siebie, nie zdając sobie z tego sprawy. - To nie może być Ed!

Ed Deepneau, chemik, pracował jako naukowiec w Hawking Laboratories w Fresh Harbor i był jednym z najłagodniejszych, najuprzejmiejszych ludzi, jakich kiedykolwiek zdarzyło mu się spotkać. I on, i Carolyn bardzo lubili zarówno jego, jak jego żonę Helen, nie wspominając już o ich maleńkiej córeczce Natalie. Tylko wizyty Natalie pozwalały Carolyn zapomnieć o tym, co się z nią dzieje. Wyczuwając to, Helen często ją do nich przyprowadzała, a Ed bynajmniej nie protestował. Ralph doskonale zdawał sobie sprawę, iż na świecie jest mnóstwo mężczyzn, którzy nie byliby zachwyceni tym, że ich żona wodzi córeczki do staruszków sąsiadów za każdym razem, gdy dziecko zrobi coś nowego i szalenie interesującego, zwłaszcza że przysłowiowa babunia jest śmiertelnie chora. Ralph miał wrażenie, że gdyby Ed powiedział komuś: „Idź do diabła”, to wyrzuty sumienia nie pozwoliłyby mu przespać najbliższej nocy, tyle że teraz...

- Ty pierdolona dziwko! Rusz tę tłustą dupę, słyszysz? Dziwka! Kurwa!

Był to głos Eda. Dzielilo ich dwieście, może trzysta metrów, lecz był to niewątpliwie głos Eda!

Silnik datsuna zawarczał i przycichł. Zawarczał i przycichł. Zawarczał i przycichł - zupełnie jakby jakiś smarkacz w wyścigowym wozie czekał na zielone światło. Z rury wydechowej ziały kłęby niebieskiego dymu. Gdy tylko brama uniosła się wystarczająco wysoko, datsun wystartował przed siebie z rykiem silnika i Ralph miał wreszcie okazję przyjrzeć się z bliska jego kierowcy. Oczywiście był nim Ed.

Podskakując i kołysząc się, samochód przejechał krótki odcinek gruntowej drogi dzielącej bramę od Harris Avenue Extension. Nagle rozległ się ryk klaksonu i Ralph dostrzegł niebieskiego forda rangera, który jechał Harris Avenue na zachód, skręcającego gwałtownie,

by uniknąć *zderzenia*.. Kierowca pikapa za późno jednak dostrzegł niebezpieczeństwo, Ed zaś najwyraźniej nie zauważył go w ogóle (dopiero później przyszło Ralphowi do głowy, że mógł staranować forda celowo). Zapiszczały opony, rozległ się tępy huk i datsun wbił się maską w bok pikapa, przesuając go aż za żółtą, środkową linię. Maską samochodu Eda wygięła się w harmonijkę, wyskoczyła z zawiasów i uniosła lekko, na asfalt poleciało szkło, po czym oba samochody zamaryły pośrodku drogi, wczepione w siebie i przypominające abstrakcyjną rzeźbę.

Przez jakiś czas Ralph stał nieruchomo patrząc, jak pod maską datsuna rośnie ciemna kałuża oleju, W ciągu blisko siedemdziesięciu lat życia widział wiele wypadków - głównie stłuczek, ale jeden czy dwa były poważniejsze - i zawsze zdumiewało go, jak szybko wszystko się wówczas dzieje i jakie wydaje się mało dramatyczne. Wcale nie jak na filmie - kamera jest w stanie zwolnić przebieg zdarzeń, na wideo można nawet kilka razy obejrzeć sobie spadający ze skalnego zbocza wóz, jeśli ma się na to ochotę. W rzeczywistości istnieje tylko kilka nakładających się niemal na siebie, zamazanych obrazów, a potem znajoma kombinacja dźwięków: pisk opon, tępy trzask metalu uderzającego o metal, brzęk tłukącego się szkła... i *voila, toutfinil*

Tego typu sprawy regulował nawet swoisty protokół: „Jak Należy Zachować Się W Przypadku Stłuczki”. Jasne, protokół, rozmyślał Ralph. W Derry każdego dnia zdarzało się ze dwadzieścia stłuczek, a w zimie, gdy spadł śnieg i ulice robiły się śliskie, nawet ze dwa razy tyle. Wysiada się, spotyka przeciwnika w miejscu, gdzie samochody się stuknęły (i gdzie najczęściej jeszcze tkwią), patrzy i potrząsa głową. Czasami - najczęściej - fazę tę charakteryzują padające z obu stron ostre słowa: pośpieszna ocena swoich i cudzych umiejętności, wzajemne oskarżenia i groźby oddania sprawy w ręce prawników. Prawdopodobnie wplątani w stłuczkę kierowcy używając zbyt wielu niepotrzebnych słów, w ten sposób oskarżają się nawzajem: „Widzisz, idioto, śmiertelnie mnie wystraszyłeś!”

Ostatnią figurą tego żalosego w gruncie rzeczy tańca jest zazwyczaj Wymiana Świętych Numerów Ubezpieczeniowych. W tym momencie przeciwnicy odzyskują na ogół kontrolę nad rozszalałymi emocjami - to znaczy jeśli nikt nie został ranny, najwyraźniej tak jak w tym przypadku - i czasami nawet ściskają sobie dłonie!

Ralph przygotował się duchowo na ten właśnie taniec, który mógł sobie obejrzeć z wygodnego miejsca oddalonego o sto pięćdziesiąt metrów od sceny wydarzeń, lecz gdy tylko otworzyły się drzwi datsuna, zrozumiał, że wszystko tu odbędzie się inaczej, że wypadek nie tyle się wydarzył, co dzieje się nadal. A już z całą pewnością to przedstawienie nie skończy się dżentelmeńskim uściskiem dłoni.

Drzwi datsuna nie tyle się otworzyły, co wystrzeliły z zawiasów. Ed Deepneau wyskoczył zza kierownicy i po prostu zamarł, wyprostowany; jego wąskie ramiona wyraźnie rysowały się na tle ciemnych chmur. Miał na sobie dżinsy i podkoszulek - Ralph zorientował się nagle, że aż do dziś ani razu nie widział go w koszuli nie zapinanej pod szyją. Miał też coś na szyi - coś długiego i białego. Chusta? Wyglądało to jak chusta, ale kto by nosił na szyi chustę w tak ciepły dzień?

Przez dłuższą chwilę Ed stał w miejscu. Wydawało się, że patrzy wszędzie, tylko nie tam, gdzie trzeba. Zjeżone na wąskiej głowie krótkie włosy upodabniały go do koguta, z postawionym grzebieniem lustrującego podwórko w poszukiwaniu intruza, i Ralpha coś w tym podobieństwie zaniepokoiło. Pewnie chodziło o to, że nigdy nie widział Eda wyglądającego właśnie tak, ale nie tylko to. Po prostu nigdy nie widział nikogo wyglądającego właśnie tak.

Na zachodzie zagrzmiało głośniejsz niż poprzednio. Burza wyraźnie się zbliżała.

Z faceta, który wylazł zza kierownicy ford, dałoby się wykroić dwóch, a najprawdopodobniej trzech Edów. Wielki brzuch zwisał mu na pasek spodni khaki, plamy potu pod pachami białej koszulki polo wielkością dorównywały talerzom. Gruby odsunął z czoła daszek reklamowej czapeczki West Side Gardeners, by lepiej przyjrzeć się gościowi, który go staranował. Twarz o wielkiej, masywnej szczęce miał śmiertelnie bladą, z wyjątkiem dwóch jaskrawoczerwonych plam na policzkach.

Oto pierwszej klasy kandydat do ataku serca, pomyślał Ralph. Gdybym był bliżej, z pewnością dostrzegłbym fałdy tłuszczu na jego uszach!

- Hej! - krzyknął na Eda Gruby. Z potężnej piersi wydobywał się absurdalnie cienki, niemal piskliwy głosik. - Gdzieś ty zdobył prawo jazdy? Kupiłeś u Searsa i Roebucka?

Kręcąca się na wszystkie strony głowa Eda zamarła, a potem powoli obróciła się w stronę głosu, skierowała się na niego

niczym dziób odrzutowca na wiązkę promieni radaru. Ralph po raz pierwszy dostrzegł wówczas oczy Eda Deepneau i strach *niemal wyczuwalnie zaciążył mu na sercu*. Pobiegł *przed siebie* najszybciej jak potrafił, Ed tymczasem ruszył w stronę Grubego w przepoconej koszulce i czapce-reklamówce. Szedł na sztywnych nogach, wyprostowany, zupełnie inaczej, niż chodził zazwyczaj, kołysząc się i pociągając nogami.

- Ed! - krzyknął Ralph, lecz coraz silniejszy - i coraz chłodniejszy, z pewnością będzie padać - wiatr porwał jego krzyk, zanim udało mu się wydostać na światło dzienne. W każdym razie Ed nawet nie drgnął. Ralph zmusił się do jeszcze szybszego biegu, kompletnie zapominając o bólu nóg i krzyża. W szeroko rozwartych, nieruchomych oczach Eda

Deepneau dostrzegł mord. Nie opierał tej oceny na żadnym wcześniejszym doświadczeniu, ale nie sądził, by ktoś widząc takie spojrzenie, miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości: tak patrzą na siebie koguty, nim rzucą się do walki, dziobiąc i machając skrzydłami. - Ed! Hej, Ed! Ed, słuchaj, to ja!

Ed nie zareagował, choć musiał usłyszeć jego okrzyk, bo Ralph znajdował się już blisko. Gruby obejrzał się, w oczach miał niepokój, nawet strach. Odwrócił się i uspokajającym gestem wyciągnął przed siebie ręce.

- Słuchaj pan, możemy porozmawiać...

Nie dane mu było skończyć. Ed zrobił jeszcze jeden szybki krok, podniósł smukłą, bardzo bladą na tle ciemnych chmur dłoń i walnął nią Grubego we wcale potężną szczękę. Trzask przypominał huk wystrzału z dziecięcej wiatrówki.

- Ile ich zabiłeś? - spytał.

Gruby oparł się ciężko o swego pickupa. Szczęka mu opadła, usta miał szeroko rozwarte. Ed parł przed siebie, sztywno, jak przedtem. Podszedł tak blisko, że zetknęli się brzuchami, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że Gruby jest od niego dziesięć centymetrów wyższy i dobre pięćdziesiąt kilogramów cięższy. Wyciągnął rękę i jeszcze raz uderzył go w twarz.

- No już, syp, twardzielu. Ile ich zabiłeś? - wrzasnął, ale jego głos zginął w huku pierwszego prawdziwego grzmotu nadchodzącej burzy.

Gruby odepchnął go. Nie był to gest agresji, lecz zwykłego strachu. Ed poleciał do tyłu, aż na zgniecioną maskę datsuna, odbił się od niej natychmiast, podniósł pięści. Gotów był rzucić się na przeciwnika, przypartego do swego forda, z krzywo siedzącą na głowie czapką i koszulą wyłazącą mu ze spodni

z tyłu i po bokach. Ralphowi nagle coś się przypomniało - oglądany przed laty komiks „Three Stooges”, Larry, Curly i Moe bez pojęcia bawiący się w malarzy - i poczuł przypływ sympatii dla Grubego, który nie tylko wyglądał śmiesznie, ale i sprawiał wrażenie śmiertelnie przerażonego.

Ed Deepneau bynajmniej nie wyglądał śmiesznie. Ze skrzywionymi w grymasie wargami, z szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami, coraz bardziej przypominał gotowego do walki koguta.

- Wiem, czym się zajmujesz - powiedział Grubemu. - Co ty tu próbujesz grać za komedię? Czy naprawdę wierzysz, że tobie i tym innym rzeźnikom zawsze wszystko będzie uchodzić na sucho...?

W tym momencie pojawił się Ralph, dyszący jak stara dorożkarska szkap, i chwycił

go za ramiona. Gorąco, które poczuł pod cienkim podkoszulkiem, wyprowadziło go z równowagi - czuł się tak, jakby dotknął pieca - a kiedy Ed się na niego obejrzał, Ralph miał przelotne, lecz niezapomniane wrażenie, że patrzy właśnie w głąb rozpalonego pieca. Nigdy jeszcze w oczach żadnego człowieka nie dostrzegł tak całkowitej, tak bezmyślnej furii. Nie podejrzewał nawet, że furia taka może w ogóle istnieć. Jego pierwszym odruchem było uskoczyć, ale zdołał się opanować i ani drgnął. Pomyślał, że jeśli uskoczy, Ed rzuci się na niego jak wściekły pies, gryząc i drapiąc. Bzdura, oczywiście, Ed to naukowiec, chemik, Ed jest członkiem Klubu Książki Miesiąca (należał do tej nielicznej grupy ludzi, którzy prawie zawsze wybierają dziesięciokilogramowe historie Wojen Krymskich, umieszczone w ofercie zastępczej), Ed jest mężem Helen, ojcem Natalie... do diabła, Ed to przyjaciel!

Tylko że teraz to był inny Ed i Ralph doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Zamiast uskoczyć pochylił się, złapał go za ramiona (takie gorące pod cienkim podkoszulkiem, takie nieprawdopodobnie, okropnie gorące) i przysunął twarz do jego twarzy, aż zasłonił Grubego przed tym upiornym, nieruchomym wzrokiem.

- Daj spokój - powiedział donośnym, spokojnym i stanowczym głosem, którego, jak przypuszczał, używa się wobec histeryków. - Nic ci się nie stało. Daj spokój!

Przez chwilę Ed stał tak, patrząc przed siebie nie widzącymi oczami, a potem najwyraźniej rozpoznał twarz Ralpha. Niewiele to dało, ale Ralph mimo wszystko poczuł ulgę.

- Co się z nim dzieje? - spytał ukryty za jego plecami Gruby. - Oszalał? Jak pan myślisz?

- Jestem pewien, że już czuje się dobrze. - Wcale nie miał takiej pewności. Wypowiedział te słowa kącikiem ust, nie spuszczać wzroku z twarzy Eda. Nie ośmielił się spuścić wzroku z twarzy Eda, czuł, że tylko w ten sposób może go kontrolować... jeśli w ogóle go kontroluje. - Po prostu zdenerwował go wypadek. Potrzebuje kilku chwil, żeby dojść do siebie i...

- Spytaj go, co ma pod tą płachtą! - wrzasnął nagle Ed, wskazując palcem na coś za plecami Ralpha. Błysnęło, przez chwilę blizny po młodzieńczym trądziku wystąpiły bardzo wyraźnie na jego twarzy niczym na dziwnej mapie, wskazującej miejsce ukrycia zakopanych skarbów. Zagrzmiało. - Hej, hej, Susan Day! - zaśpiewał Ed cienkim, dziecinnym głosem i na ramiona Ralpha wystąpiła gęsia skórka. - Ile dzieci na sumieniu masz?

- Nie doszedł do siebie - oznajmił Gruby. - To wariat. Kiedy przyjedzie policja, dopilnuję, żeby go zamknęli.

Ralph zerknął za siebie. Bagażnik pikapa przykryty był płachtą, przymocowaną

jaskrawożółtą linką. Pod płachtą wyraźnie rysowały się okrągłe kształty.

- Ralph? - rozległ się jakiś cichy głos.

Po jego lewej stronie, obok pikapa, stał Dorrance Marstellar, przeszło dziewięćdziesięcioletni, z pewnością najstarszy ze Starych Pryków z Harris Avenue. W bladej, pokrytej wątrobianymi plamami dłoni trzymał książkę. Miął ją w dłoniach, aż dziw, że się nie rozkleiła. Zapewne był to tomik poezji - Dorrance czytywał wyłącznie poezje. A może wcale nie czytał, tylko wpatrywał się w zmyślnie pozbierane do kupy słowa?

- Ralph, co się stało? Co się dzieje?

Błyskało częściej - fioletowobiałe kły elektryczności. Dorrance podniósł wzrok na niebo; patrzył tak, jakby niepewny był tego, gdzie jest, kim jest i co widzi. W duszy Ralpha coś jęknęło.

- Dorrance... - powiedział i w tej chwili Ed skoczył na niego niczym dzikie zwierzę, nieruchome przedtem tylko dlatego, że zbierało siły. Ralph zachwiał się, lecz ustał na nogach i odepchnął Eda z powrotem na pogniecioną maskę datsuna. Wpadł w panikę. Za wiele działał się naraz. Czuł mięśnie ramion Eda drżące mu pod dłońmi; jakby Ed jakimś cudem połknął jedną z błyskawic, których na niebie było coraz więcej.

- Ralph - powtórzył Dorrance tym samym spokojnym, lecz strwożonym głosem. - Na twoim miejscu więcej bym go nie dotykał. Nie widzę twoich dłoni.

Świetnie: Będę musiał sobie jakoś poradzić z kolejnym szaleńcem. Tylko tego mi brakowało.

Zerknął na swoje dłonie - były na miejscu - a potem na starego.

- O czym ty gadasz?

- Twoje dłonie - tłumaczył mu cierpliwie staruszek. - Nie widzę twoich dłoni.

- To nie miejsce dla ciebie, Dor... no, znikaj. Twarz starego rozjaśniła się nieco.

- Tak! - powiedział jak ktoś, kto przypadkiem odkrył jakąś wielką prawdę. - To właśnie powinienem zrobić. - Zaczął się cofać, a kiedy znów zagrzmiało, skulił się i zakrył głowę otwartą książką. Jej tytuł brzmiał „Buckdancer's Choice”. - I ty też powinieneś się stąd wynieść. Nie warto mieszać się w sprawy Długoterminowych. Łatwo oberwać.

- O czym ty...

Lecz nim Ralph zdołał skończyć, Dorrance odwrócił się i niepewnym krokiem odszedł w stronę terenu piknikowego. Pasemka siwych włosów, delikatnych jak u nowo narodzonego dziecka, powiewały mu na wietrze.

Jeden problem został w ten sposób rozwiązany, lecz Ralph niedługo się tym cieszył. Dorrance odwrócił uwagę Eda od Grubego, ale teraz Ed znów przeszywał go morderczym

spojrzeniem.

- Piczolis! - wypluł jadowicie. - Pieprzyłeś matkę i lizałeś jej piczę!

Niskie czoło Grubego zrobiło się jeszcze niższe.

- Co?!

Ed spojrzął na Ralpa. Chyba wreszcie go poznał.

- Spytaj go, co ma pod plandeką! - wrzasnął. - Albo jeszcze lepiej niech ci pokaże!

Ralph spojrzął na właściciela pikapa.

- Co pan tam wiezie? - spytał.

- Co komu do tego?

Być może Gruby pragnął sprawiać wrażenie stanowczego, ale tylko spojrzął w oczy Eda Deepneau i natychmiast zrobił dwa chwiejne kroki w tył.

- Mnie nic, ale jemu coś - Ralph brodą wskazał Eda. - Niech mi pan pomoże go uspokoić, dobrze?

- To wy się znacie?

- Morderca! - powtórzył Ed i tym razem szarpnął się tak mocno, że Ralph zrobił krok wstecz. Ale działało się coś jeszcze, tak, chyba tak. Puste, przerażające spojrzenie nieruchomych oczu stawało się jakby bardziej ludzkie. W spojrzeniu tym więcej było Eda niż przed chwilą... a może tak się tylko wydawało? - Morderca! Morderca dzieci!

- Jezus, co za wariat. - Gruby obszedł jednak swego forda, odczepił jedną z zamocowanych z tyłu linek i podniósł róg plandeki.

Ford wioził osiem beczek z grubego prasowanego kartonu, a na każdej z nich znajdował się wielki napis WEED-GO.

- To nawóz organiczny - wyjaśnił. Rozbiegane oczy przenosił z Ralpa na Eda i z powrotem na Ralpa. Dotknął daszka swej reklamowej czapeczki. - Cały dzień pracowałem nad nowymi grządkami przed skrzydłem szpitala dla umysłowo chorych w Derry. Przydałyby ci się tam krótkie wakacje, przyjacielu.

- Nawóz? - zdziwił się Ed. Wydawało się, że mówi sam do siebie. Powoli unióś lewą rękę i zaczął masować skroń. - Nawóz? - powtórzył jak człowiek zdumiony prostym w zasadzie, lecz rewolucyjnym w skutkach wynalazkiem.

- Nawóz - zgodził się Gruby, zerknął na Ralpa i powtórzył: - Ten facet ma nie po kolei w głowie, wie pan?

- Jest oszołomiony, nic więcej - stwierdził niepewnie Ralph. Pochylił się i postukał palcem w jedną z beczek, a potem spojrzął na Eda. - Nawóz - powiedział. - Wystarczy ci?

Żadnej odpowiedzi. Ed zaczął sobie masować drugą skroń. Wyglądał jak ktoś

cierpiący na straszliwą migrenę.

- Wystarczy ci? - powtórzył łagodnie Ralph.

Ed zamknął oczy na chwilę, a kiedy je otworzył, lśniły... być może od łez. Wysunął język i dotknął nim delikatnie najpierw jednego, a potem drugiego kącika ust. Końcem jedwabnej chusty przetarł sobie czoło i w tym momencie Ralph dostrzegł na niej jakieś chińskie ideogramy.

- Chyba jednak... - powiedział i przerwał. Oczy znów rozszerzyły mu się w sposób, który bardzo się Ralphowi nie podobał. - Dzieci! - wychrypiał. - Rozumiesz, co mówię? Dzieci!

Ralph pchnął go na samochód po raz trzeci czy czwarty; właściwie stracił już rachubę.

- O czym ty mówisz, Ed? - Nagle zaświtało mu w głowie. - Chodzi ci o Natalie? Boisz się o Natalie?

Cwany uśmieszek skrzywił wargi Eda, gdy spojrzał nad ramieniem Ralpha wprost w oczy Grubego.

- Nawóz, co? No, to jeśli wiesz nawóz, nie będziesz miał chyba nic przeciwko temu, żeby otworzyć jedną z tych beczek?

Gruby popatrzył niepewnie na Ralpha.

- Potrzebny mu lekarz - orzekł.

- Być może. Ale, moim zdaniem, zaczął się uspokajać. Czy mógłby pan otworzyć którąś z beczek? Może potem poczuje się lepiej?

- Jasne, pewnie. Jak się powiedziało „a”...

Znów błysnęło, znów rozległ się grzmot - ten już wydawał się toczyć z hukiem po całym niebie - i na spoconą szyję Ralpha padła pierwsza kropla deszczu. Zerknął w lewo. Dorrance Marsteller stał na samej granicy terenu piknikowego, trzymając w ręku książkę. Obserwował ich z niepokojem.

- Cholernie poleje, tak na oko - stwierdził Gruby. - Nie wolno dopuścić, żeby nawóz zamókł. Zacznie się reakcja chemiczna. Więc patrzcie szybko. - Przez chwilę szukał czegoś między beczką a burtą pikapa, aż znalazł pręt spłaszczony na końcu. - Jezu, co ja robię? Muszę być tak samo szalony jak on - wyznał Ralphowi. - Bo przecież po prostu jechałem do domu i nikomu nie przeszkadzałem..To on wpadł na mnie.

- Niech pan otworzy beczkę. To potrwa zaledwie chwilę.

- Pewnie - zgodził się Gruby, podważając wieko. - Ale wspomnienia zostaną na całe życie.

W tym momencie zagrzmiało, więc nie usłyszał następnych słów Eda. Ralph je

usłyszał i zaciążyły mu na żołądku jak bryła lodu.

- Pełno w nich trupów dzieci. Zobaczycie.

Gruby otworzył beczkę, Ed zaś przemówił z takim przekonaniem, że Ralph wręcz uwierzył, iż zobaczy płataninę rączek, nówek i mnóstwo łysych dziecięcych główek. Dostrzegł jednak tylko mieszkankę drobnych niebieskich kryształków i brązowego pyłu, pachnącą mocno zgnilizną i lekko chemikaliami.

- No i co? Zadowolony? - Tym razem Gruby przemówił wprost do Eda. - A jednak nie jestem ani Rayem Joubertem, ani Dahmerem, prawda?

Na twarzy Eda znów pojawił się wyraz zmieszania, a kiedy

huknął grzmot, Ed drgnął. Pochylił się, sięgnął w stronę pojemnika i spojrzał na Grubego. Gruby skinął głową. Ralph miał wrażenie, że w geście tym było sporo sympatii.

- Jasne, wsadź pan tam łapę, mnie to nie przeszkadza. Ale jeśli zacznie padać, będziesz pan tańczył jak John Travolta. To świństwo zrobi się żrące.

Ed wziął w garść odrobinę nawozu i przesypał go między palcami. Spojrzał na Ralpha niepewnie, a także chyba ze sporą dozą wstydu, po czym wsadził rękę w nawóz aż po łokieć.

- Hej! - krzyknął zaskoczony Gruby. - To nie krakersy z niespodzianką!

Przez moment na ustach Eda znów zagościł cwany uśmiezek - „widzisz, nie tak łatwo mnie oszukać” - i znikł, gdy tylko okazało się, że w beczce rzeczywiście nie ma nic oprócz nawozu. Wyciągnął rękę, brudną i śmierdzącą. Nad lotniskiem błysnęło; huk grzmotu był już ogłuszający.

- Wytrzymaj pan to z ręki, nim zacznie padać, ostrzegam. - Gruby sięgnął do forda przez okno od strony pasażera, wyjął torebkę po hamburgerach McDonalda, pogrzebał w niej, znalazł kilka serwetek i podał je Edowi. Ed zaczął czyścić sobie ramię jak ktoś pogrążony w głębokim śnie, Gruby zaś nałożył pokrywkę na pojemnik, przybijając ją wielką, piegowatą garścią i rzucając zaniepokojone spojrzenia na ciemne niebo. Kiedy Ed dotknął jego ramienia, zeszywniał i odsunął się. Spojrzenie miał bardzo uważne.

- Chyba powinienem pana przeprosić. - Po raz pierwszy głos Eda wydał się Ralphowi całkowicie... normalny.

- Cholerna racja, przyjacielu - stwierdził Gruby, ale w jego głosie brzmiała wyraźna ulga. Rozciągnął plastikową płachtę, zawiązał linki kilkoma szybkimi, wprawnymi ruchami. Ralph obserwował go, myśląc o tym, jak strasznym złodziejem jest czas. Kiedyś potrafił zrobić coś takiego równie sprawnie, dziś także potrafiłby to jeszcze zrobić, ale zajęłoby mu to jakieś dwie, trzy minuty... i z pewnością nie obszłoby się bez kilku jego najlepszych przekleństw.

Gruby poklepał płachtę i odwrócił się w ich kierunku. Ramiona skrzyżował na wielkiej piersi.

- Widział pan wypadek? - spytał Ralph.

- Nie - odparł natychmiast Ralph. Nie wiedział, dlaczego kłamie, ale decyzję o wypowiedzeniu tego kłamstwa podjął błyskawicznie. - Patrzyłem na lądujący samolot. United.

Kompletnie zaskoczony obserwował, jak czerwone plamy rozlewają się Grubemu na całe policzki. Też na niego patrzyłeś, pomyślał. Patrzyłeś nie tylko, jak ląduje, ale i jak kołuje do terminalu, inaczej byś się tak nie czerwienił.

Zaraz potem nastąpił przebłysk jasnowidzenia. Gruby był najwyraźniej pewien, że to on spowodował wypadek albo przynajmniej że kiedy pojawią się gliny, odczytają to w ten właśnie sposób. Obserwował samolot i nie widział, jak z bocznej dróżki beztrąsko szarżuje na niego datsun.

- Proszę pana, naprawdę bardzo mi przykro - powiedział Ed. Wyglądał, jakby było mu więcej niż przykro... jakby był wręcz rozczarowany. Ralph stwierdził nagle, że wątpi w szczerść jego przeprosin i że być może nie ma najmniejszego pojęcia

(Hej, hej Susan Day)

co tu się właściwie zdarzyło... a właściwie to kim, do diabła, jest ta Susan Day?

- Uderzyłem głową w kierownicę-tłumaczył Ed. - Chyba... coś poprzestawiało mi się we łbie.

- Co to, to tak. - Gruby podrapał się po głowie, spojrział na ciemne, groźne niebo, a potem znów na Eda. - Chcę ci coś zaproponować, kolego - powiedział.

- Tak? Co takiego?

- Wymieńmy tylko nazwiska i numery telefonów zamiast całego tego gówna z ubezpieczeniami, a potem rozjedźmy się jak przyjaciele.

Ed niepewnie spojrział na Ralpa, a później na grubasa w reklamowej czapeczce West Side Gardeners.

- Jeśli wmsza się w to policja - mówił dalej Gruby - zrobi się gówniana sprawa. Podłączą się do komputera i od razu odkryją, że zimą zatrzymano mi prawo jazdy za prowadzenie po kieliszku i że jeżdżę na tymczasowym pozwoleniu. Będą mi robić kłopoty, choć jechałem główną drogą i miałem pierwszeństwo przejazdu. Rozumiesz mnie?

- Tak, oczywiście. Chyba tak, ale przecież to ja spowodowałem ten wypadek. Jechałem za szybko...

- Tylko że sam wypadek może akurat okazać się mało ważny. - Gruby spojrział

nieufnie na mikrobus, który, żeby ich ominąć, musiał zjechać aż na pobocze, po czym znów zwrócił wzrok na Eda i rzekł pośpiesznie: - Zgubiłeś trochę oleju, ale już przestał ciec. Jestem pewien, że dojedziesz do domu... jeśli mieszkasz w mieście. Mieszkasz w mieście?

- Tak.

- Zwrócę ci za naprawę... do jakichś pięćdziesięciu doków.

Ralph doznał kolejnego objawienia. Tylko ono tłumaczyło zmianę, jaka zaszła w Grubym, najpierw udającym twardziela, a teraz niemal błagającym. Zabrano mu zimą prawo jazdy? To chyba prawda. Ale Ralph nigdy nie słyszał o czymś takim jak „tymczasowe pozwolenie” i miał nieodparte wrażenie, że coś takiego po prostu nie istnieje. Ich dobry tęgi przyjaciel zwyczajnie nie miał prawa jazdy! Sytuację komplikował jedynie fakt, że Ed mówił prawdę i tylko prawdę: wypadek nastąpił wyłącznie z jego winy.

- Jeśli się dogadamy i rozjedziemy jak kumple - wyjaśniał dalej Gruby - ja nie będę musiał tłumaczyć się z utraty prawa jazdy, a pan nie będziesz musiał tłumaczyć się z tego, że naskoczyłeś na mnie, uderzyłeś mnie i wrzeszczałeś, że wożę trupy.

- Naprawdę tak powiedziałem? - Ed sprawiał wrażenie szczerze zdumionego.

- Dobrze wiesz, co mówiłeś, kolego - mruknął ponuro Gruby.

Jakiś sepleniący głos z francusko-kanadyjskim akcentem spytał nagle:

- Wszystko w porządku, przyjaciele? Nikomu nic się nie stało? Hej, Ralph! To ty?

Na poboczu stała ciężarówka z napisem na plandecy: „Pralnia chemiczna w Derry”. Prowadził ją jeden z braci Vachonów z Old Cape. Ralph miał wrażenie, że to najmłodszy z nich, Trigger.

- Tak, to ja. - I Ralph, nie zastanawiając się, dlaczego to robi - w tej chwili działał już wyłącznie na instynkt - podszedł do Triggera, objął go za ramiona (taki chyba miał dzisiaj dzień, że wszystkich spotkanych mężczyzn musiał obejmować za ramiona) i poprowadził go z powrotem w kierunku jego ciężarówki.

- Nic się nie stało tym gościom?

- Nie, nic - zapewnił. Obejrzał się. Ed i Gruby stali obok forda i coś do siebie szeptali. Przeszła kolejna fala deszczu, zabębniła po niebieskiej płachcie jak niecierpliwe palce. - Po prostu stłuczka, nic groźnego. Właśnie załatwiają sprawę.

- No to pięknie - stwierdził radośnie Trigger Vachon. - A jak się ma twoja śliczna żoneczka?

Ralph drgnął. Nagle poczuł się jak ktoś, kto przy lunchu przypomniał sobie, że wychodząc do pracy, zostawił włączony piecyk.

- Jezu! - krzyknął i spojrzął na zegarek. Miał nadzieję, że

jest piętnaście po piątej, najpóźniej wpół do szóstej, była już jednak za dziesięć szósta. Dwadzieścia minut temu miał przynieść Carolyn zupełną i pół sandwicza. Carolyn z pewnością się boi. Biorąc pod uwagę błyskawice i huk grzmotu przewalający się przez puste mieszkanie, może być nawet przerażona. A jeśli zacznie padać, nie zdoła zamknąć okien, ręce ma już na to za słabe.

- Ralph? - zaniepokoił się Trigger. - Coś się stało?

- Nie, nic. Tyle że poszedłem na spacer i kompletnie straciłem poczucie czasu. Potem jeszcze ten wypadek i w ogóle... Może podrzuciłbyś mnie do domu, co, Trig? Zapłacę.

- Nic mi nie musisz płacić. To po drodze. Wskakuj. Jak myślisz, z nimi wszystko w porządku? Nie *zaczną* się bić albo co?

- Nie. Raczej nie. Zaczekaj chwilkę.

- Jasne.

Ralph podszedł do Eda.

- Poradzisz sobie? - spytał. - Da się jakoś załatwić tę sprawę?

- Oczywiście. Prywatnie. Bo i czemu nie? W końcu to tylko trochę rozbitego szkła.

Zachowywał się i mówił dokładnie jak stary Ed. Gruby mężczyzna w białej koszuli patrzył na niego z wyrazem niemal szacunku. Ralph nadal był niespokojny, nie czuł się najlepiej po tym, co zdarzyło się na drodze, ale postanowił zapomnieć o całej sprawie. Bardzo lubił Eda Deepneau, tylko że to nie Ed najbardziej go teraz obchodził, lecz Carolyn. Carolyn i zegar, który tykał gdzieś w głębi jej ciała... i w ścianach ich wspólnej sypialni.

- No to świetnie - oznajmił. - Jadę do domu. Ostatnio to ja robię jej kolacje, a jestem mocno spóźniony.

Już miał się obrócić, kiedy Gruby wyciągnął do niego rękę.

- John Tandy - przedstawił się. Ralph ujął jego dłoń i potrząsnął nią.

- Ralph Roberts. Miło mi było pana poznać. Tandy uśmiechnął się niewyraźnie.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, mocno wątpię w pana szczerość... ale bardzo się cieszę, że był pan na właściwym miejscu we właściwym czasie. Przez jedną jedyną sekundę byłem pewien, że dojdzie do bójk.

Ja też, pomyślał Ralph, ale nie powiedział tego na głos. Zerknął na Eda, pełnym niepokoju spojrzeniem obrzucił tak egzotyczny na chudym ciele podkoszulek i białą jedwabną

chustę z wyhaftowanymi na niej czerwonymi chińskimi ideogramami. Nie spodobał mu się wzrok Eda, gdy ich spojrzenia się spotkały. Być może Ed wcale nie wrócił jeszcze do normy.

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? - Bardzo pragnął odjechać z Triggerem, wrócić do Carolyn, a jednak się wahał. Uczucie, że coś tu jest bardzo, bardzo nie tak, wcale nie chciało go opuścić.

- Oczywiście, świetnie - zapewnił go natychmiast Ed i uśmiechnął się szeroko, ale uśmiech ten nie sięgnął ciemnozielonych oczu. Oczy te wpatrywały się w Ralpha czujnie, jakby pytając, ile właściwie widział i ile

(*hej, hej Stuart Day*) zapamiętał.

Wnętrze ciężarówki Triggera Vachona pachniało świeżo wyprasowanym praniem. Z jakiegoś powodu zapach ten zawsze przypominał Ralphowi zapach świeżego chleba. Siedzenia pasażera w kabinie nie było. Stał trzymając się jedną ręką klamki, drugą kosza z praniem Danduxów.

- Człowieku, dziwnie to tam wyglądało - powiedział Trigger, zerkając w zewnętrzne wsteczne lusterko.

- Nawet nie wiesz, jak dziwnie.

- Gość, co jeździ tym japońcem... Deepneau, tak? Ma śliczną żonkę. Czasami przysyłają nam swoje pranie. Wygląda na fajnego faceta.

- Dziś z pewnością nie był sobą.

- Mrówka ugryzła go w dupę?

- Nie mrówka. Wsadził tyłek w całe cholerne mrowisko! Trigger roześmiał się głośno, waląc pięścią w wytarty plastik wielkiej kierownicy.

- Całe cholerne mrowisko! Cudo! Cudo! Zapamiętam to sobie. - Wytarł zażawione oczy chusteczką wielkości mniej więcej obrusa. - Mnie tam wyglądało, jakby pan Deepneau wyjechał z lotniska, nie?

- Masz rację.

- Teraz trzeba mieć kartę, żeby otworzyć bramę. Skąd on ma taką kartę?

Ralph zmarszczył brwi. Zastanawiał się przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

- Nie wiem. Nawet o tym nie pomyślałem. Kiedy spotkamy się następnym razem, będę musiał go o to zapytać.

- Rzeczywiście. I przy okazji spróbuj się dowiedzieć, co z mrówkami. - Trigger znów ryknął śmiechem, znów zaczął wymachiwać komiczną chusteczką.

Kiedy skręcili z Extension na właściwą Harris Avenue, burza wreszcie wybuchła z całą siłą. Nie było wiatru, tylko deszcz lunął z nieba rzeką tak potężną, że Trigger musiał zwolnić do ślimaczego tempa.

- Rany - powiedział głosem pełnym szacunku. - Całkiem przypomina to wielką burzę z osiemdziesiątego piątego, kiedy połowa śródmieścia wpadła do tego cholernego kanału. Pamiętasz, Ralph?

- Oczywiście. Miejmy nadzieję, że coś takiego się dziś nie powtórzy.

- Nie! - Uśmiechnięty Trigger patrzył na szalejące po szybie wycieraczki. - Poprawili cały system ścieków. Ale cudo!

Zimny deszcz i wysoka temperatura w kabinie spowodowały, że przednia szyba zaparowała. Ralph bezmyślnie wyrysował na niej symbol:

- Co to takiego? - zainteresował się Trigger.

- Właściwie nie mam pojęcia, ale chyba jakieś chińskie znaki, nie? Zauważyłem je na chuście Eda Deepneau.

- Coś mi przypominają. - Trigger powtórnie zerknął na ideogramy, po czym parsknął i machnął ręką. - Taki jestem mądry, a jedyne co potrafię powiedzieć po chińsku to mu-gu-gai-pan.

Ralph uśmiechnął się, ale nie potrafił się roześmiać. Przez Carolyn. Teraz, kiedy już sobie żonę przypomniał, nie potrafił przestać o niej myśleć. Nie potrafił przestać wyobrażać sobie otwartych okien, firanek powiewających jak ramiona upiorów Edwarda Goreya i padającego do wnętrza mieszkania deszczu.

- Nadal mieszkasz na tym piętrze przy „Jabłuszku”?

- Tak.

Trigger podjechał do krawężnika, spod kół ciężarówki prysnęły wachlarze wody. Deszcz wciąż lał strumieniem, na niebie szalały błyskawice, huczały grzmoty.

- Lepiej posiedź tu ze mną przez chwilę - doradził mu Trigger. - Za małą minutkę burza trochę się uspokoi.

- Nic mi nie będzie. Dzięki, Trig.

- Zaraz, zaraz. Dam ci kawałek plastikowej płachty, zasłoni ci głowę jak kapelusz.

- Nie, dziękuję, nie ma sprawy, ja tylko...

Nie miał ani pojęcia, jak skończyć to, co zaczął mówić, ani ochoty kończyć. Czuł strach bliski paniki. Odsunął drzwi ciężarówki i wyskoczył, lądując po kostki w zimnej, pędzącej kanałem odpływowym wodzie. Pomachał Triggerowi na pożegnanie, nawet się nie oglądając, po czym macając po drodze kieszeń w poszukiwaniu klucza, ruszył szybko w stronę domu, w którym on i Carolyn mieszkali razem z Billem McGovernem. Kiedy wspiął się na ganek, stwierdził, że żaden klucz nie będzie mu potrzebny-drzwi były szeroko otwarte. Bili, mieszkający na parterze, często zapominał je zamknąć i Ralph wołał wierzyć, że to

sprawka Billa, niż że Carolyn przestraszyła się jego nieobecności i - w tę burzę! - poszła go szukać. Tej możliwości nie chciał nawet brać pod uwagę.

Wbiegł do mrocznego wnętrza, ruszył ku schodom, krzywiąc się na dźwięk grzmotu. Położył rękę na poręczy i przystanął na moment, wsłuchując się w stuk kropel wody padających z przemoczonej koszuli i spodni na drewniany parkiet. Ruszył do góry - bardzo pragnął wbiec po schodach, ale szybki marsz pozbawił go resztek sił. Serce biło mu mocno, mokre adidas, ciężkie jak dwie kotwice, przysysały go do podłogi; nie mógł zapomnieć, jak poruszała się głowa Eda, kiedy wysiadł z datsuna, szybko, w jedną i w drugą stronę-istny kogut szykujący się do walki.

Trzeci stopień zatrzeszczał jak zwykle i jakby w odpowiedzi na ten trzask z góry dobiegł go tupot szybkich kroków. Nie odczuł jednak ulgi, ponieważ od razu się zorientował, że nie były to kroki Carolyn, i kiedy przez poręcz przechylił się Bili McGovem, kiedy pod jego wieczną panamą dostrzegł bladą przerażoną twarz, nie był nawet w najmniejszym stopniu zaskoczony. Przez całą drogę do domu towarzyszyło mu przecież uczucie, że stało się coś złego, prawda? Oczywiście. Jednak biorąc pod uwagę okoliczności, trudno byłoby to wziąć za prekognizję. Kiedy przekroczony zostaje pewien poziom zła, nic się już nie poprawia, może być tylko gorzej i gorzej. Pewnie mniej lub bardziej nieświadomie zawsze zdawał sobie z tego sprawę. Tylko nigdy nie przypuszczał, że ta zła droga może być taka... taka długa.

- Ralph! - krzyknął Bili. - Dzięki Bogu! Carolyn... chyba miała jakiś atak. Zadzwoń na pogotowie, po karetkę.

Ralph odkrył, że jest jednak w stanie wbiec po schodach na samą górę.

Carolyn leżała w drzwiach prowadzących do kuchni, twarz zasłaniały jej włosy. Ralph dostrzegł w tym prostym fakcie coś strasznego: wyglądało to niechlujnie, a z Carolyn mogło być lepiej lub gorzej, z pewnością nie była jednak niechlujna. Dotknął jej i poczuł, że skórę ma chłodną jak jego stopy w przemoczonych adidasach.

- Chciałem ją położyć na kanapie, ale jest dla mnie za ciężka - powiedział nerwowo Bili. Zdjął z głowy panamę, niepewnie bawił się wstążką kapelusza. - To przez ten mój kręgosłup... wiesz...

- Wiem, Bili, wszystko w porządku - powiedział Ralph, podłożył dłoń pod plecy żony i unióś ją. Nie wydawała mu się ciężka. Sprawiała wrażenie lekkiej, lekkiej jak przekwitły mlecz gotów wyrzucić nasiona na wiatr. - Dzięki Bogu, że byłeś na miejscu.

- Mało brakowało, żeby mnie nie było - odparł Bili, idąc za Ralphem do dużego pokoju i nadal bawiąc się kapeluszem. Ralphowi przypomniał się stary Dorrance Marsteller i

ten jego tomik wierszy. „Na twoim miejscu więcej bym go nie dotykał”, powiedział stary Dorrance. „Nie widzę twoich dłoni”. - Właśnie wychodziłem, kiedy usłyszałem hałas... chyba wtedy upadła... - Bili spojrział na ciemny w mroku burzy pokój. Twarz miał równocześnie ożywioną i tępą, jakby szukał wzrokiem czegoś, czego w tym pokoju z pewnością nie było. Lecz nagle rozchmurzył się. - Drzwi! - krzyknął. - Założę się, że ciągle są otwarte! Deszcz pada do środka! Zaraz wrócę, Ralph.

Niemal wybiegł z mieszkania. Ralph właściwie nie zwrócił na to uwagi, ten dzień zmienił się dla niego w swego rodzaju surrealistyczny koszmar, a najgorsze z koszmaru było tykanie, tykanie w ścianach tak głośne, że nie zagłuszał go nawet grzmot.

Położył Carolyn na kanapie i ukląkł obok niej. Oddychała szybko, płytko, jej oddech straszliwie śmierdział, Ralph nie odwrócił jednak głowy.

- Trzymaj się, kochanie - powiedział. Uniósł jej dłoń, niemal tak lepką jak czoło, i pocałował ją delikatnie. - Trzymaj się, proszę. Wszystko jest dobrze, wszystko będzie dobrze.

Lecz nic nie było dobrze, a tykanie świadczyło, że nic nie będzie dobrze. I tykanie to wcale nie rozlegało się w ścianach, nigdy nie rozlegało się w ścianach, lecz wyłącznie w ciele jego ukochanej żony. W ciele Carolyn. Kochał ją, a ona oddalała się od niego coraz bardziej, i co on bez niej zrobi?

- Trzymaj się - powtórzył. Znów pocałował jej dłoń, przytulił ją do policzka, a gdy usłyszał przeciągłe wycie sygnału zbliżającej się karetki, zaczął płakać.

Carolyn oprzytomniała w pędzącej przez Derry karetce (słońce znów pojawiło się na niebie, z mokrych ulic unosiła się para) i najpierw bredziła tak, że Ralph był pewien, iż doznała wylewu. Potem, właśnie gdy zaczęła mówić do rzeczy, znów dostała ataku i potrzebował pomocy jednego z sanitariuszy, by utrzymać ją na noszach.

Na spotkanie z Ralphem, siedzącym w poczekalni na trzecim piętrze, wyszedł nie doktor Litchfield, lecz doktor Jamal, neurolog. Doktor Jamal cichym, uspokajającym głosem powiedział mu, że stan Carolyn już się ustabilizował, że przetrzymają ją jeszcze przez noc, dla pewności, ale rano będzie mogła wrócić do domu. Dostanie nowe lekarstwo - pigułki, owszem, drogie, lecz doprawdy cudowne.

- Nie wolno nam tracić nadziei, panie Roberts - powiedział doktor Jamal.

- Nie - odparł Ralph. - Chyba nie. Czy te ataki będą się powtarzały?

Doktor Jamal uśmiechnął się. Mówił cicho, a jego głos dzięki miękkiemu hinduskiemu akcentowi sprawiał wrażenie jeszcze bardziej uspokajającego. I chociaż nigdy nie powiedział mu wprost, że Carolyn umrze w ciągu tego długiego roku, kiedy walczyła o życie, jak nikt inny zbliżył się teraz do tego twierdzenia. Powiedział, że nowe lekarstwo

prawdopodobnie zapobiegnie kolejnym atakom, ale w tym stanie rzeczy wszelkie prognozy traktować należy „z wielką rezerwą”, bo niestety, guz rośnie mimo wszystkich ich wysiłków.

- Jako następne mogą się pojawić problemy natury motorycznej - mówił swym cichym, uspokajającym głosem. - Obawiam się także, że dostrzegam pewne pogorszenie wzroku.

- Mogę z nią spędzić noc? - spytał spokojnie Ralph. - Jeśli zostanę, będzie spała lepiej.
- Przerwał, a potem dodał: - Ja też.

- Oczywiście! - Doktor Jamal wyraźnie się rozpromienił. - To znakomity pomysł.

Ralph westchnął.

- Tak - przytaknął. - Ja też tak sędzę.

Siedział więc przy swej śpiącej żonie, słuchał tykania, które wcale nie rozlegało się ze ścian, i myślał: Pewnego dnia - może na jesieni, może zimą - znów znajdę się wraz z nią w tym pokoju. Nie było to przypuszczenie, raczej prorocstwo. Pochylił się i złożył głowę na białej kołdrze przykrywającej pierś żony. Nie chciał znów płakać, niemniej jednak rozplakał się.

Tykanie. Takie donośne, takie równomierne.

Po północy zasnął, a kiedy obudził się rankiem, było chłodniej niż przez kilka ostatnich tygodni i Carolyn już nie spała. Oczy jej błyszczały, zachowywała się najzupełniej normalnie i w ogóle nie sprawiała wrażenia chorej. Ralph zabrał ją do domu i rozpoczął wcale nielekki trud uprzyjemniania jej ostatnich miesięcy życia - o tyle, o ile w ogóle było to możliwe. Wiele dni minęło, nim znów pomyślał o Edzie Deepneau. I chociaż zobaczył sińce na twarzy Helen, wiele dni minęło, nim znów pomyślał o Edzie Deepneau.

Lato przechodziło powoli w jesień, jesień ustępowała miejsca mrocznej, ostatniej zimie Carolyn i Ralph coraz częściej i częściej myślał o zegarze śmierci, który zwalniał bieg, lecz tykał coraz głośniej i głośniej.

Ale nie miał problemów ze snem.

Te problemy pojawiły się później.

CZĘŚĆ PIERWSZA

MALI ŁYSI DOKTORKOWIE

*Pomiędzy tymi, którzy mogą spać, a tymi, którzy spać nie mogą, rozciąga się przepaść.
To jeden z najgłębszych podziałów ludzkości.*

Iris Murdoch: „Zakonnice i żołnierze”

Rozdział 1

W miesiąc po śmierci żony Ralph Roberts po raz pierwszy w życiu zaczął cierpieć na bezsenność.

Na początku nie było wcale tak źle, ale systematycznie robiło się coraz gorzej. Pół roku po pojawieniu się pierwszych zakłóceń w jego do tej pory jak najzwyczajszym cyklu snu i czuwania był już w stanie tak żalonym, że trudno było nie tylko go znieść, lecz w ogóle weń uwierzyć. Pod koniec lata 1993 roku zaczął się nawet zastanawiać, co będzie, jeśli przyjdzie mu spędzić wszystkie pozostałe lata z wiecznie otwartymi, nieprzytomnymi oczami.

Oczywiście, że do tego nie dojdzie, powiedział sobie. Do tego nigdy nie dochodzi.

Lecz czy aby na pewno? Nie wiedział i to było najgorsze, a książki polecane przez Mike'a Hanlona z biblioteki publicznej w Derry ani trochę mu nie pomogły. Aż kilkanaście dotyczyło zakłóceń cyklu sen-czuwanie, a jedna zaprzeczała drugiej. Niektóre nazywały bezsenność syndromem, inne chorobą, a co najmniej jedna mitem. Problem sięgał jednak głębiej: z przeczytanych książek Ralph wywnioskował, że tak naprawdę nikt nie wie, czym jest sen, jak działa i czemu służy.

Zdawał sobie sprawę z tego, że powinien przestać się bawić w naukowca amatora i pójść do lekarza, ale okazało się, że decyzja o pójściu do lekarza przychodzi mu z niezwykłym trudem. Prawdopodobnie przez to, że nadal miał żal do doktora Litchfielda, który uznał, iż bóle głowy Carolyn to objaw przemęczenia (tylko że tak naprawdę, zdaniem Ralpha, Litchfield, zakamieniały stary kawaler, miał je zapewne za objaw waporów), a kiedy guz został wreszcie rozpoznany, pojawiał

się tak rzadko, jak to tylko możliwe, biorąc pod uwagę wykonywany przez niego zawód. Ralph był także pewien, że gdyby zapytał go o powód, lekarz po prostu powiedziałby, że przekazał pacjentkę specjalistom... jak należało w tej sytuacji, uczciwie. Racja. Tylko że przy tych rzadkich okazjach, kiedy spotykał Litchfielda w czasie między pierwszymi konwulsjami żony w lipcu a jej śmiercią w marcu, patrzył mu głęboko w oczy i widział w nich niepokój zmieszany z poczuciem winy. Były to oczy człowieka rozpaczliwie starającego się zapomnieć, że spieprzył sprawę. Ralph mógł patrzeć na niego bez żądzy mordy tylko dlatego, że doktor Jamal powiedział mu, iż wcześniejsza diagnoza nic by najprawdopodobniej nie dała - nim pojawiły się migreny, guz okopał się już i niewątpliwie wysyłał w organizm

wiązki chorych komórek niczym złowrogie paczuszki jakiejś instytucji dobroczynnej.

W czerwcu doktor Jamal wyjechał i objął praktykę w Connecticut. Ralphowi bardzo go brakowało. Sądził, że z nim potrafiłby porozmawiać o bezsenności, sądził też, że Jamal wysłuchałby go w sposób, w który Litchfield nie chciał - lub nie potrafiłby - go wysłuchać.

Późnym latem Ralph naczytał się już o bezsenności tyle, że wiedział, iż cierpi na tę jej odmianę, która, jakkolwiek nie rzadka, nie występuje jednak tak często, jak zwykle zakłócenie snu płytkiego. Ludzie nie cierpiący na bezsenność pogrążają się na ogół w śnie pierwszym od siedmiu do dwunastu minut po zaśnięciu, innym potrzeba na to i trzech godzin. Kiedy normalnie sen trzeciego stopnia (Ralph odkrył, że stare książki nazywały go czasem snem *theta*) przychodzi po jakichś czterdziestu pięciu minutach, w przypadku zakłóceń tego procesu zdarza się to czasami w godzinę lub dwie później... a w niektóre noce nie zdarza się w ogóle. Dotknięci tą przypadłością ludzie budzą się zmęczeni, czasami pamiętając jakieś oderwane fragmenty nieprzyjemnych marzeń sennych, czasami zaś z błędnym przekonaniem, że nie spali w ogóle.

Po śmierci Carolyn Ralph zaczął budzić się za wcześnie. Na ogół kładł się zaraz po zakończeniu wiadomości o jedenastej, zasypiał niemal natychmiast, ale zamiast budzić się normalnie za pięć siódma, na pięć minut przed sygnałem budzika, zaczął się budzić o szóstej. Na początku kwitował to wzruszeniem ramion, jako konieczność, taką jak życie z nieco powiększoną prostatą i nerkami liczącymi sobie już siedemdziesiąt lat, ale o tej szóstej wcale aż tak bardzo nie chciało mu się siusiu, no

i nie zasypiał, nawet kiedy już siusiu zrobił. Po prostu leżał w łóżku, które przez tyle lat dzielił z Carolyn, czekając na za pięć (no, niech będzie za piętnaście) siódma, kiedy to mógłby już wstać. W końcu przestał próbować wstawać. Po prostu leżał ze smukłymi, lekko spuchniętymi dłońmi złożonymi na piersiach, gapiąc się w sufit oczami wielkimi jak spodki. Czasami myślał o doktorze Jamalu, który siedzi sobie w Westport, mówi z tym swoim miękkim hinduskim akcentem, buduje po kawałku swoje własne amerykańskie marzenie. Czasami myślał o miejscach, które odwiedzili z Carolyn dawno, dawno temu, najczęściej o Sand Beach w Bar Harbor - upalne popołudnie, oboje siedzą przy piknikowym stoliku, on w slipkach, ona w kostiumie kąpielowym, nad nimi wielki jaskrawy parasol, jedzą słodkie, smażone kraby, popijają budweisera z butelek o długich szyjkach, obserwują jachty uwijające się po ciemnobłękitnym oceanie. Kiedy to było? 1964? 1967? Czy ma to jakieś znaczenie? Najprawdopodobniej nie.

I wcześniejsze budzenie się także nie miałooby najmniejszego znaczenia, gdyby zmiany w cyklu sen-jawa zakończyły się na tym etapie. Ralph przyzwyczyiłby się do tej zmiany nie

tylko łatwo, lecz i z wdzięcznością. Każda z książek, które tego lata przeczytał, potwierdzała ludową mądrość, którą słyszał powtarzaną przez całe życie: ludzie w miarę jak się starzeją, śpią coraz mniej. Jeśli godzina na noc ma być jedyną ceną za bycie „zaledwie siedemdziesięcioletkiem”, zapłaci ją z radością, przekonany, że dobrze wyszedł na tym układzie.

Lecz nic się na tym etapie nie zakończyło. W pierwszym tygodniu maja budził go już śpiew ptaków - piętnaście po piątej. Przez kilka nocy używał zatyczek do uszu, z góry wątpiąc w ich skuteczność; nie budził go ani śpiew ptaków, które właśnie powróciły z ciepłych krajów, ani rozlegający się od czasu do czasu strzał z gaźnika przejeżdżającej Harris Avenue ciężarówka. Przez całe życie należał do tego rodzaju śpiochów, których nie była w stanie obudzić nawet maszerująca im pod oknem orkiestra dęta, i zdawało mu się, że to się nie zmieniło. Zmieniło się za to coś w jego głowie. W jego głowie tkwił przełącznik, przełącznik ten ktoś każdego ranka odrobinę przestawiał, a on nie miał zielonego pojęcia, jak temu zapobiec.

W czerwcu budził się już punktualnie o wpół do piątej, najpóźniej za piętnaście piąta. A w połowie lipca - nie tak upalnego jak lipiec 1992 roku, ale niczego mu nie brakowało i pod tym względem, serdeczne dzięki - całkowicie

przytomniał gdzieś około czwartej. To właśnie podczas tych długich upalnych nocy, zbyt mało czerpiąc pociechy z łóżka, w którym kochał się z Carolyn podczas tylu innych upalnych (i chłodnych) nocy, zaczął się zastanawiać, jakim piekłem będzie życie, gdy przestanie spać w ogóle. W świetle dnia nadal uważał coś takiego za absolutnie niemożliwe, ale przyszło mu odkryć upiorną prawdę powiedzenia F. Scotta Fitzgeralda o ciemnych nocach ducha i płynącą z tego naukę: piętnaście po czwartej rano wszystko wydaje się możliwe. Absolutnie wszystko.

Przez ten cały czas był w stanie tłumaczyć sobie, że zmieniają się po prostu jego zwyczaje, że ciało najzupełniej normalnie dostosowuje się do wielkich zmian, które zaszły w jego życiu, emerytury, a przede wszystkim śmierci żony. Czasami, myśląc o tym swoim nowym życiu, używał słowa „samotność”, ale uciekał przed słowem zaczynającym się na „d”, chował je na najniższej półce podświadomości, gdy tylko wyrывało się z niej choćby na chwileczkę. Samotność - w porządku, okej. Z depresją sprawa wygląda zupełnie inaczej.

Może powinienes troszkę poćwiczyć, myślał sobie. Spaceruj może, jak to robiłeś w zeszłym roku. W końcu, na dobrą sprawę, prowadzisz raczej siedzący tryb życia: pobudka, kanapka, książka, telewizja, kolejna kanapka z „Jabluszka” na lunch, odrobina roboty w ogródku, czasami wizyta w bibliotece albo rozmowa z Helen, jeśli akurat wyszła z małą na

spacer, kolacja, posiedzenie na ganku lub wizyta u McGoverna czy Lois Chasse. A potem? Jeszcze trochę lektury, jeszcze trochę telewizji, kąpiel i spać. Siedzący tryb życia. Nuda. Nic dziwnego, że budzisz się przed świtem.

Tylko że była to oczywista bzdura. Istotnie, mogło się wydawać, że prowadzi siedzący tryb życia, ale tak naprawdę jest zupełnie inaczej, a najlepszy dowód to ogródek. Może i nie dostanie za swój ogródek żadnego medalu, ale z pewnością nie tylko się tam opala. Popołudnia przeważnie spędza pieląc, aż na plecach koszuli pojawia się rozgałęziona plama, a pod pachami wielkie koła potu, a kiedy wchodzi do domu, często aż drży ze zmęczenia. Już raczej wymierza sobie karę, niż się opala, tylko... za co miałby się karać? Za budzenie się przed świtem?

Nie miał pojęcia, mniejsza z tym. Praca ta wypełniała mu popołudnie, pozwalała nie myśleć o rzeczach, o których nie chciał myśleć, a to wystarczyło, żeby usprawiedliwić ból mięśni

i pojawiające się niekiedy przed oczami ciemne plątki. Zaczął swoje długie wizyty w ogrodzie zaraz po Czwartym Lipca, pracował ciężko przez cały sierpień, jeszcze długo po zbiorach tego, co dało się zebrać. Reszta plonów schła beznadziejnie pod palącym słońcem.

- Powinieneś dać sobie z tym spokój - powiedział mu pewnego dnia Bili McGovern. Siedzieli na ganku, popijając lemoniadę. Było to w połowie sierpnia, Ralph budził się już regularnie o wpół do czwartej. - To może być niebezpieczne dla zdrowia. Co gorsza, sprawiasz wrażenie obłąkanego.

- Bo może właśnie jestem obłąkany - odparł krótko Ralph i albo w jego głosie, albo w oczach musiało coś być, bo McGovern szybko zmienił temat.

Więc Ralph znów zaczął spacerować. Jego spacerzy oczywiście nie przypominały maratonów z 1992, ale jeśli nie padało, odrabiał na ogół te swoje trzy kilometry. Zazwyczaj schodził ze wzgórza perwersyjnie nazywanego Milowym Podejściem do biblioteki publicznej w Derry, a potem do „Ostatnich Kartek” - skrzyżowania antykwariatu z kioskiem z gazetami, znajdującego się na rogu Witcham i Main Street.

Tuż przy „Ostatnich Kartkach” mieściło się coś w rodzaju śmietnika, sklepik „Pod Przywiędłą Różą. Używane ciuchy”. Pewnego razu, mijając ten sklep w kolejny niespokojny sierpniowy dzień, Ralph dostrzegł w jego oknie nowy plakat, który wisiał wśród starych ogłoszeń o wyprzedazach i nieaktualnych już zebraniach kościelnych i zasłaniał mniej więcej połowę przyżółkłego afisza z napisem „Pat Buchanan na prezydenta!” Na plakacie znajdowało się zdjęcie kobiety, ładnej, trzydziestoparol-, najwyżej czterdziestoletniej blondynki, lecz styl zdjęcia - ponury profil po prawej, ponure en face po lewej, wszystko na

tle nieskalanej bieli - wystarczająco drażnił, by Ralph zatrzymał się jak wryty. Oba wizerunki zrobiono tak, jakby przeznaczone były na list gończy wiszący na poczcie albo pokazywany w telewizji. Napis na plakacie wyraźnie informował, że to nie pomyłka.

Ralph przystanął z powodu zdjęcia, nie ruszył jednak dalej z powodu widniejącego na plakacie napisu.

POSZUKIWANA ZA MORDERSTWO: SUSAN EDWINA

DAY - widniało wypisane wielkimi literami na górze. A pod fotografiami w stylu policyjnej kartoteki: TRZYMAJ SIĘ Z DALA OD NASZEGO MIASTA!

Na samym dole plakatu był również tekst wydrukowany małymi literami. Wzrok Ralpha pogorszył się znacznie od czasu śmierci Carolyn - można nawet powiedzieć, że szlag go trafił - więc musiał się pochylić, aż nos przylgnął mu do brudnej szyby „Pod Przywiedłą Różą”, żeby przeczytać: „Druk opłacony przez towarzystwo »Strzeżcie Życia«, oddział w Maine”.

Jakiś daleki, cichy głos szepnął mu w głowie: „Hej, hej, Susan Day, ile dzieci na sumieniu masz?”

Ralph przypomniał sobie, że Susan Day to aktywistka polityczna z Nowego Jorku lub Waszyngtonu, jedna z tych wygadanych bab, które do szalu doprowadzają taksówkarzy, fryzjerów i robotników budowlanych nie zdejmujących z głowy kasków, nie przypominał sobie jednak, dlaczego przyszły mu do głowy te akurat niezdarnie sklecone słowa; wiązało się to ze wspomnieniem, którego jakoś nie potrafił umiejscowić. Być może w jego zmordowanym umyśle odezwało się jakieś echo piosenki z lat sześćdziesiątych: „Hej, hej LBJ, ile dzieci na sumieniu masz?”

Nie, to nie to, pomyślał. Prawie, ale nie całkiem.

Już, już miał na końcu języka nazwisko Eda Deepneau, oczami wyobraźni już prawie widział jego twarz, kiedy tuż za plecami usłyszał jakiś głos:

- Ziemia do Ralpa, Ziemia do Ralpa, zgłoś się, Ralpie, odbiór.

Wyrwany z zamyślenia, Ralph obrócił się na pięcie. Zdumiało go niepomiarnie, ale także trochę rozbawiło odkrycie, że niemal zasnął na stojąco. Chryste, pomyślał, nikt nawet w przybliżeniu nie zdaje sobie sprawy, jak ważny jest sen, póki nie zacznie mieć z nim kłopotów. A kiedy zacznie, w każdą stronę jest pod górę i nawet przed siebie idzie się zygżakiem.

Zaczepił go Hamilton Davenport, właściciel „Ostatnich Kartek”. Na stojącym przed sklepem bibliotekarskim wózku układał właśnie broszury w jaskrawych okładkach. Stara kukurydziana fajka - Ralpowi zawsze przypominała miniaturowy model parowca - sterczała

mu z kącika ust, śląc kłęby niebieskiego dymu w gorące powietrze. Winston Smith, sędziwy siwy kocur Hamiltona, siedział w otwartych drzwiach z ogonem

owiniętym na łapach. Obojętnie przyglądał się Ralphowi żółtymi ślepiami, jakby chciał powiedzieć: „Myślisz, że wiesz, co to znaczy starość, przyjacielu? Jestem tu, by zaświadczyć, że gównu wiesz o starości!”

- No, no, Ralph - powiedział Davenport. - Ze trzy razy musiałem na ciebie krzyczeć, zanim się odwróciłeś.

- Chyba byłem po prostu zamyślony. - Ralph ominął wózek, podszedł do drzwi antykwariatu (Winston Smith pozostał na miejscu, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi), sięgnął do środka i wziął dwie gazety, które zawsze kupował: bostoński *Globe* i *USA Today*. Miejskowe *News* docierały aż na jego próg dzięki uprzejmości gazeciarza Pete'a. Często powtarzał ludziom, że jedna z tych gazet jest zawsze szaloną parodią dwóch pozostałych, ale nigdy nie potrafił się zdecydować, która których. - I nie...

Przerwał, bo przed oczami pojawiła mu się twarz Eda Deepneau. To z ust Eda usłyszał fragment tej niesmacznej piosenki; było to zeszłego lata, obok lotniska. Trudno się dziwić, że przypomnienie sobie tego faktu zabrało mu trochę czasu, w końcu Ed to ostatni człowiek, po którym można było się czegoś takiego spodziewać.

- Ralphie? - zaniepokoił się Davenport. - Coś ty tak nagle zamilkł?

Ralph nieprzytomnie zamrugnął oczami.

- Och, strasznie cię przepraszam. Miałem właśnie powiedzieć, że ostatnio nie sypiam za dobrze.

- Rany! No, ale są gorsze problemy. Po prostu wypij szklankę ciepłego mleka i przez pół godziny przed pójściem do łóżka słuchaj spokojnej muzyki.

Tego lata Ralph zdążył już odkryć, że każdy Amerykanin zna domowy środek na bezsenność. Taki kawałek domowej magii, przekazywany z pokolenia na pokolenie, jak rodzinna Biblia.

- Bach jest dobry, tak samo Beethoven i William Ackerman może się okazać niezły. Ale prawdziwa sztuka - Davenport znaczącym gestem uniósł w górę palec, podkreślając tym gestem wagę mających paść słów - polega na tym, że przez te pół godziny nie wolno ci wstać z fotela. W żadnym wypadku nie wolno ci wstać z fotela. Nie wolno ci podejść do dzwoniącego telefonu, wypuścić psa do ogrodu, nastawić budzika, zdecydować, że to najlepsza pora na umycie zębów. Siedzisz i nic. A potem idziesz do łóżka i bam! Gaśniesz jak świeca.

- A co, jeśli siedzisz sobie w ulubionym fotelu i, na przykład, musisz iść do toalety? W

moim przypadku taka potrzeba potrafi się pojawić całkiem... nagle.

- Robisz w majtki - odparł bez wahania Davenport i ryknął śmiechem. Ralph też się uśmiechnął, ale z niejakim przymusem. Bezsensowność gwałtownie traciła w jego oczach na śmieszności, jeśli nawet kiedyś miała jakiś wydźwięk komiczny. - W majtki! - chrząknął znowu Ham. Kiwał się w przód i w tył, poklepując bibliotekarski wózek.

Ralph spuścił bezwiednie wzrok na kota, ale Winston Smith odpowiedział mu spojrzeniem, w którym wyraźnie dawało się odczytać słowa: „Tak, oczywiście, to głupiec, ale to mój głupiec”.

- Niezłe, nie? Hamilton Davenport, mistrz ciętej riposty. W majtki! - Davenport parsknął śmiechem, potrząsnął głową, a potem wziął z wyciągniętej ręki Ralpha dwie dolarówki i wsadził je do kieszeni swojego krótkiego czerwonego fartucha, z której to kieszeni wyjął też kilka monet. - Zgadza się?

- Oczywiście. Dzięki, Ham.

- Dobra, dobra. Żarty żartami, a muzyki naprawdę warto spróbować. Działa. Łagodzi fale mózgowe czy coś takiego.

- Spróbuję - obiecał Ralph, diabeł zaś tkwił w tym, że najprawdopodobniej rzeczywiście spróbuje. W końcu wypróbował przecież gorącą wodę z cytryną pani Rappaport i radę Shawny McClure, według której powinno się oddychać w siebie, koncentrując się na słowie „chlód” (choć słowo to brzmiało w jej ustach „chfflóóóóó”). Człowiek, który tracił minuty snu powoli, lecz stale i nieuchronnie, skłonny jest zastosować każdy domowy przepis na ich odzyskanie.

Ralph już miał zamiar odejść, ale zatrzymał się w ostatniej chwili.

- Co to za plakat wywiesili twoi sąsiedzi? - spytał. Ham Davenport skrzywił się.

- Dan Dalton? Nie patrzę w tamtym kierunku, jeśli tylko mogę tego uniknąć. To miejsce psuje mi apetyt. Ma na wystawie coś nowego i obrzydliwego?

- Nowego pewnie tak, bo nie zżółkło jeszcze, jak reszta, i nie zostało dokumentnie obsrane przez muchy. Na zdjęciu jest Susan Day.

- Susan Day na... o, kurka! - Ham zerknął na sklep sąsiada spojrzeniem ponurym i całkowicie pozbawionym humoru.

- Kim jest ta Susan Day? Prezeską Narodowej Organizacji Kobiet? Kimś w tym rodzaju?

- Byłą przewodniczącą i współzałożycielką „Towarzystek Broni”, autorką „Cienia mej matki” i „Lilii w dolinie” - ta ostatnia to studium o katowanych kobietach i o tym, dlaczego tak niewiele z nich wnosi oskarżenie przeciw mężczyznom, którzy je pobili. Dostała

za nią nagrodę Pulitzera. Suzie Day to dziś jedna z trzech czy czterech najbardziej wpływowych kobiet w polityce amerykańskiej, a pisać umie równie dobrze, jak myśleć. Ten dureń wie, że w środku, przy kasie, mam jedną z petycji.

- Jakich petycji?

- Chcemy ściągnąć ją tu na spotkanie - wyjaśnił Davenport. - Wiesz, że ci od prawa do życia w ostatnią gwiazdkę próbowali podpalić Ośrodek Opieki nad Kobietami, nie?

Ralph ostrożnie zajrzał w ciemną jamę, w której żył w końcu 1992 roku, i powiedział:

- No, pamiętam, że na długoterminowym parkingu gliniarze złapali jakiegoś gościa z kanistrem benzyny, ale nie wiedziałem...

- Złapali Charliego Pickeringa. Jest członkiem „Chleba Naszego Powszedniego”, jednej z tych grup od prawa do życia, która robi tam pikietki. Oni go do tego skłonili, możesz mi wierzyć na słowo. W tym roku zrezygnowali z benzyny, chcą skłonić radę do zmiany kwalifikacji gruntów miejskich i w ten sposób zlikwidować ośrodek. I może się im udać. Znasz Derry, Ralph. To nie kolebka liberalizmu.

- Nie. - Ralph zdołał się słabo uśmiechnąć. - A Ośrodek Opieki nad Kobietami to klinika aborcyjna, prawda?

Ham rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie. Gestem głowy wskazał „Pod Przywiedłą Różą”.

- Tak go nazywają tacy durnie jak on, tylko zamiast klinika mówią „fabryka”. Ignorują całą resztę działalności ośrodka. - Ralphowi wydawało się, że Davenport zaczyna mówić jak prezenter telewizyjny, reklamujący damskie majtki, których nie trzeba zdejmować do siusiania podczas popołudniowego filmu. - Prowadzą poradnię rodzinną, przyjmują skargi dotyczące okrucieństwa wobec współmałżonka i dziecka, a przy granicy Newport mają schronisko dla maltretowanych kobiet. Urządzili też poradnię w sprawach gwałtu z dwudziestoczterogodzinnym telefonem zaufania tu, w mieście, w budynku obok szpitala, dla kobiet pobitych lub zgwałconych. Mówiąc

krótko, zajmują się sprawami, które takiego prawdziwego mężczyznę jak Dalton doprowadzają do szewskiej pasji.

- Ale przeprowadzają aborcje, nie? I o to chodzi pikietującym. - Ralph miał wrażenie, że przy niskim, nie rzucającym się w oczy ceglanym budynku ośrodka od lat pełno było zawsze demonstrantów z transparentami. Demonstranci zawsze wydawali mu się zbyt bladzi, zbyt napięci, zbyt chudzi lub zbyt tłuści i zbyt - absolutnie! - pewni, że Bóg jest po ich stronie. Ich transparenty głosiły takie prawdy, jak: NIE NARODZENI TAKŻE MAJĄ PRAWA, ŻYCIE, CÓŻ ZA WSPANIAŁA SZANSA i ten stary banał: ABORCJA JEST

MORDERSTWEM. Często kobiety, które szły do kliniki (stojącej obok schroniska dla bezdomnych, choć, jak wydawało się Ralphowi, nie związanego z nią) opluwano.

- Tak, przeprowadzają aborcje - przyznał Ham. - A co, dla ciebie to problem?

Ralph pomyślał o wszystkich tych latach, które spędzili z Carolyn marząc o dziecku - latach, których owocem było wyłącznie kilka fałszywych alarmów i dość wstrętne poronienie w piątym miesiącu - i wzruszył ramionami. Nagle dzień wydał mu się zanadto gorący, nagle rozboleły go nogi. Myśli o tym, że musi jeszcze wrócić do domu, a zwłaszcza myśl o Milowym Podejściu, tkwiła mu w głowie niczym rybi ościć.

- Chryste, sam nie wiem - powiedział. - Chciałbym tylko, żeby ludzie nie byli tacy... hałaśliwi.

Davenport chrząknął, podszedł do wystawy sąsiada i zerknął na podrobiony list gończy. Kiedy na niego patrzył, wysoki, bardzo blade człowiek z kocią bródką - zdaniem Ralpha stuprocentowe przeciwieństwo prawdziwego mężczyzny - zmaterializował się w drzwiach mrocznego sklepu, niczym wodewilowy potwór nieco zużyty przez czas. Kiedy zorientował się, co tak zainteresowało Davenporta, kąciki ust drgnęły mu w pogardliwym uśmiechu. Ralph pomyślał, że za taki uśmiech płaci się czasami kilkoma zębami lub złamanym nosem. Zwłaszcza w taki duszny, upalny dzień jak dziś.

Davenport wymierzył palec w plakat i gwałtownie potrząsnął głową.

Uśmiech Daltona stał się nagle znacznie wyraźniejszy. Pogardliwy gest obu jego rąk oznaczać mógł tylko: „Gówno mnie obchodzi, co o tym myślisz”. Bez żadnego dodatkowego komentarza Dalton znikł w ciemnym sklepiku.

Davenport wrócił, na policzkach płonęły mu dwie jaskrawoczerwone plamy.

- Zdjęcie tego faceta powinno figurować w encyklopedii obok hasła „kutas” - oznajmił.

Mam wrażenie, że on ma na twój temat identyczne zdanie, pomyślał Ralph, ale oczywiście nie powiedział nic.

Ham Davenport stał obok bibliotekarskiego wózka zaważonego broszurami. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach, przeżywając list gończy rozesłany za

(hej. hej)

Susan Day.

- No tak... - powiedział Ralph. - Chyba powinienem już...

Ham otrząsnął się z ponurego nastroju.

- Nie odchodź - poprosił. - Podpisz petycję, dobrze? To by mi poprawiło nastrój w ten ponury ranek.

Ralph, zakłopotany, przestąpił z nogi na nogę.

- Na ogół nie mieszam się w takie niejasne...

- Daj spokój, Ralph. - Ton głosu Davenporta wzywał do „bądźmy rozsądni”. - Nie ma w tym nic niejasnego, chcemy tylko zyskać pewność, że szaleńcy i kretyni z „Chleba Naszego Powszedniego”, a także polityczni neandertalczyki w rodzaju tego tu Daltona nie zniszczą czegoś bardzo użytecznego: poradni dla nieszczęśliwych kobiet. Przecież nie proszę cię, żebyś podpisał zezwolenie na testowanie broni chemicznej na delfinach.

- No nie. Chyba rzeczywiście nie.

- Mam nadzieję, że do pierwszego sierpnia zgromadzimy dla Susan Day pięć tysięcy podpisów. Prawdopodobnie na nic się to nie przyda. Derry to tylko kilka domów przy drodze, a ona ma pewnie terminy zajęte aż do końca stulecia... ale co szkodzi spróbować?

Ralph był już gotów oznajmić, że jedyną petycją, jaką bardzo pragnąłby podpisać, jest petycja do bogów snu z prośbą, by oddali te trzy godziny nocnego wypoczynku, które ostatnio raczyli mu ukraść, ale spojrzał w twarz Hama i zdecydował się milczeć.

Carolyn podpisałyby tę cholerną petycję, pomyślał. Nie kochała aborcji, ale nie kochała też mężczyzn wracających do domu po zamknięciu barów i mylących żony i dzieci z piłką do futbolu.

Prawda, oczywiście, ale nie byłby to główny motyw. Carolyn podpisałyby petycję, mając nadzieję, że uda się jej zobaczyć

osobę publiczną - taką jak Susan Day - osobiście, z bliska. Zrobiłaby to z prostej ciekawości, chyba najważniejszej cechy jej charakteru, której nie był w stanie zabić nawet guz mózgu. Dwa dni przed śmiercią z książki, którą akurat czytał i zostawił na nocnym stoliku przy łóżku, wyjęła bilet do kina - używał go jako zakładki - bo chciała sprawdzić, jaki film obejrzał. Nawiasem mówiąc był to film „Kilku sprawiedliwych”. Ralpha zaskoczyło, nawet zdumiało, kiedy uświadomił sobie, jak rani go to wspomnienie.

- Jasne - powiedział. - Podpiszę ją z przyjemnością.

- To rozumiem! - Ham klepnął go po ramieniu, a na jego przez chwilę ponurej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Zdaniem Ralpha niewiele jej to pomogło; uśmiech ten był twardy, całkowicie pozbawiony wdzięku. - Wstąp do mojej jaskini grzechu.

Ralph wszedł do pachnącego tytoniem sklepu, który o wpół do dziesiątej rano nie wydawał się miejscem szczególnie grzesznym. Winston Smith uciekł przed nimi, ale zanim zniknął, obrzucił ich spojrzeniem wszechwiedzących żółtych ślepi. „Dureń z niego i z ciebie też dureń”, wydawało się mówić to spojrzenie. Biorąc pod uwagę okoliczności, Ralph nie czuł się na siłach, by próbować podważyć ten werdykt. Po prostu wsadził gazety pod pachę,

pochylił się nad kartką papieru w kratkę leżącą obok kasy i podpisał petycję z prośbą do Susan Day, by przybyła do Derry i wystąpiła w obronie Ośrodka Opieki nad Kobietami.

Pokonanie Milowego Podejścia okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. Skrzyżowanie Witcham i Jackson, mające kształt litery X, pokonał myśląc: No, nie było przecież tak źle, nie...

Nagle zdał sobie sprawę, że w uszach mu dzwoni i że nogi się pod nim uginają. Zatrzymał się po drugiej stronie Witcham, przyłożył dłoń do koszuli na piersiach. Tuż pod skórą czuł serce; biło w tempie tak wściekłym, że aż przerażającym. Usłyszał szelest - to wkładka reklamowa wysunęła się z *Globe* i powolutku spłynęła z wiatrem do rynsztoka. Pochylił się, żeby ją podnieść, i zamarł.

To nie najlepszy pomysł, Ralphie. Jeśli się pochylisz, to prawie na pewno upadniesz. Proponuję, żebyś tę gimnastykę zostawił dozorczy.

- Słusznie, słusznie, doskonale - wyszeptał prostując się. Przed oczami przeleciały mu czarne płatki niczym surrealistyczne stado wron. Przez moment był pewien, że dołączy do wkładki reklamowej niezależnie od tego, co zrobi, bądź zrobienia czego zaniecha.

- Ralph? Ralph, nic ci nie jest?

Bardzo ostrożnie podniósł wzrok i dostrzegł Lois Chasse, mieszkającą po przeciwnej stronie Harris Avenue, jakieś pół przecznicy od domu, który dzielił z Billem McGovernem. Lois siedziała na ławce przed parkiem Strawforda, prawdopodobnie czekając na jadący Canal Avenue do śródmieścia autobus.

- Nie, nic - odparł i zmusił nogi do oderwania się od ziemi. Miał wrażenie, jakby maszerował przez syrop, ale do ławki dotarł chyba we względnie dobrym stylu. Tyle że kiedy siadał obok Lois, nie zdołał powstrzymać westchnienia ulgi.

Lois Chasse miała wielkie ciemne oczy - kiedy był młody, oczy takie nazywano hiszpańskimi - które musiały utkwąć w pamięci niejednego chłopca z jej szkolnych czasów. Nadal służyły jej dobrze, ale nie podobał mu się wyraz strachu, który w nich dostrzegł. Wydawał się... jaki? Nicco zbyt głęboki, jak na sąsiadzką troskę.

- Nie, nic - powtórzyła za nim Lois.

- Pewnie, że nic. - Z tylnej kieszeni spodni wyjął chusteczkę, sprawdził, czy jest czysta, i otarł sobie czoło.

- Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, Ralph, jeśli powiem, że nie wyglądasz mi na „nie, nic”.

Ralph wziął jej za złe tę uwagę, ale nie wiedział, jak ująć urazę w słowa.

- Jesteś błądliwy, pocisz się i zaśmiecasz nasze miasto. Spojrzał na nią zdumiony.

- Coś ci wypadło z gazety. Chyba wkładka reklamowa.

- Naprawdę?

- Przecież doskonale wiesz, że naprawdę. Wybacz mi na chwilkę.

Wstała, zrobiła parę kroków, pochyliła się (Ralph zauważył, że choć biodra ma dość szerokie, jej nogi nadal sprawiają wrażenie doprawdy świetnych, jak na sześćdziesięcioośmioletnią kobietę), podniosła wkładkę. Wróciła i wręczyła mu ją uroczyście.

- No i już nie zaśmiecasz miasta - stwierdziła. Uśmiechnął się, mimo że nie miał zamiaru się uśmiechać.

- Dziękuję.

- Nie ma o czym mówić. Przyda mi się kupon na kawę Maxwella, a także na hamburgera i dietetyczną colę. Po śmierci pana Chasse zrobiłam się taka gruba.

- Wcale nie jesteś gruba, Lois.

- Dziękuję ci, Ralph, stuprocentowy z ciebie dżentelmen, ale proszę, nie zmieniaj tematu. Zasłabłeś, prawda? Omal nie straciłeś przytomności.

- Po prostu musiałem złapać oddech - powiedział sztywno i odwrócił wzrok. W parku odbywał się mecz baseballu, dzieciaki latały jak szalone, śmiejąc się, potrącając, faulując. Zazdrościł im wydajności ich systemów wymiany powietrza.

- Łapałeś oddech, co?

- Tak.

- Tylko łapałeś oddech?

- Lois, zaczynasz przypominać zaciętą płytę.

- Zacięta płyta ma ci coś do powiedzenia, wiesz? Jesteś szaleńcem, wspinając się Milowym Podejściem w tym upale. Jeśli już chcesz spacerować, to czemu nie po Extension, jak w zeszłym roku?

- Ponieważ przypomina mi to Carolyn - powiedział. Nie podobało mu się sztywne, niemal nieuprzejme brzmienie własnych słów, ale nie był w stanie nic na to poradzić.

- O, cholera! - Lois lekko dotknęła jego dłoni. - Przepraszam.

- Nic się nie stało.

- Owszem, stało się. Powinam sama się domyślić. Ale to, jak wyglądasz... to także się stało. Nie masz już dwudziestu lat, Ralph. Nie masz nawet czterdziestu. Wyglądasz świetnie, nie da się ukryć, że wyglądasz doskonale jak na faceta w tym wieku, ale powinieneś bardziej się o siebie troszczyć. Carolyn chciałaby, żebyś bardziej się o siebie troszczył.

- Oczywiście, ale naprawdę nic...

...mi nie jest - miał zamiar skończyć, ale podniósł wzrok znad dłoni, spojrzał jej w

oczy i to, co w nich dostrzegł, sprawiło, że na chwilę zaniemówił. W jej oczach było zmęczenie i smutek... a może i samotność? Może przede wszystkim samotność? W każdym razie nie tylko to w nich dostrzegł. Dostrzegł w nich także siebie.

Jesteś głupi - mówiły oczy wpatrzone w jego oczy. A może oboje jesteśmy głupi. Masz siedemdziesiąt lat i jesteś wdowcem, Ralph. Ja mam sześćdziesiąt osiem lat i jestem wdową. Jak długo jeszcze będziemy siadywać na ganku waszego domu

z Billem McGovernem jako najstarszą przyzwoitką świata? Mam nadzieję, że nie za długo, bowiem żadne z nas nie należy do najmodniejszych i najnowszych modeli.

- Ralph? - Lois raptem się zaniepokoiła. - Ralph, wszystko w porządku?

- Tak - odparł, opuszczając wzrok na dłonie. - Tak, oczywiście.

- Przez moment miałeś taki wyraz twarzy, że... nie wiem. Ralph zaczął podejrzewać, że upał wraz z marszem w górę

Milowego Podejścia może rzeczywiście zaszkodził mu na głowę. Przecież rozmawia z Lois, którą McGovern nazywał zawsze (unosząc przy tym kpiąco lewą brew) „tą naszą Lois”. Tak, oczywiście, Lois wygląda nieźle - zgrabne nogi, ładne piersi i te wspaniałe oczy - i może rzeczywiście nie miałby nic przeciw temu, żeby wziąć ją do łóżka, i może ona też nie miałaby nic przeciwko temu, ale co potem? Jeśli przypadkiem zobaczy bilet do kina włożony w książkę jako zakładka, czy wyjmie go, tak zaciekawiona tym, na jakim był filmie, by nie myśleć, że będzie musiał od nowa szukać właściwej strony?

Miał wrażenie, że chyba nie. Lois ma piękne oczy i nie raz i nie dwa zaglądał jej za dekolt, kiedy we trójkę siedzieli na ganku, umilając sobie upalny wieczór mrożoną herbatą, ale miał wrażenie, że lekkomyślność może wpędzić w kłopoty nawet siedemdziesięciolatka. Starość nie jest żadnym usprawiedliwieniem dla lekkomyślności.

Wstał świadom, że Lois obserwuje go uważnie, i bardzo starając się nie zachwiać.

- Dzięki, że tak się o mnie troszczysz - powiedział. - Może miałabyś ochotę odprowadzić staruszkę do domu?

- Oczywiście, ale tak się składa, że jadę do śródmieścia. W „Kółku Krawieckim” mają prześliczną różową wełnę, zastanawiam się nad afganskim kocem. Posiedzę tu sobie i czekając na autobus porozkoszuję się kuponami.

Ralph uśmiechnął się szeroko.

- Baw się dobrze - powiedział. Popatrzył na dzieciaki grające w baseball. Na jego oczach chłopak z upiornie długą rudą czupryną rzucił się do trzeciej bazy, wjechał do niej na brzuchu... i z całej siły wyrzucił głowę w ochraniacze na nogach basemana. Ralph aż się skrzywił, słysząc już w wyobraźni wycie syren, widząc karetki z błyskającymi niebieskimi

światełkami... lecz rudzielec ze śmiechem zerwał się na równe nogi.

- Pudło, ty głupi wole! - krzyknął.

- A właśnie że nie - odparł gwałtownie baseman, lecz zaraz również wybuchnął gromkim śmiechem.

- Żałujesz, że nie jesteś już w tym wieku? - spytała Lois. Ralph przemyślał to sobie dokładnie.

- Czasami - powiedział w końcu. - Ale głównie wydaje mi się to zbyt... trudne. Wpadnij dziś do nas, Lois, dotrzyмай nam towarzystwa.

- Może i wpadnę - odparła, Ralph zaś poszedł Harris Avenue, czując na sobie ciężar spojrzenia jej jakże pięknych oczu i bardzo starając się nie garbić. Udało mu się chyba całkiem nieźle, choć musiał się przy tym ciężko napracować. W życiu nie czuł się jeszcze tak zmęczony.

Rozdział 2

Ralph umówił sobie wizytę u doktora Utchfielda niespełna godzinę po rozmowie, którą przeprowadził z Lois na parkowej ławeczce. Recepcjonistka o seksownym głosie oznajmiła mu, że doktor przyjmie go w najbliższy wtorek o dziesiątej, „Jeśli to panu odpowiada”. Ralph odparł, że owszem, odpowiada, po czym odłożył słuchawkę, poszedł do dużego pokoju, usiadł w fotelu, z którego miał widok na Harris Avenue, i myślał o tym, jak doktor Litchfield z początku leczył guz mózgu jego żony środkami przeciwbólowymi i broszurkami wyjaśniającymi, jak stosować różne techniki relaksacyjne. Następnie przypomniał sobie wyraz oczu doktora, gdy badanie rezonansem magnetycznym potwierdziło wyrok wydany przez tomograf... pełen winy, pełen niepokoju.

Z „Jabłuszka” po przeciwnej stronie ulicy wyszła grupka dzieciaków uzbrojonych w lody i batoniki. Patrząc, jak wsiadają na rowery, jak nikną w głębi jaskrawego upalnego południa, snuł dalej myśli, które zawsze przywoływało wspomnienie oczu doktora Litchfielda - myśli o tym, że wspomnienie jego oczu jest najprawdopodobniej wspomnieniem fałszywym.

Sprawa polega na tym, przyjacielu, że chciałeś, by Litchfield sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi... a jeszcze bardziej chciałeś, by sprawiał wrażenie winnego.

Bardzo prawdopodobne. Bardzo prawdopodobne, że Litchfield to po prostu wspaniały gość i cholernie dobry lekarz, ale pół godziny później Ralph ponownie zadzwonił do jego gabinetu. Recepcjonistce o seksownym głosie oznajmił, że właśnie zajrzał do kalendarzyka i że wtorek o dziesiątej wcale mu aż

tak bardzo nie odpowiada. Umówił się na wtorek z ortopedą i całkiem o tym zapomniał.

- Pamięć nie służy mi już tak jak niegdyś - dodał. Recepcjonistka zaproponowała mu ten sam wtorek o drugiej. Ralph powiedział, że jeszcze zadzwoni.

Kłamca, kłamca, tchórz i kłamca - powtarzał sobie w myśli, odwieszając słuchawkę, wracając na fotel i siadając na nim powoli. Skończyłeś z nim, prawda?

Najprawdopodobniej rzeczywiście skończył. Nie sądził, by Litchfield miał zamiar zamartwić się z tego powodu na śmierć; jeśli w ogóle myślał o Ralphie, był on dla niego najprawdopodobniej starym piernikiem, pierdzącym mu w twarz podczas badań prostaty.

Doskonale, więc co masz zamiar zrobić z bezsennością?

- Pół godziny przed snem spędzać w fotelu, słuchając muzyki klasycznej - powiedział głośno. - I kupić sobie pieluchę dla dorosłych, żeby nie musieć chodzić w tym czasie do toalety.

Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu roześmiał się na myśl o tej szczególnej kuracji. W tym śmiechu była nutka hysterii, która niezbyt mu się podobała - w gruncie rzeczy nawet mocno go wystraszyła - ale mimo to upłynęło trochę czasu, nim zdołał się opanować.

Mimo wszystko był przekonany, że wypróbuje radę Hamiltona Davenporta, choć oszczędzi sobie pomysłu z pieluchą, serdeczne dzięki. W końcu wypróbował większość sposobów ludowej medycyny, które podrzucili mu usłudźni i niewątpliwie serdeczni przyjaciele. To z kolei przypomniało mu pierwszą z ich zastosowanych w praktyce recept. Na myśl o tym uśmiechnął się znowu.

Był to pomysł Billa McGoverna. Pewnego wieczora, kiedy Ralph wracał z „Jabłuszka” z paczką makaronu i sosem do spaghetti, Bili siedział na ganku. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na sąsiada z góry, by ze współczuciem cmoknąć językiem i pokręcić głową.

- Co to ma znaczyć? - zainteresował się Ralph siadając obok niego. Kilka domów dalej dziewczynka w dzinsach i o wiele za dużym białym podkoszulku skakała na skakance, podśpiewując w mroku nadchodzącego wieczora.

- Ma to znaczyć, że wyglądasz kiepsko, gorzej i jeszcze gorzej - odparł McGovern. Kciukiem odsunął z czoła panamę i przyjrzał się sąsiadowi dokładniej. - Nadal nie sypiasz?

- Nadal nie sypiam - zgodził się z nim Ralph, Przez kilka sekund McGovern siedział, nic nie mówiąc, a kiedy wreszcie przemówił, jego głos przypominał głos proroka wygłaszającego najważniejszą - wręcz ostateczną - prawdę.

- Musisz spróbować whisky.

- Chyba się przesłyszałem?

- Musisz spróbować whisky na bezsenność, Ralph. Nie chodzi mi o to, żebyś się w niej kąpał, nie ma potrzeby. Po prostu zmieszaj łyżeczkę miodu i pół szklaneczki whisky i wypij to piętnaście, dwadzieścia minut przed pójściem do łóżka.

- Myślisz, że pomoże? - spytał z nadzieją Ralph.

- Mogę tylko powiedzieć, że pomogło mnie, a koło czterdziestki miałem bardzo poważne kłopoty ze snem. Kiedy teraz patrzę w przeszłość, sądzę, że przechodziłem po prostu kryzys wieku średniego: pół roku bezsenności i rok depresji z powodu łysiny.

Wprawdzie książki, z których czerpał całą swą wiedzę, wszystkie bez wyjątku ostrzegały, że alkohol nie jest lekarstwem na bezsenność, że w rzeczywistości często zaostrza problem, ale Ralph mimo wszystko wypróbował tę radę. W zasadzie prawie nie pił, więc

zamiast pół szklaneczki zastosował najpierw ćwierć, lecz po tygodniu, podczas którego nie stwierdził poprawy, pił już szklaneczkę, a potem nawet dwie. Pewnego ranka obudził się dwadzieścia dwie po czwartej z nieprzyjemnym, ostrym bólem głowy i przeraźliwie gorzkim smakiem w ustach i stwierdził, że znów - po piętnastu latach - ma kaca.

- Życie jest za krótkie na takie gówno - oznajmił pustemu mieszkaniu i tak skończył się jego wielki eksperyment z whisky.

No, dobra, pomyślał Ralph obserwując cienki strumyczek klientów korzystających późnym rankiem z usług „Jabluszka”. Sytuacja wygląda tak: McGovern twierdzi, że wyglądasz gównianie, dziś rano niemal zemdlałeś u stóp Lois Chasse i właśnie odwołałeś wizytę u starego, dobrego, przyjaznego lekarza domowego. Co teraz? Niech się dzieje co chce? Akceptujesz sytuację i niech się dzieje co chce?

Idea ta miała w sobie pewien orientalny urok: los, karma, tego rodzaju rzeczy, ale sam urok nie wystarczy mu do przeżycia długich, porannych godzin. Z książek Ralph wiedział, że świat pełen był i jest ludzi radzących sobie doskonale przy trzech, czterech godzinach snu na dobę. Stanowią zdecydowaną mniejszość, ale istnieli, istnieją i mają się dobrze.

Na nieszczęście Ralph Roberts nie należy do ich grona.

Nie zależało mu szczególnie na wyglądzie; wiedział, że jego czasy jako idola nastolatek odeszły w przeszłość. Samopoczucie jednak to inna para kaloszy, a poza tym nie była to już wyłącznie kwestia typu „nie czuję się dobrze”. Tak naprawdę czuł się po prostu fatalnie, bezsenność zaważyła na całym jego życiu, tak jak zapach czosnku smażonego na piątym piętrze zaważy w końcu na atmosferze całego wieżowca. Świat stawał się stopniowo coraz mniej kolorowy, coraz bardziej upodabniał się do szarej, niewyraźnej gazetowej fotografii. Proste decyzje: podgrzać mrożony obiad czy też kupić sobie w „Jabluszku” kanapkę i zjeść ją na terenie piknikowym przy pasie startowym nr 3, zaczynały go powoli paraliżować. W ciągu kilku ostatnich tygodni coraz częściej wracał z wypożyczalni Dave’a z pustymi rękami - nie żeby Dave nie miał nic wartego obejrzenia, wręcz przeciwnie, było tego zbyt wiele i sam już nie wiedział, czy chce filmu z Brudnym Harrym, którejś z komedii Billa Crystala czy też może paru starych odcinków „Star Trek”. Kilka takich nieudanych wypraw sprawiło, że w końcu wbił się w swój stary fotel, niemal płacząc z rozczarowania... i chyba również ze strachu.

Powolna erozja zmysłów oraz zdolności podejmowania decyzji nie były jego jedynymi problemami, najwyraźniej wiążącymi się z bezsennością. Zaczęła mu szwankować także pamięć krótkoterminowa. Od czasu gdy przeszedł na emeryturę - swoją karierę zawodową zakończył jako główny księgowy i kierownik drukarni - Ralph chodził do kina co

najmniej raz, a częściej dwa razy w tygodniu. Aż do zeszłego roku, do chwili kiedy była już tak ciężko chora, że wyjścia „na miasto” przestały jej sprawiać jakąkolwiek przyjemność, zabierał ze sobą Carolyn. Po jej śmierci chodził do kina sam; raz i drugi poszła z nim Helen Deepneau, pozostawiając z dzieckiem Eda twierdzącego, że kino przyprawia go o ból głowy. Tak często dzwonił do automatycznej informacji sprawdzić godziny seansów, że znał numer na pamięć, ale kiedy przeszło lato, okazało się, że coraz częściej i częściej zagląda do książki telefonicznej. Nie był całkiem pewien, czy ostatnie cztery cyfry to 1317, czy może 1713.

- Tysiąc siedemset trzynaście, jestem pewien - powiedział głośno. Ale czy rzeczywiście był pewien? Na sto procent?

Dzwoń do Litchfielda, Ralph. Przestań kalkulować straty i na odmianną zrób coś konstruktywnego. A jeśli rzygasz Litchfieldem, weź sobie innego lekarza. W książce telefonicznej znajdziesz ich bez liku.

Tak, najprawdopodobniej to święta prawda, ale siedemdziesiątka to nieco za późno, by szukać sobie nowego konowała metodą „entliczek pętliczek”. A nie ma zamiaru dzwonić do Litchfielda. Koniec, kropka.

Dobra, i co dalej, ty uparty koźle? Kilka kolejnych recept medycyny ludowej? Miejmy nadzieję, że nie, bo przy tym tempie w przyszłym tygodniu będziesz sobie ważył mikstury z oka jaszczurki i języka żaby.

I nagle w głowie pojawiła mu się odpowiedź, jak powiew chłodnego wiatru w upalny dzień... wręcz absurdalnie prosta odpowiedź. Lektury, którym tyle czasu poświęcił tego lata, miały za cel raczej zrozumienie zjawiska niż znalezienie lekarstwa. Jeśli chodzi o lekarstwa, polegał niemal wyłącznie na przepisach domowych - przykładem whisky z miodem - mimo iż wiedział z książek, że ich skuteczność jest w praktyce zerowa. I choć książki udzielały dobrych rad, do tej pory wypróbował tylko najprostszą i najoczywistszą z tych rad: kłaść się do łóżka wcześniej. Nic mu to wprawdzie nie pomogło - po prostu leżał, czuwając, do mniej więcej wpół do dwunastej, zasypiał i budził się coraz wcześniej - ale ciągle pomoc mogło co innego.

W każdym razie warto spróbować.

Zamiast spędzić popołudnie na zwykłym ogródkowym szaleństwie, Ralph poszedł do biblioteki poszperać w książkach, które już raz przejrzał. Ich autorzy najwyraźniej zgadzali się, że jeśli chodzenie do łóżka wcześniej nie pomaga, pomoc może chodzenie do łóżka później. Ralph wrócił do domu (ze względu na swą najnowszą przygodę autobusem) w nastroju ostrożnie optymistycznym. Być może znalazł lekarstwo, a jeśli go nie znalazł, zawsze może wrócić do Bacha, Beethovena i Williama Ackermana.

Pierwsza próba tej nowej techniki, którą jeden z podręczników nazywał „snem opóźnionym”, miała raczej komiczny przebieg. Ralph obudził się o zwykłej dla siebie godzinie (za piętnaście czwarta według cyfrowego zegarka stojącego na półce) z obolałymi ramionami i szyją, nie mając w pierwszej chwili pojęcia, jakim cudem znalazł się w fotelu przy oknie i dlaczego włączony telewizor transmituje śnieg oraz cichy, ciągły szum niczym szum uderzających o brzeg fal oceanu. Dopiero kiedy pozwolił głowie się wyprostować (palcami podparł przy tym zeszywniałą szyję), pojął, co się właściwie stało. Miał zamiar pooglądać sobie telewizję co najmniej do trzeciej, a nawet czwartej, a potem pójść do łóżka i zasnąć snem sprawiedliwego. W każdym razie tak to sobie zaplanował. Lecz zamiast zrealizować plan „Upiór Bezsensowności z Harris Avenue”, przy pierwszych słowach monologu Jaya Lena zasnął jak dziecko, które marzy o tym, by nie przespać nocy i sprawdzić, Jak to jest”. Jego przygoda skończyła się, oczywiście, w tym cholernym fotelu o zwykłej godzinie. Joe Friday powiedziałby zapewne, że problem pozostał ten sam, zmieniła się tylko lokalizacja.

Mimo wszystko Ralph położył się do łóżka, piastując beznadziejną nadzieję na sen, spać mu się jednak odechciało. Po mniej więcej godzinie wrócił na fotel. Pod obolały kark podłożył poduszkę, na twarzy zaś miał żalospny uśmiech.

4

W drugiej próbie, którą podjął następnej nocy, nie było już nic śmiesznego. Senność poczuł o zwykłej godzinie, mniej więcej dwadzieścia po jedenastej, dokładnie podczas prognozy pogody Pete’a Cheraeya. Tym razem walczył z nią skutecznie, wytrzymał do końca „Whoopi” (choć niemal zasnął podczas rozmowy Whoopi z Roseanne Arnold, jej gościem) i cały pokazywany później film - stary kawałek, w którym Audie Murphy właściwie samodzielnie wygrywa wojnę na Pacyfiku. Czasami Ralph miał nieodparte wrażenie, że lokalne stacje telewizyjne kierują się niepisanym, lecz żelaznym prawem: w wyświetlanych późną nocą filmach może grać wyłącznie Audie Murphy albo James Brolin.

Kiedy już ostatni japoński bunkier wyleciał w powietrze, Kanał 2 zaprzestał nadawania. Ralph popstrykał pilotem, szukając innego filmu, lecz znajdował wyłącznie śnieg. Prawdopodobnie mógłby oglądać filmy całą noc, gdyby miał telewizję kablową, jak Bili albo Lois. Pamiętał nawet, jak umieścił jej założenie na liście spraw do załatwienia w nowym roku. Po śmierci Carolyn telewizja kablowa nie wydawała mu się już jednak taka ważna.

Znalazł egzemplarz *Sports Illustrated* i zagłębił się w artykule o kobiecym tenisie, który pominął przy pierwszej lekturze. W miarę jak zbliżała się trzecia rano, coraz częściej zerkał na zegarek. Był już prawie pewien sukcesu. Powieki miał

ciężkie, jakby oklejone betonem, i choć czytał ten artykuł o tenisie bardzo uważnie, słowo po słowie, nie miał zielonego pojęcia, jaką tezę zamierza udowodnić autor. Kolejne zdania wpadały mu do głowy i wypadały, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu, niczym jakieś promienie kosmiczne.

Dziś w nocy będę spał, naprawdę spał. Po raz pierwszy od miesiący słońce będzie musiało wstać bez mojej pomocy i - sąsiedzi i przyjaciele - nie mówcie, że to jest „fajne”, bo jest to wspaniałe!

Wkrótce po trzeciej owa przyjemna senność zaczęła jednak ustępować. Nie znikła jak wystrzelony z butelki szampana korek, raczej wyciekła jak piasek przez gęste sito, jak woda z częściowo zatkanego zlewu. Kiedy sobie uświadomił, co się dzieje, poczuł nie panikę, lecz głębokie rozczarowanie. Rozczarowanie takie nauczył się już rozpoznawać jako antytezę nadziei i kiedy pociągając nogami w pantoflach, piętnaście po trzeciej szedł do sypialni, pogrążony był w depresji tak głębokiej, jakiej nie zaznał chyba jeszcze nigdy, a w każdym razie z pewnością nie pamiętał, żeby zaznał. Miał wrażenie, że się w niej topi.

- Boże, błagam, daj mi choć minutkę - szepnął gasząc światło, mocno jednak podejrzewał, że jego modlitwa nie zostanie wysłuchana.

I nie została. Choć w tym momencie był już na nogach dwadzieścia cztery godziny, za piętnaście czwarta znikły ostatnie ślady senności. Ralph był zmęczony, tak, zmęczony bardziej

i głębiej niż kiedykolwiek w życiu - ale, jak zdążył odkryć już wcześniej, między zmęczeniem i sennością istnieje różnica, czasami wręcz fundamentalna. Sen, przyjaciel każdego człowieka, wielki lekarz ludzkości od samego jej zarania, znów go opuścił.

O czwartej Ralph zniechęcił się do łóżka, jak zawsze, kiedy nie mógł zrobić z niego dobrego użytku. Spuścił nogi na ziemię, drapiąc się po niemal całkowicie już siwych włosach wyglądających spod nie dopiętej góry piżamy. Włożył kapcie i poczłapał z powrotem do dużego pokoju. Padł na fotel z widokiem na Harris Avenue, która rozpościerała się przed nim jak scena, a jedyny na niej aktor nie był nawet człowiekiem. Bezpański pies szedł w stronę parku Strawforda i Milowego Podejścia. Prawą tylną łapę podwinął pod siebie jak mógł najwyżej, na pozostałych trzech kuśtykał zaś z pewną wprawą.

- Cześć, Rosalie! - szepnął Ralph, przecierając dłonią oczy.

Był czwartkowy poranek, a w czwartek wywożono śmiecie z domów przy Harris Avenue, nie zdziwił go więc widok Rosalie, która od mniej więcej roku to znikła, to pojawiała się w sąsiedztwie. Rosalie parła przed siebie niespiesznie, badając rzędy i skupiska pojemników z wyczuciem bywalca pchlich targów, polującego na naprawę wyjątkową

okazję. Kulała dziś bardziej niż zwykle i wyglądała na równie zmęczoną jak on sam, ale właśnie znalazła na oko przywoity gnat i odeszła, trzymając go w pysku. Ralph patrzył za nią, póki nie znikła mu z oczu, a potem po prostu siedział z dłońmi złożonymi na kolanach, wpatrując się w milczący nieruchomy świat za oknem. Pomarańczowe, jaskrawe lampy sprawiały, że Harris Avenue jeszcze bardziej przypominała scenę, opuszczoną po wieczornym przedstawieniu przez aktorów, którzy gremialnie wrócili do domów; świeciły i ginęły w surrealistycznej perspektywie z narkotycznego snu.

Ralph Roberts siedział w fotelu, w którym spędził ostatnio tyle wczesnoporannych godzin, czekając, aż światło i ruch tchnie życie w martwą naturę za oknem. I wreszcie się doczekał. Na scenie pojawił się pierwszy aktor człowiek, gazeciarz Pete na swojej wyścigówce, rzucający zrolowane gazety na ganki i trafiający na ogół celnie. Ralph przyglądał mu się przez chwilę, a potem westchnął głęboko niczym z dna najgłębszej przepaści i wstał zrobić sobie herbatę.

- Nie pamiętam horoskopu, który wróżyłby mi coś takiego - stwierdził markotnie, nalewając do czajnika wody.

Ten długi czwartkowy ranek i jeszcze dłuższe czwartkowe popołudnie były dla Ralpha Roberta trudną lekcją pogładową. Pojął, że nie powinien lekceważyć tych trzech czy czterech

godzin snu tylko dlatego, że całe życie wierzył głęboko, lecz mylnie, iż ma prawo do sześciu lub nawet siedmiu. Jeśli nic się nie zmieni, w perspektywie czekają go miesiące takiego samopoczucia. Do diabła, czeka go pewnie wyłącznie takie samopoczucie! W nadziei na drzemkę poszedł do łóżka o dziesiątej i znowu o pierwszej - pomogłoby mu, gdyby choć zmrużył oko, a pół godziny snu byłoby błogosławieństwem - ale nie zdołał nawet zmrużyć oka. Był rozpaczliwie zmęczony, a jednak ani odrobinę śpiący.

Około trzeciej zdecydował się na zupkę Liptona z proszku. Nalał świeżej wody do czajnika, postawił go na kuchence, a potem otworzył szafkę nad blatem, gdzie trzymał keczup i majonez, przyprawy i torebeczki z jedzeniem, używanym chyba przez astronautów i starców - z proszkami, do których wystarczy dolać gorącej wody.

Przez jakiś czas przesuwiał bezmyślnie puszki i buteleczki, a potem przestał i tylko gapił się w szafkę jakby w nadziei, że torebki zupy za sprawą czarów pojawią się w miejscu dla nich przeznaczonym. Nie pojawiły się, więc znów zaczął przesuwac opakowania. Tym razem ustawił wszystko jak było, po czym znów zamarł, gapiąc się na swe dzieło z wyrazem bezradnego zagubienia na twarzy. Wyraz ten, z czego dzięki Bogu Ralph nie zdawał sobie sprawy, od pewnego czasu stał się na jego twarzy niemal stałym gościem.

Kiedy ryknął czajnik, odstawił go na jeden z tylnych palników i powrócił do kontemplacji szafki. Powoli, bardzo powoli, ale jednak w końcu doszedł do wniosku, że ostatnią torebkę zupy w proszku musiał wypić wczoraj albo przedwczoraj, choć pod groźbą śmierci nie potrafiłby sobie przypomnieć tego faktu.

- Trudno się dziwić - wyznał paczkom i butelkom w otwartej szafce. - Jestem taki zmęczony, że nie pamiętam nawet, jak się nazywam.

- Pamiętasz, pamiętasz! - powiedział do siebie. Jesteś Leon Redbone, więc czego się straszysz?

Nie był to dowcip doskonały, a jednak na wargach osiadł mu cień uśmiechu lekki jak piórko. Uczesał się w łazience i zszedł na dół. Audie Murphy udaje się na terytorium przeciwnika w celu zdobycia zapasów żywności, pomyślał. Cel podstawowy: pudełko rosółu z kury z ryżem, produkt Liptona. W wypadku gdyby osiągnięcie celu podstawowego okazało się niemożliwe, obowiązuje cel zastępczy: rosół wołowy z makaronem. Wiem, że misja ta jest ryzykowna, ale...

- Najskuteczniej działam sam - powiedział głośno, wychodząc na ganek.

Koło domu przechodziła akurat stara pani Perrine. Stara pani Perrine obrzuciła go ostrym spojrzeniem, ale nie powiedziała nic. Ralph odczekał, aż stara pani Perrine oddali się nieco - nie czuł się na siłach prowadzić inteligentną konwersację z kimkolwiek, a już zwłaszcza ze starą panią Perrine, która, w wieku lat osiemdziesięciu dwóch, z pewnością zdolna była udoskonalić musztrę wojskową w bazie na Parris Island. Póki nie odeszła na odległość, którą uznał za bezpieczną, udawał, że studiuje chlorophytum zwisające z parapetu ganku, a potem przekroczył Harris Avenue i poszedł w kierunku „Jabłuszka”.

Tam dopiero zaczęły się prawdziwe problemy.

Wszedł do niewielkiego, typowego osiedlowego sklepu, nie przestając dumać nad spektakularną klęską eksperymentu ze „snem opóźnionym” i zastanawiając się, czy przypadkiem rady z mądrych książek, które czytał w bibliotece, nie są wyłącznie luksusową wersją podwórkowej medycyny, którą z takim zapalem wciskali w niego przyjaciele. Nie była to myśl przyjemna, ale miał wrażenie, że umysł (lub siła działająca poniżej poziomu umysłu, odpowiedzialna za torturę, którą właśnie przechodził) wysłała mu jeszcze inną i znacznie mniej przyjemną wiadomość brzmiącą mniej więcej tak: „Jeszcze ciągle śpisz, Ralph. Nie tak długo jak niegdyś i chyba z tygodnia na tydzień krócej, ale lepiej dziękuj bogom za to, co dostajesz, bo krótki czas i tak jest lepszy niż żaden. Nareszcie to zrozumiałeś, prawda?”

- Zrozumiałem - wybełkotał zmiernie zmierzając przejściem w kierunku jaskrawych pudeł zjedzeniem w proszku. - Doskonale to zrozumiałem.

Sue, stojąca przy kasie sprzedawczyni na popołudniowym dyżurze, roześmiała się perliście.

- Musisz mieć mnóstwo pieniędzy w banku, Ralph - powiedziała.

- Przepraszam, nie zrozumiałem. - Ralph nie obrócił się, badał zawartość kolorowych pudeł. Cebulowa, fasolowa, rosół wołowy z makaronem... gdzie, do diabła, jest rosół z kury z ryżem?

- Mama zawsze mi powtarzała, że ludzie, którzy mówią do siebie... O MÓJ BOŻE!

Przez chwilę Ralph miał wrażenie, że Sue wygłosiła po prostu prawdę nieco zbyt skomplikowaną jak na możliwości jego zmordowanego umysłu, coś o ludziach, którzy mówiąc do siebie odkrywają Boga, a potem usłyszał jej krzyk. Kucnął właśnie, sprawdzając zawartość pudełek na najniższej półce. Krzyk poderwał go na nogi tak błyskawicznie, że trzasnęły mu kolana. Rzucił się w kierunku wejścia do sklepu, uderzając łokciem w górną półkę z zupami i strącając z niej kilka czerwonych pudełek.

- Sue? Co się stało?

Sue nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Patrzyła na drzwi, zaciśniętą w pięść dłoń podniosła do ust, piwne oczy miała wielkie, zszokowane.

- Boże, ile krwi! - wyjąkała zdławionym głosem. Ralph obrócił się jeszcze trochę, strącił na podłogę jeszcze

kilka kartonów z zupkami w proszku i wreszcie wyjrzał na dwór przez brudne okno sklepu. To, co zobaczył, sparaliżowało go. Sieknął; potrzebował kilku sekund, by uświadomić sobie, że pobita, zakrwawiona kobieta, która zbliżała się do sklepu chwiejnym krokiem, to Helen Deepneau. Zawsze uważał ją za najładniejszą dziewczynę po zachodniej stronie miasta, lecz dziś Helen bynajmniej nie była śliczna. Jedno oko prawie całkiem zakryła jej opuchlizna, rozcięcie na lewej skroni wkrótce zamknie z pewnością świeży guz, spuchnięte usta i policzki pokryte miała świeżą krwią. Szła przez maleńki parking ku drzwiom „Jabluszka”, zataczając się jak pijana. Wydawało się, że jej funkcjonujące jeszcze oko nic nie widzi, że tylko bezmyślnie gapi się w przestrzeń.

Wyglądać przerażająco, ale o wiele bardziej przerażający był sposób, w jaki trzymała Natalie. Wystraszone, krzyczące dziecko posadziła niedbale na biodrze. Kilka, może kilkanaście lat temu, w ten sposób - byle jak oparte o biodro - nosiła zapewne książki do szkoły.

- Boże, upuści dzieciaka! - wrzasnęła Sue, lecz choć była z dziesięć kroków bliżej drzwi niż Ralph, nawet się nie poruszyła, stała tylko jak wrośnięta w ziemię, zasłaniając usta pięścią i wytrzeszczając oczy.

Z Ralpha opadło nagle zmęczenie. Pędem pobiegł ku drzwiom, szarpnął je, otworzył i wybiegł na zewnątrz. Zdażył złapać Helen za ramię, akurat gdy odbiła się biodrem (chwała

Bogu nie tym, na którym trzymała Natalie) od lodówki z lodami, zachwiała i bezwolnie ruszyła w innym, tak samo przypadkowym kierunku.

- Helen! - krzyknął. - Jezu, Helen, co się stało!?

- Ho? - spytała Helen martwym, bezmyślnie zdziwionym głosem, zupełnie innym niż głos energicznej, wesołej dziewczyny, która czasami chodziła z nim do kina i wzdychała do Mela Gibsona. Zwróciła przy tym na niego swe zdrowe oko, w którym dostrzegł to samo bezmyślnie zdziwienie, co w głosie: zdziwienie świadczące, że nie wie, kim jest, nie mówiąc już

o tym, gdzie jest, co się z nią stało i kiedy. - Ho? Rai? Czo? Dziecko obsunęło się jej z biodra. Ralph wyciągnął rękę

i zdołał złapać małą, która krzyczała rozpaczliwie, machała rączkami i patrzyła na niego wielkimi ciemnoniebieskimi oczami, za szeleczkę spodenek. Drugą rękę wsunął jej między nóżki niemal dokładnie w chwili, w której szelka puściła. Przez moment wrzeszcząca rozpaczliwie Nat balansowała mu na dłoni niczym gimnastyczka na równoważni, przez cienkie spodenki-ogrodniczki czuł mokrą pieluchę, zdażył jednak podłożyć jej wolną rękę pod plecki i w końcu, już bezpieczną, mocno przytulił do piersi. Serce biło mu mocno i choć Natalie nic już nie mogło się stać, oczami wyobraźni widział, jak osuwa się i jak z obrzydliwym traskiem uderza pokrytą gęstymi jasnymi włosami główką w zaśmiecony beton parkingu przed sklepem.

- Ho? Czo? Rai? - spytała Helen, dostrzegła Natalie w jego ramionach i jej jedyne zdrowe oko spojrzało na świat nieco przytomniej. Wyciągnęła dłonie do córeczki. Przytulona do Ralpha dziewczynka powtórzyła jej gest, wyciągając ku matce tłuste łapki. W tej samej chwili Helen zatoczyła się, uderzyła bokiem w ścianę sklepu, zrobiła krok wstecz, potknęła się o własne nogi (na jej małych białych trampkach dostrzegł krew; zdumiewające, jakie jaskrawe zrobiły się nagle kolory, świat, przynajmniej na jakiś czas, przestał być taki mdło szary) i byłaby upadła, gdyby Sue nie wybrała tej akurat chwili, by opuścić wreszcie bezpieczne miejsce przy kasie. Helen znalazła oparcie w otwierających się drzwiach i zamarla przytulona do nich jak pijak do latarni.

- Rai? - Wprawdzie patrzyła na świat nieco przytomniej, w jej oczach Ralph dostrzegł jednak nie tyle zdumienie, co niedowierzanie. Głęboko zaczerpnęła tchu i z wysiłkiem spróbowała wypowiedzieć spuchniętymi ustami kilka zrozumiałych słów. - Da. Da mi dzic.dzi. Da... Natili!

- Jeszcze nie, Helen. Nie stoisz jeszcze na nogach dość pewnie.

Sue nadal podparła drzwi od wewnątrz i tylko dzięki temu Helen jeszcze się nie przewróciła. Była trupio blada, w oczach miała łzy.

- Wyjdź - rozkazał sprzedawczyni Ralph. - Wyjdź i podeprzyj ją!

- Nie potrafię! - wybełkotała Sue. - Ona jest cała za... za... zakrwawiona!

- Przestań, na litość boską, przecież to Helen! Helen Deepneau z naszej ulicy!

I choć dziewczyna musiała dobrze o tym wiedzieć, fakt, że imię Helen wypowiedziane zostało głośno, najwyraźniej załatwił sprawę. Sue prześlizgnęła się przez półotwarte drzwi, a kiedy Helen znów się zatoczyła, objęła ręką jej plecy i mocno ją podparła. Na twarzy Helen Deepneau nadal królował wyraz tępego niedowierzania, Ralphowi coraz trudniej było na nią patrzeć - robiło mu się niedobrze.

- Ralph, co się stało? Miała wypadek?

Obrócił się i dostrzegł stojącego na skraju parkingu Billa McGoverna w jednej z tych jego czyściutkich niebieskich koszul (na rękawach widać było nawet ślady po żelazku). Zdumiewająco delikatną i smukłą dłonią Bili osłaniał sobie oczy przed słońcem. Wyglądał dziwnie, niemal jakby był nagi, ale Ralph nie miał czasu zastanawiać się dlaczego. Zbyt wiele się akurat działo.

- To nie był wypadek - powiedział. - Została pobita. Chodź, weźmiesz małą.

Podał mu Natalie. Bili najpierw cofnął się, a potem wziął dziecko. Nat natychmiast znów się rozwrzeszczała. McGovern zachowywał się, jakby ktoś podał mu przepehioną papierową torebkę lotniczą, trzymał dziecko w wyciągniętych rękach; nóżki maleństwa dosłownie wisały w powietrzu.

Na parkingu zaczął się gromadzić tłumek, głównie chłopców w baseballowych kostiumach, którzy wracali z meczu, z boiska za rogiem. Dzieciaki patrzyły w spuchniętą, zakrwawioną twarz Helen z niezdrową ciekawością. Ralphowi przypomniawszy się opowieść o Noem, który się upił - dobrzy synowie odwrócili wzrok od nagiego ojca leżącego w swym namiocie, zły syn spojrzął na niego i...

Łagodnym gestem podtrzymał Helen, uwalniając rękę Sue. Helen spojrzała na niego jednym okiem, jego imię wypowiedziała

już silniejszym, czystszy głoŝem. Brzmiała w nim taka wdzięcznoŝć, że zachciało mu się płakać.

- Sue, weź małą. Bili nie ma zielonego pojęcia, jak się obchodzić z dzieckiem.

Dziewczyna łagodnie, pewnie, przytuliła Nat do piersi. McGovern uŝmiechnął się do niej z wdzięcznoŝcią i Ralph nagle uŝwiadomił sobie, co go tak zaskoczyło w jego wyglądie.

Bili nie miał na głowie panamy, która (przynajmniej w lecie) była równie nieodłączną jego częścią jak znamię między oczami.

- Hej, proszę pana, co się stało? - spytał jeden z chłopców w stroju basebaUisty.

- Nie twoja sprawa.

- Wygląda, jakby przeżyła kilka rund z Riddickiem Bowe'em.

- Nie, z Tysonem-powiedział inny chłopak i (nieprawdopodobne!) żartowi temu towarzyszył wybuch głośnego śmiechu.

- Wynoście się! - wrzasnął na nich Ralph, nagle strasznie rozwścieczony. - Zajmijcie się swoimi sprawami! Nie wtykajcie nosa w cudze!

Chłopcy cofnęli się o kilka kroków, ale żaden nie odszedł. Patrzyli na krew, a nie była to bynajmniej krew na ekranie.

- Helen, zdołasz przejść kilka kroków?

- Taa... spróóó... buję.

Ostrożnie wprowadził ją przez otwarte drzwi do wnętrza sklepu. Helen szła powoli, szurając nogami jak stara kobieta. Jej ciało każdym porem wydzielalo kwaśny zapach potu i zużytej adrenaliny. Ralph poczuł, jak żołądek znów mu się przewraca. Ale nie z powodu tego zapachu, raczej z wysiłku, który wkładał w uświadomienie sobie, że ma do czynienia z tą samą pełną wdzięku i seksu kobietą, z którą rozmawiał wczoraj, kiedy pracowała w ogródku.

Nagle coś mu się przypomniało. Wczoraj Helen miała na sobie niebieskie króciutkie szorty. Zauważył sińce na jej nogach - jeden, żółty, wysoko na lewym udzie i drugi, świeższy i ciemniejszy, na prawej łydce.

Zaprowadził ją za kasę. Ta odrobina wolnego miejsca spełniała tu rolę biura. Spojrzał w górę, we wklęsłe lustro, umieszczone tam z myślą o obserwacji potencjalnych złodziei, i dostrzegł, jak McGovern elegancko przepuszcza przed sobą Sue.

- Zamknijcie drzwi - powiedział przez ramię.

- Jezus, Ralph, nie powinnam... - zaniepokoiła się Sue.

- Tylko na kilka minut. Proszę.

- No... dobrze, chyba to nic złego.

Sadzając Helen na plastikowym krzeselku za biurkiem zarzuconym papierami, Ralph usłyszał trzask zamka. Podniósł słuchawkę telefonu i przycisnął klawisz oznaczony liczbą 911. Nim jednak policyjny telefon zdołał zareagować, wyciągnęła się zakrwawiona dłoń i przerwała połączenie.

- Rai? Czo...? - Helen przełknęła z wyraźnym wysiłkiem i spróbowała jeszcze raz. - Ralph. Nie.

- Tak. Powinniśmy ich zawiadomić.

W jej zdrowym oku dostrzegł strach - po wcześniejszym, tępych spojrzeniu nie pozostał już nawet ślad.

- Nie. Proszę, Ralph, nie. - Spojrzała mu przez ramię i znów wyciągnęła rękę. Ralph aż skrzywił się ze wstydu na widok pokornej prośby na jej zmaltretowanej twarzy.

- Chce dziecka - odpowiedziała Sue.

- Wiem. Możesz jej dać małą.

Sue podała Natalie matce. Ralph patrzył, jak dziewczynka - nieco ponad roczna, był tego prawie całkiem pewien - obejmuje mamę za szyję i chowa główkę na jej piersi. Helen pocałowała ją we włoski. Najwyraźniej sprawiło jej to ból, ale pocałowała ją jeszcze raz. I jeszcze. Patrząc na nią z góry, Ralph widział krew w delikatnych fałdach jej szyi, jak brud, i na ten widok ogarnęła go jeszcze większa wściekłość.

- To Ed, prawda? - spytał.

Nie miał żadnych wątpliwości - nikt nie przerywa połączenia z policją, jeśli został pobity przez kogoś zupełnie obcego - ale spytać musiał.

- Tak - odparła Helen szeptem, jakby powierzała jakiś sekret chmurze delikatnych jasnych włosków swej malutkiej córeczki. - Tak, Ed. Ale nie wolno ci dzwonić na policję. - Podniosła na Ralpa wzrok; spojrzenie pełne było żalosego strachu. - Proszę, nie dzwoń na policję, Ralph. Nie zniosłabym myśli, że ojciec Natalie znalazł się w więzieniu z powodu... z powodu...

I nagle wybuchnęła płaczem. Natalie spojrzała na matkę, wytrzeszczając oczka w komicznym zdumieniu, po czym natychmiast do niej dołączyła.

- Ralph? - spytał z wahaniem McGovern. - Chcesz, żebym przyniósł dla niej jakiś środek przeciwbólowy albo coś?

- Lepiej nie. Nie wiemy, co się jej stało, jak poważnie może być... ranna. - Ralph spojrzał w okno wystawowe. Nie chciał patrzeć na to, co się za nim działo, miał nadzieję, że nic nie zobaczy, a jednak zobaczył tłum zaciekawionych twarzy, ginących dopiero w miejscu, gdzie lodówka z piwem zasłaniała widok. Niektórzy przyciskali nawet do twarzy złożone dłonie, by lepiej widzieć, co się dzieje w środku.

- No i co, panowie? Co powinniśmy zrobić? - spytała Sue. Wpatrywała się w gapiów, skubiąc nerwowo rąbek firmowego fartucha, który obowiązkowo nosić musieli wszyscy pracownicy „Jabłuszka”. - Jeśli się rozejdzie, że zamknęłam sklep, kiedy powinien być otwarty, mogę stracić pracę.

- Proszę, Ralph - Helen pociągnęła go za rękaw. Z jej spuchniętych ust wydobyły się

dźwięki przypominające raczej: „Posze, Raf”. - Nie dzwoń... nigdzie.

Ralph spojrział na nią niepewnie. W życiu widział wiele w różnym stopniu posiniaczonych kobiet. Kilka z nich (ale niewiele, musiał uczciwie przyznać) pobitych było nawet ciężiej niż Helen. Nie zawsze wydawało mu się to aż tak ponure. Jego umysł (i system wartości) wykształcił się w czasach, kiedy powszechnie uważano, że to, co dzieje się między kobietą i mężczyzną za zamkniętymi drzwiami małżeństwa, to wyłącznie ich sprawa. Dotyczyło to zarówno mężczyzn tnących żony pasem, jak i żony tnące mężczyzn językiem. Nie sposób zmusić ludzi, by zachowywali się inaczej, niż się zachowują, a wtrącanie się w ich sprawy - nawet w najlepszych intencjach - aż nazbyt często zmienia przyjaciół we wrogów.

Lecz zaraz pomyślał o tym, jak Helen niosła córeczkę, kiedy szła zataczając się po parkingu: niedbale, na biodrze, jak książkę. Gdyby ją upuściła, wtedy lub wcześniej, na Harris Avenue, pewnie by tego nawet nie zauważyła. Zdaniem Ralpha tylko instynkt kazał jej w ogóle zabrać dziecko ze sobą. Nie chciała zostawić Nat samej z mężczyzną, który pobił ją do tego stopnia, że na świat patrzyła jednym okiem, a zamiast mówić jak człowiek, bełkotała niewyraźnie.

Pomyślał jeszcze o czymś, a wiązało się to ze śmiercią Carolyn zaraz po Nowym Roku. Zdumiała go głębia własnego żalu - w końcu nie była to śmierć nagła i sądził, że okres żałoby przeżył jeszcze za życia żony - a jednak nie był w stanie zatroszczyć się o wszystko to, o co trzeba było się zatroszczyć. Zdołał zadzwonić do domu pogrzebowego „Brooking-Smith”, ale to Helen wzięła formularz nekrologu z miejscowych *News*

i pomogła mu go wypełnić, to Helen pomogła mu wybrać trumnę (McGovern, nienawidzący śmierci i wszystkiego, co się z nią wiąże, jakoś znikł nagle z horyzontu), Helen pomogła mu wybrać wieniec z napisem: „Ukochanej Żonie”. I to oczywiście Helen przygotowała niewielkie przyjęcie po pogrzebie, zamówiła kanapki we „Frank’s Catering”, piwo i soki w „Jabluszk”. Zrobiła dla niego wszystko, czego nie był w stanie zrobić sam. Czy nie ciąży teraz na nim obowiązek spłacenia tego długu? Nawet jeśli Helen nie jest w tej chwili w stanie pojąć, że to co robi, robi dla jej dobra?

- Bili? - spytał. - Co o tym sądzisz?

Mc Govern spojrział najpierw na niego, a potem na Helen, siedzącą na poobijanym plastikowym czerwonym krzeselku z posiniaczoną twarzą ukrytą w dłoniach. Wyjął chusteczkę, nerwowo otarł usta.

- Nie wiem - powiedział. - Bardzo lubię Helen i chciałbym postąpić właściwie, przecież wiesz, ale coś takiego... kto wie, co tu jest właściwe?

Nagle Ralph przypomniał sobie także, co powtarzała Carolyn, kiedy wściekał się i

jojczał, że czegoś zrobić nie chce, że nie ma zamiaru, że nie ma ochoty. „Daleka jest droga do raję, więc nie przejmuj się drobiazgami”. Więc kiedy znów sięgnął po telefon, odepchnął dłoń, która się ku niemu wyciągnęła.

- Tu Departament Policji Miasta Derry - poinformował go głos z taśmy. - Nagle przypadku numer jeden. Policja, numer dwa. Informacja, numer trzy.

Ralph pojął nagle, że potrzebuje i jedynki, i dwójki, i trójki. Przez moment wahał się, a potem nacisnął dwójkę. Telefon zabrzczał i odezwał się kobiecy głos.

- Tu policja dziewięćset jedenaście. Czym mogę służyć? Wziął głęboki oddech.

- Mówi Ralph Roberts - powiedział. - Jestem w sklepie „Jabłuszko” na Harris Avenue wraz z sąsiadką z ulicy. Nazywa się Helen Deepneau. Została poważnie pobita. - Delikatnie dotknął dłonią jej policzka, Helen przytuliła głowę do jego boku. Przez cienką koszulę czuł, jak bardzo rozpaloną ma twarz. - Proszę, przyjedźcie jak najszybciej.

Odłożył słuchawkę i przykucnął obok Helen. Natalie zagłakala radośnie i wyciągnęła rączkę, by przyjaźnie złapać go za nos. Uśmiechnął się, ucałował malutkie paluszki, a potem spojrzal jej matce wprost w oczy.

- Przepraszam cię - powiedział - ale musiałem to zrobić. Po prostu nie mogłem nie zadzwonić. Rozumiesz, prawda? Nie mogłem nie zadzwonić.

- Ja już nic nie rozumiem - odparła Helen. Nos przestał jej krwawić, ale kiedy chciała otrzeć zaschniętą krew i dotknęła go palcem, skrzywiła się z bólu.

- Helen, dlaczego on to zrobił? Dlaczego Ed cię tak pobił? - Ralph zorientował się nagle, że oczami wyobraźni patrzy na siniaki, które dostrzegł na jej ciele przy innych okazjach - być może dałoby się nawet ułożyć z nich jakiś wzór? Do tej pory w ogóle nic nie podejrzewał. Z powodu śmierci Carolyn i bezsenności, która zaczęła go dręczyć wkrótce potem. W każdym razie nie wierzył, że ma do czynienia z pierwszym przypadkiem pobicia Helen przez Eda. Zapewne z najbardziej drastycznym, ale z pewnością nie pierwszym. Rozumiał to w jakiś abstrakcyjny sposób, widział logikę zdarzeń, ale nadal nie potrafił sobie wyobrazić Eda, który podnosi rękę na żonę. Pamiętał jego wesoły uśmiech, bystry wzrok, gesty towarzyszące każdemu kolejnemu monologowi... nie potrafił tylko wyobrazić sobie tych żywo gestykulujących dłoni katujących Helen...

Nagle przed oczami pojawił mu się obraz Eda, który idzie sztywnym krokiem w stronę kierowcy tego niebieskiego pikapa - chyba forda rangera - i uderza otwartą dłonią w jego szczękę buldoga. Wspomnienie to było jak otwarcie szafki Fibbera McGee w tym starym słuchowisku radiowym, tylko że zamiast stosu śmieci i żelastwa wypadły z niej żywe, jaskrawe obrazy tego, co stało się w lipcu zeszłego roku. Burza nad lotniskiem. Ramię Eda

wyłaniające się z otwartego okna datsuna. Macha, jakby w ten sposób mógł pogonić bramę. Chusta z wymalowanymi na niej chińskimi ideogramami.

Hej, hej, Susan Day, ile dzieci na sumieniu masz?-pomyślał Ralph, tylko że słowa te wyśpiewał głos Eda i Ralph wiedział, co powie mu Helen, zanim otworzyła usta.

- To takie głupie - powiedziała. - Uderzył mnie, bo podpisałam petycję. Tylko to. Krąży po całym mieście. Ktoś podsunął mi ją pod nos przedwczoraj, akurat kiedy wchodziłam do sklepu. Mówili, że to dla dobra tego Ośrodka Opieki nad Kobietami, i to wydało mi się w porządku, a poza tym mała była rozdrażniona, więc po prostu...

- Po prostu ją podpisałaś - dokończył cicho Ralph. Helen skinęła głową i znów się rozpląkała.

- Co to za petycja? - spytał McGovern.

- Chcą zaprosić do Derry Susan Day, feministkę, która...

- Wiem, kim jest Susan Day - odparł wyraźnie zirytowany Bili.

- W każdym razie jest grupa, która chciałaby, żeby wystąpiła ona u nas w obronie Ośrodka Opieki nad Kobietami.

- Ed wrócił dziś do domu we wspaniałym humorze - mówiła przez łzy Helen. - Jak prawie zawsze w czwartek, bo w czwartki musi być w pracy tylko do południa. Mówił, jak to spędzi popołudnie nad książką, udając, że czyta, ale naprawdę wpatrując się w spryskiwacz na trawniku i... wiesz, jaki on jest...

- Wiem-przytaknął Ralph wspominając, jak to Ed wsadził rękę do jednej z beczek Grubego, i ten jego...

*(widzisz, nie tak łatwo mnie oszukać)...*cwany uśmiezek.

- Wysłałam go po odżywki dla małej... - Helen mówiła coraz głośniejszym, niespokojnym, wręcz przestraszonym głosem. - Nie wiedziałam, że się zirytuje... Prawdę mówiąc całkiem zapomniałam o tej idiotycznej petycji... nadal właściwie nie wiem, dlaczego się tak zdenerwowała... ale... kiedy wrócił do domu... - Przytuliła Natalie, drżała.

- Ciii, Helen. Uspokój się, wszystko będzie dobrze.

- Nic nie będzie dobrze! - Podniosła na niego wzrok, łzy płynęły jej ze zdrowego oka, sączyły się także spod zamkniętej, spuchniętej powieki. - Nie będzie! Dlaczego tym razem nie przestał? Co będzie ze mną, z dzieckiem? Dokąd pójdziemy? Nie mam pieniędzy, oprócz tych, które są na wspólnym rachunku bankowym... nie mam pracy... Och, Ralph, dlaczego zadzwoniłeś na policję? Nie... nie powinienes... - Uderzyła go po ramieniu małą, słabą piąstką.

- Doskonale sobie ze wszystkim poradzisz. Masz tu, w okolicy, mnóstwo przyjaciół. -

Lecz Ralph zaledwie słyszał własne słowa, a jej słabego ciosu nie odczuł wcale. Gniew pulsował mu w piersi i w skroniach jak tętno drugiego serca.

Nie: „Dlaczego nie przestał?”, lecz: „Dlaczego nie przestał tym razem?” Tym razem.

- Helen, gdzie jest teraz Ed?

- Chyba w domu - odparła tępo.

Ralph poklepał ją po ramieniu, a potem obrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- A ty gdzie się wybierasz? - McGovern wydawał się w najwyższym stopniu zaniepokojony.

- Zamknij za mną drzwi, Sue - polecił Ralph.

- Jezu, nie wiem, czy mi wolno. - Sue z powątpiewaniem przyjrzała się stojącym za brudnym oknem gapiom. Było ich więcej.

- Wolno - zapewnił ją i nagle przechylił głowę. Usłyszał ciche wycie zbliżających się syren. - Słyszysz?

- Tak, ale...

- Policja ci powie, co masz robić. Szef też się na ciebie nie wścieknie, prawdopodobnie dostaniesz medal za to, że postąpiłaś tak mądrze.

- Jeśli tak, to podzielę się z tobą premią - obiecała sprzedawczyni. Spojrzała na Helen i na jej policzki wrócił rumieniec, na razie jednak bardzo słaby. - Jezu, Ralph, on naprawdę pobił ją tak strasznie, bo podpisała jakiś głupi świstek pod supermarketem?

- Raczej tak. - Rozmowa ta wydawała się Ralphowi doskonale sensowna, ale toczyła się jakby bardzo daleko. Gniew był bliższy; miał wrażenie, że zaciska mu na szyi swe rozpalone dłonie. Żałował, że nie ma czterdziestu, niechby nawet pięćdziesięciu lat; zapłaciłby wtedy Edowi jego własną monetą! Może spróbuje i tak?

Otwierał już drzwi, kiedy Bili McGovern złapał go za ramię.

- I co masz zamiar teraz zrobić? - spytał.

- Zobaczyć się z Edem.

- Chyba kpisz! Jak mu wleziesz w oczy, rozerwie cię na strzępy. Nie widziałeś, co zrobił jej?

- A jak myślisz? - Ralph właściwie nie warknął, ale w jego głosie było tyle wściekłości, że Bili puścił go natychmiast.

- Masz siedem cholernych krzyżyków na karku, Ralph. Zapomniałeś? Helen potrzebuje przyjaciela, a nie poharatanego dziadka, którego będzie mogła odwiedzać w sąsiednim pokoju w szpitalu!

McGovern miał oczywiście rację, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Ralpha.

Prawdopodobnie bezsenność też miała coś wspólnego z jego postępowaniem, podsyciała gniew, niszczyła zdrowy rozsądek, ale było mu wszystko jedno. Gniew przyniósł nawet swego rodzaju ulgę. Z całą pewnością lepiej żyć w gniewie niż w świecie składającym się wyłącznie z szarości.

- Jeśli pobije mnie poważnie, dostanę demerol i prześpię
wreszcie całą noc - powiedział. - A teraz odczep się ode mnie, dobrze?

Wyszedł i rażnym krokiem ruszył przez parking przed sklepem. Radiowóz policyjny, migający niebieskim światłem, był już blisko. W powietrzu krzyżowały się pytania: „Co się stało? Czy z nią wszystko w porządku?”, lecz Ralph nie odpowiedział na żadne. Przystanął na chodniku, przepuścił skręcający na parking radiowóz, a potem przeszedł na drugą stronę ulicy tym samym rażnym krokiem. Zaniepokojony Bili McGovern włókł się za nim w bezpiecznej odległości.

Rozdział 3

Ed i Helen Deepneau mieszkali cztery parcele od domu, który dzielili Ralph i Bili McGovern, w małym domku w stylu Cape Cod, czekoladowobrązowym z białym wykończeniem. Starsze panie mówią o takich domkach „urocze”. Carolyn lubiła powtarzać, że należą do kościoła „Yuppich Dnia Ostatniego”, choć ogromna sympatia, jaką ich darzyła, obdarła to twierdzenie z całej jego złośliwości. Oboje byli umiarkowanymi wegetarianami jedzącymi nabiał i ryby, oboje podczas ostatnich wyborów pracowali społecznie dla Clintona, a stojący na ich podjeździe samochód - już nie datsun, lecz jeden z tych nowych minivanów - miał na zderzakach ponaklejane nalepki w stylu: „Dziel dobro, nie atom” i „Futra odzież zwierząt, nie ludzi”. Nie wyrzucili też zapewne żadnej płyty z tych, które kupili w latach sześćdziesiątych - Carolyn uznała tę ich cechę za jedną z najsympatyczniejszych - i teraz, gdy Ralph zbliżał się do ich domu z opuszczonymi ramionami i dłońmi zaciśniętymi w pięści, słyszał Grace Slick śpiewającą jeden z owych starych hymnów San Francisco:

Jest pigułka, która cię powiększy, Jest pigułka, która zmniejszy cię, A ta, którą masz od mamy, Nic a nic ci nie da, Spytaj Alicji, gdy trzy metry ma!

Muzyka dobiegała z wielkiego przenośnego radiomagnetofonu, który stał na ganku rozmiaru znaczka pocztowego. Na

trawniku kręcił się syczący cicho zraszacz. Rozpylona w powietrzu woda tworzyła przelotne tęczę i osiadała wilgocią na ścieżce. Nagi do pasa Ed Deepneau siedział na składanym krzeselku z nogą założoną na nogę i wpatrywał się w niebo z zadumaną miną człowieka, który próbuje zdecydować, czy przepływająca mu nad głową chmura przypomina bardziej konia, czy może jednorożca. Jedną bosą stopą postukiwał w ziemię w rytm muzyki. Książka na jego kolanach doskonale pasowała do muzyki: „Nawet pasterki czują blusa” Toma Robbinsa.

Wspaniały pod każdym względem, sielski obrazek, ilustracja uroków małomiasteczkowego życia. Norman Rockwell mógłby go namalować i zatytułować: „Wolne popołudnie”. Tylko że musiałby przeoczyć krew na kostkach palców Eda i na lewym szkłe jego okrągłych okularów w stylu Johna Lennona.

- Na litość boską, Ralph, tylko nie próbuj się z nim bić - syknął McGovern, gdy Ralph zszedł z chodnika i ruszył przez trawnik. Strumienia zimnej wody ze zraszacza niemal nie

poczuł.

Ed odwrócił się, dostrzegł go i powitał promiennym uśmiechem.

-■ Cześć, Ralph! - krzyknął. - Miło cię widzieć, przyjacielu!

Oczami wyobraźni Ralph widział samego siebie, jak wyciąga spod Eda krzesło, widział, jak Ed pada na bok, na trawę, widział, jak oczy rozszerzają mu się ze zdumienia za okrągłymi okularkami. Wizja ta była tak rzeczywista, że widział nawet odbicie słońca w szkłe jego zegarka, kiedy Ed próbował wstać.

- Bierz piwo i znajdź sobie coś do siedzenia - mówił właśnie Ed. - Może masz ochotę na partyjkę szachów...

- Piwo? Partyjka szachów? Jezu Chryste, Ed, co się z tobą dzieje?

Ed nie od razu odpowiedział, spojrzał tylko na niego wzrokiem zarazem przerażającym i irytującym. Spojrzenie miał rozbawione i nieco zawstydzone, wydawało się, że zaraz powie:, Jezu, kochanie, czyżbym znowu zapomniał wyrzucić śmieci?"

Ralph wymierzył palec w ulicę, za McGoverna, stojącego (ukryłby się niewątpliwie, gdyby było się gdzie tu ukryć) za granicą mokrej plamy, którą zraszcz pozostawił na ścieżce. Do pierwszego radiowozu dołączył drugi, z ich otwartych okien dolatywały nawet słabe trzaski rozmów radiowych. Tłum rozrósł się zdecydowanie.

- Policja jest tu z powodu Helen! - Powtarzał sobie, że nie wolno mu podnieść głosu, że krzykiem niczego nie zwojuje, a jednak krzyczał. - Przyjechali, bo pobiłeś żonę! Czy coś z tego do ciebie dociera?

- Och! - wykrztusił Ed, pocierając sobie policzek żalonym gestem. - To!

- Tak, to. - Ralph był już prawie nieprzytomny z wściekłości.

Ed spojrzał przez jego ramię na policyjne radiowozy, na stojący przed „Jabłuszkiem” tłum... i dostrzegł McGoverna.

- Bili! - krzyknął. McGovern aż cofnął się o krok. Ed albo tego nie zauważył, albo udał, że nie zauważa. - Cześć, przyjacielu. Znajdź sobie coś do siedzenia. Chcesz piwa?

I wtedy to Ralph nabrał całkowitej, stuprocentowej pewności, że uderzy Eda Deepneau, że stłucze mu te jego kretyńskie okrągłe okularki, może nawet wbije mu odłamek szkła w oko. Miał zamiar go uderzyć, żadna siła by go przed tym nie powstrzymała, ale w ostatniej chwili jakiejś sile jednak się to udało. Ostatnio najczęściej przemawiał mu w głowie głos Carolyn - to znaczy jeśli akurat nie gadał sam do siebie - lecz ten głos nie należał do Carolyn, ale, choć mogło się to wydawać absolutnie nieprawdopodobne, do Triggera Vachona, którego widział raz, może dwa razy od tego dnia, kiedy to Trigger uratował go przed burzą i kiedy Carolyn miała pierwszy atak.

„Ajaj, Ralph”, powiedział głos Triggera. „Mówię ci, bądź cholernie ostrożny. Ten tu jest szalony jak marcowy zajac. Może nawet chce, żebyś go uderzył?”

Tak, uświadomił sobie Ralph. Może Ed właśnie tego chce. Dlaczego? Kto wie? Może dlatego, by zamącić trochę czystą wodę, może tylko dlatego, że jest szalony?

- Skończ z tymi bzdurami - powiedział więc tylko cicho, niemal szeptem, i z satysfakcją stwierdził, że uwaga Eda doprawdy błyskawicznie znów skupiła się na nim. Jeszcze większą satysfakcję sprawiło mu to, że sympatyczny uśmiech spelzł mu z twarzy, zastąpiony wyrazem nagłej czujności. Tak, zdaniem Ralpha, wyglądać mogłoby groźne zwierzę wietrzące niebezpieczeństwo.

Przykucnął, by móc spojrzeć mu w twarz.

- Chodziło ci o Susan Day? - spytał tym samym cichym głosem. - Susan Day i kwestię aborcji? O martwe dzieci? Z tego powodu wyżyłeś się na Helen?

Po głowie chodziło mu jeszcze jedno pytanie - Kim ty właściwie jesteś, Ed? - ale nim zdążył je zadać, Ed wyciągnął dłoń, położył mu ją płasko na piersi i pchnął. Ralph upadł tyłem na mokrą trawę, podparł się na łokciu i zamarł. Leżał tak, ze stopami płasko na ziemi i nogami zgiętymi w kolanach, patrząc, jak Ed błyskawicznie podrywa się ze składanego krzeselka.

- Ralph, on nie żartuje - wrzasnął McGovern, który stał w miejscu względnie bezpiecznym, czyli na chodniku.

Ralph nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Po prostu leżał, jak padł, podparty na łokciach, wpatrzony w Eda. Nadal był zły, nadal się bał, ale gniew i strach ustępowały powoli miejsca dziwnej, chłodnej fascynacji. Patrzył na szaleńca - autentycznego, niefałszowanego szaleńca. Nie na superprzestępcę z komiksu, nie na Normana Batesa, nie na kapitana Ahaba, lecz na Eda Deepneau pracującego na wybrzeżu, w Hawking Labs. Staruszkowie grający w szachy na terenie piknikowym przy Extension nazwaliby go pewnie jajogłowym, ale i uznaliby też, że w gruncie rzeczy, jak na demokratę, sympatyczny z niego gość. Teraz ów sympatyczny gość dostał autentycznego kuku na muniu i nie zdarzyło się to wcale dziś po południu, kiedy zobaczył swoje nazwisko pod petycją wiszącą na tablicy w supermarkecie. Dopiero teraz Ralph zrozumiał, że szaleństwo Eda Deepneau ma co najmniej rok, i to mu się kazało zastanowić, jakie to sekrety kryła Helen za zasłoną pogodnej miny i wesołego śmiechu i jakie drobne, rozpaczliwe sygnały - oprócz siniaków - udało mu się przeoczyć.

Przecież jest jeszcze Natalie, pomyślał. Co ona widziała? Czego doświadczyła? Oczywiście oprócz podróży przez parking na biodrze zataczającej się, krwawiącej matki.

Na jego skórze pojawiła się gęsia skórka.

Tymczasem Ed zaczął chodzić tam i z powrotem, raz za razem przekraczając ścieżkę, deptając cynie, które posadziła przy niej Helen. Wyglądał teraz jak człowiek, którego Ralph spotkał przed rokiem obok lotniska, identycznie kiwał głową, rzucał błyskawiczne, ostre spojrzenia w nicość.

To właśnie miało ukryć jego sympatyczne zachowanie, pomyślał Ralph. Wygląda teraz dokładnie tak jak wtedy, kiedy rzucił się na tego faceta w fordzie. Jak kogut broniący swojego kawałka podwórka.

- Przyznaję, właściwie niczemu nie jest winna - powiedział nagle Ed. Spacerował tam i sam przez strumień wody

ze spryskiwacza, uderzając zaciśniętą w pięść prawą ręką w otwartą dłoń lewej. Ralph zdał sobie nagle sprawę z tego, że spokojnie mógłby policzyć mu wszystkie zębra. Ten facet wyglądał, jakby od miesiąca nie zjadł przyzwoitego posiłku! - Mimo wszystko po osiągnięciu pewnego poziomu głupota staje się nie do zniesienia. Jest jak Trzej Królowie, którzy po informacji o Mesjaszu udali się do króla Heroda! No, bo gdzie jest granica głupoty? „Gdzie jest nowo narodzony król żydowski?” Zapytali o to Heroda! Też mi mędry, cholera! Racja, Ralph?

Ralph tylko skinął głową. Racja, Ed. Skoro ty to mówisz, Ed...

Ed odpowiedział mu skinieniem głowy, nadal chodząc tam i z powrotem przez wodny pył i drobne krzyżujące się tęcze i wałąc pięścią w dłoń.

- To jak w tej piosence Rolling Stonesów: „Spójrz na tę głupią, spójrz na tę głupią, spójrz na tę głupią dziewczynę!” Nie pamiętasz jej pewnie, co? - Roześmiał się ostro, Ralphowi jego śmiech skojarzył się z brzękiem odłamków rozbitego szkła, po którym tańczą szczury.

McGovern podszedł i przyklęknął obok niego.

- Chodźmy - szepnął, lecz Ralph tylko potrząsnął głową, a kiedy Ed skręcił w ich kierunku, Bili poderwał się szybko i zwiął na chodnik.

- Myślała, że zdoła cię oszukać? - spytał Ralph. Nadal leżał na trawniku, podparty na łokciach. - Myślała, że się nie dowiesz, że podpisała petycję?

Ed przeskoczył przez ścieżkę. Pochylił się nad Ralphem, wymachiwał mu pięściami nad głową; istny zły facet w niemym filmie.

- Nie, nie, nie! - wrzeszczał.

Animalsi zastąpili Jefferson Airplane; Eric Burdon gardłowym głosem wyśpiewywał Ewangelię według Johna Lee Hookera: „Bum, bum, bum, powinienem zastrzelić cię jak psa”. McGovern pisnął cienko, najwyraźniej przekonany, że Deepneau zamierza zaatakować jego

przyjaciela, ale Ed tylko opadł na kolana i podparł się lewą pięścią jak sprinter czekający na strzał startera, gotów w każdej chwili wystartować z bloków. Twarz pokrytą miał kroplami, które Ralph najpierw wziął za pot, ale zaraz przypomniał sobie, jak to Ed raz za razem przekraczał strumień wody ze spryskiwacza. Patrzył na plamę krwi na lewym szkiełku jego okularów. Rozmyła się lekko - a źrenica sprawiała teraz wrażenie wypełnionej krwią.

- Los zdecydował, że dowiedziałem się o petycji! Tylko i wyłącznie los! Chcesz mi powiedzieć, że tego nie zrozumiałeś? Nie obrażaj mojej inteligencji, Ralph! Może i starzejesz się, ale z pewnością nie jesteś głupi! Wyobraź sobie, poszedłem do sklepu kupić odżywkę dla dziecka (co za ironia, nie?) i odkryłem, że zapisała się w szeregi zabójców dzieci, centurionów, w szeregi samego Karmazynowego Króla! I wiesz co? Przed oczami zrobiło mi się czerwono!

- Karmazynowy Król, Ed? Co to za jeden?

- Och, daj spokój. - Ed obrzucił go sprytnym spojrzeniem. - „Wtedy Herod widząc, że go Mędrcy zawiedli, wpadł w straszny gniew. Posłał oprawców do Betlejem i całej okolicy i kazał pozabijać wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch, stosownie do czasu, o którym się dowiedział od Mędrców”. To Biblia, Ralph. Mateusz, rozdział drugi, wers szesnasty. A może wątpisz? Może masz, kurwa, jakieś wątpliwości, czy Biblia mówi tak rzeczywiście?

- Nie mam. Jeśli ty tak twierdzisz, to tak musi być.

Ed skinął głową. Jego oczy, zaskakująco ciemnozielone, rzucały spojrzenia to tu, to tam. Nagle powoli pochylił się nad Ralphem, opierając dłonie po obu stronach jego ciała, jakby miał zamiar go ucałować. Bił od niego zapach potu, płynu po goleniu, który zdążył się już niemal całkowicie ulotnić, i czegoś jeszcze - czegoś jak stare, skwaśniałe mleko. Być może był to zapach szaleństwa.

Harris Avenue przejechała karetka na światłach, lecz bez syreny. Skręciła na parking przed „Jabłuszkim”.

- Lepiej dla ciebie, żebyś uwierzył - tchnął mu w twarz Ed. - Lepiej dla ciebie.

Skupił na Ralphie rozbiegane spojrzenie.

- Zabijają dzieci hurtowo - powiedział głosem, który nie był całkiem spokojny. - Wyrwują je z brzuchów matek i wywożą w ciężarówkach. Głównie takich z platformami. Zastanów się nad jednym, Ralph. Ile takich ciężarówek widzisz w tygodniu na ulicach miasta? Ciężarówek z platformami przykrytymi brezentem? Pomyśl, co wiozą te ciężarówki?

Ed uśmiechnął się. Przewrócił oczami.

- Większość płodów palą w Newport. Stoi tam znak „Prace ziemne”, ale w rzeczywistości to krematorium. Niektóre wysyłają jednak poza granice stanu. Ciężarówkami,

małymi samolotami. Bo tkanka płodu jest niezmiernie cenna. Mówię ci to nie jako zatroskany obywatel tego kraju, lecz

jako pracownik Hawking Laboratories. Tkanka płodu jest cenniejsza... niż... złoto!

Nagle obrócił głowę i wściekle spojrzął na McGoverna, który podszedł nieco bliżej, żeby słyszeć jego słowa.

- Tak! Cenniejsza niż złoto i od diamentów droższa! - wrzasnął i McGovern odskoczył, patrząc na niego wielkimi, przerażonymi i zdumionymi oczami. - Słyszałeś o tym, ty stary pierdoło?

- Tak - wybełkotał Bili - chyba... kiedyś... - zerknął nerwowo w stronę „Jabłuszka”, jeden z policyjnych radiowozów ruszył z parkingu, najwyraźniej w ich kierunku - ...kiedyś o tym czytałem. W *Scientific American*.

- *Scientific American!*-Ed roześmiał się z łagodną pogardą i przewrócił oczami w stronę Ralpa, jakby chciał mu powiedzieć: „No i widzisz, z kim mam do czynienia?”, a potem nagle spowaźniał.

- Masowe morderstwo - powiedział. - Dokładnie jak w czasach Chrystusa. Tylko że teraz morduje się dzieci nie narodzone. Nie tylko tutaj, na całym świecie. Morduje się je tysiącami, morduje się milionami, Ralph, a wiesz, dlaczego? Czy wiesz, dlaczego w tych nowych ciemnych wiekach znów wkroczyliśmy na dwór Karmazynowego Króla?

Ralph, oczywiście, wiedział. Nietrudno było poskładać do kupy tę układankę, jeśli tylko miało się do dyspozycji wystarczająco wiele kawałków. Jeśli widziało się Eda z ręką po pachę w beczce nawozu, szukającego pod nim ciał martwych płodów.

- Tym razem król Herod dowiedział się o wszystkim wcześniej - powiedział. - O tym mówisz, prawda? O tej starej sprawie z Mesjaszem?

Usiadł spodziewając się, że Ed znów pchnie go na ziemię, niemal mając nadzieję, że to zrobi. Gniew powrócił. Z pewnością nie należało krytykować bełkotu szaleńca, tak jak krytykuje się sztukę teatralną lub film - niechby nawet bluźniercze - ale sama myśl o tym, że Helen została pobita z powodu tak straszliwych bzdur, doprowadzała go do szału. Ed jednak nawet go nie tknął, wstał tylko i bardzo prozaicznym gestem otrzepał ręce. Trzaski radia dobiegły ich nagle znacznie wyraźniej - to radiowóz, który ruszył spod „Jabłuszka”, podjechał do krawężnika. Ed rzucił okiem najpierw na niego, a potem na powoli podnoszącego się z ziemi Ralpa.

- Możesz sobie kpić, ale to prawda - powiedział spokojnie. - Tylko że tym razem nie chodzi o Heroda, lecz o samego

Karmazynowego Króla. Herod był po prostu jednym z jego wcieleń. Karmazynowy

Król przeskakuje z ciała w ciało i z pokolenia w pokolenie niczym dzieciak przekraczający strumień po kamkach. I zawsze szuka Mesjasza. Do tej pory nie znalazł go, ale tym razem może być inaczej. Bo Derry jest inne. Linie sił zaczynają się zbiegać właśnie w Derry. Wiem, jak trudno w to uwierzyć... ale mówię prawdę.

Karmazynowy Król, pomyślał Ralph. Och, Helen, tak mi przykro. Jakie to strasznie smutne.

Dwaj mężczyźni, jeden w mundurze, drugi w cywilnym ubraniu, obaj chyba policjanci, wysiedli z radiowozu i podeszli do McGoverna. Za nimi, na zapleczu sklepu, Ralph dostrzegł dwóch innych, ubranych w białe spodnie i białe koszulki bez rękawów. Właśnie wyszli z „Jabłuszka”. Jeden obejmował Helen, która szła powoli, ostrożnie, jak pacjentka po operacji, drugi niósł Natalie. Pomogli Helen wsiąść do karetki; ten z dzieckiem wsiadł za nią, ten drugi usiadł za kierownicą. W ich ruchach Ralph wyczuł raczej pewność siebie niż pośpiech i pomyślał, że z Helen nie jest źle. Być może Ed nie pobił jej naprawdę groźnie... przynajmniej tym razem.

Gliniarz w cywilnych ciuchach - krępy, szeroki w barach, z jasnymi wąsami i baczkami w stylu, który Ralph określał na własny użytek jako „Wczesnoamerykański Bar dla Samotnych” - podszedł do McGoverna, którego chyba znał. Na twarzy miał szeroki uśmiech. Ed objął Ralpha za ramiona i odciągnął go kilka kroków od chodnika.

- Nie chcę, żeby nas słyszeli - zwierzył mu się ledwie słyszalnym szeptem.

- Jestem pewien, że nie chcesz.

- Te stwory... centurioni... sługi Karmazynowego Króla... nic ich nie powstrzyma. Nic a nic.

■- No pewnie! - Ralph zerknął przez ramię i dostrzegł, że McGovern wskazuje palcem na Eda. Krępy gliniarz spokojnie skinął głową. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach luźnych spodni khaki. Nadal uśmiechał się krzywym, dobrodusznym uśmiechem.

- I nie myśl sobie, że chodzi tylko o aborcję. Już nie. Zabierają nie narodzone wszystkim matkom, nie tylko narkomankom i prostytutkom. Ośmiodniowe, ośmiotygodniowe, ośmiomiesięczne, centurionom jest wszystko jedno. Mordują je w dzień i w nocy. Rzeź. Widziałem ciała dzieci na dachach, Ralph... pod żywopłotami... pełno ich w kanałach ściekowych... spływają kanałami i potokiem Kenduskeag tam, na Pustkowie. Jego oczy, wielkie, zielone, błyszczące jak fałszywe szmaragdy, wpatrywały się w nicość.

- Ralph - szepnął. - Świat jest pełen kolorów. Widzę je od czasu, gdy on przyszedł do mnie i o wszystkim mi powiedział. Ale teraz wszystkie te kolory zmieniają się w czerń.

- Kto do ciebie przyszedł?

- Później o tym porozmawiamy. - Ed wypowiedział te słowa prawie nie poruszając wargami, jak więzień w więziennym filmie. W innych okolicznościach byłoby to nawet śmieszne.

Na jego ustach pojawił się nagle szeroki uśmiech prezentera teleturnieju. Uśmiech ten wymazał mu z twarzy szaleństwo tak skutecznie, jak promienie słońca wymazują ze świata noc. Zmiana ta była nagła, jak w tropikach, lecz mimo wszystko Ralph znalazł w niej coś pocieszającego. Być może oni wszyscy - on sam, McGovern, Lois i reszta mieszkańców tego kawałka Harris Avenue - nie muszą aż tak rozpaczliwie obwiniać się za to, że wcześniej nie dostrzegli szaleństwa Eda. Bo Ed był dobry, Ed naprawdę opanował swą rolę. Ten uśmiech zasługiwał na Oscara. Nawet w tak dziwacznej sytuacji nie sposób było nie odpowiedzieć nań uśmiechem.

- Cześć, panowie - powiedział do gliniarzy. Ten tęższy skończył rozmawiać z McGovernem, obaj szli właśnie przez trawnik w ich kierunku. - Znajdźcie sobie coś do siedzenia! - I Ed ruszył ku nim z wyciągniętą ręką.

Tęgi glina uściskał ją. Nadal uśmiechał się krzywym, dobrodusznym uśmiechem.

- Edward Deepneau? - spytał.

- Tak. - Ed uściskał dłoń drugiemu z gliniarzy, który wyglądał na lekko zmieszanego, a potem całą uwagę poświęcił temu w cywilu.

- Jestem detektyw sierżant John Leydecker - powiedział krępy - - A to policjant Chris Nell. Jeśli zrozumiałem, były tutaj drobne kłopoty?

- No... tak, chyba tak. Drobne kłopoty. Albo, żeby nazwać rzecz po imieniu, zachowałem się jak kompletny idiota. - Zażenowany, cichy śmieszek Eda zabrzmiał niepokojąco normalnie. Ralph przypomniał sobie wszystkich uroczych psychopatów, których widywał na filmach - szczególnie dobry był w tej roli George Sanders - i przez chwilę zastanawiał się, czy chemik-naukowiec jest zdolny ogłupić małomiasteczkowego

gliniarza sprawiającego wrażenie, jakby nie do końca wyrósł z epoki „Gorączki sobotniej nocy”. Ze strachem uświadomił sobie, że najprawdopodobniej jest zdolny.

- Pokłóciłem się z Helen z powodu petycji, którą podpisała - tłumaczył Ed. - I tak już poszło. Boże, nie do wiary, że byłem w stanie ją uderzyć!

Machnął rękami - proszę, jakie to straszne, jakie niecodzienne, jakie zawstydzające. Leydecker uśmiechnął się w odpowiedzi. Ralph przypomniał sobie konfrontację, do której zeszłego lata doszło między Edem i Grubym z niebieskiego forda. Ed nazwał Grubego mordercą, nawet uderzył go w twarz, a skończyło się na tym, że Gruby patrzył na niego z czymś w rodzaju szacunku, jakby został zahipnotyzowany. Zdaniem Ralpha teraz działały tu

podobne siły.

- Trochę stracił pan kontrolę nad sobą, to chce mi pan powiedzieć? - spytał z wyraźną sympatią Leydecker.

- Tak, tak, mniej więcej o to chodzi. - Ed musiał mieć co najmniej trzydzieści dwa lata, lecz teraz, z szeroko otwartymi oczami i niewinną miną, wyglądał tak, jakby niedawno nabył prawo do wypicia piwa w miejscu publicznym.

- Zaraz, zaraz - wybełkotał Ralph. - Nie może pan mu wierzyć, to szalenie, niebezpieczny szalenie, właśnie powiedział mi...

- To Ralph Roberts, prawda? - Leydecker zadał to pytanie Billowi, zupełnie ignorując Ralpa.

- Tak - McGovern sprawiał wrażenie nieznośnie pompatycznego. - To Ralph Roberts.

- Aha. - Leydecker w końcu spojrzał jednak na Ralpa. - Porozmawiam z panem za kilka minut, panie Roberts, ale do tej pory będzie pan uprzejmy stanąć o tam, koło przyjaciela, i zachować milczenie, dobrze?

- Ale...

- Dobrze?

Zły jak nigdy w życiu, Ralph stanął obok Billa. Jego gniew najwyraźniej nie wzruszył wcale Leydeckera, który spokojnie obrócił się do partnera i powiedział:

- Może wyłączyłbyś tę muzykę, Chris. Przynajmniej słyszelibyśmy własne myśli.

- Aha. - Policjant w mundurze podszedł do radiomagnetofonu, przyjrzał się przyciskom i przełącznikom, i wyłączył The Who w środku piosenki o niewidomym czarodzieju bilardu automatycznego.

- Chyba rzeczywiście pozwoliłem sobie na zbyt wiele. - Ed wydawał się szczerze zawstydzony. - Dziwne, że sąsiedzi się nie poskarżyli.

- Mój Boże, życie toczy się dalej. - Leydecker zadarł głowę i skierował swój krzywy, dobroduszny uśmiezek w chmury.

Cudownie! - pomyślał Ralph. Ten facet to prawdziwy Will Rogers. Ed uśmiechał się jednak i kiwał głową, jakby policjant poczęstował go nie jedną głęboką mądrością, ale całym ich pudełkiem.

Leydecker wyjął z kieszeni pojemnik wykałaczek. Poczęstował nimi Eda, który odmówił, a potem sam wyciągnął jedną i wsadził ją sobie w kącik ust.

- A więc, była to drobna kłótnia rodzinna? Czy tak mam to rozumieć?

Ed kilkakrotnie szybko skinął głową. Nadal uśmiechał się szczerym, zdziwionym uśmiechem.

- Raczej dyskusja. Polityczna, bo...

- Aha, aha. - Gliniarz też się uśmiechał i też kiwał głową. - Ale zanim powie nam pan coś jeszcze, panie Deepneau...

- Ed. Bardzo proszę.

- ...zanim powie nam pan coś jeszcze, panie Deepneau, chcę pana... jakby... ostrzec, że wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu. No wie pan, w sądzie. I jeszcze ma pan prawo do adwokata.

Przyjacielski, choć nieco zdziwiony uśmiech Eda - rany Julek, co ja najlepszego narobiłem? Pomóżcie mi się jakoś z tego wyplątać! - znikł, zastąpiony na moment przez podejrzliwe, niepewne spojrzenie. Ralph zerknął na McGoverna i ulga, którą dostrzegł w jego wzroku, wydała mu się identyczna z tą, którą poczuł sam. Może i Leydecker nie był aż tak naiwny?

- Na miłość boską, po co mi adwokat? - zdumiał się Ed, obrócił głowę i posłał niewinny uśmiech do Chrisa Nella, który nadal stał obok stoliczka z radiomagnetofonem.

- Nie mam pojęcia i może wcale nie będzie go pan potrzebował - odparł Leydecker, wciąż z uśmiechem. - Po prostu mówię panu, że ma pan do niego prawo. A jeśli nie stać pana na adwokata, miasto Derry go panu opłaci.

- Ale ja nie...

Leydecker kiwał głową i uśmiechał się.

- Jasne, jasne, oczywiście. Po prostu takie ma pan prawa.

Czy zrozumiał pan swoje prawa tak, jak je panu wyjaśniłem, panie Deepneau?

Przez moment Ed stał nieruchomo, oczy znów miał szeroko rozwarte, tępe. Istny człowiek-komputer, który nagle zmuszony został do przetrawienia wielkiej ilości bardzo skomplikowanych danych. Potem najwyraźniej dotarło do niego, że nikogo nie udało mu się zwieść niewinnymi minami, i zgarbił się nagle. Widoczną w jego oczach pustkę zastąpił wyraz nieszczęścia zbyt szczery, by weń wątpić... lecz Ralph wątpił weń mimo wszystko. Musiał wątpić, bo widział przecież szaleństwo w twarzy Eda, szaleństwo, które znikło dopiero wraz z pojawieniem się policjantów. Bili McGovem też je widział. Jest jednak różnica między zwątpieniem i niewiarą; Ralphowi wydawało się, że jakaś część duszy Eda szczerze żałuje pobicia Helen.

Tak, pomyślał, a jakaś część jego duszy szczerze wierzy, że centurionowie ciężarówkami wożą martwe płody do Newport i że siły dobra i siły zła zgromadziły się wokół Derry, by rozegrać tu dramat jego majaków. Nazwijmy go: „Omen V: Na Dworze Karmazynowego Króla”.

Mimo wszystko nie potrafił nie czuć czegoś w rodzaju sympatii do Eda Deepneau, który podczas ostatniego i ostatecznego pobytu Carolyn w szpitalu w Derry odwiedzał ją trzy razy w tygodniu, który zawsze przynosił jej kwiaty i przed wyjściem zawsze całował ją w policzek. Całował ją w policzek, nawet gdy unosił się już wokół niej zapach śmierci, Carolyn zaś zawsze łapała go za rękę i uśmiechała się z wdzięcznością. „Dziękuję ci, że nadal traktujesz mnie jak istotę ludzką”, mówił ten jej uśmiech. Tego Eda Ralph nazywał przyjacielem i sądził - a może tylko miał nadzieję - że ten Ed jeszcze istnieje.

- Mam problemy, prawda? - Ed zadał to pytanie Leydeckerowi bardzo cichym głosem.

- No cóż, zobaczymy. - Leydecker nadal się uśmiechał. - Wybił pan żonie dwa zęby. Wygląda na to, że złamał jej pan kość policzkową. Stawiam zegarek dziadka, że ma wstrząs mózgu. Plus kolekcja drobniejszych urazów: skaleczeń, sińców i ta śmieszna łysinka na prawej skroni. Co pan próbował zrobić? Ogolić ją na łyso?

Ed milczał i tylko wpatrywał się w niego swoimi zielonymi oczami.

- Spędzi dzień na obserwacji w szpitalu, bo jakiś dupek dobrze jej dołożył, a wszyscy wydają się pewni, że to pan był tym dupkiem, panie Deepneau. Widzę krew na pańskich dłoniach, widzę krew na pańskich okularach, więc muszę powiedzieć, że podzielim tę pewność. No i jak pan myśli, panie Deepneau? Wygląda mi pan na bystrego faceta. Czy ma pan kłopoty?

- Bardzo mi przykro, że ją uderzyłem. Nie chciałem, naprawdę.

- Aha. A gdyby mnie płacili ćwierć dolca za każdym razem, kiedy to słyszę, nigdy już nie musiałbym kupować sobie drinka z poborów. Panie Deepneau, aresztuję pana za pobicie drugiego stopnia, nazywane także pobiciem rodzinnym. Oskarzenie to podpada pod kodeks stanowy stanu Maine. Chciałbym jeszcze raz przypomnieć, że został pan poinformowany o przysługujących panu prawach.

- Tak - odparł Ed cichym, nieszczęśliwym głosem. Uśmiech-niepewny czy jakikolwiek inny - znikł mu z warg bezpowrotnie.

- Zabierzemy pana do komisariatu i tam zarejestrujemy. Później będzie mógł pan zadzwonić w sprawie kaucji. Chris, zaprowadź go do samochodu, dobrze?

Nell podszedł do Eda.

- Czy zamierza pan sprawić nam kłopoty, panie Deepneau? - spytał.

- Nie - odparł Ed równie cicho jak przedtem. Z prawego oka popłynęła mu łza. Wytarł ją machinalnie grzbietem dłoni. - Nie będzie żadnych kłopotów.

- Świetnie! - ucieszył się Nell i poprowadził go do radiowozu.

Już na chodniku Ed obrócił się do Ralpha.

- Przykro mi, starszku - powiedział i wszedł do samochodu. Zanim eskortujący go policjant zamknął drzwi, Ralph dostrzegł, że wewnątrz nie mają one klamek.

- Dobra - powiedział Leydecker i odwrócił się ku Ralphowi, wyciągając rękę. - Bardzo przepraszam, jeśli zachowałem się wobec pana nieco zbyt... szorstko, ale tacy goście bywają czasami bardzo gwałtowni. Niepokoją mnie zwłaszcza ci trzeźwi, bo nigdy nie wiadomo, co zrobią. John Leydecker.

- Był moim studentem w college'u miejskim - wyjaśnił McGovern. Teraz, kiedy Ed został bezpiecznie zapakowany

do radiowozu, ulga niemal pozbawiła go przytomności. - Dobrym studentem. Napisał świetną pracę semestralną o krucjacie dziecięcej.

- Bardzo mi miło pana poznać - Ralph potrząsnął dłonią policjanta. - Proszę się nie obawiać, nie obraziłem się.

- Postąpił pan jak szaleniec, przychodząc tu i stając z nim twarzą w twarz - stwierdził pogodnie Leydecker.

- Byłem wściekły. Nadal jestem wściekły.

- Potrafię to sobie wyobrazić. W każdym razie udało się panu, a to najważniejsze.

- Nie. Najważniejsza jest Helen. Helen i dziecko.

- Jestem skłonny się z panem zgodzić. Proszę mi powiedzieć, o czym rozmawiał pan z panem Deepneau, zanim się pojawiliśmy, panie Roberts... Czy mogę panu mówić Ralph?

- Tak, proszę. - Ralph jak najkrócej streścił wywody Eda. McGovern, który słyszał coś niecoś, ale bynajmniej nie wszystko, słuchał go w zdumionym milczeniu, wytrzeszczając oczy. Ralph zerknął na niego raz i drugi, za każdym razem żałując, że Bili nie ma na głowie swojej panamy. Wydawał się bez niej starszy. Wydawał się niemal antykiem.

- No, brzmi to co najmniej dziwnie - podsumował policjant, kiedy opowieść dobiegła końca.

- Co teraz będzie? Pójdzie do więzienia? Jego miejsce jest w szpitalu dla umysłowo chorych.

- Chyba powinien tam trafić, ale między „powinien trafić” i „trafi” jest spora różnica. Nie pójdzie do więzienia i nie zostanie zamknięty w sanatorium Sunnyvale. Tego rodzaju cuda zdarzają się wyłącznie w starych filmach. Możemy mieć nadzieję najwyżej na zarządzone wyrokiem sądu leczenie.

- Czy Helen nie powiedziała wam...

- Nie powiedziała nam nic i nawet nie próbowaliśmy przesłuchiwać jej tam, w sklepie. Cierpiała. Zarówno fizycznie jak i psychicznie.

- Tak, oczywiście... głupstwa gadam.

- Być może potwierdzi pańską opowieść, a być może nie. Ofiary pobic rodzinnych często zamykają się w sobie jak ostrygi. Na szczęście w świetle nowych praw nie ma to praktycznie żadnego znaczenia. Przyparliśmy gościa do muru. Ty i ta dziewczyna ze sklepu zeznacie, w jakim stanie była pani Deepneau i kogo oskarżyła o spowodowanie tego stanu. Ja mogę stwierdzić pod przysięgą, że mąż ofiary miał krew na rękach. Ale najlepsze jest to, że powiedział magiczne słowa: „Nie mogę

uwierzyć, że ją uderzyłem”. Chciałbym, żebyś nas odwiedził jutro rano, jeśli nie masz nic przeciwko temu, żebym mógł spisać twoje kompletne zeznanie, Ralph, ale to tylko dla wypełnienia tych kilku luk. Szczerze mówiąc, tę sprawę mamy załatwioną.

Wyjął z ust wykałaczkę, złamał ją, rzucił do rynsztoka i natychmiast wyjął z kieszeni pudełko.

- Wykałaczką? - zaproponował. Ralph uśmiechnął się lekko.

- Nie, dzięki.

- Nie mam ci tego za złe. Głupi nawyk, ale staram się rzucić palenie, a palenie jest jeszcze głupsze. Z facetami pokroju tego Deepneau jest tak, że na ogół są zbyt sprytni, by się na tym nie poznać. Tracą panowanie nad sobą, krzywdzą kogoś... a potem im mija. Kiedy trafi się na miejsce wkrótce po wybuchu, jak ty trafiłeś, Ralph, zastaje się ich nieruchomych, z pochylonymi głowami, wsłuchanych w muzykę i starających się znów dopasować do jej rytmu.

- Właśnie tak się zachowywał. Dokładnie tak się zachowywał.

- Ci bystrzy mogą tak grać przez lata. Żalują, przeraża ich to, co zrobili, biją się w piersi i obiecują poprawę. Bywają przekonywający, pełni wdzięku i prawie nie sposób dostrzec, że pod tą słodką powłoką są szaleni jak marcowe zające. Nawet ci najgorsi, jak Ted Bundy, przez całe lata sprawiają wrażenie najzupełniej normalnych. Dobra strona tego medalu jest taka, że Ted ów Bundych jest bardzo niewielu, choć książki i filmy o psychopatycznych zabójcach twierdzą coś zupełnie innego.

- Co za burdel - westchnął Ralph.

- Tak. Ale spojrzysz na to od drugiej strony. Będziemy w stanie utrzymać go z dala od niej, przynajmniej przez jakiś czas. Wyjdzie przed kolacją za kaucją dwudziestu pięciu dolców...

- Dwudziestu pięciu? - W głosie McGoverna brzmiało jednocześnie zdumienie i... cynizm. - To wszystko?

- A tak - potwierdził Leydecker. - Oskarżyłem tego Deepneau o pobicie drugiego

stopnia, bo to brzmi groźnie, ale w stanie Maine pobicie żony to tylko wykroczenie.

- W nowym prawie jest taki jeden kruczek - wtrącił się Chris Nell, który właśnie do nich dołączył. - Jeśli Deepneau zechce wyjść za kaucją, będzie musiał zgodzić się na zerwanie

wszystkich kontaktów z żoną, aż do rozprawy sądowej. Nie będzie mógł wrócić do domu, podejść do niej na ulicy, nawet zadzwonić. A jeśli się na to nie zgodzi, będzie siedział.

- A jeśli się zgodzi, a potem machnie ręką na tę zgodę? - zainteresował się Ralph.

- Wtedy go zapuszczujemy, bo to już przestępstwo... A przynajmniej może zostać uznane za przestępstwo, jeżeli prokurator okręgowy zdecyduje się grać twardo. W każdym razie ludzie oskarżeni o pobicie rodzinne, którzy zdecydowali się złamać warunki zwolnienia za kaucją, spędzają na ogół za kratkami znacznie więcej niż jedno popołudnie.

- I pozostaje nadzieja, że współmałżonek, dla którego warunek ten został złamany, po jego złamaniu żyje i może zeznawać przed sądem - stwierdził Bili McGovern.

- Aha. - Leydecker westchnął ciężko. - Czasami jest z tym problem.

Ralph wrócił do domu i przez jakąś godzinę siedział, gapiąc się nie tyle w telewizor, co poprzez telewizor. Podczas reklamy wstał, by sprawdzić, czy w lodówce jest zimna cola, zachwiał się i musiał oprzeć o ścianę, boby się przewrócić. Cały drżał, miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Rozumiał, że to objawy opóźnionego szoku, ale mimo to słabość i mdłości mocno go wystraszyły.

Usiadł. Przez jakąś minutę oddychał głęboko z pochyloną głową i zamkniętymi oczami, a potem znów wstał i powlókł się do łazienki. Nalał do wanny ciepłej wody i siedział w kąpielni, póki ze stojącego w dużym pokoju telewizora nie dobiegła go zapowiedź „Night Court”, pierwszego z wieczornych filmów. Woda w wannie była już wtedy zimna, więc wyszedł z niej z przyjemnością. Wytał się, przebrał w świeże ubranie i zdecydował, że lekka kolacja leży jednak w granicach jego możliwości. Zadzwonił na dół, spodziewając się, że zje ją z McGovernem, ale nikt nie podniósł słuchawki.

Nastawił wodę, by ugotować sobie dwa jajka, po czym ze stojącego obok kuchenki telefonu zadzwonił do szpitala Derry Home. Skierowano go do recepcjonistki w izbie przyjęć; recepcjonistka zaś poinformowała go, że nie, nie myli się, pacjentka nazwiskiem Helen Deepneau rzeczywiście została dziś przyjęta

do szpitala. Jej stan opisano jako „dobry”. Nie, recepcjonistka nie miała pojęcia., kto opiekuje się dzieckiem pacjentki, wie tylko, że Natalie Deepneau nie ma na jej liście przyjęć. Nie, nie można dziś odwiedzić pani Deepneau, ale nie dlatego, że lekarz zakazał wizyt - sama pani Deepneau wyraźnie zaznaczyła, że nie będzie przyjmowała odwiedzających.

Dlaczego tak postąpiła? - miał ochotę spytać, ale uznał, że szkoda fatygi. Recepcjonistka z izby przyjęć powiedziała mu pewnie, że bardzo jej przykro, ale nie ma tej informacji w komputerze. On posiadał ją jednak w swoim komputerze, tym, który mieścił się u niego między parą imponujących i imponująco odstających uszu. Helen nie chciała widzieć nikogo, ponieważ się wstydziła. Nic z tego, co się stało, nie stało się z jej winy, ale zapewne w żaden sposób nie zmieniało to jej samopoczucia. Połowa Harris Avenue widziała, jak idzie zataczając się niczym pokonany bokser, gdy sędzia przerwał już walkę, zabrano ją karetką do szpitala, a odpowiedzialny za to był jej mąż, ojciec jej córki. Miał nadzieję, że Helen dostanie coś, co pomoże jej przespać noc, i że rano sprawy wyglądać już będą lepiej. Bóg wie, że nie mogą wyglądać gorzej.

Do diabła, chciałbym, żeby i mnie ktoś dał coś, co pomogłoby mi przespać noc, pomyślał.

Więc zamów sobie wizytę u doktora Litchfielda, odpowiedziała natychmiast inna część jego umysłu.

Recepcjonistka z izby przyjęć zapytała Ralpha, czy w czymś jeszcze mogłaby mu pomóc. Powiedział „nie” i zaczął jej dziękować, lecz odłożyła słuchawkę w pół słowa.

- Jak to miło z pani strony-powiedział do telefonu. - Jak to miło. - Też odłożył słuchawkę, wziął łyżkę i zaczął ostrożnie wkładać jajka do wody. W dziesięć minut później, kiedy siedział, trzymając przed sobą talerz, po którym ślizgały się ugotowane na twardo i wyglądające jak największe perły świata, zadzwonił telefon. Odstawił talerz na stół i zerwał słuchawkę ze ściany.

- Halo?

Cisza. Słyszał tylko oddech.

- Halo? - powtórzył.

Usłyszał jeszcze tylko jeden oddech, tak głośny, że spokojnie mógł być szloch, i połączenie zostało przerwane. Ralph również odłożył słuchawkę. Przez chwilę tylko stał i patrzył na telefon; na zmarszczonym czole rysowały się trzy pionowe linie.

- No, Helen - powiedział w końcu. - Zadzwoń do mnie, proszę.

Wrócił do stołu i zaczął jeść swoją skromną kawalerską kolację.

Piętnaście minut później, kiedy zmywał kilka użytych do jej przygotowania naczyń, telefon zadzwonił znowu. To nie ona, pomyślał, wycierając dłonie ścierką, przerzucając ją przez plecy i podchodząc do telefonu. To z pewnością nie ona, tylko Lois albo Bili. Ale wiedział, że się myli.

- Cześć, Ralph.

- Dobry wieczór, Helen.

- To ja dzwoniłam parę minut temu. - Głos miała ochryply, jakby piła albo płakała, ale chyba w szpitalu nie pozwalają trzymać alkoholu.

- Domyśliłem się.

- Usłyszałam twój głos i... i nie mogłam...

- W porządku, Helen, dobrze. Rozumiem.

- Naprawdę? - Mocno pociągnęła nosem.

- Chyba tak. Tak.

- Właśnie przyszła pielęgniarka i dała mi coś na ból. Przyda się, bo twarz mi strasznie dokucza, ale obiecałam sobie, że nic nie wezmę, póki nie zadzwonię do ciebie i nie powiem, co mam do powiedzenia. Ból to cholera, lecz wspaniały z niego środek pobudzający.

- Helen, nie musisz mi nic mówić. - Ale bał się, że jednak powie mu wszystko, i bał się tego, co może usłyszeć... Bał się odkryć, że postanowiła gniewać się na niego dlatego, że nie potrafi gniewać się na Eda.

- Owszem, muszę. Muszę ci podziękować.

Ralph oparł się o framugę i na moment przymknął oczy. Czuł wielką ulgę, ale nie wiedział, co powinien powiedzieć. Na końcu języka miał już słowa: „przykro mi, że tak to odczuwasz, Helen” - wypowiedziałby je najspokojniejszym głosem, na jaki byłoby go stać - był bowiem całkowicie pewny, że Helen zacznie od pytania, dlaczego nie pilnował swego nosa.

Helen powiedziała, jakby czytała w jego myślach i chciała mu dać znać, że nie tak znów bardzo się mylił:

- Przez całą drogę do szpitala, podczas rejestracji i przez pierwszą godzinę w pokoju nie robiłam nic, tylko się na ciebie wściekałam. Zadzwoniłam do Candy Shoemaker, przyjaciółki

z Kansas Street. Przyjechała i wzięła Nat. Zatrzymają na noc. Candy pytała, co się stało, ale jej nie powiedziałam. Marzyłam tylko o tym, żeby znaleźć się w łóżku i wściekać się na ciebie za to, że zadzwoniłeś na policję, choć prosiłam, żebyś tego nie robił.

- Helen...

- Jak mi dasz skończyć, będę mogła wziąć coś na ból i pójść spać.

- Przepraszam.

- Jak tylko Candy wyszła z małą, dzięki Bogu, Natalie nie płakała, tego bym już chyba nie zniosła, pojawiła się tu jakaś kobieta. Najpierw pomyślałam, że pewnie pomyliła pokoje, no bo przecież w ogóle jej nie znałam, a kiedy wreszcie dotarło do mnie, że przyszła tu

specjalnie z mojego powodu, powiedziałam jej, że nie życzę sobie żadnych gości. Nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Zamknęła drzwi i podwinęła spódnicę, tak że mogłam zobaczyć jej lewe udo. Miała na nim głęboką bliznę, biegnącą od biodra do kolana.

Powiedziała, że nazywa się Gretchen Tillbury, że jest doradcą w sprawie pobić w małżeństwie, że pracuje w Ośrodku Opieki nad Kobietami i że to mąż tak rozciął jej nogę nożem kuchennym w siedemdziesiątym ósmym roku. Powiedziała, że gdyby sąsiad z dołu nie założył jej opatrunku uciskowego, wykrwawiłaby się na śmierć. Odparłam, że bardzo przykro mi to słyszeć, ale nie chcę rozmawiać o tym, co zaszło, póki wszystkiego sobie porządnie nie przemyślę. - Helen przerwała na chwilę, a potem dodała: - Ale kłamałam, wiesz? Miałam mnóstwo czasu, żeby wszystko sobie porządnie przemyśleć, bo Ed uderzył mnie po raz pierwszy dwa lata temu, wkrótce potem zaszłam w ciążę. Po prostu... odsuwałam to od siebie.

- Rozumiem, że w pewnych sytuacjach nie ma innego wyjścia.

- Ta kobieta... no, muszą je uczyć, jak przełamywać obronę przeciwnika.

Ralph uśmiechnął się.

- Powiedziałbym, że to główna część ich treningu - stwierdził.

- Mówiła, że nie wolno mi niczego odkładać na później, że znalazłam się w bardzo kiepskiej sytuacji i muszę zacząć sobie z nią radzić natychmiast. Ja na to, że cokolwiek zrobię, nie muszę się jej z niczego spowiadać i nie muszę też słuchać tego całego gówna tylko dlatego, że mąż zranił ją nożem. Nie

uwierzysz, ale już chciałam powiedzieć, że pewnie to zrobił, bo nie chciała się zamknąć i nie miał chwili świętego spokoju. Byłam naprawdę wkurzona. Bolało mnie... nie wiedziałam, co się dzieje... wstydziłam się... ale przede wszystkim byłam cholernie wkurzona.

- Mam wrażenie, że zareagowałaś najzupełniej normalnie.

- Spytała mnie, co będę myśleć o sobie - nie o Edzie, ale o sobie! - jeśli wrócę do niego i on mnie znów pobije. Potem spytała, jak się będę czuć, kiedy wrócę do niego, a on pobije Natalie. Na to już się wściekłam. I nadal jestem wściekła. Ed nigdy nawet nie dał jej po łapie i dokładnie to powiedziałam tej Tillbury, a ona tylko skinęła głową. „To nie znaczy, że nigdy tego nie robi, Helen”, stwierdziła. „Wiem, że nie chcesz nawet o tym myśleć, ale powinnaś. Dobrze, przyjmijmy, że się nie mylisz. Przyjmijmy, że nigdy nie da jej nawet po łapie. Czy chcesz, by dorastała widząc, jak bije ciebie? Chcesz, żeby dorastała widząc to, co widziała dzisiaj?” To mi zamknęło usta. Zamknęło mi usta, bo pamiętałam, jak wyglądał Ed, kiedy wrócił do domu... jak domyśliłam się wszystkiego, kiedy tylko zobaczyłam, jaki jest blady... jak porusza mu się głowa...

- Jak u koguta - mruknął Ralph.

- Co?

- Nie, nic. Mów dalej.

- Nie wiedziałam, co się stało... Ostatnio już niczego nie byłam w stanie przewidzieć... ale wiedziałam, że mnie pobije. Kiedy sprawy dojdą do pewnego punktu, nic nie można zrobić ani powiedzieć. Pobiegłam do łazienki, ale złapał mnie za włosy... wyrwał mi cały kłęb... krzyknęłam... Natalie siedziała obok w krzeselku... siedziała i patrzyła na nas... a kiedy ja krzyknęłam, ona też krzyknęła...

Helen przerwała. Szlochała rozpaczliwie. Ralph czekał oparty czołem o framugę drzwi między dużym pokojem i kuchnią. Rąbkiem ściereczki, którą przedtem przewiesił sobie przez ramię, wytarł machinalnie łzy ciekące mu z oczu.

- W każdym razie - powiedziała Helen, kiedy już mogła mówić - skończyło się na tym, że rozmawiałam z tą kobietą przeszło godzinę. Nazywa się to „doradztwem dla ofiar” i ona to robi zawodowo, uwierzyłyś?

- Jasne. Wierzę. Dobrze zrobiłaś, Helen.

- Zobaczę się z nią jutro w ośrodku. Zakrawa to na ironię, wiesz? Idę tam, a przecież gdybym nie podpisała tej petycji...

- Gdybyś nie podpisała petycji, znalazłby inny powód.

Helen westchnęła.

- Tak, to chyba prawda. To z pewnością prawda. W każdym razie Gretchen twierdzi, że nie mogę rozwiązać problemów Eda, ale mogę zacząć rozwiązywać niektóre moje problemy. - Znów się rozpląkała i wzięła głęboki oddech. - Przepraszam, tyle dziś płakałam, że powinno mi wystarczyć do końca życia. Powiedziałam jej, że go kocham. Wstydziałam się mówiąc to, nie jestem nawet pewna, czy powiedziałam prawdę, ale zdawało mi się, że powinnam to powiedzieć. Powiedziałam, że chcę dać mu jeszcze jedną szansę. A ona odparła, że decyzję podejmę także w imieniu Natalie, że ona też da mu jeszcze jedną szansę. Przypomniałam sobie wtedy, jak wyglądała siedząc w kuchni, z buzią wysmarowaną gotowanym szpinakiem, krzycząc na cały głos, kiedy Ed mnie bił. Boże, nienawidzę ludzi, którzy tak cię przyprą do ściany, że nie masz już wyjścia.

- Próbowала ci pomóc, to wszystko.

- Nienawidzę ludzi, którzy próbują ci pomóc. Już sama nie wiem, co myśleć. Pewnie nigdy byś się tego nie domyślił, ale mówię szczerą prawdę. - Telefonicznym kablem popłynął ku jego uchu słaby śmiech.

- Wszystko w porządku, Helen. To zupełnie naturalne.

- Tuż przed wyjściem powiedziała mi o „Na zbocz”. Biorąc pod uwagę sytuację,

wygląda to na miejsce jak dla mnie stworzone.

- Na zboczu?

- Rodzaj domu przejściowego - cały czas powtarzała, że nie przytułek-dla maltretowanych kobiet. Oficjalnie zaliczam się już chyba do tej kategorii. - Słaby śmiech Helen zabrzmiał niemal jak szloch. - Mogę zamieszkać tam z Nat, a w tej chwili to dla mnie główna atrakcja.

- Gdzie to jest?

- Za miastem. Chyba gdzieś w stronę Newport.

- Aha, tak, coś chyba o tym słyszałem. - Oczywiście, że słyszał, Ham Davenport powiedział mu to, wygłaszając swą pochwałę ośrodka. „Prowadzą poradnię rodzinną... przyjmują skargi dotyczące okrucieństwa wobec współmałżonka i dziecka... a przy granicy Newport mają schronisko dla maltretowanych kobiet”. Nagle ośrodek zrobił się ośrodkiem jego świata. Ed niewątpliwie znalazłby dla tego faktu jakieś złowrogie wytłumaczenie.

Ta Gretchen Tillbury to cholernie twarda baba - mówiła dalej Helen. - Już w drzwiach stwierdziła, że to w porządku, że kocham Eda. „To musi być w porządku”, powiedziała, „bo miłość nie leci z kranu jak woda, nie możesz jej odkręcać i zakręcać, kiedy tylko zechcesz”. Powiedziała też, że muszę pamiętać, że moja miłość go nie wyleczy, że nawet miłość Eda dla Natalie nie może go wyleczyć i że nawet największa miłość nie zmniejsza odpowiedzialności, jaką matka ponosi za dziecko. Leżałam w łóżku i cały czas się nad tym zastanawiałam. Chyba wolałabym leżeć w łóżku i wściekać się. W każdym razie leżeć i wściekać się byłoby mi łatwiej.

- Tak, chyba rozumiem, wściekać się zawsze jest łatwiej. Słuchaj, Helen, dlaczego nie weźmiesz lekarstwa i choćby na jakiś czas nie przestaniesz o tym wszystkim myśleć?

- Zaraz to zrobię, ale najpierw chciałam ci podziękować.

- Przecież wiesz, że nie musisz mi dziękować.

- Nic takiego nie wiem. - W jej głosie pojawiło się wreszcie jakieś uczucie, co bardzo udeszyło Ralpa, bo znaczyło, że prawdziwa Helen Deepneau jeszcze istnieje. - Nie przestałam się na ciebie wściekać, ale ciesze się, że nie usłuchałeś, kiedy kazałam ci nie dzwonić na policję. Po prostu się bałam, rozumiesz? Bałam się.

- Helen, ja... - głos mu się załamał; Ralph odchrząknął i zaczął jeszcze raz. - Nie chciałem, żeby spotkało cię coś gorszego niż to, co już się zdarzyło. Kiedy zobaczyłem, jak idziesz przez parking z twarzą całą zakrwawioną, przestraszyłem się tak...

- Nie mów o tym, dobrze? Proszę. Jeśli zaczniesz, popłaczę się, a tego już bym chyba nie zniosła.

- Oczywiście. - Chciał zadać jej jeszcze z tysiąc pytań o Eda, ale to nie była odpowiednia chwila. - Mógłbym cię jutro odwiedzić?

Helen wahała się przez moment, a później powiedziała:

- Nie, chyba nie. Przez jakiś czas nie chcę się z nikim widywać. Muszę przemyśleć i uporządkować parę spraw, a to nie będzie łatwe. Będziemy w kontakcie, dobrze?

- Oczywiście, wspaniale. Co zrobisz z domem?

- Mąż Candy go zamknie, dałam mu klucze. Gretchen Tillbury powiedziała, że Edowi nie wolno do niego wrócić, nawet po książeczkę czekową albo czystą parę gaci. Jeśli czegoś potrzebuje, może dać listę i klucz policjantowi, który mu to przyniesie. Przypuszczam, że zamieszka we Fresh Harbor. Jest tam mnóstwo miejsca dla pracowników laboratorium. Małe domki, nawet bardzo ładne... - Ogień, który na moment

pojawił się w jej głosie, zgasł. Helen sprawiała teraz wrażenie przygnębionej, zagubionej i bardzo, bardzo zmęczonej.

- Słuchaj, strasznie się cieszę, że zadzwoniłaś. Ulżyło mi, nie mam zamiaru cię oszukiwać. A teraz prześpij się trochę.

- A co z tobą, Ralph? - spytała nieoczekiwanie. - Sypiasz choć trochę?

Zaskoczyła go tak, że zdobył się na ucziwość, o którą w innych okolicznościach byłoby mu trudno.

- Trochę, ale chyba nie tyle, ile potrzebuję. Na pewno nie tyle, ile potrzebuję.

- No, to uważaj na siebie. Byłeś dziś bardzo dzielny, jak rycerz z opowieści o królu Arturze, ale chyba nawet sir Lancelot musiał się zdrzemnąć od czasu do czasu.

Te słowa wzruszyły go, a także trochę rozbawiły. Oczami wyobraźni dostrzegł nagle bardzo wyraźny obraz: Ralph Roberts w lśniącej zbroi na białym rumaku, a obok niego jego wierny giermek Bili McGovern na kucyku, w skórzanej kamizelce i szykownej panamie na głowie.

- Dziękuję ci, skarbie, nikt mi chyba nie powiedział nic miłszego... od czasu gdy prezydentem był Lyndon Johnson. Śpij jak możesz najlepiej, dobrze?

- Oczywiście. I wzajemnie.

Odłożyła słuchawkę. Ralph stał przez chwilę, wpatrując się w telefon. Być może czeka go dobra noc. Po tym, co dzisiaj przeszedł, z pewnością na nią zasłużył. A teraz najlepiej zejść na dół, usiąść na ganku, popatrzeć na zachód słońca i niech będzie, co ma być.

McGovern zdążył już wrócić. Siedział na ganku na swoim ulubionym krześle, obserwował ulicę i nie odwrócił się, kiedy w drzwiach domu pojawił się sąsiad z góry. Ralph powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem i dostrzegł niebieską półciężarówkę zaparkowaną

przy krawężniku pół przecznicy dalej, po tej samej stronie ulicy co „Jablusko”. Na drzwiach z tyłu napisane miała wielkimi białymi literami: Służba Medyczna Derry.

- Cześć, Bili - powiedział Ralph i zajął swoje krzesło.

Pomiędzy nimi stał fotel na biegunach, na którym siadywała Lois, kiedy zdecydowała się ich odwiedzić. Zerwał się właśnie

lekki, towarzyszący zazwyczaj zachodowi słońca wiaterek, cudownie chłodny w porównaniu z upałem popołudnia, i kołysał lekko pustym fotelem.

- Cześć. - McGovern zerknął na niego dopiero teraz. - Och, kolego, powinieneś przekłuć sobie te worki pod oczami albo wkrótce zaczniesz się o nie potykać!

Zdaniem Ralpa miało to zabrzmieć jak jedno z tych jego kpiących bon motów, słynnych na całą ulicę - tyle że w oczach McGoverna malowała się autentyczna troska.

- To był cholerny dzień - stwierdził tylko, po czym opowiedział Billowi o telefonie Helen, nie wspominając jednak tego, co przeznaczone było chyba tylko dla jego uszu i powtórzony przyjacielowi, mogłoby żenować Helen. McGovern nie należał do jej ulubieńców.

- Cieszę się, że u niej wszystko w porządku - stwierdził Bili. - Coś ci powiem, Ralph, zaimponowałeś mi dzisiaj, kiedy tak szedłeś ulicą jak Gary Cooper we „W samo południe”. Może i było to szaleństwo, ale przynajmniej szaleństwo wspaniałe. - Przerwał na chwilę. - Prawdę mówiąc, nawet cię podziwiałem - dokończył.

Po raz drugi w ciągu piętnastu minut ktoś dał mu do zrozumienia, że uważa go niemal za bohatera. Ralph był lekko zakłopotany.

- Wściekłem się na niego i dopiero po wszystkim zorientowałem się, że postąpiłem jak kretyn - wyznał. - Gdzie byłeś, Bili? Przed chwilą próbowałem się do ciebie dodzwonić.

- Poszedłem na spacer na Extension. Chciałem sobie trochę schłodzić silnik. Bolała mnie głowa i miałem mdłości od chwili, kiedy Leydecker i ten drugi glina zabrali Eda.

Ralph skinął głową.

- To samo ja - przyznał.

- Doprawdy? - McGovern sprawiał wrażenie zaskoczonego... i nieco sceptycznie przyjmującego to wyznanie.

- Doprawdy. - Ralph uśmiechnął się słabo.

- No, w każdym razie na terenie piknikowym, gdzie ci wszyscy starcy zbierają się w upały, spotkałem Faye'a Chapina. Namówił mnie na partyjkę szachów. Co za pierdoła! Uważa się za reinkarnację Ruya Lopeza, a w szachy gra raczej jak Kubuś Prostaczek... i gęba mu się nie zamyka.

- Mimo to jest w porządku - powiedział cicho Ralph. McGovern jakby nie usłyszał jego słów.

- Był tam także ten przerażający Dorrance Marsteller - mówił dalej. - Jeśli my jesteśmy starzy, to ten gość to skamielina! Stał przy ogrodzeniu oddzielającym teren piknikowy od lotniska, z tomikiem poezji w dłoni, i tylko gapił się na startujące i lądujące samoloty. Jak myślisz, czy on naprawdę czyta te książki, które zawsze ze sobą nosi, czy to tylko taki rekwizyt?

- Trafne pytanie. - Ralph zastanowił się nad określeniem, którego Bili użył do opisanie Dorrance'a - „przerażający”. On sam by go tak nie nazwał, ale istotnie Marsteller należał do grupy wyjątkowych oryginałów. Nie był sklerotykiem (a przynajmniej nie sprawiał wrażenia sklerotyka), już raczej te jego z rzadka wypowiedane opinie wydawały się produktem mózgu nieco skrzywionego, owocem pojmowania świata w nieco nienaturalnej perspektywie.

Przypomniał sobie, że Dorrance był na miejscu tego letniego dnia w zeszłym roku, kiedy Ed staranował grubasa w pikapie. Uważał wtedy, że jego obecność dodała pieprzu przedstawieniu. No i Dor powiedział coś takiego dziwnego. Próbował sobie przypomnieć co, ale nie mógł.

McGovern znów gapił się na ulicę. Młody człowiek wyszedł właśnie z domu, przed którym stała półciężarówka, pogwizdując wesoło. Ów młody człowiek, najwyżej dwudziestopięciolatek, sprawiający wrażenie kogoś, komu jeszcze nigdy w życiu niepotrzebna była żadna usługa medyczna, pchał przed sobą wózek z przywiązany do niego podłużnym zielonym pojemnikiem.

- Pusty - powiedział McGovern. - Nie było cię, kiedy dostarczyli pełne.

Drugi młody człowiek, również w kombinezonie, wyszedł przed drzwi małego domu, pomalowanego na żółto, z ciemnoróżowym wykończeniem. Przez moment stał na ganku z ręką na klamce, najwyraźniej rozmawiając z kimś w środku, a potem zamknął drzwi i lekko pobiegł ścieżką. Zdążył jeszcze pomóc koledze załadować wózek z pojemnikiem do półciężarówki.

- Tlen? - spytał Ralph. McGovern skinął głową.

- Dla pani Locher?

McGovern skinął głową jeszcze raz, patrząc, jak młodzi ludzie zatraskują tylne drzwi samochodu i stojąc obok nich w zapadającej z wolna ciemności, rozmawiają cicho.

- Chodziłem do podstawówki i pierwszych klas liceum z May Locher. Dawno, dawno temu, w Cardville, ojczyźnie

bohaterów i krainie bydła. W ostatniej klasie podstawówki było nas tylko pięcioro. W

tamtym czasach miała opinię „gorącej sztuki”, a takich jak ja nazywano „pachnącymi chłopaczkami”. W owych wesołych, dawno minionych latach pedał to było coś, co się przyciskało, żeby rower ruszył.

Ralph opuścił wzrok na swe dłonie. Był zażenowany i nie wiedział, co powiedzieć. Zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że McGovern jest homoseksualistą, zdawał sobie z tego sprawę od lat, ale Bili nigdy nie wspomniał o tym głośno - aż do dziś. Ralph wolałby raczej, żeby zachował tę rewelację na inny dzień, najlepiej taki, w którym jego, Ralfa, mózg różniłby się czymś od gęsiego gówna.

- Zdarzyło się to jakieś tysiąc lat temu. Któż mógłby pomyśleć, że oboje nas fala wyniesie na wybrzeża Harris Avenue?

- To rozedma płuc, prawda?

- Prawda. Jedna z tych chorób, z których nie ma wyjścia. Starzenie się to nie zajęcie dla mięczaków, prawda?

- Rzeczywiście, nie dla mięczaków - przytaknął Ralph i nagle z całą siłą objawiła mu się fundamentalna prawda tego twierdzenia. Pomyślał o Carolyn i o przerażeniu, które odczuwał, kiedy wszedł do mieszkania chwiejnie, w przemoczonych butach, i zobaczył, jak leży między kuchnią a dużym pokojem... dokładnie w miejscu, w którym stał podczas rozmowy z Helen. Konfrontacja z Edem Deepneau była niczym w porównaniu z przerażeniem, jakie czuł wówczas, pewien, że jego żona nie żyje.

- Pamiętam, kiedy przywozili jej tlen raz na dwa tygodnie czy coś koło tego - mówił dalej McGovern. - Teraz przyjeżdżają w poniedziałki i czwartki, regularnie jak w zegarku. Odwiedzam ją, kiedy tylko mogę, czasami jej czytam (przeważnie najnudniejsze kawałki z tych kobiecych magazynów), a czasami tylko siedzimy i gadamy. Mówi, że czuje się tak, jakby jej płuca wypełniono wodorostami. To już nie potrwa długo. Pewnego dnia przyjadą i zamiast załadować na samochód puste butle tlenu, załadują May. Zabiorą ją do szpitala i to będzie koniec.

- Paliła papierosy? - spytał Ralph.

McGovern obrzucił go spojrzeniem tak dziwnym i obcym i tak nie pasującym do jego szczupłej, spokojnej twarzy, że Ralph dopiero po kilku sekundach zorientował się, co wyraża. Pogardę.

- May Perrault w życiu nie wypaliła papierosa. Płaci za

dwadzieścia lat pracy w farbiarni tkalni w Corinna i drugie dwadzieścia przy krośnie tkalni w Newport. Próbuje oddychać przez bawełnę, wełnę i włókna tworzyw sztucznych, nie wodorosty.

Dwaj młodzi mężczyźni z „Usług medycznych” wsiedli do półciężarówki i odjechali.

- Maine to północno-wschodni kraniec Appalachów, Ralph - mnóstwo ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy, lecz to prawda - i May umiera na chorobę appalachiańską. Doktorzy nazywają ją włókienniczymi płucami.

- Bardzo to przykre. Domyślałam się, że wiele dla ciebie znaczyła.

McGovern roześmiał się niewesoło.

- Nie. Odwiedzam ją, bo przypadkiem May jest ostatnim świadectwem mej zmarnowanej młodości. Czytam jej czasami i zawsze zmuszam się do zjedzenia jej dwóch suchych ciasteczek. To chyba wszystko. Mam bezpiecznie egoistyczne motywy, uwierz mi.

Bezpiecznie egoistyczne, pomyślał Ralph. Jakie to dziwne określenie. I jakie typowe dla McGoverna.

- Dajmy jej spokój - powiedział Bili. - Na ustach wszystkich Amerykanów wisi jedno i tylko jedno pytanie: co zrobimy z tobą? Whisky nie pomogła?

- Nie. Obawiam się, że nie.

- Nie chcę urazić twoich uczuć, ale czy dałeś jej szansę? Ralph skinął głową.

- Cóż, musisz coś zrobić z workami pod oczami albo nigdy nie zdobędziesz tej naszej prześlizanej Lois. - McGovern spojrzał w twarz Ralpha i westchnął. - Nie rozbawiłem cię, co?

- Nie rozbawiłeś. To był cholernie długi dzień.

- Przepraszam.

- Nie ma za co.

Przez chwilę siedzieli w przyjacielskiej ciszy, obserwując ruch w tej części Harris Avenue. Trzy małe dziewczynki grały w klasy na parkingu „Jabłuszka” po przeciwnej stronie ulicy, obok nich stała wyprostowana jak wartownik pani Perrine, nie spuszczać ich z oczu. Minął ich chłopiec w czapeczce Czerwonych Skarpet obróconej daszkiem do tyłu, podskakując w rytm muzyki z walkmana. Naprzeciw domu Lois dwójka dzieci rzucała do siebie frisbee. Gdzieś zaszczekał pies. Jakaś kobieta krzyczała na Sama: ma natychmiast wrócić do domu i zabrać ze sobą siostrę. Zwykła serenada małomiasteczkowej uliczki, ni mniej, ni więcej, lecz w uszach Ralpha brzmiała ona fałszywie. Przypuszczał, że to dlatego, iż ostatnio częściej obserwował Harris Avenue całkowicie opustoszałą. Obrócił się do McGoverna i powiedział:

- Wiesz, jaka była moja pierwsza myśl, kiedy zobaczyłem cię na parkingu „Jabłuszka”? Mimo tego, co się tam akurat działo?

McGovern potrząsnął głową.

- Pomyślałem: „Gdzie do cholery podział się jego kapelusz?” Panama. Dziwnie bez

niego wyglądałeś. Prawie jakbyś był nagi. No to co? Gdzieś ukrył ten skarb, synu?

Bili dotknął czubka głowy. Resztki delikatnych, jakby dziecinnych białych włosów zaczesane miał starannie na różowej czaszce, z lewa na prawo.

- Nie mam pojęcia, gdzie się podziała. Nie mogłem jej znaleźć dziś rano. Prawie nigdy nie zapominam rzucić jej na stolik przy drzwiach wejściowych, kiedy tylko wracam do domu, ale tam jej nie ma. Przypuszczam, że tym razem położyłem ją gdzie indziej i po prostu na śmierć zapomniałem gdzie. Jeszcze rok, dwa i będę chodził w gaciach, na darmo szukając zgubionych spodni. A wszystko to jest częścią cudownego procesu starzenia się, prawda, Ralph?

Ralph uśmiechnął się i skinął głową, myśląc o tym, że ze wszystkich starszych ludzi, a znał ich - przynajmniej na zasadzie „jak się masz?” podczas spotkania w parku - ze trzy tuziny, na starość psioczył najbardziej właśnie Bili. Młodość i wiek średni, z którym się właśnie pożegnał, traktował jak generał żołnierzy, którzy zdezerterowali w przededniu wielkiej bitwy. Nie miał jednak zamiaru mu tego powiedzieć. Każdy ma jakieś swoje dziwactwa, a teatralnie upiorne dowcipy McGoverna na temat starości były właśnie jego dziwactwem.

- Powiedziałem coś śmiesznego? - zainteresował się Bili.

- Słucham?

- Uśmiechałeś się, więc byłem pewien, że powiedziałem coś śmiesznego. - McGovern jakby trochę się obraził. Dziwne, w końcu to on bezustannie podkpiwał z sąsiada i pięknej wdówki, ale Ralph uświadomił sobie, że dla Billa dzień ten też był długi i ciężki.

- Wcale nie myślałem o tobie - wyjaśnił. - Przypomniałem sobie, że Carolyn była całkiem podobnego zdania: mówiła, że starość jest jak obrzydliwy deser podany po doskonałym posiłku.

Przynajmniej częściowo nie było to kłamstwo. Carolyn użyła tego sformułowania, choć miała na myśli guz mózgu, a nie życie ludzi starszych. I wcale nie była taka znowu „starsza”, umierała mając sześćdziesiąt cztery lata i jeszcze kilka tygodni przed śmiercią twierdziła, że czuje się, jakby miała ich zaledwie połowę.

Grające w klasy dziewczynki skończyły, podeszły do krawężnika, spojrzały w lewo i w prawo, sprawdzając, czy nic nie jedzie, złapały się za ręce i ze śmiechem przebiegły przez ulicę. Ralphowi przez moment wydawało się, że otacza je szara poświata - aureola oświetlająca ich policzki, czoła, roześmiane oczy, jak jakiś dziwny, przezroczysty ogień świętego Elma. Przestraszył się, zamknął oczy i zaraz je otworzył. Szara poświata, którą wyobraził sobie wokół dziewczynek, znikła. Poczł wielką ulgę, ale... musi przespać noc,

musi przespać noc, i to jak najszybciej.

- Ralph? - głos McGoverna wydawał się dobiegać z najdalszego kąta ganku, choć żaden z nich nawet się nie poruszył. - Dobrze się czujesz?

- Jasne. Po prostu myślałem o Edzie i Helen, to wszystko. Podejrzewałeś chociaż, że on wariuje, Bili?

McGovern zdecydowanie potrząsnął głową.

- Niczego nie podejrzewałem. I choć od czasu do czasu widziałem sińce na ciele Helen, zawsze wierzyłem, gdy opowiadała, jak się ich nabawiła. Do tej pory nie uważałem się za człowieka szczególnie łatwowiernego, ale wobec ostatnich wydarzeń będę chyba musiał rozważyć zmianę tej oceny.

- Jak myślisz, co z nimi będzie? Powrózysz? McGovern westchnął i dotknął czubka głowy. Bezwiednie

szukał panamy.

- *Znasz* mnie, Ralph. Jestem cynikiem z długiej linii cyników. Uważam, że konflikty między ludźmi nie kończą się tak jak w serialach telewizyjnych. W rzeczywistości wracają raz za razem, kręcą się po spirali, aż wreszcie znikają. Tylko że tak naprawdę one wcale nie znikają. Wysychają jak kałuże w promieniach słońca. - Przerwał, a potem dodał: - I na ogół zostawiają po sobie identyczny brud.

- Boże! To rzeczywiście cyniczne. McGovern wzruszył ramionami.

- Emerytowani nauczyciele na ogół są cyniczni. Widzimy, jak oni się pojawiają, tacy młodzi, tacy silni, tacy pewni, że z nimi będzie inaczej, i widzimy, jak wpadają w gówno i babrzą się w nim dokładnie tak, jak ich ojcowie i dziadkowie. Moim zdaniem Helen do niego wróci i Ed przez jakiś czas będzie

w porządku, a potem znów ją pobije i ona znów odejdzie. Jak w jednej z tych łzawych piosenek country, których pełna jest szafa w „Nicky’s Lunch”. Niektórzy ludzie długo muszą słuchać takich piosenek, nim zdecydują, że mają dosyć. Ale Helen to bystra dziewczyna. Jej wystarczy jeszcze jedna zwrotka.

- Być może to wszystko, czego będzie musiała wysłuchać - powiedział cicho Ralph. - Nie mówimy tu o mężu pijaku, który pobił żonę w piątek w nocy, bo wrzeszczała, że przegrał w pokera czek z wyplatą.

- Wiem, ale poprosiłeś o wróżbę, więc powrózyłem. Moim zdaniem wystarczy jeszcze jeden raz i Helen przyzna się przed sobą, że ma dość. Ale mimo wszystko od czasu do czasu będą na siebie wpadali. To w końcu bardzo niewielkie miasteczko. - Bili przerwał, wypatrując czegoś na ulicy. - Popatrz, popatrz - powiedział. - Ta nasza Lois! Śliczna jak dzisiejszy

zachód słońca.

Ralph rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie, którego McGovern albo nie zauważył, albo udał, że nie zauważa. Wstał, jeszcze raz dotykając koniuszkami palców miejsca, w którym nie było już panamy, i zszedł z ganku, by powitać gościa na ścieżce.

- Lois - zadeklamował, przyklękając przed nią i teatralnym gestem wyciągając rękę. - Gdybyż nasze życie złączyły gwiazdne pęta miłości! Połącz ze mną swój los i daj się unieść na Wyspy Szczęśliwe w złotym rolls-roysie mej miłości!

- No... masz na myśli podróż poślubną czy może łóżko na jedną noc? - spytała Lois, uśmiechając się niepewnie.

Ralph trącił Billa w kark.

- Wstawaj - zakomenderował i przyjął od Lois małą torebkę. Zajrzał. W środku były trzy piwa.

McGovern poderwał się na równe nogi.

- Wybacz, Lois - zadeklamował. - Oszołomił mnie i letni zmrok, i twa piękność. Innymi słowy, chcę wyłgać się częściową niepoczytalnością.

Lois obdarzyła go uśmiechem i zwróciła się do Ralpa.

- Słyszałam, co się stało - powiedziała. - Przyjechałam z powrotem jak najszybciej. Całe popołudnie spędziłam w Ludlow, grając w groszowego pokera z dziewczętami.

Ralph nawet nie musiał patrzeć na Billa, by wiedzieć, że jego lewa, ta wymowna, brew (Poker z dziewczętami? Jak to cudownie, jak doskonale pasuje do tej naszej Lois!) wędruje w górę tak wysoko, jak to tylko możliwe.

- Co z Helen?

- Nic. Nic złego. To znaczy, tę noc musi spędzić w szpitalu, ale nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

- A dziecko?

- W porządku. Jest u jej przyjaciółki.

- Doskonale. No, panowie, chodźcie i wszystko mi opowiedzcie. - Podała jedno ramię Ralphowi, drugie Billowi i poprowadziła ich obu na ganek. W tym szyku weszli na schody, dwaj podstarzali muszkietierowie i - pomiędzy nimi, wreszcie bezpieczna - kobieta, o której względy walczyli w szumnych latach młodości, a kiedy Lois siadała na swym bujanym fotelu, na Harris Avenue zapaliły się światła, lśniące w zapadającym mroku niczym podwójny sznur pereł.

Ralph zasnął w chwili, gdy jego głowa dotknęła poduszki, i obudził się zupełnie przytomny o wpół do czwartej w piątkowy rano. Od razu zdał sobie sprawę z tego, że o

dalszym śnie nie ma mowy; już lepiej od razu zasiąść w fotelu z widokiem na ulicę.

Mimo wszystko na razie pozostał w łóżku, wpatrując się w ciemność i próbując przypomnieć sobie sen, który miał tej nocy. Ale nie mógł *go* sobie przypomnieć. Pamiętał tylko, że był w nim Ed... Helen... a także Rosalie, bezpański pies, którego widywał czasami, jak kuśtyka ulicą, zanim pojawi się na niej gazeciarz Pete.

Był w nim także Dorrance. Nie zapomnij o nim.

Tak, słusznie. I naraz, jakby klucz obrócił się w zamku, przypomniał sobie tę dziwną rzecz, którą Dor powiedział latem, podczas konfrontacji między Edem i Grubym, to, czego nie mógł sobie przypomnieć poprzedniego wieczora. Przycisnął wtedy Eda do pociętej maski jego datsuna z nadzieją, że zdoła przytrzymać go wystarczająco długo, by odzyskał rozsądek, i wtedy Dorrance powiedział

(na twoim miejscu)

że nie powinien go dotykać.

- Powiedział, że nie widzi moich dłoni - szepnął Ralph, opuszczając stopy na podłogę.

- Dokładnie tak powiedział.

Przez dłuższą chwilę siedział na łóżku z opuszczoną głową, z dziko sterczącymi z tyłu głowy włosami, trzymając między udami luźno splecione dłonie. W końcu wsunął kapcie na stopy i powłókł się do dużego pokoju. Najwyższy czas rozpocząć oczekiwanie na wschód słońca.

Rozdział 4

Choć cynicy zawsze sprawiają wrażenie wiedzących o świecie więcej niż zakamieniali optymiści, doświadczenie Ralpha wskazywało na to, że mylą się równie często, jeśli nie częściej. Z radością stwierdził też, że McGovern pomylił się co do Helen Deepneau - w jej przypadku, jak się okazało, wystarczyła jedna zwrotka „Bluesa Pobitego Ciała i Złamanego Serca”.

W następną środę, kiedy był już prawie zdecydowany znaleźć kobietę, o której Helen wspomniała w rozmowie (nazywa się Tillbury, tak - Gretchen Tillbury) i przynajmniej się upewnić, że z Helen wszystko w porządku, dostał od niej list. Adres zwrotny był wyjątkowo prosty: Helen i Nat, „Na Zboczu”, lecz i to wystarczyło, by poczuł ulgę. Usiadł na swoim krześle na ganku, rozerwał kopertę i wyjął z niej dwie kartki papieru w linię, dokumentnie zaczerpionego pochyłym pismem Helen.

Drogi Ralphie - zaczynał się list.

Pewnie doszedłeś do wniosku, że jednak się na Ciebie gniewam, ale wcale tak nie jest. Chodzi po prostu o to, że przez pierwsze kilka dni nie powinniśmy kontaktować się z nikim, ani telefonicznie, ani listownie. Takie zasady obowiązują w tym domu. Bardzo mi się tu podoba i Nat też. Nic dziwnego, ma przynajmniej sześcioro rówieśników, z którymi może sobie pełzać po podłodze. Jeśli o mnie chodzi, spotkałam więcej kobiet, które przeszły przez to co ja, niż mogłabym sobie wyobrazić w najśmielszych snach. No, bo czasami widzisz takie rzeczy w telewizji - Oprah rozmawia z kobietami, które kochają mężczyzn używających ich jako worki treningowe - ale kiedy coś takiego zdarzy się tobie, musisz myśleć, że w ten sposób nie

zdarzyło się to jeszcze nikomu od początku świata. Ulga, którą poczułam, kiedy przekonałam się, że to nieprawda, była jedną z najlepszych rzeczy, jakie mi się ostatnimi czasy przydarzyły.

Dalej Helen pisała o obowiązkach, które jej przydzielono: o pracy w ogrodzie, pomocy w malowaniu szopy na narzędzia, o myciu okiennic octem z wodą i o przygotowaniach Natalie związanych ze stawianiem pierwszych kroków. Reszta listu mówiła o tym, co zaszło, i o tym, co Helen ma zamiar zrobić w związku z tym, co zaszło; jej słowa uświadomiły Ralphowi, z jaką uczuciową burzą musiała sobie poradzić, jej strach przed przyszłością i -

jako przeciwwagę strachu - wspaniałą determinację, by wybrać to, co najlepsze dla Nat... i dla niej samej. Odnosił wrażenie, że Helen dopiero teraz zaczęła odkrywać, iż ma prawo postępować tak, jak uważa za stosowne. Sprawilo mu to radość. Smutne było tylko to, że musiała przeżyć tyle strasznych chwil, by odkryć tę prostą prawdę.

Mam zamiar się z nim rozwieść. Jakaś część duszy (kiedy mówi, mówi głosem mojej matki) niemal we mnie wyje, gdy ujmuję to tak po prostu, ale zmęczyło mnie już oszukiwanie samej siebie. Sporo czasu zajmuje tu terapia, taka, co to ludzie siedzą w koło i zużywają cztery pudełka kleenexów na godzinę, ale wszystko wydaje się krążyć wokół jednej prostej sprawy: trzeba dokładnie zdać sobie sprawę z tego, w jakiej człowiek się znalazł sytuacji. W moim przypadku ta sytuacja jest całkiem prosta: mężczyzna, którego kocham, znikł, zastąpiony przez groźnego paranoika. To, że czasami jest słodki i uroczy, nic nie zmienia, tylko odwraca uwagę. Muszę wciąż pamiętać, że mężczyzna, który kiedyś przynosił mi własnoręcznie zebrane kwiaty, potrafi siedzieć na ganku i rozmawiać z kimś, kogo nie ma - nazywa go „Małym łysym doktorkiem”. Śliczne, nie? Chyba wiem, jak to wszystko się zaczęło, i kiedy się spotkamy, opowiem ci, jeśli zechcesz.

W połowie września powinnam wrócić do domu na Harris Avenue (przynajmniej na jakiś czas), choćby po to, żeby poszukać pracy... ale teraz nie chcę o tym pisać, ta sprawa przeraża mnie śmiertelnie. Dostałam list od Eda, tylko kilka zdań, ale i tak bardzo mi ulżyło. Píše, że mieszka w jednym z domków na terenie Hawking Laboratories, że ma zamiar dotrzymać warunków zwolnienia za kaucją, że nie będzie

próbował się ze mną skontaktować. Napisał, że bardzo żałuje wszystkiego, co zrobił, ale wcale tego z listu nie wyczułam. Nie to, żebym spodziewała się plam po łzach na papierze - albo paczki z odciętym uchem - ale... już sama nie wiem. Mam wrażenie, że niczego nie żałuje, po prostu napisał tak na odczepnego. Czy mówię z sensem? Przesłał mi także czek na siedemset pięćdziesiąt dolarów, co może oznaczać, że zdaje sobie sprawę ze swych obowiązków. Przyda się... ale byłabym szczęśliwsza, gdyby napisał, że zaczął się leczyć. Taki powinien dostać wyrok - osiemnaście miesięcy intensywnego leczenia. Powiedziałam to podczas terapii i kilka kobiet roześmiało się głośno. Pewnie uważały, że żartuję, ale ja wcale nie żartowałam.

Czasami, kiedy myślę o przyszłości, widzę przerażające obrazy: jak stoimy w kolejce po darmową zupę, jak idę do schroniska dla bezdomnych na Trzeciej Ulicy, w ramionach trzymam Nat owiniętą w koc. Na samą myśl o tym cała drżę, a czasami płaczę. Wiem, że to głupie - na litość boską, mam przecież magisterium z bibliotekoznawstwa! - ale nie mogę na to poradzić. A wiesz, co mi pomaga przetrwać, kiedy pojawiają się te straszne obrazy? To, co

powiedziałaś, kiedy zaprowadziłaś mnie za ladę „Jabluszka” i pomogłaś usiąść. Powiedziałaś mi, że mam w sąsiedztwie wielu przyjaciół i że z pewnością sobie poradzę. Wiem, że mam przynajmniej jednego przyjaciela. Jednego prawdziwego przyjaciela.

Kocham cię. Helen

Ralph wytarł łzy z kącików oczu - płakał ostatnio nawet nad rozbitym jajkiem, prawdopodobnie dlatego, że był taki cholernie zmęczony - i przeczytał PS, wtłoczone na sam dół kartki i biegnące w górę prawym marginesem:

Bardzo bym chciała, żebyś przyjechał w odwiedziny, ale mężczyźni nie przyjmują się tu z powodów, które z pewnością rozumiesz. Zniechęcają nas nawet do pisania, gdzie dokładnie jesteśmy!

H.

Chwilę siedział z listem Helen na kolanach, wpatrując się w Harris Avenue. Był sam koniec sierpnia, nadal lato, ale liście na klonach zaczynały mienić się srebrem, kiedy poruszył je wiatr, i zrobiło się wyraźnie chłodniej. W oknie wystawowym „Jabluszka” pojawiła się wywieszka: WSZYSTKIE ARTYKUŁY SZKOLNE TYLKO U NAS! Gdzieś przy granicy Newport, w wielkim starym domu na farmie, gdzie maltretowane kobiety próbują posklejać swoje rozbite życia, Helen Deepneau myła okiennice, przygotowując je do kolejnej ciężkiej zimy.

Ostrożnie wsunął list z powrotem do koperty. Jak długo Ed i Helen byli małżeństwem? Chyba sześć, może siedem lat. Carolyn wiedziałaby na pewno. Ile trzeba mieć odwagi, by ruszyć traktor i zaorać plony, które uprawiało się sześć, może siedem lat? Ile odwagi trzeba, by zaorać zboże, kiedy wszystkie te lata spędziło się na nauce, kiedy siał, jak podlewać, kiedy zbierać? Ile trzeba odwagi, by powiedzieć: „Muszę dać sobie spokój z groszkiem, groszek na nic mi się nie przyda, spróbuję raczej z fasolą albo z kukurydzą”?

- Mnóstwo - powiedział cicho i znów przetarł oczy. - Moim zdaniem potrzeba do tego całe mnóstwo odwagi.

Nagle zamarzył, żeby odwiedzić Helen, powtórzyć słowa, których prawie nie pamiętał, choć ona zapamiętała je bezbłędnie: „Wszystko będzie dobrze, przeżyjesz, masz w sąsiedztwie mnóstwo przyjaciół”.

- Nie zapomnij - powiedział. List od Helen sprawił, że wielki kamień spadł mu z serca. Wstał, wsadził list do tylnej kieszeni spodni i poszedł Harris Avenue w stronę terenu piknikowego na Extension. Jeśli będzie miał szczęście, spotka Faye’a Chapina lub Dona Yeaziego i zagra partyjkę szachów.

List od Helen nie pomógł niestety na bezsenność i zanim nadszedł Dzień Pracy Ralph

budził się za piętnaście trzecia. Dziesiątego września - w dniu, kiedy Ed został aresztowany powtórnie, tym razem wraz z piętnastoma innymi osobami - Ralph sypiał już zaledwie trzy godziny i czuł się jak coś, co żyje na szkiełku podstawowym pod mikroskopem. To ja, maleńki biedny pantofelek, pomyślał i pożałował, że nie potrafi się roześmiać.

Lista całkowicie pewnych i stuprocentowo niezawodnych środków domowych, które poznał, wydłużała się nieustannie. Nieraz przychodziło mu do głowy, że mógłby napisać na ten

temat całkiem zabawną książeczkę... gdyby tylko spał tyle, żeby być zdolnym do logicznego myślenia. Na razie szło mu jeszcze nieźle i nawet wkładał skarpetki do pary, ale bezustannie prześladowało go wspomnienie owej przerażającej chwili, kiedy to szukał w szafce zupy w proszku. Coś tak strasznego już się nie powtórzyło, bo przecież każdej nocy łąpał odrobinę snu, ale żył w strachu, że kiedyś znów znajdzie się w podobnej albo nawet jeszcze gorszej sytuacji... jeśli nic się nie zmieni. Zdarzały się chwile (najczęściej o wpół do piątej, gdy siedział w fotelu, przyglądając się Harris Avenue), kiedy mógłby przysiąc, że słyszy, jak mózg wycieka mu uszami.

Poznał całą gamę lekarstw na bezsenność - od wyrafinowanych do absurdalnych. Przykładem pierwszych były te z kolorowego prospektu reklamującego cuda osiągnięte w Instytucie Badania Snu w St. Paul w Minnesocie. Doskonałym przykładem tych ostatnich był zaś, sprzedawany z ogłoszenia w dostępnych w każdym supermarkecie brukowców takich jak *National Enquirer* i *Inside View*, amulet pomagający na wszystko. Sue, sprzedawczyni z „Jabłuszka”, kupiła taki amulet i pewnego popołudnia dała mu go w prezencie. Ralph przyjrzał się byle jak namalowanemu niebieskiemu oku na medalionie (który, jego zdaniem, urodził się jako żeton do pokera) i poczuł, że za chwilę zacznie się dziko śmiać. Udało mu się jakoś powstrzymać ten śmiech do chwili, gdy znalazł się w domu i był już bezpieczny, za co szczerze podziękował losowi. Powaga, z jaką Sue mu go wręczyła - i kosztownie wyglądający złoty łańcuszek, na którym wisiał - świadczyły, że nie szczędziła pieniędzy. Od czasu gdy oboje ratowali Helen, traktowała go niemal jak bohatera. Żenowało go to, ale nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Na razie uznał, że medalion nie zaszkodzi, a Sue sprawi przyjemność, jeśli będzie widziała jego zarys pod koszulą. Tyle że nie spał od tego dłużej.

Po wysłuchaniu pełnego zeznania Ralpha na temat jego udziału w domowych problemach rodziny Deepneau, detektyw John Leydecker odsunął fotel od biurka, podparł całkiem spory podbródek na splecionych palcach obu dłoni i przyznał, że McGovern poinformował go o problemach, które jego sąsiad ma ze snem. Ralph przyznał, że rzeczywiście ma problemy ze snem. Policjant skinął głową, przysunął się do biurka, oparł

ręce na zawalających je kompletnie papierach i spojrział na niego poważnie.

- Plastry miodu - stwierdził takim tonem, jakim wcześniej

Bili mówił o whisky, a Ralph odpowiedział mu też identycznie jak Billowi:

- Przepraszam, nie zrozumiałem.

- Mój dziadek przysięgał, że są stuprocentowo skuteczne. Kawalek plastra miodu tuż przed pójściem do łóżka. Trzeba wyssać miód, pożuć wosk, tak jak się żuje gumę, a potem go wypluć. Pszczoły robiąc miód, wydzielają coś w rodzaju naturalnego środka uspokajającego. Będziesz spał jak dziecko.

- Naprawdę? - Ralph uznał to za największą bzdurę świata i jednocześnie wierzył święcie w każde słowo. - A jak myślisz, gdzie dostanę plaster miodu?

- W „Nutra”, sklepie ze zdrową żywnością w centrum. Spróbuj. Za tydzień zapomnisz, że miałeś kłopoty ze spaniem.

Ten szczególny eksperyment sprawił Ralphowi ogromną przyjemność - plaster miodu był tak słodki i działał tak wspaniale, że wydawał się przesycać energią całe jego ciało - ale po pierwszej dawce obudził się o trzeciej dziesięć rano, po drugiej o trzeciej osiem, a po trzeciej o trzeciej siedem. Mały kawałek plastra, który kupił w „Nutra”, wystarczył mu na trzy porcje i gdy tylko się skończył, Ralph natychmiast kupił sobie następny. Jako środek nasenny nie nadawał się on do niczego, ale smakował wspaniale i Ralph żałował tylko, że odkrył to tak późno.

Próbował moczyć nogi w zimnej wodzie. Lois kupiła mu z katalogu coś, co nazywało się „Galaretką na wszelkie dolegliwości”. Galaretkę w opakowaniu zakładało się na szyję, miała przynosić ulgę w przypadku artretyzmu i bezsenności, ale nie pomagała ani na jedno, ani na drugie (artretyzm Ralpha należał zresztą do wyjątkowo łagodnych). Po całkiem przypadkowym spotkaniu z Tnggerem Vachonem spróbował herbatki rumiankowej.

- Rumianek to cud - powiedział mu Trig. - Będziesz spał wspaniale.

I Ralph rzeczywiście spał wspaniale - do za dwie trzecia.

Te domowe recepty i środki homeopatyczne wypróbował. Nie wypróbował za to pigulek witaminowych, na które nie stać było emeryta, pozycji jogi nazywanej „śniący” (zdaniem listonosza, była ona doskonałym sposobem na obejrzenie sobie własnych hemoroidów) oraz palenia marihuany. Nad marihuaną zastanawiał się długo i bardzo poważnie, jednak w końcu doszedł do wniosku, że jest to - najpewniej nielegalna - wersja whisky, plastra miodu i rumianku. A poza

tym, gdyby dowiedział się o niej McGovern, już nigdy nie dałby mu spokoju.

Podczas każdego kolejnego eksperymentu jakiś głos bezustannie zadawał mu pytanie,

czy rzeczywiście ma zamiar dojść do etapu oka jaszczurki i języka żaby, zanim się podda i pójdzie do lekarza. Nie był to bynajmniej głos krytyczny, raczej szczerze zaintrygowany. Samego Ralpha kwestia ta też zresztą szczerze ciekawiła.

Dziesiątego września, w dniu, w którym „Przyjaciele Życia” urządzili pierwszą demonstrację pod Ośrodkiem Opieki nad Kobietami, Ralph zdecydował, że spróbuje znaleźć coś dla siebie w aptece - ale nie w „RexaU”, w śródmieściu, gdzie realizował recepty Carolyn. Tam go znali, znali go doskonale, i nie chciał, by Paul Durgjn, farmaceuta z „RexaU”, widział, jak kupuje środki nasenne. Prawdopodobnie to była taka sama głupota, jak chodzenie na drugi koniec miasta po prezerwatywy, ale ta głupota nie wpływała na stan jego uczuć. Nigdy jeszcze nie był w „Szczęściu w pigułce” po drugiej stronie parku Strawforda, więc tam właśnie zamierzał pójść. A jeśli farmaceutyczna odmiana oka jaszczurki i języka żaby nie pomoże, przyjdzie czas na lekarza.

Mówisz prawdę, Ralph? Naprawdę zdobędziesz się na pójście do lekarza?

- Naprawdę - powiedział głośno, idąc powoli Harris Avenue, skąpaną w jasnych promieniach wrześniowego słońca. - Niech mnie diabli, jeśli zamierzam znosić to dłużej.

Gadanie nic nie kosztuje - zauważył sceptycznie głos.

Bili McGovern i Lois Chasse stali na ulicy koło parku pogrążeni w rozmowie, która wyglądała na bardzo ożywioną dyskusję. Bili dostrzegł go i gestem poprosił, by podszedł bliżej. Ralph ruszył ku nim. Nie spodobało mu się to, co dostrzegł w ich twarzach - zachłanną ciekawość u McGoverna, przygnębienie i troskę u Lois.

- Słyszałeś o tym, co się stało pod szpitalem? - spytała go Lois, gdy tylko do nich dołączył.

- Nie o żadnym „tym”, tylko o demonstracji - no, przynajmniej oni tak ją nazwali - i nie pod szpitalem, tylko pod ośrodkiem, który znajduje się właściwie za szpitalem. Kilka osób trafiło do więzienia, coś od sześciu do kilkudziesięciu, opowieści różnią się w szczegółach.

- Aresztowali Eda Deepneau! - wydyszała Lois.

Bili spojrzał na nią z niesmakiem; najwyraźniej uważał, że wyjawienie tej nowiny należało do jego obowiązków.

- Eda? - zdumiał się Ralph. - Przecież Ed jest we Fresh Harbor!

- Błąd. - McGovern miał na głowie kapelusz fedorę, nadający mu nieco podejrzany wygląd; przypominał w nim dziennikarzy z kryminalistów z lat czterdziestych. Ralph nie wiedział, czy panama po prostu się nie znalazła, czy też dostała urlop na jesień. - Dziś po raz kolejny ma szansę ochłonać w naszym maleńkim malowniczym areszcie.

- A właściwie to co się stało?

Tego akurat nie wiedziało ani jedno, ani drugie. Na razie historia krążyła jako plotka, rozprzestrzeniająca się przez park niczym złośliwy katar, plotka szczególnie interesująca ludzi w tej części miasta ze względu na osobę Eda Deepneau. Marie Callan powiedziała Lois, że polecały kamienie i dlatego część demonstrantów aresztowano. Według Stana Eberly'ego, który spotkał Billa, zanim Bili spotkał Lois, ktoś - może Ed Deepneau, a może i nie - rzucił się na lekarzy idących kładką pomiędzy ośrodkiem a tylnym wejściem do szpitala. Kładka - przynajmniej technicznie - dostępna była dla wszystkich, więc od siedmiu lat, kiedy to w ośrodku zaczęto przeprowadzać aborcje na życzenie, stanowiła ulubione miejsce zbiórki demonstrantów.

Obie wersje wydawały się tak ogólne i tak wzajemnie sprzeczne, że Ralphowi trochę ulżyło, bo być może żadna z nich nie była prawdziwa, być może po prostu kilku co bardziej zapalonych demonstrantów aresztowano za to, że weszli tam, gdzie nie wolno wchodzić. W miasteczkach wielkości Derry coś takiego łatwo mogło się zdarzyć. Przechodząc z ust do ust, opowieści rosły i puchły jak tocząca się górskim zboczem śniegowa kula. Mimo wszystko miał nieodparte wrażenie, że tym razem sprawa może być poważniejsza, bo i Bili, i Lois wspomnieli Eda, a Eda trudno było uznać za przeciętnego przeciwnika aborcji. W końcu to Ed wyrwał żonie kłęb włosów, wybił kilka zębów i uszkodził kość policzkową tylko dlatego, że dostrzegł jej podpis pod petycją, w której wspomniany był ośrodek. To Ed wydawał się święcie przekonany, że ktoś nazywający samego siebie Karmazynowym Królem - świetne przezwisko dla zapaśnika w wolnej amerykance - opanował Derry, a jego słudzy wywozą ciała swych nie narodzonych ofiar ciężarówkami... by nie wspomnieć już o paru pikapach z płodami załadowanymi do beczek z napisem „Nawóz Organiczny”. Nie, jeśli w demonstracji uczestniczył

Ed, to najprawdopodobniej chodziło nie tylko o to, że ktoś przypadkowo uderzył głową w drążek transparentu.

- Chodźcie do mnie - zaproponowała nagle Lois. - Zadzwoń do Simone Castonguay. Jej siostrzenica jest dzienną recepcjonistką w ośrodku. Jeśli w ogóle ktoś wie, co rzeczywiście zdarzyło się tam dziś rano, to z pewnością Simone. Założę się, że dzwoniła już do Barbary.

- Właśnie szedłem do supermarketu. - Ralph oczywiście kłamał, ale było to kłamstwo niewinne. W pasażu handlowym, pół przecznicy licząc od parku, „Szczęście w pigułce” sąsiadowało bezpośrednio ze sklepem. - Wpadnę wracając, dobrze?

- Doskonale. - Lois uśmiechnęła się do niego serdecznie. - Prawda, Bili?

- Oczywiście. - I McGovern pochwyił ją nagle w ramiona. Lois stała dość daleko, ale mimo to udało mu się ją objąć. - A tymczasem będę cię miał tylko dla siebie. Och, kochanie,

jak słodko upłyną nam te chwile!

Opodal, w parku, stała grupka kobiet z dziecinnymi wózkami (Zakonnice Zakonu Plotkarskich Matek, pomyślał Ralph) i przyglądała im się, prawdopodobnie zainteresowana gestami Lois, które w chwilach podniecenia nabierały rozmachu. Teraz, kiedy McGovern przechylił Lois, wpatrując się jej w twarz z udanym uczuciem niczym kiepski aktor podczas teatralnego tanga, jedna z nich powiedziała coś do drugiej i obie się roześmiały cienkim, nieprzyjemnym śmiechem, kojarzącym się Ralphowi z piskiem kredy po tablicy albo widelca po porcelanowym talerzu. „Popatrzcie tylko na tych zabawnych staruszków”, mówił ich śmiech. „Popatrzcie tylko na tych zabawnych staruszków udających, że znów są młodzi”.

Ralph spojrział na nie twardo, nieprzyjaźnie, starając się przesłać im telepatycznie myśl: „Wy też kiedyś będziecie stare. Być może nie wierzycie w to, ale też kiedyś będziecie stare”.

- Przestań! - Lois zarumieniła się, i to chyba nie tylko z powodu zwykłych sztuczek Billa. Ona także usłyszała dobiegający z parku śmiech. McGovern również musiał go usłyszeć, lecz pewnie sądził, że kobiety śmieją się nie z niego, lecz do niego. Czasami, pomyślał ze znużeniem Ralph, przekonanie o własnej wyższości bywa niezłą ochroną przed rzeczywistością.

McGovern puścił Lois, zerwał z głowy kapelusz i przyłożył go do piersi, składając jej przesadnie niski ukłon. Lois była zajęta sprawdzaniem, czy jedwabna bluzka tkwi w spódnicy na całej długości, i nie zwracała na niego szczególnej uwagi. Rumieniec już schodził jej z twarzy; Ralph zauważył, że jest blada i nie wygląda szczególnie dobrze. Miał nadzieję, że się czymś nie zaraziła.

- Przyjdź, jeśli zdołasz, Ralph - poprosiła.

- Przyjdę - obiecał.

McGovern objął ją w talii - tym razem był to szczerzy i przyjacielski gest sympatii - i razem ruszyli ulicą. Ralph odprowadził ich wzrokiem. „Nagle doznał niesłychanie silnego uczucia déjà vu, jakby już gdzieś ich widział. W innym miejscu? W innym życiu? Gdy McGovern opuścił rękę i uczucie to minęło, uświadomił sobie, kogo mu przypominali: Freda Astaire'a prowadzącego ciemnowłosą, dość tęgą Ginger Rogers ku Oknowej dekoracji przedstawiającej małe miasteczko, gdzie mieli zaraz zatańczyć do muzyki Jerome'a Kerna albo Indna Berlinga.

Dziwne, pomyślał, ruszając w stronę niewielkiego pasażu handlowego znajdującego się mniej więcej w połowie Milowego Podejścia. Bardzo dziwne. Ralph. Bili McGovern i Lois Chasse różnią się od Freda Astaire'a i Ginger Rogers, i to cholernie się różnią...

- Ralph - zawołała Lois. Odwrócił się. Dzieliła ich odległość przecznicy i skrzyżowanie. Po Elizabeth Street przemykały samochody. Widział ich mniej więcej tak, jak słyszy się jąkałę.

- Co? - odkrzyknął.

- Lepiej wyglądasz! Jakbyś wypoczął! Zacząłeś wreszcie sypiać?

- Tak!

Kolejne małe kłamstwo w kolejnej dobrej sprawie, pomyślał.

- A nie mówiłam, że poczujesz się lepiej, gdy tylko minie lato? Do zobaczenia nieza długo!

Pomachała mu na pożegnanie i Ralph, niebotycznie zdumiony, dostrzegł jaskrawoniebieskie ukośne linie strzelające z jej krótkich, lecz starannie utrzymanych paznokci. Wyglądały trochę jak smugi kondensacyjne, które pozostawiają w powietrzu odrzutowce.

- Co do dia...!

Zamknął i zaraz otworzył oczy. Nic, tylko Bili i Lois, odwróceny do niego plecami, oddalający się w stronę jej domu. Żadnych jaskrawoniebieskich linii w powietrzu, nic z tych rzeczy...

Opuścił wzrok na chodnik i dostrzegł, że zostawili po sobie ślady w betonie, kubek w kubek jak na tych starych diagramach Arthura Murraya, tych do nauki tańca, które można kiedyś było zamówić pocztą. Lois były szare, McGovern - większe, ale mimo to przedziwne delikatne - ciemne, oliwkowozielone. Błyszczały na chodniku, Ralph zaś, stojąc po przeciwnej stronie Elizabeth Street ze szczęką zwisającą mu niemal na pierś, zdał sobie nagle sprawę, że widzi unoszące się z nich pasma kolorowego dymu... a może była to para?

Autobus miejski jadący na Old Cape przemknął ulicą, na moment zasłaniając mu widok, a kiedy przejechał, ślady znikły. Na chodniku nie było nic niezwykłego oprócz wyznania wpisanego kredą w blednące różowe serce: „Sam + Deanie na zawsze”.

Te ślady nie znikły, Ralph, ich tu w ogóle nie było. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Tak. Tak, oczywiście. Tak się go uczepiła myśl, że Bili i Lois wyglądają jak Fred Astaire i Ginger Rogers... że dostrzegał na chodniku ślady wyglądające jak diagram kroków tanecznych Arthura Murraya... Była w tym jakaś przewrotna logika. Mimo wszystko mocno go to wystraszyło. Serce biło mu szybko, a kiedy zamknął oczy i spróbował się uspokoić, dostrzegł Unie wybiegające z palców Lois niczym błękitne smugi kondensacyjne pozostawione przez odrzutowiec.

Muszę więcej spać. Muszę. Jeśli nie będę spać, zacznę dostrzegać różne inne dziwne rzeczy.

- Słusznie - mruknął pod nosem, ruszając w stronę apteki. - Różne inne dziwne rzeczy.

Dziesięć minut później Ralph stał już przed apteką, patrząc na zwisający z sufitu na łańcuchach znak z napisem: U NAS POCZUJESZ SIĘ LEPIEJ!, który sugerował najwyraźniej, że dobre samopoczucie to cel leżący w zasięgu każdego rozsądnego i ciężko pracującego klienta. Co do tego jednak żywił poważne wątpliwości.

„Szczęście w pigułce” prowadziło handel detaliczny lekami na wielką skalę - „Rexall”, do której to apteki chodził zazwyczaj, wyglądał przy „Szczęściu” jak niewielkie mieszkanie. Oświetlone jarzeniówkami przejścia między półkami

były długie jak tory do gry w kręgle. Sprzedawano tu chyba wszystko, od opiekaczy do grzanek po zabawki. Po dokładnym zbadaniu sytuacji Ralph uznał, że w przejściu nr 3 znajdzie najwięcej patentowanych środków medycznych i że tu powinien zacząć poszukiwania. Mijał powoli półki z napisami: ŚRODKI ŻOŁĄDKOWE, zatrzymał się przez chwilę w królestwie ŚRODKÓW PRZECIWBÓLOWYCH, szybko przekroczył krainę ŚRODKÓW PRZECZYSZCZAJĄCYCH. Tu właśnie, między środkami przeczyszczającymi a lekarskami na katar, znalazł to, czego szukał.

Panie i panowie - oto moja ostatnia nadzieja. Dalej jest już tylko doktor Litchfield, a jeśli doradzi mi plastry miodu albo herbatkę rumiankową, załamię się i dwóch pielęgniarek wraz z recepcjonistką nie starczy, żeby mnie z niego ściągnąć.

ŚRODKI NASENNE - głosił napis nad tą częścią przejścia nr 3.

Ralph, który nie przesadzał z używaniem gotowych leków (gdyby ich używał, niewątpliwie trafiłby tu wcześniej) nie za bardzo wiedział, czego powinien się spodziewać, zaskoczyło go jednak wściekle, niemal nieprzyzwoite bogactwo wyboru. Przemknął wzrokiem po opakowaniach (w większości kojąco błękitnych). Wydały mu się dziwne i nieco złowrogie wszystkie te Compozy, Nocale, Senolaxy, Noconexy, Sennexy i Seninexy; był tu nawet środek bez chronionej prawem nazwy firmowej!

To jakiś żart! - pomyślał. Nic z tego nie ma prawa zadziałać. Przestań pieprzyć, bracie, czyżbyś nie wiedział, że nic ci to nie da? Kiedy zaczyna się widzieć kolorowe odciski stóp na chodniku, kończy się z pieprzeniem w bambus i idzie się do lekarza.

Na skrzydłach tej myśli przyleciało jednak wspomnienie słów: „Twoja żona cierpi na migreny spowodowane napięciem nerwowym. Nieprzyjemne i bolesne, ale nie zagrażające życiu. Sądzę, że potrafimy się z nimi uporać”.

Nieprzyjemne i bolesne, ale nie zagrażające życiu - no tak, tak dokładnie powiedział

pan doktor. A potem sięgnął po bloczek recept i wypisał pierwszą z nich, na pierwszą porcję bezsensownych pigułek, a w głowie Carolyn komórki rakowe raz za razem wysyłały w organizm promienie śmierci i może doktor Jamal miał rację, może już wtedy było za późno, ale może Jamal pieprzył, może Jamal był po prostu obcy w obcym kraju, pływał na nieznanych sobie wodach i starał się nie wzburzyć fal. Może tak, może nie - Ralph nie wiedział i nigdy się tego

nie dowie. Wiedział tylko, że Litchfielda nie było, kiedy los postawił przed nimi dwa ostatnie cele w ich małżeństwie: ona miała umrzeć, on miał się temu przyglądać.

Czy tego naprawdę chcę? Iść do Litchfielda i patrzeć, jak znów sięga po bloczek recept?

Może to tu odniesie jakiś skutek - klócił się ze sobą... a raczej przeciw sobie. Jednocześnie jego ręka, jakby obdarzona własnym życiem, wyciągnęła się i wzięła z półki pudełko Sennexu. Obrócił je w dłoniach, nieco odsunął od oczu, by móc przeczytać małe literki umieszczone z boku, i powoli przestudiował skład. Nie miał zielonego pojęcia, jak wymówić większość długich słów, na których można było język sobie połamać, nie miał zielonego pojęcia, co oznaczają i czy to, co oznaczają, pozwoli mu dłużej spać.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał jakiś głos tuż za jego plecami.

Ralph odkładał właśnie Sennex na miejsce, zamierzając wybrać sobie coś o nazwie mniej złowieszczej i nie przypominającej aż w takim stopniu zabójczego leku z powieści Robina Cooka. Podskoczył i strącił na podłogę kilkanaście różnych opakowań syntetycznego snu.

- Och, przepraszam, ale ze mnie niezgraba - powiedział i obejrzał się.

- Ależ skąd. Przecież to moja wina. - I nim Ralph zdążył podnieść dwa pudełka Sennexu i jedno żelatynowych kapsułek Noconexu, mężczyzna w białym fartuchu, który tak go zaskoczył, zebrał resztę opakowań. Rozkładał je teraz na półkach ze zręcznością szulera z parowca na Missisipi, tasującego karty. Na piersi przypięty miał złoty identyfikator z informacją: „Joe Wyzer. Farmaceuta. Szczęście w pigułce”.

- A teraz - Wyzer zwrócił się do Ralpha z przyjaznym uśmiechem, otrzepując ręce - może tak zaczęlibyśmy od nowa? W czym mogę panu pomóc? Sprawiał pan wrażenie nieco zagubionego.

Pierwotną reakcją Ralpha: złość, że przeszkadzono mu, kiedy prowadził głęboką i trudną konwersację z samym sobą, zastąpiło ostrożne zainteresowanie.

- No, nie wiem - powiedział, szerokim gestem wskazując porcję czarodziejskich mikstur. - Czy coś z tego rzeczywiście działa?

Wyzer uśmiechnął się jeszcze szerzej. Był wysokim mężczyzną w średnim wieku, o jasnej cerze i rzędzących brązowych

włosach z przedziałkiem pośrodku. Wyciągnął rękę. Ralph zaledwie zdążył poruszyć dłoń, chcąc odwzajemnić ten uprzejmy gest, kiedy została ona po prostu wchłonięta.

- Jestem Joe. - Druga ręka poklepała złoty identyfikator. - Joe Wyzer do mnie nie pasuje, nie przypominam wyża!

Żart ten niemal na pewno miał już swoje lata, ale dla farmaceuty, który natychmiast ryknął śmiechem, najwyraźniej nie stracił na świeżości. Ralph uśmiechnął się krótkim, uprzejmym uśmiechem, w którym była także odrobina obawy. Ręka ściskająca mu dłoń należała do tych silniejszych i kiedy pomyślał, że mogłaby się jeszcze bardziej zacisnąć, obleciał go strach, że bez gipsu ani rusz. Nagle, na chwilę, pożałował, że nie podzielił się swym problemem z Paulem Durginem w śródmieściu. A potem Wyzer tylko potrząsnął jego dłoń dwukrotnie, bardzo energicznie, i puścił ją.

- Nazywam się Ralph Roberts. Miło mi pana poznać, panie Wyzer.

- Nawzajem. A teraz słówko o skuteczności tych tu cudów. Pozwoli pan, że na pana pytanie odpowiem pytaniem, wbrew pozorom ściśle wiążącym się z interesującym nas zagadnieniem. Mianowicie: czy niedźwiedzie srają w budkach telefonicznych?

Ralph roześmiał się serdecznie.

- Chyba nieczęsto - odparł, kiedy znów mógł mówić.

- Słusznie. I to nam wystarczy. - Wyzer zerknął na ścianę środków nasennych, całą w łagodnych odcieniach błękitu. - Dzięki Bogu, że jestem farmaceutą, a nie handlarzem, panie Roberts. Umarłbym z głodu jako komiwojazer. Czy cierpi pan na bezsenność? Pytam trochę dlatego, że interesowały pana środki nasenne, ale głównie dlatego, że ma pan charakterystycznie ściągniętą twarz, a w pana oczach wyraźnie widać zmęczenie.

- Panie Wyzer, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdyby udało mi się przespać pięć godzin na dobę. Po krótkim namyśle zgodzę się na cztery.

- Od jak dawna pan nie sypia, panie Roberts? A może woli pan Ralph?

- Doskonale.

- Proszę mi mówić Joe.

- Zaczęło się chyba w kwietniu. Miesiąc, może sześć tygodni po śmierci żony.

- Ojej, przykro mi słyszeć, że straciłeś żonę. Moje kondolencje.

- Dziękuję. - I Ralph wygłosił stare zaklęcie: - Bardzo za nią tęsknię, ale przynajmniej skończyły się już jej cierpienia.

- Za to twoje nie. Ty cierpisz od... policzmy... - Wyzer zginał szybko swe wielkie

palce - ...prawie pół roku.

Ralph'a nagle zafascynowały jego palce. Nie unosiły się z nich wprawdzie promienie jak smugi kondensacyjne odrzutowca, za to czubek każdego zdawał się otoczony jasną, srebrną poświatą niczym folią aluminiową tak cienką, że aż przezroczystą. Nagle znów przyszła mu na myśl Carolyn i to, jak zeszłej jesieni skarżyła się czasem na zapachy: koniczyny, ścieku, przypalonej szynki. Być może cierpiał na ich męską wersję, może to guz mózgu sygnalizuje mu swą obecność nie bólami głowy, lecz bezsennością?

Tylko głupiec sam próbuje się leczyć, Ralph, więc lepiej przestań.

Natychmiast przeniósł wzrok na szeroką, miłą twarz farmaceuty. Nie było wokół niej żadnej srebrnej poświaty. Najmniejszego śladu srebrnej poświaty. Był tego niemal pewien.

- Słusznie - powiedział. - Prawie pół roku. Mam wrażenie, że trwało to dłużej. Znacznie dłużej.

- Zauważyłeś jakąś prawidłowość? Bo ona na ogół istnieje. Czy na przykład rzucasz się w łóżku i przewracasz z boku na bok..

- Cierpię na rzadszą formę bezsenności. Budzę się przedwcześnie.

Brwi Wyzera podjechały na czoło.

- Rozumiem, że przeczytałeś na ten temat co nieco? Gdyby Ralph usłyszał taką uwagę od Litchfielda, uznałby, że traktuje się go z góry, z tonu głosu farmaceuty wyczytał jednak tylko autentyczny podziw.

- Czytałem, co mają w bibliotece, ale niewiele tego było. A to, co było, nic mi nie pomogło.

- Doskonale. Pozwól mi powiedzieć, co wiem na ten temat, a gdy zacznę mówić o tym, co już znasz, wystarczy, że machniesz ręką. A przy okazji - kto jest twoim lekarzem?

- Litchfield.

- Aha. I na ogół zaopatrujesz się... gdzie? „Lekarstwo dla każdego” w centrum handlowym? Czy „Rexall”?

- W „Rexall”.

- To znaczy, jesteś tu dziś incognito? Ralph zarumienił się, a potem uśmiechnął.

- No... coś takiego.

- Aha. Nie ma sensu pytać, czy byłeś z tym swoim problemem u Litchfielda, prawda? Gdybyś był, nie ruszyłbyś na podbój cudownego królestwa patentowanego zdrowia.

- Więc to jest to? Patentowane zdrowie?

- Pozwolisz, że ujmę to w ten sposób: czułbym się o wiele lepiej, sprzedając to gie z wielkiego wozu z czerwoną budą i żółtymi kołami.

Ralph roześmiał się i jaskrawosrebrna chmura, gęstniejąca przed fartuchem Wyzera, znikła.

- Tego rodzaju handlem to nawet mógłbym się zająć. - Farmaceuta uśmiechnął się marząco. - Miałbym śliczną dziewczynę, tańczącą w nabijanym cekinami biustonoszu i haremowych portkach... nazwałbym ją Małą Egipcjanką, jak w tej starej piosence Coasters... to na rozgrzewkę. I jeszcze przydałoby mi się banjo. Z doświadczenia wiem, że nie ma to jak dźwięki banjo, żeby zachęcić ludzi do wydawania pieniędzy.

Patrzył gdzieś za środki przeczyszczające i przeciwbólowe, rozkoszując się tym zmysłowym snem na jawie. Potem znów spojrzał na Ralpa.

- Dla takich jak ty, Ralph, tych, którzy budzą się przedwcześnie, wszystko to na nic. Już lepszy kieliszek albo jedna z tych machin wysyłających „fale”, które reklamują w katalogach. Tak na oko powiedziałbym, że próbowałeś jednego i drugiego.

- Próbowałem.

- Plus jakieś dwa tuziny tradycyjnych, sprawdzonych domowych sposobów?

Ralph znów się roześmiał. Zaczynał naprawdę lubić tego faceta.

- Cztery tuziny byłyby bliższe prawdy.

- No, to muszę przyznać, że pracowity z ciebie skurczybyk. - Wyzer machnął ręką na błękitne pudełeczka. - Wszystko to nic innego jak antyhistaminy. Po prostu wykorzystują efekt uboczny: po antyhistaminach chce się spać. Zobacz, co piszą na pudełkach Comtrexu czy Benadrylu tam, w lekarstwach na katar - że nie powinieneś po nich prowadzić ani obsługiwać skomplikowanych urządzeń. Ludziom, którzy od czasu do czasu nie mogą zasnąć, Sennex może pomóc. Obniża próg. Ale w żadnym wypadku nie pomoże tobie, bo twoim problemem jest nie jak zasnąć, lecz jak spać.

- Zgadza się.

- Mogę zadać ci delikatne pytanie?

- Jasne. Chyba tak.

- Masz jakiś problem z Litchfieldem, dotyczący właśnie bezsenności, prawda? Może nie wierzysz, by zrozumiał, jak cholernie kiepsko się czujesz, kiedy nie śpisz?

- Otóż to - przyznał Ralph z wdzięcznością. - Czy uważasz, że powinienem do niego pójść? Spróbować wyjaśnić mu to tak, żeby zrozumiał?

Na to pytanie Wyzer odpowie oczywiście „tak”, więc w końcu dojdzie jednak do wizyty u lekarza. I lekarzem tym powinien być - musi być - Litchfield. Ralph właśnie to zrozumiał. Głupotą z jego strony byłoby wiązanie się z innym doktorem. W tym wieku!

A potrafiłbyś powiedzieć Litchfieldowi o tym, co zacząłeś ostatnio widywać?

Potrafiłbyś opowiedzieć mi o niebieskich promykach wystrzelających z czubków palców Lois Chasse? O diagramach tanecznych Arthura Murraya na chodniku? O srebrnej mgle wokół palców Joego Wyzera? Czy ty rzeczywiście masz zamiar opowiedzieć o tym wszystkim właśnie Litchfieldowi? A jeśli nie masz zamiaru, jeśli zwyczajnie nie dasz rady mi o tym opowiedzieć, to po co w ogóle do niego iść? Bo rekomenduje go ten gość?

Wyzer zaskoczył go jednak, bo zmienił temat.

- Nadal śnisz?

- Tak. Nawet dużo... biorąc pod uwagę, że śpię trzy godziny na dobę.

- Czy to są spójne sny, to znaczy, czy mają łatwo rozpoznawalne elementy i coś w rodzaju narracji, wszystko jedno, jak dziwnej, czy po prostu przypadkowe obrazy?

Ralph przypomniał sobie sen, który miał poprzedniej nocy. On, Helen Deepneau i Bili McGovern grali we frisbee pośrodku Harris Avenue. Helen miała na nogach wielkie niezgrabne buty do jazdy konnej, McGovern zaś bluzę z reklamą wódki. „ABSOLUT-nie najlepsza” - głosiła reklama. Frisbee było jaskrawoczerwone, ze świecącymi zielonymi kręgami. Nagle pokazała się bezpańska suka, Rosalie. Spłowiła niebieska chusta, którą ktoś zawiązał jej na szyi, powiewała, gdy kuśtykała w ich kierunku. Rosalie podskoczyła niespodziewanie, złapała frisbee w powietrzu i uciekła, trzymając je w pysku. Ralph chciał ją gonić, ale McGovern powiedział: „Spokojnie, Ralph, pod choinkę dostaniemy ich całe pudło”. Ralph odwrócił się ku niemu, pragnął mu powiedzieć, że do gwiazdki jeszcze ponad trzy miesiące i zapytać, co zrobią, jeśli przez te trzy miesiące przyjdzie im ochota pograć, ale nim otworzył usta, sen albo się skończył, albo zmienił w inny, mniej wyrazisty.

- Jeśli dobrze cię rozumiem - powiedział - mam spójne sny.

- Doskonale. Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, czy są to sny żywe. Sny żywe muszą spełniać dwa warunki: po pierwsze, wiesz, że śnisz. Po drugie, możesz wpływać na fabułę snu, nie jesteś wyłącznie biernym obserwatorem.

Ralph skinął głową.

- Jasne, takie też miewam. Ostatnio nawet jakby coraz częściej. Właśnie myślałem o jednym, z zeszłej nocy. Bezpański pies, którego widuję czasem na ulicy, porwał frisbee, którym grałem z przyjaciółmi. Wściekłem się, że przerwał nam grę. Chciałem mu rozkazać, żeby je rzucił, wyłącznie siłą myśli. No wiesz, telepatycznie.

Roześmiał się krótko, zażenowany, ale Wyzer tylko rzeczowo skinął głową.

- Udało ci się?

- Nie tym razem, lecz w innych snach chyba mi się udawało. Ale nie mogę być pewien, bo większość zapominam, ledwie się obudzę.

- Jak prawie wszyscy. Mózg traktuje sny jak odpady, magazynuje je w najbardziej krótkotrwałej pamięci.

- Dużo o tym wiesz, prawda?

- Bezsensowność bardzo mnie interesuje. Kiedy byłem na studiach, napisałem dwie prace o związkach między snami i zakłóceniami snu. - Wyzer zerknął na zegarek. - No, przerwa. Masz ochotę na filiżankę kawy i szarlotkę? Jest taki barek, dwa domy stąd, szarlotkę dają tam po prostu fantastyczną.

- Brzmi nieźle, ale chyba zadowolę się oranżadą. Próbuję ograniczyć picie kawy.

- Zrozumiałe, ale kompletnie bezsensowne - stwierdził radośnie farmaceuta. - To nie z kofeiną masz problem.

- Chyba nie... ale w takim razie z czym? - Do tej pory udało mu się mówić rażno i rześko, ale tym razem w jego głosie zabrzmiała wyraźna żalność.

Wyzer klepnął go po ramieniu. Patrzył na niego przyjaźnie.

- O tym właśnie porozmawiamy. No, w drogę!

Rozdział 5

- Powinieneś pomyśleć o tym w ten sposób - stwierdził Wyzer w pięć minut później.

Siedzieli w barze w stylu New Age, o nazwie „Koniec Dnia, Zachód Słońca”, nieco zbyt wymyślnej jak na gust Ralpha, ceniącego raczej staroświeckie przybytki lśniące chromem i pachnące tłuszczem, ale szarlotka rzeczywiście była tu dobra, kawa zaś, choć nie dorastała do standardów Lois Chasse - Lois parzyła najlepszą w świecie kawę - okazała się przynajmniej gorąca i mocna.

- W jaki mianowicie?

- Istnieje pewna kategoria rzeczy, które ludzie - mężczyźni i kobiety - starają się osiągnąć. Nie chodzi o to, co opisuje się w podręcznikach historii i książkach socjologicznych, mówię o rzeczach zupełnie podstawowych. Dach nad głową, żeby chronił od deszczu. Trzy kołdry i łóżko. Przyzwoite życie seksualne. Zdrowy żołądek. Z nich wszystkich najważniejsza jest jednak ta, której ci brakuje. Bo na świecie nie ma nic lepszego niż przespana noc, prawda?

- Jezu, święte słowa. Wyzer skinął głową.

- Sen to zapomniany bohater, to lekarz ubogiego. Szekspir napisał, że to nic, którą przyszywa się odpruty rękaw niepokoju, Napoleon nazywał go błogosławionym kresem nocy, a Churchill, jeden z wielkich wśród cierpiących na bezsenność bohaterów dwudziestego wieku powiedział, że sen był jedynym lekarstwem na jego częste depresje. Wszystkie te cytaty zamieściłem w moich pracach, a prowadzą one do tego, co już ci powiedziałem: nic na świecie nie dorówna dobrze przespanej nocy.

- Sam miałeś podobny problem, prawda? - spytał nagle Ralph. - *To dlatego... no... wzięłeś mnie pod swoje skrzydła? loe Wy zer uśmiechnął się.*

- Wziąłem cię pod swoje skrzydła?

- Tak, chyba tak.

- Hej, dobrze powiedziane! Oczywiście, miałem podobny problem. Od trzynastego roku życia mam problemy z zaśnięciem. Dlatego napisałem o bezsenności nie jeden artykuł, lecz dwa.

- Jak to wygląda dziś? Farmaceuta wzruszył ramionami.

- Jak na razie, był to całkiem dobry rok. Nie najlepszy, ale całkiem dobry. Kiedy

miałem dwadzieścia kilka lat, przez parę lat wyglądało to naprawdę poważnie. Szedłem do łóżka o dziesiątej, zasypiałem około czwartej, wstawałem o siódmej i przez cały dzień czułem się jak cholerny statysta w czyimś koszmarze.

Ralphowi zabrzmiało to tak znajomo, że plecy i ramiona obsypała mu gęsia skórka.

- Pora na najważniejszą rzecz, którą miałem ci powiedzieć, Ralph, więc słuchaj mnie uważnie.

- Słucham.

- Koniecznie musisz uświadomić sobie jedno i nie przestawać o tym myśleć: choć często czujesz się wypluty, nadal wszystko jest z tobą mniej lub bardziej w porządku. Sen snowi nierówny. Jest sen dobry i sen zły. Jeśli nadal masz sny spójne, a co jeszcze ważniejsze, sny żywe, śpisz dobrze. Z tego powodu recepta na środki nasenne jest chyba najgorszą przysługą, jaką akurat teraz można by ci było zrobić. A ja znam Litchfielda. Niezły z niego gość, ale zakochany w bloczku recept.

- Święte słowa - przytaknął Ralph, myśląc o Carolyn.

- Gdybyś powiedział Litchfieldowi to, co powiedziałeś mnie, kiedy tu szliśmy, zapisałby ci pewnie benzodiazepinę: prawdopodobnie Dalmane albo Restoril, może Halcion. Spałbyś, ale zapłaciłbyś za to. Benzodiazepiny uzależniają i utrudniają oddychanie; a najgorsze, że u takich jak ty i ja znacząco redukują sen REM. Czyli sen, podczas którego się śni. Jak tam ciasto? Pytam, bo prawie go nie ruszyłeś.

Ralph wziął w usta wielki kęs i przełknął go, nie czując smaku.

- Wyborne! - zapewnił. - A teraz powiedz mi, dlaczego trzeba śnić, żeby spać dobrym snem?

- Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, przestałbym

wpychać ludziom piguły, a zaczął robić miliony jako doradca dla cierpiących na bezsenność. - Wyzer zjadł ciasto, opuszką wielkiego palca wybierał teraz z talerza co większe okruszki. REM oznacza oczywiście *Rapid Eye Movement*, gwałtowne ruchy gałek ocznych, a termin sen REM i sen, podczas którego się śni, stały się nawet synonimami, przynajmniej w powszechnym użyciu. Nikt jednak nie wie, jak ruchy gałek ocznych mają się do tego, o czym właśnie się śni. Nie wydaje się, by oznaczały „obserwację” czy „śledzenie” snu, bowiem naukowcy obserwowali je, bardzo gwałtowne, u ludzi, którzy następnie opisali swoje sny jako względnie statyczne - na przykład sen o takiej rozmowie, jaką teraz prowadzimy. Podobnie nikt nie wie, jaki jest związek między żywymi, spójnymi snami a zdrowiem umysłowym. Ale im człowiek więcej śni tego rodzaju snów, tym wydaje się zdrowszy, im mniej, tym bardziej chory.

- Zdrowie umysłowe to niezbyt precyzyjny termin - zauważył Ralph.

- Jasne! - Wyzer uśmiechnął się szeroko. - Przypomina mi się nalepka na zderzaku samochodowym, którą kiedyś widziałem: WSPOMAGAJ ZDROWIE PSYCHICZNE ALBO CIĘ STUKNĘ! My w każdym razie mówimy o kwestiach podstawowych, o rzeczach, które da się zmierzyć i zważyć: zdolności poznawcze, zdolności rozwiązywania problemów za pomocą dedukcji i indukcji, zdolności pojmowania więzi przyczynowo-skutkowych, pamięci...

- Pamięć mocno mi się pogorszyła.- Ralph przypomniał sobie poszukiwanie numeru kina w książce telefonicznej i długie polowanie na torebkę zupy w proszku.

- Jasne, trafiają ci się luki w pamięci krótkoterminowej, ale rozporek masz zapięty, nie nosisz koszuli na lewą stronę i założę się, że nie zapomniałeś swojego drugiego imienia. Nie lekceważę twoich problemów - jestem ostatnią osobą na świecie, która mogłaby to zrobić - ale proszę, żebyś na minutkę czy dwie zmienił punkt widzenia. Żebyś myślał o tych dziedzinach życia, w których nadal funkcjonujesz zupełnie normalnie.

- Jasne. A te żywe, spójne sny... Czy one tylko wskazują, że człowiek funkcjonuje dobrze, czy może pomagają mu dobrze funkcjonować?

Nikt nie wie na pewno, ale najprawdopodobniej i to, i to. Pod koniec lat pięćdziesiątych, mniej więcej w tym czasie, kiedy lekarze wpychali wszystkim barbiturany - nawiasem, ostatnim naprawdę popularnym z barbituranów był taki fajny środek o nazwie Thalidomid - niektórzy naukowcy próbowali nawet zasugerować, że dobry sen, o którym tak szeroko tu dyskutujemy, i sny nie mają ze sobą nic wspólnego.

- I?

- Badania nie poparły ich teorii. Ludzie, którzy przestają śnić albo śnią sny przerywane, mają mnóstwo problemów, przede wszystkim ze zdolnościami poznawczymi i równowagą emocjonalną. Oraz ze zmysłowym odbiorem świata - na przykład hiperrzeczywistością.

Za Wyzerem, po przeciwnej stronie lady, siedział facet czytający lokalne *News*. Widać było tylko jego głowę i ręce; na małym palcu lewej miał raczej ostentacyjny sygnet. Tytuł u góry pierwszej strony głosił: ZWOLENNICZKA PRAWA DO ABORCJI ZGADZA SIĘ W PRZYSZŁYM MIESIĄCU WYSTĄPIĆ W DERRY. Poniżej, nieco mniejszym drukiem: *Grupy „Przyjaciół Życia” obiecują zorganizowany protest*, a pośrodku zamieszczono kolorowe zdjęcie Susan Day, oddające jej sprawiedliwość znacznie lepiej niż policyjna fotografia na plakacie w oknie wystawowym „Przywiędłej Róży, Używanych Ubrań”. Na tamtym wyglądała zwyczajnie, może nawet trochę złowrogo, na tym tryskała urodą i

inteligencją. Długie ciemnoblonde włosy ściągnięte na karku, ciemne oczy promieniowały mądrością. Pesymizm Hamiltona Davenporta okazał się najwyraźniej przedwczesny. Susan Day miała jednak przyjechać do Derry.

Nagle Ralph dostrzegł coś, co kazało mu natychmiast zapomnieć o Hamie i o Susan Day.

Wokół dłoni oraz ledwie widocznego czubka głowy czytającego gazetę mężczyzny zaczęła zbierać się szaroniebieska aura, najjaskrawsza przy palcu, na którym miał sygnet z onyksem. Nie przesłaniała go jednak, lecz raczej podkreślała, aż onyks upodobił się do asteroidu z naprawdę realistycznego filmu science fiction...

- Co powiedziałaś, Ralph?

- Ja? - Ralph z wysiłkiem oderwał wzrok od małego palca mężczyzny i sygnetu. - Nie wiem... A coś powiedziałem? Chyba chciałem się dowiedzieć, co to takiego hiperrzeczywistość.

- Podwyższona wrażliwość zmysłów. Jak podróż po LSD, tylko nie trzeba szpiikować się chemikaliami.

- Aha.

Ralph obserwował jaskrawoszaroniebieską aurę, formującą skomplikowane wzory - może runy - w ślad za paznokciem palca, którego Wyzer używał do rozgniatania okruszków. Najpierw wyglądały jak litery wypisane na zamrożonej szybie... potem zdania wypisane na mgle... potem dziwne twarze z ustami rozwartymi do krzyku.

Mrugnął i wszystko znikło.

- Ralph, jesteś tu jeszcze?

- Tak, tak, oczywiście. Ale posłuchaj, Joe, jeśli domowe przepisy nie działają, jeśli nie podziałają środki z tego twojego sklepiku, jeśli lekarstwa na receptę mogą tylko pogorszyć sprawę, to co mi zostaje? Nic, prawda?

- Masz zamiar zjeść to, co ci zostało? - Wyzer wskazał na jego talerz. Zimne szaroniebieskie światło, jakby arabskie litery wypisane na parze z suchego lodu, spłynęło z czubka jego palca.

- Nie. Mam dość. Poczęstuj się. Wyzer przyciągnął do siebie jego talerz.

- Nie poddawaj się od razu - powiedział. - Chciałbym, żebyś wrócił ze mną do apteki. Dam ci kilka wizytówek. Moja rada przyjaznego handlarza pigułkami jest taka: daj im szansę.

- Jakim „im”? - Ralph zafascynowany patrzył, jak Wyzer otwiera usta i wkłada do nich ostatni kawałek szarlotki. Jego zęby oświetlone były jasnym szarym blaskiem, plomby zaś w zębach trzonowych lśniły niczym miniaturowe słońca. Okruszki ciasta i kawałki

jabłkowej marmolady na jego języku pełne były

(żywego Ralph żywego)

światła. Nagle Wyzer zamknął usta, zaczął poruszać szczękami i wszystko znikło.

- Jamesowi Royowi Hongowi i Anthony'emu Forbesowi. Hong jest od akupunktury i ma gabinet na Kansas Street. Forbes zajmuje się hipnozą, przyjmuje gdzieś po wschodniej stronie miasta... chyba na Hesser Street. Zanim zaczniesz wrzeszczyć, że to oszustwo...

- Nie mam zamiaru wrzeszczyć, że to oszustwo - powiedział cicho Ralph, dotykając dłonią magicznego oka, które ciągle nosił pod koszulą. - Możesz mi wierzyć, nie będę wrzeszczał, że to oszustwo.

- W porządku. Radziłbym, żebyś najpierw spróbował Honga. Te jego igły robią wrażenie przerażających, ale prawie nie boją, a z człowiekiem coś się po nich rzeczywiście dzieje. Nie mam zielonego pojęcia co, i nie mam pojęcia, jak działa akupunktura, ale wiem, że kiedy dwa lata temu, w zimie, miałem kiepski okres, Hong bardzo mi pomógł. Słyszałem, że Forbes też jest dobry, lecz osobiście stawiałbym na Honga. Ma cholernie dużo roboty, ale może mógłbym ci pomóc dostać się do niego. Co ty na to?

Ralph dostrzegł plamę jaskrawego szarego światła, cienką jak nić, spływającą z oka farmaceuty niczym wielka łza. To zdecydowało.

- Dobra, zgadzam się. Wyzer klepnął go po ramieniu.

- Grzeczny chłopiec! No, to kończymy i idziemy. - Wyjął z kieszeni dwudziestopięciocentówkę. - Rzucamy o to, kto płaci?

W połowie drogi do apteki Wyzer zatrzymał się, by rzucić okiem na plakat wywieszony w oknie wystawowym pustego sklepu. Ralph tylko na niego zerknął-widział już identyczny, w innym wystawowym oknie.

- „Poszukiwana za morderstwo!” - zadumał się farmaceuta. - Wiesz, ludzie tracą resztki zdrowego rozsądku.

- Aha - przytaknął Ralph. - Moim zdaniem, gdybyśmy mieli ogony, połowa z nas kręciłaby się za nimi przez cały dzień i próbowała je sobie odgryźć.

- Już ten plakat jest wystarczająco podły - stwierdził Wyzer gniewnie - ale to...

Wskazywał na kilka słów wypisanych na brudzie pokrywającym szybę. Ralph pochylił się. „Zabić cipę!” - przeczytał. Pod tekstem znajdowała się strzałka skierowana w lewą fotografię Susan Day.

- Jezu! - powiedział cicho.

- No, tak - zgodził się farmaceuta. Z tylnej kieszeni spodni wyjął chusteczkę i troskliwie starł napis, pozostawiając na jego miejscu jaskrawosrebrny kształt wachlarza.

Ralph wiedział doskonale, że tylko on jest w stanie go dostrzec.

Poszli razem na zaplecze apteki. Ralph stał na progu biura, niewiele większego od kabinki w publicznej toalecie, podczas

gdy Wyzer zasiadł na jedynym tu meblu, wysokim stołku, który doskonale nadałby się do kantoru Ebenezera Scrooge'a, i zadzwonił do gabinetu specjalisty od akupunktury, pana Jamesa Roya Honga. Włączył przy tym głośniczek telefonu, tak by Ralph mógł wysłuchać rozmowy.

Rejestratorka Honga (dziewczyna imieniem Audra) знаła chyba farmaceutę nie tylko zawodowo. Najpierw oznajmiła, że najbliższy możliwy termin przypada po Święcie Dziękczynienia i Ralph, usłyszawszy to, aż się zgarbił. Wyzer podniósł otwartą dłoń, jakby chciał powiedzieć: „Nie poddawaj się, bracie!”, po czym zaczął ją namawiać, by znalazła (czy też stworzyła) coś bliższego, może na początku października, kiepsko, ale i tak lepiej niż po Dziękczynieniu. Udało mu się.

- Dzięki, Audra. Nadal jesteśmy umówieni w piątek na kolację?

- Tak. A teraz wyłącz ten cholerny głośnik, Joe. Muszę powiedzieć ci coś prywatnie.

Wyzer wyłączył głośnik, wysłuchał tego, co Audra miała mu do powiedzenia prywatnie, zaczął się śmiać tak, że aż się popłakał - w oczach Ralpa jego łzy wyglądały jak wspaniałe płynne perły - potem dwukrotnie cmoknął słuchawkę i odłożył ją.

- Masz wizytę - powiedział, wręczając Ralphowi białą wizytówkę z wypisaną na odwrocie datą i godziną. - Czwarty października, nie najlepiej, ale lepiej już się nie dało. Audra to poczciwa dusza.

- Świetnie.

- A tu wizytówka Anthony'ego Forbesa, na wypadek gdybyś chciał go tymczasem odwiedzić.

- Dzięki. Jestem twoim dłużnikiem.

- Jesteś mi dłużny wyłącznie drugą wizytę. Chcę wiedzieć, jak ci poszło. Trochę mnie to niepokoi, wiesz? Bo, na przykład, są lekarze, którzy nic nie przepiszą na bezsenność. Twierdzą, że z braku snu nikt nigdy nie umarł, ale ja mogę ci powiedzieć prywatnie, że to gówno.

Ta rewelacja powinna przestraszyć Ralpa nie na żarty, ale wcale się nie przestraszył, przynajmniej na razie. Aury znikły - jasny, szary błysk w oczach Wyzera, kiedy śmiał się podczas rozmowy z rejestratorką Honga, był ostatnią ich widzialną manifestacją. Ralph zaczynał nawet myśleć, że były po prostu płodem jego umysłu, zrodzonym ze zmęczenia... no i te

wzmianki o hiperrzeczywistości. Mógł się czuć dobrze z jeszcze jednego powodu. Miał teraz umówione spotkanie z kimś, kto pomógł temu człowiekowi pokonać podobnie trudny okres. Był najzupełniej pewien, że pozwoli Hongowi, aby go nabijał igłami, dopóki nie będzie wyglądał niczym jeżozwierz, jeśli tylko umożliwi mu to sen do wschodu słońca.

A po trzecie, te szare aury wcale nie były straszne. Już raczej... interesujące.

- Z bezsenności ludzie umierają bez przerwy - mówił Wyzer - choć patolodzy piszą w końcu w raportach „samobójstwo”, nie „bezsenność”. Bezsenność i alkoholizm mają ze sobą wiele wspólnego, ale najważniejsze jest to, że są chorobami raczej serca i umysłu i jeśli pozwolić im się rozwijać, niszczą duszę na długo przedtem, zanim są w stanie zniszczyć ciało. Zatem ludzie umierają jednak z braku snu. To dla ciebie niebezpieczny okres, więc dbaj o siebie! Jeśli poczujesz się nieswojo, dzwoń do Litchfielda! Słyszysz? Bez ceremonii!

Ralph skrzywił się.

- W takiej sytuacji zadzwonię raczej do ciebie - powiedział.

Wyzer skinął głową, jakby niczego innego się nie spodziewał.

- Pod numerem Honga zapisałem swój - powiedział.

Zaskoczony Ralph jeszcze raz spojrzał na wizytówkę. Rzeczywiście, był na niej drugi numer telefonu, poprzedzony literami J.W.

- Możesz dzwonić w dzień i w nocy. Naprawdę. Nie przeszkodzisz żonie, od lat jestem rozwiedziony.

Ralph spróbował coś powiedzieć, ale okazało się, że nie może. Z gardła wydobył tylko zduszony, nic nie znaczący dźwięk. Przelknął, próbując pozbyć się dławiącej guli.

Wyzer dostrzegł jego wysiłki i klepnął go w ramię.

- Żadnych szlochów w sklepie - powiedział. - To nam odstrasza co bardziej rozrzutnych klientów. Chcesz kleenexa?

- Nie, dziękuję, wszystko w porządku. - Głos Ralpha nieco się łamał, ale w zasadzie brzmiał prawie normalnie.

Wyzer obrzucił go krytycznym spojrzeniem.

- Może jeszcze nie, ale wkrótce będzie w porządku - orzekł. Złapał jego dłoń, ale tym razem Ralph nie przestraszył się, że mu połamie kości. - Na razie spróbuj się odprężyć. I ciesz się tymi godzinami, które przesypiasz.

- Dobrze. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję.

Wyzer skinął głową i odszedł na stanowisko realizacji recept.

Ralph tymczasem wrócił przejściem nr 3, skręcił w lewo przy imponującej wystawie kondomów i wyszedł na dwór drzwiami, które nad klamką miały napis: DZIĘKUJEMY CI

ZA WYBÓR SZCZĘŚCIA W PIGUŁCE. Jaskrawy blask, który zmusił go do zmruczenia, a właściwie nawet zamknięcia oczu, początkowo wcale go nie zdziwił. W końcu był środek dnia, a wewnątrz apteki mogło być oczywiście odrobinę ciemniejsze, niż mu się wydawało.

I nagle otworzył zmruczone oczy jak najszerzej. Zamarł, zapomniał nawet o oddechu, a na twarzy rozlał mu się wyraz zachwyconego zdumienia. Tak mógłby wyglądać podróżnik, który przedarłszy się przez kolejny, zupełnie zwyczajny kawałek dżungli, stanął nagle twarzą w twarz ze wspaniałym zaginionym miastem albo nieprawdopodobnym fenomenem natury; powiedzmy klifem z diamentów lub spiralnym wodospadem.

Ralph przytulił się do niebieskiej skrzynki pocztowej stojącej przy wejściu do apteki, nadal nie oddychając; strzelał oczami to w prawo, to w lewo, jego mózg zaś z wysiłkiem próbował ogarnąć docierające do niego wrażenia, wspaniałe, a jednocześnie straszne.

Znów widział aury, ale powiedzieć „widział aury” to trochę jak stwierdzić: „Hawaje to takie miejsce, w którym nie nosi się parasola”. Bo tym razem światło było wszędzie, ostre, lecz płynne, dziwne, lecz piękne.

Tylko raz w życiu Ralph doznał wrażenia, które dałoby się od biedy porównać z tym, czego doznawał teraz. W lecie 1941 roku, mając osiemnaście lat, jechał autostopem z Derry do domu wuja w Poughkeepsie w stanie Nowy Jork; oba te miejsca dzieliło dobre sześćset kilometrów. W drugim dniu podróży, po południu, gwałtowna burza zmusiła go do szukania schronienia w zrujnowanej stodole, chwiejącej się niczym pijak na skraju długiego pola. Dzień spędził więcej idąc, niż jadąc, padł więc na siano w jednym z dawno nie używanych sąsieków i zasnął smacznie, nim przebrzmiał huk ostatniego grzmotu.

Obudził się późnym rankiem następnego dnia, po czternastu godzinach snu... i rozejrzał wokół, oniemiały z zachwytu, w ciągu tych pierwszych kilku chwil nie pamiętając, gdzie się znajduje. Było to niewątpliwie jakieś mroczne, słodko pachnące miejsce, świat zaś naokoło niego wydawał się utkany z jaskrawych nici słońca. Potem przypomniał sobie, że jest w stodole, i dotarło do niego, że owo zdumiewające zjawisko to tylko promienie, wpadające do środka przez szczeliny w dachu i ścianach. Tylko to, nic więcej. A jednak, mimo wszystko, siedział w niemym zachwycie dobre pięć minut - zdumiony osiemnastoletni chłopak z sianem we włosach \ pyłem na ramionach; siedział wpatrując się w złotą falę kurzu, wirującego powoli w skośnych, krzyżujących się strunach światła. Wydawało mu się, że jest w kościele.

Teraz doświadczał czegoś podobnego, ale do dziesiątej potęgi. Tylko że nie miał zielonego pojęcia, co się stało i dlaczego świat raptem zaczął wyglądać tak wspaniale. Rzeczy i ludzie, zwłaszcza ludzie, mieli aury, oczywiście, ale to nie wszystko. Nigdy jeszcze nie

dostrzegał rzeczy tak jasno, tak... wyraziście osadzonych w rzeczywistości. Samochody, słupy telefoniczne, wózki sklepowe w „Korralu Wózków” przed supermarketem, szkieletowe konstrukcje domów mieszkalnych po drugiej stronie ulicy-każdy z tych obrazów wyskakiwał na niego niczym trójwymiarowa wstawka w starym filmie. Nagle i bez uprzedzenia brudny handlowy odcinek Witcham Street zmienił się w krainę cudów i choć Ralph patrzył na te cuda, wcale nie był pewien, na co patrzy - tyle tylko, że na coś baśniowo wspaniałego i baśniowo zdumiewającego.

Z całości obrazu potrafił wyizolować wyłącznie aury ludzi, którzy wchodzili i wychodzili ze sklepów, chowali paczki do bagażników samochodów albo wsiadali do środka i odjeżdżali. Niektóre z tych aur świeciły jaśniej od innych, ale nawet te słabe były i tak tysiącrotnie jaskrawsze niż wówczas, gdy dostrzegł je po raz pierwszy.

To o tym mówił Wyzer, nie ma najmniejszych wątpliwości: hiperrzeczywistość. To, na co patrzysz, istnieje równie „prawdziwie” jak wizje po LSD. To, co widzisz, jest ni mniej, ni więcej, tylko jeszcze jednym symptomem bezsenności. Patrz i rozkoszuj się, ile tylko chcesz, bo jest się czym rozkoszować - ale w to nie wierz!

Cuda były wszędzie. Samochód dostawczy piekarni cofał się z miejsca przed „Końcem Dnia, Zachodem Słońca”, a z jego rury wydechowej wypływała czerwonobrazowa substancja w kolorze zaschniętej krwi - ani dym, ani para, lecz coś mającego cechy i dymu, i pary. Jej blask unosił się i opadał ostro, niczym wykres EEG. Ralph opuścił wzrok i dostrzegł odciski opon na betonie: miały ten sam czerwonobrazowy kolor. Samochód przyspieszył wyjechawszy na ulicę i wypływająca z rury substancja nabrała jaskrawej czerwieni krwi tętnicznej.

Podobne dziwy widział wszędzie. Kolory nakładały się na siebie, krzyżowały... Jeszcze raz przypomniał sobie promienie słońca w stodole, widok sprzed lat. Prawdziwym cudem byli jednak ludzie, i to aury wokół ludzi były najjaskrawsze i najczyściej zdefiniowane.

Chłopiec sklepowy wyszedł z supermarketu, popychając wózek wyładowany jedzeniem. Szedł w blasku takiej bieli, że wyglądał jak ruchome światło. Aura idącej obok niego kobiety wydawała się przy tej bieli brudnawa - szara zieleń sera, który zaczyna pleśnieć. Dziewczyna siedząca w subaru zawołała coś i pomachała mu ręką, a jej dłoń pozostawiła w powietrzu ślad smugi odrzutowca, różowy niczym wata cukrowa. Chłopiec uśmiechnął się i odmachął jej - ślad jego ręki był żółtobiały i miał kształt wachlarza; przypominał płetwę jakiejś tropikalnej ryby. Znikał wolniej niż pozostawiony przez dziewczynę.

Ta jaskrawa niepojęta wizja przestraszyła Ralpha, ale - przynajmniej na razie - strach cofnął się przed zdumieniem, radością, zachwytem. W życiu nie widział czegoś tak pięknego. To nieprawda, ostrzegł sam siebie. Musisz o tym pamiętać. Obiecał sobie, że spróbuje, ale na razie ostrzegający głos był tak cichy, jakby dobiegał z bardzo daleka.

Naraz dostrzegł coś jeszcze: z głowy każdego z przechodniów w zasięgu jego wzroku tryskał promień jasnego światła. Biegł w górę jak wstążka płótna albo jaskrawej krepy, cieniał i znikał, u niektórych półtora metra nad głową, u innych trzy, a nawet pięć metrów. Na ogół odpowiadał kolorowi aury - u chłopca sklepowego był jaskrawobiały, u idącej za nim kobiety szarozielony, ale zdarzały się uderzające wyjątki. Widział rdzawoczerwoną linię, bijącą z mężczyzny otoczonego ciemnoniebieską aurą i kobietę o jasnoszarej aurze, której linia miała zdumiewający (i niepokojący) odcień granatowofioletowy. U niektórych - nielicznych - wznoszące się nad głowami linie były niemal czarne. Nie podobały się Ralphowi i zauważył, że ludzie z tymi ciemnymi „wstążkami balonowymi” (nazwa ta jakby sama pojawiła się w jego umyśle) wszyscy wyglądali raczej kiepsko.

Oczywiście, że wyglądają kiepsko. Wstążki balonowe są oznakami zdrowia... a w niektórych przypadkach braku zdrowia. Jak te aury Kirliana, które tak fascynowały ludzi na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

■]

Ralph - ostrzegł go głos - ty tego tak naprawdę nie widzisz. Prawda? Nie chciałbym cię zanudzać, ale...

Lecz czyż to zupełnie niemożliwe, żeby ten fenomen był prawdziwy? Żeby bezsenność, połączona ze stabilizującym efektem żywych, spójnych snów, nagrodziła go możliwością spojrzenia we wspańiały wymiar, będący tuż poza zasięgiem zwykłych zmysłów?

Przestań, Ralph, przestań natychmiast. Musisz się lepiej postarać albo skończysz jak ten biedny Ed Deepneau.

Myśl o Edzie coś mu przypomniała - coś, co powiedział tego dnia, kiedy aresztowano go za pobicie żony - lecz nim Ralph uświadomił sobie co, tuż koło jego lewego łokcia odezwał się głos.

- Mamo? Mamusiu? Czy dostanę jeszcze jeden batonik z miodem i orzechami?

- Zobaczymy. Najpierw wejdźmy do sklepu, dobrze, skarbie?

Minęli go chłopczyk i młoda kobieta. Szli trzymając się za ręce. To właśnie chłopczyk, cztero-, może pięcioletni, pytał

o batonik. Kobieta szła w otoczce niemal oślepiającej bieli, a wstążka balonowa

unosząca się z jej jasnych włosów, także biała, bardzo szeroka, przypominała raczej dekorację elegancko zapakowanej paczki - była wysoka na co najmniej sześć metrów i wygięta nieco do tyłu. Natychmiast przywołała Ralphowi na myśl ślub: treny, woalki, powiewne koronki sukien. Aura jej synka była zdrowa, ciemnogrnatowa, niemal fioletowa. Kiedy go mijali, Ralph dostrzegł rzecz fascynującą: kłębki aur unosiły się także z ich złączonych rąk: biała z dłoni kobiety, granatowa - chłopca. Splatały się, nikły i znów pojawiały.

Matka i syn, matka i syn, pomyślał. W splecionych niczym bluszcz wokół podpory aurach było coś doskonale prostego

i doskonale symbolicznego. Kiedy na nie patrzył, serce mu się radowało - banalne powiedzenie, ale doskonale oddawało jego uczucia. Matka i syn, granat i biel, matka i...

- Mamo, na co ten pan tak patrzy?

Jasnowłosa kobieta zerknęła ledwie na Ralpha, ale dostrzegł, jak zaciskają się jej wargi. Co ważniejsze, dostrzegł także, jak jej jaskrawa aura ciemnieje, kurczy się i jak pojawiają się w niej ulatujące w górę pasemka ciemnej czerwieni.

To kolor strachu, pomyślał. A być może gniewu.

- Nie wiem, Tim. No chodź, nie wlec się tak! - Kobieta

przyśpieszyła kroku, związane w koński ogon włosy podskakiwały rażno, pozostawiając w powietrzu wachlarze szarości przetykanej czerwienią. Przypominało to ślady, jakie wycieraczki zostawiają czasem na brudnej szybie.

- Mamo, nie ciągnij mnie tak!

To przeze mnie, pomyślał Ralph i oczami wyobraźni dostrzegł siebie takim, jakim musiała go widzieć młoda matka: stary facet, zmęczona twarz, wielkie sine torby pod oczami, skulony - przyczajony - koło skrzynki na listy przed apteką, wpatrzony w nią i w jej synka, jakby byli najcudowniejszą rzeczą pod słońcem.

Bo i nią byliście, proszę pani, sami o tym nie wiedząc.

Jej pewnie wydawał się najgorszym zbrodźcą wszechczasów. Musi coś z tym zrobić. Może ma do czynienia z rzeczywistością, może z halucynacją-w tej chwili nie ma to najmniejszego znaczenia. Jeśli nic nie zrobi, ktoś wkrótce wezwie albo gliniarzy, albo facetów w białych fartuchach z siatkami na motyle. Nie był nawet pewny, czy śliczna mama w drodze do sklepu nie zatrzyma się przy automatach przy głównym wejściu do supermarketu.

Właśnie zadawał sobie pytanie, jak się pozbyć czegoś, co istnieje wyłącznie w jego umyśle, kiedy spostrzegł, że już się tego czegoś pozbył. Fenomen psychiczny (czy może halucynacja, której doświadczał) znikł, kiedy on zastanawiał się, jak wstrętny musiał się

wydać młodej matce. Był normalny, słoneczny, złoty jesienny dzień, bardzo ładny, ale gdzieś mu tam do czystego, jasnego blasku aur. Ludzie kręcący się po parkingu pasażu handlowego znów byli tylko ludźmi. Znikły aury, znikły wstążki balonowe, znikły efekty specjalne. Zwykli ludzie szli na zakupy do „Kup i oszczędź”, odbierali ostatnie letnie zdjęcia z „Fotomatu”, kupowali filiżankę kawy na wynos w „Końcu Dnia, Zachodzie Słońca”. Niektórzy pójda pewnie nawet do „Szczęścia w pigułce” po aspirynę lub, niech ich Bóg strzeże, po środki nasenne.

Zwykli, pospolici mieszkańcy Derry załatwiali swoje zwykłe, pospolite sprawy.

Ralph westchnął, uwalniając długo wstrzymywany oddech, i przygotował się na oszałamiającą falę ulgi. Poczul ulgę, ale nie tak oszałamiającą, jak się spodziewał. Ani śladu wrażenia, że w ostatniej chwili uratował się przed szaleństwem. Ani śladu wrażenia, że w ostatniej chwili uratował się przed czymkolwiek. Rozumiał jednak doskonale, że w świecie tak jasnym, tak pięknym nie potrafiłby żyć dłużej, nie tracąc

zmysłów; przypominałoby to trochę orgazm trwający godzinami. Być może tak doświadczają świata geniusze i wielcy artyści, ale to nie dla niego, takie napięcie szybko przepaliłoby mu bezpieczniki, a kiedy pojawiliby się faceci z siatkami na motyle, gotowi dać mu zastrzyk i załadować go do karetki, prawdopodobnie przywitałby ich z radością.

Najłatwiejszym do zidentyfikowania uczuciem, które go ogarnęło w tej chwili, była nie ulga, lecz coś w rodzaju przyjemnej melancholii; pojawiała się ona czasem po stosunku, kiedy był jeszcze bardzo młodym człowiekiem. Nie była to melancholia głęboka, za to wszechogarniająca, wypełniała puste miejsca ciała i umysłu jak fala, która cofając się pozostawia po sobie warstwę żyznej ziemi. Ciekawe, czy przeżyje jeszcze kiedyś moment tak czysty i radosny. Prawdopodobnie ma na to niejakie szansę - przynajmniej przez najbliższy miesiąc. Potem Hong wbije w niego swoje igły albo może Anthony Forbes zacznie machać mu przed oczami złotym zegarkiem-cebulą, powtarzając: „Czujesz się... baaardzo... śpiąący”. Możliwe nawet, że ani Hong, ani Forbes nie wyleczą go z bezsenności, lecz jeśli któremuś się uda, po pierwszej dobrze przespanej nocy na pewno przestanie oglądać aury i wstążki balonowe. Po miesiącu dobrze przespanych nocy zapomni zaś w ogóle, że mu się to przydarzyło. Starczy, żeby odczuwać odrobinę melancholii.

Lepiej rusz tyłek, przyjacielu. Jeśli twój nowy kumpel zerknie przypadkiem przez okno i zobaczy, że stoisz ciągle przed jego apteką jak wmurowany, sam pewnie zadzwoni po facetów z siatkami.

- Raczej po doktora Litchfielda - mruknął Ralph i ruszył przez parking w stronę Harris Avenue.

Wsadził głowę przez drzwi domu Lois i krzyknął:

- Hej! Jest tu kto?

- Wchodź, Ralph - odkrzyknęła Lois. - Siedzimy w dużym pokoju.

Ralph zawsze sobie wyobrażał, że nora hobbita musi przypominać mały dom Lois Chasse: schludny, lecz zagracony, być może nieco zbyt mroczny, lecz niepokalanie czysty. Przypuszczał także, że hobbit taki jak Bilbo Baggins, oprócz tego, co będzie na obiad, interesujący się właściwie wyłącznie genealogią, byłby oczarowany maleńkim dużym pokojem, z którego wszystkich ścian patrzyli na świat krewni. Na honorowym miejscu - na telewizorze - królowała kolorowana, studyjna fotografia mężczyzny, o którym Lois mówiła zawsze „pan Chasse”.

McGovern siedział skulony na kanapie, balansując na kościstych kolanach talerzem makaronu z serem. Telewizor był włączony, publiczność klaskała frenetycznie finalistom jakiegoś konkursu.

- Czy to znaczy, że jesteśmy w dużym pokoju? - zainteresował się Ralph, lecz zanim McGovern zdołał odpowiedzieć, pojawiła się Lois, trzymając w rękach dymiący talerz.

- Masz. Siadaj, jedz. Rozmawiałam z Simone, powiedziała mi, że wszystko będzie prawdopodobnie w dzienniku o dwunastej.

- Jezu, Lois, nie trzeba... - certował się odbierając od niej talerz, lecz żołądek dobitnie nie zgodził się z jego słowami, gdy tylko poczuł zapach cebuli i topionego cheddara. Ralph zerknął na zegar ścienny, zaledwie widoczny między zdjęciem mężczyzny w futrze z szopa i kobiety wyglądającej, jakby za życia posługiwała się szalenie arystokratycznym słownikiem, i ze zdumieniem stwierdził, że jest za pięć dwunasta.

- Nie zrobiłam nic, poza włożeniem resztek do kuchenki mikrofalowej. Kiedyś, Ralph, coś dla ciebie ugotuję. A teraz siadaj.

- Tylko nie na moim kapeluszu - powiedział McGovern, nie odrywając oczu od telewizora. Wziął fedorę z kanapy, rzucił ją na podłogę, pod nogi, i zajął się swoją porcją zapiekanki, znikającą w szybkim tempie z talerza. - Bardzo smaczne, Lois.

- Dziękuję. - Lois przystanęła na chwilę, by zobaczyć, jak jeden z uczestników teleturnieju wygrywa podróż na Barbados i nowy samochód, po czym znów pośpieszyła do kuchni. Wrzeszczący z radości zwycięzca znikł, zastąpiony przez mężczyznę w wygniezionej pizamie, który przewracał się w łóżku z boku na bok. Mężczyzna usiadł nagle i spojrzął na zegarek, wskazujący osiemnaście po trzeciej - poranną godzinę, z którą Ralph zawarł ostatnio bliską znajomość.

- *Nie możecie spać?* - zapytał sympatyczny głos. - *Męczy was bezsenne leżenie w*

łóżku, noc po nocy? - Mała świecąca pigułka wleciała przez okno sypialni cierpiącego na bezsenność

mężczyzny. Ralphowi kojarzyła się z najmniejszym na świecie latającym talerzem; nie zdziwiło go zbytnio, że jest niebieska.

Usiadł koło McGoverna. Choć obaj byli szczupli (określenie „chudy” pasowałoby do Billa nawet lepiej), zajęli prawie całą kanapę.

Lois przyniosła talerz dla siebie i usiadła w bujanym fotelu koło okna. Nałożony na muzykę z taśmy i oklaski z taśmy, oznaczające koniec teleturnieju, kobiecy głos oznajmił:

- *Tu Lisette Benson. Najważniejsza informacja „Wiadomości w południe”: Znana obrończyni praw kobiet zgadza się przemawiać w Derry. Jej decyzja wywołuje protesty pod miejscową kliniką - i sześć aresztowań. Chris Altoberg poda nam prognozę pogody, a Bob McClanahan wiadomości sportowe. Pozostańcie przy telewizorach.*

Ralph wsadził trochę makaronu z serem do ust, podniósł wzrok i dostrzegł, że obserwuje go Lois.

- Dobrze? - spytała.

- Wspaniale - odparł zgodnie z prawdą, ale miał nieodparte wrażenie, że teraz akurat wielka porcja „ranko-amerykańskiego spaghetti”, zimna i prosto z puszki, smakowałaby mu równie dobrze. Nie był głodny, był wręcz wygłodniały. Obserwowanie aur wypalało najwyraźniej mnóstwo kalorii.

McGovern przelknął resztki i odstawił talerz na podłogę, koło kapelusza.

- Najkrócej mówiąc, było tak - oznajmił. - Mniej więcej osiemnaście osób pojawiło się przed ośrodkiem o wpół do dziewiątej, kiedy ludzie przychodzą tam do pracy. Przyjaciółka Lois, Simone, twierdzi, że nazywają się „Przyjaciółmi Życia”, lecz jądro tej grupy to idioci i szaleńcy, nazywający swą organizację „Chleba Naszego Powszedniego”. Twierdzi, że jednym z tych szaleńców jest Charles Pickering, którego gliniarze złapali w zeszłym roku na próbie podpalenia budynku. Kuzynka Simone powiedziała jej, że aresztowano tylko cztery osoby. Najwyraźniej nie doceniła policji.

- I Ed naprawdę był z nimi? - zainteresował się Ralph.

- Naprawdę - przytaknęła Lois. - I też został aresztowany. Ale nikogo nie pobito. To przynajmniej była plotka. W ogóle nic się nikomu nie stało.

- Tym razem - stwierdził ponuro McGovern.

Na kolorowym telewizorze Lois (rozmiaru w sam raz dla hobbita) pojawił się znak „Wiadomości w południe”, rozmył i zmienił w Lisette Benson.

- *Dzień dobry*-powiedziała Lisette. - *A oto najważniejsza wiadomość tego pięknego,*

prawdziwie letniego dnia: znanapisarka i kontrowersyjna obrończyni praw kobiet, Susan Day, zgodziła się przyjechać w przyszłym miesiącu do Derry. Informacja o tym, że ma wystąpić w Centrum Obywatelskim w tym mieście, wywołała demonstrację pod ośrodkiem pomocy kobietom w trudnej sytuacji życiowej i kliniką aborcyjną, który tak podzielił...

- Znów te bzdury o „klinice aborcyjnej” - oburzył się McGovern. - Jezu!

- Cicho! - przerwała mu Lois ostro, tonem zupełnie nie przypominającym jej cichego, łagodnego zazwyczaj głosu. Bili spojrzeli na nią zaskoczony i zamilkli.

- ...przedstawmy państwu pierwszą z dwóch informacji z ośrodka opieki. Mówi John Kirkland - zakończyła Lisette Benson. Na ekranie pojawił się dziennikarz stojący przed długim, niskim ceglany budynek. Napis u dołu ekranu informował widzów: *Transmisja na żywo.*

Na jednej ze ścian ośrodka widniał rząd okien. Dwa z nich były wybite, kilka innych zasmarowano czymś czerwonym, co przypominało krew. Między dziennikarzem i budynkiem widać było rozciągniętą żółtą policyjną taśmę, stało przy niej trzech policjantów w mundurach i jeden w cywilnym ubraniu. Ralph bez zdziwienia rozpoznał w nim Johna Leydeckera.

- *Nazywają samych siebie „Przyjaciółmi Życia”, Lisette, i twierdzą, że dzisiejsza demonstracja była spontanicznym wyrazem oburzenia na wiadomość, że Susan Day, kobieta, którą radykalne ugrupowania antyaborcyjne nazywają „Amerykańską morderczynią dzieci numer jeden”, pojawi się w przyszłym miesiącu w Derry i wygłosi mowę w Centrum Obywatelskim. Co najmniej jeden z miejscowych policjantów nie wierzy w to, by można tu mówić o spontaniczności.*

Nagranie z magnetowidu rozpoczęło się od zbliżenia twarzy Johna Leydeckera. Sprawiał wrażenie zrezygnowanego i pogodzonego z mikrofonem, który podetknięto mu pod nos.

- *Nie było w tym za grosz spontaniczności* - powiedział Leydecker. - *Przygotowania do tej demonstracji musiały zająć wiele czasu. Prawdopodobnie założono, że Susan Day zgodzi się przyjechać, i przez niemal cały tydzień czekano na wiadomość w prasie o jej decyzji. Podano ją dziś rano.*

Kamera ukazała przeprowadzającego wywiad dziennikarza i policjanta. Kirkland wpatrywał się w Leydeckera swym najbardziej przenikliwym wzrokiem.

- *Co pan ma na myśli mówiąc, że przygotowania „musiały zająć wiele czasu”?*

- *Na większości ich transparentów widniało nazwisko pani Day. Było także kilkanaście egzemplarzy... tego.*

Służbową maskę „policjanta przesłuchiwanego przez dziennikarza” ożywiła bardzo ludzka emocja - Ralph miał wrażenie, że jest nią niesmak. John podniósł dużą plastikową torebkę na dowody rzeczowe - przez jedną straszną chwilę Ralph myślał, że jest w niej zniekształcone, uszkodzone ciało dziecka. Potem zdał sobie sprawę z tego, że - czymkolwiek jest wypełniająca torebkę czerwona ciecz-ma do czynienia nie z ciałem dziecka, lecz z lalką.

- *Nie kupili tego w sklepie z zabawkami - oznajmił Kirklandowi Leydecker. - Mogę to panu zagwarantować.*

Następnie, w zbliżeniu, pokazano ubrudzone i wybite okna. Kamera przejechała po nich powoli. To, czym je ubrudzono, przypominało krew tak bardzo, że Ralph zdecydował się zostawić na talerzu ostatnie kilka kęsów makaronu z serem.

- *Demonstranci przybyli uzbrojeni w gumowe lalki, nasączone, według policji, mieszaniną syropu i czerwonego barwnika do artykułów spożywczych - odezwał się zza kadru głos Kirklanda. - Wykrzykując slogany przeciw Susan Day, rzucali je o ściany ośrodka. Dwa okna zostały wybite, ale nie zanotowano większych szkód.*

Kamera ujęła w zbliżeniu obrzydliwie czerwony kawałek ściany.

- *Większość lalek pękła - mówił Kirkland - rozchlapując płyn do tego stopnia przypominający krew, że pracownicy w ośrodku mogli się wystraszyć.*

Na miejscu czerwonej ściany pojawiła się ładna dziewczyna w luźnych spodniach i pulowerze.

- O, patrzcie, Barbie! - krzyknęła Lois. - Jejku, mam nadzieję, że Simone to ogląda. Może powinnam...

Teraz z kolei uciszył ją McGovern.

- *Strasznie się przeraziłam - wyznała Kirklandowi Barbara Richards. - Najpierw myślałam, że naprawdę rzucają małymi dziećmi albo nawet płodami, które jakimś cudem zdobyli. Nawet kiedy pojawiła się doktor Harper krzycząc, że to tylko lalki, nadal nie byłam pewna.*

- *Mówisz, że coś wykrzykiwali?.*

- *Tak. Najwyraźniej słyszałam, jak skandują „Aniele Śmierci, precz z Derry”.*

Znów pojawił się Kirkland.

- *Okolo dziewiątej rano demonstranci przewiezieni zostali spod ośrodka do Głównego Komisariatu Policji na Main Street. Według posiadanych przeze mnie informacji, dwanaścioro przesłuchano i zwolniono, sześcioro aresztowano za zakłócanie porządku publicznego. Tak więc w toczącej się w Derry wojnie o aborcję oddano, jak się wydaje, kolejne strzały. John Kirkland, Wiadomości Kanalu Czwartego.*

- Kolejne strzały... - McGovern rozpaczliwie wyrzucił ręce w powietrze.

Na ekran telewizora wróciła Lisette Benson.

- *Niespełna godzinę temu Annę Rivers rozmawiała z dwoma tak zwanymi „Przyjaciółmi Życia”, którzy zostali aresztowani po manifestacji.*

Annę Rivers stała na schodach prowadzących do budynku komisariatu, mając po jednej stronie Eda Deepneau, po drugiej zaś wysokie indywiduum o żółtej cerze, i z kozią bródką. W szarej tweedowej marynarce i ciemnogramatowych luźnych spodniach Ed wyglądał szalenie światowo i bardzo przystojnie. Wysoki mężczyzna miał na sobie coś, co nawet radykalny liberał mógł wyobrazić sobie jako „strój proletariatu stanu Maine” tylko w gorączkowych majakach: spłowiatale džinsy, spłowiata niebieska flanelowa koszula, szerokie strażackoczerwone szelki. Ralph natychmiast rozpoznał w nim Dana Daltona, właściciela „Przywiędłej Róży, Używanych Ubrań”. Kiedy widział go po raz ostatni, Dalton stał pod wiszącymi na ścianach gitarami i klatkami na ptaki, gestem dając Hamowi Davenportowi do zrozumienia, że „gówno kogo obchodzi, co myślisz”.

Wzrok Ralpha przyciągnął jednak, oczywiście, Ed - światowy, skoncentrowany, skupiony i doskonały pod każdym względem.

McGoverna też to najwyraźniej uderzyło.

- Boże - powiedział - aż trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek.

- *Lisette* - mówiła właśnie ładna blondynka, Annę Rivers - *są tu ze mną panowie Edward Deepneau i Daniel Dalton, obaj mieszkający w Derry. Obaj znaleźli się wśród aresztowanych po porannej demonstracji. Czy mam rację, panowie? Zostaliście aresztowani?*

Skinęli głowami, Ed z zaledwie widocznym w oczach błyskiem humoru, Dalton z surowo zaciśniętymi ustami, wpatrzony

w reporterkę i sprawiający - przynajmniej na Ralphie - wrażenie, jakby próbował sobie przypomnieć, do której to kliniki aborcyjnej ona wślizgiwała się ostatnio, zgarbiona, kryjąc głowę w ramionach.

- *Zwolniono panów za kaucją?*

- *Zwolniono nas za obietnicę stawienia się przed sądem* - odparł Ed. - *Wniesiona przeciw nam skarga należała do drobnych. Nie chcieliśmy, by coś się komuś stało. I nic nie stało się nikomu.*

- *Zostaliśmy aresztowani tylko dlatego, że bezbożnicy okopani w strukturach władzy tego miasta chcieli zrobić z nas odstraszający przykład* - wtrącił Dalton. Ralphowi zdawało się, że Ed na te słowa skrzywił się, prawie niewidocznie, jakby chciał powiedzieć: „Znowu zaczyna”.

Annę Rivers podsunęła mikrofon Edowi.

- *W tym wypadku chodzi nie o filozofię, lecz o praktykę* - powiedział Ed. - *Choć ludzie prowadzący Ośrodek Opieki z upodobaniem opowiadają o doradztwie, o terapiach, o darmowych mammogramach i innych tego rodzaju godnych najwyższej pochwały działaniach, istnieje druga strona medalu. Rzeki krwi wypływają z ośrodka...*

- *Niewinnej krwi!* - krzyknął Dalton. Oczy płonęły mu w długiej, szczupłej twarzy. Ralph z nagłym niepokojem zdał sobie sprawę, że oto siedzący przy telewizorach w całym wschodnim Maine ludzie decydują właśnie, że facet w czerwonych szelkach to szaleniec, ten drugi zaś wygląda na całkiem rozsądnego gościa. Wydało mu się to niemal śmieszne.

Ed potraktował okrzyk Daltona jako antyaborcyjną wersję „Alleluja!” wędrownego kaznodziei. Odczekał chwilę i mówił dalej.

- *Rzeź w ośrodku odbywa się już od blisko ośmiu lat. Wielu ludzi, w tym także radykalna feministka, doktor Roberta Harper, szef administracji ośrodka, woli używać określeń wymijających, takich jak „zabieg”, ale mimo wszystko mówi przecież o aborcji, największej krzywdzie wyrządzanej kobietom przez seksistowskie społeczeństwo.*

- *Czy jednak rzucanie w okna prywatnej kliniki laleczkami wypełnionymi fałszywą krwią jest najwłaściwszym sposobem wyrażania poglądów w tej sprawie, panie Deepneau?*

Na chwilę, najkrótszą z chwilek, na twarzy Eda pojawił się - i zaraz znikł - wyraz znacznie twardszy, znacznie chłodniejszy. Przez tę chwilę Ralph znów patrzył na człowieka gotowego rzucić się na faceta o pięćdziesiąt kilo od niego cięższego. Zapomniałszy, że obserwuje nagranie sprzed blisko godziny, Ralph zląkł się o smukłą blondynkę, niemal tak ładną jak dziewczyna, której mężem był nadal mówiący właśnie do mikrofonu mężczyzna. Uważaj, kobieto, pomyślał. Uważaj i bój się. Stoisz obok bardzo niebezpiecznego człowieka.

Wszystko to minęło niemal błyskawicznie i mężczyzna w tweedowej marynarce znów był tylko człowiekiem, którego sumienie zaprowadziło do więzienia. I znów to Dalton, nerwowo szarpiący szelki jak wielkie czerwone gumki-recepturki, sprawiał wrażenie nieco trąconego.

- *Robimy to, czego tak zwani „dobrzy Niemcy” nie zrobili w latach trzydziestych.* - Ed mówił spokojnym, cierpliwym tonem człowieka, zmuszonego do powtarzania raz za razem oczywistej prawdy ludziom, którzy tę prawdę doskonale znają. - *Dobrzy Niemcy milczeli i zginęło sześć milionów Żydów. W tym kraju podobny holocaust...*

- *Przeszło tysiąc dzieci dziennie* - wtrącił Dalton. Nie krzyczał już, mówił głosem człowieka przerażonego i śmiertelnie zmęczonego. - *Wiele z nich wyrывa się z łon matek w kawałkach, wymachując małymi rączkami, umierając...*

- O mój Boże! - powiedział McGovern. - To największa bzdura, jaką w życiu...

- Cicho, Bili - przerwała mu Lois.

- ...*cel tego protestu?* - spytała Daltona dziennikarka.

- *Jak pani prawdopodobnie wie, Rada Miejska zgodziła się rozpatrzyć sprawę kwalifikacji gruntów, umożliwiającą ośrodkowi działanie w sposób i w miejscu, w którym działa. Głosowanie na ten temat odbędzie się na początku listopada. Zwolennicy aborcji obawiają się, że rada może sypnąć piachem w tryby ich maszyny śmierci, do obrony tej maszyny wezwali więc Susan Day, najbardziej w tym kraju zatwardziałą zwolenniczkę aborcji. Gromadzimy nasze siły...*

Mikrofon zwrócił się ku Edowi.

- *Czy przewidujecie panowie dalsze protesty?* - spytała Annę Rivers i Ralph nabrał nagle pewności, że jej zainteresowanie Edem wykracza poza ramy czysto profesjonalne. Bo i czemu nie? Ed był całkiem przystojny, a pani Rivers nie mogła przecież wiedzieć, że wierzy w Karmazynowego Króla i jego centurionów, którzy tu, w Derry, łączyli siły z mordercami dzieci z Ośrodka Opieki nad Kobietami.

- *Aż do momentu, w którym zmieni się prawo pozwalające na tego typu rzeź, protesty będą kontynuowane* - oznajmił Ed. - *Będziemy je kontynuować z nadzieją, że historycy następnego stulecia zapiszą w swych księgach, iż nie wszyscy Amerykanie byli dobrymi nazistami w tym ciemnym okresie naszej historii.*

- *Gwałtowne protesty?*

- *My właśnie sprzeciwiamy się gwałtowi.* - Ed i dziennikarka patrzyli sobie w oczy. Ralph miał nieodparte wrażenie, że Annę Rivers cierpi na coś, co Carolyn nazywała „cierpieniem tam, w środku”. Dan Dalton stał z boku, kompletnie zapomniany.

- *A kiedy do Derry przybędzie Susan Day, czy będziecie w stanie zagwarantować jej bezpieczeństwo?*

Ed uśmiechnął się. Oczami wyobraźni Ralph dostrzegł Eda takim, jakim był tego upalnego sierpniowego popołudnia niespełna miesiąc temu, kiedy to klęcząc nad nim, trzymał go za ramiona, dysząc mu w twarz: „Pałaj płody tam, w Newport”. Zadrżał.

- *Nie sądzę, by w kraju, w którym tysiące dzieci wysysa się z łon matek medycznym odpowiednikiem przemysłowego odkurzacza, ktokolwiek mógł zagwarantować cokolwiek komukolwiek.*

Przez chwilę Annę Rivers patrzyła na niego niepewnie, jakby nie potrafiła zdecydować, czy chce zadać mu jeszcze jakieś pytanie (być może o numer telefonu), a potem odwróciła się w stronę kamery.

- *Annę Rivers sprzed komendy policji w Derry* - powiedziała.

Zastąpiła ją Lisette Benson. Coś w tym, jak zacisnęła usta, kazało Ralphowi pomyśleć, że być może nie tylko on wyczuł nieprofesjonalne zainteresowanie dziennikarki mężczyzną, z którym przeprowadzała wywiad.

- *Będziemy dalej śledzić tę sprawę* - oznajmiła - *i poinformujemy o jej rozwoju w dzienniku o szóstej. W Augusta gubernator Greta Powers odpowiedziała na zarzuty, jakoby...*

Lois wstała i wyłączyła telewizor. Przez chwilę patrzyła tylko na ciemniejszy ekran, a potem westchnęła ciężko i usiadła.

- Mam kompot porzeczkowy - powiedziała - ale po tej relacji... napijecie się?

Obaj mężczyźni przecząco potrząsnęli głowami. McGovern spojrział na Ralpha.

- Przerazające - westchnął.

Ralph tylko skinął głową. Pamiętał, jak Ed chodził tam i z powrotem przez strumień wody ze spryskiwacza, mącąc własnym ciałem tęczę w powietrzu i uderzając pięścią jednej ręki w otwartą dłoń drugiej.

- Że też mogli zwolnić go za kaucją i rozmawiać z nim w telewizji, jakby był normalnym człowiekiem - zdziwiła się Lois. - I to po tym, co zrobił biednej Helen. Mój Boże, ta *Annę Rivers*, wygląda, jakby zaraz miała zaprosić go do domu na kolację!

- Albo na kilka krakersów do przegryzienia w łóżku - stwierdził sucho Ralph.

- Oskarżenie o pobicie i to, co się stało dzisiaj, to dwie zupełnie różne sprawy - wyjaśnił McGovern. - I możecie się założyć, że prawnik, którego ci kretyni mają na usługi, przypilnuje, żeby nadal tak było.

- A oskarżenie o pobicie kwalifikuje się wyłącznie jako wykroczenie.

- Jak pobicie może być wykroczeniem? - zdumiała się Lois. - Przepraszam, ale w ogóle nie mogę tego pojąć.

- Jest wykroczeniem tylko wtedy, jeśli pobiło się żonę - wyjaśnił McGovern, kpiąco unosząc brew. - To nasz amerykański sposób na życie, Lois.

Lois niespokojnie splotła i rozplotła dłonie, zdjęła z telewizora zdjęcie pana Chasse, patrzyła na nie przez chwilę, odłożyła na miejsce i splotła dłonie znowu.

- No, prawo to jedno - powiedziała - i pierwsza przyznam, że nie wszystko z tego rozumiem. Ale ktoś powinien im powiedzieć, że on jest szalony! Pobił żonę i jest szalony.

- Nie wiecie nawet, jak szalony. - I Ralph opowiedział im, co zdarzyło się zeszłego lata obok lotniska. Zajęło mu to jakieś dziesięć minut. Kiedy skończył, nie odezwali się ani słowem, tylko patrzyli na niego rozszerzonymi oczami.

- Co? - spytał, czując się trochę niepewnie. - Nie wierzycie mi? Myślicie, że sobie to

wszystko wymyśliłem?

- Oczywiście, że wierzymy - zapewniła go Lois. - Tylko... no... zdębieliśmy. I boimy się.

- Ralph, a może powinieneś opowiedzieć o wszystkim Johnowi Leydeckerowi? - zaproponował McGovern. - Nie sądzę, by zdołał cokolwiek z tym zrobić, ale biorąc pod uwagę nowych kumpli Eda, chyba powinien dysponować tą informacją.

Ralph chwilę się zastanawiał, a potem skinął głową i wstał.

- Najlepiej zaraz - powiedział. - Masz ochotę się przejść, Lois?

Lois potrząsnęła głową.

- Jestem zmordowana. I trochę... jak to się dziś mówi?... oglupiona. Chyba się położę. Zrobię sobie drzemkę.

- Doskonale. Wyglądasz na zmęczoną. Dzięki za to, że nas pożywiłaś. - Ralph pochylił się i pod wpływem impulsu delikatnie pocałował ją w kącik ust. Lois spojrzała na niego, zaskoczona i wdzięczna.

Ralph wyłączył telewizor niespełna sześć godzin później. Lisette Benson skończyła właśnie popołudniowe wiadomości i oddała głos prezenterowi sportowemu. Demonstracja przed ośrodkiem zepchnięta została tymczasem na drugie miejsce - na czołówki wyszło oskarżenie gubernator Greta Powers o używanie kokainy na studiach. Nie powiedziano też na temat demonstracji nic nowego, z wyjątkiem tego, że na czele „Przyjaciół Życia” stoi Dan Dalt on. Zdaniem Ralpha przysługiwał mu co najwyżej tytuł figuranta. Czy rzeczywistym szefem jest już Ed? Jeżeli nie, to zapewne wkrótce nim zostanie, najpóźniej na Boże Narodzenie. Znacznie bardziej ciekawiło go, co pracodawcy myślą o jego wyczynach w Derry. Chyba gorzej zniosą to, co się stało dzisiaj, niż oskarżenie o pobicie z zeszłego miesiąca; całkiem niedawno przeczytał, że Hawking Laboratories zostały piątym na północnym zachodzie kompleksem naukowym, w którym będzie się pracować na tkankach płodów. Dyrekcji nie uszczęśliwi wiadomość, że jednego z ich chemików przyłapano na rzucaniu wypełnionych sztuczną krwią lalek w okna kliniki przeprowadzającej aborcje. A gdyby jeszcze wiedzieli, jaki jest szalony...

Kto im to powie, Ralph? Ty?

Nie. Nie miał zamiaru posunąć się aż do tego. W odróżnieniu od wizyty z McGovernem na policji i rozmowy z Johnem Leydeckerem, to byłoby już prześladowanie. Jak pisanie „zabić cipę” pod zdjęciem kobiety, z której poglądami człowiek się nie zgadza.

Gówno prawda i doskonale o tym wiesz.

- Nic nie wiem - powiedział Ralph wstając i podchodząc

do okna. - Jestem zbyt zmęczony, by wiedzieć cokolwiek. - Wyglądając jednak przez okno i obserwując dwóch mężczyzn wychodzących z „Jabłuszka” (z sześcioma piwami każdy), nagle coś sobie przypomniał, coś skojarzył... i poczuł, jak po grzbiecie spływa mu zimny pot.

Tego ranka, kiedy wyszedł z „Jabłuszka” i stanął oszołomiony aurami - i wrażeniem, że dostał się na wyższy poziom postrzegania - powtarzał sobie raz za razem, że może się nimi cieszyć, ale nie wolno mu w nie uwierzyć, że jeśli nie dokona tego podstawowego rozróżnienia, skończy dokładnie jak Ed Deepneau. I to mu coś prawie przypomniało, ale tylko prawie - zbyt był zajęty grą kolorów i po prostu zabrakło mu czasu. Dopiero teraz uświadomił sobie, że Ed mówił coś o aurach. Mówił, prawda?

Nie. Być może miał na myśli aury, ale użył słowa kolory. Jestem tego niemal pewien. Użył go zaraz po tym, jak powiedział, że widzi ciała dzieci wszędzie, nawet na dachach.

Ralph obserwował mężczyzn wsiadających do poobijanej, starej półciężarówky, pewien, że nigdy dokładnie nie przypomni sobie słów Eda, że po prostu jest na to zbyt zmęczony. Potem, kiedy samochód odjechał w chmurze dymu, która kojarzyła mu się z tą jaskrawoczerwoną substancją, wydobywającą się dziś w południe z rury wydechowej ciężarówky z piekarni, otworzyły mu się w głowie kolejne zamknięte drzwi i przypomniał sobie.

- Powiedział, że świat czasami pełen jest kolorów - oznajmił pustemu mieszkaniu - ale w którymś momencie wszystkie zmieniają się w czerń. Przynajmniej wydaje mi się, że tak powiedział.

Blisko, ale czy w sam środek tarczy? Chyba było jeszcze coś w tej jego gadce, Ralph nie mógł jednak sobie przypomnieć co. I czy w ogóle miało to jakieś znaczenie? Nerwy podpowiadały mu jednak, że owszem, miało - zimna linia wzdłuż kręgosłupa poszerzyła się i pogłębiła.

Za jego plecami zadzwonił telefon. Ralph odwrócił się i dostrzegł, że aparat pogrążony jest w kuli złowrogiego czerwonego światła. Ciemnoczerwonego światła, ciemnoczerwonego jak leżąca z nosa krew i

(koguty walczące koguty)

kogucie grzebienie.

Nie, jęknęło mu coś w głowie. Nie, Ralph, tylko nie to. Znowu...

Za każdym sygnałem poświata czerwieni jaśniała. W przerwach między sygnałami ciemniała. Miał wrażenie, że patrzy na upiorne serce z telefonem w środku.

Zacisnął powieki na chwilę, a kiedy otworzył oczy, aury wokół telefonu nie było.

Nie. Teraz po prostu nie jesteś w stanie jej zobaczyć. Nie mam pewności, ale chyba siłą woli zmusiłeś ją, by znikła. Jak w żywym śnie.

Idąc przez pokój do telefonu powiedział sobie - bardzo stanowczo i wyraźnie - że ta myśl jest równie szalona jak same aury. Tylko że wcale nie był szalony i wiedział o tym, że nie jest szalony. Bo gdyby był szalony, to jakim cudem po jednym spojrzeniu na czerwoną niczym koguci grzebień aurę wiedziałby na pewno, że dzwoni Ed Deepneau?

Gównu, Ralph. Jesteś pewien, że dzwoni Ed, bo o Edzie myślałeś... i ponieważ jesteś taki zmęczony, że nawala ci głowa. No, podnieś słuchawkę, sam zobaczysz. To nie wróżka spełniająca życzenia, nawet nie telefon spełniający życzenia, tylko jakiś facet sprzedający subskrypcję albo ktoś z banku krwi z pytaniem, dlaczego tak długo się u nich nie pokazywałeś.

Wiedział, że to niemożliwe.

Podniósł słuchawkę i powiedział:

- Halo?

Żadnej odpowiedzi. Ale ktoś tam był, po drugiej stronie. Słyszał jego oddech.

- Halo? - powtórzył.

I znów żadnej odpowiedzi. Ralph miał już zamiar oznajmić, że odwiesza słuchawkę, kiedy odezwał się Ed Deepneau.

- Dzwonię w sprawie twojej gęby, Ralph. Twoja gęba może cię wpędzić w kłopoty.

Zimna linia wzdłuż kręgosłupa nie była już linią; od karku po biodra okrywała go tam lodowa płytka.

- Cześć, Ed. Widziałem cię dzisiaj w telewizji. - Nie potrafił wymyślić nic innego. Miał wrażenie, że wcale nie trzyma słuchawki, lecz że dostał kurczu i nie może jej puścić.

- Nie w tym rzecz, staruszkule. Lepiej uważaj. Wpadł tu ten wielki detektyw, który aresztował mnie w zeszłym miesiącu. Leydecker. Właściwie to dopiero co wyszedł.

r~

Ralph poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła, ale znowu wcale nie tak wysoko. W końcu nic dziwnego, że Leydecker poszedł odwiedzić Eda, nie? Bardzo zainteresowała go opowieść o tym, co zdarzyło się niedaleko lotniska w lecie 1992 roku. Bardzo, bardzo zainteresowała.

- Naprawdę? - spytał spokojnie.

- Detektywowi Leydeckerowi wydaje się chyba, że moim zdaniem ludzie, czy raczej jakies nadnaturalne istoty, wywożą płody z miasta ciężarówkami i pikapami. Co za nonsens, nie?

Ralph stał obok sofy, bezmyślnie skręcając w palcach sznur telefonu. Widział na nim słabe czerwone światło, jak pot. Światło pulsowało w rytm słów Eda.

- Opowiadasz głupie bajeczki, staruszk. Ralph milczał.

- Telefon na policję po tej nauczce, jaką dałem tej suce, na którą w pełni sobie zasłużyła, wcale mnie nie wzruszył - ciągnął Ed. - Złożyłem go na karb... troski dziadka o wnuczkę. A może myślałeś, że jeśli będzie wdzięczna, da ci z litości? Jesteś stary, ale przecież nie całkiem jeszcze gotów do parku sztywnych. Mogłeś sądzić, że co najmniej pozwoli ci wsadzić tam palec.

Ralph milczał.

- Mam rację, staruszk? Ralph milczał.

- Myślisz, że wstrząśnie mną cichy dzień? Nie licz na to. - Ale Ed był chyba wstrząśnięty, a co najmniej wytrącony z równowagi. Jakby miał zamiar prowadzić rozmowę według zaplanowanego scenariusza, a partner odmawiał czytania swoich kwestii. - Nie możesz... lepiej żebyś nie próbował...

- To, że zadzwoniłem na policję, kiedy pobiliśmy Helen, nie zrobiło na tobie wrażenia, ale dzisiejsza rozmowa z Leydeckerem zrobiła. O co chodzi, Ed? Może zadałeś sobie w końcu pytanie, dlaczego się tak zachowujesz? I dlaczego tak myślisz?

Teraz z kolei Ed nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. W końcu szepnął ochryple:

- Jeśli nie potraktujesz tego poważnie, Ralph, popełnisz najgorszy błąd...

- Och, oczywiście, że traktuję to poważnie. Widziałem, co zrobiłeś dzisiaj, i widziałem, co zrobiłeś żonie w zeszłym miesiącu... I widziałem, co zrobiłeś na lotnisku przed rokiem. O tym wszystkim wie policja. Wysłuchałem cię, Ed, teraz ty

mnie wysłuchaj. Jesteś chory. Miałeś jakieś załamanie... nerwowe... Cierpisz na przywidzenia...

- Nie muszę słuchać tego gówna! - Ed niemal wrzeszczał.

- Oczywiście. Oczywiście, że nie musisz. W końcu to ty płacisz za rozmowę. Póki mnie jednak słuchasz, nie przestanę gadać. Ponieważ lubiłem cię, Ed, i chciałbym móc polubić cię znowu. Jesteś mądrym facetem, halucynacje czy nie halucynacje, a moim zdaniem zrozumiesz, co powiem: Leydecker wie, Leydecker będzie cię obserwował...

- Zaczynasz widzieć kolory? - spytał Ed. Znowu mówił spokojnie. W tej samej chwili czerwona poświata na sznurze telefonicznym znikła.

- Jakie kolory? - spytał wreszcie Ralph, Ed zignorował jednak jego pytanie.

- Powiedziałeś, że mnie lubiłeś. No, a ja ciągle cię lubię. Zawsze cię lubiłem. Więc pozwól, że dam ci bardzo cenną radę. Wypływaj na głębokie wody, a w głębokich wodach

żyją stwory, o których nie masz - i nie możesz mieć - zielonego pojęcia. Twoim zdaniem oszalałem, ale pozwól sobie powiedzieć, że nie wiesz i nie możesz wiedzieć, czym jest szaleństwo. O szaleństwie nie masz najmniejszego pojęcia. Ale go nabierzesz, jeśli nadal będziesz się wtrącał w sprawy, które

- Jakie sprawy? - Ralph próbował mówić lekkim tonem, ale słuchawkę ścisnął tak mocno, że aż rozboleły go palce.

- Siły. W Derry działają siły, o których z pewnością wolałbyś nie wiedzieć. Są tu... no, powiedzmy, że są to istoty. Na razie jeszcze cię nie zauważyły, ale jeśli nie przestaniesz wchodzić mi w drogę, to na pewno zauważą. A tego byś nie chciał. Uwierz mi, na pewno byś nie chciał.

Siły. Istoty.

- Spytałeś kiedyś, jak się o tym wszystkim dowiedziałem. Kto mnie w to wszystko wprowadził. Pamiętasz, Ralph?

Tak. Teraz sobie przypomniał. Ostatnia rzecz, którą powiedział mu Ed, zanim włączył ten swój sztuczny uśmiech i poszedł powitać gliniarzy. „Widzę kolory od czasu, gdy on przyszedł i wszystko mi powiedział... Porozmawiamy o tym później”.

- Doktorek mi o tym powiedział. Mały łysy doktorek. Chyba przed nim będziesz musiał odpowiedzieć, jeśli nie przestaniesz wtrącać się w moje sprawy. A jeśli do tego dojdzie, to... niech ci Bóg dopomoże.

- Mały łysy doktorek, co? Tak, teraz rozumiem. Najpierw

Karmazynowy Król i jego centurioni, a teraz mały łysy doktorek. Następny będzie pewnie...

- Oszczędź sobie tych kpin, Ralph. Po prostu trzymaj się z dala ode mnie i od moich spraw. Słyszysz? Rozumiesz?

Rozległ się trzask i połączenie zostało przerwane. Przez dłuższą chwilę Ralph przyglądał się słuchawce w dłoni, a potem powoli odłożył ją na widelki.

Trzymaj się z dala ode mnie i od moich spraw.

Oczywiście, czemu nie. Miał mnóstwo własnych do załatwienia.

Poszedł powoli do kuchni, wsadził gotowe danie (filet z dorsza, jeśli to kogoś interesuje) do piecyka i spróbował zapomnieć o aborcjach, protestach, aurach, Edzie Deepneau i Karmazynowym Królu.

Przyszło mu to znacznie łatwiej, niż przypuszczał.

Rozdział 6

Lato odeszło w przeszłość, jak zwykle w Maine, prawie niezauważalnie. Ralph nadal budził się przedwcześnie i kiedy kolory jesieni rozplomieniły liście na drzewach przy Harris Avenue, co rano otwierał oczy około drugiej piętnaście. Niezbyt to było przyjemne, ale mógł pocieszać się oczekiwaniem na wizytę u Jamesa Roya Honga, no i nie powtórzył się już ten wściekły pokaz sztucznych ogni, którego ofiarą padł po spotkaniu z Joem Wy zerem. Czasami coś wokół czegoś błyskało, ale okazało się, że wystarczy zamknąć oczy i policzyć do pięciu, by błyski ustały... prawie za każdym razem.

Susan Day miała wystąpić w Derry w piątek, ósmego listopada. Począwszy od końca września zarówno protesty jak i publiczne wypowiedzi o aborcji zaostrzały się i coraz częściej skupiały na jej osobie. Ralph wielokrotnie widywał Eda w telewizji, czasami w towarzystwie Dana Daltona, ale częściej samego. Ed mówił logicznie, zdecydowanie, bardzo często z błyskiem humoru widocznym nie tylko w oczach, lecz słyszalnym także w tonie głosu.

Ludzie go lubili i „Przyjaciele Życia” zyskali wielu członków i popleczników. Ich polityczny przodek, „Chleba Naszego Powszedniego”, mógł najwyżej marzyć o takim powodzeniu. Nie rzucono już lalkami, nie było gwałtownych demonstracji, ale prawie bez przerwy odbywały się marsze i kontrmarsze. Wymyślano sobie, potrząsano pięściami, pisano gniewne listy do gazet, kapłani grozili potępieniem wiecznym, nauczyciele zalecali umiar i naukę, a grupka młodych kobiet nazywających się „Lesbijsko-Homoseksualnymi Dziećmi Jezusa” urządziła pod Pierwszym Kościołem Baptystów w Derry demonstrację

pod hasłem WYPIERDALAJ Z MEGO CIAŁA i została za to aresztowana. Miejscowe *News* wydrukowały wypowiedź policjanta, który wolał pozostać anonimowy. Policjant powiedział, że ma nadzieję, iż Susan Day dostanie grypy albo coś, i w ogóle się w Derry nie pojawi.

Przez cały ten czas Ed nie odezwał się ani razu, natomiast dwudziestego pierwszego września Ralph otrzymał pocztówkę od Helen. Na pocztówce wypisane było czternaście radosnych słów: *Hurra! Dostałam pracę! Biblioteka Publiczna w Derry! Zaczynam od pierwszego! Do zobaczenia wkrótce! Helen.*

Czując się znacznie radośniej, niż czuł się od dnia, kiedy to Helen zadzwoniła do niego ze szpitala, Ralph poszedł na dół pokazać pocztówkę McGovernowi. Drzwi do

mieszkania McGoverna zamknięte były jednak na głucho. Pokaże ją Lois... Ale Lois też nie było w domu, prawdopodobnie grała w karty albo poszła po wełnę na kolejny afgański koc.

Nieco zawiedziony, rozważając, jak to ludzie, z którymi człowiek najbardziej chciałby się podzielić dobrą nowiną, zawsze są nieosiągalni, kiedy ta nowina nadejdzie, Ralph poszedł do parku Strawforda. I tam właśnie zastał Billa McGoverna, który siedział na ławce obok boiska do gry w softball i płakał.

„Płakał” to może nieco zbyt mocne słowo, ale łzy rzeczywiście spływały Billowi po policzkach. Siedział ściskając chusteczkę w skrzyżowanej przez reumatyzm garści i obserwując matkę i syna, ćwiczących podania wzdłuż linii pierwszej bazy na boisku, na którym ostatni wielki mecz sezonu w ramach szkolnego turnieju miejskiego zakończył się przed dwoma dniami. Od czasu do czasu podnosił dłoń z chustką i osuszał sobie oczy. Ralph, który nigdy nie widział go płaczącego - nawet na pogrzebie Carolyn - przez kilka chwil stał obok ławki, niepewny, czy powinien do niego zagadać, czy też raczej należy odwrócić się i odejść, skąd przyszedł. W końcu zebrał się na odwagę i zagadał:

- Jak tam, Bili?

McGovern spojrzał na niego oczami czerwonymi, wilgotnymi i nieco zawstydzonymi. Otarł je raz jeszcze i spróbował się uśmiechnąć.

- Cześć, Ralph. Złapałeś mnie na użalaniu się nad sobą. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi. Mnie też to się zdarzało. Stało się coś złego?

McGovern wzruszył ramionami i znów przyłożył chusteczkę do oczu.

- Nie, nic takiego. Cierpię na efekt paradoksu, to wszystko.

- Jakiego paradoksu?

- Coś dobrego dzieje się z jednym z moich najstarszych przyjaciół, człowiekiem, który jako pierwszy dał mi pracę nauczyciela. Umiera.

Ralph uniósł brwi, ale nie odezwał się.

- Na zapalenie płuc. Siostrzenica dziś lub jutro przewiezie go pewnie do szpitala, gdzie zostanie podłączony do sztucznego płuca, przynajmniej na razie, ale i tak z całą pewnością umiera. Uraduję się jego śmiercią, kiedy nadejdzie, i to chyba wprawia mnie w największą depresję. - Przerwał. - Pewnie nie rozumiesz słowa z tego mojego bełkotu, co?

- Nie rozumiem. Ale to nic nie szkodzi.

McGovern spojrzał mu w twarz, wytarł oczy i prychnął. Był to dźwięk ostry i ochrypy od łez, ale Ralphowi mimo wszystko wydał się śmiechem. Zaryzykował i uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Powiedziałem coś zabawnego? - zainteresował się.

- Nie - odparł McGovern i lekko klepnął go po ramieniu. - Patrzyłem ci tylko w twarz, taką szczerą, taką otwartą... naprawdę, jesteś jak otwarta księga, Ralph... i pomyślałem, jak bardzo cię lubię. Czasami żałuję, że nie jestem tobą.

- Na pewno nie żałujesz tego o trzeciej nad ranem. Bili westchnął i skinął głową.

- Bezszenność, co?

- Masz rację. Bezszenność.

- Przepraszam, że się roześmiałem, ale...

- Nie musisz mnie za nic przeproszać, Bili.

- ...proszę, uwierz mi, to był śmiech pełen podziwu.

- Kim był twój przyjaciel i dlaczego to dobrze, że umiera? - Ale Ralph domyślał się już, na czym polegał paradoks. Nie był takim sympatycznym półgłówkiem, za jakiego McGovern czasami go uważał.

- Nazywa się Bob Polhurst, a zapalenie płuc jest dobrą nowiną, ponieważ od lata osiemdziesiątego ósmego roku choruje na chorobę Alzheimerera.

Ralph tego się właśnie domyślał... choć do głowy przyszło mu także AIDS. Przez moment trochę rozbawiony zastanawiał

się, czy wzmianka o AIDS zaszokowałaby Billa McGoverna. Potem spojrzał na przyjaciela, wstydząc się tej chwilowej wesołości. Zdawał sobie sprawę, że jeśli chodzi o depresje, Billa należy uznać co najmniej za półprofesjonalistę, ale nie znaczyło to wcale, że nieszczerze współczuje staremu przyjacielowi.

- Bob szefował Wydziałowi Historycznemu liceum w Derry od czterdziestego ósmego, kiedy to miał najwyżej dwadzieścia pięć lat, do osiemdziesiątego pierwszego czy drugiego. Był doskonałym nauczycielem, jednym z tych niesłychanie bystrych ludzi, których spotyka się czasami na prowincji, bo po prostu nie lubią się wychylać. W końcu kierują wydziałem i robią jeszcze kilka innych rzeczy, ponieważ zwyczajnie nie umieją powiedzieć „nie”. Bob z pewnością nie umiał powiedzieć „nie”.

Minęli ich matka i synek. Szli w stronę małego barku, który już bardzo niedługo miał zostać zamknięty na zimę. Twarz chłopca była niesłychanie czysta, jej piękno podkreślała różowa aura, która wirowała mu wokół głowy i spływała na buzię poruszającymi się łagodnie falami.

- Możemy już wracać do domu, mamó? Chciałbym się pobawić plasteliną. Chcę z niej zrobić całą rodzinę!

- Zjedzmy coś najpierw, dobrze, szanowny panie? Mama jest głodna.

- Dobrze.

Przez grzbiet nosa chłopca biegła blizna w kształcie haka. Różowa aura przechodziła w tym miejscu w szkarłat.

Wypadł z kołyski, kiedy miał osiem miesięcy, pomyślał Ralph. Sięgał po motyle na karuzelce, którą matka zawiesiła nad nim. Przeraziła się na śmierć, kiedy wbiegła i zobaczyła tyle krwi... myślała, że jej syn umiera. Ma na imię Patrick. Ona woła na niego Pat. Dano mu imię po dziadku i...

Na chwilę mocno zacisnął powieki. Żołądek unosił mu się gdzieś tuż pod jabłkiem Adama i Ralph był całkowicie pewien, że zaraz wymiotuje.

- Ralph? ->- zaniepokoił się McGovern. - Dobrze się czujesz?

Ralph otworzył oczy. Ani śladu aury, różowej i w ogóle jakiegokolwiek - po prostu matka i syn idący do baru napić się czegoś zimnego i... przecież w żaden, ale to żaden sposób nie mógł wiedzieć, że matka Pata nie chce zabrać Pata do domu, bo ojciec Pata po ośmiomiesięcznej abstynencji znów zaczął pić, a kiedy wypije, robi się gwałtowny...

Przestań! Na litość boską, przestań!

- Jasne, nic się nie stało, tylko coś wpadło mi do oka. Mów dalej, opowiedz mi o swoim przyjacielu.

- Niewiele jest do opowiadania. Był geniuszem, ale lata nauczyły mnie, że geniusz to wcale nie taka znowu rzadkość. Moim zdaniem ten kraj jest pełen geniuszy, facetów i dziewczyn tak bystrych, że przeciętny zarejestrowany członek MENSY to przy nich zwykły debil. I moim zdaniem większość tych geniuszy to nauczyciele, którzy żyją i pracują skromnie, w małych miasteczkach... tylko dlatego, że im to odpowiada. Z pewnością odpowiadało Bobowi Polhurstowi.

Bob zaglądał ludziom w serca tak, że mnie przerażał... przynajmniej na początku. Po jakimś czasie człowiek się orientował, że nie ma się czego bać, bo on jest dobry, ale na początku przerażał każdego. Aż się zastanawiałeś, czy ma normalne oczy, czy też coś w rodzaju rentgena.

Stojąca przy barze kobieta pochylała się, podając chłopcu mały kubek coli. Chłopiec wyciągnął po niego obie dłonie, uśmiechnął się i zaczął pić szybko, spragniony. W tym momencie, *na krótko, znów pojawiła się wokół niego pulsująca różowa poświata* i Ralph uświadomił sobie, że wcale się nie mylił, że chłopiec ma na imię Patrick i że matka nie chce zabrać go do domu. Nie powinien, nie mógł tego wiedzieć - a jednak wiedział.

- W tamtych czasach, jeśli pochodziłeś ze środkowego Maine i nie byłeś stuprocentowo heteroseksualny, z pewnością próbowałeś jak szatan za takiego uchodzić. To była twoja jedyna szansa, chyba że wolałeś przenieść się do Greenwich Village, nosić beret i

w soboty chodzić do klubów jazzowych, w których zamiast bić brawo, strzelało się z palców. Wtedy sam pomysł „wyjścia z ukrycia” wydawał się nam śmieszny. Mieliśmy wyłącznie ukrycie. Jeśli nie chciałeś znaleźć się na ulicy w towarzystwie kilku pijanych członków uniwersyteckiego bractwa, usiłujących oberwać ci gębę, cały świat musiał być ukryciem.

Pat wypił colę i cisnął kubeczek na ziemię. Matka kazała mu go podnieść i wyrzucić do kosza; zrobił to radośnie, jak wszystko. Potem wzięła chłopca za rękę i powoli poszli w kierunku wyjścia z parku. Ralph obserwował ich z uczuciem niepokoju - miał nadzieję, że strach kobiety okaże się nieuzasadniony, bał się, że będzie uzasadniony.

- Podanie o pracę na Wydziale Historii w szkole w Derry złożyłem w pięćdziesiątym pierwszym, po dwóch latach pracy

na prowincji, gdzie diabeł mówił dobranoc, w Lubec. Założyłem, że jeśli tam nikt się nie połapał, to poradzę sobie wszędzie. Ale Bobowi wystarczyło raz spojrzeć na mnie - do diabła, przeze mnie - tymi swoimi rentgenowskimi oczami i od razu wiedział wszystko. I wcale tego nie ukrywał. „Jeśli zdecyduję się dać panu tę pracę, a pan zdecyduje się ją przyjąć, to czy mogę mieć pewność, panie McGovern, że nie będzie żadnego, nawet najmniejszego, problemu wynikającego z pana preferencji seksualnych?” - spytał mnie. „Preferencji seksualnych”, Ralph! Jezu Przenajświętszy! Aż do tamtej chwili nie marzyłem nawet, że kiedyś usłyszę to określenie, ale jemu przeszło przez usta gładko jak po dobrze naoliwionym łożysku! Och, oczywiście, już, już zadzierałem nosa, już miałem powiedzieć, że choć nie wiem, o czym mówi, czuję się urażony. No, bo wypadaloby się obrazić, nie? Ale kiedy na niego spojrzałem, doszedłem do wniosku, że szkoda wysiłku. Bez trudu oszukałem ludzi tam, w Lubec, ale nie udało mi się oszukać Boba Polhursta. Bob nie miał jeszcze trzydziestu lat, pewnie zaledwie parę razy był gdzieś na południe od Kittery, ale o mnie wiedział wszystko, co tylko miało jakieś znaczenie. Dowiedział się tego w trakcie rozmowy, która nie trwała nawet dwudziestu minut. „Nie będzie problemów, nawet najmniejszych”, przyrzekłem pokornie jak jakiś maleńki robaczek.

Znów przetarł oczy chusteczką, Ralph odniósł jednak wrażenie, że jest to gest o charakterze raczej teatralnym.

- Przez te dwadzieścia trzy lata, bo potem przeszedłem na uniwersytet miejski, Bob nauczył mnie wszystkiego, co wiem

O uczeniu historii i grze w szachy. Był błyskotliwym graczem... Temu staremu zarozumialcowi, Chapinowi, na pewno podrzuciłby kilka trudnych do ugryzienia kości, możesz mi wierzyć na słowo. Pokonałem go zaledwie raz, i to wtedy, gdy Alzheimer zaczynał już dawać o sobie znać. Po tym zwycięstwie już nigdy z nim nie grałem.

Było też mnóstwo innych spraw. Na przykład nie zapominał dowcipów. Ani razu nie zapomniał o urodzinach albo jakiejś rocznicy ludzi, którzy byli mu bliscy. Nie wysyłał kartek ani nie dawał prezentów, ale zawsze składał życzenia

I nikt nigdy nie wątpił w ich szczerość. Opublikował przeszło sześćdziesiąt artykułów o nauczaniu historii i o Wojnie Domowej, która była jego specjalnością. W sześćdziesiątym siódmym i ósmym napisał książkę pod tytułem „Tego lata, nieco później”, o miesiącach tuż po Gettysburgu. Dziesięć lat temu

dał mi do przeczytania rękopis... i była to najlepsza książka o Wojnie Domowej, jaką kiedykolwiek przeczytałem. Tylko powieść „The Killer Angels” Michaela Shaara jest w tej samej lidze. Ale Bob nie chciał nawet słyszeć o jej publikacji. Kiedy go zapytałem dlaczego, powiedział, że ze wszystkich ludzi na świecie ja powinienem rozumieć go najlepiej.

McGovern przerwał na chwilę, patrząc na park, pełen zielono-złotego światła i czarnych krzyżujących się cieni, poruszanych każdym, najdrobniejszym nawet westchnieniem wiatru.

- Powiedział, że boi się „wystawienia na widok publiczny”.

- No tak - westchną) Ralph. - Rozumiem.

- Być może najwięcej mówi o nim fakt, że rozwiązywał te wielkie krzyżówki w niedzielnym *New York Times* długopisem! Kiedyś sobie z niego zakpiłem, oskarżyłem go o pychę. Bob tylko się uśmiechnął. „Istnieje wielka różnica między pychą a optymizmem, Bili”, powiedział, „a ja jestem optymistą, to wszystko”. No, w każdym razie wiesz już dosyć. Dobry człowiek, doskonały nauczyciel, specjalista od Wojny Domowej, a teraz nie wie nawet, co to wojna domowa, nie wspominając już o tym, kto wygrał naszą. Cholera, nie wie nawet, jak mu na imię, a w najbliższej przyszłości - im szybciej, tym lepiej - umrze nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że kiedyś żył!

Mężczyzna w średnim wieku, ubrany w Firmowy podkoszulek Uniwersytetu Stanu Maine i dziurawe džinsy szedł przez boisko, powłócząc nogami. Pod pachą trzymał papierową torbę. Zatrzymał się przy barku, zaczął grzebać w koszu na śmieci w poszukiwaniu zwrotnych butelek. Kiedy się pochylił, Ralph dostrzegł otaczającą go ciemnozieloną aurę i jaśniejszą wstążkę unoszącą mu się z czubka głowy. Nagle poczuł takie zmęczenie, że brakło mu sił nawet na zamknięcie oczu i odpędzenie od siebie tego widoku.

Obrócił się w stronę McGoverna i powiedział:

- Wiesz, w zeszłym miesiącu zacząłem widzieć takie...

- Chyba istotnie odprawiam żałobę - McGovern teatralnym gestem znów przetarł sobie oczy - ale nie wiem, czy po Bobie, czy po samym sobie. Możesz oczywiście

powiedzieć, że kraczę, ale gdybyś wiedział, jaki był wtedy bystry, jaki cholernie bystry...

- Bili, widzisz tego faceta tam, koło barku? Tego, który grzebie w śmietniku? Wiesz...

- Tak, ostatnio coraz ich więcej. - McGovern ledwie

zerknął na pijaczka. - Nienawidzę starości. Może wszystko sprowadza się właśnie do tego? Absolutnie wszystko?

Pijaczek podszedł do ich ławki. Powłóczył nogami, a jego nadejście zwiastował zapach - bynajmniej nie Old Spice. Jego aura, żywa, soczysta zielona, przypominająca Ralphowi dekoracje na dzień świętego Patryka, nie pasowała ani do jego pokory, ani do chorego uśmiešku.

- Cześć panowie? Jak leci?

- Bywało lepiej. - McGovern kpiąco uniósł brew. - I spodziewam się, że będzie lepiej, kiedy tylko się od nas odczepisz.

Pijaczek spojrzał na niego niepewnie, zdecydował, że nic tu nie wygra, i zwrócił się do Ralpha.

- Masz pan może jakieś drobne? - spytał. - Muszę się dostać do Dexter. Wuj zadzwonił do schroniska tam, na Nebolt Street; mogę odzyskać pracę w tkalni, ale tylko jeśli...

- Spadaj, stary - powiedział McGovern.

Pijaczek zerknął na niego szybko, wystraszony, a potem spojrzenie przekrwionych piwnych oczu znów zwrócił na Ralpha.

- To dobra robota, wiesz pan? Mogę znów ją dostać, ale muszę wrócić dzisiaj. Jest autobus...

Ralph sięgnął do kieszeni, znalazł ćwierćdolarówkę i dziesięciocentówkę i rzucił je w wyciągniętą dłoń. Pijaczek uśmiechnął się, otaczająca go aura pojaśniała, a potem nagle znikła, co zostało przyjęte z wielką ulgą.

- Wspaniale! Dziękuję, panie!

- Nie ma o czym mówić.

Pijaczek powłókł się w kierunku „Kup i oszczędź”, gdzie w stałej sprzedaży mieli i night train, i old duke, i silver satin.

Cholera, nie okazałbyś mu także odrobiny miłosierdzia? Niespełna kilometr w tamtą stronę jest też przystanek autobusowy.

Słusznie, ale Ralph żył wystarczająco długo, by znać różnicę między współczuciem a złudzeniem. Jeśli pijak z ciemnozieloną aurą szedł na przystanek, on sam jechał do Waszyngtonu objąć posadę sekretarza stanu.

- Nie powinieneś tego robić - skarcił go McGovern. - To ich tylko ośmiela.

- Pewnie masz rację - przytaknął i westchnął zrezygnowany.

- Co mówiłeś, kiedy nam tak nieuprzejmie przeszkodzono?

Nagle pomyślał, żeby opowiedzieć McGovernowi o aurach, wydał się Ralphowi wyjątkowo złym pomysłem. Że też coś takiego mogło zaświtać mu w głowie! Bezsensowność, oczywiście - to jedyne sensowne wyjaśnienie. Bezsensowność zrobiła coś nie tylko z pamięcią krótkoterminową i zdolnością postrzegania, lecz i z jego trzeźwością sądów.

- Chciałem ci powiedzieć, że dziś rano dostałem pewną wiadomość. Może cię to pocieszy. - Dał McGovernowi kartkę od Helen. McGovern przeczytał ją, potem przeczytał powtórnie, a przy drugiej lekturze na jego długiej, końskiej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Ulga i szczerą przyjemność widoczne w tym uśmiechu sprawiły, że Ralph natychmiast wybaczył Billowi jego wcześniejsze lamenty nad samym sobą. Łatwo się zapominało, że bywa on równie wielkoduszny, jak pompatyczny.

- Słuchaj, wspaniałe, nie? Praca!

- No pewnie! Uczcijmy to lunchem. Jest taka mała, sympatyczna restauracyjka dwa domy od „Szczęścia w pigułce” - nazywa się „Koniec Dnia, Zachód Słońca”. Nazwa może trochę wyszukana, ale...

- Dzięki. Niestety, obiecałem siostrzenicy Boba, że przyjdę i trochę przy nim posiedzę. Oczywiście, Bob nie ma już zielonego pojęcia, kim jestem, ale to nie szkodzi, bo ja wiem, kim on jest. *Capisce?*

- Jasne. No, to odłożymy to sobie na później, dobra?

- Oczywiście. - McGovern przyjrzał się kartce, nadal uśmiechnięty. - To cudowne! Absolutnie cudowne!

Ralph ucieszył się, widząc na jego starej twarzy radość.

- Też tak pomyślałem.

- Założyłbym się z tobą o pięć dolarów, że natychmiast wróci do tego szaleńca, popychając przed sobą małą w tej cholernej spacerówce... ale cieszyłbym się z utraty tej forsy. Brzmi to chyba po wariacku.

- Trochę - stwierdził Ralph, ale tylko dlatego, że jego przyjaciel spodziewał się takiej odpowiedzi. Tak naprawdę zaś pomyślał, że Bili McGovern właśnie podsumował swój charakter i światopogląd zrzęcniej, niż on, Ralph, zdolny byłby tego

■ dokonać.

- Miło wiedzieć, że komuś poprawiło się, zamiast pogorszyć, co?

- No pewnie!

- Pokazałeś to Lois?

Ralph potrząsnął głową.

- Nie było jej w domu. Ale dowie się, kiedy tylko ją spotkam.

- Powinna. Lepiej sypiasz, Ralph?

- Jest chyba całkiem nieźle, dziękuję.

- To dobrze. Bo wyglądasz lepiej. Sprawiasz wrażenie silniejszego. Nie możemy się poddawać, Ralph, to najważniejsze. Mam rację?

- Tak. - Ralph westchnął. - W tej sprawie z pewnością masz rację.

W dwa dni później Ralph siedział przy kuchennym stole, zajadając powoli płatki zbożowe (nie przepadał za płatkami, lecz miał niejasne wrażenie, że jakoś jednak mu pomagają), z oczami wbitymi w pierwszą stronę *News*. Artykuł przeczytał szybko, lecz nie potrafił oderwać oczu od zdjęcia, które potwierdzało wszystkie jego złe przeczucia z ostatniego miesiąca, a nie wyjaśniało niczego.

Jego zdaniem nagłówek umieszczony nad zdjęciem - DEMONSTRACJA PRZED OŚRODKIEM KOBIECYM PROWADZI DO ROZRUCHÓW - nie oddawał w pełni treści artykułu, lecz to go nie zaskoczyło. Czytał *News* od lat i znał poglądy tej gazety, między innymi jej sztywne antyaborcyjne stanowisko. Mimo wszystko w dzisiejszym artykule redakcyjnym, utrzymanym w tonie: „Be-be-be, brzydko się bawicie, chłopcy”, *News* bardzo starannie zdystansowały się od „Przyjaciół Życia”, czemu zresztą trudno się było dziwić. „Przyjaciele Życia” zgromadzili się mianowicie na parkingu przylegającym do Ośrodka Opieki, czekając na grupę mniej więcej dwustu zwolenników „Prawa do Wyboru”, maszerujących przez miasto od Centrum Obywatelskiego. Większość maszerujących niosła zdjęcia Susan Day i transparenty z wypisanym na nich sloganem: WYBÓR, NIE STRACH.

Ideą pochodu było zebrać po drodze ilu się da zwolenników, na zasadzie lawiny. Pod Ośrodkiem Opieki miało się odbyć krótkie spotkanie - w założeniu przygotowujące ludzi na przyjazd Susan Day - zakończone poczęstunkiem.

Do spotkania nigdy nie doszło. Gdy pochód zbliżył się do parkingu, „Przyjaciele Życia” wybiegli i zablokowali mu drogę, zasłaniając się jak tarczami własnymi transparentami (MORDERSTWO TO MORDERSTWO, SUSAN DAY ODEJDŹ W DAL, POWSTRZYMAĆ RZEŹ NIEWINIĄTEK).

Maszerujących ochraniała policja, ale nikt nie był przygotowany na tempo, w jakim wymachiwanie pięściami i gniewne okrzyki przeszły w kopniaki i bójkę. Zamieszanie zaczęło się, gdy jedna z „Przyjaciółek Życia” w pochodzie zwolenników wyboru dostrzegła córkę. Starsza kobieta natychmiast rzuciła transparent i zaatakowała młodszą. Chłopak córki złapał

ją i próbował powstrzymać, a kiedy mamuśka rozdarła mu twarz paznokciami, przewrócił ją na ziemię. Rozpoczęła się dziesięciminutowa walka wręcz, zakończona trzydziestoma aresztowaniami - z grubsza po piętnaście na orientację.

Zdjęcie na pierwszej stronie *News* ukazywało Hamiltona Davenporta i Dana Daltona. Grymas na twarzy Davenporta zgoła nie przypominał zwykłego i codziennego wyrazu bezgranicznego zadowolenia z siebie. Zaciśniętą w pięść dłoń wznosił nad głowę w geście tryumfu. Naprzeciw niego, z wbitym na głowę transparentem przeciwnika (WYBÓR, NIE STRACH) niczym w przedziwnej aureoli ze sklejki, stał przywódca „Przyjaciół Życia”, Dalton. Miał osłupienie w oczach i otwarte usta. Na kontrastowym, czarno-białym zdjęciu lecąca mu z nosa krew sprawiała wrażenie sosu czekoladowego.

Ralph na moment odrywał wzrok od zdjęcia, próbował koncentrować się na płatkach, a potem wracał myślami do tego letniego dnia, w którym po raz pierwszy zobaczył egzemplarz „listu gończego” za Susan Day (obwieszono nim już całe miasto), dnia, w którym omal nie zemdlął koło parku Strawforda. Pamiętał przede wszystkim twarze: Davenporta - pełną napięcia i gniewu, wpatrzoną w brudne okno wystawowe „Przywiędłej Róży, Używanych Ubrań”, i Daltona, przystrojona w pogardliwy uśmiezek, świadczący wyraźnie, że po takim gorylu jak Hamilton Davenport nie ma się co spodziewać zrozumienia moralnych problemów związanych z aborcją, o czym on i Ralph doskonale wiedzą.

Rozmyślał o tych dwóch twarzach, a potem znów patrzył na zdjęcie. Tuż za Daltonem stali dwaj mężczyźni. Obaj mieli przeciwbiorczyjne transparenty i obaj z zainteresowaniem przyglądali się bójce. Ralph nie znał tego chudego w okularach w kościanej oprawce, z siwymi, rzędnącymi włosami, ale obok niego stał Ed Deepneau. A jednak - w tym kontekście ■- Ed wydawał się bez znaczenia. To, co fascynowało i przerażało

Ralph w opublikowanym przez *News* zdjęciu, to były twarze mężczyzn mających sklepy tuż obok siebie i pracujących obok siebie od lat: Davenporta, który wyglądał jak jaskiniowiec ze wzniesioną w górę pięścią, i Daltona z nieprzytomnymi oczami, któremu z nosa ciekła krew.

Tak to bywa, gdy uczucia biorą górę nad rozsądkiem, pomyślał. Oto do czego to prowadzi. I w tej chwili należy przestać, bo...

- Bo gdyby ci dwaj mieli pistolety, to by się pozabijali - powiedział głośno i w tym momencie zadzwonił dzwonek przy drzwiach frontowych. Ralph podniósł się, jeszcze raz rzucił okiem na zdjęcie i... doznał nagłego zawrotu głowy, a z nim pojawiła się dziwna i przerażająca pewność: przyszedł Ed i Bóg jeden wie, czego chce.

Więc mu nie otwieraj, Ralph.

Przez dłuższą chwilę stał oparty o kuchenny stół, żalując gorzko, że nie umie poradzić sobie z mgłą, która w tym roku - miał wrażenie, że na stałe - otuliła mu mózg. Dzwonek zadzwonił po raz drugi, a on ze zdumieniem zorientował się, że już podjął decyzję. Nawet gdyby na dole czekał na niego Saddam Hussein, nie ma to żadnego znaczenia. Jest u siebie i nie będzie się krył po kątach jak zbity pies.

Przeszedł przez pokój, otworzył drzwi na korytarz i zaczął schodzić po mrocznych schodach.

W połowie schodów nieco się odprężył. W drzwiach prowadzących na ganek znajdowały się grube szklane szybki, wprawdzie matowe i zniekształcające obraz, ale nie na tyle, by nie dostrzec, że na progu stoją dwie kobiety. Natychmiast domyślił się, kim jest jedna z nich, i resztę drogi w dół przebiegł, lekko opierając się o poręcz. Szarpnięciem otworzył drzwi... i rzeczywiście, stała za nimi Helen Deepneau z płócienną torbą przewieszoną przez jedno ramię (PUNKT PIERWSZEJ POMOCY DLA DZIECI, głosił nadruk na niej) i z Natalie, przyglądającą mu się znad drugiego błyszczącymi oczkami myszki z filmów rysunkowych. Buzia dziewczynki rozjaśniła się nagle i Nat zaczęła podskakiwać w nosidełkach, gwałtownie wymachując rączkami w kierunku Ralpha.

Pamięta mnie. No proszę, pamięta mnie, pomyślał, a kiedy sięgał dłonią, chwycił jedną z wymachujących rączek i poczuł, jak zaciska się na jego palcu, oczy zaszklily mu się łzami.

- Ralph? - zaniepokoiła się Helen. - Ralph, czy ty się dobrze czujesz?

Uśmiechnął się, zrobił krok w przód i przytulił ją mocno. Helen zarzuciła mu ręce na szyję. Przez moment aż zakręciło mu się w głowie od zapachu jej perfum zmieszanego z mlecznym zapachem zdrowego dziecka, a potem został rozgłośnie cmoknięty w ucho i uwolniony z objęć.

- Ty się naprawdę dobrze czujesz, Ralph, prawda? - spytała Helen. Jej oczy także lśniły od łez, ale prawie tego nie zauważył. Zbyt uważnie się jej przyglądał i zbyt był zajęty sprawdzaniem, czy po pobiciu nie pozostały jakieś ślady. Nie dostrzegł niczego. Helen wyglądała bezbłędnie.

- Lepiej nie czułem się od miesiący. Jak dobrze cię widzieć. I ciebie też, Nat. - Pocałował małą rączkę, ciągle zaciśniętą na palcu i bez zdziwienia skonstatował, że jego usta pozostawiły na niej przezroczyisty, szaroniebieski ślad. Znikł on zresztą niemal natychmiast i Ralph znów przytulił Helen, jakby się upewniając, że nadal tu jest.

- Kochany Ralph - szepnęła mu do ucha. - Kochany, kochany Ralph.

Poczuł drgnięcie między nogami, najpewniej wynik kombinacji delikatnego zapachu

jej perfum i sposobu, w jaki jej oddech połaskotał go w ucho... i nagle przypomniał sobie inny głos mówiący mu coś do ucha. Głos Eda. „Dzwonię w sprawie twojej gęby, Ralph. Twoja gęba może cię wpędzić w kłopoty”.

Uwolnił Helen z objęć, przytrzymał na odległość wyciągniętego ramienia. Nie przestał się uśmiechać.

- Jak dobrze cię widzieć, Helen. Niech mnie diabli, jak dobrze cię widzieć!

- Ciebie też. Chciałabym przedstawić ci moją przyjaciółkę. Ralph Roberts, Gretchen Tillbury. Gretchen, Ralph.

Ralph odwrócił się w stronę swego drugiego gościa i delikatnie obejmując jego dłoń swą chudą, żyłastą dłonią, po raz pierwszy dobrze się mu przyjrzał.

Gretchen Tillbury należała do tego rodzaju kobiet, w których obecności każdy mężczyzna, nawet jeśli dość dawno stuknęła mu sześćdziesiątka, natychmiast stawał na baczność i wciągał brzuch. Była bardzo wysoka - mogła mieć nawet metr osiemdziesiąt wzrostu - i jasnowłosa, ale nie o to chodziło. Musiało być w niej coś więcej, coś jak zapach, promieniowanie

{aura}

tak, oczywiście, coś jak aura. Należała po prostu do tego rodzaju kobiet, na które nie można nie patrzeć, o których nie można nie myśleć, od których nie można się uwolnić.

Przypomniał sobie opowieść Helen o tym, jak to mąż rozciął jej nogę kuchennym nożem i zostawił żonę, by się wykrwawiła. Zdumiało go, że jakiegoś mężczyznę było na to stać, że jakiś mężczyzna dotknął w ogóle stworzenia tak wspaniałego, czując przy tym coś oprócz podziwu.

I odrobiny pożądania, kiedy już minęło stadium „idzie piękna jak majowa noc”. A tak przy okazji, Ralph, chyba najwyższy czas na zwinięcie szypulek oczu.

- Bardzo mi miło panią poznać - powiedział puszczając jej dłoń. - Helen pisała, jak pojawiła się pani u niej, w szpitalu. Dziękuję, że jej pani pomogła.

- Sprawilo mi to wielką przyjemność. - Gretchen uśmiechnęła się do niego olśniewającym uśmiechem. - Takie jak ona nadają sens naszej pracy... ale mam wrażenie, że pan doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

- Chyba rzeczywiście zdaję sobie z tego sprawę. Macie panie czas na filiżankę kawy?

Gretchen zerknęła na Helen. Helen skinęła głową.

- Z przyjemnością - powiedziała - bo... tak się składa...

- Że to nie jest wyłącznie towarzyska wizyta? - Ralph patrzył to na jedną, to na drugą kobietę.

- Nie - potwierdziła Helen. - Wiesz, musimy o czymś porozmawiać.

Kiedy tylko doszli na szczyt mrocznych schodów, Natalie zaczęła niecierpliwie wiercić się w nosidełkach i rozkazywać coś stanowczo, ciągle jeszcze - choć to zbyt szybko miało się zmienić - dziecinnym gaworzeniem.

- Mogę wziąć ją na ręce? - spytał Ralph.

- Oczywiście - zgodziła się Helen. - Jeśli zaczniesz płakać, odbiorę ją, dobrze?

- Oczywiście.

Ale Wspaniałe & Niesamowicie Mądre Dziecko nie miało zamiaru płakać. Ledwie Ralph wyjął ją z nosidełek, objęło go rączkami za szyję i umościło się w jego objęciach niczym

w swoim własnym, prywatnym i najwygodniejszym w świecie fotelu.

- Oho! - zdumiała się Gretchen. - Jestem pod wrażeniem.

- Gli! - oznajmiła Natalie, łapiąc Ralpa za dolną wargę i odciągając ją niczym roletę.

- Blip! Gliii! Biiit!

- Zdaje się, że wspomniała Beatlesów - stwierdził Ralph. Helen odrzuciła głowę i roześmiała się wesoło śmiechem, który wydawał się ogarniać całe jej ciało. Dopiero słysząc ten śmiech Ralph pojął, jak bardzo mu go brakowało.

Kiedy wchodzili do kuchni, najwidniejszego i najbardziej słonecznego pomieszczenia w mieszkaniu, przynajmniej o tej porze dnia, dziewczynka puściła jego wargę. Włączając wiatraczek, zauważył, jak Helen ciekawie rozgląda się dookoła. Długo jej tu nie było. Zbyt długo. Podniosła zdjęcie Carolyn stojące na kuchennym stole, przyjrzała mu się uważnie; na wargach miała ledwie widoczny uśmiech. Słońce oświetliło jej krótko teraz przycięte włosy, otaczając głowę aureolą, i nagle Ralph doznał niemal objawienia: kocha Helen przede wszystkim dlatego, że Carolyn ją kochała. Oboje dopuszczeni zostali do największych sekretów jej serca i umysłu.

- Była taka piękna - powiedziała Helen. - Prawda, Ralph?

- Tak - odparł, ustawiając filiżanki na stole, bardzo uważnie, by nie znalazły się w zasięgu niespokojnych rączek Natalie. - Zrobiliśmy je zaledwie miesiąc, może dwa przed tym, nim zaczęły się bóle głowy. To pewnie dziwactwo, trzymać oprawione zdjęcie portretowe na stole kuchennym naprzeciw cukierniczki, ale ostatnio tu spędzam najwięcej czasu i...

- Moim zdaniem to świetne miejsce - powiedziała Gretchen niskim, lekko chrypliwym głosem.

Gdyby szeptała mi tak w ucho, pomyślał Ralph, to założę się, że mojego staruszka stać by było nie tylko na przewrócenie się we śnie z boku na bok.

- Moim też - przytaknęła Helen. Obdarzyła go niepewnym uśmiechem, zdjęła z ramienia torbę, wyjęła z niej butelkę i postawiła ją na kuchennym blacie. Na ten widok Natalie zaczęła gaworzyć niecierpliwie i wyciągać rączki. Żywe, choć na szczęście krótkie wspomnienie błysnęło w głowie Ralpha: Helen zataczając się, idzie w stronę „Jabluszka”, jedno oko ma tak opuchnięte, że wcale go nie widać, na policzku zasycha jej krew, na biodrze niesie córeczkę; nastolatki tak noszą zeszyty.

- Masz ochotę spróbować, dziadku? - spytała Helen. Uśmiechała się wyraźniej i znów patrzyła mu w oczy.

- Jasne, oczywiście, ale kawa...

- Ja zaparzę kawę, dziadku - wtrąciła Gretchen. - Swego czasu zrobiłam ich chyba z milion. - Masz śmietankę?

- W lodówce. - Ralph usiadł, pozwalając Natalie oprzeć wygodnie główkę o swoje ramię. Mała pewnie złapała butelkę malutkimi, lecz nieprawdopodobnie sprawnymi rączkami, bez wahania wsadziła smoczek do buzi i natychmiast zaczęła pić. Ralph uśmiechnął się szeroko do matki Nat udając, że nie widzi gromadzących się w kącikach jej oczu łez.

- Szybko się uczą, prawda?

- Tak - odparła Helen, odrywając kawałek papierowego ręcznika z rolki przy zlewie i wycierając sobie twarz. - Nie mogę się przyzwycząić do tego, że jest przy tobie taka swobodna, Ralph... Nie zawsze tak było, prawda?

- Naprawdę, nie pamiętam - skłamał. Bo Nat nie zawsze była przy nim taka... radosna. Nie bała się go, nie, ale nigdy się tak do niego nie garnęła.

- Popychaj w górę denko butelki, dobrze? Bo zaczniesz połykać powietrze i dostanie wzdęcia.

- Zrozumiałem. - Zerknął na Gretchen. - Wszystko w porządku?

- Oczywiście? Jaka dla ciebie?

- W kubku i wystarczy.

Gretchen roześmiała się i postawiła kubek na stole, z daleka od Natalie. Kiedy usiedli, założyła nogę na nogę. Ralph zerknął na nie; nie potrafił się powstrzymać. Kiedy podniósł wzrok, stwierdził, że Gretchen uśmiecha się prawie niezauważalnie, lecz niewątpliwie ironicznie.

Do diabła z tym, pomyślał. Im dąb starszy, tym korzeń jego... Nawet jeśli ten egzemplarz dębu sypia najwyżej dwie i pół godziny na noc.

- Opowiedz mi o pracy - poprosił Helen, która zdążyła już usiąść i popijała kawę.

- No, moim zdaniem urodziny Mike'a Hanlona powinny być świętem narodowym...

czy to ci coś mówi?

- Rzeczywiście, coś mi mówi. - Ralph uśmiechnął się lekko.

- Byłam prawie stuprocentowo pewna, że będę musiała opuścić Derry. Podania o pracę wysyłałam do bibliotek stąd po Portsmouth i aż mnie od tego mdliło. Mam prawie trzydzieści

jeden lat i choć przeżyłam tu tylko siedem, Derry jest dla mnie jak dom. Nie umiem tego wyjaśnić, ale nie kłamię.

- Nie musisz niczego wyjaśniać, Helen. Moim zdaniem dom to coś, co się ludziom przytrafia, jak cera albo kolor oczu.

Gretchen skinęła głową.

- Tak - przytaknęła. - Otóż to.

- Mikę zadzwonił w poniedziałek z informacją, że akurat zwolnił się etat pomocnika bibliotekarza w bibliotece dziecięcej. Aż trudno mi było w to uwierzyć. No, przez cały tydzień tylko szczypałam się w nogę. Prawda, Gretchen?

- Rzeczywiście, sprawiałaś wrażenie szczęśliwej. Miło było na ciebie patrzeć.

Uśmiechnęła się do Helen, a dla Ralpha uśmiech ten był jak objawienie. Nagle zrozumiał, że może sobie patrzeć na Gretchen Tillbury ile tylko mu się podoba i nie będzie to miało najmniejszego znaczenia - gdyby jedynym mężczyzną w pokoju był Tom Cruise, to też by nie miało. Zapytał sam siebie „Czy Helen wie?” i natychmiast skarcił się za głupotę. Wiele można o niej powiedzieć, ale z pewnością nie jest głupia.

- Kiedy zaczynasz? - zapytał.

- Od Dnia Kolumba. Dwunastego. Popołudnia i wieczory. Nie dorobię się na tej pracy, ale starczy na życie przez zimę, niezależnie od tego, co on... jak się ułożą sprawy. To wspaniałe, prawda, Ralph?

- Tak. Wspaniałe.

Dziecko wypiło połowę butelki i najwyraźniej powoli przestawało się nią interesować. Smoczek prawie wypadł mu z buzi, cienki strumyczek mleka popłynął z kącika ust po szyi. Ralph wyciągnął rękę, by go wytrzeć, i jego dłoń pozostawiła w powietrzu delikatne, szaroniebieskie linie.

Mała Natalie wyciągnęła do nich rączkę, machnęła nią i kiedy rozpląnęły się w powietrzu, wybuchnęła śmiechem. Ralph aż się zachłysnął powietrzem.

Ona widzi. Ona widzi to, co i ja widzę.

To szaleństwo, Ralph. To największe z wszystkich twoich szaleństw.

Tylko że oczywiście wiedział lepiej. Nie, nie „wiedział”. Właśnie zobaczył na własne

oczy, jak Natalie sięgnęła po aurę, którą jego palce pozostawiły w powietrzu.

- Ralph? - zaniepokoiła się Helen. - Dobrze się czujesz?

- Jasne. - Helen siedziała, otoczona wspaniałą aurą w kolorze kości słoniowej, przypominającą luksusową atlasową

halkę. Jej wstążka balonowa miała ten sam kolor, była szeroka i płaska, jak te na paczce z drogiego sklepu. Gretchen Tillbury otaczała aura ciemnopomarańczowa, żółta na brzegach. - Wrócisz do waszego domu?

Helen i Gretchen wymieniły znaczące spojrzenia, ale on prawie nie zwrócił na to uwagi. Nie musiał obserwować ani twarzy, ani gestów, ani mowy ciała, by odczytać ich uczucia - właśnie odkrył, że wystarczy przyjrzeć się aurom. Żółty odcień aury Gretchen pociemniał teraz tak, że cała stała się ciemnopomarańczowa, aura Helen zaś zwinęła się i jednocześnie pojaśniała, tak że trudno było na nią patrzeć. Helen bała się wrócić do domu, Gretchen zdawała sobie z tego sprawę i strach Helen doprowadzał ją do szału.

A także jej bezradność, pomyślał. Bezradność denerwuje ją nawet bardziej.

- Przez jakiś czas pozostanę jednak w domu „Na Zboczu” - mówiła właśnie Helen. - Może aż do zimy. W końcu Nat i ja wrócimy chyba do miasta, ale dom wystawiamy na sprzedaż. Może ktoś zdecyduje się go kupić, choć przy obecnym stanie rynku nieruchomości wcale nie jest to takie pewne. W każdym razie pieniądze ze sprzedaży pójdą na wspólny rachunek, do podziału zgodnie z orzeczeniem sądu. No wiesz, rozwodowym.

Dolna warga jej drżała, aura zaś skurczyła się jeszcze bardziej, przylegała teraz do ciała niczym druga skóra; Ralph dokładnie dostrzegał przebiegające przez nią maleńkie błyski czerwieni - jak iskierki, które wylatują z komina. Sięgnął przez stół, ujął dłoń Helen i ścisnął ją. Helen uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Wyjaśniłaś mi dwie sprawy - powiedział. - Masz zamiar się z nim rozwieść... i nadal się go boisz.

- Mąż regularnie bił ją i poniżał przez dwa ostatnie lata małżeństwa - wtrąciła Gretchen. - Oczywiście, że się go boi.

Mówiła cichym, spokojnym, doskonale kontrolowanym głosem, ale jej aura przypominała teraz wnętrze rozpalonego pieca, do którego zagląda się przez szybkę z grubego szkła.

Ralph spojrzał na dziecko otulone własną, jasną chmurą białego atlasu. Chmura ta była nieco mniejsza niż u matki, ale poza wielkością nie różniła się niczym, podobnie jak kasztanowate włosy i niebieskie oczy matki i córki. Śnieżnobiała wstążka balonowa Natalie wznosiła się od czubka jej głowy aż do lampy na suficie. Kiedy przez otwarte okno powiał

wiatr, wygięła się i zafalowała. Podniósł wzrok i dostrzegł, że wstęgi Helen i Gretchen także falują.

Gdybym mógł dostrzec swoją, zobaczyłbym, że zachowuje się identycznie. Są rzeczywiste... niezależnie od tego, że racjonalna część umysłu podpowiada mi, iż dwa plus dwa zawsze jest cztery. Są rzeczywiste i ja je rzeczywiście widzę!

Czekał, aż owa racjonalna część jego umysłu zaprotestuje, ale nie doczekał się protestu.

- Czuję się tak, jakbym w ogóle nie mogła wydostać się z emocjonalnej pralki - mówiła właśnie Helen. - Mama się na mnie wścieka... Zrobiła chyba wszystko, aby mi zasugerować, że uciekam, tylko nie powiedziała tego wprost... Czasami nawet czuję się tak, jakbym rzeczywiście uciekła... i wstydzę się...

- Nie masz się czego wstydzić - przerwał jej i zerknął na wstęgę Natalie, falującą na wietrze. Wydawała mu się piękna, ale nie kusilo go, by jej dotknąć. Instynkt mówił mu, że mogłoby to być niebezpieczne dla nich obojga.

- Chyba doskonale o tym wiem - stwierdziła Helen - ale kobiety strasznie się indoktrynuje. Jakby się im mówiło: „To Barbie, to Ken, a to miniatuurka zastawy. Ucz się, ucz, bo kiedy miniatuurka zmieni się w prawdziwą zastawę, będziesz musiała wiedzieć, co z nią zrobić, a jeśli coś się stłucze, ty za to odpowiesz”. Sądzę, że mogłabym się z tym nawet zgodzić, naprawdę mogłabym, ale nikt mi nie powiedział, że w niektórych małżeństwach Kenowi odbija. Czyżbym użalała się nad sobą?

- Nie. O ile wiem, tak to się przecież odbyło.

Helen roześmiała się - urywanym, gorzkim śmiechem, wyraźnie świadczącym o poczuciu winy.

- Nie próbuj wyjaśnić tego mojej matce. Do tej pory jest przekonana, że Ed co najwyżej dał mi od czasu do czasu przyjacielskiego klapsa w tyłek... tyle, żeby mnie naprowadzić na właściwy kurs, gdyby zdarzyło mi się z niego zboczyć. Jest pewna, że resztę po prostu sobie wyobraziłam. Co prawda nie powiedziała mi tego w oczy, ale ilekroć rozmawiamy przez telefon, czytam to w jej głosie.

- Przecież wiem. Nic sobie nie wyobraziłaś. Ja cię widziałem, pamiętaj. I słyszałem, kiedy mnie błagałaś, żebym nie wzywał policji.

Dłoń ścisnęła mu udo. Zaskoczony, podniósł wzrok. Gretchen Tillbury lekko skinęła głową i jeszcze raz zacisnęła dłoń. Tym razem mocniej.

- No, oczywiście - powiedziała Helen. - Byłeś tam, prawda? - Uśmiechnęła się i był to objaw pozytywny, ale za jeszcze lepszy należało uznać to, co stało się z jej aurą. Czerwone

płomyki znikły, sama zaś aura zaczęła się rozszerzać.

Nie, nie rozszerzać, pomyślał. Rozwijać. Rozluźniać. Helen wstała i obesła stół.

- Nat przestała się tobą interesować - stwierdziła. - Lepiej ją wezmę.

Ralph spojrział na dziecko. Natalie patrzyła przed siebie wielkimi, zafascynowanymi oczami. Powiódł spojrzeniem za jej wzrokiem. Patrzyła na mały wazon stojący na okiennym parapecie, koło zlewu. Niespełna dwie godziny temu włożył do niego kilka jesiennych kwiatów. Z ich łodyg unosiła się teraz ciężka zielona mgła, otaczając same kwiaty słabą, nieprzezroczystą poświatą.

Widzę, jak wydają ostatnie tchnienie. Boże, w życiu nie zerwę już żadnego kwiatu. Przysięgam.

Helen delikatnie wyjęła mu dziecko z ramion. Nat nie sprzeciwiła się temu gwałtownie, ale kiedy matka niosła ją wokół stołu, siadała i przytulała do siebie, nie spuszczała wzroku z kwiatów.

Gretchen delikatnie postukała palcem w zegarek.

- Jeśli mamy zdążyć na spotkanie w południe...

- Ach tak, tak, oczywiście - powiedziała przepaszająco Helen. - Jesteśmy w oficjalnym Komitecie Powitalnym Susan Day - wyjaśniła Ralphowi. - W tej konkretnej sytuacji to raczej nie bagatelka. Tak naprawdę, zamiast witać, mamy ją chronić.

- Sądzicie, że będą kłopoty?

- Powiedzmy, że sytuacja jest nieco napięta - wtrąciła Gretchen. - Susan Day ma kilku własnych ochroniarzy, którzy regularnie przesyłają nam faksem dochodzące do niej z Derry listy z pogrózkami. To ich standardowa procedura operacyjna, przez wiele lat Susan spotykała się z wieloma ludźmi. Ochrona dzieli się z nami informacjami, które posiada, ale również uświadamia nam niebezpieczeństwo, bo to my ją zaprosiliśmy i powinniśmy jej strzec tak samo jak oni.

Ralph już otwierał usta, by zapytać, czy wiele było tych pogrózek, ale zamknął je szybko, bo chyba i tak znał odpowiedź. Mieszkał w Derry od siedemdziesięciu lat i choć w tym czasie wyjeżdżał na krócej lub dłużej, wiedział dobrze, że Derry to niebezpieczna maszyna, pełna płytko ukrytych, groźnych szpikulców i ostrzy. Oczywiście, coś podobnego można powiedzieć o każdym mieście, w tym jednak destrukcja objawiała się zawsze z wyjątkową siłą. Helen nazwała je domem i był to także jego dom, ale...

Nagle sobie uprzytomnił, że wspomina pewne zdarzenie sprzed mniej więcej dziesięciu laty. Tuż po zakończeniu corocznego Festiwalu Kanałowego trzej chłopcy wrzucili do Kenduskeag spokojnego, cichego homoseksualistę nazwiskiem Adrian Mellon, pobiwszy

go przedtem i pokłuszy nożami. Plotka głosiła, że stali na moście za gospodą „Pod Jastrzębiem” i patrzyli, jak umiera. Policji powiedzieli, że nie podobał im się jego kapelusz. Zdarzyło się to w Derry. Tylko głupiec ignoruje podobne fakty.

Jak gdyby doprowadziła go do tego pamięć - bo i pewnie doprowadziła - Ralph po raz kolejny zerknął na zdjęcie z dzisiejszej gazety: Ham Davenport z uniesioną pięścią, Dan Dalton z obłędem w oczach, zakrwawionym nosem i głową przystrojoną w transparent Hama.

- Ile było tych listów z pogrózkami? Kilkanaście?

- Około trzydziestu - odparła Gretchen. - Z tych ochrona Susan traktuje poważnie zaledwie kilka. Dwie osoby grożą wysadzeniem w powietrze Centrum Obywatelskiego, jeśli jej wystąpienie nie zostanie odwołane, a jedna - urocza istota! - informuje, że ma pistolet na wodę naładowany kwasem do akumulatorów. „Jeśli uda mi się dobrze wymierzyć, nawet twoi zboczeni kumple będą rzygać na twój widok”, pisze.

- Miłe - skomentował Ralph.

- W każdym razie to nas przywiodło do właściwego tematu rozmowy. - Gretchen poszperała w torebce, wyjęła z niej małą puszkę z czerwonym wieczkiem i postawiła ją na stole. - Drobnym upominek od wdzięcznych przyjaciół z ośrodka - oznajmiła.

Ralph podniósł puszkę. Wyrysowany na niej obrazek przedstawiał kobietę przyskajającą gazem na mężczyznę w kapeluszu typu „prywatny detektyw” i maseczce na oczach. Obok, wielkimi czerwonymi literami, wypisane było: OCHRONIARZ.

- Co to takiego? - spytał, poruszony wbrew woli. - Gaz łzawiący?

- Nie - odparła Gretchen. - Pod względem prawnym czysty gaz łzawiący jest w Maine dość... ryzykowny. To coś ma znacznie łagodniejsze działanie, ale jeśli prysniesz tym komuś w twarz, ochota na zaczepki odejdzie mu... na co najmniej kilka minut. To coś mrozi skórę, drażni oczy i powoduje mdłości.

Ralph zdjął wieczko z puszek, spojrzął na aerozolową końcówkę i zamknął puszkę z powrotem.

- Jezu Chryste, kobieto, czemu miałbym nosić przy sobie coś takiego?

- Ponieważ oficjalnie mianowany zostałeś centurionem - odparła Gretchen.

- Kim? - zdumiał się Ralph, lecz nagle pojawiło się wspomnienie: Ed Deepneau chodzący tam i z powrotem przez strumień wody z ogrodowego spryskiwacza.

- Centurionem - powiedziała Helen. Nat spała w jej ramionach, Ralph zaś zorientował się, że aury znikły. - „Przyjaciele Żyda” tak nazywają swych głównych przeciwników, przywódców opozycji.

- Oczywiście, teraz rozumiem. Ed mówił o ludziach, których nazywał centurionami,

tego dnia kiedy... cię napadł. O wielu rzeczach wtedy mówił, samych szalonych.

- Oczywiście, Ed tkwi w tym po uszy i jest szalony - powiedziała Helen. - Nie przypuszczamy, by wspomniał o tych centurionach komukolwiek oprócz swych najbliższych współpracowników, równie szalonych jak on sam. Reszta „Przyjaciół Życia”... oni chyba nie mają o niczym najmniejszego pojęcia. A ty? To znaczy, czy do zeszłego miesiąca wyobrażałeś sobie, że to wariat?

Ralph potrząsnął głową.

Nie, i to jest najbardziej przerażające, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

- Hawking Laboratories wylały go w końcu - oznajmiła Helen. - Wczoraj. Trzymali go jak długo się dało, jest doskonałym specjalistą w swojej dziedzinie i zainwestowali w niego mnóstwo forsy, ale w końcu musieli się go pozbyć. Zwolnienie ze skutkiem natychmiastowym, ale dostaje trzymiesięczną odprawę... Nieźle, jak na faceta bijącego żonę i rzucającego lalki wypełnione fałszywą krwią w okna kliniki dla kobiet. Ta ostatnia demonstracja była kroplą przepełniającą czarę. Został aresztowany po raz trzeci lub czwarty od momentu, kiedy związał się z tymi..Przyjaciółmi Życia”.

- Macie tam wtyczkę, prawda? I stąd wiecie to wszystko? Gretchen uśmiechnęła się.

- Nie tylko nam udało się kogoś do nich wprowadzić, przynajmniej do pewnego stopnia. Często żartujemy sobie, że tak naprawdę nie ma „Przyjaciół Życia”, jest tylko banda podwójnych agentów. Policja z Derry ma u nich swojego

agenta, tak samo policja stanowa. O nich przynajmniej wie nasz... człowiek... ale, do diabła, być może zinfiltrowała ich nawet FBI. Bardzo łatwo jest infiltrować „Przyjaciół Życia”, bo są pewni, że w głębi duszy każdy, ale to każdy, jest po ich stronie. Uważamy jednak, że tylko naszemu człowiekowi udało się awansować wyżej w ich hierarchii. To od niego wiemy, że Dan Dalton jest tylko ogonem, którym macha Ed.

- Domyśliłem się tego, widząc ich po raz pierwszy w telewizji - powiedział Ralph.

Gretchen wstała, zebrała naczynia, zanosła je do zlewu i wzięła się do zmywania.

- Działam w ruchu kobiecym od trzynastu lat - powiedziała - widziałam wiele szaleństw, ale coś takiego to dla mnie kompletna nowość. On przekonuje tych dupków, że w Derry przeprowadza się aborcje bez zgody matek i że zanim połowa ze zgłaszających się tu kobiet dowie się, iż jest w ciąży, centurioni przybywają nocą i zabierają im dzieci.

- A powiedział Przyjaciółom o wysypisku w Newport? Tym, które tak naprawdę jest krematorium dla płodów?

Gretchen odwróciła się od zlewu. Oczy miała wielkie, zdumione.

- A skąd ty wiesz o Newport?

- Och, Ed poinformował mnie o tym osobiście, bardzo, bardzo osobiście. Zaczął w lipcu zeszłego roku. - Ralph przerwał na chwilę, a potem opowiedział im wszystko o spotkaniu obok lotniska i o tym, jak prowadzący pikapa Graby oskarżony został o przewożenie płodów w beczkach nawozu. Helen słuchała go w milczeniu, tylko oczy robiły się jej coraz większe i okrągłejsze.

- Najprawdopodobniej to wyjaśnia, dlaczego dostał hyzia na twoim punkcie - stwierdziła Gretchen - ale w gruncie rzeczy „dlaczego” nie ma tu najmniejszego znaczenia. Pozostaje faktem, że co szaleńszym ze swoich przyjaciół Ed wręczył listy tak zwanych centurionów. Nie znamy wszystkich nazwisk, ale ja jestem na tej liście, i Helen, i oczywiście Susan Day... i ty.

Ralph już chciał zapytać: „Dlaczego ja?”, ale byłoby to oczywiście tylko kolejne bezsensowne pytanie. Może Ed wpisał go na listę, ponieważ wezwał gliniarzy po pobiciu Helen, prawdopodobnie zrobił to jednak bez żadnego szczególnego powodu. Przypomniawszy sobie, że David Berkowitz, morderca znany także jako Syn Sama, twierdził przed sądem, że zabijał niekiedy na polecenie swojego psa!

- A jak myślicie, czego spróbują? - spytał za to. - Ataku komandosów, jak na filmie z Chuckiem Norrisem?

Uśmiechnął się, ale Gretchen nie odpowiedziała mu uśmiechem.

- Sęk w tym, że nie wiemy, czego mogą spróbować. Najprawdopodobniej niczego, ale co, jeśli Ed albo ktoś z tego grona wpadnie na przykład na pomysł, by wypchnąć cię z kuchennego okna. Ten spray to w zasadzie tylko rozwodniony gaz łzawiący. Mała polisa ubezpieczeniowa. Nic więcej.

- Polisa ubezpieczeniowa - powtórzył w zamyśleniu.

- Znalazłeś się w doborowym towarzystwie. - Helen uśmiechnęła się słabo. - Jedynym poza tobą centurionem płci męskiej, o ile nam wiadomo, jest burmistrz Cohen.

- I co, jemu też dałyście to coś? - Podniósł puszczykę. Wyglądała równie groźnie, jak darmowe próbki kremu do golenia, które dostawał czasami pocztą.

- Nie musiałyśmy. - Gretchen znów zerknęła na zegarek. Helen dostrzegła to i wstała, trzymając w ramionach śpiące dziecko. - Ma pozwolenie na noszenie ukrytej broni.

- A tego gdzie się dowiedziałyście?

- Sprawdziłyśmy w aktach sądowych. - Gretchen uśmiechnęła się lekko. - Pozwolenia na broń są jawne.

- Aha. - Nagle przyszło mu coś do głowy. - Co z Edem? Jego też sprawdziliście? Ma pozwolenie?

- Nie. Ale faceci jego pokroju niekoniecznie starają się o pozwolenia na broń, kiedy już przekroczą pewien punkt. Zdajesz sobie z tego sprawę? Prawda?

- Prawda. - Ralph także wstał. - Chyba doskonale zdaję sobie z tego sprawę. A wy, dziewczyny? Mam nadzieję, że uważacie na siebie?

- Chcesz się założyć, dziadziu? Chcesz się założyć?

Skinął głową, ale nie czuł się całkiem przekonany. Nie podobało mu się, że został potraktowany nieco z góry, jakby zadawał głupie pytania, choć jego pytania wcale nie były głupie i jeśli Gretchen nie zdaje sobie z tego sprawy, to i ją, i jej przyjaciół czekają jeszcze spore kłopoty. Całkiem spore kłopoty.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Naprawdę - powiedział. - Helen, chcesz, żebym zniósł Nat po schodach?

- Lepiej nie. Obudzisz ją. - Helen spojrzała na niego poważnie. - Zrób to dla mnie, Ralph, miej ten gaz stale przy sobie. Nie zniósłabym myśli, że coś ci się stało tylko dlatego, że próbowałeś mi pomóc i rozsierdziłeś wariata.

- Przemyślę to sobie. Bardzo poważnie. Czy to ci wystarczy?

- Chyba będzie musiało. - Patrzyła mu w oczy, wzrok miała poważny, pełen namysłu.

- Wyglądasz o wiele lepiej, niż kiedy cię widziałam ostatnim razem. Znow sypiasz, prawda?

Uśmiechnął się szeroko.

- Wiesz, żeby nie skłamać, nadal mam z tym problemy, ale po prostu musiało mi się poprawić, bo wszyscy mówią, że wyglądam lepiej.

Helen wspięła się na palce i ucałowała go w kącik ust.

- Będziemy w kontakcie, prawda? To znaczy, teraz już pozostaniemy w kontakcie.

- Zrobię, co w mojej mocy, i tego samego spodziewam się po tobie, skarbie.

Helen uśmiechnęła się.

- Możesz na to liczyć, kochanie. Jesteś najmilszym centurionem, jakiego znam.

Śmiali się z tego tak serdecznie, że aż Natalie się obudziła i obejrzała dookoła zaspanymi, zdumionymi ślepkami.

Kiedy już odprowadził kobiety (JESTEM ZA PRAWEM WYBORU I GŁOSUJĘ! - widniało na nalepce na zderzaku sportowej hondy Gretchen), Ralph powoli wspiął się po schodach na piętro. Powłóczył nogami, jakby zmęczenie przywiązało mu do stóp ciężary. Kiedy znow znalazł się w kuchni, spojrzał przede wszystkim na wazon z kwiatami, starając się znow zobaczyć tę dziwną i wspaniałą, zieloną mgłę. Nie zobaczył nic. Potem podniósł do oczu puszkę z gazem i przyjrzał się widniejącemu na niej rysunekowi. Jedna Zagrożona Kobieta, bohaterko broniąca się przed napastującym ją mężczyzną, jeden Zły Mężczyzna, w

masce i kapeluszu z opuszczonym rondem na dodatek. Żadnych odcieni szarości, tylko: „No, spróbuj, skarbie, dzięki za dobrą zabawę”.

Przyszło mu do głowy, że szaleństwo Eda jest najwyraźniej zaraźliwe. W całym Derry mnóstwo kobiet - a wśród nich Gretchen i jego słodka Helen - chodzi z podobnymi puszczkami w torebkach, puszcзки te zaś wszystkie mówią jedno: „Boję się. Do miasta przyjechali Żli Mężczyźni w maskach i kapeluszach nasuniętych na oczy i to ich się boję”.

Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Wspiął się na palce i postawił OCHRONIARZA na wierzchu wiszącej przy zlewie szafki, a potem włożył szarą skórzaną kurtkę. Pójdzie sobie na teren piknikowy przy lotnisku i może rozegra partyjkę szachów, a jeśli nie uda mu się pograć w szachy, zagra w durnia.

Zatrzymał się w kuchennych drzwiach. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w kwiaty, próbując wywołać obraz sączącej się z nich mgły. Nic.

Ale przedtem rzeczywiście ją widziałeś. Widziałeś ją i Natalie też ją widziała.

Czyżby? Czyżby rzeczywiście ją widziała? Dzieci zawsze w coś się wpatrują, wszystko je zdumiewa, więc skąd możesz wiedzieć na pewno?

- Po prostu wiem - oznajmił pustemu mieszkaniu. Oczywiście. Zielona mgła sącząca się z zerwanych kwiatów była rzeczywistością, wszystkie te aury były rzeczywistością i... - I nadal są - powiedział głośno, niepewny, czy stanowczy ton jego głosu powinien go przerazić, czy też przynieść ulgę.

A może, przynajmniej na razie, nie zdecydujesz się ani na jedno, ani na drugie?

Jego myśl wypowiedziana głosem Carolyn, a w ogóle to dobra rada.

Ralph zamknął drzwi mieszkania i poszedł rozegrać partyjkę szachów w Derry należącym wyłącznie do Starych Pierników.

Rozdział 7

Kiedy drugiego października Ralph wracał do siebie na Harris Avenue, niosąc kilka mocno zużytych westernów Elmera Keltona z „Ostatnich Kartek”, dostrzegł, że ktoś siedzi na stopniach ganku jego domu z książką w ręku. Gość nie czytał jednak, lecz z sennym napięciem przyglądał się, jak ciepły wiatr zrywa żółte i złote liście z dębów i trzech wiązów, którym udało się przetrwać po przeciwnej stronie ulicy.

Ralph podszedł bliżej, obserwując rozwichrzone siwe włosy na głowie gościa, którego ciało najwyraźniej spłynęło w brzuch, biodra i tyłek. Ten szeroki środek, doczepiony do długiej szyi, chudej piersi i cienkich nóg odzianych w stare zielone flanelowe spodnie, sprawiał, że facet wyglądał, jakby nosił pod ubraniem rurę. Nawet z odległości stu pięćdziesięciu metrów bez najmniejszego trudu można było rozpoznać siedzącego na stopniach człowieka-był to, oczywiście, Dorrance Marstellar.

Wzdychając, Ralph pokonał resztę drogi dzielącej go od domu. Dorrance, najwyraźniej zahipnotyzowany jaskrawymi, spadającymi z drzew liśćmi, nie drgnął nawet, póki cień nie padł mu na kolana. Dopiero wówczas obrócił się, spojrzął w górę i uśmiechnął się swym słodkim, dziwnie bezradnym uśmiechem.

Faye Chapin, Don Veazie i paru innych starszków zbierających się regularnie na terenie piknikowym przy pasie nr 3 (już wkrótce, gdy tylko skończy się złota jesień i nadejdą chłodniejsze dni, starszkwowie przeniosą się do sali bilardowej przy Jackson Street) widziało w tym jego uśmiechu tylko jeszcze jeden symptom (w całym ich szeregu) informujący, że stary Dor, zupełnie niezależnie od tych swoich tomików poezji, jest

w zasadzie idiotą. Don Veazie, nie kandydujący w wyborach Mistra Wrażliwości Derry, regularnie nazywał go starym durniem, Faye zaś powiedział niegdyś Ralphowi, że wcale nie wydaje mu się dziwne, iż Dor dożył dziewięćdziesiątki piątki.

- Ludzie, którzy mają całkowicie puste łby, zawsze żyją najdłużej - tłumaczył mu jakoś tak na początku roku. - Niczym się nie martwią, ciśnienie krwi mają w normie i nie grozi im, że wykorkują na serce albo wylew.

Ralph nie był jednak aż tak pewien głupoty Dorrance'a. Słodki uśmiech nie upodabniał go w jego oczach do wioskowego idioty, dzięki niemu Dor wyglądał raczej jak wioskowy Merlin: bez wieku i mądry. Dziś jednak z pewnością obyłby się bez jego wizyty -

właśnie ustanowił nowy rekord, budząc się za dwie drugą, i po prostu padał z nóg. Marzył, by zasiąść wreszcie w fotelu, popijać kawę i czytać western, jeden z tych, które właśnie kupił. Nieco później być może spróbuje się położyć i zdrzemnąć.

- Cześć - powiedział Dorrance. Książka, którą trzymał w ręku, tanie wydanie, nosiła tytuł „Cmentarne noce”. Jej autorem był Stephen Dobyns.

- Cześć, Dor. Dobrze to?

Dorrance opuścił wzrok na książkę, jakby zapomniał, że ją ma, a potem uśmiechnął się i skinął głową.

- Tak. Nawet bardzo dobre. Te wiersze są jak opowiadania. Nie zawsze to lubię, ale czasami tak.

- Doskonale, świetnie, znakomicie. Słuchaj, Dor, bardzo miło mi cię widzieć, ale droga pod górę mocno mnie zmęczyła, więc gdybyś mógł przyjść innego dnia...

- Och, doskonale... - Dorrance Marstellar wstał. Roztaczał wokół siebie słaby zapach cynamonu, który zawsze przywodził Ralphowi na myśl egipskie mumie, trzymane za czerwonymi sznurami w jakichś mrocznych muzeach. Na twarzy Dor prawie nie miał zmarszczek, oprócz siateczki kurzych łapek w kącikach oczu, ale jego wiek dawało się odczytać bez problemu (i był to widok raczej niesamowity): niebieskie niegdyś oczy spłówały do szarości kwietniowego nieba, skóra wydawała się przezroczysta niczym u małej Natalie, wargi zaś miał rozpulchnione i niemal lawendowe. Gdy mówił, cmokał lekko.

- Och, doskonale. Nie przyszedłem z wizytą. Mam dla ciebie wiadomość.

- Jaką wiadomość? Od kogo?

- Nie wiem, od kogo. - Dor obrzucił Ralpha spojrzeniem świadczącym, że ma go za głupca albo za kogoś, kto udaje głupca. - Nie mieszam się w sprawy długoterminowych. Tobie też radziłem się nie mieszać, pamiętasz?

Ralph rzeczywiście coś pamiętał, ale za cholerę nie mógł sobie przypomnieć, co to takiego. I nic go to nie obchodziło. Był zmęczony, a w dodatku musiał jeszcze wysłuchać przydługiego kazania Hama Davenporta na temat, oczywiście, Susan Day. Wszystko jedno, jak piękny jest ten sobotni ranek, nie ma zamiaru bawić się w jakieś gierki z Dorrance'em Marstellarem.

- No więc przekaz mi tę wiadomość, a potem spokojnie wrócę do domu. Co ty na to?

- Jasne, oczywiście, doskonale. - Dor przerwał nagle i znów zapatrzył się na liście, które nowy podmuch wiatru poderwał właśnie w pogodne październikowe niebo. Spłówały niebieskie oczy miał rozszerzone, ich wyraz zaś znów przypominał Ralphowi Wspaniałe & Niesamowicie Mądre Dziecko, to, jak sięgnęło rączką do szaroniebieskich śladów

pozostawionych przez jego palce i jak patrzyło na kwiaty, wydające ostatnie tchnienie w wazonie przy zlewie. Ralph widywał już, jak Dor wpatruje się w startujące i lądujące na pasie nr 3 samoloty z tym samym łagodnym zdumieniem... czasem przez godzinę lub nawet dłużej.

- Dor? - przypomniał delikatnie o swym istnieniu. Rzadkie rzęsy Marstellara drgnęły.

- Ach, słusznie, wiadomość. No więc wiadomość... - zmarszczył lekko czoło i opuścił wzrok na książkę, którą wyginał w dłoniach, lecz nagle twarz mu się rozjaśniła i znów spojrzał Ralphowi wprost w oczy - ...wiadomość brzmi „odwołaj wizytę”.

Teraz z kolei zmarszczył się Ralph.

- Jaką wizytę?

- Nie powinieneś się w to mieszać. - Dorrance westchnął ciężko. - A teraz... co się stało, to się nie odstanie. Po prostu odwołaj wizytę. Niech ten facet nie wbija w ciebie żadnych igieł.

Ralph stawiał właśnie nogę na pierwszym stopniu schodów. Błyskawicznie obrócił się ku gościowi.

- Hong? Mówisz o Hongu?

- A skąd ja mam wiedzieć? - W głosie Dora brzmiało zdenerwowanie. - Ja się nie mieszam. Już ci mówiłem. Od

czasu do czasu przekazuję wiadomość, jak teraz, i to wszystko. Kazali mi powiedzieć, że masz odwołać spotkanie z tym gościem od igieł, więc powiedziałem. Reszta należy do ciebie.

I Dor znów zapatrzył się na drzewa po drugiej stronie ulicy. Na dziwnej, całkowicie niemal pozbawionej zmarszczek twarzy gościł łagodny zachwyt. Jesienny wiatr rozwiewał mu cienkie jak wodorosty włosy. Pod naciskiem dłoni na ramieniu obrócił się chętnie i nagle Ralph zorientował się, że wyraz jego twarzy, w którym Faye Chapin i wszyscy inni dopatrywali się głupoty, może być wyrazem radości. Jeśli tak, to osąd Chapina i reszty więcej mówił o nich niż o starym Dorze.

- Dorrance?

- Co, Ralph?

- Od kogo jest ta wiadomość?

Dorrance namyślał się - a może tylko sprawiał wrażenie, że myśli - po czym wyciągnął dłoń z tomikiem „Cmentarnych nocy”.

- Weź to.

- Nie, nie. Nie jestem wielbicielem poezji.

- Spodoba ci się. Te wiersze są jak opowiadania... Ralph zwalczył pokusę

potrząśnięcia starym tak, żeby kości

zadzwończyły mu niczym kastaniety.

- Właśnie kupiłem sobie parę westernów w „Ostatnich Kartkach”. Chcę tylko wiedzieć, kto kazał ci przekazać tę wiadomość i...

Dorrance Marstellar z nieoczekiwaną siłą wcisnął mu w prawą, wolną rękę tomik wierszy.

- Jeden z nich zaczyna się tak: „Wszystko co robię, robię pośpiesznie, by zaraz zająć się czymś innym...” - I nim Ralph zdołał powiedzieć coś więcej, Stary Dor ruszył trawnikiem w kierunku chodnika. Na chodniku skręcił w lewo, w stronę Extension. Twarz uniósł w górę i wpatrywał się marząco w niesione wiatrem liście, pędzące tak, jakby za horyzontem wyznaczyły sobie jakieś bardzo ważne spotkanie.

- Dorrance! - krzyknął Ralph, nagle wściekły. Po przeciwnej stronie ulicy Sue zmiatała właśnie liście sprzed wejścia do „Jabluska”. Słyszając krzyk, przerwała i zdziwiona rozejrzała się dookoła. Czując się głupio - czując się staro - Ralph rozciągnął wargi w czymś, co miało być szerokim i wesołym uśmiechem, a potem pomachał jej ręką. Sue odmachala mu i wróciła do zamykania liści. Dorrance tymczasem szedł przed

siebie, niespiesznie, lecz wytrwale. Oddalił się już o jakieś pół przecznicy. Ralph postanowił, że nie będzie go ścigał.

Wszedł po schodach, przekładając wręczony mu przez Dorrance'a tomik do lewej ręki, by sięgnąć po klucze, ale szybko się zorientował, że nie musi wyciągać kluczy-drzwi nie tylko nie były zamknięte na zamek, ale nawet nie zatrzaśnięte! Sto razy powtarzał Billowi McGovernowi, że zostawiać otwarte drzwi to lekkomyślność, i miał nadzieję, że coś wreszcie dotarło do jego tępego łba. Teraz jednak zrodziło się w nim podejrzenie, że McGovern wrócił do starych złych obyczajów.

- Niech cię cholera, Bili - burknął pod nosem. Wszedł do mrocznego przedpokoju, zerknął nerwowo na schody. Aż za łatwo przyszło mu wyobrazić sobie, że gdzieś tam na górze czai się Ed Deepneau. Ed z pewnością nie zawracałby sobie głowy tym, że ciągle jeszcze świeci słońce. Ale przecież trudno stać tu tak aż do nocy. Zatrzasnął drzwi i ruszył schodami do góry.

Oczywiście, nie ma się czego bać. Drgnął wprawdzie przerażony, kiedy zdawało mu się, że widzi nieruchomą postać w przeciwnym kącie dużego pokoju, ale niemal natychmiast się zorientował, że to tylko jego stara marynarka. Powiesił ją na wieszaku, zamiast po prostu rzucić na krzesło albo na oparcie kanapy - nic dziwnego, że się śmiertelnie wystraszył.

Poszedł do kuchni. Z rękami w tylnych kieszeniach spodni wpatrywał się w kalendarz. Zakreślił na nim poniedziałek; na zakreślonym zaś miejscu nabazgrał własnoręcznie: HONG 10.00.

„Kazali mi powiedzieć, że masz odwołać spotkanie z tym gościem od igieł, więc powiedziałem. Reszta należy do ciebie..

Przez moment Ralph czuł się tak, jakby z zewnątrz patrzył na siebie i swoje życie, jakby był w stanie obejrzeć cały jego fresk, a nie fragment pod tytułem „dzisiaj”. Przeraziło go to, co zobaczył: nie oznakowana droga prowadząca w mrok tunelu, w którym mogło się zaić wszystko. Wszystko.

Więc zawróć, Ralph.

Miał jednak wrażenie, że tego akurat nie potrafi zrobić. Miał wrażenie, że będzie musiał wejść do tunelu, czy tego chce, czy nie. Nie czuł się jednak tak, jakby ktoś go tam prowadził, lecz jakby pchała go wielka, niewidzialna ręka.

- Spokojnie - szepnął, nerwowo pocierając skronie opuszkami palców. Nadal przyglądał się zakreślonej dacie. Od wizyty u Honga dzieliły go dwa dni. - To przez bezsenność. To przez bezsenność wszystko zrobiło się...

Zrobiło się jakie?

- Zrobiło się dziwne - oznajmił pustemu mieszkaniu. - To przez bezsenność wszystko zrobiło się takie... dziwne.

Dziwne. Oczywiście. Mnóstwo było tych dziwnych rzeczy, ale aury, które zaczął dostrzegać, wydawały się najdziwniejsze ze wszystkiego. Chłodne szare światło - wyglądało jak żywy mróz - otulające mężczyznę z gazetą w barze „Koniec Dnia, Zachód Słońca”. Matka i syn idący do sklepu, splecione aury wznoszą się z ich złączonych dłoni niczym koński ogon. Helen i Nat we wspaniałej chmurze światła koloru kości słoniowej, Natalie sięgająca rączką do śladów pozostawionych przez jego palce, delikatnych dymków, które tylko oni byli w stanie dostrzec.

A teraz jeszcze na jego progu Stary Dor pojawia się niczym jakiś zwariowany starotestamentowy prorok... Tylko zamiast krzyżeć „Nawróćcie się!” każe mu odwołać wizytę u specjalisty od akupunktury, poleconego przez Joego Wyzera. Powinno to być śmieszne, ale jakoś nie było.

Wlot tunelu. Co dzień bliższy. Czy rzeczywiście istnieje jakiś tunel? A jeśli tak, dokąd prowadzi?

Najbardziej interesujące jest jednak to, co może mnie tam spotkać, pomyślał Ralph. Co może mnie spotkać w ciemności.

„Nie powinieneś się mieszać” - powiedział Stary Dor. „Ale teraz jest już za późno”.

- Co się stało, to się nie odstanie -: burknął Ralph i nagle zdecydował, że ani mu się śni przyglądać się swemu życiu od zewnątrz. Zbyt to niepokojące. Lepiej wrócić do codzienności, zastanawiać się nad problemami po jednym, poczawszy od zamówionej wizyty u Honga. Czy ma zamiar pójść do Honga, czy też posłucha rady Starego Dora, alias Ducha Ojca Hamleta.

Doprawdy, przecież ta sprawa wcale nie wymaga długiego namysłu, zdecydował. Joe Wyzer uwiódł sekretarkę Honga, namówił ją, by zapisała go na wizytę w początkach października, i Ralph miał zamiar dotrzymać terminu. Jeśli istniało jakieś wyjście z tych malin, to należy pewnie zacząć od przyzwoitego nocnego snu. Tak więc, wizyta u Honga wydawała się najlogicznym pierwszym krokiem.

- Co się stało, to się nie odstanie - powtórzył głośno i poszedł do dużego pokoju poczytać jeden z kupionych właśnie westernów.

Zamiast jednak wziąć się do westernu, zaczął przerzucać kartki tomiku poezji, który dał mu Dorrance: „Cmentarne noce” autorstwa Stephena Dobynsa. Dor miał rację - większość wierszy opowiadała jakąś historię i całkiem się mu spodobała. Ten, który zacytował Dor, nazywał się „Pogoń” i zaczynał tak:

Wszystko co robię robię pośpiesznie by móc zrobić co innego. W ten sposób przemijają dni - mieszanka wyścigów gratów i nie kończącego się wysiłku budowniczych gotyckich katedr. Przez okno pędzącego samochodu widzę jak wszystko co kocham rozpada się: nie przeczytane książki, nie opowiedziane żarty, nie widziane pejzaże...

Ralph przeczytał ten wiersz dwukrotnie, całkowicie nim pochłonięty, i przyszło mu na myśl, że powinien przeczytać go Carolyn. Spodobałby się jej, i to bardzo, a przy okazji mąż (który najchętniej sięgał po westerny i powieści historyczne) też by się jej spodobał, że go znalazł i przyniósł jej niczym bukiet kwiatów. Szukał już kawałka papieru do założenia strony, kiedy przypomniał sobie, że Carolyn od pół roku nie żyje, i wybuchnął płaczem. Przez dobre piętnaście minut siedział na fotelu z „Cmentarnymi nocami” na kolanach, ocierając oczy grzbietem dłoni. W końcu poszedł do sypialni, położył się i zagapił w sufit. Po godzinie gapienia się w sufit wstał, zrobił sobie kawę i znalazł w telewizji mecz futbolu ligi uniwersyteckiej.

Biblioteka publiczna w Derry otwarta była w niedzielne popołudnia od pierwszej do szóstej. W dzień po wizycie Dorrance^ Ralph zdecydował się ją odwiedzić, głównie dlatego, że nie miał nic lepszego do roboty. W bardzo wysokiej czytelnicy powinno być kilka osób, ludzi starszych, jak on sam, przeglądających przeważnie niedzielne gazety, które wreszcie mieli

czas przeczytać, ale kiedy Ralph wyszedł spośród półek, których zawartość przeglądał od dobrych czterdziestu minut, zorientował się, że jest sam. Wspaniałe, wczoraj jasnoblękitne niebo zasnuło się dziś chmurami, a deszcz przyklejał opadłe liście do chodników lub splukiwał je do kanałów, którymi spływały niżej, w splątany i wyjątkowo nieprzyjemny w Derry system kanalizacji miejskiej. Nadal wiał wiatr, ale zmienił się na północny i ciął nieprzyjemnym chłodem. Starzy ludzie, przynajmniej ci rozsądni (lub szczęściarze) siedzieli w ciepłych domach, niektórzy oglądali nieszczęsne Czerwone Skarpety w ostatnim meczu ich kolejnego kiepskiego sezonu, niektórzy układali puzzle z wnukami, niektórzy wreszcie drzemali po wielkich porcjach kurczaka.

Ralpha jednak Czerwone Skarpety nie interesowały w najmniejszym stopniu, nie miał dzieci ani wnuków i całkowicie stracił zdolność do drzemki, nawet jeśli kiedyś ją posiadał, więc wsiadł do odchodzącego o pierwszej autobusu zielonej linii, pojechał do biblioteki, no i znalazł się tu, w czytelni, żałując, że nie włożył czegoś cieplejszego niż stara, zniszczona szara marynarka, bo w środku też było chłodno. I mroczno. Nie napalono w kominku, a ciche kaloryfery świadczyły dobitnie, że kotłowni też jeszcze nie uruchomiono. Dyżurnemu bibliotekarzowi nie chciało się także zapalić wiszących u sufitu lamp. Światło, któremu jakimś cudem udało się dostać do środka, padało martwo na podłogę; w kątach było po prostu ciemno. Drwale, żołnierze, dobosze i Indianie na wiszących na ścianach starych obrazach wyglądali jak złowrogie duchy. Niesiony wiatrem deszcz bił w szyby okien.

Powinienem zostać w domu, pomyślał Ralph, ale w gruncie rzeczy wcale nie chciał siedzieć w swoich czterech ścianach. Ostatnio czuł się tam kiepsko. Poza tym na półkach, zawierających coś, co na własny użytek nazywał „wyborem dziwaków”, znalazł nową interesującą książkę: „Wzory snu” doktora medycyny Jamesa A. Halla. Włączył światła, dzięki którym czytelnia zrobiła się odrobinę jaśniejsza, usiadł przy jednym z czterech długich, pustych stołów i wkrótce całkowicie pogрузił się w lekturze.

Zanim uświadomiono sobie, że sen REM i sen nie-REM różnią się od siebie znacząco - pisał Hall - badania prowadzone nad całkowitym zanikiem jednego ze stanów snu doprowadziły Dementa (1960) do twierdzenia, że brak snu... powoduje zakłócenia osobowości po przebudzeniu...

Raany, przyjacielu, masz całkowitą rację, pomyślał Ralph.

Nie można nawet znaleźć cholерnej torebki zupy, kiedy się jej akurat potrzebuje.

...wczesne badania nad brakiem snu doprowadziły także do fascynującej dyskusji nad tym, czy schizofrenia nie może być chorobą, w której brak snu jest przyczyną wprowadzenia elementów marzeń sennych w świat na jawie.

Ralph siedział nad książką zgarbiony, łokcie oparł na stole, zaciśnięte w pięści dłonie przyciskał do skroni, czoło zmarszczył, aż brwi mu się stykały. Był całkowicie skoncentrowany. Zastanawiał się, czy Hall nie mówi przypadkiem o aurach, być może sam o nich nie wiedząc. Tylko że, do diabła, on sam przecież nadal śnił i jego sny były na ogół szalenie wyraziste. Ostatniej nocy śniło mu się, że tańczy z Lois Chasse w „Pavillon” (zniszczonym podczas wielkiej burzy, która osiem lat temu zrujnowała większość śródmieścia). Zabrał ją na zabawę, bo chciał się jej oświadczyć, ale nie mógł się jakoś uwolnić od Triggera Vachona - dziwne, że był to właśnie on.

Potarł oczy kostkami palców, skupił się i wrócił do lektury. Nie dostrzegł mężczyzny w workowatej szarej bluzie, który pojawił się w drzwiach czytelnicy, zamarł na progu i wpatrywał się w niego z napięciem. Mężczyzna gapił się tak przez jakieś trzy minuty, po czym sięgnął pod bluzę (przedstawiony był na niej Snoopy, pies Charliego Browna, w okularach Johna Coola na nosie) i z pochwy przy pasie wyciągnął nóż. Światło lamp u sufitu odbiło się w stali - to mężczyzna obrócił broń, podziwiając jej zębate ostrze, by natychmiast ruszyć ku stołowi, przy którym, z głową opartą na dłoniach, siedział Ralph. Mężczyzna usiadł za nim. Ralph ledwie zauważył, że oprócz niego jeszcze ktoś pojawił się w czytelnicy.

Tolerancja na brak snu różni się w zależności od wieku. U ludzi młodszych objawy, w tym poważne objawy fizyczne, pojawiają się wcześniej, u ludzi zaś starszych...

Na ramieniu Ralpha spoczęła lekko dłoń, odrywając go od lektury.

- Ciekawe, jak będą wyglądały? - szepnął mu w ucho ekstatyczny głos. Słowa płynęły na fali smrodu, jakby zgniętego bekonu smażącego się na czosnku i zjełczałym maśle. - Chodzi mi o twoje flaki. Ciekawe, jak będą wyglądały, kiedy wypłyną na podłogę. Jak myślisz, ty bezbożny morderco dzieci, ty centurionie? Jak myślisz, będą żółte, czarne, czerwone, czy jakie?

Coś twardego i ostrego nacisnęło na lewy bok Ralpha i powoli przesunęło mu się wzdłuż żeber.

- Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę - szepnął ekstatyczny głos. - Nie mogę się doczekać!

Ralph bardzo powoli obrócił głowę, zatrzeszczały mu ścięgna szyi. Nie znał nazwiska mężczyzny o śmierzącym oddechu - mężczyzny, który kłuł go w bok czymś, co za bardzo przypominało nóż, by nie było nożem - ale rozpoznał go natychmiast. Pomogły mu w tym, oczywiście, okulary w rogowej oprawie, ale jeszcze bardziej rozczochrane siwe włosy, sterczące z czaszki w sposób, który przypominał Dona Kinga i Alberta Einsteina naraz. To ten mężczyzna stał obok Eda Deepneau w tle fotografii przedstawiającej Hama Davenporta z

uniesioną pięścią i Dana Daltona, ustrojonego w transparent Hama (WYBÓR, NIE STRACH) zamiast kapelusza. Ralph miał wrażenie, że widział go też w którymś z programów telewizyjnych o demonstracjach przeciw aborcji. Po prostu kolejny pionek, statysta wymachujący transparentem i wykrzykujący slogany. Tylko że ten szczególnie statysta miał najwyraźniej zamiar go zabić.

- Jak myślisz? - spytał mężczyzna w koszulce ze Snoopym tym samym ekstatycznym szeptem. Jego głos przeraził Ralpha bardziej niż ostrze, przesuwające się w górę i w dół po skórzanej marynarce jakby w poszukiwaniu ważnych organów umiejscowionych po lewej stronie ciała: płuc, serca, nerki, wnętrzości. - Jakiego będą koloru?

Ten oddech przyprawiał o mdłości, ale Ralph bał się odchylić lub odwrócić głowę, bał się, że jeśli drgnie, nóż, tym razem znów wędrujący w górę, przestanie sunąć po marynarce i wbije mu się w ciało. Za grubymi szklami okularów w rogowej oprawie piwne oczy mężczyzny pływały jak jakieś niesamowite ryby. Są takie nieprzytomne i przedziwnie wystraszone, pomyślał Ralph. To oczy człowieka, który widzi znaki na niebie i może w ciemnościach nocy słyszy szepczące do niego z szafy głosy.

- Nie wiem. I w ogóle nie wiem, dlaczego chcesz mnie zabić. - Ralph, nie poruszając głową, szybkim spojrzeniem obrzucił czytelnik z nadzieją, że dostrzeże kogoś, kogokolwiek... Ale nie dostrzegł nikogo. Za oknami wył wicher i deszcz bił w szyby.

- Bo jesteś pieprzonym centurionem! - wypluł z siebie siwowłosy mężczyzna. - Bo jesteś pieprzonym mordercą dzieci! Kradniesz nie narodzone maleństwa! Sprzedajesz je temu, kto da więcej! Wiem o tobie wszystko!

Ralph oderwał prawą rękę od głowy i zaczął ją powoli opuszczać. Był praworęczny i to wszystko, co zdarzyło mu się chwycić w ciągu dnia, wędrowało zazwyczaj do najprzydatniejszej, prawej kieszeni. Jego stara szara marynarka miała wielkie kieszenie, ale Ralph obawiał się, że najbardziej śmiertelnym narzędziem, jakie w niej znajdzie, będzie pogniecione sreberko po gumie do żucia. Wątpił, czy ma przy sobie choćby obcinacz do paznokci.

- Powiedział ci to Ed Deepneau, prawda? - spytał i jęknął, kiedy nóż nacisnął mu boleśnie ciało tuż pod żebrami.

- Nie wymawiaj jego imienia - szepnął mężczyzna w bluzie ze Snoopym. - Nie wolno ci nigdy wymienić jego imienia! Złodziej dzieciaczków! Tchórzliwy morderca! Centurion! - Znów pchnął i tym razem ból był już prawdziwy, ostrze najwyraźniej przecięło skórę. Ralph nie sądził, że nóż go skaleczył - jeszcze nie - ale miał pewność, że wariat nacisnął wystarczająco mocno, by zostawić siniak. Nie martwiło go to zbytnio; gdyby udało mu się

wykręcić wyłącznie siniakiem, uważałby się za szczęściarza.

- Dobrze! - powiedział. - Nie będę wymieniał tego nazwiska.

- Powiedz „żałuję” - rozkazał mężczyzna w bluzie ze Snoopym i pchnął. Tym razem przebił także koszulę. Ralph poczuł, jak ciepła krew ścieka mu po skórze. Co tam jest? - pomyślał. Wątroba? Woreczek żółciowy? Co jest tam, po lewej stronie?

Albo nie pamiętał, albo nie chciał pamiętać. W głowie pojawił mu się nagle obraz, najwyraźniej zagradzający drogę wszystkim spójnym myślom: obraz jelenia zwisającego łbem w dół z drabiny przy ścianie jakiegoś wiejskiego sklepiku w sezonie polowań. Zamglone ślepia, wywalony język i ciemna dziura w brzuchu, dziura wycięta przez mężczyznę z nożem takim jak ten, dziura, przez którą patroszono zwierzę, zostawiając tylko łeb, mięso i skórę.

- Przepraszam - powiedział głosem, który już wcale nie był taki spokojny. - Naprawdę przepraszam.

- Dobra, dobra! Powinieneś żałować, ale wcale nie żałujesz. Wcale nie żałujesz!

Kolejne pchnięcie. Jaskrawy błysk bólu. Kolejny ciepły strumyk ściekający po skórze. I nagle czytelnia rozjaśniła się, jakby ze trzy czy cztery ekipy telewizyjne, włączące się po Derry od czasu przeciwborecyjnych protestów, stłoczyły się w niej i kamerzyści włączyli lampy. Nie ma tu oczywiście żadnych kamer - światło zapłonęło w jego wnętrzu!

Obrócił się w stronę uzbrojonego szaleńca - człowieka, który w tej właśnie chwili wbijał mu w ciało czubek noża - i dostrzegł, że otacza go zmienna zielono-czarna aura, przywodząca mu przed oczy obraz

(pożar prerii)

słabego fosforyzującego światełka, które czasem widzi się po zmroku w podmokłych lasach, i przesyta ostrymi błyskawicami najczystszej czerni. Patrzył na tę aurę z rosnącą rozpaczą i nie czuł, jak ostrze noża jeszcze trochę zagłębia mu się w ciało. Zdawał sobie niejasno sprawę, że w fałdzie koszuli przy pasku spodni zaczyna gromadzić się krew, ale to wszystko.

Oszalał i rzeczywiście chce mnie zabić, to nie puste gadanie. Nie całkiem jest jeszcze do tego gotowy, nie całkiem się jeszcze podpalił, ale niewiele mu brakuje. Jeśli spróbuję uciekać-jeśli choć odrobinę odsunę się od tego jego noża - pchnie natychmiast. Chyba liczy na to, że naprawdę spróbuję się odsunąć... i będzie mógł wytłumaczyć sobie, że to wszystko przeze mnie, że sam jestem winien swojej śmierci.

- Ty i ci twoi ludzie - powiedział mężczyzna ze strzechą siwych włosów. - Och, wy! Wiemy o was wszystko!

Ralph dotknął prawą ręką prawej kieszeni... i pod palcami wyczuł coś dużego. Nie przypominał sobie, by wkładał do niej coś tych rozmiarów. Ale to nie znaczyło wiele - jeśli nie potrafi się spamiętać, czy cztery ostatnie cyfry numeru telefonu do kina to 1317, czy 1713, wszystko jest możliwe.

- Wy, och wy! - mówił mężczyzna o komicznie rozwichrzonych siwych włosach. - Wy, och wy, oooch wy! -. Tym razem Ralph odczuł już ból, i to bardzo wyraźnie, czubek ostrza rozciął mu skórę na piersi aż po nasadę szyi. Jęknął cicho, zacisnął dłoń na kieszeni marynarki; skóra otuliła znajdujący się w kieszeni okrągły przedmiot.

- Nie krzycz! - powiedział mężczyzna o komicznie rozwichrzonych włosach tym samym ekstatycznym szeptem. - Jezus, Maria, Józef, nawet nie próbuj krzyczeć! - Piwnymi oczami wpatrzył się w twarz Ralpa; okulary powiększały mu je do tego stopnia, że odrobiny łupieżu na rzęsach sprawiały

wrażenie kamyków. Ralph widział aurę tego człowieka nawet w jego oczach - przesuwająca się po źrenicach jak zielony dym nad czarną wodą. Wężowe pasma czerni przesywającej zielone światło były grubsze, łączyły się i Ralph zrozumiał, że kiedy nóż po rękojęść pograży się w jego ciele, pchnie go wola tej części osobowości napastnika, która generowała owe czarne pasma. Zieleń była kolorem szaleństwa, paranoi; czerń czegoś innego i

(obcego)

znacznie gorszego.

- Nie - sapnął. - Nie będę. Nie będę krzyczał.

- Doskonale. Czuję twoje serce, wiesz? Czuję jego drgania. Przenoszą mi się po nożu na rękę. Musi mocno walić. - Mężczyzna z nożem skrzywił twarz w szalonym uśmiechu. W kącikach ust lśniły mu pasemka śliny. - Może po prostu padniesz i zdechniesz na atak serca? Może wcale nie muszę robić sobie kłopotu i zarzynać cię? - Kolejny powiew śmierdzącego oddechu wionął w twarz Ralpa. - Jesteś strasznie stary.

Krew ciekła mu po skórze dwoma, może nawet trzema strumykami. Ból od tkwiącego w ciele ostrza doprowadzał do szaleństwa - jak ukąszenie gigantycznej pszczoły.

Albo gigantycznej igły, pomyślał Ralph i to go rozbawiło mimo sytuacji, w jakiej się znalazł, a może właśnie z powodu tej sytuacji. Ten facet to dopiero wbił w niego igłę! Hong z pewnością nie dorastał mu do pięt!

Nie miałem nawet szansy odwołać tej wizyty, pomyślał i przyszło mu do głowy, że tacy szaleńcy jak ten gość w bluzie ze Snoopym nie przyjmują do wiadomości żadnych odwołań. Tacy szaleńcy mają swój kalendarz i trzymają się go, choćby pod stopami

otworzyło się im piekło.

Cokolwiek miało się jeszcze zdarzyć, Ralph doskonale zdawał sobie sprawę, że nie wytrzyma dłużej z czubkiem noża wbitym pod skórę. Kciukiem podniósł klapę osłaniającą kieszeń i wsadził dłoń do środka. Dotknął palcami tego czegoś, co się w niej znajdowało, i już wiedział, co to jest: gaz, który Gretchen wyjęła z torebki i położyła na stole. „Drobny upominek od wdzięcznych przyjaciółek z ośrodka”, powiedziała.

Nie miał pojęcia, jak pojemnik ulotnił się z kuchennej szafki, na której on sam własnoręcznie go postawił, i znalazł się w kieszeni zniszczonej skórzaney marynarki. Chwilowo nie miało to zresztą najmniejszego znaczenia. Chwycił go i - znów

kciukiem - zdjął plastikowe zamknięcie, nie spuszczać przy tym oka ze skrzywionej tikiem, przerażonej i zarazem zachwyconej twarzy mężczyzny o komicznie rozczochranych włosach.

- Coś wiem - powiedział. - Jeśli obiecasz, że mnie nie zabijesz, to ci powiem.

- A niby co? - zakpił mężczyzna o komicznie rozczochranych włosach. - Jeeezu, co może wiedzieć takie gównio jak ty?

Co może wiedzieć takie gównio jak ja? - pomyślał Ralph i odpowiedź nagle wyskoczyła mu w głowie niczym trzy wisienki w okienkach Jednorękiego bandyty”, oznaczające maksymalne zwycięstwo. Zmusił się, by pochylić się w aurę tego człowieka i w chmurę straszliwie śmierdzącego powietrza wydobywającego się z jego zgniłych wnętrzności. W tej samej chwili wyjął pojemnik z kieszeni, przycisnął go do uda i położył palec na guziku uwalniającym gaz.

- Wiem, kim jest Karmazynowy Król - szepnął.

Oczy za brudnymi szklami okularów w rogowej oprawie nagle zrobiły się jeszcze większe - dowód zdumienia i zarazem szoku - i mężczyzna o komicznie rozczochranych włosach cofnął się odrobinę. Straszliwy ból w boku na chwilę zelżał. Ralph zorientował się, że drugiej takiej szansy mieć nie będzie, zareagował więc jak najszybciej: odchylił się w prawo i spadł z krzesła. Uderzył przy tym głową w podłogę, ale ból uderzenia był niczym w porównaniu z ulgą, jaką odczuł, gdy nóż wysunął mu się z ciała.

Mężczyzna o komicznie rozczochranych włosach krzyknął cienko - był to okrzyk pełen zarówno wściekłości jak i rezygnacji, jakby długie, ciężkie życie przyzwyczyło go do tego rodzaju zawodów. Pochylił się nad pustym teraz krzesłem, wysuwając do przodu skrzywioną tikiem twarz, a jego oczy przypominały niesamowite, świecące własnym światłem stwory pływające w głębiach oceanu. Ralph uniósł pojemnik z gazem; przemknęło mu jeszcze przez myśl, że nie wie, w którą stronę jest skierowany wylot, i że może porazić

siebie.

Ale nie było czasu na zamartwianie się tym faktem.

Prysnął gazem w momencie, kiedy mężczyzna o komicznie rozczochranych włosach machnął nożem w jego kierunku. Twarz napastnika znalazła się w chmurze rozpylonej cieczy, trochę podobnej do tego, co wydobywało się z sosnowego odświeżacza powietrza, którego Ralph używał w toalecie. Szklą okularów w rogowej oprawie zasnuła mgła.

Rezultat był natychmiastowy i spełnił wszystkie oczekiwania Ralpha. Mężczyzna o rozczochranych włosach wrzasnął z bólu, upuścił nóż (który spadł Ralphowi na lewe kolano i odbił się od niego, lądując na podłodze między jego nogami) i złapał się za twarz, strącając sobie przy tym okulary z nosa (wylądowały na stole). Jednocześnie otaczająca go aura rozblęsnęła na moment jaskrawą czerwienią i znikła - przynajmniej sprzed oczu Ralpha.

- Oślepiłem! - wrzasnął cienkim, piskliwym głosem mężczyzna o komicznie rozczochranych włosach. - Oślepiłem! Oślepiłem!

- Nie, nie oślepił pan. - Ralph chwiejnie podnosił się na nogi. - Po prostu...

Mężczyzna o komicznie rozczochranych włosach znów wrzasnął i upadł na podłogę. Przewracał się z boku na bok po czarno-białych kafelkach z twarzą ukrytą w dłoniach, wrzeszcząc jak dziecko, któremu drzwi przycięły rączkę. Pomiędzy rozstawionymi palcami Ralph widział fragmenty jego policzków: czerwieniały w niepokojącym tempie.

Powiedział sobie, że powinien zostawić tego gościa jego własnemu losowi, że facet jest szalony jak marcowy królik i niebezpieczny jak grzechotnik, ale był zbyt przerażony i zbyt zawstydzony tym, co uczynił, by skorzystać z tej niewątpliwie doskonałej rady. Sama myśl, że rzeczywiście toczyła się tu walka na śmierć i życie i że musiał rozbroić napastnika lub zginąć, już zaczynała mu się wydawać nierealna. Pochylił się i delikatnie dotknął ramienia mężczyzny o komicznie rozczochranych włosach. Szalenciec odtoczył się od niego i zaczął walić w podłogę piętami brudnych tenisówek, jak dziecko w napadzie wściekłości.

- Ty sukinsynu! - wrzasnął. - Strzeliłeś czymś we mnie! - A potem, nie do wiary!, dodał jeszcze: - Sprocesuję cię za to do gaci!

- Będzie pan musiał wyjaśnić kwestię noża, zanim proces na serio się rozpocznie - powiedział Ralph. Wyciągnął rękę po leżący na podłodze nóż i zaraz ją cofnął. Lepiej będzie, jeśli nie zostaną na nim jego odciski palców. Kiedy się prostował, ogarnęła go nagła fala słabości; stuk uderzających w szyby ciężkich kropel deszczu oddalił się i ucichł na chwilę. Ralph kopnął nóż, wstał i musiał przytrzymać się oparcia krzesła, by nie upaść. Świat przestał mu jednak wirować przed oczami, co więcej, usłyszał kroki w korytarzu przed czytelnią i szum zdziwionych głosów.

Teraz to się pojawiliście, pomyślał zrezygnowany. A gdzieście się podziewali trzy minuty temu, kiedy ten facet omal nie przedziurawił mi lewego płuca jak balonu.

Mikę Hanlon, szczupły i wyglądający na nie więcej niż trzydzieści lat mimo szopy gęstych siwych włosów, zmaterializował się nagle w drzwiach. Tuż za nim pojawił się chłopak, w którym Ralph rozpoznał jego pomocnika, nastolatka zatrudnianego w weekendy, a za chłopakiem kilku gapiów, zapewne z czytelnictwa czasopism.

- Panie Roberts! - krzyknął Mikę. - Czy jest pan ciężko ranny?

- Nie, ze mną wszystko dobrze, to on jest ranny. - Ralph wskazał mężczyznę na podłodze i jednocześnie się zorientował, że nie całkiem z nim dobrze. Marynarka się rozchyliła, kiedy się pochylał ku leżącemu. Na kraciastej koszuli widać było plamę czerwieni w kształcie łyzy, zaczynającą się tuż pod pachą i sięgającą już prawie pasa. - Cholera! - powiedział słabo i usiadł na krześle, przy okazji trącając łokciem okulary w rogowej oprawie. Okulary poślizgnęły się po stole i omal nie spadły na podłogę. Mgła gazu na szklach sprawiała, że przypominały oczy oślepięte kataraktą.

- Oblał mnie kwasem! - wrzeszczał leżący na podłodze mężczyzna. - Oślepiłem, skóra złazi mi z twarzy. Czuję, jak skóra złazi mi z twarzy!

Mikę obrzucił wrzeszczącego szybkim spojrzeniem i usiadł na krześle obok Ralph'a.

- Co się tu zdarzyło? - spytał.

- No, z pewnością nie był to kwas - odparł Ralph, pokazując pojemnik. Postawił go na stole obok „Wzorów snu”. - Dostałem to coś od pewnej kobiety, która powiedziała, że jest słabsze od gazu łzawiącego, po prostu podrażnia oczy i powoduje mdłości...

- On mnie nie martwi - powiedział niecierpliwie Mikę. - Ktoś, kto tak wrzeszczy, na pewno nie umrze w ciągu najbliższych trzech minut. O pana się martwię, panie Roberts. Ciężko pana zranił?

- Chyba najwyżej skaleczył. Tak... skaleczył. - Wskazał nóż na podłodze. Na widok czerwonego ostrza nowy, gwałtowny przyływ słabości przemknął mu przez głowę niczym pociąg ekspresowy z pierza.

Asystent Mike'a przyglądał się leżącemu na podłodze mężczyźnie.

- Oho! - wtrącił. - Przecież znamy tego faceta, Mikę. To Charlie Pickering!

- No i pięknie, nawet bardzo pięknie! - westchnął Mikę. - Dlaczego właściwie nawet się nie zdziwiłem? - Spojrzył na chłopaka. - Lepiej zadzwoń na policję, Justin. Wygląda na to, że może się nam tutaj przydać.

- Będę miał jakieś kłopoty z tego powodu? - zapytał Ralph w godzinę później, wskazując na jedną z dwóch zapieczetowanych plastikowych torebek, leżących na

zaśmieconym papierami biurku Mike'a. Na torebce naklejony był pasek żółtej taśmy z napisem DOWODY. PUSZKA AEROZOLU, DATA 10/03/93, MIEJSCE: BIBLIOTEKA PUBLICZNA W DERRY.

- Nie takie, jakie twój kumpel Charles Pickering będzie miał z powodu tego. - John Leydecker wskazał na drugą torebkę. Znajdował się w niej myśliwski nóż. Krew na czubku ostrza ściemniała na brązowo i zgęstniała. Leydecker miał dziś na sobie bluzę futbolisty z godłem Uniwersytetu Stanu Maine. Osiągnął dzięki niej rozmiary mniej więcej stodoły. - Tu, w tej prowincjonalnej dziurze, nadal wierzymy w coś, co nazywa się prawem do samoobrony. Nieczęsto jednak o tym mówimy; wierzyć w prawo do samoobrony to tak, jak wierzyć, że świat jest płaski.

Mikę Hanlon, niedbale oparty o framugę, roześmiał się głośno.

Ralph miał nadzieję, że z jego twarzy nie da się odczytać głębokiej ulgi, jaką odczuł w tej chwili. Kiedy sanitariusz (miał wrażenie, że jeden z tych, którzy w sierpniu odwozili do szpitala Helen Deepneau) najpierw fotografował, potem dezynfekował, potem zakładał klamry, a wreszcie bandażował rany, siedział z zaciśniętymi zębami, wyobrażając sobie, jak sędzia skazuje go na pół roku więzienia za użycie zagrażającej zdrowiu broni. „Mam nadzieję, panie Roberts, że posłuży to jako ostrzeżenie dla wszystkich starych pierników w okolicy, którym wydaje się, że mogą łączyć z pojemnikami gazu paralizującego...”

Leydecker jeszcze raz przyjrzał się sześciu fotografiom leżącym koło komputera na biurku Mike'a Hanlona. Młodzieńcy sanitariusz z pogotowia zrobił pierwsze trzy przed założeniem

klamer i bandaży. Przedstawiły ciemny, mały krąg nisko na boku Ralpha - coś w rodzaju przerośniętej kropki, jaką mogłoby postawić dziecko dopiero uczące się pisać. Pozostałe trzy zdjęcia zrobione zostały po założeniu klamer, gdy Ralph podpisał się już na formularzu, potwierdzając, że zaoferowano mu pomoc szpitalną i że z niej zrezygnował z własnej woli.

- Niech Bóg błogosławi Edwina Landa i Richarda Polaroida! - powiedział Leydecker, wkładając fotografie do trzeciej torebki z napisem DOWODY.

- Nie sądzę, by pan Richard Polaroid kiedykolwiek istniał - zaprotestował Mikę Hanlon ze swego miejsca w drzwiach.

- Zapewne masz rację, ale tak czy owak niech go Pan Bóg błogosławi. Ławie przysięgłych wystarczy jeden rzut oka na te zdjęcia, żeby ci dać medal, Ralph, a nawet Clarence Darrow nie zdołałby wykluczyć ich z dowodów rzeczowych. - Leydecker spojrzał na Mike'a. - Charlie Pickering? - stwierdził raczej niż spytał.

Mikę Hanlon skinął głową.

- Charlie Pickering.

- Wariat

Mikę znów skinął głową.

- Model de luxe.

Obaj jednocześnie spojrzeli sobie w oczy i obaj jednocześnie wybuchnęli wariackim śmiechem. Ralph doskonale rozumiał, jak się czują - śmieli się, bo to, co się zdarzyło, było okropne, a było okropne, ponieważ było śmieszne - i musiał mocno przygryźć wargi, by nie roześmiać się wraz z nimi. Akurat teraz ostatnią rzeczą na świecie, jakiej pragnął, był śmiech; śmiech bolałby go jak jasna cholera.

Leydecker wyjął chusteczkę z tylnej kieszeni spodni, wytarł nią załzawione oczy i bohaterko wzięty się w garść.

- Pickering to jeden z tych od „Prawa do Życia”, prawda? - spytał Ralph. Doskonale pamiętał jego wygląd, kiedy nastoletni pomocnik Mike’a pomagał mu usiąść. Bez okularów sprawiał wrażenie kogoś mniej więcej tak niebezpiecznego, jak królik na wystawie sklepu zoologicznego.

- Można to tak ująć - odpowiedział Mikę. - To jego właśnie złapano w zeszłym roku na podziemnym parkingu szpitala i ośrodka. W ręku miał kanister z benzyną, a na plecach plecak z pustymi butelkami.

Nie zapomnij o paskach z podartych prześcieradeł - wtrącił Leydecker. - Miały służyć za zapalniki. Wtedy Charlie należał jeszcze do szanowanych członków „Chleba Naszego Powszedniego”.

- I rzeczywiście mógł podpalić ośrodek? - zainteresował się Ralph.

Leydecker tylko wzruszył ramionami.

- Raczej nie. Ktoś z tej jego grupy zdecydował, że podpalenie kliniki dla kobiet bliższe jest terroryzmowi niż polityce, i wykonał anonimowy telefon na policję.

- No i dobrze! - parsknął Mikę, po czym skrzyżował ramiona na piersiach, jakby próbował powstrzymać się od

wszelkich podobnych wybuchów w przyszłości.

- No tak. - Leydecker splótł dłonie i z trzaskiem wyłamał sobie palce. - Zamiast do więzienia poczciwy i humanitarny sędzia wysłał Charliego na sześć miesięcy do Juniper Hill. Obserwacja i leczenie. W szpitalu musieli zdecydować, że doszedł do siebie, bo wypuścili go tak gdzieś około lipca.

- Racja - nie wytrzymał Mikę. - Przychodzi tu niemal co dzień. Można powiedzieć, że

podnosi nam klasę. Łapie za guzik wszystkich naszych gości i wygłasza kazania, jak to każda kobieta decydująca się na aborcję będzie się smażyć w piekle, a te naprawdę złe, na przykład Susan Day, płonąć będą na wieki w jeziorach ognia. Tylko nie mogę zrozumieć, skąd się pan wziął w tym obrazku, panie Roberts.

- Chyba takie już moje szczęście.

- Dobrze się czujesz, Ralph? - zainteresował się nagle Leydecker. - Jakoś blado mi wyglądasz.

- Nieźle. - Ale wcale nie czuł się nieźle. W rzeczywistości cierpiał na ciężki przypadek mdłości.

- Co do „nieźle” to nie chcę się wypowiadać, ale z pewnością masz szczęście. Masz szczęście, że te kobiety dały ci gaz, i masz szczęście, że miałeś go akurat przy sobie. Największe zaś szczęście, że Pickering nie zaszedł cię po prostu od tyłu i nie wbił ci noża w kark. Może wpadłbyś teraz do komisariatu i złożył formalne zeznanie?

Ralph zerwał się nagle z antycznego fotela obrotowego Mike'a i skoczył przez pokój. Lewą ręką zasłaniał usta, prawą sięgnął do drzwi w rogu biura, modląc się, by nie były to drzwi szafy, bo gdyby były, wypełniłby kalosze Mike'a przetrawioną częściowo kanapką z serem i mocno zużytą zupą pomidorową.

Dzięki Bogu okazało się, że jest to dokładnie to pomieszczenie, którego szukał. Padł na kolana przy muszli i zwymiotował

z zamkniętymi oczami i lewą dłonią przyciśniętą do dziury, którą wywiercił mu w boku Pickering. Mimo wszystko ból, kiedy jego mięśnie najpierw skurczyły się, a potem rozluźniły, był nieznośny.

- Rozumiem, że odpowiedź brzmi „nie”. - Mikę Hanlon położył mu ciepłą dłoń na karku. - Nic panu nie jest? Rany nie zaczęły krwawić?

- Nie sędzę - odparł Ralph, odpinając koszulę. Przerwał nagle, żołądek zbuntował mu się raz jeszcze. Kiedy skończył, przycisnął dłoń do boku, a potem podniósł ją i dokładnie obejrzał. Opatrunek najwyraźniej spełniał swe zadanie. - Wygląda na to, że wszystko w porządku.

No i doskonale. - Leydecker pojawił się za bibliotekarzem. - Skończyłeś?

- Chyba tak. Tak. - Zawstydzony Ralph spojrzął na

Mike'a. - Bardzo przepraszam.

- Niech pan nie będzie głupi. - Mikę pomógł mu dźwignąć się na równe nogi.

- Dobra - odezwał się Leydecker. - Podwiozę cię do domu. Jutro będzie aż za dużo czasu na zeznanie. Potrzebny ci tylko spokojny odpoczynek do wieczora... i dobrze przespana

noc.

- Nic nie dorówna dobrze przespanej nocy - zgodził się Ralph. Dotarli już do drzwi gabinetu Mike'a. - Nie zechciałby pan puścić mojego ramienia, detektywie Leydecker? Przecież jeszcze ze sobą nie chodzimy.

Leydecker wydawał się zaskoczony, ale puścił Ralpa. Mikę roześmiał się wesoło.

- Nie chodzimy... na stałe... To się panu udało, panie Roberts!

Leydecker zdobył się wreszcie na uśmiech.

- Chyba rzeczywiście jeszcze nie, ale jeśli chcesz, mimo to możesz mi mówić Jack. Albo John. Byle nie Johnny. Od śmierci matki jedyną osobą, która mówi mi Johnny, jest stary profesor McGovern.

Stary profesor McGovern, pomyślał Ralph. Jak to dziwnie brzmi.

- Dobrze, niech będzie John. A wy obaj, panowie, możecie mi mówić Ralph. Jeśli o mnie chodzi „Pan Roberts” zawsze będzie tym przedstawieniem z Broadwayu, w którym grał Henry Fonda.

- Doskonale! - ucieszył się Mikę Hanlon. - Dbaj o siebie, dobrze?

- Spróbuję. - Ralph zatrzymał się nagle w pół kroku. - Słuchaj, muszę ci za coś podziękować i nie dotyczy to pomocy, której mi dziś udzieliłeś.

Brwi Mike'a podjechały wysoko w górę.

- Podziękować?

- A tak. Zatrudniłeś Helen Deepneau. Lubię ją bardziej niż wielu innych ludzi, a ona bardzo potrzebowała tej pracy. Więc dziękuję.

Mikę uśmiechnął się i skinął głową.

- Kwiaty przyjmę z przyjemnością, ale tak naprawdę to ona zrobiła mi grzeczność. Jest zbyt wykształcona jak na tę pracę, ale miałem wrażenie, że bardzo chce pozostać w mieście.

- Ja także, a ty jej to umożliwiłeś. Jeszcze raz dziękuję. Mikę uśmiechnął się.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Kiedy po drodze do wyjścia minęli pulpit biblioteczny, Leydecker spytał Ralpa:

- Plaster miodu pomógł, prawda?

Zrazu Ralph nie miał zielonego pojęcia, o czym on mówi - równie dobrze mógłby zadać to pytanie w esperanto.

- Na bezsenność - przypomniał mu cierpliwie policjant. - Nie masz już kłopotów z bezsennością? Tak, na pewno... wyglądasz o wiele, wiele lepiej niż tego dnia, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- Rzeczywiście, czułem się wtedy raczej kiepsko. - Ralph przypomniał sobie stary dowcip BiUy'ego Cryrtala o Fernandzie, którego pointa brzmiała mniej więcej tak: „Słuchaj, kochanie, może jestem szmondak, ale nie chodzi o to, jak się czujesz, tylko o to, jak wyglądasz. A wyglądasz... cuuud dziewczyna!”

- A dziś to niby czujesz się super, co? Daj spokój, Ralph, przecież wiesz, z kim rozmawiasz, więc się nie wygłupiaj. To dzięki plasterowi miodu, prawda?

Ralph udał, że myśli, po czym skinął głową.

- Tak. Chyba pomógł mi właśnie plaster miodu.

- Wspaniale! A nie mówiłem? - ucieszył się Leydecker. Ramię przy ramieniu przebijali się przez deszcz.

Czekali na zielone światło na szczycie Milowego Podejścia, kiedy Ralph zwrócił się do Leydeckera i spytał, jakie są szanse skazania Eda jako współnika Charliego Pickeringa.

- Przecież Ed go do tego nakłonił. Jestem tego tak pewien, jak że mijamy właśnie park Strawforda.

- Najprawdopodobniej masz rację - odparł Leydecker - ale nie oszukuj się. Szansę, że oskarżymy go o współudział, są zerowe. I nie byłyby wiele lepsze, nawet gdyby prokurator hrabstwa nie był tak konserwatywny jak Dale Cox.

- Niby dlaczego?

- Po pierwsze, wątpię, czy udałoby się nam znaleźć dowody łączące ich obu. Po drugie, ludzie pokroju Pickeringa są na ogół wyjątkowo lojalni w stosunku do tych, których uznają za przyjaciół, a to dlatego, że mają ich niewielu. Ich świat składa się głównie z wrogów. Nie wierzę, by podczas procesu Charlie powtórzył choć słowo z tego, co mówił, kiedy łachotał cię w zebra czubkiem noża. Po trzecie, Ed Deepneau nie jest idiotą. Szaleńcem, owszem. Jeśli bliżej się temu przyjrzeć, być może gorszym niż Pickering. Ale nie idiotą. Do niczego się nie przyzna.

Ralph skinął głową. Całkowicie podzielał tę opinię.

- Gdyby nawet Pickering powiedział, że to Deepneau rozkazał mu znaleźć cię i załatwić, bo jesteś jednym z tych morderców dzieci, złodziejów płodów, wstrętnym centurionem, Ed uśmiechnąłby się tylko, skinął głową i stwierdził: „Oczywiście, panowie, ten biedny Charlie tak wam powiedział i może nawet tak myśli, ale przecież nie czyni to prawdą ani jego słów, ani myśli”.

Zaświeciło zielone światło. Leydecker wjechał na skrzyżowanie i skręcił w lewo, w Harris Avenue. Wycieraczki poruszały się szybko. Z okna po stronie pasażera przesłonięty smugami deszczu park Strawforda wyglądał jak fatamorgana.

- I co, co byśmy na to odpowiedzieli? - mówił dalej Leydecker. - Fakt, że Charlie Pickering ma za sobą bardzo długą historię wyczynów doprawdy szaleńczych, a co do wariatkowa, zaliczył chyba wszystkie: Juniper Hill, Arcadia, Instytut Zdrowia Psychicznego, w Bangor... Jeśli jest jakiś pensjonat z elektrowstrząsami za darmo i wliczonymi w cenę pokoju marynarkami zapinanymi na plecach, Charlie już go najprawdopodobniej odwiedził. Dziś jego hobby to aborcja. W końcu lat sześćdziesiątych ubrał sobie coś o Margaret Chase Smith. Pisał listy do wszystkich: policji miasta Derry, policji stanowej, FBI; donosił, że jest ona rosyjskim szpiegiem. Twierdził, że ma na to dowody.

- Boże święty, przecież to absurd!

- Nie, to Charlie Pickering. Założę się, że takich jak on jest kilkunastu w każdym mieście tej wielkości w Stanach. Cholera, na całym świecie!

Ralph uniósł rękę i delikatnie dotknął bandaża na lewym boku. Pod gazą wyczuł kształt rozcięcia. Nie mógł zapomnieć powiększonych okularami piwnych oczu Pickeringa pełnych przerażenia i równocześnie ekstazy. Już przestawał wierzyć, że właściciel tych oczu omal go nie zabił. Obawiał się, że jutro zacznie myśleć o zdarzeniu w bibliotece jako o jednym z owych „snów przełomowych”, o których pisał w swojej książce doktor James A. Hall.

- Najgorsze w tym wszystkim jest co innego, Ralph. Szaleniec typu Pickeringa to narzędzie doskonałe dla kogoś takiego jak Deepneau. Jak na razie nasz bijający żonę przyjaciel może zaprzeczyć wszystkiemu. A ma czemu zaprzeczać!

Leydecker skręcił na podjazd koło domu, w którym mieszkał Ralph, i zaparkował za wielkim oldsmobile'em z plamami rdzy na pokrywie bagażnika i bardzo starą nalepką (DUKAKIS „88) - na tylnym zderzaku.

- A do kogoż to należy ten brontozaur? Do profesora?

- Nie - odparł Ralph. - To mój brontozaur.

Leydecker rzucił mu pełne niedowierzania spojrzenie, przekładając jednocześnie dźwignię biegów swego policyjnego chevroleta w położenie do parkowania.

- Jeśli masz samochód, to dlaczego tkwisz na przystanku autobusowym w ulewnym deszczu? Nie chodzi?

- Chodzi - odparł nieco sztywno Ralph, nie mając zamiaru dodawać, że tego akurat wcale nie jest taki pewny, bo nie próbował zapalić staruszka od dwóch miesięcy. - I nie tkwiłem na przystanku w ulewnym deszczu. Tam jest wiata. A wiata ma dach. I nawet ławkę. Nie założyli jeszcze telewizji kablowej, ale zaczekajmy do przyszłego roku!

- Mimo wszystko... - Leydecker podejrzliwie przyjrzał się ołdswowi.

- Ostatnie piętnaście lat życia zawodowego spędziłem za biurkiem, ale przedtem byłem komiwojazerem. Przez mniej więcej dwadzieścia pięć lat życia przejeżdżałem średnio jakieś tysiąc dwieście kilometrów tygodniowo. Kiedy przeszedłem do

drukarni, czułem, że najchętniej nigdy już nie siądę za kierownicą. A gdy umarła mi żona, nie miałem już żadnego powodu, żeby gdziekolwiek jeździć. Autobus na ogół doskonale mi wystarcza.

Wszystko to była oczywiście prawda; Ralph nie musiał się tłumaczyć, że coraz mniej ufa swojemu refleksowi i wzrokowi. Przed jakimś rokiem mniej więcej siedmioletni chłopiec wybiegł na Harris Avenue za piłką, akurat kiedy Ralph wracał samochodem z kina i choć jechał zaledwie czterdzieści kilometrów na godzinę, przez dwie nie kończące się, straszne sekundy był pewien, że przejedzie małego. Nie przejechał go, oczywiście, w gruncie rzeczy nie istniało nawet takie niebezpieczeństwo, ale od tego czasu swoje jazdy mógłby policzyć na palcach.

Nie musiał także i o tym wspominać Johnowi.

- Cóż, jeśli tak wolisz... - Leydecker machnął ręką w stronę oldsa. - Może wpadłbyś złożyć zeznanie tak o pierwszej po południu, co? Przychodzę do pracy o dwunastej, więc mógłbym, powiedzmy, zaglądać ci przez ramię. I przyniosłbym kawę, gdybyś miał ochotę na kawę.

- Zachęcające. I dziękuję, że mnie podwiozłeś.

- Nie ma za co. Jest jeszcze jedna sprawa...

Ralph uchylił już drzwi samochodu. Zamknął je teraz i odwrócił się do policjanta, unosząc pytająco brwi.

Leydecker zerknął na dłonie, poruszył się w fotelu, zmieszany, odchrząknął i wreszcie podniósł wzrok.

- Po prostu chciałem powiedzieć, że wspaniale się zachowałeś. Wielu facetów o czterdzieści lat młodszych skończyłoby tę drobną przygodę w szpitalu. Albo w kostnicy.

- Anioł Stróż chyba nade mną czuwał - odparł Ralph, przypominając sobie, jaki był zdumiony, kiedy zdał sobie sprawę, czym był ten cylindryczny kształt w kieszeni.

- Dobrze, niech będzie, że pomógł ci Anioł Stróż, ale lepiej sprawdź, czy zamknąłeś za sobą drzwi. Rozumiesz, co mówię.

Ralph uśmiechnął się i skinął głową. Zasłużona czy nie, pochwała Leydeckera mocno rozgrzała mu serce.

- Jasne, rozumiem i jeśli uda mi się wciągnąć do współpracy McGoverna, wszystko będzie dobrze.

A poza tym, pomyślał, zawsze mogę zejść na dół i sprawdzić, czy drzwi są zamknięte, kiedy tylko się obudzę. Czyli w jakieś dwie i pół godziny po zaśnięciu, sądząc z tego, jak sprawy układały się do tej pory.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił go Leydecker. - Tam, gdzie pracuję, nikt nie był szczęśliwy, kiedy Deepneau właściwie zaadoptował „Przyjaciół Życia”, ale trudno powiedzieć, że kogokolwiek to zaskoczyło. W końcu to atrakcyjny i charyzmatyczny gość. To znaczy, jeśli trafi się akurat na dzień, w którym nie zdarzyło mu się pomylić żony z workiem treningowym. Ralph tylko skinął głową.

- No i widzieliśmy przecież wielu takich jak on i wszyscy zniszczyli się sami. Autodestrukcja. Z Deepneau proces ten już się zaczął. Stracił żonę, stracił pracę... Wiedziałeś o tym?

- Aha. Helen mi powiedziała.

- A teraz traci co bardziej umiarkowanych zwolenników. Wykruszają się jak myśliwce wracające do bazy z braku paliwa., Eda to oczywiście nie dotyczy, Ed będzie robił swoje, choćby samo piekło otwarło mu się pod stopami. Moim zdaniem, utrzyma przynajmniej część grupy do przyjazdu Susan Day, ale potem zostanie sam jak palec.

- A czy jesteś świadom tego, że w piątek może czegoś spróbować? Że może zaatakować Susan Day?

- Och, tak. Oczywiście, że jesteśmy tego świadomi. Z całą pewnością jesteśmy.

8

Ralph z ulgą i radością stwierdził, że drzwi frontowe zostały tym razem przyzwoicie zamknięte. Uchylił je tylko na moment, wślizgnął się do domu, zamknął i podszedł do schodów, które dziś wydały mu się dłuższe i znacznie bardziej mroczne niż kiedykolwiek.

Mieszkanie sprawiało wrażenie nazbyt cichego mimo monotonnego stuknięcia uderzających o dach kropel deszczu, w powietrzu zaś unosił się zapach zbyt wielu nie przespanych nocy. Ralph przysunął sobie jeden z kuchennych stołków, wspiął się nań i zajrzał na wierzch najbliższej zlewu szafki. Zachowywał się tak, jakby oczekiwał, że znajdzie na niej inny - oryginalny, ten który położył właśnie tutaj po spotkaniu z Helen i Gretchen! - pojemnik z gazem. Właściwie to nawet trochę się tego spodziewał. Ale nie znalazł nic oprócz wykałaczkę, starego bezpiecznika i mnóstwa kurzu.

Ostrożnie zszedł ze stołka, dostrzegł, że zostawił na nim ślad ubłoconego buta, i dokładnie wytarł go papierowym ręcznikiem. Odstawił stołek tam, skąd go wziął. Poszedł do dużego

pokoju. Stał w drzwiach, patrząc na wysiedzianą kanapę obitą materiałem w

kwiatki, fotel oraz stary telewizor, który stał na dębowym stole pomiędzy dwoma oknami wychodzącymi na Harris Avenue. Z telewizora przeniósł wzrok w przeciwny kąt pokoju. Kiedy wczoraj tu wszedł, zirytowany z powodu otwartych drzwi frontowych, na chwilę wziął wiszącą na wieszaku marynarkę za intruza. No, nie ma co ukrywać - przez tę chwilę był pewien, że Ed Deepneau zdecydował się złożyć mu wizytę.

Ale *przecież* nigdy, nigdy nie wiem marynarki. Ten mój nawyk - mam nadzieję, że jako jeden z niewielu - zawsze szczerze irytował Carolyn. Jeśli nigdy nie zdołałem powiesić marynarki, kiedy jeszcze żyła, to z pewnością nie zacząłem jej wieszać po jej śmierci. Nie, to nie ja powiesiłem marynarkę na wieszaku.

Przeszedł przez pokój. Po kolei wyjmował wszystko, co znalazł w kieszeniach starej skórzanej marynarki i układał na telewizorze. W lewej nie było nic oprócz starych plastrów - do jednego przykleił się kawałek bandaża - prawa za to okazała się prawdziwą kopalnią skarbów, nawet bez pojemnika z gazem. Cytrynowy drops w sreberku, pognieciona reklamówka pizzerii „JDerry House”, kartonik po szarlotce od McDonalda, baterijka-paluszek, karta dyskontowa z wypożyczalni wideo - jeszcze cztery dziurki i miałby prawo do darmowej kasy (karta znikła w tajemniczych okolicznościach przeszło dwa tygodnie temu, był pewien, że stracił ją bezpowrotnie), pudełko zapalek, strzępy plastikowych opakowań i... zwinięty kawałek niebieskiego papieru w linie.

Ralph rozwinął go i przeczytał jedno zdanie, napisane nieczytelnym, niepewnym charakterem pisma starego człowieka: *Wszystko co robię robię pośpiesznie by móc zrobić co innego.*

Nic więcej na tej kartce nie było, ale to, co było, doskonale spełniło zadanie racjonalnego dowodu na to, o czym jego serce wiedziało od dawna: kiedy wracał z „Ostatnich Kartek” z dwoma westernami w rękę, Dorrance Marstellar siedział na stopniach ganku, ale nim usiadł na stopniach i rozpoczął oczekiwanie na jego powrót, wykonał pewne zadanie. Wszedł mianowicie do mieszkania Ralpha, zdjął pojemnik z gazem z wierzchu kuchennej szafki przy zlewie i włożył go do prawej kieszeni jego starej skórzanej marynarki. Zostawił nawet wizytówkę: fragment wiersza na kartce wyrwanej prawdopodobnie z wygniecionego notatnika, w którym zapisywał czasami starty

i lądowania na pasie nr 3. Potem, zamiast odłożyć marynarkę tam, gdzie akurat rzucił ją Ralph, Stary Dor schludnie powiesił ją na wieszaku. Dokonawszy tego

(co się stało, to się nie odstanie)

wrócił na ganek, usiadł i czekał.

Poprzedniego wieczora McGovernowi dostało się od Ralpha za otwarte drzwi. Zniósł

to po męsku, tak jak sam Ralph znosił gderanie Carolyn z powodu marynarki rzuconej na najbliższe krzesło, kiedy powinna znaleźć się na wieszaku. Lecz teraz zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie napadł na Billa niesprawiedliwie. Może Stary Dor otworzył drzwi szpilką... albo czarami. Biorąc pod uwagę okoliczności, czary wydawały się znacznie prawdopodobniejsze, bo...

- Bo zobacz... - powiedział cicho Ralph, machinalnie zbierając śmieci z telewizora i ładując je do kieszeni - ...przecież on musiał wiedzieć nie tylko, że będę potrzebował gazu, ale także gdzie go znaleźć i gdzie go włożyć.

Zimny pot spłynął mu zygzakami po kręgosłupie, umysł zaś natychmiast spróbował zapomnieć o całej sprawie, nazwać ją szaleństwem, głupotą, czymś, co zdolny jest wymyślić tylko ktoś z przypadkiem bezsenności klasy „A”. No, być może. Ale nie wyjaśnia to przecież sprawy karteczki z linijką wiersza!

Jeszcze raz przeczytał słowa wypisane na skrawku niebieskiej kartki w linii: *Wszystko co robię robię pośpiesznie by móc zrobić co innego*. To nie był jego charakter pisma, tak jak „Cmentarne noce” nie były jego książką.

- Tylko że teraz to moja książka, Dor mi ją dał - powiedział Ralph i pot strużką spłynął mu po plecach jak deszcz po szybie.

Przychodzi ci do głowy jakieś inne wyjaśnienie? Pojemnik sam nie wpadł ci do kieszeni. I ta kartka z notatnika też.

Znów to uczucie, że niewidzialne ręce wpychają go do ciemnego tunelu... Ralph miał wrażenie, że śni. Wrócił do kuchni. Po drodze zdjął SZarą marynarkę i automatycznie rzucił ją na oparcie kanapy. Stał w drzwiach przez długą chwilę, nieruchomym wzrokiem wpatrując się w kalendarz ze zdjęciem dwóch roześmianych chłopców, wycinających z dyni przerażającą maskę. Patrzył na jutrzejszą datę, na datę, którą sam zakreślił.

„Odwołaj wizytę u faceta od igieł”, powiedział mu Dorrance. Taką przekazał mu wiadomość, a to, co zdarzyło się dzisiaj, tylko podkreśliło jej wagę. Nie, nie podkreśliło. Cholera, już raczej oświetliło jak latarnia!

W książce telefonicznej znalazł numer telefonu i wykręcił go.

- Tu gabinet doktora Jamesa Roya Honga - poinformował go miły kobiecy głos. - Ponieważ w tej chwili nikt nie może przeprowadzić z panem/panią rozmowy, proszę zostawić wiadomość po usłyszeniu sygnału. Skontaktujemy się z panem/panią, gdy tylko będzie to możliwe.

Rozległo się piśnienie. Głosem, którego spokój zdumiał jego samego, Ralph powiedział:

- Mówi Ralph Roberts. Jestem zapisany na wizytę jutro, na godzinę pierwszą. Strasznie przepraszam, ale niestety nie będę mógł przyjść. Coś mi wypadło. Do widzenia. - Przerwał, a potem dodał: - Oczywiście zapłacę honorarium.

Zamknął oczy, po omacku odłożył słuchawkę i oparł się czołem o ścianę.

Co ty wyprawiasz, Ralph? Na miłość boską, co ty wyprawiasz?

Długa jest droga do raju, kochanie.

Nie myślisz chyba na serio tego, co myślisz... prawda?

...długa jest droga, więc nie przejmuj się drobnymi przeszkodami.

A co ty właściwie myślisz, Ralph?

Nie wiedział. Nie miał zielonego pojęcia. Chyba myślał coś o losie... i umówionych wizytach w Samarze. Pewny był jedynie tego, że ból promieniujący z dziury, którą wywiercił facet od noża, ogarnia powoli całe jego ciało. Od sanitariusza dostał kilka pastylek przeciwbólowych; pewnie powinien wziąć jedną, ale jest zbyt zmęczony, by podejść do zlewu i nalać sobie szklankę wody... a jeśli jest zbyt zmęczony, by przejść przez gówniany mały pokoik, to jak przebrnie przez długą drogę do raju?

Nie miał pojęcia i na razie się tym nie przejmował. Pragnął tylko stać, gdzie stał, z czołem przyciśniętym do ściany i zamkniętymi oczami. Stać i na nic nie patrzeć.

Rozdział 8

Plaża wyglądała jak długa biała wstążka, jak jedwabna lamówka na szerokiej niebieskiej sukni oceanu i nie było na niej nic z wyjątkiem okrągłego przedmiotu, odległego o jakieś siedemdziesiąt metrów. Przedmiot ten miał rozmiary mniej więcej piłki do koszykówki i napełniał Ralpha przerażeniem. Wielkim i - przynajmniej na razie - nieuzasadnionym.

Nie zbliżaj się do niego, powiedział sobie. Jest w nim coś złego. Coś naprawdę złego. To czarny pies wyjący do księżyca w pełni, krew na umywalce, kruk siedzący na popiersiu Pallas Ateny tuż przy drzwiach mej komnaty. Nie chcesz do niego podejść, Ralph, i nie musisz do niego podejść, bo to jeden z żywych snów Joego Wyzera. Możesz się obrócić na drugi bok i pośnić sobie coś innego.

Tylko że stopy poniosły go w kierunku tego przedmiotu, więc być może nie był to jednak sen żywy, lecz tylko nieprzyjemny, nawet bardzo nieprzyjemny. Bo im bardziej zbliżał się do tego przedmiotu, tym mniej przypominał on piłkę do koszykówki.

Był to z całą pewnością najbardziej realistyczny sen, jakiego Ralph kiedykolwiek doświadczył, to zaś, iż zdawał sobie sprawę, że śni, wydawało się tylko podkreślać jego realizm. Poczucie „życia”. Pod stopami czuł drobny, sypki, ciepły, lecz nie gorący piasek, słyszał ciężki, basowy grzmot fal załamujących się i zalewających plażę. Na linii przyboju wilgotny zbity piach lśnił jak opalona skóra. Zapach schnących wodorostów, mocny i smutny, przypominał mu letnie wakacje, które jako dziecko spędzał w Old Orchard Beach.

Hej, przyjacielu, nie potrafisz zmienić tego snu, więc może lepiej byłoby, gdybyś przestawił dźwignię i wyrwał się z niego - innymi słowy, lepiej obudź się, i to natychmiast.

Był już w pół drogi do leżącego na plaży przedmiotu i nie miał żadnych wątpliwości, co to jest naprawdę - nie piłka, lecz głowa. Ktoś zagrzebał kogoś w piasku aż po szyję, a Ralph nagle zdał sobie sprawę, że nadszedł przypływ.

Nie wyrwał się ze snu. Zaczął biec. Kiedy tak biegł, spieniona fala dotarła prawie do głowy na plaży. Głowa otwarła usta i zaczęła wrzeszczeć. Nawet wrzeszczący, Ralph rozpoznał ten głos bez problemu, bo był to głos Carolyn.

Następna załamująca się na plaży fala obmyła włosy przylegające do mokrych policzków. Ralph biegł wiedząc, że prawie na pewno się spóźni. Przypływ był od niego szybszy. Carolyn utonie, nim on zdoła wykopać z piasku jej ciało.

Nie musisz jej ratować, Ralph. Carolyn nie żyje i nie umarła wcale na pustej plaży. Umarła w pokoju 317 szpitala w Derry. Byłeś z nią, kiedy umierała, a dźwięk, który wówczas słyszałeś, wydawały nie załamujące się fale, lecz deszcz uderzający o szyby. Pamiętasz?

Pamiętał, ale mimo to próbował pobiec jeszcze szybciej. Spod nóg tryskał mu drobny, prawie biały piasek.

Nie uda ci się nawet do niej dobiec. Przecież wiesz, jak to jest w snach. Wszystko, do czego dążysz, zmienia się w coś innego.

Nie, to nie tak było w tym wierszu. A może jednak tak? Ralph niczego już nie był pewien. Pamiętał tylko, że na końcu narrator uciekał w panice przed czymś śmiertelnie

(Kiedy oglądam się przez ramię widzę kształt)

co ścigało go przez las... ścigało go i zbliżało się.

A jednak był coraz bliżej ciemnego kształtu i kształt ten nie zmieniał się w nic innego, a kiedy padł na kolana przed Carolyn, zrozumiał, dlaczego nie od razu zdołał rozpoznać żonę, z którą przeżył czterdzieści pięć lat. Nie była to kwestia odległości. Coś niedobrego stało się z jej aurą. Aura przylegała jej do skóry jak brudna torba na śmiecie. Kiedy padł na nią jego cień, Carolyn wywróciła oczy jak koń, który złamał nogę, przeskakując przez ogrodzenie. Oddychała krótko, urywanie i za każdym oddechem wydychała z nosa strumienie szaroczarnej aury. Poszarpana wstążka balonowa wyrastająca jej z głowy miała sinoczarny kolor jęczącej się rany, a kiedy Carolyn otworzyła usta do kolejnego krzyku, wydobyła się z nich w dągliwych strumieniach nieprzyjemnie świecąca substancja, która zniknęła, nim oko zdążyło zarejestrować jej istnienie.

- Ocalę cię, Carol! - krzyknął Ralph. Padł na kolana i zaczął rozkopywać piasek jak pies odkopuje zagrzebaną kość... a kiedy tylko wyobraził sobie kopiącego psa, zdał sobie także sprawę, że za jego wrzeszczącą żoną siedzi zmęczona Rosalie, poranny ścierwojad z Harris Avenue. Otaczała ją podobna brudnoczarna aura, a pomiędzy jej łapami leżała panama Billa McGoverna, wyglądająca tak, jakby Rosalie mocno już zdążyła ją zużyć.

A więc tu się znalazł ten cholerny kapelusz, pomyślał Ralph, odwrócił się z powrotem do żony i zaczął kopać jeszcze szybciej. Jak na razie nie udało mu się odsłonić nawet jednego ramienia.

- Nie przejmuj się mną! - krzyknęła na niego Carolyn. - Ja już nie żyję, pamiętaj! Uważaj na ślady białego człowieka! Uwa...

Fala, butelkowiezielona pod spodem i biała niczym mydlana piana na wierzchu, *załamała* się niespełna trzy metry od nich. Zmroziła Ralphowi jądra lodowatą wodą, na moment przykryła głowę jego żony pianą i niesionym z nią brudem. Kiedy się cofnęła, Ralph

podniósł oczy do nieba i wydał z siebie pełen przerażenia wrzask. Cofająca się fala w kilkanaście sekund dokonała tego, na co naświetlania potrzebowały miesiąca: pozbawiła Carolyn włosów, uczyniła ją łysą! A czubek głowy w miejscu, z którego wychodziła wstążka, zaczął się wybrzuszać.

- Carolyn, nie! - zawył, kopiąc jeszcze szybciej. Mokry piasek nieprzyjemnie ciążył mu w dłoniach.

- Nie przejmuj się - powiedziała Carolyn. Chmurki szaroczarnego dymu wydobywały się jej z ust za każdym słowem, jak z fabrycznego komina. - To tylko guz mózgu, nie operacyjny guz mózgu, więc właściwie nie masz się czym przejmować. Do diabła, długa jest droga do raju, więc nie przejmuj się drobiazgami, dobrze? Tylko uważaj na ślady białego...

- Carolyn, nie mam pojęcia, o czym mówisz! Nadeszła kolejna fala, zmoczyła go do pasa i całkiem zalała

jego żonę, a kiedy się cofnęła, wybrzuszenie na czubku jej głowy zaczęło się otwierać.

- Wkrótce się dowiesz - odparła Carolyn i wybrzuszenie otwarło się z odgłosem młotka uderzającego w surowe mięso. W czyste, pachnące solą powietrze buchnęła chmura krwi.

z ciała zaś wybiegły czarne robaki wielkości karaluchów. Ralph nigdy jeszcze nie widział czegoś podobnego - nawet we śnie - a to, co zobaczył, nappełniło go histerycznym wręcz obrzydzeniem. Uciekłyby, i pal diabli Carolyn, gdyby nie to, że zamarł w bezruchu, zbyt zaskoczony, by mrugnąć, nie mówiąc już o zerwaniu się na równe nogi i biegu.

Część robaków przez usta wróciła do ciała Carolyn, lecz większość zbiegła na mokry piasek po jej policzku. Oskarżającymi, nieludzkimi ślepkami wpatrywały się w Ralpha. Miał wrażenie, że mówią: „To wszystko twoja wina! Mogłeś ją uratować, Ralph, i gdybyś był lepszym człowiekiem, z pewnością byś ją uratował”.

- Carolyn! - krzyknął Ralph, wyciągnął ręce i natychmiast je cofnął, tak bardzo bał się robali nadal wydobywających się z jej głowy. Rosalie, siedząca w otoczce swej własnej czerni, przyglądała mu się uważnie, teraz już trzymając w pysku nadgryzioną panamę Billa.

Jedno z oczu Carolyn wypadło jej z głowy. Leżało na piasku jak porcja galarety z jagód. Z oczodołu wybiegły czarne robale.

- Carolyn! - krzyknął Ralph. - Carolyn! Carolyn! Ca...

- ...rolyn. Carol...

Nagle, właśnie w chwili, w której zdał sobie sprawę, że już nie śpi, Ralph zdał sobie także sprawę z tego, że spada. Zanim doszło to do jego świadomości, z hukiem wylądował na podłodze koło łóżka. Zdołał jeszcze podeprzeć się ręką, unikając prawdopodobnie mocnego

uderzenia w głowę, ale i tak aż zawył z bólu, tyle że pulsującego pod bandażem na lewym boku. Przez chwilę jednak nie czuł tego bólu, tylko strach, obrzydzenie i straszny, ostry żal... a przede wszystkim wielką, wszechogarniającą wdzięczność. Koszmar - najgorszy z wszystkich jego dotychczasowych koszmarów - skończył się, zastąpiony przez rzeczywistość.

Obciągnął porozpinaną aż do ostatniego guzika piżamę, poszukał na bandażu śladów krwi i nie znalazł ich. Usiadł. To wyczerpało do reszty jego siły. Sama myśl o tym, że powinien wstać przynajmniej po to, by znów paść na łóżko, okazała się nieznośna. Nie teraz. Może wystarczy poczekać, aż uspokoi się walące niczym pneumatyczny młot serce.

Czy koszmar może zabić? - spytał sam siebie i w odpowiedzi usłyszał głos Joego Wyzera. „Możesz się założyć, że tak, Ralph, choć patolodzy nazywają to w końcu w raportach samobójstwem”.

Trzęsąc się na wspomnienie koszmaru i siedząc na podłodze z podciągniętymi pod brodę kolanami, które obejmował prawym ramieniem, Ralph nie miał żadnych wątpliwości, że są kosmary zdolne zabić. Szczegóły tego akurat zaczęły się już powoli zacierać, ale nadal aż za dobrze pamiętał jego kulminację: jakby łomot młota spadającego na surowe mięso, fala obrzydliwych robali wylewająca się z głowy Carolyn. Były tłuste, tłuste i żywotne. Bo i czemu nie? Żywiły się w końcu mózgiem jego zmarłej żony.

Ralph jęknął ochryple, cicho. Lewą dłoń przetrął twarz; gestowi temu towarzyszyła nowa fala bólu spod bandażu. Palce miał śliskie od potu.

Na co dokładnie Carolyn kazała mu uważać? Na trupy białego człowieka? Nie, tropy białego człowieka. Tropy białego człowieka, cokolwiek to jest. Było w tym śnie coś jeszcze? Może tak, może nie. Nie pamiętał dokładnie. I co z tego? Przecież to tylko sen, na litość boską, tylko sen! Jedynie w szmatławcach z supermarketów sny mają jakieś znaczenie, w rzeczywistości nie znaczą nic i niczego nie dowodzą. Kiedy człowiek zasypia, jego umysł zmienia się w coś w rodzaju poszukiwacza okazji na pchlim targu, który przeglądając zawartość pudeł z przeważnie bezwartościowymi wspomnieniami, szuka nie tego, czego szukać warto, lecz tego, co ciągle jeszcze błyszczy i lśni. Układa to później w szalone kompozycje, czasami rzeczywiście uderzające, lecz na ogół niewiele bardziej sensowne niż rozmowa z Natalie Deepneau. W jego dramacie pojawiła się nawet stara Rosalie i - w roli drugoplanowej - panama Billa McGoverna. Co nie znaczyło nic... oprócz tego, że jutro na noc nie weźmie pigułki z tych ofiarowanych mu przez sanitariusza, nawet gdyby ramię miało mu odpaść. Jedną wzięła już podczas nocnych wiadomości i nie tylko nie przedłużyła mu snu, na co miał nadzieję - więcej, na co liczył - lecz najpewniej miała też udział w wywołaniu tego koszmaru.

Ralph zdołał wreszcie zebrać się z podłogi. Usiadł na krawędzi łóżka. Zakręciło mu się w głowie, ciemność ogarnęła go jak jedwab spadochronu. Zamknął oczy czekając, aż słabość minie. Siedząc tak z zamkniętymi oczami i opuszczoną głową, wymacał wyłącznik lampy przy łóżku i zapalił ją. Kiedy znów otworzył oczy, oświetlona jej blaskiem sypialnia była bardzo jasna i bardzo rzeczywista.

Spojrzał na stojący przy lampie zegarek. Za dwanaście druga, a on jest już najzupełniej rozbudzony i całkiem rzeński, mimo zażycia środka przeciwbólowego. Wstał, powoli poszedł do kuchni, nastawił czajnik. Oparł się o barek, machinalnie masując bandaż pod lewą pachą - starał się złagodzić ból spowodowany najnowszą przygodą. Kiedy woda się zagotowała, zalał nią torebkę herbaty „Czar Nocy” - całkiem fajny żart, jeśli ktoś lubi takie żarty - i z filiżanką w ręku poszedł do dużego pokoju. Padł na fotel, nie włączając światła. Uliczne latarnie i słaby blask padający z sypialni zupełnie mu wystarczyły.

No, pomyślał, zająłem miejsce, środek pierwszego rzędu, więc niech się zaczyna przedstawienie.

Mijał czas. Ile go minęło, nie potrafiłby powiedzieć, ale ból w boku zelżał, a herbata prawie całkiem ostygła, kiedy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Obrócił głowę spodziewając się Rosalie, ale nie była to Rosalie. Dwaj mężczyźni wyszli na próg domu po przeciwnej stronie Harris Avenue. Nie rozpoznał koloru tego domu (pomarańczowe lampy sodowe zainstalowane przed kilkoma laty na ulicy zapewniały wprawdzie doskonałą widoczność, praktycznie uniemożliwiały jednak rozpoznanie kolorów), lecz widział, że kolor ścian różni się wyraźnie od koloru okiennic i ozdób. Był całkiem pewien, że to dom May Locher.

Dwaj mężczyźni na progu jej domu byli niscy, prawdopodobnie nie mieli więcej niż po metr dwadzieścia wzrostu. Otaczała ich chyba zielonkawa aura. Ubrani byli w identyczne białe fartuchy. Ralphowi przypomniały fartuchy lekarzy ze starych seriali szpitalnych, czarno-białych melodramatów takich jak „Doktor Kildare”. Jeden z mężczyzn trzymał coś w dłoni. Ralph zmrużył oczy. Nie widział dokładnie, ale to coś wydawało się długie i ostre. Nie zeznałby pod przysięgą, że widział nóż, ale prawdopodobnie był to właśnie nóż. Więcej niż prawdopodobnie. Prawie na pewno.

Ci mężczyźni przypominają Obcych z jakiegoś filmu o ludziach porwanych przez UFO: „Spotkań” albo „Ogni na niebie”. To była pierwsza jasna myśl, która nasunęła mu się w związku ze sceną na ulicy. A potem pomyślał, że zasnął w tym cholernym fotelu i nawet tego nie zauważył.

Słusznie, Ralph. Jeszcze ociupinka tego twojego pchlego targu, a wszystkiemu będzie najprawdopodobniej winien wstrząs spowodowany raną plus ten cholerny środek

przeciwbólowy.

Postaci stojące na progu domu May Locher wcale nie wydały mu się groźne - groźne było tylko długie ostre narzędzie w ręku jednej z nich. Ale chyba nawet śniący umysł nie wydobydzie wiele z dwóch *małych łysych* facedków w białych szatach, którzy przypominają statystów pozostałych na planie filmowym już po usunięciu dekoracji. Zwłaszcza jeśli nie zachowują się oni podejrzanie, nie rozglądają się wokół trwożliwie, tylko tkwią w progu domu, jakby mieli wszelkie prawa tam tkwić w najcichszej i najciemniejszej godzinie nocy. Sposób w jaki stali, obrócenie twarzami do siebie, a także ruchy ciał i wielkich łysych głów sugerowały, że oto dwaj przyjaciele rozmawiają sobie spokojnie i poważnie. Ci mali ludkowie sprawiali wrażenie myślących, inteligentnych; tacy kosmici, którzy powiedzą raczej: „Przybyliśmy w pokoju”, niż porwą swą ofiarę, wsadzą jej sondę w tyłek i będą obserwować jej reakcję.

Dobra, dobra, więc może ten twój nowy sen wcale nie jest koszmarem? Biorąc pod uwagę poprzedni... masz zamiar się skarżyć?

Nie, nie, wcale nie miał zamiaru się skarżyć. Spadanie z łóżka na podłogę raz na noc wystarczy, wielkie dzięki. Było jednak w tym śnie coś wyjątkowo niepokojącego. Tkwił jakby w rzeczywistości, inaczej niż sen o Carolyn. W końcu przecież siedzi w swoim własnym pokoju, a nie błądzi po jakiejś niesamowitej pustej plaży, której nie widział nigdy przedtem. Siedzi w tym samym fotelu, w którym siaduje co noc, w lewej dłoni trzyma filiżankę herbaty, teraz już niemal zimnej, a kiedy podnosi palec do nosa - właśnie tak jak to robi teraz - pod paznokciami czuje słaby zapach mydła... „Irish Spring”, którego lubi używać pod prysznicem...

Ralph sięgnął nagle pod lewą pachę. Przycisnął palcem bandaż. Ostry ból pojawił się natychmiast... Dwaj łysi faceci nadal stali jednak na progu i wcale nie zamierzali rozplątać się w powietrzu.

Nie ma znaczenia, co czujesz, Ralph. To, co czujesz, nie może mieć znaczenia, bo...

- Pieprz się, stary - powiedział cichym, ochrypłym głosem. Wstał z fotela, odstawiając jednocześnie filiżankę na

niski stoliczek obok. „Czar Nocy” chlapanął na magazyn z programem telewizji. - Pieprz się, stary! To wcale nie jest sen!

Powiewając polami piżamy i kłapiąc starymi kapciami, Ralph z dużego pokoju pośpieszył do kuchni. Z miejsca, w które ugodził go Charlie Pickering, ból rozchodził się falami po całym jego ciele. Złapał taboret i zaniósł go do małego przedpokoju, wyposażonego w szafę. Otworzył ją, włączył światło i wspiął się na stołek, by móc sięgnąć na najwyższą

półkę.

Półkę tę opanowały stare, zapomniane graty, przeważnie należące do Carolyn. Były to głównie drobiazgi, właściwie śmieci, lecz dzięki nim pozbył się ostatnich złudzeń, że śni. Znalazł tu starą torebkę M & M - jej ulubionych czekoladek, do których uciekała się zawsze, chcąc poprawić sobie humor. Znalazł tu kawałek koronki, jeden biały aksamitny pantofelek ze złamanym obcasem, album ze zdjęciami. Widok tych drobiazgów sprawiał większy ból niż zadana przez Pickeringa rana, ale nie czas myśleć o bólu.

Dla zachowania równowagi lewą ręką opierając się o półkę, prawą przekładał graty, modląc się, by kuchennemu stolikowi nie wpadło do głowy wysunąć się spod niego. Rana pod pachą dokuczała mu nieznośnie. Zdawał sobie sprawę, że jeśli wkrótce nie zaprzestanie tych gimnastycznych wyczynów, z pewnością zacznie krwawić, ale...

Jestem pewien, że musi tu gdzieś być... no... prawie pewien...

Odsunął stare pudełko na przynęty oraz wiklinowy podbierak. Za podbierakiem leżał stos magazynów, na wierzchu egzemplarz *Look* z fotografią Andy'ego Williama na okładce. Odsunął to wszystko, unosząc w powietrze chmurę kurzu. Stara torebka M & M spadła na podłogę i pękła, kolorowe kulki rozprysły się na wszystkie strony. Ralph pochylił się jeszcze bardziej. Miał nadzieję, że to tylko wyobraźnia, ale wyraźnie wyczuwał, że stołek staje się coraz złośliwszy.

Zaledwie przemknęło mu to przez głowę, stołek skrzypnął i powoli zaczął się przesuwac po parkiecie. Ralph zignorował zagrożenie, zignorował ból w boku, zignorował głos powtarzający mu, że powinien przestać, doprawdy powinien już przestać, bo przecież śni na jawie, Hall w swej książce twierdził, że zdarza się to większości ludzi cierpiących na bezsenność, i choć ci mali faceci po przeciwnej stronie ulicy nie istnieją, on może rzeczywiście stać na tym przesuwającym się powoli taborecie, może naprawdę złamać sobie biodro, spadając z niego, i jak wytłumaczy ten fakt, kiedy jakiś cwany doktorek z izby przyjęć zapyta go, co mu się właściwie stało?

Stękając z wysiłku, sięgnął w sam kąt półki, odsunął karton, z którego sterczał wierzchołek bożonarodzeniowej choinki niczym dziwny, porośnięty ostrymi wypustkami peryskop (strącając przy tym na ziemię aksamitną wieczorową szpilkę bez szpilki) i tuż przy ścianie zobaczył wreszcie to, czego szukał, futerał z zeissowską lornetką w środku.

Zszedł ze stołka tuż-tuż przedtem, nim uciekł spod jego stóp, przysunął go z powrotem do szafy i znów nań wszedł. Lornetka skryła się w samym kącie, chwycił więc siatkę na pstrągi leżącą obok starego pudełka na przynęty od Bóg wie ilu lat. Nakrył nią lornetkę już za drugim razem, przyciągnął do siebie, złapał pasek futerału... i schodząc ze

stołka nadepnął wprost na aksamitny pantofelek. Omal nie skręcił sobie nogi w kostce - zatoczył się, jak wiatrak machając ramionami, by utrzymać równowagę i udało mu się nie rąbnąć nosem w ścianę. Wrócił do dużego pokoju. Pod bandażem czuł ciepło. A jednak coś mu się udało: otworzyć ranę po nożu. Cudownie. Wspaniała noc, *chez Roberts...* a właściwie jak długo był pan z dala od okna? Oczywiście, Ralph nie miał najmniejszego pojęcia, na jak długo oddalił się od okna, ale czuł, że na dość długo - z pewnością mali łysi doktorkowie zdążyli już zniknąć z ulicy. Ulica będzie pusta i...

Zatrzymał się jak wrośnięty w ziemię; futerał lornetki kołysał się na pasku i rzucał na podłogę, gdzie niczym warstwa obrzydliwej farby padał na nią blask sodowych lamp - trapezoidalny cień.

Mali łysi doktorkowie? Czy tak właśnie pomyślał o nich przed chwilą? Ależ oczywiście, bo oni tak ich nazywali - ludzie twierdzący, że zostali przez nich porwani... badani... w niektórych przypadkach także operowani. Lekarze z kosmosu, proktolodzy z przestrzeni. Nie, nie ma w tym nic złego... Gorzej, że...

Ed użył właśnie tych słów, pomyślał. Tego dnia, kiedy zadzwonił i ostrzegł, żeby trzymał się z dala od niego i jego spraw. Powiedział, że to doktorek wtajemniczył go w istnienie Karmazynowego Króla, centurionów i całej reszty.

- Tak - szepnął. Na karku wystąpiła mu gęsia skórka. - Właśnie tak. „Doktorek mi powiedział. Mały łysy doktorek”.

Dotarł wreszcie do okna i przekonał się, że obcy nie znikli - tyle że podczas gdy szukał lornetki, spod domu May Locher przenieśli się na ulicę. Stanęli dokładnie pod jedną z tych cholernych sodowych lamp. Poczucie, że Harris Avenue jest dekoracją teatralną opuszczoną po przedstawieniu, wróciło do Ralpa ze zdumiewającą, niesamowitą wręcz siłą... miało teraz jednak nieco inne znaczenie. Bo przecież scena nie była już tak całkiem opuszczona, prawda? Rozpoczęła się jakaś złowroga sztuka w sam raz na martwy sezon po północy, rozpoczęła się w teatrze, który te dwa dziwne stwory tam, na ulicy, uważały z pewnością za całkowicie opustoszały.

Co by zrobili, gdyby się zorientowali, że jednak mają widownię? Co by mi zrobili?

Łysi doktorkowie sprawiali teraz wrażenie ludzi, którzy już niemal doszli do porozumienia. W tej chwili, mimo fartuchów, w oczach Ralpa wcale nie wyglądali na lekarzy - już raczej na robotników, którzy skończyli właśnie zmianę w fabryce. Dwaj faceci, najwyraźniej kumple, zatrzymali się na moment przed bramą, by skończyć rozmowę tak ważną, że nie chcą zwlekać z jej zakończeniem nawet chwili potrzebnej na dojście do najbliższego baru. Jakby doskonale zdawali sobie sprawę, że na załatwienie sprawy starczy

minutka, starczy zaledwie parę słów.

Ralph wyjął lornetkę z futerału, podniósł ją do oczu i... stracił kilka chwil, bawiąc się pokrętem ustawienia ostrości, nim zdał sobie sprawę, że nie zdjął nakładek na soczewki. Naprawił błąd i tym razem dostrzegł obie postaci - nadal stojące bezpośrednio pod latarnią - wielkie i doskonale oświetlone, ale nieostre. Ustawił ostrość, wreszcie dostrzegł doktorków wyraźnie i... przestał oddychać.

Przyglądał się im bardzo krótko, może trzy sekundy, kiedy jeden z mężczyzn (jeśli w ogóle byli to mężczyźni) skinął głową i klepnął przyjaciela po ramieniu. Potem odwrócili się obaj i Ralphowi pozostało już tylko obserwować ich łyse głowy i gładkie białe fartuchy. Patrzył na nich najwyżej trzy sekundy, ale przez te sekundy dostrzegł dość, by poważnie się zaniepokoić.

Pobiegł po lornetkę z dwóch powodów, a u ich podstawy leżała oczywiście niewiara w to, że ma do czynienia ze snem. Po pierwsze, chciał być pewien, że zidentyfikuje obu „doktorków”, jeśli kiedykolwiek każą mu ich zidentyfikować. Po drugie (i do tego trudniej mu się było świadomie przyznać, choć powód ten był równie ważny jak pierwszy), pragnął zaprzeczyć niepokojącej możliwości, że ma oto do czynienia ze swoim prywatnym bliskim spotkaniem trzeciego stopnia.

Spojrzenie przez lornetkę zamiast uwolnić go od tego przekonania, jeszcze je wzmocniło. Mali łysi doktorkowie nie mieli własnych rysów twarzy. Same twarze, oczywiście, mieli - i oczy, i nosy, i usta - ale wydawały mu się one tak identyczne, jak chromowane listwy w tym samym typie i modelu samochodu. Mogli być oczywiście identycznymi bliźniakami, ale na Ralphie sprawiali raczej wrażenie dwóch sklepowych manekinów, którym na noc zdjęto peruki, a ich podobieństwo wydawało się mieć źródło nie w genetyce, lecz w zasadach produkcji masowej.

Jedyną ich szczególną cechą, którą potrafił wyodrębnić i nazwać, była nienaturalna wręcz gładkość ich skóry - żaden z nich nie miał na twarzy nawet jednej linii, nawet jednej zmarszczki. Nie mieli również żadnych widocznych pieprzyków, plam lub blizn, choć, jak przypuszczał, tego rodzaju szczegóły mogły pozostać niewidoczne nawet dla kogoś dysponującego znakomitą lornetką. I przecież patrzył na nich tak krótko! Gdyby tylko wcześniej znalazł lornetkę, gdyby nie zabawa ze stołkiem i siatką, gdyby od razu zorientował się, że na szklach są nakładki, i nie tracił czasu na zabawę z pokrętem ostrości, mógłby oszczędzić sobie części (może nawet całego) niepokoju, który odczuwał.

Sprawiają wrażenie narysowanych, pomyślał, zanim odwrócili się do niego plecami. Chyba to naprawdę mnie niepokoi. Nie identyczne łysę głowy, identyczne białe fartuchy,

nawet nie brak zmarszczek. Chodzi o to, że sprawiają wrażenie narysowanych: kółka zamiast oczu, małe różowe uszka jak zygzaki zrobione flamastrem, usta niczym namalowane akwarelami szybkimi, niemal niedbałymi pociągnięciami pędzla. Tak naprawdę nie wyglądają ani na ludzi, ani na Obcych, tylko na niedbałe rysunki czegoś... sam nie wiem czego.

Jednego tylko był najzupełniej pewien: doktorzy nr 1 i nr 2 otoczeni byli jaskrawymi aurami, które w szklach lornetki wydawały się złotozielone z ciemnymi, czerwopomarańczowymi plamkami przypominającymi iskry z ogniska. Aury sugerowały siłę i witalność, których z pewnością brakło ich płaskim twarzom bez wyrazu.

Twarze? Nie wiem, czy potrafiłbym je rozpoznać, nawet gdyby ktoś przystawił mi pistolet do głowy. Zupełnie jakby zaprojektowano je tak, żeby nikt nie zdołał ich zapamiętać. Gdyby nadal byli łysi - jasne, nie ma sprawy. Ale gdyby włożyli peruki i usiedli, maskując niski wzrost? Może... przez ten brak zmarszczek... ale chyba raczej nie. Za to aury... te złotozielone aury z płonącymi w nich czerwonymi ognikami... te aury poznałbym wszędzie. Ale coś było z nimi nie tak, prawda? Co takiego?

Odpowiedź na to pytanie pojawiła się nagle i tak łatwo, jak w lornetce pojawili się sami doktorkowie, gdy tylko zdjął nakładki ze szkieł. Obu ich otaczały jasne aury... ale żaden nie miał wstążki wypływającej z czubka bezwłosej głowy. Ani śladu wstążki.

Doktorkowie szli Harris Avenue w stronę parku Strawforda, spokojnie i niespiesznie jak dwaj przyjaciele podczas niedzielnej przechadzki. Zanim wyszli z kręgu światła lampy stojącej przed domem May Locher, Ralph opuścił lornetkę i dostrzegł to coś, co doktorek nr 1 trzymał w dłoni. Nie był to nóż, jak przypuszczał *jeszcze* przed chwilą, ale mimo wszystko czegoś takiego nie traktuje się lekko - zwłaszcza w ręku nieznanego, który wychodzi z czyjegoś domu w nocnej godzinie.

Tym czymś były długie, stalowe nożyce.

4

Poczucie, że jest popychany ku wlotowi tunelu, w którym czekają na człowieka przeróżne nieprzyjemności, powróciło, tym razem jednak towarzyszyła mu panika, choć Ralph miał wrażenie, że najnowsze i zarazem najsilniejsze pchnięcie w tym kierunku nastąpiło, kiedy spał i śnił o swej nieżyjącej żonie. Przebudziło się w nim coś, co chciało krzyczeć ze strachu; Ralph zrozumiał, że jeśli natychmiast nie opanuje tego strachu, wrzaśnie na cały głos. Zamknął oczy i oddychał głęboko, starając się za każdym oddechem wyobrazić sobie nowy artykuł spożywczy: pomidor, ziemniak, lody, brukselkę. Doktor Jamal nauczył Carolyn tej prostej techniki relaksacyjnej, która często pomagała na bóle głowy, nim zdołały rozszaleć się na serio. Nawet podczas ostatnich sześciu tygodni, kiedy guz wyrwał się już

spod kontroli, technika ta czasami

działała, a teraz ujęła w karby panikę, której on sam omal nie uległ. Serce biło mu wolniej i już nie czuł przemożnej chęci wrzasku.

Nadal oddychając głęboko i nadal myśląc

(kawalek szarlotki z gruszką i cytryną)

o jedzeniu, Ralph bardzo ostrożnie nałożył nakładki na soczewki lornetki. Dłonie wciąż mu drżały, ale był w stanie ich użyć. Kiedy wreszcie wsunął lornetkę do futerału, niezgrabnie podniósł lewą rękę i uważnie przyjrzał się bandażowi. Czerwona plama wielkości tabletki aspiryny zajmowała honorowe miejsce pośrodku nieskażonej bieli, ale nic nie wskazywało na to, by się powiększała. Dobrze.

Nie ma w tym nic dobrego, Ralph.

Zgoda, oczywiście, ale trzeba zdecydować, co się właściwie stało i co dalej robić z tym fantem. Przede wszystkim musi odłożyć (na razie) na bok sen o Carolyn i zdecydować, na czym właściwie polega reszta.

- Obudziłem się w momencie, kiedy spadłem z łóżka na podłogę - oznajmił pustemu pokojowi Ralph. - Zdaję sobie z tego sprawę i wiem, że widziałem tych facetów.

Tak. Widział ich i widział otaczające ich obu złotozielone aury. Nie on jeden zresztą. Ed Deepneau również widział przynajmniej jednego z doktorków. Ralph skłonny był postawić na to wszystko, co posiadał, gdyby wszystko, co posiadał, miało jakąkolwiek wartość. Niewiele mu jednak pomogła świadomość, że zarówno on, jak i paranoik z jego ulicy, w wolnych chwilach bijający żonę, widzieli tych samych małych łysych facecików.

A aury, Ralph - czy przypadkiem Ed nie wspomniał także o aurach?

Cóż, z pewnością nie użył tego słowa, Ralph jednak był pewien mimo wszystko, że Ed wspomniał o aurach przynajmniej dwukrotnie. „Ralph, czasami świat jest pełen kolorów” - te słowa wypowiedział w sierpniu, kiedy to John Leydecker aresztował go za drobne wykroczenie, innymi słowy za pobicie członka rodziny. Potem - w miesiąc później, podczas rozmowy telefonicznej - powiedział jeszcze: „Widzisz już kolory?”

Najpierw kolory, teraz mali łysi doktorkowie. W każdej chwili na scenie może się pojawić sam Karmazynowy Król. Dobra, odłóżmy na bok drobiazgi, jest poważniejsza sprawa - co zrobić z tym, co widziałem przed chwilą?

Odpowiedź pojawiła się niespodziewanie i poraziła go jasnością. Ralph zorientował się mianowicie, że problemem nie jest ani jego normalność, ani aury, ani mali łysi doktorkowie, lecz May Locher. Przed chwilą widział, jak dwóch nieznanymi facetów wychodzi z domu May Locher w środku nocy, jeden z nich zaś ma w dłoni potencjalne

narzędzie śmierci.

Sięgnął ponad leżącym na stole futerałem lornetki, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił 911.

- Mówi policjant Hagen - powiedział kobiecie głos. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Tak, jeśli wysłucha mnie pani i zareaguje szybko - odparł krótko Ralph. Z jego twarzy znikł wyraz niezdecydowania, tak często goszczący na niej mniej więcej od połowy lata. Siedział w fotelu wyprostowany, z telefonem na kolanach, i wyglądał nie na lat siedemdziesiąt, lecz najwyżej pięćdziesiąt pięć. - Dzięki temu ocali pani, być może, życie kobiety.

- Czy byłby pan uprzejmy podać mi nazwisko i...

- Proszę mi nie przerywać, pani policjant Hagen - powiedział starzec, który nie potrafił już nawet zapamiętać czterech ostatnich cyfr z numeru telefonu do kina. - Obudziłem się, nie mogłem zasnąć, więc postanowiłem posiedzieć sobie w fotelu. Okna mojego pokoju wychodzą na Harris Avenue. Przed chwilą widziałem...

W tym momencie Ralph przerwał na sekundę, myśląc nie o tym, co widział, lecz w co z tego, co widział, pragnie wtajemniczyć panią policjant Hagen. Rozwiązanie tego dylematu pojawiło mu się w głowie równie błyskawicznie, jak sam pomysł wykręcenia 911.

- ...widziałem dwóch mężczyzn, jak wychodzili z domu po przeciwnej stronie ulicy, za sklepem „Jabluszko”. Dom należy do kobiety nazwiskiem May Locher, L-O-C-H-E-R, L jak Leokadia. Pani Locher jest ciężko chora. Tych dwóch mężczyzn nie widziałem nigdy przedtem. - Znow przerwał, tym razem świadomie, pragnął osiągnąć jak najbardziej dramatyczny efekt. - Jeden z nich miał w ręku nożyce.

- Adres tego domu? - spytała pani policjant Hagen. Mówiła niby spokojnie, ale Ralph wyczuł, że udało mu się włączyć mnóstwo światełek alarmowych.

- Nie znam adresu. Niech go pani weźmie z książki telefonicznej, pani władzo, albo po prostu powie załodze radiowozu, że chodzi o żółty dom z różowym wykończeniem, odległy mniej więcej o pół przecznicy od „Jabluszka”. Prawdopodobnie będą musieli użyć latarki, żeby rozpoznać kolory w świetle tych cholernych sodowych lamp, ale niewątpliwie go odnajdą.

- Oczywiście, proszę pana, jestem pewna, że go odnajdą, niemniej muszę znać pana nazwisko i numer telefonu do formu...

Ralph delikatnie odłożył słuchawkę na widelki. Przez niemal minutę siedział, wpatrzony w telefon, oczekując, że lada chwila zadzwoni, a kiedy nie zadzwonił, zdecydował, że policja w Derry albo nie ma tego całego skomplikowanego sprzętu elektronicznego do wykrywania połączeń telefonicznych, który tak często widywał w dokumentalnych

programach telewizyjnych, albo zapomniała go włączyć. No i dobrze. Wprawdzie nie rozwiązywało to problemu, co zrobić lub powiedzieć, jeśli May Locher wyciągnięta zostanie w kawałkach z tego obrzydliwego, różowo-żółtego domu, ale teraz miał czas do namysłu.

Harris Avenue za oknem trwała nieruchoma i cicha, oświetlona wyłącznie obrzydliwie jaskrawymi lampami, maszerującymi w górę i w dół ulicy jak sen szalonego surrealisty o perspektywie. Przedstawienie, krótkie, choć niezwykle dramatyczne, najwyraźniej już się zakończyło. Scena znów była pusta. Scena...

Nie, scena wcale nie była pusta. Z alejki oddzielającej „Jabłuszko” od sklepu „Najlepsze Narzędzia” wyszła, kulejąc, Rosalie. Spłowiała chustka powiewała jej wokół szyi. A przecież nie był to czwartek - nie wystawiono śmietników, dzięki którym mogłaby się trochę pożywić!

Rosalie kuśtykała rażno chodnikiem, póki nie doszła do domu May Locher. Przed jej domem zatrzymała się i zaczęła węszyć (patrzac na długi, całkiem ładny pysk bezpańskiej-suki Ralph myślał czasami, że wśród jej wielu przodków był z pewnością collie).

Nagle zdał sobie sprawę, że na ulicy coś błyszczy.

Wyjął lornetkę z futerału i nacelował ją na psa. W tym momencie pojawiło się kolejne wspomnienie, tym razem z dziesiątego września, kiedy to spotkał się z Billem i Lois przed bramą parku Strawforda. Pamiętał, jak Bili objął Lois i poprowadził ją ulicą, pamiętał, że ich dwoje przypominało mu

Freda Astaire'a i Ginger Rogers, a przede wszystkim pamiętał ślady, które po sobie pozostawili - Lois były szare, Billa oliwkowozielone. Nie miał wówczas wątpliwości, że to przywidzenie. W tych dawnych szczęśliwych czasach, nim jeszcze zwrócił na siebie uwagę szaleńców pokroju Pickeringa i zaczął widzieć małych łysych doktorków, stać go było na pewność, że ma halucynacje.

Rosalie obwąchiwała podobny ślad: złotozielony, identyczny z kolorem aur obu doktorków. Ralph przesunął powoli lornetkę i dostrzegł dwa równoległe tropy prowadzące w stronę parku. Znikały, prawie widział, jak znikały - ale nadal były widoczne.

Popatrzył znów na Rosalie w nagłym przypływie sympatii do tego starego kundla-włóczęgi... bo i czemu nie miałby go lubić? Jeśli potrzebował ostatecznego, najbardziej przekonującego dowodu na to, że widział to, co - jak sądził - widział, Rosalie mu go dostarczyła.

Mała Natalie też by je widziała, pomyślał. I nagle wszystkie wątpliwości, które do tej pory żywił, pojawiły się znowu. Czy widziała by te ślady? Czy rzeczywiście by je widziała? Wydawało mu się, że dziewczynka sięgnęła do kolorowych smug pozostawionych w

powietrzu przez jego palce, był pewien, że patrzyła na upiornie zieloną parę wydobywającą się z kwiatów w wazonie... ale nie powinien być tego pewien. Jak ktokolwiek może być pewien, na co patrzy i po co wyciąga rączki dziecko?

Ale Rosalie... przecież Rosalie jest tam, na dole, i widzisz, co robi.

W tym momencie Ralph zdał sobie sprawę ze słabych punktów tego rodzaju argumentacji - nie widział mianowicie śladów, póki pies nie zaczął ich obwąchiwać. Być może Rosalie obwąchuje miejsce, w którym wcześniej przystanął listonosz, a to, co on niby widzi na własne oczy, to tylko wykwit zmordowanego i tak strasznie stęsknionego za snem umysłu... podobnie jak sami mali łysi doktorkowie.

Oglądana przez szkła lornetki Rosalie wznosiła marsz po Harris Avenue. Pysk nadal miała spuszczonej i machała ogonem. Dreptała od śladów pozostawionych przez doktorka numer jeden do śladów pozostawionych przez doktorka numer dwa... i z powrotem.

Dobra, Ralph, to teraz opowiedz mi, za czym naprawdę idzie ten kundel. Czy to możliwe, by pies tropił jakąś cholerną

halucynację? To nie halucynacja, to ślady! Prawdziwe ślady! Ślady białych ludzi, na których kazała ci zwrócić uwagę Carolyn. Przecież doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, prawda. W końcu widzisz to na własne oczy!

- To szaleństwo - powiedział sam do siebie. - To kompletne szaleństwo!

Ejże? Doprawdy? Sen może przecież być czymś więcej niż tylko snem. Jeśli istnieje coś takiego jak hiperrzeczywistość - a teraz mógłby nawet przysiąc, że istnieje - to być może istnieje także coś takiego jak prekognizja. Albo duchy pojawiające się w snach i przepowiadające przyszłość. Kto wie? Miał wrażenie, że w ścianie rzeczywistości otworzyły się wielkie drzwi. Drzwi, przez które wtargnęło mnóstwo różnych, nie zawsze miłych rzeczy.

Jednego był pewien - te ślady rzeczywiście istniały. On je widział, Rosalie je wyczuła, czego jeszcze trzeba? Przez pół roku postępującej bezsenności Ralph odkrył mnóstwo interesujących rzeczy, a jedną z nich było to, że człowiekowi najtrudniej jest oszukiwać samego siebie między trzecią a szóstą rano., czyli teraz.

Pochylił się i spojrział na zegar na ścianie kuchni. Właśnie minęło wpół do czwartej. Aha.

Podniósł lornetkę i dostrzegł, że Rosalie nadal posuwa się po śladach obu doktorków. Gdyby ktoś pojawił się teraz na Harris Avenue - mało prawdopodobne ze względu na godzinę, ale możliwe - dostrzegłby tylko brudnego kundla, który obwąchuje sobie chodnik to tu, to tam, jak to robią wszystkie bezpańskie psy na całym świecie. Ralph jednak wiedział, co obwąchuje Rosalie, i w końcu pozwolił sobie na luksus uwierzenia własnym oczom.

Pozwolenie to może wycofać, kiedy wszędzie słońce, ale na razie dobrze wie, co widzi.

Rosalie uniosła łeb. Postawiła uszy. Przez chwilę była niemal piękna, jak piękny jest każdy myśliwski pies wystawiający zwierzynę. Nagle - na ułamek sekundy przed tym, nim ulicę zalały światła samochodu zbliżającego się do skrzyżowania Harris Avenue i Witcham Street - odwróciła się i uciekła w kierunku, z którego przyszła. Biegła jak zwykle, kulejąc i zataczając się, i Ralph ogarnęła litość, bo zrozumiał, że Rosalie to tylko jeszcze jeden Stary Pryk z Harris Avenue, a w dodatku pryk, który nie ma nawet tej rozrywki, że od czasu do czasu zagra z sobie podobnymi prykami w durnia albo w pokera na centy.

Znikła w alejce pomiędzy sklepem z narzędziami a „Jabłuszkim”, a zaraz potem zza rogu wyjechał policyjny radiowóz. Jechał powoli, z wyłączoną syreną, lecz kogut na dachu się obracał; na ściany domów i sklepików przy tej części Harris Avenue padały na przemian czerwone i niebieskie refleksy światła.

Ralph pochylił się, unosząc do oczu lornetkę. Z łokciami opartymi na udach w skupieniu przyglądał się ulicy. Serce biło mu tak mocno, że czuł je w skroniach.

Radiowóz zwolnił; nie jechał już, raczej pełził ulicą. Zapłonął reflektorek zamontowany po prawej stronie; promień jasnego światła zaczął przesuwac się po domach stojących po przeciwnej stronie ulicy i oświetlać przy okazji także ich numery umieszczone albo obok drzwi, albo na kolumnkach ganków. Kiedy oświetlił numer domu May Locher (86, dostrzegł Ralph i nie potrzebował do tego lornetki), błysnęły światła stopu i samochód stanął.

Wysiedli z niego dwaj mundurowi policjanci. Obaj ruszyli dróżką prowadzącą do frontowych drzwi, nieświadomi zarówno tego, że z ciemnego okna na piętrze obserwuje ich mężczyzna, jak i że depczą po złotozielonych śladach na chodniku. Zatrzymali się na krótką rozmowę; Ralph podniósł do oczu lornetkę. Był niemal pewien, że młodszy z tej dwójki był z Leydeckerem, kiedy aresztowano Eda Deepneau. Knoll? Czy on się nazywał Knoll?

- Nie - mruknął do siebie Ralph. - Nell. Chris Nell. A może Jess?

Nell i jego partner wydawali się pogrążeni w poważnej rozmowie - poważniejszej niż rozmowa małych łysych doktorków. Ta rozmowa zakończyła się tym, że obaj wyjęli broń i gęsiego weszli na ganek domu May Locher. Nell szedł pierwszy, Nell też przycisnął dzwonek przy drzwiach, poczekał chwilę, przycisnął go po raz drugi i tym razem nie puścił przez, dobre pięć sekund. Po czym nastąpiła kolejna przerwa, po której drugi policjant odsunął Nella i sam zadzwonił do drzwi.

Może ten jest adeptem Tajnej Sztuki Dzwonienia Do Drzwi, pomyślał Ralph. Nauczył się jej pewnie, odpowiadając na prasową reklamę Różokrzyżowców.

Jeśli nawet, to Tajna Sztuka Dzwonienia Do Drzwi tym razem go zawiodła. Nadal żadnej reakcji, co wcale Ralpa nie zdumiało. Mocno wątpił, by May Locher była w stanie podejść do drzwi, nie wspominając już o tym dziwnym łysym faceciku z nożycami.

Lecz jeśli jest przykuta do łóżka, ma pewnie kogoś do pomocy; kogoś, kto ją karmi, prowadzi do toalety albo podaje basen...

Chris (a może Jess) Nell zajął pozycję atakującego, tym razem jednak zlekceważył dzwonek na korzyść starej techniki: bum, bum, bum, otwierać w imieniu prawa! Walił w drzwi lewą pięścią, w prawej nadal trzymał rewolwer, przyciskając lufę do nogawki mundurowych spodni.

Nagle straszny obraz pojawił się w głowie Ralpa. Oczami wyobraźni dostrzegł leżącą w łóżku kobietę. Jej usta i nos przesłaniała przezroczysta maska tlenowa, nad maską wytrzeszczone oczy wpatrywały się nieruchomo w nicość, pod maską zaś rozdarte od ucha do ucha gardło imitowało szeroki uśmiech. Pościel i pierś kobiety zalane były krwią. Niedaleko łóżka, twarzą do ziemi, leżała jej opiekunka; na różowym szlafroku widać było kilka dziur - ran zadanych czubkiem nożyc doktorka nr 1.1 - o czym Ralph wiedział dokładnie - gdyby unieść szlafrok, okazałoby się, że każda z tych ran dokładnie przypomina tę, którą on sam miał pod pachą: wielka kropka zrobiona przez dziecko, dopiero uczące się pisać.

Próbował przegonić tę straszną wizję, straszna wizja wcale jednak nie chciała odejść. Poczul tępy ból w dłoniach, a kiedy na nie spojrział, okazało się, że zacisnął je i paznokcie wbiły mu się w ciało. Nagle kobieta z ranami na plecach poruszyła się lekko. Żyła... jeszcze. Niewiele jednak życia jej zostało, chyba że te głąby zdecydują się zrobić coś konkretniejszego niż stać na progu i na przemian kołatać do drzwi albo grać na dzwonku.

- Ruszcie się, panowie! - Ralph ścisnął dłońmi uda. - No, ruszcie wreszcie tyłki, bierzcie się do roboty! Co wy na to?

Wiesz, że to, co widziałeś, to tylko wyobraźnia, prawda? - spytał niepewnie sam siebie. No, bo mogą tam być przecież dwie martwe kobiety, jasne, oczywiście, to całkiem możliwe, ale na pewno nie wiesz nic, nie? To przecież nie aury albo ślady.

Nie, nie przypominało to wcale ani aur, ani śladów. Ale pod osiemdziesiątym szóstym nikt nie otwierał drzwi policji, a to nie wróżyło nic dobrego. Ralph nie widział wprawdzie krwi na nożycach doktorka nr 1, ale - biorąc pod uwagę bardzo przeciętną jakość jego starej zeissowskiej lornetki - nie dowodziło to praktycznie niczego. W końcu doktorek mógł przecież wytrzeć je do czysta. Ledwie o tym pomyślał, a do istniejącego już obrazu wyobraźnia dodała leżący na podłodze obok kobiety w różowym szlafrocuku zakrwawiony ręcznik.

- No, panowie! - tym razem niemal krzyknął. - Jezu Chryste, macie zamiar stać tam przez całą noc?

Harris Avenue rozświetlił nagle blask reflektorów. Nowym przybyszem był nie oznakowany ford kombi z czerwonym migającym światelkiem na półeczce pod przednim oknem. Przez chwilę Ralph piastował nadzieję, że oto na scenie pojawił się John Leydecker, choć przecież John powiedział mu, że ma wolne do dwunastej następnego dnia. Nadzieja ta jednak rozwiała się, nawet bez pomocy lornetki. Mężczyzna, który przyjechał foldem, był chudy i miał czarne wąsiki. Gliniarz nr 2 ruszył mu dróżką na spotkanie, Chris zaś (czy może Jess) Nell znikł za węglem domu pani Locher.

Zapanowała chwila beczynności, którą z filmów sensacyjnych zawsze się wycina. Gliniarz nr 2 schował rewolwer do kabury. Wraz z mężczyzną z wąsikami stanął przed drzwiami domu; rozmawiali, spoglądając na nie od czasu do czasu. Podczas rozmowy gliniarz nr 2 zrobił nawet dwa kroki w kierunku, w którym oddalił się Nell, detektyw z wąsikami wyciągnął jednak rękę i powstrzymał go. Znow tylko rozmawiali. Ralph mocniej zacisnął dłonie na udach. Prychnął z niepokoju. I rozczarowania.

Minęło jeszcze kilka minut i nagle mnóstwo rzeczy zaczęło się dziać równocześnie, w zamieszaniu nieodłącznie związanym z nagłym niebezpieczeństwem. Nadjechał kolejny radiowóz (dom May Locher oraz całą okolicę dokumentnie zalało światło migających wściekle czerwonych i żółtych lampek). Wysiedli z niego dwaj kolejni policjanci, jeden otworzył bagażnik i wyjął z niego jakieś duże metalowe narzędzie, które Ralphowi wydało się narzędziem tortur, choć, jak sądził, były to tak zwane „szczęki życia”. Po wielkiej burzy 1985 roku, która spowodowała śmierć przeszło dwustu obywateli Derry - wielu utonęło uwięzionych w samochodach - uczniowie szkół z miasta zrobili składkę na te szczęki.

Podczas gdy dwaj nowo przybyli gliniarze nieśli „szczęki życia” w stronę domu nr 86, otworzyły się frontowe drzwi innego domu, położonego nieco wyżej, na wzgórzu, i na próg wyszli Stan oraz Georgina Eberly'owie, ubrani w identyczne szlafroki. Siwe, zmierzwiłone włosy Stana stały mu dziko na głowie, co upodabniało go nieco do Charliego Pickeringa. Ralph podniósł lornetkę, przyglądał się krótko ich zdziwionym i zafascynowanym twarzom, po czym odłożył lornetkę na kolana.

Następnym pojazdem wjeżdżającym na scenę była karetka szpitala miejskiego. Podobnie jak radiowozy, z szacunku dla porannej godziny karetka nadjechała z wyłączoną syreną, świeciła jednak całym rzędem migających świateł na dachu. Scena za oknem zaczęła Ralphowi przypominać jeden z jego ukochanych filmów o Brudnym Harrym, oglądany z wyłączonym dźwiękiem.

Dwaj gliniarze donieśli „szczęki życia” do połowy trawnika i upuścili je. Detektyw w wiatrówce i wełnianej czapeczce obrócił się w ich kierunku, szeroko rozkładając przy tym ręce, jakby pytał: „Co macie zamiar zrobić z tym czymś? Wyłamać te cholerne drzwi?” W tej sekundzie zza domu wyszedł Nell, potrząsając głową.

Detektyw w wełnianej czapeczce obrócił się nagle, przeszedł obok Nella, wskoczył na ganek, przystanął, podniósł nogę i kopnął drzwi. Zatrzymał się na chwilę, rozpiął wiatrówkę, prawdopodobnie po to, by móc łatwiej sięgnąć po broń, po czym wszedł do domu nr 86, nie oglądając się za siebie.

Ralph miał ochotę wstać i zacząć bić mu brawo.

Nell i jego partner spojrzeli po sobie niepewnie i za detektywem w wełnianej czapeczce znikli w domu May Locher. Ralph jeszcze bardziej pochylił się w fotelu; twarz miał teraz tak blisko okna, że na szybie osiadała para jego oddechu. Z karetki wysiedli trzej sanitariusze; ich białe szpitalne portki w świetle jaskrawych ulicznych lamp wydawały się pomarańczowe. Jeden otworzył tylne drzwi, ale potem wszyscy trzej tylko stali sobie swobodnie, czekając na chwilę, kiedy będą potrzebni. Dwaj gliniarze, którzy nieśli „szczęki życia”, spojrzeli na siebie, jak na komendę wzruszyli ramionami, podnieśli narzędzie i zawrócili do radiowozu. W miejscu gdzie upadły szczęki, widniały w trawie głębokie dołki.

Niech tylko wszystko z nią będzie dobrze, pomyślał Ralph. Niech tylko z nią i z tym kimś, kto był przy niej w nocy, wszystko będzie dobrze.

Detektyw w czapeczce pojawił się w drzwiach i Ralph poczuł, że serce przestaje mu bić, bowiem tylko skinął głową na sanitariuszy. Dwaj z nich wyjęli składane nosze na kółkach i ruszyli w stronę domu, rażno, ale bez szczególnego pośpiechu. A kiedy ten, który pozostał przy karetkce, spokojnie zapalił papierosa, Ralph pojął - nagle, lecz jakoś bez najmniejszych wątpliwości - że May Locher nie żyje.

Stan i Georgina Eberly'owie podeszli do niskiego żywopłotu, oddzielającego ich podwórko od podwórka May Locher. Obejmowali się w pasie. Na Ralphie sprawiali wrażenie Jasia i Małgosi, starych i przerażonych.

Przed domami pojawiali się także i inni sąsiedzi, albo obudzeni milczącą feerią kolorowych migających świateł, albo też zorientowani w sytuacji dzięki sieci telefonicznej, która na tym niewielkim odcinku Harris Avenue operowała już z pełną mocą. Prawie wszyscy ludzie, których widział Ralph, byli starzy („złota jesień życia”, mawiał o tej starości Bili McGovern, nie zapominając oczywiście o kpiącym uniesieniu brwi). Mężczyźni i kobiety w tym wieku śpią płytko nawet wtedy, gdy nic im nie przeszkadza. Nagle Ralph uświadomił sobie, że Ed, Helen i Natalie Deepneau byli najmłodszymi mieszkańcami na odcinku stąd aż

do Extension... a teraz ich tu zabrakło.

Gdybym zszedł na dół, pomyślał, nie wyróżniałbym się niczym szczególnym. Jeszcze jeden staruch przeżywający złotą jesień życia.

Tylko że nie mógłby zejść. Nogi miał jak złożone z torebek po herbacie przytrzymywanych do kupy przez luźno zawiązany sznurek. Nie wątpił, że gdyby teraz zechciał wstać, padłby bezwładnie na podłogę. Siedział więc, patrzył przez okno i obserwował sztukę rozgrywającą się na scenie, która o tej porze zawsze była pusta... chyba że pojawiała się na niej Rosalie - sztukę, którą wyprodukował sam, jednym anonimowym telefonem.

Patrzył, jak sanitariusze pojawiają się w drzwiach, ostrożnie popychając nosze na kółkach, do których przywiązana była przykryta prześcieradłem postać. Na białym prześcieradle z widocznym pod nim zarysem głowy, rąk i nóg kładły się błyski kolorowych świateł.

Nagle powrócił do niego sen. Pod prześcieradłem widział żonę-nie była to May Locher, lecz Carolyn Roberts i w każdej chwili jej głowa mogła się rozpaść i mogły wylać się z niej czarne robale, tłuste, bo dobrze odżywione chorym mózgiem.

Zakrył oczy dłońmi. Z gardła wyrwał mu się jęk - jęk smutku, gniewu, strachu i zmęczenia. Siedział tak bardzo długo, żalując, że w ogóle widział to, co widział, i pocieszając się nadzieją, że jeśli tunel istnieje rzeczywiście, nie będzie musiał

do niego wejść. Aury były dziwne i piękne, ale cała ich piękność nie mogła być zadośćuczynieniem za jedną chwilę strasznego koszmaru, w którym widział żonę pogrzebaną w piasku na linii przypływu, nie mogła być zadośćuczynieniem za gorzki smutek utraconych nocy, za widok postaci wywożonej na noszach z domu po przeciwnej stronie ulicy.

Marzył o czymś więcej niż o zakończeniu tego przedstawienia. Siedząc tak z dłońmi przyciśniętymi do oczu, marzył, by wreszcie skończyło się wszystko. Ralph Roberts przeżył dwadzieścia pięć tysięcy dni i dopiero teraz, po raz pierwszy w życiu marzył, by nie żyć.

Rozdział 9

Na ścianie klitki, która służyła detektywowi Johnowi Leydeckerowi za gabinet, wisiał plakat kupiony pewnie za dolca, może dwa w którejś z miejscowych wypożyczalni wideo. Na plakacie słonik Dumbo leciał na swoich słynnych magicznych, rozpostartych na całą długość uszach. Na pysk słonika naklejone było zdjęcie twarzy Susan Day, wycięte dokładnie tak, by nie uszkodzić trąby. Na rozpościerającym się pod słonikiem komiksowym pejzażu ktoś domalował drogowskaz z napisem „Derry 250 mil”.

- Urocze - stwierdził Ralph. Leydecker roześmiał się głośno.

- Niezbyt poprawne... politycznie, prawda?

- Moim zdaniem to zbyt łagodne określenie - odparł Ralph, zastanawiając się, co na ten plakat powiedziałyby Carolyn... i, oczywiście, Helen.

Było piętnaście po drugiej, chmurne, chłodne poniedziałkowe popołudnie. Wrócili właśnie z gmachu sądów hrabstwa Derry, gdzie przed zastępcą prokuratora okręgowego - który, zdaniem Ralph, za jakieś dwa lata będzie mógł zacząć się golić - Ralph złożył zeznanie w sprawie swego spotkania z Pickeringiem. Leydecker towarzyszący mu w tej przygodzie (tak jak przyrzekł) usiadł w kącie gabinetu asystenta prokuratora i nie odezwał się ani słowem. Obietnica postawienia kawy okazała się łatwa do dotrzymania - groźnie wyglądający płyn w tekturowym kubku pochodził z automatu, który stał w kącie dużego i bardzo zatłoczonego pokoju na piętrze głównej kwatery policji miejskiej. Ralph spróbował jej nieufnie i westchnął z ulgą; smakowała zdecydowanie lepiej, niż wyglądała.

- Śmietanka? Cukier? - zainteresował się Leydecker. - Coś jeszcze, o czym nie pomyślałem?

Ralph uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Smakuje nieźle... choć nie radziłbym polegać na moim zdaniu. Ograniczyłem się do dwóch filiżanek dziennie i teraz każda kawa mi smakuje.

- To samo mam z papierosami. Im mniej palę, tym bardziej smakują. Cholernie trudno jest nie grzeszyć. - Leydecker wyjął swój nieodłączny pojemnik z wykałaczkami, wsadził jedną w kącik ust, postawił kawę na terminalu komputerowym, podszedł do ściany i zaczął podważać pinezki, którymi plakat był do niej przyczepiony.

- Nie musisz tego robić ze względu na mnie - zastrzegł Ralph. - To twój gabinet.

- Błąd. - Policjant odkleił od plakatu troskliwie wycięte zdjęcie twarzy Susan Day, zmiął je, wyrzucił do kosza, a plakat zwinął w cienką rurkę.

- Co? Na drzwiach jest twoje nazwisko, a ten dzieciak na zdjęciu to chyba ty. - Ralph wskazał na fotografię ładnej, choć dość tęgiej kobiety z dwoma chłopcami u boku, mniej więcej dziesięcio - i mniej więcej ośmioletnim. Kobieta uśmiechała się, chłopcy zaś poważnie patrzyli w obiektyw.

- Zdjęcie i nazwisko rzeczywiście są moje, gabinet natomiast należy do ciebie i wszystkich uczciwych podatników z Derry. A także do każdego idioty-dziennikarza z minikamerą wideo, który trafiłby tu choćby przypadkiem. Gdyby ten plakat pojawił się w „Wiadomościach w południe”, wpakowałby mnie w kłopoty. Zapomniałem go zdjąć, kiedy wychodziłem z pracy w piątek wieczorem, a weekend prawie cały miałem wolny, co - możesz mi wierzyć lub nie - zdarza się rzadko w tej pracy.

- A zatem to nie ty go tu powiesiłeś? - Ralph zdjął jakieś papiery ze stojącego w malutkim gabinecie drugiego krzesła i usiadł na nim.

- Nie. W piątek po południu kilku chłopaków wyprawiło przyjęcie na moją cześć. Było ciasto, były lody, były prezenty. - Leydecker szukał czegoś w biurku, w końcu znalazł gumkę, wsunął ją na plakat, zabezpieczając go przed rozwinięciem, rzucił Ralphowi rozbawione spojrzenie i cisnął plakat do kosza. - Dostałem komplet tych damskich majteczek na wszystkie dni tygodnia, z dziurkami w kroku, puszkę dezodorantu do pochwy o zapachu truskawkowym oraz zestaw

publikacji „Przyjaciół Życia”, w którym znajdował się między innymi komiks „Nie chciana ciąża Denise” oraz ten plakat.

- Nie były to chyba prezenty urodzinowe?

- Nie. - Leydecker wyłamał sobie palec, spojrzał w sufit i westchnął. - Chłopcy świętowali fakt, że przydzielono mi zadanie specjalne.

Wokół jego twarzy i ramion Ralph dostrzegł błyski błękitnej aury, nie musiał ich jednak odczytywać.

- Chodzi o Susan Day, prawda? Będziesz odpowiedzialny za jej ochronę podczas pobytu w mieście - powiedział.

- Trafiłeś w dziesiątkę. Oczywiście, będzie na miejscu także policja stanowa, ale w podobnych sytuacjach stanówka ogranicza się zazwyczaj do kierowania ruchem. Zapewne możemy także liczyć na FBI, ale agenci FBI będą się pewnie trzymać z dala od tłoku, robić zdjęcia i wymieniać między sobą tajne Znaki Klubowe.

- Ona ma swoją własną ochronę, prawda?

- Tak, ale nie wiem, jak wielką i jak dobrą. Dziś rano rozmawiałem z jej szefem. Przynajmniej mówi z sensem, ale i tak muszę liczyć na własnych chłopaków. Pięciu, zgodnie z rozkazami, które otrzymałem w piątek. To znaczy czterech, którzy zgłoszą się na ochotnika, gdy tylko ich wybiorę, i ja. Mamy... poczekaj, to ci się spodoba... - Leydecker szperał w zaśmiecających biurko papierach, znalazł jeden z nich, podniósł do oczu - *być wszędzie i rzucać się w oczy*. - Upuścił kartkę z powrotem na biurko i uśmiechnął się do Ralpa. W tym uśmiechu niewiele było humoru. - Innymi słowy, gdyby ktoś zechciał zastrzelić tę sukę lub choćby umyć jej włosy w kwasie, mamy koniecznie wleźć przed kamerę Lisetty Benson i reszty tych telewizyjnych durni. - Spojrzał na sterczącą z kosza na śmieci rurkę plakatu i pokazał jej palec.

- Jak możesz tak bardzo nie lubić kogoś, kogo nawet nie spotkałeś?

- Nie można powiedzieć, że nie lubię Susan Day, Ralph, ja jej, kurwa, nienawidzę! Słuchaj, jestem katolikiem, moja kochana mamusia jest katoliczką, moi chłopcy - jeśli ich będę miał - wszyscy będą służyli do mszy u Świętego Józefa. No, tak. Fajnie jest być katolikiem, pozwalają ci już nawet jeść mięso w piątek. Ale jeśli myślisz, że jako katolik jestem za powtórą delegalizacją aborcji, to bardzo się mylisz. Bo wiesz, ja jestem tym katolikiem, który musi przesłuchiwać facetów bijących dzieci gumowym kablem albo spychających je ze

schodów po nocy spędzonej nad dobrą irlandzką whisky i wspomnieniach o kochanej mamusi.

Leydecker pogrzebał za koszulą i wyciągnął w końcu mały złoty medalik.

- Maria, Matka Jezusa. Noszę go od trzynastego roku życia. Pięć lat temu aresztowałem mężczyznę, który miał na szyi identyczny. Mężczyzna ten właśnie ugotował swego dwuletniego pasierba. Nie wymyśliłem tego, przysięgam. Facet zagotował wielki gar wody, a kiedy zawrzała, złapał małego za kostki i wrzucił go do tego garnka jak homara. Dlaczego? Dlatego, powiedział nam, że chłopiec ciągle moczył łóżeczko. Widziałem ciało i wiesz, co ci powiem? Po czymś takim zdjęcia abortowanych płodów, które tak lubią pokazywać te dupki od prawa do życia, wcale nie wyglądają najgorzej.

Głos Leydeckera drżał lekko.

- Ale najlepiej pamiętam, jak facet płakał, jak ścisnął ten medalik z Matką Boską wiszący mu na szyi i mówił, że musi się wyświadczyć. Powiem ci, Ralph, że dumny byłem, iż jestem katolikiem... ale jeśli chodzi o papieża, to sądzę, że nie powinno mu się pozwolić wygłaszać opinii, póki sam nie będzie miał dziecka albo przynajmniej póki przez jakiś rok nie zajmie się wychowywaniem dzieci narkomanów.

- Dobra. To co ci przeszkadza w Susan Day?

- Podgrzewa pierdoloną atmosferę! - wrzasnął Leydecker. - Przyjeżdża do mojego miasta i ja muszę jej pilnować. Doskonale. Mam dobrych ludzi. Jeśli szczęście nam dopisze, wyjedzie stąd z głową na karku, i w dodatku nadal podniesioną. Tylko co robić z tym, co się dzieje przed jej przyjazdem? I będzie się dziać po jej wyjeździe? Myślisz, że ją to choć trochę obchodzi? Myślisz, że ludzi z ośrodka obchodzą wszystkie te efekty uboczne?

- Nie wiem.

- Przyjaciele z Ośrodka Opieki nad Kobietami są może nieco mniej skłonni do gwałtu od „Przyjaciół Życia”, ale jeśli chodzi o ten najważniejszy wskaźnik, czyli jakiej wielkości są ich wrzody na dupie, nie ma między nimi większych różnic. Wiesz w ogóle, o co chodziło, kiedy zaczęła się cała ta wojna?

Ralph sięgnął pamięcią aż do swej pierwszej rozmowy o Susan Day, którą przeprowadził z Hamem Davenportem. Przez moment wydawało mu się, że pamięta, ale okazało się, że jednak nie. Bezszenność zwyciężyła raz jeszcze.

Potrząsnął głową.

- Kwalifikacja gruntów. - Leydecker roześmiał się z pełnym obrzydzenia zdumieniem.

- Stara dobra kwalifikacja gruntów. Wspaniałe, nie? Na początku lata dwoje najbardziej konserwatywnych członków Rady Miejskiej, George Tandy i Emma Wheaton, złożyli petycję do odpowiedniej komisji, domagając się zmiany kwalifikacji gruntów, na których stoi ośrodek, zapewne z nadzieją, że go w ten sposób zaduszą. Nie wiem, czy „zadusić” to trafne określenie, ale rozumiesz, o co chodzi, nie?

- Jasne.

- No tak. Więc „zwolennicy wyboru” zaprosili Susan Day, by wygłosiła mowę w mieście, pomogła im zebrać siły do walki z antyaborcyjną ciemnotą. Problem w tym, że antyaborcyjna ciemnota nigdy nie miała szansy na zmianę kwalifikacji gruntów w Okręgu numer siedem i ludzie z ośrodka doskonale

o tym wiedzieli! Do diabła, jedna z ich dyrektorek, June Halliday, jest członkiem Rady Miejskiej! Kiedy mija na korytarzu tę sukę Wheaton, prawie na siebie pluja!

Zmiana kwalifikacji od początku była marzeniem ściętej głowy, bo ośrodek jest, praktycznie rzecz biorąc, szpitalem

i znajduje się o rzut sierpem od szpitala miejskiego. Gdyby dokonano zmiany kwalifikacji gruntów dla ośrodka, trzeba by zlikwidować jeden z zaledwie trzech szpitali w Hrabstwie Derry-trzecim co do wielkości hrabstwie stanu Maine. No więc, żadnej zmiany by nie przeprowadzono, i dobrze, bo przecież nikomu nigdy o żadną zmianę nie chodziło!

Chodziło o to, żeby napluć przeciwnikom w pysk. Chodziło o to, żeby być wrzodem na dupie. Ludziom od „prawa wyboru” - jeden z facetów, z którymi pracuję, nazywa ich „tymi od wielorybów” - zależy jeszcze na tym, żeby za wszelką cenę mieć rację.

- Mieć rację? Nie rozumiem.

- Im nie wystarczy, że kobieta może wejść do ośrodka i pozbyć się rosnącego jej w brzuchu drobnego problemu, ot, tak sobie. Oni chcą jeszcze, żeby skończyła się dyskusja! W głębi serca pragną najbardziej, żeby ludzie pokroju Dana Daltona przyznali im rację... a to nigdy nie nastąpi. Już prędzej Żydzi i Arabowie przyznają, że to wszystko pomyłka, i rzucają broń. Popieram prawo kobiety do aborcji, jeśli ta aborcja jest jej bardzo potrzebna, ale świętoszkowate nastawienie proaborcjonistów doprowadza mnie do mdłości. To nowi purytanie, pewni, że jeśli nie myślisz jak oni, pójdziesz do piekła... Tyle że w ich piekle radio nadaje wyłącznie muzykę country, a do jedzenia masz wyłącznie kurczaka.

- Cholernie gorzkie słowa.

- To spróbuj posiedzieć przez trzy miesiące na beczce prochu, jak ja, a zobaczysz, jak się będziesz czuł. Powiedz mi jedno: czy sądzisz, że Pickering dźgnąłby cię nożem, gdyby nie ośrodek, „Przyjaciele Życia” i Susan Zostaw-w-sпоkoju-moją-pizdę Day?

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że Ralph poważnie rozważa to pytanie, w rzeczywistości jednak obserwował aurę Johna Leydeckera. Miała zdrowy, ciemnoniebieski kolor, ale na jej brzegach pojawiło się błyskawicznie zmieniające odcienie zielone światło. To właśnie światło go interesowało. I chyba wiedział, co ono oznacza.

- Nie. Mam wrażenie, że nie - przyznał.

- Ja też. Odniosłeś ranę w wojnie, której koniec był przesądzony w momencie jej wybuchu, i nie będziesz ostatnim rannym tej wojny. Gdybyś jednak poszedł do tych od wielorybów, rozpiął koszulę, pokazał im bandażę i powiedział: „To częściowo wasza wina, więc przyznajcie się do tej części”, oni tylko podnieśliby dłonie i odparli: „Och, nie, nie, nic takiego, bardzo nam przykro, że zostałeś ranny, Ralph, my, strażnicy wielorybów nienawidzimy przemocy, ale to przecież nie nasza wina, nie możemy dopuścić do zamknięcia ośrodka, musimy ustawić mężczyzn i kobiety na barykadach i jeśli poleje się przy tym odrobina krwi, cóż, trudno”. Nie chodzi o ośrodek i to właśnie doprowadza mnie do szału. Chodzi o...

- ...aborcję.

- Nie, cholera! Nikt nie zagraża prawu do aborcji ani w Maine, ani w Derry, niezależnie od tego, co Susan Day opowie nam w piątek. Chodzi o to, która drużyna jest lepsza! Chodzi o to, po czyjej stronie jest Bóg! Chodzi o to, kto ma rację! Szkoda, że oni

wszyscy nie zaśpiewają „We Are the Champions” i nie pójda się upić!

Ralph odrzucił głowę i roześmiał się. Leydecker śmiał się także.

- No więc oni wszyscy to same dupki - dokończył, wzruszając ramionami. - Ale nasze dupki. Czy brzmi to jak żart? Bo nie miałem zamiaru żartować. Ośrodek Opieki nad Kobietami, „Przyjaciele Życia”, „Moje ciało”, „Chleba Naszego Powszedniego”... - to wszystko nasze dupki, a ja nie mam nic przeciwko pilnowaniu tego, co nasze. Dlatego wzięłem tę robotę i dlatego nadal ją robię. Ale musisz mi wybaczyć, jeśli nie odnoszę się z entuzjazmem do idei pilnowania jakiejś długonogiej amerykańskiej piękności z Nowego Jorku, która przyleci tu, wygłosi mowę z opóźnionym zapłonem, a potem poleci sobie do domu z kilkoma nowymi wycinkami prasowymi do kolekcji i z materiałem na rozdział piąty nowej książki. W twarz będzie nam powtarzać, jaką to cudowną wiejską społecznością jesteśmy, istna sól ziemi, a u siebie, w apartamencie na Park Avenue, opowie przyjaciółom, że włosy nadal śmierdzą jej smrodem naszych papierni. Jest kobietą, choć strasznie by przeciw temu określeniu protestowała... A my będziemy mieli szczęście, jeśli sprawa skończy się bez trupów i bez kalek.

Ralph był już całkowicie pewien, co oznacza owo zielone światło.

- Boisz się, prawda? - spytał. Leydecker spojrział na niego zaskoczony.

- Widać, prawda?

- Ledwie, ledwie - powiedział Ralph i pomyślał: Tylko w aurze, John, w niczym więcej. Wyłącznie w aurze.

- Owszem, boję się. Osobiście, jako człowiek, boję się spieprzyć zadanie, bo nie ma nic, co by wynagrodziło to wszystko, co może się stać. Jako oficer boję się, że coś się stanie, kiedy ja akurat będę na służbie. Ale przeraża mnie dopiero myśl, że jeśli coś się stanie, jeśli dojdzie do konfrontacji i dzin uwolni się z butelki... jeszcze kawy, Ralph?

- Nie, dziękuję. Tak czy inaczej niedługo będę musiał lecieć. Co będzie z Pickeringiem?

- Kiedy my tak tu sobie przyjemnie gawędzimy, Steve Utterback (to ten zastępca, który cię przesłuchiwał) i obrońca z urzędu Pickeringa prawdopodobnie właśnie się targują. Obrońca Pickeringa twierdzi pewnie, że chyba uda mu się skłonić klienta (sama myśl o tym, że Charlie Pickering może być czymkolwiek klientem w jakiegokolwiek sprawie, po prostu nie mieści mi się w głowie!) do przyznania się do napadu drugiego stopnia. Utterback odpowje mu na to, że najwyższy czas skutecznie utemperować Pickeringa i że spróbuje oskarżenia o usiłowanie morderstwa. Obrońca Pickeringa uda zdumionego, a jutro twój kumpel zostanie oskarżony o napad pierwszego stopnia przy użyciu śmiercionośnej broni i zatrzymany do

czasu procesu. W końcu, może gdzieś około grudnia, ale najprawdopodobniej jednak w przyszłym roku, dostaniesz wezwanie jako główny świadek.

- Kaucja?

Wyznaczą ją pewnie na jakieś czterdzieści tysięcy dolarów. Można wyjść wpłacając dziesięć procent, jeśli reszta zabezpieczona jest na mieniu, na wypadek ucieczki, ale Charlie Pickering nie ma domu, samochodu, nie ma nawet zegarka „Timexa”. W końcu pewnie trafi z powrotem do Juniper Hill, ale w gruncie rzeczy nie o to chodzi. Tym razem chyba przez dłuższy czas utrzymamy go z dala od ulicy, a jeśli ma się do czynienia z ludźmi pokroju Charliego, o to właśnie toczy się gra.

- A jest szansa, że „Przyjaciele Życia” zbiorą dla niego tę kaucję?

- Nie ma. Ed Deepneau prawie cały zeszły tydzień spędził z Charliem, popijając z nim kawę w „Bagel Shop”. Wyobrażam sobie, że wbijał mu do głowy historie o centurionach i królu kierowym...

- Ed nazywa go Karmazynowym...

- Oczywiście. - Leydecker tylko machnęła ręką. - Wyobrażam sobie, że sporo czasu spędził tłumacząc mu, jak to jesteś prawą ręką diabła i jak to tylko taki mądry, odważny i pełen poświęcenia gość jak on, Charlie, potrafi sobie z tobą poradzić.

- Robisz z niego takiego zimnego drania. - Ralph przypomniał sobie Eda Deepneau, z którym grywał dawniej w szachy. Ten Ed był inteligentnym, grzecznym, kulturalnym człowiekiem wielkiej łagodności. Nadal jakoś nie potrafił pogodzić takiego Eda z tym, o którego istnieniu dowiedział się w lipcu 1992 roku. O tym drugim nauczył się myśleć jako o „kogucie Edzie”.

- Nie tylko zimnokrwistego drania, ale niebezpiecznego zimnokrwistego drania - odparł Leydecker. - Charlie był dla niego tylko narzędziem, jak dla ciebie nóż do obierania ziemniaków. Jeśli u takiego noża złamie się ostrze, nie lecisz z nim do naprawy, za wiele z tym kłopotu. Wyrzucasz go do śmieci i kupujesz nowy. W ten sposób faceci pokroju Eda traktują facetów pokroju Pickeringa, a ponieważ Ed rządzi „Przyjaciółmi Życia” jak chce, przynajmniej na razie, nie musisz się chyba martwić, że Charlie zbierze forszę na kaucję. Przez następne kilka tygodni będzie samotny jak trędowaty na garden party. Mam rację?

- Masz. - Ralph ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że właściwie to żal mu Pickeringa.

- I jeszcze chciałem ci podziękować, że nie podałeś mojego nazwiska prasie... oczywiście jeśli zawdzięczam to tobie.

Miejscowe *News* wspomniało o incydencie na kolumnie kryminalnej, ale podało tylko, że Charles H. Pickering aresztowany został z oskarżenia „o użycie broni w miejskiej

bibliotece publicznej”.

- Czasami my ich prosimy o przysługę, czasami oni proszą o przysługę nas - powiedział Leydecker i wstał. - Tak kręci się światek. Gdyby ci zwariowani „Przyjaciele Życia” i ci nadęci przyjaciele ośrodka odkryli tę wielką prawdę, cholernie ułatwiliby mi pracę.

Ralph wyłowił zwinięty plakat z kosza na śmieci i wstał także.

- Mógłbym go zatrzymać? Za rok pewna mała dziewczynka bardzo się z niego ucieszy.

Leydecker wykonał szeroki gest.

- Ależ oczywiście, szanowny panie. To premia za to, że okazał się pan wzorowym obywatelem. Niech mnie pan tylko nie prosi o te damskie majteczki.

Ralph roześmiał się wesoło.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło - zapewnił.

- Nie, poważnie, jestem ci bardzo wdzięczny za to, że przyszedłeś. Dziękuję, Ralph.

- Nie ma sprawy. - Ralph wyciągnął rękę nad biurkiem, uściśnął dłoń Leydeckera i ruszył ku drzwiom. Kiedy się odwrócił z ręką na klamce, poczuł się absurdalnie wręcz podobny do porucznika Colombo z telewizji - brakowało mu tylko cygara i oberwanego prochowca. - Mogę spytać o coś zupełnie nie związanego z Pickeringiem?

- Jasne.

- Dziś rano w sklepie usłyszałem, że pani Locher, moja sąsiadka, umarła w nocy. Nic dziwnego, miała rozedmę płuc, ale między chodnikiem a drzwiami jej domu rozpięte są policyjne taśmy, a drzwi policja też zabezpieczyła. Wiesz, o co chodzi?

Leydecker przypatrywał mu się tak długo i tak przenikliwie, że Ralph z pewnością poczułby się nieswojo... gdyby nie jego aura. W jego aurze nie było śladu podejrzliwości.

Boże, Ralph, chyba jednak traktujesz te sprawy nieco zbyt poważnie!

No, może tak, a może nie. W każdym razie cieszył się, że zielone błyski nie pojawiły się znowu.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - spytał. - Jeśli nadużywam twojej uprzejmości albo pytam o coś, o co nie powinienem pytać, to przepraszam.

- Ależ nic z tych rzeczy! Trochę to dziwne, nic więcej. Jeśli coś ci powiem, zachowasz to dla siebie?

- Tak.

- Najbardziej się martwię o twojego przyjaciela z dołu. Jeśli chodzi o dyskrecję, to profesor nie jest raczej najświatlejszym jej przykładem.

Ralph roześmiał się serdecznie.

- Nawet mu o tym nie wspomnę, słowo harcerza, ale ciekawe, że go wymieniał. Bili chodził do szkoły z panią Locher, dawno, dawno temu. Do szkoły podstawowej.

- Boże, nie potrafię wyobrazić sobie profesora w szkole podstawowej. A ty?

- Ja chyba potrafię - odparł Ralph, a w głowie pojawił mu się obraz doprawdy szczególny: Bili McGovern wyglądał na nim jak skrzyżowanie Małego Lorda Fauntleroya z Tomkiem Sawyerem w pumpach, białych podkolanówkach... i panamie na głowie.

- Nie jesteśmy pewni, co stało się z panią Locher - powiedział Leydecker. - Wiemy tylko, że nieco po trzeciej nad ranem ktoś zadzwonił anonimowo pod dziewięćset jedenaście z informacją, że przed chwilą widział dwóch mężczyzn wychodzących z jej domu. I że jeden z nich miał w ręku nożyce.

- Zabito ją? - krzyknął Ralph, zdając sobie jednocześnie sprawę z dwóch rzeczy: po pierwsze, jego okrzyk zabrzmiał dużo szczerzej, niż należało się spodziewać, i, po drugie, że właśnie przekroczył most. Nie spalił go wprawdzie za sobą, jeszcze nie, ale nie zdoła po nim wrócić, nie wyjaśniając mnóstwa skomplikowanych spraw.

Leydecker rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- Jeśli nawet tak, to nie z pomocą nożyc ani innego ostrego przedmiotu. Na ciele nie było żadnych oznak przemocy.

No, przynajmniej to. Ralph poczuł coś w rodzaju ulgi.

- Z drugiej strony, można przecież przestraszyć człowieka na śmierć, zwłaszcza starą, schorowaną kobietę, i to gdy popełnia się przestępstwo. W każdym razie najlepiej ci to wytłumaczę, jeśli po prostu pozwolisz mi mówić. Obiecuję, że to nie potrwa długo.

- Oczywiście, przepraszam.

- Chcesz usłyszeć coś zabawnego? Pierwszą osobą, o której pomyślałem, sprawdzając zapisy rozmów z dziewięćset jedenaście, byłeś ty.

- To z powodu mojej bezsenności, prawda? - Głos Ralpa był zupełnie spokojny.

- I dlatego, że ten ktoś wspominał, iż widział wszystko z okna dużego pokoju. Okna twojego dużego pokoju wychodzą właśnie na Harris Avenue, prawda?

- Oczywiście.

- Aha. Pomyślałem nawet, że powinienem przesłuchać taśmę, ale potem sobie przypomniałem, że przychodzisz tu dziś... i że znów sypiasz. Bo sypiasz, nie?

Bez chwili zastanowienia Ralph podpalił most, który przekroczył zaledwie przed chwilą.

- No, nie tak jak wtedy, kiedy chodziłem do liceum, a po lekcjach pracowałem na

dwóch posadach, nie mam zamiaru cię oszukiwać. Ale jeśli ostatniej nocy wykręciłem dziewięćset jedenaście, to z pewnością przez sen.

- Sam się tego domyśliłem. A poza tym, nawet gdybyś zobaczył na ulicy coś szczególnego, po co miałbyś dzwonić anonimowo?

- Bo ja wiem - odparł Ralph i pomyślał: A założmy, że to coś było więcej niż szczególne, John? Założmy, że było kompletnie niewiarygodne?

- Ja też nie widzę powodu. Masz z pokoju widok na Harris Avenue, oczywiście... podobnie jak ze czterdziestu sąsiadów... a poza tym fakt, że ten ktoś powiedział, że dzwoni z domu, wcale nie musi dowodzić, że dzwoni z domu, prawda?

- Pewnie rzeczywiście nie musi. Automat stoi przed „Jabłuszkim” i przed sklepem alkoholowym. Kilka jest też w parku Strawforda... jeśli działają.

- W parku są cztery i wszystkie działają. Sprawdziliśmy.

- Po co miałby kłamać, że dzwoni z domu?

- Najprawdopodobniejsza odpowiedź na to pytanie brzmi: bo w ogóle kłamał. Poza tym Donna Hagen powiedziała, że głos brzmiał młodo i bardzo pewnie. - Leydecker skrzywił się i złapał za głowę. - Nie tak chciałem to powiedzieć, Ralph. Przepraszam.

- Nie ma za co. Fakt, że mówię jak stary przyk na emeryturze, to dla mnie nic szczególnie nowego. W końcu jestem przecież starym przykiem na emeryturze. Mów dalej.

- Chris Nell odebrał wezwanie i pierwszy znalazł się na miejscu. Pamiętasz, był ze mną tego dnia, kiedy aresztowaliśmy Eda.

- Pamiętam nazwisko.

- Aha. Steve Utterback pojechał tam jako detektyw, jako dowódca akcji. Jest dobry.

Facet w wełnianej czapeczce, pomyślał Ralph.

- Pani Locher leżała w łóżku martwa, nie było jednak żadnych śladów gwałtu. Najwyraźniej nic też nie ukradziono, chociaż starsze damy w rodzaju May Locher nie mają na ogół w domu nic, co by łatwo było opylić: magnetowidu, skomplikowanych wież stereo, czegoś w tym rodzaju. Miała jednak dobre radio i trochę naprawdę cennej biżuterii. Oczywiście nie sposób powiedzieć, czy nie brakuje jeszcze ładniejszej i jeszcze cenniejszej, ale...

- Dlaczego włamywacz miał brać część, a nie wszystko?

- Otóż to. Znacznie bardziej interesujące jest jednak to, że drzwi wejściowe, przez które według kogoś, kto do nas dzwonił, wyszli ci dwaj faceci, były zamknięte od środka. Nie na zatrask. Na zamek i łańcuch. Tak samo jak tylne wyjście. Więc jeśli ci dwaj rzeczywiście istnieli, a May Locher nie żyła, to kto zamknął drzwi?

Może Karmazynowy Król, pomyślał Ralph... i pojął z przerażeniem, że omal nie powiedział tego głośno.

- Nie wiem. Co z oknami?

- Zamknięte. Zablokowane. A jeśli nadal nie wygląda ci to na Agatę Christie, to wiedz, że według Steve'a okiennice też były zamknięte. Ktoś z sąsiadów powiedział, że pani Locher kazała je założyć w zeszłym tygodniu.

- Jasne, że kazała. Pete'owi Sulh'vanowi, naszemu gazeciarzowi. Właśnie mi się przypomniało, że widziałem, jak je zakładał.

- Cholerna zagadka, jak z jakiegoś kryminału - jęknął Leydecker, Ralph jednak miał wrażenie, że bez chwili wahania zamieniłby Susan Day na May Locher. - Wstępne wyniki sekcji dostarczono mi dziś przed moją wizytą w sądzie. Zdążyłem na nie zerknąć. Aorta to, płuca tamto... w każdym razie nawaliło serce. W tej chwili traktujemy ten telefon jako dowcip, jeden z wielu, jak we wszystkich miastach. A za przyczynę śmierci uważamy atak serca spowodowany rozedmą.

- Innymi słowy, zbieg okoliczności. - Ten wniosek oszczędzał Ralphowi mnóstwa kłopotów, w każdym razie gdyby nic go nie podważyło, a jednak w jego głosie wyraźnie słychać było niedowierzenie.

- Aha. Mnie to się też nie podoba. I Steve'owi też nie. Dlatego właśnie dom został zabezpieczony. Wydział Zabójstw policji stanowej przeszuka go od strychu po piwnice, zaczną najprawdopodobniej jutro rano. Ciało pani Locher zostało

tymczasem przewiezione do Augusta, na dokładniejszą sekcję. Może dostaniemy nowe informacje? Czasami się tak zdarza. Aż byś się zdziwił, jak często.

- Chyba tak.

Leydecker wyrzucił wykałaczkę do śmieci. Przez chwilę dumał nad czymś ponuro, potem nagle uśmiechnął się.

- Hej, mam pomysł! Może każę komuś z laboratorium skopiować te taśmę z rozmową. Mógłbym ci ją odegrać, może rozpoznałbyś głos? Kto wie? Dziwniejsze rzeczy się zdarzają.

- No, chyba tak. - Ralph uśmiechnął się niepewnie.

- W każdym razie teraz to sprawa Utterbacka. Chodź, odprowadzę cię do drzwi.

Przy wyjściu John Leydecker jeszcze raz uważnie przyjrzał się Ralphowi i tym razem zaniepokoiło to Ralpha znacznie bardziej, bo nie wiedział, o co mu właściwie chodzi. Aury znów znikły. Próbował się uśmiechnąć, ale chyba uśmiech nie wypadł zbyt przekonywająco.

- Mam na nosie coś, czego nie powinienem mieć? - spytał.

- Nie. Tylko dziwi mnie, że tak dobrze wyglądasz, zwłaszcza po tym, co przeszedłeś

wczoraj. A w porównaniu z zeszłym rokiem... jeśli to dzieło plastra miodu, kupuję sobie pasiekę!

Ralph roześmiał się, jakby była to najzabawniejsza rzecz, jaką usłyszał w życiu.

Wtorek, za osiemnaście druga rano.

Ralph siedział w fotelu, patrząc, jak mgła wiruje wokół pobliskich ulicznych lamp. Nieco dalej zwisała bezwładnie taśma rozwinięta wokół domu May Locher.

Spał niespełna dwie godziny i znów zaczynał myśleć, że śmierć byłaby jednak lepsza. Trup nie cierpi na bezsenność. Trup nie czeka na świt w tym cholernym fotelu. Trup nie przeżywa dni, kiedy wydaje mu się, że patrzy na świat przez potrójną tarczę „Gardol”, jak z tej starej reklamy pasty do zębów. Dawno to było, w czasach wczesnej młodości telewizji, kiedy we włosach nie miał jeszcze ani pasma siwizny, kiedy zasypiał w pięć minut po tym, gdy skończył się kochać z Carolyn.

A ludzie powtarzają mi bez przerwy, jak doskonale wyglądam. Doprawdy zdumiewające!

Tylko że wcale nie było to takie zdumiewające. Wobec tego, co widywał ostatnio, stwierdzenie, że wygląda jak nowy, znajduje się w gruncie rzeczy na liście samych dziwności.

Znów spojrział na dom May Locher. Leydecker twierdził, że dom był zamknięty od środka, lecz on przecież widział dwóch małych łysych doktorków, wychodzących przez frontowe drzwi, widział ich, cholera...

Lecz czy naprawdę ich widział?

Czy naprawdę?

Wrócił pamięcią do wczorajszego poranka. Siedział w tym samym fotelu z kubkiem herbaty myśląc: „Niech zacznie się przedstawienie”. A potem zobaczył tych dwóch małych sukinsynów, zobaczył ich, cholera, jak wychodzą z domu May Locher!

Tylko że może się mylił, bo przecież tak naprawdę wcale nie patrzył na ten dom, już raczej bardziej w stronę sklepu. Kiedy kątem oka dostrzegł jakiś ruch, obrócił głowę, żeby sprawdzić, czy to przypadkiem nie Rosalie, i dopiero wtedy na progu domu May Locher zobaczył małych łysych doktorków. Nie był już wcale taki pewny, że widział, jak otwierają się drzwi, może po prostu założył, że musiały się otworzyć - bo niby co? Na pewno nie podeszli do nich ścieżką od ulicy.

Tego nie możesz być pewien, Ralph.

Ale tego właśnie był pewien. O trzeciej nad ranem Harris Avenue ciągle przypominała góry na Księżycu - zauważyłby najdrobniejszy ruch na odcinku, który był w zasięgu jego wzroku.

Czy doktorek nr 1 i doktorek nr 2 rzeczywiście wyszli przez drzwi frontowe? Im dłużej myślał, tym bardziej w to wątpił.

Więc jak to się stało, Ralph? Może wyszli zza Niewidzialnej Tarczy Gardola? Albo - jak ci się to podoba? - przeszli przez drzwi jak duchy prześladowujące Cosmo Toppera w tym starym serialu telewizyjnym.

Szaleństwo nad szaleństwami, ale ta ostatnia możliwość najbardziej pasowała mu do sytuacji.

No, przeszli przez te pieprzone drzwi? Och, Ralph, potrzebujesz pomocy. Powinieneś porozmawiać z kimś o tym, co się z tobą dzieje!

Słusznie. Tego akurat był w stu procentach pewien: musi się przed kimś wygadać, bo oszaleje. Tylko przed kim? Carolyn byłaby najlepsza, ale Carolyn nie żyje. Leydecker? Problem w tym, że już mu skłamał w sprawie tego anonimowego telefonu. Dlaczego skłamał? Ponieważ prawda zrobiłaby z niego

wariata. Prawda wskazywałaby, że zaraził się paranoją Eda Deepneau jak katarem. I czy nie było to wyjaśnienie najbardziej logiczne, oczywiście jeśli spojrzeć na sprawę obiektywnie?

- Ale to nieprawda - szepną). - Oni byli prawdziwi. Aury też.

Długa jest droga do raju, kochanie... a po drodze lepiej zwracaj uwagę na zielonożółte ślady białych mężczyzn.

Powiedz to komuś. Zrzuc ciężar z serca. Tak. I powinieneś zrobić to, nim John Leydecker wysłucha taśmy i pojawi się na twym progu, żądając wyjaśnień. Będzie się chciał dowiedzieć, dlaczego kłamałeś i co właściwie wiesz o śmierci May Locher.

Powiedz komuś. Zrzuc ciężar z serca.

Ale Carolyn nie żyje, Leydecker jest jeszcze zbyt zielony, Helen ukryła się w schronisku gdzieś na wsi, a Lois Chasse może wygadać wszystko „dziewczętom”.

Oczywiście kiedy już rozważył te możliwości, odpowiedź wydawała się jasna, lecz Ralph nadal czuł dziwną i zaskakującą niechęć do zwierzeń przed Billem McGovernem. Pamiętał ten dzień, kiedy Bili na ławce przy boisku do softballu opłakiwał przyjaciela i mentora, Boba Polhursta. Próbował opowiedzieć mu wówczas o aurach, ale miał wrażenie, że Bili w ogóle go nie słyszy, że jest zbyt zajęty wygłaszaniem kwestii ze starego, zaczytanego scenariusza na temat, jakie to gówniane uczucie, kiedy się człowiek starzeje.

Pomyślał o kpiąco uniesionej brwi. Nieustającym cynizmie i długiej, zawsze ponurej twarzy. Wymyślnych metaforach, po których najczęściej się uśmiechał, lecz prawie zawsze czuł odrobinę gorszy. Pomyślał też o stosunku McGoverna do Lois: traktował ją z góry,

czasami bywał wręcz okrutny.

Ralph zdawał sobie sprawę, że nie oddaje Billowi sprawiedliwości. Bili umiał być łagodny i współczujący, i - co prawdopodobnie w tej sytuacji najważniejsze - pełen zrozumienia. Znali się od przeszło dwudziestu lat, przez ostatnie dziesięć mieszkali w tym samym domu. Bili niósł trumnę Carolyn podczas jej pogrzebu. Jeśli on, Ralph, nie może porozmawiać o tym, co się dzieje, z Billem, to kto mu pozostaje?

Odpowiedź wydawała się prosta. Nikt.

Rozdział 10

Pierścienie mgły wokół ulicznych lamp znikły, nim rozjaśniło się niebo na wschodzie, a o dziewiątej słońce świeciło już jasno. Być może zaczynał się właśnie ostatni krótki dzień złotej jesieni. Ralph zszedł na dół, gdy tylko skończyło się „Dzień dobry, Ameryko”, zdecydowany opowiedzieć, co się z nim działo (a przynajmniej to, na co wystarczy mu odwagi) Billowi, póki nie opuści go determinacja. Kiedy jednak stanął przed drzwiami mieszkania na parterze, usłyszał szum prysznicu i - dzięki Bogu, daleki - głos Williama D. McGoverna śpiewającego „Serce zgubiłem w San Francisco”.

Wyszedł na ganek, wsadził dłonie w tylne kieszenie spodni i odczytywał sekrety rodzącego się dnia, jakby wypisane były wielkim drukiem. Nie ma na świecie nic, pomyślał, dosłownie nic, co by mogło się równać z październikowym słońcem. Niemal czuł, jak rozpacz ostatniej nocy rozplywa się w nim i znika. W nocy pewnie powróci, ale na razie czuł się świetnie; niewątpliwie zmęczony i nie w pełni władz umysłowych, ale poza tym rzeczywiście świetnie.

Dzień był więcej niż piękny; był po prostu wspaniały. Trzeba być głupcem, żeby go nie wykorzystać. Spacer na Extension i z powrotem zabierze mu pół godziny, może czterdzieści pięć minut, jeśli po drodze spotka kogoś, z kim warto uciąć pogawędkę. Przez ten czas Bili zdąży się wykapać, uczesać i ubrać. I będzie gotów nadstawić przyjaznego ucha.

Ralph doszedł prawie na teren piknikowy przy ogrodzeniu lotniska, w głębi ducha mając nadzieję spotkać Starego Dora. Gdyby go spotkał, mogliby pogadać trochę o poezji - na przykład o Stephenie Dobynsie - a może i o filozofii, kto

wie? Rozmowa o filozofii mogłaby się zacząć od tego, że Dorrance wyjaśniłby mu, co to znaczy „sprawy długoterminowych” i dlaczego on, Ralph, ma się w nie nie mieszać.

Dorrance'a nie było jednak na terenie piknikowym, nie było tam nikogo z wyjątkiem Dona Veaziego, który bardzo chciał wyjaśnić Ralphowi, dlaczego Bili Clinton tak fatalnie radzi sobie z prezydenturą i dlaczego wszystkim obywatelom dobrych starych Stanów Zjednoczonych Ameryki żyłoby się lepiej, gdyby wybrali tego geniusza finansowego, Rosa Perrota. Ralph, który głosował na Clintona i uważał, że całkiem dobrze radzi on sobie jako prezydent, słuchał go chwilkę, żeby nie wydać się niegrzecznym, a potem oświadczył, że musi już iść do fryzjera. Tylko to udało mu się wymyślić na poczekaniu.

- I jeszcze coś! - wrzasnął za nim Don. - Ta jego żona, ta arogancka dziwka! Ta baba to lesbijka! Ja zawsze się zorientuję. A wiesz jak? Patrzą na ich buty. Buty to ich tajny kod! Lesbije zawsze noszą takie z kwadratowymi noskami i...

- Do zobaczenia, Don! - krzyknął Ralph i oddalił się pośpiesznie.

Odszedł na jakieś trzysta metrów, kiedy, w całkowitej ciszy, dzień wybuchł wokół niego jak bomba.

Znajdował się naprzeciw domu May Locher, kiedy to się stało. Stał jak wrośnięty w ziemię, wpatrując się w Harris Avenue wielkimi, pełnymi niedowierzania oczami. Prawą rękę przyciskał do gardła, dolna szczeka zwisała mu niemal na pierś. Wyglądał tak, jakby właśnie dostał ataku serca. I choć jego serce, przynajmniej na razie, wydawało się w porządku, czuł się rzeczywiście, jakby dostał jakiegoś ataku. Nic, co widział tej jesieni, nie przygotowało go na coś podobnego. W ogóle nic nie byłoby go w stanie na coś podobnego przygotować.

Ten drugi świat - tajemny świat aur - znów pojawił mu się przed oczami, tym razem tak okazały, że zmusił go do zastanowienia się, czy człowiek może umrzeć od nadmiaru wrażeń. Górna Harris Avenue stała się jaskrawą krainą cudów, pełną zachodzących na siebie kręgów, stożków i półksiężyców barw. Drzewa, choć jeszcze z tydzień dzielił je od pełni jesiennej transformacji, płonęły jak pochodnie w jego oczach i w mózgu.

Niebo wkroczyło w stan, którego nie próbował nawet opisać kategoriami koloru. Było niczym błękitny grzmot towarzyszący przekroczeniu bariery dźwięku.

Kable telefoniczne w zachodnim Derry biegnęły nad ziemią. Ralph wpatrywał się w nie jak zaczarowany. Bez szczególnego niepokoju zdał sobie sprawę, że przestał oddychać i że jeśli wkrótce nie zacznie, może stracić przytomność. Żółte ostre spirale pędziły rażno w obie strony po czarnych kablach. Od czasu do czasu ten wzór przełamywały pionowe błyski jaskrawej zieleni mknące jakby w obu kierunkach naraz, zaćmiewające żółte pasma i niemal natychmiast ginące.

Widzisz rozmowy telefoniczne, pomyślał tępo. Zdajesz sobie z tego sprawę, Ralph? Ciocia Sadie z Dallas rozmawia ze swym ukochanym siostrzeńcem mieszkającym tu, w Derry, farmer z Haven klóci się z właścicielem warsztatu, który mu naprawiał traktor, kapłan pomaga wiernemu w potrzebie. To głosy. A te błyski pojawiają się chyba wtedy, kiedy mówią ludzie owładnięci gwałtownymi uczuciami: miłością i nienawiścią, szczęściem i zazdrością.

I jeszcze - Ralph czuł, że to, co widzi i co czuje, to nie wszystko, że poza zasięgiem jego zmysłów, choć w tej chwili tak wielkim, czai się cały, inny, ogromny świat. Świat tak wyraźny i ogromny, że w porównaniu z nim to, co widzi teraz, wydałoby mu się wyblakłe, spłowiałe. A jeśli taki świat istnieje rzeczywiście, jakim cudem można go znieść, nie

popadając w szaleństwo? Nie pomogłoby nawet, gdyby wylupił sobie oczy; pojmował, że określenie „widzę” bierze się wyłącznie stąd, iż życie przyzwyczało go do tego, że wzrok jest najważniejszym ze zmysłów. To, co działo się teraz, wykraczało jednak poza granice widzenia.

Zamknął oczy, żeby to sobie udowodnić... i nadal widział Harris Avenue; miał wrażenie, że jego powieki zrobione są ze szkła. Jedyne różnice polegały na odwróceniu kolorów: świat był teraz jak negatyw kolorowej fotografii. Drzewa nie były już żółte i pomarańczowe, lecz nienaturalnie zielone niczym limonowa gatorada. Sama Harris Avenue, pokryta w czerwcu nowym asfaltem, stała się jaskrawobiałą wstęgą, niebo zdumiewająco czerwonym jeziorem. Otworzył oczy niemal pewien, że aury znikną, ale aury nie znikły - świat nadal rezonował, nadal wibrował kolorami, ruchem i głębokim, dudniącym dźwiękiem.

Kiedy ich zobaczę?-pomyślał Ralph, ruszając przed siebie powolutku. Kiedy wreszcie z nicości wyłonią się mali łysi doktorkowie?

Na razie nie widać było żadnych doktorków, ani łysych, ani włochatych, nie było aniołów na wysokościach ani diabłów zerkających z kanałowych kratek. Były tylko...

- Hej, Roberts, patrz, gdzie idziesz, dobrze?

Słowa te, wypowiedziane ostrym, choć pełnym niepokoju głosem, zdawały się wręcz mieć cechy fizyczne; czuł je trochę tak, jakby przesuwiał dłonią po dębowej boazerii w zabytkowym opactwie lub starej rodowej rezydencji. Ralph stanął jak wryty. Przed sobą dostrzegł panią Perrine, sąsiadkę z tej samej ulicy. Pani Perrine zeszła z chodnika wprost do kanału ściekowego, unikając upadku. Stała tam po kolana w opadłych liściach, trzymając w ręku torbę z zakupami i przyglądając mu się spod gęstych siwych brwi. Otaczająca ją aura miała zdecydowany szary odcień munduru kadeta z West Point.

- Upiłeś się, Roberts? - spytała ostro i nagle szaleństwo kolorów i doznań znikło, a Ralph stał na zwykłej, normalnej Harris Avenue, drzemiącej w cudownym blasku słońca w zwykły, powszedni dzień.

- Upiłem się? Ja? Ależ nie, nie! Ja w ogóle nie piję, przysięgam!

Wyciągnął ku niej rękę. Pani Perrine, która przekroczyła wprawdzie osiemdziesiątkę, ale pozostała nieugięta-niezależnie od okoliczności, absolutnie i bezkompromisowo nieugięta - spojrzała na niego, jakby sądziła, że Ralph Roberts ukrywa w dłoni coś, co mogłoby, na przykład, porazić ją prądem. „Tego można się po tobie spodziewać, Roberts”, mówiły jej chłodne szare oczy. „Ja w każdym razie właśnie tego bym się po tobie spodziewała”.

Weszła na chodnik, nie korzystając z jego pomocy.

- Bardzo panią przepraszam. Po prostu nie patrzyłem, dokąd idę i...

- Oczywiście, że nie patrzyłeś, dokąd idziesz. Stałeś z otwartymi ustami jak gapa, jak ostatnia gapa. Wioskowy idiota, kubek w kubek.

- Przepraszam - powtórzył Ralph i musiał ugryźć się w język, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Hmm. - Pani Perrine zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, niczym sierżant marines zielonego rekruta. - Koszula rozpruła ci się pod pachą, Roberts.

Ralph podniósł lewe ramię i zajrzał sobie pod pachę. No

tak, ulubiona koszula khaki rzeczywiście się rozpruła. Przez rozdarcie widział bandaż i plamkę krwi na zmierzwionych siwych włosach. Prędko opuścił rękę, rumieniąc się lekko.

- Hmm - powtórzyła pani Perrine, wyrażając wszystko, co chciała wyrazić, bez uciekania się do jednej choćby samogłoski. - Przynieś ją do mnie, jeśli chcesz. I wszystko, co uważasz za godne szycia. Nadal potrafię posługiwać się igłą, wiesz, Roberts?

- Och tak, oczywiście, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, pani Perrine.

Pani Perrine obrzuciła go spojrzeniem mówiącym wyraźnie: „Jesteś starym, zasuszonym komplementarzem, ale chyba rzeczywiście nic nie możesz na to poradzić”.

- Ale nie dziś po południu - mówiła dalej. - Dziś po południu pomagam przygotować obiad w schronisku dla bezdomnych i podaję go o piątej. To zbożne dzieło.

- Och tak, oczywiście...

- W niebie nie będzie bezdomnych, Roberts. Możesz na to liczyć. Spodziewam się, że nie będzie także podartych koszul. Ale póki żyjemy tutaj, musimy sobie jakoś radzić. - A ja radzę sobie doskonale, głosił wszem i wobec wyraz twarzy pani Perrine. - Przynieś swoje szycie rano albo wieczorem, Roberts. I nie przejmuj się tym, co wypada, a co nie. Ale nie po ósmej trzydzieści. O dziewiątej chodź spać.

- Ależ bardzo pani dziękuję, pani Perrine. - Ralph znów musiał ugryźć się w język, w pełni świadom, że przygryzanie języka wkrótce przestanie działać, a wtedy będzie miał tylko wybór: roześmiać się lub umrzeć.

- Nie ma za co. Chrześcijański obowiązek. Poza tym Carolyn była moją przyjaciółką.

- Bardzo dziękuję. Straszne, co się stało z May Locher, prawda?

- Nieprawda. Łaska boska. - I nim Ralph zdołał otworzyć usta, pani Perrine poszła swoją drogą. Szła tak doskonale wyprostowana, że kiedy za nią spojrzął, rozboleł go kręgosłup.

Ralph przeszedł kilka kroków, lecz w końcu nie wytrzymał. Oparł się o najbliższy słup telefoniczny, przycisnął rękę do ust i roześmiał się tak cicho, jak tylko potrafił. Kiedy napadł śmiechu (w gruncie rzeczy miał wrażenie, że to coś w rodzaju ataku hysterii) minął,

podniósł głowę i rozejrzał się dookoła zażawionymi oczami, uważny i trochę zaciekawiony. Nie dostrzegł nic, czego by nie mogli dostrzec wszyscy inni ludzie, i sprawiło mu to wielką ulgę.

Ale aury wróca, Ralph. Zdajesz sobie sprawę z tego, że wróca. Wszystko wróci.

Rzeczywiście, zdawał sobie z tego sprawę, ale ten problem mógł odłożyć na później. Na razie musiał odbyć pewną poważną rozmowę.

Kiedy wrócił wreszcie do domu ze swej zdumiewającej wyprawy, McGovern siedział na ganku, leniwie przeglądając gazetę. Wchodząc na ścieżkę, Ralph podjął nagłą decyzję. Powie Billowi wiele, ale nie powie mu wszystkiego, a już z pewnością nie wspomni nawet o tym, że faceci wychodzący z domu May Locher wyglądali kubek w kubek jak kosmici ze szmatławców sprzedawanych w „Jabluszkę”.

Był już na schodkach. McGovern podniósł na niego wzrok.

- Cześć, Ralph - powiedział.

- Cześć, Bili. Możemy o czymś porozmawiać?

- Oczywiście. - Bili zamknął gazetę i złożył ją starannie. - Wczoraj zabrali wreszcie do szpitala mojego starego przyjaciela, Boba Polhursta.

- Tak? Sądziłem, że nastąpi to wcześniej.

- Ja też. Wszyscy byli tego zdania. Oszukał nas. Wydawało się nawet, że mu się poprawi, przynajmniej jeśli chodzi o zapalenie płuc, ale nastąpił nawrót choroby. Wczoraj około południa przestał oddychać; jego siostrzenica była pewna, że umrze przed przyjazdem karetki. Nie umarł i teraz sytuacja chyba się ustabilizowała. - McGovern spojrzał na ulicę. Westchnął. - May Locher umarła w środku nocy, a Bob nadal jakoś tam żyje. Co za świat, nie?

- Co za świat.

- O czym chciałeś porozmawiać? Zdecydowałeś się może zadać Lois to najważniejsze pytanie i potrzebujesz ojcowskiej rady, jak się do tego zabrać?

- Potrzebuję rady, ale nie w sprawie mojego życia miłosnego.

- No to strzelaj.

Ralph wystrzelił więc, pełen wdzięczności i niemałej ulgi, bo Bili słuchał go uważnie i nie przerywał. Zaczął od naszkicowania tła i faktów, o których jego przyjaciel już wiedział: incydentu między Edem i kierowcą pikapa latem 1992 roku

i jak Ed mówił wówczas bzdury podobne do tych, które usłyszeli po pobiciu Helen. W miarę jak opowiadał, nabierał coraz większej pewności, że istniał jakiś związek między wszystkimi tymi dziwami, które mu się ostatnio przydarzały, związek, który już prawie

widział i niemal pojmował.

Opowiedział McGovernowi o aurach, choć przemilczał cichy wybuch świata, którego doświadczył przed niespełną półgodziną - to także wolał na razie zatrzymać dla siebie. McGovern wiedział, oczywiście, o ataku Pickeringa i o tym, że Ralph uniknął znacznie groźniejszych obrażeń, używając podarowanego mu przez Helen i jej przyjaciółkę gazu łzawiącego, ale teraz dowiedział się także tego, co przemilczane zostało w pierwszej wersji relacji z owych zdarzeń, która miała miejsce w niedzielę wieczorem podczas pośpiesznie przygotowanej wspólnej kolacji. Dowiedział się, jak to pojemnik z gazem jakby przeniesiony czarami znalazł się w kieszeni marynarki, tyle tylko że czarodziejem był najprawdopodobniej stary Dor.

- O, cholera! - krzyknął w tym momencie McGovern. - Diabelnie niebezpieczne prowadziłeś życie, Ralph.

- Trudno ci odmówić racji.

- Ile z tego powiedziałaś Leydeckerowi?

Ralph miał już powiedzieć „niewiele”, ale zorientował się, że i to byłoby przesadą.

- Prawie nic. I jest jeszcze coś, czego mu nie powiedziałem. Coś znacznie... no, powiedziałbym... znacznie bardziej konkretnego. Związanego z tym, co się zdarzyło tam. - Wskazał gestem na dom May Locher, do którego podjechały właśnie dwie biało-niebieskie półciężarówki z napisami „Policja Stanowa Maine”. Najprawdopodobniej pojawili się ludzie z Wydziału Zabójstw, o których wspomniał Leydecker.

- Z May? - McGovern pochylił się na krześle. - Wiesz coś o tym, co przydarzyło się May?

- Chyba tak. - Bardzo ostrożnie, powoli, używając słów niczym kamieni, po których przekracza się rwący, niebezpieczny potok, Ralph opowiedział McGovernowi, jak się obudził, jak poszedł do dużego pokoju i jak dostrzegł dwóch ludzi wychodzących z domu May Locher. Opowiedział mu też o uwięzionych powodzeniem poszukiwaniach lornetki i o nożycach, które jeden z owych mężczyzn trzymał w dłoni. Nie wspomniał o koszmarze, Carolyn i świecących śladach, i oczywiście, ani słowem nie zdradził, że miał wrażenie jakoby mężczyźni ci przeniknęli przez drzwi - zniszczyłoby to resztki

jego wiarygodności, jeśli w ogóle posiadał jeszcze jakąś wiarygodność. Skończył na anonimowym telefonie pod 911, po czym usiadł na krześle wygodniej i z niepokojem wpatrzył się w przyjaciela.

McGovern potrząsnął głową, jakby odzyskiwał przytomność.

- Aury, jasnowidzenie, tajemniczy włamywacze z nożycami... Rzeczywiście,

prowadziłeś cholernie niebezpieczne życie.

- A co ty o tym myślisz, Bili?

Przez kilka chwil McGovern siedział cicho. Podczas gdy Ralph mówił, zwinął gazetę, teraz z roztargnieniem postukiwał nią w nogę. Ralpa kusiło, by sformułować swe pytanie bardziej bezpośrednio - czy sądzisz, że oszalałem, Bili? - i stłumił pokusę. Czyżby naprawdę myślał, że na tego rodzaju pytanie ludzie udzielają szczerzej odpowiedzi... przynajmniej bez zażycia przedtem sporej dozy jakiegoś narkotyku? Czyżby rzeczywiście spodziewał się, że Bili powie mu: „Och, Ralphie, przyjacielu, oczywiście, jesteś szalony jak marcowy królik, więc może od razu zadzwonimy do Juniper Hill i spytamy, czy nie mają dla ciebie łódeczka?” Mało prawdopodobne.

- Nie mam zielonego pojęcia, co myślę - powiedział w końcu McGovern. - W każdym razie jeszcze nie. A jak oni właściwie wyglądali?

- Trudno było przyjrzeć się dokładnie ich twarzom, nawet przez lornetkę - odparł Ralph głosem równie spokojnym, jak wczoraj, kiedy twierdził, że to nie on dzwonił pod 911.

- I pewnie nie masz pojęcia, w jakim byli wieku?

- Nie.

- Czy któryś z nich mógł być naszym sąsiadem z ulicy?

- Edem Deepneau? - Ralph obrzucił przyjaciela zdumionym spojrzeniem. - Nie, żaden z nich nie mógł być Edem.

- A Pickeringiem?

- Nie, nie! To nie był ani Ed, ani Charlie Pickering. Ich rozpoznałbym bez problemu. Do czego dążysz? Że nawaliło mi pod dzwonnica i na progu domu May Locher zobaczyłem dwóch facetów, którzy w ciągu ostatnich kilku miesięcy najbardziej mi się narazili?

- Oczywiście, że nie! - Ale postukiwanie gazety o nogę ustało i Bili odwrócił wzrok. Ralph poczuł na sercu wielki ciężar. Oczywiście, McGovern dążył właśnie do tego i trudno to było uznać za niespodziankę, prawda?

Prawda - ale od prawdy ciężar na sercu bynajmniej mu nie zelżał.

- Johnny powiedział, że wszystkie drzwi były zamknięte?

- Tak.

- Od środka?

- Aha. Ale...

McGovern wstał z krzesła tak nagle, że przez jedną króciutką chwilę Ralph był pewien, że ma zamiar rzucić się do ucieczki, być może z wrzaskiem: „Strzeżcie się Roberta! Roberts oszalał!” Jednak zamiast skoczyć ku schodom, Bili skierował się do domu. Z jakiegoś

powodu zaniepokoiło to Ralpa jeszcze bardziej.

- Co masz zamiar zrobić?

- Zadzwoń do Larry'ego Perraulta. Młodszego brata May. Nadal mieszka w Cardville. Zdaje mi się, że jej pogrzeb odbędzie się właśnie w Cardville. - Bili spojrzał na Ralpa szczególnym, pełnym zastanowienia wzrokiem. - A ty myślałeś, że co mam zamiar zrobić?

- Właściwie to nie wiem - odparł dość niepewnie Ralph. - Przez chwilę wydawało mi się, że dasz stąd dyla wrzeszcząc „Ratunku!”

- Nie. - McGovern poklepał go po ramieniu. Ten przyjacielski gest wydał się Ralphowi chłodny, pozbawiony współczucia. Machinalny.

- A co ma z tym wspólnego jej brat?

- Johnny powiedział, że ciało May wysłali do Augusta na dokładniejszą sekcję?

- No, mówił coś o badaniach pośmiertnych... McGovern tylko machnął ręką.

- Uwierz mi, to dokładnie to samo. Jeśli autopsja wykaże coś szczególnego... coś, co by sugerowało, że mogła zostać zamordowana... będą musieli poinformować Larry'ego. To jej jedyny żyjący krewny.

- Ale czy on nie zacznie się zastanawiać, dlaczego raptem ty się tym zainteresowałeś?

- ^ Och, tym chyba nie musimy się przejmować. - Bili mówił łagodnym, uspokajającym tonem, który wcale się Ralphowi nie podobał. - Powiem mu, że policja zapieczętowała dom i że stara, poczciwa Harris Avenue aż huczy od plotek. Wie, że przyjaźniłem się z May jeszcze w szkole i że przez ostatnie kilka lat regularnie ją odwiedzałem. Nie przepadamy za sobą, ale i nie walczymy na kły i pazury. Powie mi, co chcę wiedzieć, choćby dlatego, że oboje z jego siostrą należeliśmy do niedobitków z Cardville. Rozumiesz?

- Chyba tak, ale...

- Mam nadzieję, że tak! - McGovern zmienił się; nagle sprawiał wrażenie bardzo starego i wyjątkowo obrzydliwego gada, potwora Gilan albo może gigantycznej jaszczurki. Wymierzył palec w przyjaciela. - Nie jestem głupi i potrafię uszanować cudze zaufanie. Z twojej twarzy czytam, że nie jesteś tego taki pewien, i to mi się nie podoba. Cholernie mi się nie podoba!

- Przepraszam - wykrztusił Ralph, zdumiony tym wybuchem.

McGovern patrzył na niego jeszcze przez chwilę; ściągnięte w grymasie suche wargi obnażały zbyt wielką sztuczną szczękę. Potem skinął głową.

- Dobrze, przyjmuję twoje przeprosiny. Muszę wziąć pod uwagę, że kiepsko sypiasz, a

jeśli o mnie chodzi, to nie potrafię zapomnieć o Bobie Polhurście.-Westchnął jednym ze swych najcięższych westchnień „biednego, biednego Billa”. - Słuchaj, jeśli wolisz, żebym nie dzwonił do brata May...

- Nie, nie. - Ralph najbardziej chciałby cofnąć zegarek o jakieś dziesięć minut i wymazać z życia całą tę rozmowę. Nagle pomyślał, że mógłby dać jakiś wyraz uczuciu, które Bili z pewnością by zrozumiał, i w głowie pojawiło mu się od razu pełne, doskonale ukształtowane zdanie.

- Przepraszam, że podałem w wątpliwość twoją dyskrecję. McGovern uśmiechnął się, najpierw niechętnie, a potem

szczerze, szeroko.

- Teraz wiem, dlaczego nie sypiasz - stwierdził. - Wszystko przez takie właśnie głupie myśli. Posiedź sobie spokojnie, Bili, myśląc o sympatycznym hipopotamie, jak zwykła była mawiać moja mamusia. Zaraz wracam. Pewnie nawet nie złapię Larry'ego, musi przecież załatwiać te wszystkie związane z pogrzebem sprawy. Chcesz poczytać gazetę, kiedy będziesz czekał?

- Jasne. Dzięki.

Bili wręczył mu gazetę, nadal zachowującą kształt rury, w którą ją przedtem zwinął, i wszedł do domu. Ralph zerknął na pierwszą stronę. Wielki tytuł głosił: ZWOLENNICY WYBORU I ZWOLENNICY ŻYCIA GOTOWI NA PRZYJAZD AKTYWISTKI. Po obu stronach tekstu znajdowały się dwa zdjęcia. Na jednym ukazane były młode kobiety przygotowujące transparenty w rodzaju MOJE CIAŁO. MÓJ WYBÓR i NAD DERRY ŚWITA NOWY DZIEŃ, drugie przedstawiało pikietę przed ośrodkiem. Pikietujący nie mieli żadnych

transparentów i żadne transparenty nie były im potrzebne; czarne płaszcze z kapturami i kosy w rękach mówiły wszystko.

Ralph westchnął, rzucił gazetę na stojący obok fotel na biegunach i po prostu patrzył, jak mija piękny wtorkowy ranek na Harris Avenue. Pomyślał, że McGovern równie dobrze może rozmawiać w tej chwili z Larrym Perraultem co z Johnem Leydeckerem, prowadząc profesorsko-studenckie seminarium na temat tego starego cierpiącego na bezsenność wariata, Ralpa Roberta.

„Myślałem, że może chciałbyś wiedzieć, kto zadzwonił pod 911,Johnny”.

„Dzięki, profesorze. I tak byliśmy prawie pewni, że to on, ale dobrze jest mieć potwierdzenie. Moim zdaniem staruszek jest nieszkodliwy. Nawet go lubiłem”.

Ralph odepchnął od siebie myśli na temat: do kogo to Bili dzwoni, a do kogo nie.

Łatwiej mu było po prostu siedzieć i w ogóle nie myśleć, nie myśleć nawet o sympatycznym hipopotamie. Łatwiej mu było patrzeć, jak na parking „Jabłuszka” skręca ciężarówka Budweisera i zatrzymuje się na chwilę, by przepuścić półciężarówkę, która dostarczyła do sklepu tygodniowy przydział szmatławców, tygodników i książek w kieszonkowych wydaniach i właśnie wyjeżdża. Łatwiej mu było śledzić wzrokiem starą Harriet Bennigan, przy której pani Perrine wyglądała jak młódka, ubraną w jaskrawoczerwony płaszcz od deszczu i pochyloną nad chodakiem na kółkach - czyli zażywającą porannego spaceru. Łatwiej mu było obserwować małą dziewczynkę w džinsach, o wiele za dużym białym podkoszulku i o wiele za dużym męskim kapeluszu, skaczącą na skakance na zarośniętej, pustej parceli między piekarnią Franka a „Salonem Księżycowej Piękności Vicky” (Specjalizujemy się w maseczkach na całe ciało). Łatwiej było mu patrzeć na małe dłonie dziewczynki, poruszające się rytmicznie w górę i w dół. Łatwiej było mu słuchać, jak śpiewa nie kończącą się piosenkę: „Raz, dwa, trzy, pchły na spacer szły...”

Nagle, zdumiony, Ralph zdał sobie sprawę, że omal nie zapadł w sen, siedząc tak sobie na stopniach ganku. I w tej samej chwili znów pojawiły się aury, wypełniając świat zdumiewająco pięknymi kolorami, zdumiewająco żywymi ruchami. Piękne to było, ale...

...ale coś tu się nie zgadzało.

Dziewczynka skacząca na skakance na pustej parceli. Jej tu nie powinno być. Jej nogi w opiętych džinsach pracowały jak

igła maszyny do szycia, w górę i w dół, w górę i w dół. Obok, po spękany beton starej ścieżki, zarośniętej chwastami i słonecznikami, skakał jej cień. Skakanka mknęła w górę i w dół, i dookoła, w górę i w dół, i dookoła...

Przecież to nie za duży biały podkoszulek, nie, nie myli się! To biały fartuch! Dziewczynka miała na sobie biały fartuch. Biały fartuch, jaki nosili lekarze na starych serialach szpitalnych...

Raz, dwa, trzy, pchły na spacer szły, W tramwaju goryl żuł tytoń i był bardzo zły...

Słońce skryło się za chmurą, na Harris Avenue spelzło ponure zielonkawe światło; dzień jakby skrył się pod wodą. Ralph najpierw poczuł na skórze chłód, a potem gęsią skórę. Cień skaczącej dziewczynki znikł, a kiedy spojrzała na Ralpa, okazało się, że wcale nie ma do czynienia z dziewczynką. Patrzył na niego mężczyzna mający jakieś metr dwadzieścia wzrostu. Jego twarz Ralph wziął najpierw za twarz dziecka, ponieważ była całkowicie gładka, bez choćby jednej zmarszczki. Mimo to jednak przekazywała uczucia - Ralph czuł zło, zło w natężeniu, które zdrowy umysł doprowadziłoby do szaleństwa.

Ależ tak, pomyślał tępo, patrząc na skaczącą przez skakankę stworą. Właśnie tak.

Czymkolwiek jest ten stwór, on sam oszalał. Całkowicie, beznadziejnie oszalał.

Stwór mógłby równie dobrze czytać w jego myślach, bowiem w tej właśnie chwili rozciągnął usta i obnażył zęby w uśmiechu zarazem wesołym i obrzydliwym, jakby łączył ich jakiś nieprzyjemny sekret. Ralph był także pewny - tak, całkiem pewny, niemal stuprocentowo pewny - że śpiewa mimo tego uśmiechu, nie poruszając wargami:

(pchły zdechły, goryle stęchły i wszyscy poszli na dno puszczając bąbelki!)

Ralph był także pewny, że nie jest to żaden z dwóch małych doktorków, których widział wychodzących z domu May Locher. Może był im pokrewny, ale nie identyczny. Był...

Stwór odrzucił skakanke. Lecąc w powietrzu, zmieniła ona kolor najpierw na żółty, potem na czerwony; wydawała się także iskrzyć. Mała postać - doktorek nr 3 - gapiała się na niego z uśmiechem, Ralph zaś zdał sobie sprawę z czegoś, co przyprawiło go o paroksyzm strachu. Rozpoznał kapelusz doktorka.

Była to panama Billa McGoverna.

I znów stwór jakby odczytał jego myśli. Zdjął kapelusz z głowy łysej i okrągłej, i pomachał nim niczym kowboj siedzący okrakiem na szarżującym byczku. I przez cały czas uśmiechał się tym ohydny uśmiechem.

Nagle wskazał palcem, jakby wyróżniał Ralpa z tłumu, po czym wsadził kapelusz na głowę, popędził wąskim, zarośniętym chwastami zaułkiem między salonem piękności a piekarnią i zniknął.- W tym momencie słońce wypłynęło zza chmury i jaskrawy blask aur przybladł po raz kolejny, by wreszcie zniknąć. Wkrótce Ralph miał już przed sobą tylko Harris Avenue, starą nudną Harris Avenue, dokładnie taką jak zawsze.

Zadrżał i westchnął na wspomnienie szaleństwa na małej uśmiechniętej twarzy. Na wspomnienie stwora, który wskazał go palcem

(goryle się stęchły)

jakby

(wszyscy poszli na dno puszczając bąbelki)

wyróżniał go z tłumu.

- Niech ktoś mi powie, że zasnąłem - szepnął ochryplym głosem. - Niech mi ktoś powie, że zasnąłem i wyśniłem sobie tego małego sukinsyna!

Za jego plecami otworzyły się drzwi.

- Oho, ktoś tu mówi do siebie - powiedział McGovern. - Musisz mieć kupę forsy w banku, Ralph.

- Kupę. Akurat tyle, żeby zapłacić za pogrzeb. - Jego własny głos wydał mu się

głosem człowieka, który doznał właśnie wstrząsu i nadal próbuje poradzić sobie z pozostałym po nim strachem; spodziewał się, że Bili skoczy natychmiast ku niemu z wyrazem troski (a może tylko podejrzliwości) na twarzy.

McGovern nie zrobił jednak nic podobnego. Padł na bujany fotel, skrzyżował ramiona na piersi w ponure X i spojrzał przed siebie, na Harris Avenue; scenę, na której on i Ralph, i Lois, i Dorrance Marstellar - „my przeżywający złotą jesień życia” według określenia McGoverna-rozgrywali najczęściej nudny, a czasami pełen cierpienia ostatni akt życia.

Powiedzmy, że mu o tym powiem? - pomyślał Ralph. Powiedzmy, że zacznę rozmowę na przykład tak: „A przy okazji, Bili, wiem, co się stało z twoją panamą. Dorwał go pewien skurwiel spokrewniony z facetami, których widziałem w nocy. Nosi go, kiedy skacze na skakance między piekarnią i salonem piękności”.

Jeśli Bili miał jeszcze jakieś wątpliwości na temat stanu jego umysłu, ta wiadomość z pewnością położyłaby im kres. No, tak.

Ralph trzymał gębę na kłódkę.

- Przepraszam, że nie było mnie tak długo - powiedział McGovern. - Larry twierdził wprawdzie, że złapałem go akurat w drzwiach, że właśnie wychodził do domu pogrzebowego, ale nim zdążyłem go o cokolwiek zapytać i skończyć rozmowę, opowiedział mi z połowę życia May i niemal całe swoje. Gadał bez przerwy przez dobre czterdzieści pięć minut.

Święcie przekonany, że to spora przesada - McGovern nieobecny był z pewnością najwyżej pięć minut - Ralph zerknął na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że jest już piętnaście po jedenastej. Spojrzał na ulice. Pani Bennigan znikła. Podobnie ciężarówka Budweisera. Czyżby rzeczywiście zasnął? Chyba musiał zasnąć... ale pod karą śmierci nie przypominałby sobie przerwy w świadomym postrzeganiu rzeczywistości.

Daj spokój, nie wygłupiaj się. Spałeś, kiedy zobaczyłeś tego małego łysego facedka. Ten mały łyсы facecik po prostu ci się przyśnił.

Oczywiście, tylko to miało sens. We śnie nawet fakt, że mały łyсы facecik miał na głowie panamę Billa, miał sens. Przecież panama występowała w koszmarze o Carolyn.

Tyle że tym razem nie śnił i był tego całkowicie pewien.

No, prawie pewien.

- Nie masz zamiaru mnie zapytać, co powiedział brat May? - McGovern sprawiał wrażenie lekko urażonego.

- Przepraszam, chyba się zamyśliłem.

- Wybaczam ci, synu... Oczywiście pod warunkiem, że od tej chwili będziesz mnie słuchał bardzo uważnie. Detektyw prowadzący dochodzenie w jej sprawie, Funderburke...

- Właściwie to on nazywa się Utterback, Steve Utterback... McGovern tylko lekko machnął ręką-ten gest wykonywał

zawsze, gdy go poprawiano.

- Nieważne. W każdym razie zadzwonił do Larry'ego i powiedział mu, że autopsja wykazała śmierć z przyczyn naturalnych. Ale w świetle twojego telefonu najbardziej obchodziło ich, czy May przypadkiem nie dostała ataku serca ze strachu. Czy włamywacze dosłownie nie wystraszyli jej na śmierć. Fakt, że dom zamknięty był od środka i że nie zginęło nic ważnego, przemawia oczywiście przeciw temu, ale potraktowali telefon wystarczająco poważnie, by sprawdzić tę możliwość.

Coś w rodzaju wyrzutu w tonie jego głosu - jakby uważał, że w tryby gładko obracającej się maszyny sypnięto piach - zirytowało Ralpha.

- Oczywiście, że potraktowali go poważnie. Widziałem dwóch facetów opuszczających jej dom i poinformowałem

o tym władze. Kiedy dotarli na miejsce, kobieta już nie żyła. Nie mogli nie potraktować tego poważnie.

- Dlaczego zatelefonowałeś anonimowo?

- Właściwie nie wiem. I co to za różnica? I jak, na litość boską, mogą być pewni, że nie została wystraszona na śmierć?

- Nie jestem pewien, czy mają stuprocentową pewność. - Teraz i McGovern sprawiał wrażenie zirytowanego. - Ale muszą być całkiem pewni, skoro wydają ciało May bratu

i zgadzają się na pogrzeb. Być może przeprowadzili jakieś badania krwi. Wiem tylko, że ten ich Funderburke...

- Utterback...

- ...powiedział Larry'emu, że May najprawdopodobniej zmarła we śnie.

McGovern założył nogę na nogę, chwilę pobawił się kantami luźnych niebieskich spodni, po czym spojrzał Ralphowi w oczy bystrym, przenikliwym spojrzeniem.

- Chcę ci udzielić pewnej rady, więc lepiej uważnie mnie wysłuchaj. Idź do lekarza. Teraz. Dziś. Nie czekaj cudu, nie czekaj wypłaty. Idź do Litchfielda. Zaczynasz mieć poważne problemy.

Ci, którzy wychodzili z domu May Locher, nie widzieli mnie, a ten widział, pomyślał Ralph. Widział mnie i wskazał mnie palcem. Z tego, co wiem, mogło mu chodzić właśnie o mnie!

No, i to oczywiście klasyczny przykład paranoi.

- Ralph, słyszałeś, co powiedziałem?

- Owszem. O ile cię rozumiem, nie wierzysz, że widziałem kogokolwiek wychodzącego z domu May Locher?

- A więc mnie rozumiesz. Poza tym zwróciłem uwagę na wyraz twojej twarzy, kiedy ci powiedziałem, że nie było mnie czterdzieści pięć minut... i na to, jak spojrzaleś na zegarek. Nie wierzyłeś, że upłynęło aż tyle czasu, prawda? A nie wierzyłeś, bo zdrzemnąłeś się, nie zdając sobie z tego sprawy! Uciałeś sobie krótką drzemkę. Prawdopodobnie właśnie tak było w nocy. Tylko że w nocy przyśnili ci się dwaj faceci, sen zaś był tak

przekonywający, że zadzwoniłeś pod dziewięćset jedenaście, kiedy się obudziłeś. Czy to ma sens? Raz, dwa, trzy, pomyślał Ralph. Pchły na spacer szły.

- A co z lornetką? - spytał. - Lornetka nadal leży na stole w dużym pokoju, obok fotela, w którym siedziałem. Czy to nie dowód, że nie spałem?

- Nie rozumiem, czego miałyby dowodzić. Nie przyszło ci do głowy, że możesz być lunatykiem? Twierdzisz, że widziałeś tych facetów, ale nawet nie potrafisz ich opisać.

- Bo te pomarańczowe lampy świecą tak jaskrawo...

- Drzwi zamknięte były od środka...

- Mimo wszystko nie...

- I aury, o których opowiadałeś. Jestem prawie pewien, że to objaw bezsenności. Ale też może coś poważniejszego.

Ralph wstał, zszedł z ganku na ścieżkę i stanął na niej plecami do McGoverna. W skroniach pulsowało mu boleśnie i serce biło zbyt mocno.

On mnie nie tylko wskazał. Miałem rację, ten mały sukinsyn mnie wybrał! I wcale mi się nie przyśnił. Tak jak tamci dwaj, których widziałem przed domem May Locher. Jestem tego całkiem pewien!

Jasne, jesteś tego całkiem pewien, Ralph, powiedział inny głos. Szaleńcy zawsze są pewni tego, co widzieli i słyszeli. Nie same halucynacje, tylko właśnie ta pewność czyni ich szaleńcami. Jeśli naprawdę widziałeś to, co widziałeś, co stało się z panią Benningan? Co stało się z ciężarówką Budweisera? Gdzie podziało się te czterdzieści pięć minut, które McGovern spędził na rozmowie z Larrym Perraultem?

- Symptomy wydają się bardzo poważne - odezwał się za nim McGovern i Ralph pomyślał, że w jego głosie jest coś strasznego. Satysfakcja? Czyżby to była satysfakcja?

- Jeden miał nożyce - powiedział nie odwracając się. - I ja te nożyce widziałem!

- Och, daj spokój, Ralph. Myśl! Zrób użytek z tego swojego mózgu i myśl! W niedzielę po południu, niespełna dwadzieścia cztery godziny przed wizytą u specjalisty od akupunktury, szalenciec niemal nadziewa cię na nóż. Dziwi cię, że w nocy masz sen z ostrym

przedmiotem w roli głównej? Igły Honga i myśliwski nóż Pickeringa zmieniają się w nożyce. To wszystko. Nie rozumiesz, że moja hipoteza uwzględnia wszystkie okoliczności, podczas gdy twoja nie uwzględnia żadnej?

- Więc lornetkę wziąłem, chodząc przez sen? Tak sądzisz?

- To możliwe. Więcej: prawdopodobne.

- I to samo z puszką gazu w kieszeni marynarki? Prawda? Stary Dor nie miał z nią nic wspólnego?

- Nie obchodzi mnie ani puszka gazu, ani Stary Dor! - krzyknął McGovern. - Ty mnie obchodzisz! Cierpisz na bezsenność od kwietnia czy maja, po śmierci Carolyn pograżyłeś się w depresji...

- Nie pograżyłem się w żadnej depresji! - odwrzasnął Ralph. Listonosz, który szedł drugą stroną ulicy, zatrzymał się, spojrział na nich, po czym znów ruszył w stronę parku.

- Niech będzie po twojemu - zgodził się Bili. - Nie pograżyłeś się w depresji. Ale również nie sypiasz, widzisz aury i facetów wychodzących w środku nocy z zamkniętych od środka domów... - I nagle, myląc lekkim głosem, McGovern powiedział coś, czego Ralph przez cały czas rozmowy obawiał się usłyszeć: - Lepiej uważaj na siebie, staruszk. Zaczynasz niepokojąco przypominać Eda Deepneau.

Ralph odwrócił się. Twarz mu pałała.

- Dlaczego tak się zachowujesz? Dlaczego tak na mnie napadasz?

- Wcale na ciebie nie napadam, Ralph. Po prostu próbuję ci pomóc. Próbuję zachować się jak przyjaciel.

- Wcale mi na to nie wygląda.

- Cóż, prawda czasami boli - stwierdził spokojnie McGovern. - Powinieneś przynajmniej rozważyć możliwość, że umysł i ciało próbują ci coś powiedzieć. Pozwól, że cię o coś zapytam: czy to jedyny nieprzyjemny sen, jaki ostatnio miałeś?

Na moment przed oczami Ralpha stanęła Carolyn, zakopana po szyję w piasku i krzycząca coś o śladach białego człowieka. I wylewające się z jej głowy robaki.

- Nie miałem ostatnio żadnych nieprzyjemnych snów - powiedział sztywno. - Przypuszczam, że mi nie uwierzysz, bo popsułoby ten twój wspaniały scenariusz.

- Ralph...

- Nie, pozwól, że teraz ja cię o coś zapytam. Czy naprawdę sądzisz, że ci dwaj wymyśleni przeze mnie faceci przez przypadek pojawili się przed domem May w nocy, kiedy umarła?

- Może i nie. Może stan psychicznego i fizycznego napięcia, w jakim się znalazłeś,

stworzył warunki do zaistnienia krótkiego, lecz całkowicie prawdziwego fenomenu parapsychoicznego.

To uciszyło Ralpa natychmiast.

- Wierzę, że takie rzeczy zdarzają się od czasu do czasu. - McGovern wstał. - Prawdopodobnie brzmi to dziwnie w ustach takiego starego racjonalisty jak ja, ale wierzę. Nie mówię, że coś takiego na pewno zaszło w twoim przypadku, ale twierdzę, że mogło zajść. Jednego jestem pewien - ci dwaj faceci, których, jak sądzisz, widziałeś, po prostu nie istnieją.

Ralph stał, patrząc na przyjaciela. Ręce trzymał w kieszeniach, pięści zaciskał tak mocno, że wydawały mu się kamieniami. Czuł, jak drżą mu mięśnie ramion.

McGovern zszedł ze schodków i delikatnie ujął go za ramię nad łokciem.

- Myślę tylko...

Ralph wyrwał gwałtownie rękę, a Bili aż stęknął ze zdumienia i zachwiał się nieco.

- Wiem, co myślisz!

- Nie słuchasz, co ci...

- Och, słyszałem wszystko, co miałeś do powiedzenia. Usłyszałem więcej niż dość. Możesz mi wierzyć. A teraz, proszę, wybac mi. Chyba znów pójdę na spacer. Muszę spokojnie pomyśleć. - Krew pulsowała Ralphowi w policzkach i czole. Próbował uruchomić mózg, by zwalczył ten bezsensowny, beznadziejny gniew, lecz nie mógł. Czuł się prawie tak, jak w chwili przebudzenia po koszmarze z Carolyn w roli głównej: przerażony, niepewny. Teraz, kiedy ruszył przed siebie, miał wrażenie, że nie idzie, lecz spada, tak jak wczoraj rano spadł z łóżka. Ale szedł dalej. Czasami można już tylko iść.

- Ralph, musisz pójść do lekarza! - krzyknął za nim McGovern i Ralph nie mógł już dłużej sobie tłumaczyć, że nie usłyszał w jego głosie tej dziwnej, gwałtownej i niecierplivej radości. Nałożona na nią troska była prawdopodobnie całkiem szczerą, ale przypominała słodki krem na gorzkim cieście. - Nie do farmaceuty, nie do faceta od akupunktury, nie do hipnotyzera, lecz do swojego lekarza!

Jasne, lekarza, faceta, który pogrzebał mi żonę poniżej linii przypiływu! - pomyślał Ralph i był to rodzaj umysłowego wrzasku. Faceta, który pogrzebał ją w piasku po szyję, a potem powiedział, nie martw się, nie utonie, jeśli tylko będzie brała valium i tylenol-3!

Głośno zaś odparł:

-. Muszę iść na spacer. Potrzebuję spaceru i tylko spaceru! - Serce waliło mu w skroniach krótkimi, mocnymi uderzeniami niczym pneumatyczny młot. Pomyślał, że tak się pewnie zaczyna wylew i że jeżeli się nie opanuje, padnie na chodnik porażony tym, co jego ojciec nazywał apopleksją złośników.

Słyszał, że McGovern schodzi za nim na ścieżkę. Tylko nie próbuj mnie dotknąć, Bili. Nie próbuj nawet położyć mi dłoni na ramieniu, bo jeśli spróbujesz, to pewnie odwrócę się i dam ci w pysk.

- Chcę ci pomóc! - krzyknął Bili. - Nie rozumiesz? - Po drugiej stronie ulicy listonosz znów się zatrzymał, by spojrzeć w ich kierunku, a przed „Jabluszkciem” Karl, pracujący lam rano, i Sue, pracująca popołudniami, gapili się na nich bez żenady. Karl trzymał w dłoni torbę bułek do hamburgerów. Zdumiewające, jakie to drobiazgi dostrzega się w takiej chwili... choć nie aż tak zdumiewające, jak pewne rzeczy, które zdarzało mu się ostatnio dostrzegać.

Jak sądzisz, jakie rzeczy zdarzało ci się ostatnio dostrzegać? - odezwał się zdradziecki głos w głębi jego głowy.

- Ruszaj! - szepnął do siebie rozpaczliwie. - Cholera, po prostu rusz przed siebie! - Przed oczami wyobraźni zaczął mu się przewijać film. Nieprzyjemny film z rodzaju tych, których osobiście nigdy nie oglądał, choćby nawet widział już wszystko, co oferowało akurat Centrum Filmowe. Ścieżką dźwiękową do tego mentalnego horroru było chyba, i wszyscy poszli na dno puszczając bąbelki”. Rany!

- Pozwól, że ci coś powiem, Ralph! W naszym wieku choroba umysłowa to rzecz częsta. W naszym wieku to rzecz bardzo częsta, więc idź do SWOJEGO DOKTORA!

Pani Benningan stała już na progu domu; chodzik, opuszczony, sterczał na ścieżce. Nadal miała na sobie jaskrawoczerwony płaszcz i patrzyła na nich bardzo szeroko otwartymi oczami.

- Słyszysz mnie, Ralph? Mam nadzieję, że mnie słyszysz. Mam nadzieję, że mnie słyszysz!

Ralph przyśpieszył kroku, zgarbiony, jakby szedł pod silny wiatr. Przypuśćmy, że Bili będzie tak krzyczał bez przerwy, tylko coraz głośniejsze i głośniejsze? Przypuśćmy, że wyjdzie za mną na ulicę?

Jeśli tak, ludzie nabiorą pewności, że to on jest szalony, pomyślał jeszcze, ale wcale go to nie pocieszyło. W głowie nadal słyszał fortepian, grający melodię dziecinnej piosenki. Nie, fortepian nie grał jej właściwie, było to tylko takie dziecinne brzdąkanie.

W krzakach, w krzakach, gęstych krzakach

Małpka ścigała łasicę

Małpka bawiła się świetnie

Małpka zdeptała łasicę.

I nagle Ralph zaczął widzieć staruszków z Harris Avenue, staruszków wykupujących ubezpieczenia od firm reklamujących się w telewizji kablowej, staruszków cierpiących na

kamienie żółciowe i raka skóry, staruszków, których pamięć kurczyła się, w miarę jak rozrastała się ich prostata, staruszków żyjących z Opieki Społecznej, oglądających świat przez pogarszającą się stale kataraktę, a nie różowe okulary. Ci staruszkowie czytali wszystkie listy adresowane do „Mieszkańców”, zwłaszcza zaś reklamy supermarketów, w których szukali obniżek cen jedzenia w puszkach i najprostszych domowych obiadów. Widział ich ubranych w śmieszne krótkie spodenki i lekkie bawełniane bluzeczki, widział ich ubranych w szkolne czapeczki i podkoszulki z obrazkami postaci z bajek. Mówiąc krótko, widział ich jako najstarszych przedszkolaków świata. Maszerowali gęsiego wokół dwóch rzędów obróconych do siebie oparciami krzeseł, a mały łysek w białym fartuchu grał na fortepianie „Małpka zdeptała łąsicę”. Drugi łysek podbierał krzesła, jedno za drugim, a kiedy fortepian przestawał grać i wszyscy mieli usiąść na krzesłach, komuś zawsze tego krzesła zabrakło. Tym razem zabrakło go dla May Locher, następnym stojącym będzie pewnie dawny szef McGoverna. Ci bez krzeseł musieli, oczywiście, wyjść z pokoju. Zabawa trwała i Ralph usłyszał śmiech Billa, Bili śmiał się, ponieważ znów znalazł sobie krzesło. May Locher umarła, Bob Polhurst umierał, Ralph Roberts najprawdopodobniej powoli dostawał fiola, ale z nim ciągle wszystko było w porządku, Szanowny William D. McGovern czuł się świetnie, doprawdy doskonale, mógł wstać, mógł jeść i potrafił znaleźć sobie krzesło, kiedy przestawała grać muzyka.

Ralph przyśpieszył kroku i jeszcze bardziej się zgarbił; oczekiwał kolejnej kanonady rad i przestróg. McGovern chyba nie. wyjdzie za nim na ulicę, ale nie było to przecież całkiem nieprawdopodobne. Jeśli jest dostatecznie zły, to za nim pójdzie - będzie wrzeszczał, będzie go napominał, żeby przestał się wygłupiać i poszedł jednak do lekarza, będzie mu uświadamiał, że fortepian może zamilknąć lada chwila, dosłownie lada chwila, i jeśli nie znajdzie krzesła, póki jeszcze można je znaleźć, może okazać się pechowcem... na zawsze.

Nie usłyszał jednak więcej krzyków. Już miał zamiar zerknąć przez ramię, sprawdzić, gdzie właściwie jest Bili, ale

opanował się w ostatniej chwili. Jeśli się odwróci, Bili może jednak nabrać ochoty na pościg. Najlepiej po prostu iść przed siebie, więc Ralph tylko wydłużył krok, kierując się znów w stronę lotniska, całkiem ^bezmyślnie. Szedł z opuszczoną głową, próbując nie słyszeć nieubłaganych dźwięków pianina, próbując nie widzieć starych dzieci maszerujących wokół krzeseł, próbując nie widzieć ich przerażonych oczu i sztucznych uśmiechów.

Kiedy tak szedł, przyszło mu do głowy, że jego nadzieje okazały się daremne. Mimo wszystko znalazł się jednak w tunelu, a wokół niego była tylko ciemność.

CZĘŚĆ DRUGA.
SEKRETNE MIASTO

„Starzy ludzie winni być odkrywcami”

T. S. Eliot

Rozdział 1

Derry Starych Pierników nie było jedynym sekretnym miastem egzystującym sobie spokojnie w ramach miejsca, które Ralph Roberts w myślach zawsze nazywał domem. Już jako chłopiec dorastający w Mary Mead, gdzie stały dziś kolonie tanich domków, odkrył, że poza Derry dorosłych, istniało także Derry należące wyłącznie do dzieci: zapomniane siedziby włóczęgów koło starej stacji kolejowej przy Nebolt Street, gdzie czasami można było znaleźć puszki po zupie pomidorowej z resztkami zaschniętej zupy i butelki piwa z pozostawionymi na dnie paroma łykami; zaulek na tyłach kina „Aladyn”, gdzie paliło się ręcznie skręcane papierosy i czasami podpalało fajerwerki; wielki wiąz wiszący nad rzeką, dzięki któremu pokolenia dziewcząt i chłopców nauczyły się skakać do wody i nurkować; setka - a może i dwie - ścieżek przesywających Pustkowiec, zarośniętą dolinę dzielącą śródmieście niczym blizna twarz po źle zagojonej ranie.

Te tajemne uliczki, te sekretne trakty znajdowały się poniżej pola widzenia dorosłych; dla dorosłych po prostu nie istniały... choć wśród nich zdarzały się wyjątki. Jednym z takich wyjątków był gliniarz nazwiskiem Aloysius Nell - dla pokoleń dzieci z Derry po prostu pan Nell - i dopiero teraz, idąc na teren piknikowy Ralph uświadomił sobie, że Chris Nell jest, być może, synem starego pana Nella... nie, raczej nie, ten policjant, którego po raz pierwszy spotkał w towarzystwie Johna Leydeckera, wydawał się za młody, żeby być jego synem. Jeśli już, to raczej wnukiem.

Ralph uświadomił sobie istnienie drugiego sekretnego miasta - miasta starców - mniej więcej wtedy, gdy przeszedł na

emeryturę, choć nie w pełni jeszcze zdawał sobie sprawę, że jest jego obywatelem. Na to przyszedł czas po śmierci Carolyn. Odkrył wówczas ukryty świat, niesamowicie wręcz podobny do tego zapamiętanego z dzieciństwa; świat ignorowany przez śpieszących się do pracy i do zabawy ludzi, okrążany przez nich w pośpiechu. Derry Starych Pierników nakładało się częściowo na trzecie sekretne miasto: Derry Przeklętych, straszne miejsce zamieszkane przede wszystkim przez alkoholików, młodych ludzi, którzy uciekli z domów, i szaleńców, których z różnych powodów nie dało się zamknąć.

To właśnie na terenie piknikowym Lafayette Chapin wprowadził Ralpa w jedną z najważniejszych tajemnic życia... najważniejszych, oczywiście, dla prawdziwych Starych Pierników. Chodziło, ściśle biorąc, o tak zwane „prawdziwe życie”. Kiedy się poznawali z Faye'em, Ralph zapytał go, czym się zajmował, nim zaczął spędzać czas tutaj.

„No, w prawdziwym życiu byłem stolarzem, stolarzem artystycznym”, odparł Chapin, obnażając resztki zębów w szerokim uśmiechu, „ale to się skończyło dziesięć lat temu”. Ralph pamiętał, że zabrzmiało mu to wtedy trochę tak, jakby emerytura była czymś w rodzaju pocałunku wampira wciągającego tych, którzy go przeżyli, w świat żywych trupów. Tylko jeśli się nad tym bliżej zastanowić, to całkiem niezły opis sytuacji, nie?

Pozostawiwszy McGoverna bezpiecznie za plecami (a przynajmniej miał nadzieję, że bezpiecznie), Ralph wszedł w rzadki laszek dębów i klonów, który oddzielał teren piknikowy od Extension. Od czasu jego porannej wizyty pojawiło się tu z dziewięciu, może nawet dziesięciu przyków, większość z nich z kanapkami na drugie śniadanie. Zellowie i Eberly'owie grali w kierki starą, zapuszczoną talią kart, która, zawsze gotowa, spoczywała w dziupli pobliskiego dębu. Faye i Doc Mulhare, emerytowany weterynarz, rozgrywali partyjkę szachów. Kibice wędrowali od jednej grupki do drugiej.

Teren piknikowy istniał dla gier-większość Derry Starych Pierników istniała dla gier - lecz zdaniem Ralpa gry były tylko pretekstem. Właściwie ludzie przychodzili tu po to, żeby zdobyć punkt i żeby zobaczyć, że zdobyli punkt; przychodzili

tu, by dowieść (co najmniej samym sobie), że nadal jakoś tam żyją, i do diabła z tym, czy jest to życie prawdziwe czy też jakieś inne.

Usiadł na pustej ławce koło ogrodzenia z drutu kolczastego i - obserwując samoloty lądujące porządnie, co dwie minuty: Cessna, Apache, dwupłatowa Bonanza, Air Bxpress z Bostonu punktualnie jedenasta czterdzieści pięć - machinalnie przejechał palcem po wrytych na niej cudach: nazwiskach, inicjałach i mnóstwie „pieprz się”. Jednym uchem podsłuchiwał toczące się za jego plecami rozmowy. May Locher wspomniano co najmniej kilkakrotnie. Znało ją wielu bywalców terenu piknikowego; powszechna opinia brzmiała mniej więcej tak

jak opinia pani Perrine: Bóg okazał miłosierdzie i zakończył jej cierpienia. Tematem numer jeden była jednak zbliżająca się wizyta Susan Day. Polityka nie pasjonowała Starych Pryków, którzy zdecydowanie przedkładali nad nią przyzwoity rak jelita grubego albo wylew, lecz nawet tu kwestia aborcji dowiodła swych szczególnych zdolności do wciągania w dyskusję, wywoływania awantur, dzielenia ludzi.

- Wybrała sobie szczególnie kiepskie miejsce na wizytę, a najgorsze jest chyba to, że najwyraźniej nie zdaje sobie z tego sprawy - stwierdził Doc Mulhare, przyglądając się planszy z ponurą koncentracją; Faye Chapin gromił właśnie niedobitki obrońców jego króla. - Różne rzeczy się tu dzieją. Pamiętasz pożar w „Czarnej Dziurze”, Faye?

Faye chrząknął i sprzątnął jego ostatnią wieżę.

- Nie rozumiem tych słodziutkich typków - stwierdziła Lisa Zell, podnosząc ze stołu pierwsze strony *News* i uderzając w fotografię przedstawiającą zakapturzone postaci przed ośrodkiem. - Zupełnie jakby chcieli powrotu do dni, kiedy kobiety same abortowały płody wieszakami.

- Tego właśnie chcą - powiedziała Georgina Eberly. - Wydaje im się, że jeżeli kobieta będzie się bać śmierci, to urodzi dziecko. Chyba nigdy nie przyszło im do głowy, że można bać się dziecka bardziej niż aborcji wieszakiem.

- A co ma do tego strach? - spytał bardzo agresywnie jeden z kibiców, staruch o płaskiej twarzy, nazwiskiem Pedersen. - Morderstwo to morderstwo niezależnie od tego, czy dziecko jest w środku czy na zewnątrz, przynajmniej ja tak widzę te sprawy. Nawet jeśli jest takie małe, że widać je tylko pod mikroskopem, zabicie go to morderstwo. Bo gdyby zostawić je w spokoju, byłoby zwykłym dzieckiem.

- Robi to z ciebie Adolfa Eichmanna za każdym razem, kiedy walisz konia - stwierdził Faye i przesunął królową. - Szach.

- La...fa...yette Cha...pin! - krzyknęła Lisa Zell.

- Zabawa małym to coś zupełnie innego - zdenerwował się Pedersen.

- Doprawdy? A jak się nazywał ten gość w Biblii, przeklęty za to, że pracował ręką? - spytał któryś z kibiców.

- Masz pewnie na myśli Onana - odezwał się jakiś głos za plecami Ralpha. Ralph obrócił się, zaskoczony; był to głos Starego Dora, trzymającego w dłoni książeczkę z wielką cyfrą „5” na okładce.

Skąd on się wziął? - zdumiał się Ralph. Mógłby niemal przysiąc, że przed chwilą nikogo tam jeszcze nie było.

- Onan, Szmonan - przerwał mu Pedersen - sperma to nie to samo co dziecko...

- Nie? - zdziwił się Faye. - To dlaczego katolicy nie sprzedają gum podczas tych ich bingo? Wy tłumacz mi, proszę.

- Nic nie rozumiesz i jeśli nie widzisz...

- Ale Onan nie został przeklęty za masturbację - mówił dalej Dor swym wysokim, przenikliwym głosem starego człowieka. - Został przeklęty za to, że nie chciał spłodzić dziecka z wdową po bracie, tak by ród jego brata trwał. Jest taki wiersz, napisał go chyba Alen Ginsberg...

- Zamknij się, stary idioto! - wrzasnął Pedersen, a potem spojrzał spode łba na Faye'a Chapina. - A ty, jeśli nie widzisz różnicy między mężczyzną ćwiczącym konika i kobietą splukującą w toalecie dziecko, które Bóg umieścił jej w brzuchu, jesteś takim samym idiotą jak on.

- To obrzydliwa rozmowa - stwierdziła Lisa Zell, ale wydawała się bardziej zafascynowana niż zbrzydzone. Ralph zerknął przez ramię: część siatki ogrodzeniowej między dwoma słupkami została zerwana i odciągnięta. To przynajmniej wyjaśniało jeden sekret. Nie zauważył Dorrance'a, bo go na terenie piknikowym wcześniej nie było. Wałęsał się gdzieś po lotnisku.

Przyszło mu do głowy, że mógłby teraz złapać Dorrance'a i wycisnąć z niego część odpowiedzi. Ale prawdopodobnie doprowadziłoby to tylko do jeszcze gorszego zamieszania. Stary Dor zbyt przypominał Kota z Cheshire z „Alicji w krainie czarów” - uśmiech i niewiele więcej.

- Wielka różnica, co? - spytał zaczepnie Pedersena Faye.

- Pewnie! - Na policzkach Pedersena pojawiły się płonące czerwienią plamy.

Doc Mulhare niepewnie przesunął się na krześle.

- Słuchaj, daj spokój tej rozmowie i siadaj do gry, Faye, dobrze?

Faye ani drgnął. Całą uwagę nadal skupiał na Pedersenie.

- To pamiętaj o wszystkich tych małych plemniczkach, które zdechły ci na dłoni za każdym razem, kiedy siadałeś na kibelku, myśląc, jak by to było fajnie, gdyby Marilyn Monroe obciągnęła ci...

Pedersen kurczowym ruchem zrzucił pozostałe figurki z szachownicy. Doc Mulhare uchylił się przed nim; wargi mu drżały, a oczy za okularami w różowej oprawie, naprawionymi w dwóch miejscach taśmą, miał wielkie i przerażone.

- Och, świetnie, doskonale! - wrzasnął Faye. - Wspaniały, jakże intelektualny argument, ty kretynie!

Pedersen podniósł pięści w karykaturze postawy bokserkiej Johna L. Sullivana.

- Może chcesz to załatwić! - krzyknął. - No już, chodź! Faye powoli podniósł się z krzesła. Miał nad Pedersenem

przewagę co najmniej trzydziestu centymetrów... i trzydziestu kilogramów.

Ralph nie dowierzał własnym oczom. Jeśli trucizna dotarła aż tutaj, co dzieje się w mieście? Miał wrażenie, że Doc Mulhare najlepiej scharakteryzował sytuację mówiąc, że Susan Day z pewnością nie ma najmniejszego pojęcia, jak kiepskim pomysłem było zaproszenie jej do Derry. W pewien sposób, a właściwie na wiele sposobów, Derry różniło się od wszystkich pozornie podobnych mu miast.

Ruszył, nim zdążył uświadomić sobie, co właściwie ma zamiar zrobić; z ulgą dostrzegł, że Stan Eberly również nie stoi w miejscu. Zbliżając się do stojących naprzeciw siebie mężczyzn, wymienili szybkie spojrzenia. Stan lekko skinął głową. Ralph zablokował rękę Faye'a, a Stan chwycił Pedersena za ramię.

- Nic z tego - powiedział wprost w brudne ucho. - Skończy się na tym, że będziemy musieli odwieźć was obu do szpitala z atakami serca, a ty nie potrzebujesz przecież kolejnego, Harvey... dwa już miałeś. A może trzy?

- Nie pozwolę mu żartować na temat kobiet mordujących dzieci! - krzyknął Pedersen. Po policzkach ciekły mu łzy. - Moja żona umarła, rodząc naszą drugą córkę! Zmarła na zakażenie popołogowe w czterdziestym szóstym! Nie zniosę żartów na temat mordowania dzieci!

- Jezu! - Głos Faye'a zmienił się nie do poznania. - Nie wiedziałem, Harvey, przepraszam.

- Pieprzę twoje przepraszam! - Pedersen wyrwał rękę Stanowi i rzucił się na Faye'a. Faye podniósł pięści i zaraz je opuścił, bo Pedersen przebiegł obok, nawet na niego nie patrząc. Biegł ścieżką prowadzącą wśród drzew ku Extension, a kiedy znikł, przez pełne trzy minuty panowała pełna zdumienia cisza, przerywana tylko pszczelim brzęczeniem zbliżającego się do lotniska pipera dub.

- Jezu! - powiedział w końcu Faye - spotykasz faceta co kilka dni od pięciu, dziesięciu lat, jesteś pewien, że wiesz

o nim wszystko... Chryste, Ralphie, nie wiedziałem, na co umarła mu żona! Czuję się jak skończony głupiec.

- Nie przejmuj się - pocieszył go Stan. - Pewnie akurat ma okres.

- Zamknij się - wtrąciła Georgina. - Dość już na dziś takiego wstrętnego języka.

- Będę szczęśliwy, kiedy ta Day przyjedzie, wyjedzie i wszystko wróci do normy - westchnął Fred Zell.

Doc Mulhare na kolanach zbierał z ziemi figurki.

- Chcesz skończyć, Faye? - spytał. - Chyba wiem, jak stały.

- Nie. - Podczas konfrontacji z Pedersenem Faye Chapin był zupełnie spokojny, ale teraz głos mu drżał. - Chyba na razie mam dość. Może Ralph trochę z tobą potrenuje?

- Ja raczej dam sobie spokój. - Ralph rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu Dorrance'a i w końcu go spostrzegł. Dor wrócił na lotnisko przez dziurę w siatce. Stał po kolana w trawie, na skraju drogi dostawczej, gnąc książkę w dłoniach

i obserwując pipera kołującego ku terminalowi General Aviation. Ralph przypomniał sobie, jak Ed mknął tą drogą małym brązowym datsunem, jak przeklinał

(Rusz się! Rusz się, ty pieprzona dziwko!)

unoszącą się powoli bramę. Po raz pierwszy od przeszło roku znów zadał sobie pytanie, jaki właściwie interes miał Ed na lotnisku.

- ...niż parę tygodni temu.

- Co? - Z wysiłkiem znów skoncentrował uwagę na Faye'u.

- Powiedziałem, że chyba znowu sypiasz, bo wyglądasz o wiele lepiej niż parę tygodni temu. Ale chyba słuch zszedł ci na psy.

- Pewnie masz rację. - Ralph uśmiechnął się z przymusem. - Chyba coś bym zjadł, wiesz, Faye? A ty? Ja stawiam.

- Nie, już zjadłem kanapkę. Żeby nie skłamać, leży mi na żołądku jak ołowiana kula. Jezu, Ralph, ten stary głupek płakał, widziałeś?

- Widziałem, ale na twoim miejscu nie robiłbym z tego wielkiej sprawy. - Obaj szli powoli w kierunku Extension. Wielki, przygarbiony Faye Chapin, człapiący z opuszczoną głową, przypominał oswojonego niedźwiedzia w garniturze. - Ludzie w naszym wieku płaczą z byle powodu. Przecież wiesz.

- Słusznie. - Faye uśmiechnął się z wdzięcznością. - W każdym razie dziękuję, że mi przeszkodziłeś, nim doszło do czegoś gorszego. Wiesz, jaki potrafię być.

Żałuję tylko, że nie było przy nas nikogo, kiedy z Billem wdaliśmy się w tę awanturę, pomyślał Ralph, głośno zaś powiedział:

- Nie ma sprawy. To ja powinienem ci podziękować. Mam coś do napisania w życiorysie, kiedy będę się starał o dobrze płatną posadę w ONZ.

Faye roześmiał się, uradowany, i mocno klepnął go po ramieniu.

- Jasne! Sekretarz Generalny! Rozjemca Numer Jeden! Byłbyś dobry w tej robocie, bez żartów.

- Oczywiście, nie ma co do tego wątpliwości. Trzymaj się, Faye.

Odwracał się już, kiedy Faye złapał go za ramię.

- Nadal masz zamiar grać w turnieju w przyszłym tygodniu, prawda? W „Turnieju Pasa numer trzy”?

Przez moment Ralph nie miał pojęcia, o czym mowa, choć turniej był ulubionym tematem rozmowy emerytowanego stolarza od chwili, gdy liście zaczęły zmieniać kolor. Zaraz po zakończeniu swego „prawdziwego życia” w 1984 Faye wymyślił turniej szachowy, który nazwał zrazu „Klasykiem Pasa Startowego numer trzy”. Nagrodą był wielki chromowany dekiel samochodowy z wygrawerowanymi na nim wielkimi berłem

i koroną. Faye, najlepszy szachista wśród Starych Pryków (w każdym razie po zachodniej stronie miasta), wręczył tę nagrodę sam sobie przy sześciu z dziewięciu okazji. Ralph podejrzewał, że pozostałe trzy razy przegrał specjalnie, tylko po to, żeby nie zniechęcać innych uczestników. On sam tej jesieni niewiele myślał o szachach, miał na głowie inne sprawy.

- Jasne - powiedział. - Pewnie, że zagram. Faye znów uśmiechnął się szeroko.

- Doskonale. Powinniśmy go rozegrać w poprzedni weekend, taki był plan, ale łudziłem się, że gdy przełożymy turniej, Jimmy V. będzie w stanie wziąć w nim udział. Ale Jimmy jest nadal w szpitalu, a jeśli będziemy zwlekać, zrobi się za zimno, żeby grać na dworze, i skończymy na zapleczu zakładu fryzjerskiego Duffy*ego Sprague’a, jak w dziewięćdziesiątym roku.

- Co z Jimmym?

- Znowu ten rak. - I Faye dodał ciszej: - Moim zdaniem, nie ma najmniejszych szans, żeby z tego wyjść... tym razem.

Ralph poczuł zaskakujące i bardzo bolesne ukłucie smutku. Z Jimmym Vandermeerem poznali się dobrze jeszcze za „prawdziwego” życia. Obaj spędzali wówczas mnóstwo czasu w drodze. Jimmy handlował słodyczami i pocztówkami na specjalne okazje, Ralph materiałami drukarskimi i wyrobami papierowymi. Czuli się w swoim towarzystwie wystarczająco dobrze, by razem przedsięwziąć kilka podróży po Nowej Anglii, prowadząc na zmianę i mieszkając wspólnie w warunkach nieco bardziej luksusowych niż te, na jakie byłoby stać każdego z osobna.

Dzielili się także zwykłymi, smutnymi sekretami samotnych mężczyzn: Jimmy opowiedział Ralphowi o prostytutce, która w 1958 roku ukradła mu portfel, i o tym, jak skłamał żonie, opowiadając jej, że okradł go autostopowicz. Ralph opowiedział Jimmy’emu, jak to w wieku czterdziestu trzech lat zdał sobie sprawę z tego, że jest uzależniony od... syropu na kaszel, i jak z wielkim trudem, powoli, udało mu się zwalczyć ten nałóg. Nie

opowiedział o nim Carolyn, tak jak Jimmy nie opowiedział żonie o swojej ostatniej przygodzie z panienką klasy „B”.

Wiele podróży, wiele kapci, wiele kawałów o komiwojażerze i pięknej córce farmera, wiele nocnych rozmów przeciągających się aż do poranka. Czasami rozmawiali o Bogu, czasami o urzędzie skarbowym. W ogóle Jimmy okazał się świetnym kumplem. Potem Ralph dostał pracę za biurkiem, w drukarni, i ich

drogi się rozeszły. Spotkali się znowu dopiero tu i w kilku innych skromnych, charakterystycznych miejscach Derry Starych Pryków: bibliotece, sali bilardowej, zapleczu zakładu fryzjerskiego Duffy’ego Sprague’a i kilku innych. Kiedy Jimmy powiedział mu wkrótce po śmierci Carolyn, że wyszedł z walki z rakiem bez płuca, ale poza tym w porządku, dla Ralph’a był już tylko facetem, który opowiadał o rybach i baseballu, wyrzucając przez uchylone okno pędzącego samochodu niedopałki cameli, jeden po drugim.

- Miałem szczęście - powiedział mu wówczas Jimmy. - Obaj mieliśmy szczęście, ja i Duke.

Tylko chyba się właśnie okazało, że ich szczęście nie trwało długo. W końcu przecież niczyje szczęście nie trwa długo.

- O Boże! - wykrztusił Ralph. - Strasznie mi przykro to słyszeć.

- Od prawie trzech tygodni leży w szpitalu miejskim - tłumaczył Faye. - Ma naświetlania i wstrzykują mu te trucizny, które czasami zabijają raka, nie zabijając człowieka. Dziwię się, że nic o tym nie wiedziałeś, Ralph.

Pewnie, że się dziwisz, aleja wcale się nie dziwię. Bezsenność zabija pamięć, wiesz? Czasami nie masz pojęcia, co się stało z ostatnią torebką zupki w proszku, czasami tracisz poczucie czasu, a kiedy indziej zapominasz o przyjaciółach.

Faye potrząsnął głową.

- Cholerny rak. To niesamowite, jak potrafi czekać. Ralph skinął głową. Myślał o Carolyn.

- Nie wiesz przypadkiem, na której sali leży? Może pójde go odwiedzić.

- Przekładem wiem. Trzysta piętnaście. Nie zapomnisz? Ralph uśmiechnął się.

- Nie tak od razu.

- Odwiedź go, jeśli dasz radę. Dostaje narkotyki, ale nadal rozpoznaje gości. Powita cię z radością. Kiedyś mi powiedział, że w dawnych dobrych czasach bardzo się przyjaźniliście.

- No, wiesz, dwaj faceci w drodze i niewiele więcej. Jeśli od czasu do czasu rzucaliśmy monetą o to, kto płaci za obiad, Jimmy wybierał reszkę. - Nagle zebrało mu się na

płacz.

- Kiepska sprawa, nie? - spytał cicho Faye.

- Bardzo kiepska.

- Cóż, odwiedź go. Będzie szczęśliwy i ty się lepiej poczujesz. Przynajmniej tak to ma działać, nie? I nie waż się zapomnieć o tym cholernym turnieju. - Faye wyprostował

się i uczynił bohaterski wysiłek, by wyglądać (i mówić) beztrzesko. - Jeśli się teraz wycofasz, cały grafik diabli wezmą.

- Zrobię, co będę mógł.

- Tak, wiem, że zrobisz, co będziesz mógł. - Zwinął dłoń w pięść i lekko uderzył nią Ralpha po ramieniu. - Jeszcze raz dziękuję ci bardzo za to, że mnie powstrzymałeś, zanim zrobiłem coś, czego bym później żałował.

- Nie ma sprawy. Rozjemca numer jeden to ja. - Ralph ruszył ścieżką do Extension, ale zatrzymał się i odwrócił. - Widzisz tę drogę zaopatrzeniową, o, tam?-spytał.-Tę, która prowadzi z terminalu General Aviation na ulicę?-Wskazał ją palcem. Ciężarówka dostarczająca żywność odjeżdżała właśnie spod prywatnego terminalu, od jej przedniej szyby odbijały się jaskrawe promienie słońca. Podjechała tak blisko ogrodzenia, że fotokomórka zadziałała i brama zaczęła się otwierać.

- Jasne, widzę.

- Latem widziałem, jak korzystał z niej Ed Deepneau, a to znaczy, że ma kartę magnetyczną. Nie wiesz przypadkiem, skąd ją wziął?

- Masz na myśli faceta od „Przyjaciół Życia”? Naukowca, który tego lata prowadził w domu badania na temat bicia żony?

Ralph skinął głową.

- Tak, ale ja* mówiłem o lecie dziewięćdziesiątego drugiego roku. Jeździł starym brązowym datsunem.

Faye roześmiał się.

- Nie odróżniłbym datsuna od toyoty, a obu od hondy. Przestałem rozróżniać marki samochodów mniej więcej w tym czasie, kiedy Chevrolet zrezygnował ze skrzydeł. Ale mogę ci powiedzieć, kto najczęściej korzysta z tej drogi: dostawcy żywności, mechanicy, pilod, załoga i kontrolerzy lotów. Chyba niektórzy pasażerowie też dostali karty, jeśli dużo latają prywatnie. Jedyne naukowcami na lotnisku są ci, którzy badają powietrze na zanieczyszczenia. Czy on się w tym specjalizował?

- Nie, to chemik. Do niedawna pracował w Hawking Laboratories.

- Bawił się białymi myszkami, co? Na lotnisku nie ma myszy, przynajmniej o ile

wiem, ale akurat mi się przypomniało, że jest jeszcze jedna grupa ludzi używająca tej drogi.

- Tak? Jaka?

Faye wskazał na prefabrykowany barak kryty blachą falistą, stojący jakieś siedemdziesiąt metrów od terminalu General Aviation.

- Widzisz ten budynek? To SoloTech.

- Co to takiego ten SoloTech?

- Szkoła - wyjaśnił Faye. - Szkoła pilotażu.

Ralph wracał Harris Avenue z wielkimi rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie spodni i spuszczoną głową; widział niewiele więcej niż pęknięcia chodnika pod podeszwami adidasów. Znowu myślał o Edzie Deepneau... i o SoloTech. Nie wiedział oczywiście, czy to właśnie szkoła pilotażu była miejscem odwiedzin Eda na lotnisku tego dnia, kiedy wpadł na pana Grubego, ale nagle pytanie o przyczynę tej wizyty zaczęło gwałtownie domagać się odpowiedzi. Ralph był także ciekaw, gdzie Ed teraz mieszka. Może John Leydecker zadaje sobie te same pytania, pomyślał i postanowił to sprawdzić.

Mijał właśnie budynek biurowy, który z jednej strony zajmował niejaki George Layford, dyplomowany księgowy, a z drugiej sklep jubilerski „Martime Jewelry” (NAJLEPSZE CENY NA TWOJE STARE ZŁOTO), kiedy z zamyślenia wyrwało go ostre, zduszone szczeknięcie. Podniósł wzrok i na chodniku tuż przy bramie do parku Strawforda dostrzegł Rosalie. Stara suka dyszała gwałtownie, z wywalonego jęzora kapą ślina, tworząc kałużę między jej przednimi łapami. Sierść sklejoną miała w ciemne kępkę, jakby właśnie skończyła szaleńczy bieg, zawiązana na karku spłowieła niebieska chusta poruszała się w rytm ciężkiego oddechu. Kiedy Ralph na nią spojrzał, szczeknęła raz jeszcze ostro, piskliwie.

Spojrzał przez ulicę ciekaw, co staruszka tak obszczekuje, lecz dostrzegł tylko pralnię „Buffy-Buffy”. Przy automatycznych pralkach wewnątrz poruszało się kilka kobiet, ale trudno było uwierzyć, że to na nie szczeka Rosalie. Na ulicy jednak nie było nikogo.

Znowu spojrzał na psa i nagle zdał sobie sprawę, że nie siedzi on po prostu na chodniku, lecz że się kuli, niemal waruje. I wygląda na śmiertelnie przerażonego.

Aż do tej chwili Ralph nigdy nie zastanawiał się, jak bardzo podobnie do człowieka wyrażają swe uczucia psy: uśmiechają się, kiedy są szczęśliwe, zwieszają łby, kiedy się wstydzą, w ich oczach odczytać można niepokój, z ułożenia grzbietu napięcie - wszystko dokładnie jak u ludzi. I jak człowiek, pies demonstruje strach każdym nerwem drżącego ciała.

Jeszcze raz spojrzał na drugą stronę ulicy, w miejsce, na którym wydawała się skupiać cała uwaga Rosalie, lecz nadal nie widział nic oprócz automatycznej pralni i pustego chodnika. Nagle przypomniał sobie Natalie, Dziecko Wspaniałe & Niesamowicie Mądre,

sięgające rączką do śladów, które pozostawiły w powietrzu jego palce, gdy poruszył dłonią, chcąc wytrzeć jej mleko z brody. Wydawała się sięgać po nic, dzieci przecież zawsze sięgają po nic... ale on wiedział przecież, że to nic istniało!

Widział, że to „nic” istnieje.

Rosalie szczekała przeraźliwie - jej szczeknięcia brzmiały jak zgrzyt nie naoliwionych zawiasów.

Do tej pory to zdarzało się samo... ale może mógłbym sprawić, by zdarzyło się, kiedy zechcę. Może mógłbym sprawić, że zobaczę...

Co?

Aury, oczywiście. Ich, oczywiście. I może to, na co

(raz dwa trzy)

patrzy Rosalie. Wydawało mu się, że wie

(pchły na spacer szły)

co to takiego, ale chciał być pewien. Pozostawało tylko jedno pytanie: jak tego dokonać?

A w ogóle, to jak człowiek widzi?

Oczywiście, musi patrzeć.

Ralph spojrział na Rosalie. Przyglądał się jej dokładnie, starając się zauważyć wszystko, co było do zauważenia: wzór na spłowiałej niebieskiej chuście zastępującej obrozę, zmierzwioną, zlepioną brudem sierść, krąg siwizny na długim pysku. Trwało to chwilę, lecz Rosalie w końcu najwyraźniej uświadomiła sobie jego spojrzenie, bo obróciła się ku niemu i zaskomlała cienko.

Ralph usłyszał jej skomlenie i w tej samej chwili coś najwyraźniej przesunęło mu się w mózgu... jakby włączył się w nim odpowiednik rozrusznika samochodowego. Pojawiło się wyraźne, choć krótkie wrażenie lekkości, a potem dzień nagle się rozjaśnił. Znowu znalazł się w tym znacznie żywszym, znacznie wyraźniejszym świecie. Dostrzegł ciemną błonę - przypominała mu ona biało z boka - otaczającą ciało psa, dostrzegł wyrastającą z niego szarą wstążkę, doczepioną nie do głowy jednak, jak u ludzi, których obserwował będąc w stanie wyższej świadomości, lecz do pyska.

Wiesz teraz, jaka jest największa różnica między psami a ludźmi. Ich dusze znajdują się w różnych miejscach ciała.

[Piesku, chodź tu! Do nogi, piesku!]

Ralph aż skulił się, uchylił przed tym głosem brzmiącym jak skrzypienie kredy po tablicy. Podniósł dłonie prawie na wysokość uszu, ale zdał sobie sprawę, że nic mu to nie

pomoże, bo głos nie docierał do niego przez uszy. Pasma, które raniło najbardziej, brzmiało mu wprost w głowie, tam, gdzie ręce nie miały szansy dotrzeć.

[Hej, ty cholerny zapchlony kundlu! Myślisz, że będę na ciebie czekał cały dzień? Rusz tu koślawą dupę!]

Rosalie pisnęła i przeniosła spojrzenie na to coś, na co patrzyła wcześniej. Zaczęła się podnosić i znów usiadła. Chusta na jej karku drżała bardziej niż poprzednio; na jej lewej łapie rozlała się ciemna plama. Zsiusiała się ze strachu!

Ralph również spojrzał na przeciwną stronę ulicy. Doktorek nr 3, w białym fartuchu (dopiero teraz Ralph dostrzegł, że fartuch jest brudny, jakby doktorek nosił go od dłuższego czasu) i dzinsach w sam raz na karzełka, stał między pralnią a starym domem mieszkalnym. Na głowie miał panamę McGoverna. Praktycznie kapelusz opierał mu się na uszach, niknęła w nim niemal cała jego głowa. Doktorek uśmiechał się do psa okrutnym uśmiechem, obnażając w tym uśmiechu dwa rzędy spiczastych zębów, zębów kanibala. W lewej ręce coś trzymał - stary skalpel albo brzytwę. Jakaś część umysłu próbowała przekonać Ralpa, że widzi na ostrzu krew, ale był całkiem pewien, że to tylko rdza.

Doktorek nr 3 wsadził w usta dwa palce prawej ręki i gwizdnął przeraźliwie; gwizd przeszył głowę Ralpa jak wiertło. Pies cofnął się i zawył krótko.

[Rusz ten koślawy tyłek, suko! Już!]

Rosalie wstała i z podwiniętym ogonem powoli, chwiejnie ruszyła w kierunku ulicy. Piszczala pełznąca, strach paraliżował ją do tego stopnia, że utykała bardziej niż zwykle, a zadnie łapy załamywały się niebezpiecznie.

[Hej!]

Ralph zdał sobie sprawę, że krzyknął, dopiero kiedy zobaczył, jak z ust wypływa mu niewielka błękitna chmurka, otoczona delikatną srebrną siateczką upodabniającą ją do płatka śniegu.

Łysy karzeł odwrócił się w stronę, z której dobiegł go krzyk, instynktownie podnosząc broń. Na twarzy miał wyraz

wściekłości... i zaskoczenia. Rosalie zatrzymała się z przednimi łapami w kanale odpływowym. Patrzyła na Ralpa wielkimi, przerażonymi brązowymi ślepiami.

[A ty czego chcesz, Krótki?]

Brzmiał w tym głosie wściekły gniew kogoś, komu przerwano, kogo wyzwano... lecz Ralph miał wrażenie, że coś jeszcze. Strach? Bardzo chciałby w to uwierzyć. Chyba raczej zaskoczenie i zdumienie. Kimkolwiek była ta istota, z pewnością nie zdążyła się przyzwyczaić do faktu, że zwykli ludzie mogą ją nie tylko widzieć, lecz także się jej

przeciwstawiać.

[Co z tobą, Krótkoterminowy, mowę ci odjęło? A może zdążyłeś już zapomnieć czego chcesz?]

[Masz zostawić w spokoju tego psa!]

Własne słowa dotarły do Ralpha na dwa sposoby. Po pierwsze, choć był przekonany, że wypowiedział je głośno, dźwięk własnego głosu wydawał mu się odległy i słaby niczym muzyka ze słuchawek do walkmana, na moment odłożonych na bok. Gdyby ktoś stał tuż obok, pewnie by go usłyszał, lecz wiedział, że temu komuś wydałby się słabym, zduszonym stęknieniem, jak po mocnym ciosie w dołek. Z drugiej strony jednak w głowie zabrzmiał mu inny głos, którego nie słyszał od lat: młody, silny, pewny siebie.

Doktorek nr 3 musiał usłyszeć jego głos wydany w ten właśnie sposób, bowiem cofną się na moment, znów unosząc w obronnym geście to coś, co trzymał w dłoni (Ralph był już teraz niemal pewien, że to skalpel). Potem jakby przegrupował siły. Zszedł z chodnika i stanął na zasypanej liśćmi trawie oddzielającej go od Harris Avenue. Podciągnął dzinsy przez brudny biały fartuch, po czym przez kilka chwil przyglądał się ponuro przeciwnikowi. Nagle podniósł w górę skalpel i uczynił nim nieprzyjemnie wyrazisty gest, jakby coś przecinał.

[No więc widzisz mnie - też mi sukces! Nie wsadzaj nosa do cudzego prosa. Krótkoterminowy. Ten kundel jest mój!]

I znów zwrócił się ku drżącej Rosalie.

[Koniec żartów, ty suko! Podejdź tu! Już!]

Rosalie spojrzała na Ralpha rozpaczliwym, błagalnym spojrzeniem i ruszyła przez ulicę.

„Nie mieszam się w sprawy długoterminowych”, powiedział Dor tego dnia, kiedy dał mu tomik wierszy Stephena Dobynsa. „I ostrzegałem, żebyś ty też się w nie nie mieszał”.

Tak, tak, ostrzegał, lecz Ralph miał wrażenie, że teraz już za późno zwracać uwagę na ostrzeżenia. A nawet gdyby nie

było za późno, i tak nie miał zamiaru zostawić Rosalie temu obrzydliwemu gnomowi, który stał przed pralnią po przeciwnej stronie ulicy. Obroni ją... jeśli tylko zdoła.

[Rosalie, chodź tu, noga. Do nogi!]

Rosalie szczeknęła krótko i przytruchtała do niego. Usiadła tuż przy jego prawej nodze, dysząc z wywieszonym ozorem i patrząc mu w oczy. Ralph bez trudu odszyfrował ukryte w jej wzroku uczucie: jedna trzecia ulgi, dwie trzecie wdzięczności.

Twarz doktorka nr 3 skrzywiła się w wyrazie nienawiści tak głębokiej, że wyglądała jak karykatura samej siebie.

[Lepiej mi ją przyślij, Krótki, ostrzegam!]

[Nie!]

[Upierdolę cię. Krótki, strasznie cię upierdolę! I strasznie upierdolę twoich przyjaciół.

Wyczuwasz mnie? Pojmujesz...]

Ralph podniósł nagle dłoń na wysokość ramienia, jakby miał zamiar wymierzyć cios karate. Opuścił ją gwałtownie i patrzył, zdumiony, na cienki niebieski klin światła, który wystrzelił mu z czubków palców i pomknął przez ulicę niczym włócznia. Doktor nr 3 uchylił się przed nim w ostatniej chwili, przytrzymując panamę, by mu nie spadła z głowy. Światło przemknęło centymetry nad leżącą na kapeluszu dłonią i trafiło w okno pralni. Rozlało się po nim niczym jakiś nadnaturalny płyn i na moment brudne szkło rozjarzyło się doskonałością błękitu nieba. Spłowiło niemal natychmiast i Ralph znów dostrzegł krążące przy pralkach kobiety, które rozwijały ubrania i ładowały je do pralek, jakby nie stało się nic nadzwyczajnego.

Łysy krasnal wyprostował się. Zaciśniętymi w pięść dłońmi potrząsnął w kierunku Ralpha. Nagle zerwał z głowy kapelusz, wsadził sobie rondo w usta i odgryzł z niego kawałek. W trakcie owej przedziwnej manifestacji karlej odmiany dziecięcego ataku wściekłości słońce skrzeszło iskry ognia z jego małych kształtnych uszu. Karzeł wypluł najeżony strzępami słomy kawałek ronda panamy i wsadził ją sobie na głowę.

[Ten pies był mój. Krótki. Miałem zamiar się z nim zabawić. Może zamiast niego powinienem zabawić się z tobą? Z tobą i tymi twoimi cholernymi przyjaciółmi?]

[Wynoś się stąd!]

[Piczoliż! Pieprzyłeś matkę i lizalesz jej piczę!]

Ralph doskonale pamiętał, gdzie po raz pierwszy usłyszał to czarujące określenie. Użył go Ed Deepneau na lotnisku, latem 1992 roku. Czegoś takiego się przecież nie zapomina!

Przeraził się śmiertelnie. W co, na litość boską, udało mu się wdepnąć!?

Jeszcze raz podniósł dłoń, lecz coś się zmieniło w nim samym. Mógł oczywiście wykonać imitację ciosu karate, ale był niemal stuprocentowo pewny, że tym razem z palców nie wyleci mu żaden klin niebieskiego światła.

Doktor jednak najwyraźniej nie miał zielonego pojęcia, że znalazł się na muszce nie nabitej strzelby. Skurczył się i cofnął, podnosząc rękę ze skalpelem w obronnym geście. Groteskowo obgryziony kapelusz zsunął mu się na oczy; przez chwilę wyglądał jak aktor grający Kubę Rozpruwacza w jakimś koszmarnym melodramacie... Kubę Rozpruwacza, który rozpruwa, bo ma kompleksy spowodowane niskim wzrostem.

(Dorwę cię za to, Krótki. Zaczekaj! Tylko zaczekaj! Żaden Krótkoterminowy mi się nie postawi!)

Ale w tej chwili mały łysy doktorek miał chyba dość. Obrócił się i pobiegł zarośniętą chwastami ścieżką między pralnią a domem; zbyt długi, brudny fartuch powiewał i plątał mu się między nogawkami dżinsów. Jasność znikła ze świata razem z nim. Ralph rozpoznał jej odejście zmysłami, których istnienia nawet u siebie nie podejrzewał. Czuł się dziarski, naładowany energią, niemal eksplodował radosnym podnieceniem.

Przegoniłem go, na Boga! Przegoniłem tego małego skurwysyna!

Nie miał pojęcia, kim jest naprawdę stworzenie w białym fartuchu, lecz wiedział, że ocalił przed nim Rosalie, i to mu na razie wystarczyło. Pilne pytania o stan własnego umysłu pojawiają się najprawdopodobniej jutro nad ranem, kiedy to, siedząc w fotelu, będzie się przypatrywał pustej ulicy... ale na razie czuł się tak, jakby wygrał milion.

- Widziałaś go, prawda, Rosalie? Widziałaś tego małego obrzydliwego...

Spojrzał w dół, ale Rosalie nie siedziała już przy jego prawej nodze. Podniósł wzrok i dostrzegł, że kulejąc zmierza w stronę parku. Łeb miała spuszczonej, z każdym pełnym bólu krokiem prawa łapa ugiwała się pod jej ciężarem.

- Rosalie! - krzyknął. - *Hej, piesku.* - I, właściwie nie wiedząc dlaczego (może dlatego, że przed chwilą wspólnie

doświadczyli czegoś niezwykłego), ruszył za nią, zrazu truchtem, potem biegiem, wreszcie sprintem.

Niedługo to trwało. Ból ostrej stalowej igły najpierw go ukłuł, a potem nagle ogarnął całą lewą stronę klatki piersiowej. Ralph zatrzymał się tuż przy bramie parku; stał na skrzyżowaniu dwóch ścieżek, pochylony, opierając dłonie na kolanach. Pot łał mu się w oczy piekąca fala, jak lzy. Oddychał chrapliwie, niepewny, czy to tylko takie sobie ukłucie, które pamiętał z ostatniego okrążenia biegu na milę, jeszcze ze szkoły średniej, czy też może objaw ciężkiego zawału.

Po trzydziestu, czterdziestu sekundach ból zaczął ustępować, więc może było to tylko takie sobie ukłucie. Mimo wszystko dostarczył niezłego dowodu na poparcie tezy McGovern, nie? „Pozwól, że ci coś powiem, Ralph. W naszym wieku choroba umysłowa to rzecz częsta. W naszym wieku to rzecz bardzo częsta”. Ralph nie wiedział, czy to prawda, czy nie, ale w końcu czasy, kiedy biegał na milę w szkolnej reprezentacji stanu, minęły przed ponad pół wiekiem i pogoń za Rosalie była głupotą... prawdopodobnie niebezpieczną głupotą. Gdyby dostał zawału, nie byłby pewnie pierwszym staruchem pokaranym w ten sposób za to, że się podniecił i zapomniał o prostym fakcie, iż osiemnaście lat ma się tylko raz.

Ból już prawie znikł, Ralph mógł oddychać niemal normalnie, ale nogi nadal się pod nim uginały, jakby lada chwila miały całkowicie odmówić posłuszeństwa i strząsnąć go na żwirową ścieżkę bez ostrzeżenia. Podniósł głowę, rozglądając się za najbliższą ławką i natychmiast zapomniał o bezpańskich psach, drżących nogach, nawet potencjalnych zawałach. Od najbliższej ławki dzieliło go jakieś dziesięć metrów; stała na lewo, na szczycie łagodnego pagórka. Siedziała na niej Lois Chasse, ubrana w ładną niebieską jesionkę. Ręce w rękawiczkach trzymała splecione na kolanach i szlochała, jakby serce miało jej pęknąć.

Rozdział 2

- Co się stało, Lois?

Lois podniosła na niego wzrok, a pierwsza myśl, która przeszła głowę Ralpha, była w istocie wspomnieniem sztuki, na którą jakieś osiem, może dziewięć lat temu zabrał Carolyn do Bangor, do Penobscot Theater. Niektóre postaci w tej sztuce miały być martwe, grającym je aktorom wymalowano więc twarze na białą i czarne kręgi wokół oczu, żeby oczodoły wydawały się puste.

Druga myśl była znacznie prostsza: borsuk!

Lois albo odczytała obie te myśli z jego twarzy, albo po prostu zdała sobie sprawę, jak musi wyglądać - w każdym razie odwróciła się, przez chwilę grzebała w torebce, w końcu po prostu podniosła rękę i ukryła twarz przed jego wzrokiem.

- Odejdź, Ralph - poprosiła stłumionym, schrypniętym głosem. - Niezbyt dobrze się czuję.

W normalnych okolicznościach natychmiast spełniłby jej prośbę i odszedł pośpiesznie, zażenowany czy trochę zawstydzony, że zaskoczył ją bezbronną, z rozmazanym makijażem. Ale okoliczności nie były bynajmniej normalne, więc zdecydował, że nie, nie odejdzie, a przynajmniej nie zaraz. Nadal czuł coś z tej niezwyklej lekkości, nadal czuł, że ten inny świat, inne Derry, jest gdzieś tutaj, bardzo blisko. No i nie chciał, by Lois, której pogody ducha nigdy nie kwestionował, siedziała samotnie, wypłakując sobie oczy.

- Co się stało, Lois?

- Po prostu nie czuję się najlepiej - krzyknęła na niego. - Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

Pochyliła głowę i ujęła ją w dłoń. Ramiona jej drżały, drżały rękawy niebieskiej jesionki, a Ralphowi przypomniało się, jak wyglądała Rosalie, kiedy łysy doktor wrzeszczał, że ma ruszyć swą koślawą dupę i natychmiast do niego podejść: żałośnie, na śmierć przerażona.

Usiadł na ławce obok Lois, objął ją i przytulił. Przysunęła się do niego, ale sztywno... jakby jej ciało rozpięte było na drutach.

- Nie patrz na mnie! - krzyknęła tym samym histerycznym głosem. - Ani się waż! Makijaż mi się rozmazał. Postarałam się tak dla syna i synowej... Przyjechali na śniadanie... mieliśmy spędzić razem cały ranek... „Będzie bardzo miło, mamó”, obiecał Harold, ale

przyjechali, żeby mi powiedzieć... Wiesz, naprawdę...

Na tym skończyło się porozumienie, bo zamiast mówić, Lois rozplakała się od nowa. Ralph sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyjął zmiętą, lecz czystą chusteczkę i podał Lois. Wzięła ją, nawet na niego nie patrząc.

- Nie krępuj się - powiedział. - Możesz doprowadzić się do porządku, jeśli chcesz, ale naprawdę nie wyglądasz źle, Lois. Uczciwie!

Nie źle, tylko trochę borsuczo, pomyślał i już miał się uśmiechnąć, ale uśmiech zamarł mu na wargach. Przypomniawszy sobie ten dzień we wrześniu, kiedy to wybrał się do „Szczęścia w pigułce” sprawdzić, jakie mają tam środki nasenne bez recepty. Spotkał wtedy ją i Billa. Stali przed wejściem do parku i rozmawiali o demonstracji z rzucaniem lalek, którą zaaranżował przed ośrodkiem Ed Deepneau. Lois z pewnością była wówczas zaniepokojona - przypomniał sobie nawet, jak pomyślał, że mimo podniecenia i niepokoju wygląda na zmęczoną - ale była także niemal piękna z falującą obfitą piersią, płonącymi oczami i zaróżowionymi jak u młodej dziewczyny policzkami. Ta piękność, której trudno było się oprzeć, dziś wydawała się zaledwie wspomnieniem. Z rozmazanym makijażem Lois Chasse wyglądała jak smutny stary kłown. Ralph poczuł ukłucie wściekłości - przeznaczonej dla tego, kto spowodował tę zmianę.

- Wyglądam straszliwie! - Lois zdecydowała się jednak zrobić użytek z jego chusteczki. - Wyglądam przerażająco!

- Nie, szanowna pani. Choć jest pani... brudnawa. Wreszcie spojrzała mu w twarz. Wymagało to chyba sporego

samozaparcia: róż i kredka do powiek znajdowały się teraz niemal wyłącznie na chusteczce.

- Jak wyglądam? - westchnęła. - Tylko powiedz mi prawdę, Ralphie Roberts, albo padniesz tu trupem!

Ralph pochylił się i pocałował jeden z wilgotnych policzków.

- Zaledwie ślicznie, Lois. Z „prawdziwie pięknie” będziemy chyba musieli trochę poczekać.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie, a kiedy podnosiła głowę, z oczu spłynęły jej dwie świeże łzy. Ralph zabrał jej wygniecioną chusteczkę i wytarł je delikatnie.

- Taka jestem szczęśliwa, że to ty się tu pojawiłeś, nie Bili. Umarłabym chyba ze wstydu, gdyby Bili zobaczył mnie płaczącą w miejscu publicznym.

Ralph rozejrzał się dookoła. U stóp wzgórza dostrzegł Rosalie bezpieczną i zdrową. Leżała między dwoma budkami toalet z łbem złożonym na łapach. Oprócz niej w zasięgu

wzroku nie było nikogo.

- Mam wrażenie, że park należy do nas. Przynajmniej na razie - stwierdził.

- Bogu niech będą dzięki. - Lois zabrała mu chusteczkę i znów wzięła się za makijaż, tym razem w sposób znacznie bardziej zorganizowany. - A skoro już mówimy o Billu: idąc tu wstąpiłam do „Jabłuszka” (nim zaczęłam się nad sobą litować i ryczeć jak wariatka) i Sue powiedziała mi, że całkiem niedawno strasznie się pokłóciliście. Wrzeszczeliście na siebie i w ogóle, właściwie na ulicy.

- No nie, nie było tak źle. - Ralph uśmiechnął się niepewnie.

- Mogę być wścibska i spytać, o co wam poszło?

- O szachy. - Ta myśl jako pierwsza pojawiła mu się w głowie. - O „Turniej Pasa numer trzy”, który co roku organizuje Faye Chapin. Wiesz, jak to jest... czasami człowiek wstanie z łóżka lewą nogą i wiele mu nie potrzeba.

- Szkoda, że ze mną sprawa nie jest taka prosta. - Lois otworzyła torebkę, tym razem bez problemu radząc sobie z zamczkiem. Z torebki wyjęła puderniczkę. Westchnęła i schowała ją z powrotem. - Nie mogę - powiedziała. - Wiem, że zachowuję się jak dziecko, ale po prostu nie mogę!

Ralph błyskawicznie sięgnął do jej torebki, chwycił puderniczkę, otworzył ją i szybko podstawił Lois pod nos.

- Widzisz? Wcale nie jest tak źle!

Odwróciła twarz jak wampir uchylający się przed krucyfiksem.

- Uch! - stęknęła. - Zabierz to, dobrze?

- Jeśli obiecasz, że mi powiesz, co się stało.

- Zrobię wszystko, bylebyś to zabrał.

Spełnił jej życzenie. Przez dłuższą chwilę Lois siedziała w milczeniu, poruszały się tylko jej dłonie, otwierające i zamykające zatrask torebki. Już miał zamiar jakoś ją ponaglić, kiedy podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy z żalospną dumą.

- Otóż jest tak, że nie ty jeden nie śpisz w nocy, Ralph.

- Co? O co ci chodzi?

- O bezsenność! - Prawie wykrzyczała to słowo. - Idę spać mniej więcej o tej samej porze co zawsze, ale nie potrafię już przespać nocy. Właściwie jest jeszcze gorzej. Rano budzę się coraz wcześniej.

Ralph próbował sobie przypomnieć, czy mówił jej kiedyś

o tym szczególnym objawie swej przypadłości, miał jednak wrażenie, że nie mówił.

- Ciekawe, dlaczego tak cię to zaskoczyło. Nie sądziłeś chyba, że jesteś jedyną osobą

na świecie, której zdarza się budzić przed świtem?

- No wiesz! - zaprotestował z urazą... Lecz czy nie zdarzało mu się myśleć, że tylko jego na całym bożym świecie to spotyka? Zwłaszcza kiedy obserwował beznadziejnie, jak sen opuszcza go minuta po minucie, kwadrans po kwadransie - niczym w dość wymyślnym wariacie chińskiej tortury kropli wody? - Kiedy to się u ciebie zaczęło?

- Na jakiś miesiąc, może dwa miesiące przed śmiercią Carolyn.

- I ile śpisz?

- Od początku października zaledwie godzinę na dobę. - Mówiła spokojnie, ale wyculone ucho Ralph'a wychwyciło w jej głosie drzenie, które mogło być objawem paniki. - Jeśli nic się nie zmieni, na Gwiazdkę nie będę już spała w ogóle...

i nie wiem, jak ja to zniosę. I tak już ledwie żyję!

Ralph siedział oniemiały. Wreszcie zadał pierwsze pytanie, jakie mu przyszło do głowy.

- Jak to się stało, że nigdy nie widziałem u ciebie światła?

- Mam wrażenie, że z tego samego powodu, dla którego ty też prawie go nie zapalasz. Mieszkam w swoim domu od trzydziestu pięciu lat i nie muszę zapalać światła, żeby się nie obijać o meble. A poza tym nie zwykłam oznajmiać wszem i wobec, że mam problemy. Zapalaj światło o drugiej nad ranem, a prędzej czy później ktoś to zauważy. Ludzie zaczną gadać, a wkrótce co bardziej wścibscy także zadawać pytania.

Nie lubię wścibskich pytań i nie należę do osób, które dają ogłoszenie w gazecie, gdy zdarzy się im zaparcie.

Ralph ryknął śmiechem. Lois, zdumiona, spojrzała na niego swymi wielkimi oczami... po czym sama się roześmiała. Ralph, który nadal ją obejmował (a może nieświadomie raz już cofnął rękę, a potem objął ją po raz drugi? Nie pamiętał i nic go to nie obchodziło), teraz przytulił ją mocno. Tym razem Lois przytuliła się do niego bez oporu; twarde, cienkie druty nie usztywniały już jej ciała. Co sprawiło mu sporą satysfakcję.

- Nie śmiejesz się ze mnie, prawda, Ralph?

- Nie. Absolutnie, nie śmieję się z ciebie. Skinęła głową, nadal uśmiechnięta.

- No to wszystko w porządku. Nigdy nie widziałeś, jak chodzę po dużym pokoju?

- Nie.

- No, bo przed moim domem nie ma lampy. Ale przed twoim jest. Wiele razy widziałam, jak siedzisz w tym twoim starym fotelu, siedzisz i pijesz herbatę.

A ja zawsze przypuszczałem, że jestem samotny, pomyślał i nagle w głowie zaświtało mu pytanie - śmieszne, lecz także nieco wstydlive-ile razy widziała, jak siedząc w fotelu

dłubie w nosie? Albo drapie się w jaja?

Jakby czytała mu w myślach, a może na widok jego czerwieniejących policzków, Lois pośpieszyła z wyjaśnieniem.

- No, właściwie widziałam tylko zarys twojej sylwetki, wiesz, i zawsze miałeś na sobie szlafrok. Byłeś bardzo skromny. Więc o to wcale nie musisz się martwić. A poza tym powinieneś wiedzieć, że gdybyś zaczął robić coś, czego nie chciałbyś pokazać ludziom, tobym nie patrzyła. Nie wychowano mnie przecież w stodole!

Uśmiechnął się i poklepał ją po dłoni.

- Jestem tego pewien, Lois. Tylko wiesz, to... no... niespodzianka. Odkryć tak, że kiedy siedziałem i obserwowałem pustą ulicę, ktoś obserwował mnie...

Obdarzyła go enigmatycznym uśmiechem, który wydawał się mówić: „Nie przejmuj się, jesteś dla mnie tylko znajomym fragmentem krajobrazu”.

Ralph zastanawiał się przez chwilę nad znaczeniem tego uśmiechu, ale dał sobie spokój i wrócił do tego, co najważniejsze.

- Więc co się stało, Lois? Dlaczego siedziałas tu i płakałaś?

Przez bezsenność? Bo jeśli tak, to oczywiście rozumiem i współczuję... ale nie tylko o to chodziło, prawda?

Uśmiech zamarł na ustach Lois, dłonie w rękawiczkach znów splotły się na jej kolanach. Patrzyła na nie poważnym wzrokiem.

- Są gorsze rzeczy niż bezsenność. Na przykład zdrada. Zwłaszcza jeśli zdradzają cię ludzie, których kochasz.

Umilkła. Ralph jej nie ponaglał. Patrzył na leżącą u stóp wzgórza Rosalie. Miał wrażenie, że Rosalie patrzy na niego. A może na nich oboje?

- Wiesz, Ralph, że mamy nie tylko ten sam problem, ale i tego samego lekarza?

- Ty też chodzisz do Litchfielda?

- Chodziłam do Litchfielda. Poleciała mi go Carolyn. Ale już nigdy do niego nie pójde. Skończyłam z nim. - Zacisnęła usta. - Cholerny zdradziecki sukinsyn!

- Co się stało?

- Wytrzymałam prawie rok. Czekałam, aż sama wrócę do normy. Mówią przecież, że natura jest najlepszym lekarzem. Nie to, żebym od czasu do czasu nie pomogła naturze. Próbowaliśmy prawdopodobnie mnóstwa tych samych sposobów.

- Plaster miodu? - Ralph znów się uśmiechnął. Nic na to nie mógł poradzić. Cóż to za zdumiewający dzień, pomyślał, a przecież jest jeszcze właściwie ranek!

- Plaster miodu? Jaki plaster miodu? Pomaga?

- Nie. - Uśmiechnął się szerzej niż poprzednio. - Nie pomaga za grosz, ale jest pyszny!

Roześmiała się i dłońmi w rękawiczkach ścisnęła spoczywającą na nich jego dłoń.

Ralph odwzajemnił uścisk.

- Ty nie byłeś u Litchfielda, prawda?

- Nie. Raz nawet zamówiłem sobie wizytę, ale ją odwołałem.

- Odwołałeś ją, bo mu nie ufasz, prawda? Ponieważ uważasz, że popełnił poważny błąd w diagnozie choroby Carolyn?

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Dobrze, zostawmy tę sprawę. Nie miałam prawa pytać.

- Nie, nie, wszystko w porządku. Chyba tylko zaskoczyło mnie, że ktoś inny to powiedział. To znaczy, że... on... że on mógł się pomylić.

- Och! - Oczy Lois zabłyśły groźnie. - Przecież wszyscy tak pomyśleliśmy. Bili wciąż się dziwił, że nie pozwalesz tego niezdarnego durnia do sądu w dzień po jej pogrzebie! Wtedy, oczywiście, zajmowałam wręcz przeciwne stanowisko, broniłam go jak szalona. Myślałeś kiedyś, żeby go zaskarżyć?

- Nie. Mam siedemdziesiąt lat. Nie chcę spędzić tych kilku, które mi jeszcze pozostały, na włóczeniu się po sądach w sprawie o błąd w sztuce. A poza tym, czy wskrzesiłoby to Carolyn?

Potrząsnęła głową.

- To, co się stało z Carolyn - mówił dalej Ralph - było jednak powodem, dla którego nie poszedłem do Litchfielda. Przynajmniej przypuszczam, że to. Nie potrafiłbym mu po prostu zaufać, a może... Sam nie wiem...

Rzeczywiście nie wiedział, i to było najgorsze. Wiedział tylko, że anulował wizytę u Litchfielda i wizytę u Jamesa Roya Honga (znanego w niektórych kręgach jako „facet od igieł”). W tej ostatniej sprawie postąpił zgodnie z radą dziewięćdziesięciodwu - czy nawet dziewięćdziesięcioletniego dziadka, który pewnie nie pamiętał już nawet swego drugiego imienia. Przyszła mu do głowy książka, którą dał mu Dor, i wiersz, który dla niego zacytował - „Pościg”. Utkwił mu on jakoś w pamięci... zwłaszcza ten fragment, w którym poeta mówił o tych wszystkich rzeczach, które pozostają poza nim: nie przeczytanych książkach, nie opowiedzianych żartach, podróżach, w które się nigdy nie wybierze...

- Ralph? Ralph, jesteś jeszcze tu czy już gdzie indziej?

- Jestem, jestem... Myślałem o Litchfieldzie. Zastanawiałem się, dlaczego odwołałem tę wizytę.

Lois poklepała go po dłoni.

- Powinieneś się z tego cieszyć. Ja swojej nie odwołałam.

- Opowiedz mi wszystko. Wzruszyła ramionami.

- Kiedy zrobiło się tak źle, że nie mogłam już tego znieść, poszłam i opowiedziałam mu o wszystkim. Myślałam, że da mi receptę na środki nasenne, ale odmówił. Mam arytmie i środki nasenne mogłyby ją pogorszyć.

- Kiedy u niego byłaś?

- Na początku zeszłego tygodnia. Nagle, wczoraj, jak grom z jasnego nieba: zadzwonił do mnie mój syn, Harold, i powiedział, że chcą z Janet zabrać mnie gdzieś na śniadanie. Oczywiście powiedziałam, że to bez sensu. Potrafię jeszcze poruszać się po kuchni. Powiedziałam, że jeśli w ogóle mają się ruszyć

z Bangor, to sama przygotuję im śniadanie i koniec dyskusji. A jeśli potem zechcą mnie gdzieś zabrać, to proszę bardzo, w porządku. Dokładnie tak mu powiedziałam.

Spojrzała na Ralpha. Na jej twarzy błąkał się niewyraźny gorzki uśmiech.

- W ogóle się nie zastanawiałam, dlaczego przyjeżdżają razem w dzień powszedni, mimo że oboje pracują... i muszą kochać tę pracę, bo o niczym więcej nie mówią. Myślałam tylko, że to z ich strony tak miło... że są tacy troskliwi... Więc specjalnie się postarałam. Chciałam wyglądać ładnie i przygotować wszystko jak trzeba, aby Janet się nie zorientowała, że mam problem ze spaniem. Chyba to mną najbardziej wstrząsnęło. Głupiutka stara Lois, „ta nasza Lois”, jak zawsze mówi

o mnie Bili... co cię tak zaskoczyło? Oczywiście, że wiem, jak na mnie mówi, myślałeś, że urodziłam się wczoraj? On ma rację. Nie jestem mądra, jestem głupiutka, lecz to nie znaczy przecież, że nie cierpię, jak wszyscy, kiedy się mnie oszuka... - Znow zaczęła płakać.

- Oczywiście. - Ralph pogłaskał jej dłoń.

- Ale byś się śmiał, gdybyś widział, jak o czwartej rano piekę kukurydziane bułeczki, jak o czwartej piętnaście szatkuję pieczarki na omlet włoski, jak o wpół do piątej robię sobie makijaż. Tak chciałam być pewna, absolutnie pewna, że Jan znow nie zacznie od swojego „Dobrze się czujesz, mammo Lois?” Nienawidzę tego jej gadania. A wiesz co, Ralph? Oni wiedzieli, co jest ze mną nie tak, wiedzieli od początku!

Ralph był przekonany, że śledzi jej zwierzenia uważnie, ale chyba musiał coś opuścić.

- Wiedzieli? Jak to wiedzieli?

- Litchfield im powiedział! - krzyknęła Lois. Twarz znow miała skrzywioną, tym razem nie z poczucia krzywdy i nie ze smutku, lecz ze straszliwej, bezradnej i żalostnej wściekłości. - Ten cholerny gadatliwy sukinsyn zadzwonił do mojego syna

i opowiedział mu wszystko!

Ralph siedział nieruchomo, oniemiały ze zdumienia.

- Lois, to niemożliwe - wyjąkał, gdy tylko sobie przypomniał, jak się mówi. - Relacje doktor-pacjent... opierają się na wzajemnym... wzajemnym zaufaniu. To jest uregulowane prawnie i twój syn musi o tym wiedzieć, przecież jest prawnikiem, ma podobne zobowiązania w stosunku do swoich klientów. Lekarz nie może opowiadać wszystkim, na co choruje jego pacjent, chyba że pacjent...

- Słodki Jezu! - Lois wzniosła oczy do nieba. - Mały słodki Jezu! W jakim ty świecie żyjesz, Ralph? Tacy ludzie jak Litchfield robią tylko to, co sami uważają za słuszne. Chyba przez cały czas zdawałam sobie z tego sprawę, a to znaczy, że jestem jeszcze głupsza, bo przecież jednak do niego poszłam. Carl Litchfield to próżny, arogancki facet, który bardziej niż

o pacjentów troszczy się o to, jak wygląda w nowych szelkach i uszytej na miarę koszuli.

- Okropnie cyniczne stwierdzenie.

- Smutne jest tylko to, że także okropnie prawdziwe. Wiesz co? Ma trzydzieści pięć czy trzydzieści sześć lat i jakoś tam doszedł do wniosku, że po czterdziestce... przestanie się starzeć. Według niego ludzie po sześćdziesiątce to starcy, według niego nawet najlepsi z nas w wieku jakichś sześćdziesięciu lat stoją już nad grobem, a wszystkich powyżej osiemdziesiątki krewni z litości powinni oddać... do rzeźni. Dzieci nie mają prawa mieć tajemnic przed rodzicami, takie stare pierniki jak my nie mają prawa mieć tajemnic przed dziećmi! Rozumiesz, to leży w naszym najlepszym interesie! W chwili kiedy zamykały się za mną drzwi jego gabinetu, doktor Carl Litchfield już miał w ręku słuchawkę, już dzwonił do Harolda, do Bangor. Powiedział mu, że nie sypiam, że cierpię na depresję, że mam problemy z rozumieniem rzeczywistości towarzyszące malejącym zdolnościom postrzegania. A potem powiedział: „Powinien pan pamiętać, że pańska matka się starzeje, panie Chasse. Na pana miejscu bardzo dokładnie przemyślałbym sobie, w jakiej sytuacji znajduje się tu, w Derry”.

- Niemożliwe! - Ralph był równocześnie zdumiony i przerażony. - No, bo... Naprawdę?

Lois ponuro skinęła głową.

- Oczywiście. Tak powiedział Haroldowi, Harold powtórzył to mnie, a teraz ja powtarzam tobie. Jaka jestem głupia! Nie wiedziałam nawet, co to znaczy „malejące zdolności postrzegania rzeczywistości”, póki nie sprawdziłam w słowniku - żadne z nich nie chciało mi powiedzieć. A ty wiesz, co to znaczy?

- Że nie myślisz. Że masz problemy z logicznym myśleniem.

- Słusznie. Mój lekarz zadzwonił do mojego syna i powiedział mu, że głupieję ze starości! - Lois roześmiała się gorzko i użyła pożyczonej chusteczki, by wytrzeć z policzka świeże łzy.

- Nie mogę w to uwierzyć! - Ale oczywiście wierzył. Po

śmierci Carolyn zaczął zdawać sobie sprawę, że owa szczególna naiwność, z jaką pojmował świat przed ukończeniem osiemnastego roku życia, najwyraźniej nie opuściła go na zawsze przy przekraczaniu granicy między dzieciństwem a wiekiem męskim, a teraz, gdy przekroczył granicę między wiekiem męskim a poważnym wiekiem męskim, najwyraźniej wyszła z ukrycia. Wiele rzeczy go zaskakiwało... tylko że „zaskoczenie” nie było tu najlepszym słowem. Mnóstwo rzeczy po prostu powalało go na tyłek... w ognisko!

Na przykład te małe buteleczki pod Mostem Całusów. Pewnego dnia, w lipcu, wybrał się na długi spacer do parku Bassey. Zszedł pod most, żeby przez chwilę odpocząć. Ledwie znalazł wygodne miejsce i usiadł, dostrzegł odłamki szkła w chwastach, na brzegu płynącego pod mostem strumyczka. Rozgarnął wysoką trawę; okazało się, że to sześć, może osiem małych buteleczek. Na dnie jednej z nich znajdowała się resztką jakiejś zaschniętej białej substancji. Podniósł ją i ze zdziwieniem obracał przed oczami, aż nagle zdał sobie sprawę, że to pozostałości po crack-party! Rzucił wtedy buteleczkę, jakby go oparzyła. Nadal pamiętał, jaki to był dla niego wstrząs, jak bez skutku próbował przekonać samego siebie, że zwariował, że to nie może być to, czym - jak mu się wydawało - było. Nie w tym prowincjonalnym mieście, leżącym przeszło czterysta kilometrów na północ od Bostonu. To właśnie jego odradzająca się naiwność była wstrząśnięta owym znaleziskiem, ta jego cząstka, która najwyraźniej wierzyła (przynajmniej do momentu zejścia pod Most Całusów), że wszystkie te przekazywane przez dzienniki telewizyjne wiadomości o epidemii cracku zostały - jak w serialach kryminalnych albo filmach z Jean-Claude'em Van Damme'em - po prostu wymyślone, że nie ma w nich odrobiny prawdy.

Podobny wstrząs przeżył teraz.

- Harold powiedział, że podrzuca mnie do Bangor, bo powinnam coś zobaczyć. Ostatnio oni nigdzie mnie nie wożą, tylko „podrzucają”, jak jakiegoś nie chcianego psa. Mieli mnóstwo broszurek i kiedy Harold skinął głową, wyciągnęła je tak błyskawicznie...

- Zaraz, zaraz, nie tak szybko. Co zobaczyć? Jakie broszurki?

- Przepraszam, trochę mi to nieskładnie idzie, prawda? Jest takie miejsce w Bangor, nazywa się „Osiedle Nad Rzeką”.

Ralph znał skądś tę nazwę - no, prawdę mówiąc, nawet

dostał od nich broszurkę. Wysyłali je pocztą masowo do ludzi, którzy ukończyli sześćdziesiąty piąty rok życia. Pośmieli się nad nią z McGovernem, ale ich śmiech był trochę nieszczerzy... za bardzo przypominał pogwizdywanie, kiedy idzie się obok cmentarza.

- Cholera, Lois, to dom starców, prawda?

- Ależ nie, kochanie - odparła Lois, wpatrując się w niego wielkimi, niewinnymi oczami. - Ja też tak powiedziałam, ale Harold i Janet natychmiast wyprowadzili mnie z błędu. Nie, Ralph, „Osiedle Nad Rzeką” to „luksusowa posiadłość dla zamożnych starszych obywateli”. Kiedy Harold mi to powiedział, odparłam natychmiast: „Naprawdę? No, to powiem coś wam obojgu. Możecie położyć szarlotkę z McDonalda na srebrnej paterze i nazwać ją francuskim ciastkiem z dżemem, ale jeśli o mnie chodzi, to dalej będzie tylko szarlotką z McDonalda”. Kiedy skończyłam, Harold zaczerwienił się i zaczął coś bełkotać, ale Janet uśmiechnęła się do mnie tym swoim cholernym słodkim uśmiechem, który rezerwuje na specjalne okazje, bo wie, że mnie on doprowadza do szału. Powiedziała: „Ale przecież możesz choćby spojrzeć na te broszurki, mamó Lois, prawda? Tyle możesz dla nas zrobić, skoro oboje wzięliśmy dzień wolny na załatwienie spraw osobistych i przyjechaliśmy aż tu, żeby ci je pokazać”.

- Jakby Derry leżało w sercu Afryki - mruknął Ralph. Lois ujęła jego dłoń i powiedziała coś, co go bardzo rozśmieszyło.

- No, przecież dla niej tam właśnie leży!

- To było przedtem, nim odkryłaś, że Litchfield się wygadał, czy potem? - Umyślnie użył tego samego słowa co Lois, „wygadał”; wydawało mu się, że „nadużył zaufania” byłoby zbyt eleganckie dla tak obrzydliwego uczynku. Litchfield okazał się gadułą i plotkarzem. Po prostu.

- Przedtem. Pomyślałam, że co tam, mogę obejrzeć sobie te broszury, w końcu przejechali sześćdziesiąt kilometrów, a od oglądania przecież się nie umiera. Więc przeglądałam je sobie, podczas gdy oni zajadali przygotowane przeze mnie śniadanie (uwierz mi, przed zmywaniem nie musiałam zeskrobywać z talerzy niczego!) i pili kawę.

Mówię ci, to „Osiedle” to imponujące miejsce. Mają własną służbę medyczną na dwudziestoczterogodzinnych dyżurach, mają własną kuchnię. Kiedy się wprowadzasz, robią ci badania i decydują, co możesz jeść. Jest „dieta czerwona”, „dieta niebieska”, „dieta zielona” i „dieta żółta”. Było jeszcze kilka kolorów, ale ich nie pamiętam. Żółty jest dla cukrzyków, a niebieski dla grubasów.

Ralph wyobraził sobie, że do końca życia ma jeść trzy naukowo przygotowane posiłki dziennie - żegnaj, pizzo z parówkami od Gambiosa, żegnajcie wielkie kanapki, żegnajcie

chiliburgery z „Merian Milt” - i uznał tę perspektywę za wyjątkowo ponurą.

- Mają także - kontynuowała radośnie Lois - pocztę pneumatyczną, która automatycznie dostarcza ci do kuchni codzienną porcję pigułek. Wspaniały pomysł, prawda, Ralph?

- No, chyba...

- Och, z pewnością wspaniały. Cuda, powiew jutra! Wszystkim rządzi komputer, założę się, że nigdy nie będzie cierpieł na zmniejszające się zdolności postrzegania. Dwa razy w tygodniu specjalny autobus zabiera mieszkańców do miejsc szczególnie interesujących krajobrazowo lub historycznie, autobus także wozi ich na zakupy. Musisz używać autobusu, bo mieszkańcom osiedla nie wolno mieć samochodów.

- No pewnie. - Mocno ścisnął jej dłoń. - Pijacy w sobotni wieczór to pestka w porównaniu ze zidiociałym dziadkiem w starym fordzie kombi.

Miał nadzieję, że Lois się uśmiechnie, ale się nie uśmiechnęła.

- Zdjęcia w tych broszurkach zmroziły mi krew w żyłach, wiesz? Stare kobiety grające w kanastę. Starzy mężczyźni rzucający podkowami. Oba smaki łącznie w „Rzecznej Sali”, na bardzo przyzwoitych tańcach. Nie sądzisz jednak, że to całkiem ładna nazwa? „Rzeczna Sala”?

- Chyba rzeczywiście ładna.

- Tak mogłaby się nazywać komnata w zaczarowanym zamku. Ale odwiedzałam paru starych przyjaciół w „Truskawkowych Polach”, to dom starców w Skowheghan, i poznaję świetlicę ledwie spojrzę na zdjęcie. Obojętne, jak pięknie ją nazwiesz, w rogu zawsze stoi szafka z gramami i układankami, którym zawsze brakuje kilku kawałków, telewizja zawsze jest włączona na coś w rodzaju „Kłótni rodzinnej”, a nigdy na filmy, na których przystojni młodzi ludzie rozbierają się i tarzają na dywanie przed kominkiem. W tych pokojach zawsze śmierdzi pastą... sikami... tymi tanimi farbami wodnymi, które sprzedają w wielkich blaszanych pudełkach... i rozpaczą.

Podniosła na niego ciemne oczy.

- Ja mam zaledwie sześćdziesiąt osiem lat, Ralph. Wiem, że sześćdziesiąt osiem to nie żadne tam „zaledwie” dla naszego doktora Fontanny Młodości, ale dla mnie to zaledwie, bo moja mama miała dziewięćdziesiąt dwa lata, kiedy umarła w zeszłym roku, a tata dożył osiemdziesięciu sześciu. W mojej rodzinie jeśli ktoś umiera przed osiemdziesiątką, to umiera młodo... a gdybym miała przeżyć dwanaście lat w miejscu, w którym na kolację zapraszają cię przez głośniki, tobym zwariowała!

- Ja też.

- Ale przejrzałam te ich broszurki. Chciałam być uprzejma. Kiedy skończyłam, złożyłam je w schludny stosik i wręczyłam Jan. Powiedziałam, że są bardzo ładne, i podziękowałam grzecznie. Skinęła głową, uśmiechnęła się, schowała do torebki. Byłam pewna, że na tym koniec, i bardzo dobrze!... Ale wtedy odezwał się Harold.

„Włóż płaszcz, mamó” - powiedział.

Na chwilę tak się przeraziłam, że dosłownie nie mogłam oddychać. Myślałam, że już mnie tam zapisali! Myślałam, że jeśli powiem „nie”, Harold otworzy drzwi, a za drzwiami stać będzie paru facetów w białych fartuchach i jeden z nich powie z uśmiechem: „Niech się pani nie obawia, pani Chasse, po pierwszej porcji pigułek dostarczonych pocztą pneumatyczną wprost do pani kuchni nigdy już nie będzie pani chciała zamieszkać gdzie indziej!”

„Nie mam zamiaru wkładać żadnego płaszcza” - oznajmiłam Haroldowi. Próbowałam powiedzieć to takim tonem, jakim upominałam go zawsze, kiedy miał dziesięć lat i wnosił błoto do kuchni, ale serce biło mi tak mocno, że słyszałam jego bicie w swoim głosie. „Zmieniłam zdanie, nigdzie nie wychodzę. Zapomniałam, ile mam dziś do roboty”. Jan roześmiała się tym śmiechem, którego nie znoszę bardziej niż tego jej przesłodzonego uśmiešku, i spytała: „Ależ mamó Lois, co masz takiego ważnego do zrobienia, że nie możesz pojechać z nami do Bangor, choć poświęciliśmy tyle czasu, żeby przyjechać do Derry i zobaczyć się z tobą?”

Ta kobieta sprawia, że jeżą mi się włosy na głowie, i chyba ja działam na nią podobnie. Na pewno działam na nią podobnie, w życiu nie spotkałam kobiet, które tyle by się do siebie uśmiechały, nie cierpiąc się jak najszczerzej. Wszystko jedno, w każdym razie powiedziałam jej, że muszę umyć podłogę w kuchni.

„Tylko na nią popatrz”, powiedziałam. „Brudna jak nieszczęście”.

„Jej!” - zdziwił się Harold. „Nie wierzę, że odsyłasz nas do miasta z pustymi rękami, skoro przyjechaliśmy po ciebie taki kawał drogi”.

„Nie mam zamiaru wprowadzać się do tego osiedla niezależnie od tego, jaki kawał drogi przejechaliście”, ja mu na to, „i od razu możecie wybić to sobie z głowy. Mieszkam w Derry od trzydziestu pięciu lat, pół życia, i tu mam wszystkich przyjaciół. Nie wyprowadzę się!”

Popatrzyli się na siebie jak rodzice dziecka, które właśnie przestaje być rozkoszne i zaczyna, być nieznośne. Janet poklepała mnie po ramieniu i powiedziała: „Ależ nie denerwuj się, mamó Lois, chcemy tylko, żebyś pojechała i rozejrzała się po okolicy”. Jakby znowu chodziło tylko o broszury i żebym była uprzejma. Mimo wszystko, kiedy tak to powiedziała,

trochę przestałam się bać. Powinnam się od razu zorientować, że nie mogą mnie tam umieścić siłą, bo nie byłoby ich na to stać. Liczyli na pieniądze po panu Chasse. Na emeryturę i ubezpieczenie, które płaci mi kolej, bo umarł w pracy.

Okazało się, że nawet umówili wizytę na jedenastą, że ktoś miał na nas czekać, pokazać nam wszystko i odstawić tę ich gadkę. Tymczasem przestałam się bać, ułożyłam sobie wszystko w głowie, ale bolało mnie, że mnie potraktowali tak z góry, i byłam wściekła na Janet, bo bez przerwy mówiła dzień wolny to, dzień wolny tamto. Nie pozostawiła cienia wątpliwości, że zna lepsze sposoby spędzenia dnia wolnego niż wizyta w Derry u starej tłustej teściowej.

„Nie droczyć się z nami, mamó”, powiedziała po chwili przepychanki, jakby chodziło o to tylko, że nie potrafię się zdecydować, który kapelusz włożyć. „Wskakuj w płaszcz. Pomogę ci pozmywać po śniadaniu, kiedy wrócimy”.

„Chyba mnie nie słyszałaś”, ja na to. „Nigdzie nie jadę. Po co marnować taki piękny dzień na odwiedzinach miejsca, w którym nigdy nie zamieszkałam? A« przede wszystkim, kto wam dał prawo przyjeżdżać tu i rozkazywać mi, co mam robić? Dlaczego któreś z was chociaż nie zadzwoniło, nie powiedziało: »Wiesz, mamó, mamy taki pomysł, nie chciałabyś posłuchać?« Czy nie tak potraktowałibyście kogoś z waszych przyjaciół?”

Kiedy to powiedziałam, znów na siebie spojrzeli...

Lois westchnęła, po raz kolejny otarła sobie oczy i oddała Ralphowi chustkę, moką, ale pod każdym innym względem nadającą się do użytku.

- No, więc z tego ich spojrzenia wywnioskowałam, że to jeszcze nie koniec. Chodzi głównie o to, jak wyglądał Harold. Jakby właśnie gwizdnął czekoladki z torebki w spizarcę. A Janet... Janet patrzyła na niego w sposób, którego nie znoszę najbardziej. Nazywam to spojrzeniem buldoga. No i spytała go, czy powie mi wreszcie, czego się dowiedział od lekarza, czy ona sama ma to zrobić.

W końcu opowiedzieli mi wszystko oboje, a kiedy skończyli, byłam tak wściekła i tak przerażona, że o mało nie rwałam sobie włosów z głowy. Nie mogłam pogodzić się z myślą, że Carl Litchfield wychłapał Haroldowi wszystko, co mu powiedziałam prywatnie, jako lekarzowi. Po prostu zadzwonił i zaczął gadać, jakby nie było w tym nic złego!

„No więc sądzisz, że zgłupiałam ze starości?” - spytałam Harolda. „O to w gruncie rzeczy chodzi, prawda? Oboje z Janet uważacie, że pomieszało mi się w głowie w zaawansowanym wieku sześćdziesięciu ośmiu lat?”

Harold się zaczerwienił, zaczął szurać nogami pod krzesłem i burczeć coś do siebie. Coś o tym, że wcale tak nie myślał, ale musi dbać o moje bezpieczeństwo, tak jak ja zawsze

dbałam

o jego bezpieczeństwo, kiedy dorastał. A Janet przez cały czas siedziała sobie przy kuchennym blacie, zajadała kukurydziane bułeczki i patrzyła na niego tak, że za samo to spojrzenie mogłabym ją zabić. Jakby uważała go za jakiegoś karalucha, który nauczył się gadać jak prawnik. Potem nagle wstała i spytała, czy może umyć ręce. Powiedziałam, że oczywiście, i chciałam dodać, że jeśli zniknie mi z oczu choćby na dwie minutki, to jeszcze lepiej, ale ugryzłam się w język.

„Dziękuję, mamie Lois”, usłyszałam. „To nie potrwa długo, musimy już się zbierać. Jeśli uważasz, że nie musisz się stawić na umówione spotkanie i nie chcesz na nie z nami pojechać, to chyba nic więcej nie mamy sobie do powiedzenia”.

- Urocza istota - mruknął Ralph.

- No więc to przepełniło czarę, miałam dość. „Zawsze dotrzymuję umówionych terminów, Janet Chasse!”, powiedziałam jej, „ale tylko wtedy, kiedy sama się umawiam. A głównie mnie obchodzą te, na które umówiono mnie bez mojej wiedzy!” Pokręciła tylko głową, że niby głupszej baby ziemia nie nosiła, i zostawiła mnie z Haroldem.

Harold patrzył na mnie tymi swoimi wielkimi piwnymi oczami, jakby się spodziewał, że go przeproszę. Czułam się prawie tak, jakbym rzeczywiście powinna go przeprosić, choćby po

to, żeby przestał wreszcie sprawiać wrażenie zbitego cocker-spaniela, ale nie, nie mogłam tego zrobić. Więc tylko na niego patrzyłam, aż w końcu nie wytrzymał i powiedział, że mam przestać się wściekać, że on tylko się bał, że mieszkam tu tak całkiem sama, że próbował tylko być dobrym synem i że Janet próbowała tylko być dobrą córką.

„Chyba cię rozumiem”, ja na to, „ale ty powinienesz rozumieć, że decydować za kogoś, co dla niego dobre, nie jest właściwą formą manifestowania miłości i troski”. Wtedy znowu zeszytniał i stwierdził, że on i Janet nie uważają, by decydowali o czymś za mnie. Kiedy to mówił, zerknął w kierunku łazienki, więc zrozumiałam, że to Jan nie uważała, by zdecydowali o czymś za mnie. Potem wyjaśnił, że przecież wcale nie było tak, jak mówię - że to Litchfield zadzwonił do niego, a nie odwrotnie.

„Zgoda”, powiedziałam, „ale co ci przeszkodziło rzucić słuchawkę, kiedy już się zorientowałeś, o czym będzie mowa? Źle postąpiłeś, Harold. Co ci się, na Boga Ojca, stało?”

Znowu się zaczerwienił i zmieszał, szurał nogami i w ogóle, i nawet myślałam, że mnie może przeprosi, ale Jan wróciła z łazienki i spytała, gdzie trzymam diamentowe kolczyki - te, które dali mi pod choinkę. Taka nagła zmiana tematu strasznie mnie zaskoczyła, zaczęłam się jąkać i chyba przez moment wyglądałam, jakbym naprawdę zgłupiała ze

starości. W końcu zdołałam wykrztusić, że są w małej porcelanowej miseczce, która stoi na toaletce w sypialni, i że zawsze tam były. Mam specjalne pudełeczko na biżuterię, ale nie trzymam w nim tych kolczyków i kilku innych naprawdę ładnych rzeczy, bo są takie śliczne, że samo patrzenie na nie to przyjemność. A poza tym to tylko kilka małych diamentów, nikt przecież nie włamie się do mnie, żeby ukraść coś takiego. Tak samo z pierścieniem zaręczynowym i z kameą z kości słoniowej - także je trzymam w miseczce.

Lois spojrzała na Ralpa napiętym, błagalnym spojrzeniem, a on znów uściśnął jej dłoń. Uśmiechnęła się niepewnie i głęboko zaczerpnęła oddechu.

- Dla mnie to bardzo trudne - powiedziała.

- Jeśli nie chcesz skończyć...

- Nie, chcę... tyle że i tak nie pamiętam, co się działo od pewnego momentu. Takie to było straszne. Bo wiesz, Janet powiedziała, że oczywiście wie, gdzie je zwykle trzymam, tylko że tam ich nie ma. Jest pierścionek i kamea, ale nie

ma kolczyków. Poszłam sprawdzić - miała rację. Przewróciliśmy dom do góry nogami, szukaliśmy wszędzie, ale ich nie znaleźliśmy. Po prostu znikły.

Ścisnęła teraz jego dłoń w obu swoich i wydawała się przemawiać głównie do zamka błyskawicznego jego kurtki.

- Wyjęliśmy wszystkie ubrania z szafy... Harold nawet odsunął od ściany szafę i zajrzał za nią... i pod łóżko... i pod poduszki kanapy... a ja zerkiałam na Janet i miałam wrażenie, że cały czas nie spuszcza ze mnie oka i patrzy tym swoim słodkim, niewinnym spojrzeniem. Takim ciepłym, że mogłoby roztopić masło, choć oczy miała chłodne, i w ogóle wcale nie musiała mówić tego, co myślała, boja i tak dobrze wiedziałam, co myśli: „Widzisz? Widzisz, jak dobrze zrobił doktor Litchfield, że do nas zadzwonił, i jak dobrze myśmy zrobili, umawiając cię dzisiaj na to spotkanie? I jaka ty byłaś głupia? Zgubiłaś te śliczne kolczyki, które daliśmy ci pod choinkę, i masz poważne problemy z postrzeganiem rzeczywistości, na co właśnie otrzymaliśmy dowód. Już jutro możesz nie wyłączyć piecyka w kuchni... albo termy w łazience...”

Lois znowu się rozplakała, a Ralphowi serce się krajało, bo szlochała bezradnie jak ktoś zawstydzony do głębi istoty. Twarz kryła w jego kurtce. Przytulił ją mocno. Lois. Ta nasza Lois. Nie, to określenie już mu się nie podobało, a być może nie podobało mu się nigdy.

Moja Lois, pomyślał i nagle, jakby to określenie zaakceptowała jakaś siła wyższa, świat znów wypełnił się światłem. Dźwięki nabrały głębszego brzmienia. Opuścił wzrok na dłonie Lois i swoje, splecione na jej kolanach, i dostrzegł wokół nich wspaniałą szaroniebieską aureolę w odcieniu dymu tytoniowego.

Aury powróciły.

Ralph usłyszał swój własny głos. Każde słowo było oddzielną, wspaniałą całością, dźwięczną niczym kryształowy grzmot:

- Powinnaś wyrzucić ich z domu, kiedy tylko się zorientowałaś, że kolczyki zginęły.

- Och, teraz to jestem mądra. Ona wręczyła mi sznurek i tylko czekała, aż sama się na nim powieszę. Ale byłam taka zdenerwowana - klótnią o „Osiedle Nad Rzeką”, tym, że mój lekarz powiedział im to, czego nie miał prawa powiedzieć, i wreszcie zniknięciem mojego największego skarbu. Że też właśnie ona musiała odkryć, że kolczyki zginęły! Winisz mnie za to, że nie wiedziałam, co zrobić?

- Oczywiście, że nie - powiedział i podniósł do ust jej okryte rękawiczkami dłonie. Przecięły w tym ruchu powietrze z szelestem nagich palców przesuwających się po wełnianym kocu; przez chwilę widział nawet kształt swoich ust odbity na prawej rękawicze: błękitny znak pocałunku.

Lois uśmiechnęła się.

- Dziękuję ci, Ralph.

- Ależ nie ma za co.

- Wyobrażasz sobie pewnie, co było dalej. „Naprawdę powinnaś bardziej na siebie uważać, mamó Lois, a doktor Litchfield twierdzi, że doszłaś już w życiu do punktu, w którym sama nie dasz rady na siebie uważać, i dlatego właśnie pomyśleliśmy o »Osiedlu Nad Rzeką«. Przykro mi, że cię zirytowaliśmy, ale wydawało nam się, że trzeba działać szybko. Teraz widzisz dlaczego?”.

Ralph podniósł wzrok. Niebo było jak wodospad zielononiebieskiego ognia, po którym chmury żeglowały niczym błyszczące srebrem łodzie. Spojrzał w dół. U stóp wzgórza Rosalie nadal leżała między toaletami. Ciemnoszara wstążka unosiła się nad jej pyskiem, powiewając lekko na chłodnym październikowym wietrze.

- No i wtedy się wściekłam... - Lois przerwała i uśmiechnęła się. - Nie, źle mówię. Więcej niż „wściekłam”. Gdyby mój wnuk był przy tym, powiedziałaby, że babcia strzeliła jak atomówka!

Roześmieli się oboje, choć jej śmiech wydawał się nieco wymuszony.

- Boli mnie, że Janet wiedziała, iż „strzelę”. Chyba nawet chciała, żebym strzeliła, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że potem będę się czuła winna. Bóg wie, że rzeczywiście czuję się winna. Wrzeszczałam. Kazałam się im wynosić. Harold patrzył na mnie, jakby marzył już wyłącznie o tym, żeby się zapaść pod ziemię - krzyki zawsze tak go zawstydzaly - ale Janet tylko siedziała sobie spokojnie z dłońmi na kolanach. Siedziała, uśmiechała się i

kiwała głową, jakby mówiła: „Dobrze, mamo Lois, dobrze, krzycz, pozbądź się tej całej trucizny z organizmu, a kiedy się uspokoisz, to może zmądrzejesz”.

Lois przerwała i odetchnęła głęboko.

- A potem coś się stało. Nie jestem nawet pewna co. Nie po raz pierwszy, ale nigdy jeszcze nie było takie silne. Obawiam się, że to coś w rodzaju... coś w rodzaju ataku. W każdym razie zobaczyłam Janet w taki śmieszny sposób... właściwie to nawet w straszny sposób. I wtedy powiedziałam coś, co wreszcie do niej dotarło. Nie pamiętam co, i nie jestem pewna, czy chciałabym pamiętać, ale wreszcie przestała się uśmiechać tym swoim przesłodzonym uśmiechem. Prawdę mówiąc, to wyciągnęła Harolda z domu prawie siłą. Ostatnie jej słowa, które pamiętam, brzmiały mniej więcej tak, że któreś z nich zadzwoni do mnie, kiedy skończy się ten atak hysterii i już nie będę rzucać obrzydliwych oskarżeń na ludzi, którzy mnie kochają.

Kiedy wyszli, przez jakiś czas siedziałam jeszcze w domu, a potem wyszłam do parku i znalazłam sobie tę ławeczkę. Czasami wystarczy mi posiedzieć na słońcu i już czuję się lepiej. Kupiłam sobie coś do jedzenia w „Jabluszkę”, tam mi powiedzieli, że się pokłóciłeś z Billem. To naprawdę koniec waszej przyjaźni?

Ralph potrząsnął głową.

- Nie. Pogodzimy się. Naprawdę lubię Billa, ale...

- ...ale trzeba uważać, co się do niego mówi - skończyła za niego Lois. - Jeśli wolno mi także dodać, Ralph, nie należy także zbyt poważnie traktować tego, co mówi Bili.

Tym razem to Ralph uściskał ich złączone dłonie.

- Ta dobra rada może się także odnosić do ciebie. Nie powinnaś traktować zbyt serio tego, co stało się dziś rano.

Lois westchnęła.

- Może, ale to bardzo trudne. Na koniec powiedziałam kilka strasznych, naprawdę strasznych rzeczy. I ten jej obrzydliwy uśmiech...

Tęcza zrozumienia oświetliła nagle świadomość Ralpa. W jej blasku dostrzegł coś wielkiego, coś tak wielkiego, że wydawało się oczywiste, rozstrzygające. Po raz pierwszy od chwili, gdy aury do niego powróciły... czy też on powrócił w ich świat... spojrział wprost na Lois. Siedziała w przezroczystej kuli zielonego światła, jasnego jak mgła w pogodny poranek, nim przebiję się przez nią słońce. Zmieniło to kobietę, którą Bili nazywał protekcyjnie „tą naszą Lois” w istotę wielkiej godności... i niemal nieznośnie doskonałego piękna.

Wygląda jak Eos. Jak Jutrzenka.

Lois niepewnie poruszyła się na ławce.

- Ralph! Ralph? Dlaczego tak patrzysz na mnie? Ponieważ jesteś piękna i ponieważ się w tobie zakochałem, pomyślał w zdumieniu. Zakochałem tak głęboko, że czuję się, jakbym tonął... i jest to wspaniałe uczucie.

- Ponieważ dokładnie pamiętasz, co jej powiedziałaś. Lois znów zaczęła bawić się nerwowo zamkiem torebki.

- Nie, przecież...

- Owszem, pamiętasz. Powiedziałaś swojej synowej, że to ona zabrała kolczyki. Zrobiła to, bo twardo postanowiłaś nie jechać z nimi, a kiedy ona nie dostaje, czego chce, wpada w szał... strzela jak atomówka. Zrobiła to, bo ją wkurzyłaś. Bardzo się pomyliłem?

Lois patrzyła na niego przerażonymi oczami.

- Skąd ty to wiesz, Ralph? Skąd ty to o niej wiesz?

- Wiem to, bo ty to wiesz, a ty to wiesz, bo widziałaś.

- Aaach... nie - westchnęła. - Nie, ja nic nie widziałam. Cały czas byłam w kuchni z Haroldem.

- Nie wtedy, nie kiedy zabierała kolczyki, ale kiedy wróciła z łazienki. Zobaczyłaś to w niej i wokół niej.

On także widział teraz w Lois żonę Harolda Chasse, jakby siedząca obok niego na ławce kobieta zmieniła się w lunetę. Janet Chasse była wysoka, smukła, cerę miała jasną, na policzkach zamaskowane makijażem piegi, wspaniałe ciemnorude włosy. Tego ranka przyjechała do Derry z włosami związanymi w gruby koński ogon i przerzuconymi przez ramię jak ciężka wiązka miedzianych przewodów.

Co jeszcze wiedział o kobiecie, której nigdy nie spotkał?

Wszystko. Wszystko.

Ukrywa piegi pod pudrem, bo uważa, że przez nie wygląda dziecinnie, no i ludzie nie traktują poważnie piegowatych kobiet. Ma piękne nogi i dobrze o tym wie. Do pracy nosi krótkie spódniczki, ale dziś, na wizytę u tej

{starej suki}

mamy Lois włożyła sweter i wytarte dzinsy. Strój „na Derry”. Okres się jej opóźnia. W jej wieku nie jest już taki regularny jak szwajcarski zegarek i dwa, trzy dni w miesiącu, kiedy na niego czeka, świat wydaje się jej szklany, a ludzie albo złośliwi, albo głupi, bywa gwałtowna i miewa humory. To pewnie dlatego zrobiła, co zrobiła.

Widział ją, jak wychodzi z maleńkiej łazienki Lois. Widział, jak pełnym furii spojrzeniem obrzuca drzwi do kuchni - na wąskiej, napiętej twarzy ani śladu po przesłodzonym uśmiechu - i jak zabiera kolczyki z porcelanowej misy. Widział, jak wkłada

je do lewej przedniej kieszeni dżinsów.

Nie, Lois nie widziała, jak jej synowa popełnia to drobne, obrzydliwe złodziejstwo, lecz sam akt kradzieży zmienił aurę Janet z bladozielonej na brązowoczerwoną w skomplikowany wzór, który Lois potrafiła odczytać bez najmniejszego problemu, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Wzięła je, oczywiście - powiedział Ralph. Widział szare pasma mgły, przepływające powoli przed źrenicami szeroko otwartych oczu Lois. Mógłby na nie patrzeć aż do zmierzchu.

- Tak, ale...

- Gdybyś zgodziła się mimo wszystko pojechać do tego „Osiedla Nad Rzeką”, to założę się, że znalazłyby się następnego dnia... albo ona by je znalazła. To chyba bardziej prawdopodobne. Taki szczęśliwy przypadek... „Och, mamo Lois, zobacz, co znalazłam”. Może pod umywalką, w szafce, w jakimś ciemnym zakątku.

- Tak! - Lois patrzyła mu wprost w oczy, najwyraźniej zafascynowana, niemal zahipnotyzowana. - Musiała się czuć strasznie... I nie ośmieli się ich oddać, prawda? Nie po tym, co jej powiedziałam. Ralph, jak ty się o tym wszystkim dowiedziałeś?

- Dokładnie tak jak ty, Lois. Od kiedy widzisz aury?

- Aury? Nie wiem, o czym mówisz. Tylko że bardzo dobrze wiedziała.

- Iitchfield opowiedział twojemu synowi o bezsenności, ale chyba bezsenność nie wystarczyła, żeby zaczął... no wiesz, gadać. Na tę drugą sprawę, którą, jak powiedziałaś, nazwał problemami postrzegania, najpierw nie zwróciłem uwagi. Strasznie mnie zdumiało, jak ktoś może w ogóle twierdzić, że przedwcześnie się starzejesz... bo wiesz, mam własne problemy z postrzeganiem.

- Ty?

- A tak, szanowna pani. Przed chwilą powiedziałaś jednak coś znacznie bardziej interesującego. Powiedziałaś, że zaczęłaś dostrzegać Janet w dziwny sposób. Właściwie to nawet w straszny sposób. Nie pamiętasz, co powiedziałaś, nim oboje wyszli, ale doskonale pamiętasz, jak się czułaś. Widzisz tę drugą

część świata... resztę świata. Kształty wokół rzeczy, kształty wewnątrz rzeczy, dźwięki w dźwiękach. Ja to nazywam światem aur i ty ten świat widzisz. Prawda, Lois?

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, a potem ukryła twarz w dłoniach.

- A ja myślałam, że tracę zmysły - powiedziała. I powtórzyła. - Och, Ralph, myślałam, że tracę zmysły!

Ralph przytulił ją, puścił, a potem dłonią podniósł w górę jej brodę.

- Tylko mi nie płacz - rozkazał. - Nie zabrałem ze sobą drugiej chusteczki.

- Nie będę płakała - zgodziła się Lois, ale oczy miała wilgotne. - Ralph... gdybyś tylko wiedział, jakie to straszne...

- Przecież wiem. Uśmiechnęła się promiennie.

- Oczywiście. Ty wiesz, prawda?

- Ten dureń Litchfield zdecydował, że tracisz ze starości rozum (pewnie miał zresztą na myśli Alzheimera) nie tyle z powodu bezsenności, co z powodu bezsenności, której towarzyszy coś jeszcze... coś, co według niego mogło być tylko halucynacją, prawda?

- Chyba tak, ale nie wspomniał nawet o halucynacjach. Kiedy mu opowiedziałam, co widzę... barwy i w ogóle... wydawał się bardzo... wyrozumiały.

- Aha. A gdy tylko wyszłaś z gabinetu, zadzwonił do twojego syna i poradził mu, żeby natychmiast przyjechał do Derry i zrobił coś ze starzejącą się mamusią, która widzi ludzi chodzących w kolorowych otoczkach ze wstążkami u głowy.

- Też je widzisz, Ralph? Ty też je widzisz?

- Ja też je widzę - powiedział Ralph i roześmiał się. Ten śmiech zabrzmiał odrobinę wariacko i nic dziwnego. Mnóstwo było rzeczy, o które chciał zapytać Lois, prawdę mówiąc prawie szalał z niecierpliwości. A poza tym pojawiło się jeszcze inne uczucie, tak zdumiewające, że zrazu nie był go w stanie rozpoznać. Był napalony. Nie „zainteresowany”, lecz autentycznie napalony.

Lois znowu się rozpląkała. Łzy miały kolor mgły unoszącej się nad spokojnym jeziorem; parowały lekko, spływając jej po

policzkach. Wiedział, że smakowałyby jak gorzki mech, jak jagody jałowca na wiosnę.

- Ralph... to... to coś... to jest... och!

- Większe i wspanialsze od koncertu Michaela Jacksona podczas meczu o Superpuchar, prawda?

Lois roześmiała się słabo.

- No, trochę... sam wiesz, trochę większe.

- To, co się nam zdarzyło, ma swoją nazwę i nie nazywa się ani bezsennością, ani starością, ani chorobą Alzheimera, tylko hiperrzeczywistością.

- Hiperrzeczywistość - powtórzyła. - Boże, co za egzotyczna nazwa!

- Bardzo egzotyczna. Wyjaśnił mi to po znajomości farmaceuta ze „Szczęścia w pigułce”. Joe Wy zer. Tylko że to coś więcej, niż wie Joe. Więcej, niż ktoś normalny mógłby nawet podejrzewać.

- Aha. Tak jak telepatia... jeśli to coś jest rzeczywiste. Ralph, czy nie postradaliśmy

zmysłów?

- A czy twoja synowa ukradła ci kolczyki?

- Ja... ona... Tak! - Lois wyprostowała się. - Tak - powtórzyła stanowczo. - Ukradła mi kolczyki.

- Nie masz żadnych wątpliwości?

- Żadnych.

- Więc sama odpowiedziałaś sobie na pytanie. Jesteśmy, oczywiście, normalni... Ale chyba nie masz racji z tą telepatią. Nie czytamy w umysłach, lecz w aurach. Słuchaj, Lois, jest mnóstwo rzeczy, o które chciałbym cię zapytać, ale teraz, zaraz, muszę wiedzieć jedno. Czy widziałaś... - przerwał. Czy naprawdę pragnie powiedzieć to, co ma akurat na końcu języka.

- Czy widziałam... co?

- No, dobrze. To znacznie bardziej wariackie niż wszystko, czego dowiedziałem się od ciebie, ale ja nie jestem szalony. Potrafisz w to uwierzyć? Nie jestem szalony!

- Potrafię w to uwierzyć - odparła po prostu Lois, Ralphowi zaś wielki ciężar spadł z serca. Powiedziała prawdę. Bez najmniejszych wątpliwości. Prawda ta lśniła wokół niej.

- Dobrze, posłuchaj. Czy od czasu, kiedy to ci się zaczęło, widziałaś może kogoś, kto nie pasuje do Harris Avenue? Kogoś, kto nie pasuje nawet do zwykłego świata?

Patrzyła na niego pytająco, nic nie rozumiejąc.

- Są łysi, bardzo niscy i ubrani w coś w rodzaju białych fartuchów. Najbardziej przypominają rysunki Obcych, publikowane czasami na pierwszych stronach brukowców, które można kupić w „Jabłuszku”. Czy nie widziałaś kogoś takiego podczas ataków hiperrzeczywistości?

- Nie, nie widziałam.

Ralph uderzył się pięścią w kolano, głęboko rozczarowany, myślał chwilę i znów podniósł głowę.

- W poniedziałek nad ranem, zanim pojawiła się policja, widziałaś mnie?

Lois bardzo powoli skinęła głową. Jej aura pociemniała nieco. Pojawiły się też przecinające ją, cienkie jak nici spirale szkarłatu.

- No, to mam wrażenie, że doskonale wiesz, kto wezwał policję. Prawda?

- Och... oczywiście. Przedtem się domyślałam, ale nie byłam pewna, póki nie dostrzegłam tego w twoich... w twoich kolorach.

W twoich kolorach, pomyślał. Ed wyraził się kiedyś bardzo podobnie.

- Ale nie widziałaś krasnali-bliźniaków, wychodzących z jej domu?

- Nie. Tylko że to nic nie znaczy. Z okna sypialni nie widzę domu May Locher.

Zasłania go dach „Jabluszka”.

Ralph założył ręce na głowę. Oczywiście, sam powinien o tym pomyśleć.

- Sądziłam, że to ty zadzwoniłeś na policję, bo jak szłam pod prysznic, zobaczyłam, że przyglądasz się czemuś przez lornetkę. Nigdy przedtem nie widziałam cię z lornetką, ale pomyślałam, że pewnie chcesz się lepiej przyjrzeć temu bezpieczeństwa psu, który buszuje po śmietnikach w czwartkowe ranki. - Wskazała palcem w dół wzgórza:

Ralph uśmiechnął się.

- To nie żaden „on”, tylko nasza wspaniała Rosalie.

- Aha. Wszystko jedno. Siedziałam pod prysznicem bardzo długo, bo myłam włosy specjalnym szamponem. Nie koloryzującym - dodała ostro, jakby ją o to oskarżył - ale proteinowym, z dodatkami, po których włosy wydają się gęściejsze. Kiedy skończyłam, mnóstwo policji już kręciło się wokoło. Tylko raz popatrzyłam w twoje okno, ale cię nie zobaczyłam. Albo poszedłeś do innego pokoju, albo tak jakoś wtuliłeś się w fotel. To ci się czasami zdarza.

Ralph potrząsnął głową, jakby coś sobie w niej układał.

A jednak nie przesiedział tych wszystkich nocy w pustym teatrze. Na widowni był oprócz niego jeszcze ktoś. Zajmowali po prostu różne łóżka.

- Lois, słuchaj, ja wcale nie pokłóciłem się z Billem o szachy, tylko...

Rosalie szczerknęła krótko, chrypliwie i wstała z wysiłkiem. Ralph zerknął w jej kierunku i poczuł, jak w żołądek godzi go sople lodu. Choć siedzieli tu przeszło pół godziny i w okolicy nie widzieli nikogo, plastikowe drzwi toalety oznaczonej obrazkiem mężczyzny otwierały się powoli.

Wyszedł przez nie doktor nr 3. Na głowie, odchylona z czoła, nadal tkwiła mu panama Billa McGovernia z odgryzionym kawałkiem rąbka. Zaskakująco przypominał w niej McGovernia z tego dnia, kiedy Ralph po raz pierwszy zobaczył go w fedorze na głowie - obaj wyglądali trochę jak wścibscy dziennikarze z kryminalistów z lat czterdziestych.

We wzniesionej dłoni łysy doktor trzymał zardzewiały skalpel.

Rozdział 3

- Lois? - Własny głos zabrzmiał mu w uszach jak echo odbijające się od ścian wielkiego, głębokiego kanionu. - Lois, czy ty to widzisz?

- Nic nie... - Przerwała nagle. - Czy to wiatr otworzył drzwi tamtej toalety? Nie wiatr, prawda? Czy ktoś tam jest? To dlatego ten pies tak się awanturuje?

Rosalie cofała się powoli przed łysym człowieczkiem. Położyła oberwane uszy, wyszczerzyła stępione zęby, z pewnością nie groźniejsze od kawałków twardej gumy. Szczeknęła parę razy rozpaczliwie, a potem zaczęła skomleć z przerażeniem.

- Jest! Nie widzisz go, Lois? Patrz. Tam!

Ralph zerwał się na równe nogi. Lois wstała również, osłaniając oczy dłonią. Patrzyła w dół, wytężając wzrok.

- Widzę tylko, jak drży powietrze. Jak nad grzejnikiem. *[Powiedziałem ci, że masz ją zostawić!]* - krzyknął

Ralph. - *[Zostaw ją! Odejdź!]*

Łysy zerknął w jego stronę, lecz tym razem w jego spojrzeniu nie było zaskoczenia; po prostu patrzył lekceważąco. Uniósł nawet zaciśniętą pięść z wyprostowanym środkowym palcem, przekazując tym Ralphowi odwieczne i powszechnie rozumiane pozdrowienie, a potem sam wyszczerzył do niego zęby (znacznie ostrzejsze i wyglądające znacznie groźniej niż kły Rosalie) w milczącym, pogardliwym uśmiechu.

Kiedy ruszył w kierunku Rosalie, skuliła się, po czym uniosła łapę i położyła ją sobie na łbie w iście komiksowym geście, który byłby śmieszny, gdyby tak dokładnie nie oddawał jej straszliwego przerażenia.

- Czego nie widzę, Ralph? Coś tam jest, ale...

[Wynoś się!] - krzyknął Ralph i uniósł rękę w geście karateki. Jego dłoń, ta, z której poprzednio wyskoczył promień niebieskiego światła, nadal jednak sprawiała wrażenie nie naładowanego rewolweru i tym razem łysy doktorek najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę. Zerknął na Ralpha, lecz teraz tylko pogardliwie pomachał mu ręką.

[Ach, daj sobie spokój, Krótki - usiądź wygodnie i baw się jak najlepiej.]

Łysy znów zwrócił całą uwagę na Rosalie, skuloną koło pnia sosny. Ze szczeliny w korze wypływała zielonkawa mgła. Łysy doktorek pochylił się nad psem, z dłonią wyciągniętą we współczującym geście, wyjątkowo nie pasującym do trzymanego w niej

skalpela.

Rosalie zaskomlała... po czym wyciągnęła łeb i pokornie polizowała go w rękę.

Ralph spojrział na swoje dłonie. Coś w nich czuł. Nie tę moc, którą miał wcześniej, nic podobnego, lecz coś czuł. Nagle tuż nad paznokciami pojawiły się okruchy czystego białego światła, jakby jego palce zmieniły się jakimś cudem w świece samochodowe.

Lois szarpała go gwałtownie.

- Ralph, co się dzieje z tym psem! Co się dzieje z psem!?! Ralph nie miał pojęcia, dlaczego to robi, ale zakrył jej oczy

jak ktoś, kto zaraz spyta ukochaną kobietę: „Zgadnij, kto to?” Palce rozbłysły mu na moment światłem tak jasnym, że niemal oślepiającym. To o tej bieli opowiadają w reklamach proszków do prania, pomyślał.

Lois krzyknęła. Ścisnęła dłońmi nadgarstki jego rąk i natychmiast je puściła.

- Mój Boże, Ralph, coś ty mi zrobił?

Cofnął dłonie. Oczy Lois otaczała biała ósemka niby ślad po goglach natartych cukrem pudrem. Biel znikwała szybko. Tylko...

Ona nie znika, pomyślał. Ona wsiąka!

- Nic takiego - powiedział. - Patrz!

Spojrzała i jej rozszerzone oczy powiedziały mu wszystko. Doktorka nr 3 wcale nie obeszło, że Rosalie koniecznie chce się z nim zaprzyjaźnić. Odsunął jej pysk dłonią, w której trzymał skalpel. Drugą złapał otaczającą kark psa chustkę i szarpnięciem uniósł mu łeb. Rosalie zawyła rozpaczliwie, piana ciekła jej z pyska. Doktorek zachichotał ochryple; od tego dźwięku Ralph dostał gęsiej skórki.

[Hej! Przestań! Przestań drażnić tę nieszczęsną psinę!]

Łysy gwałtownie uniósł głowę. Nie uśmiechał się już. Warknął na Lois. Brzmiało to jak warczenie złego psa.

[Jasne! Idź i pieprz się ty gruba stara Krótka cipo! Pies jest mój! Już to powiedziałem twojemu bezjajecznemu przyjacielowi!]

Łysy musiał puścić chustę, gdy Lois na niego krzyknęła, bowiem Rosalie stała teraz wtulona w pień sosny. Przewracała ślepiami, piana strumieniem ciekła jej z pyska. Ralph jeszcze nigdy w życiu nie widział tak przerażonego stworzenia.

- Uciekaj! - krzyknął. - Wynoś się stąd!

Pies jakby go nie słyszał. Ralph zorientował się, że rzeczywiście go nie słyszy, ponieważ nie jest już całkiem tutaj. Łysy doktorek zdążył już coś mu zrobić: wydobył go, przynajmniej częściowo, ze zwykłej rzeczywistości, jak farmer ciągnący pień drzewa za

pomocą traktora i kawałka łańcucha.

Mimo wszystko spróbował jeszcze raz.

[Uciekaj, Rosalie! Uciekaj!]

Tym razem pies nastawił leżące jeszcze przed chwilą płasko uszy, pysk obrócił się w jego kierunku. Ralph nie wiedział, czy Rosalie usłuchałaby jego rozkazu, bo łysy znów złapał za chustę, znów poderwał w górę jej łeb.

- Zabije ją! - krzyczała Lois. - Poderżnij jej gardło tym nożem! Nie pozwól mu, Ralph! Powstrzymaj go!

- Nie mogę! Ale może tobie się uda. Strzel do niego! Strzel do niego z dłoni!

Lois spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc. Ralph rozpaczliwie machnął prawą ręką, ale nim zdążyła zareagować, Rosalie zawyła rozpaczliwie, smutno. Łysy doktorek podniósł ramię, machnął skalpelem, ale nie poderżnął Rosalie gardła.

Przeciął jej balonową wstążkę.

Wstążka wypływała z obu nozdrzy psa, unosząc się w górę. Obie „nici” łączyły się jakieś piętnaście centymetrów nad jej nosem w delikatny koński ogon i w to miejsce ciął skalpel. Ralph patrzył, sparaliżowany przerażeniem, jak wstążka rozplatając unosi się - niby za uwolnionym, wzlatującym w niebo balonem. Był pewien, że utknie w gałęziach sosny, ale nie utknęła. Kiedy wreszcie trafiła na gałąź, po prostu przez nią przeniknęła.

Oczywiście. Kumple tego tu doktorka tak samo przeszli przez drzwi domu May Locher, kiedy już zrobili jej to, co on psu.

Za tą myślą pojawiła się druga, tak prosta i tak obrzydliwie logiczna, że nie sposób było podać jej w wątpliwość. Ma do czynienia nie z Obcymi z innej galaktyki, ma do czynienia nie z małymi łysymi doktorkami. To centurioni. Centurioni Eda Deepneau. Nie przypominają wprawdzie rzymskich żołnierzy z filmów historycznych w rodzaju „Spartakusa” czy „Ben Hura”, ale to muszą być centurioni. Muszą, prawda?

Jakieś siedem, może osiem metrów nad ziemią balonowa wstążka Rosalie po prostu rozplynęła się w nicość.

Ralph szybko opuścił wzrok i dostrzegł, jak łysy karzeł ściąga spłowiałą niebieską chustę z karku psa, pchając go na pień sosny, a kiedy przyjrzał się dokładniej Rosalie, przeszył go dreszcz do samych trzewi. Z okrutną wyrazistością przypomniał sobie sen o Carolyn i całym wysiłkiem woli musiał zdusić krzyk panicznego strachu.

Słusznie, Ralph, nie krzycz. Lepiej żebyś nie krzyczał, bo jak raz zaczniesz, to może już nigdy nie przestaniesz - będziesz tak wrzeszczał, aż gardło ci pęknie. Pamiętaj o Lois; ona już także jest w to wplątana. Pamiętaj o Lois i nie krzycz.

Och, ale trudno było nie krzyczeć, bo robale ze snu, które wylały się z głowy Carolyn, teraz wylewały się z nozdrzy Rosalie wijącym się czarnym strumieniem.

Nie, nie robale. Nie wiem, co to jest, ale z pewnością nie robale.

Nie były to rzeczywiście robale, tylko jakiś inny rodzaj aury. Koszmarna czarna substancja, ani płyn, ani gaz, wypływała z Rosalie za każdym jej oddechem. Nie ulatniała się, lecz otaczała ją powoli wstrętnymi pierścieniami antyświatła. Ta czerń powinna ukryć ją przed jego oczami, ale nie ukryła. Ralph doskonale widział przerażone oczy, patrzące na niego błagalnie; ciemność zaś niezmordowanie gromadziła się wokół psiego łba, spływała z karku na łapy.

Otoczka śmierci. Była to prawdziwa otoczka śmierci. Patrzył, jak pies z odciętą już balonową wstążką tka ją wokół siebie niczym zatrutą błonę płodową. Ledwie to określenie przyszło mu do głowy, usłyszał głos Eda Deepneau, Eda opowiadającego, jak to centurioni wrywają nie narodzone dzieci z łon matek i wywożą je pod płachtami ciężarówek.

„Zastanawiałeś się kiedyś, co wożą pod tymi plandekami?”

Doktorek nr 3 stał i z uśmiechem przyglądał się Rosalie. Następnie zdjął jej chustę i założył ją sobie na szyję, wiążąc końce w wielki, luźny węzeł - nadało mu to wygląd artysty z cyganerii przełomu wieków. Kiedy skończył, przyjrzał się Ralphowi i Lois z wyrazem pełnej nienawiści pogardy w oczach. „Widzicie?” - mówiło jego spojrzenie. „Załatwiłem swoje sprawy, jak chciałem, a wy nic nie mogliście na to poradzić, nie?”

[Zrób coś, Ralph, błagam. Zrób coś! Niech on przestanie.]

Cóż, za późno, by uratować psa, ale może nie za późno, by wysłać doktorka do wszystkich diabłów, zanim napatrzy się na Rosalie zdychającą u stóp sosny. Ralph był całkiem pewien, że Lois nie wyprodukuje morderczego „ciosu karate” w jego stylu, lecz może ma inne zdolności?

Tak, może go postrzelić na swój własny sposób!

Nie wiedział, dlaczego jest tego taki pewny; nagle po prostu był. Złapał Lois za ramiona, by zwrócić na siebie jej uwagę, a potem podniósł prawą rękę. Zgiął kciuk, palec wskazujący wycelował w łysego. Wyglądał jak szkrab, który się bawi w policjantów i złodziei.

Lois odpowiedziała mu zawiedzionym, nic nie rozumiejącym spojrzeniem. Złapał ją za rękę, ściągnął z niej rękawiczkę.

[Ty! Ty, Lois!]

Zrozumiała, podniosła dłoń w podobnym geście, wyprostowała palec, uczyniła dziecinny gest, jakby strzelała.

Pif, paf!

Dwa niewielkie pociski podobne do kapsulek lekarstwa, szaroniebieskie, w odcieniu identycznym z odcieniem aury Lois, lecz znacznie jaskrawsze, wyleciały z końca jej palca i pomknęły zbieżnym wzgórzem.

Doktorek nr 3 wrzasnął i podskoczył, podnosząc zaciśnięte w pięści dłonie na wysokość barków. Napiętkami czarnych butów aż kopnął się w tyłek. Pierwszy z pocisków przemknął pod nim, uderzył o ziemię, odbił się od niej niczym płaski kamień od powierzchni wody i trafił w przenośną toaletę dla kobiet. Przez chwilę jej przednia ściana zapłonęła - jak okno pralni automatycznej.

Drugi niebieskozielony pocisk uderzył łysego w biodro, zrykoszetował i poszybował w niebo. Wysoki, piskliwy wrzask łysego wgryzł się w mózg Ralpha niczym robak. Ralph podniósł dłonie do uszu, zdając sobie sprawę, że to nic nie pomoże, i dostrzegł, że Lois robi to samo. Gdyby ten krzyk trwał dłużej, rozsadziłby mu czaszkę, tak jak wysokie „C” potrafi roztrzaskać kryształ.

Doktorek nr 3 padł obok Rosalie na pokrytą igłami ziemię. Tarzał się wyjąc i trzymając się za biodro. Przypominał dziecko, które po raz pierwszy spadło z trzykołowego rowerka. Po kilku chwilach wrzaski zaczęły cichnąć, a doktor pozbił się jakoś i stanął na nogi. Spod białego czoła patrzyły na nich płonące wściekłością oczy. Panama Billa przesunęła mu się na tył głowy, przypalony po lewej stronie na czarno fartuch dymił.

[Dorwę was! Dorwę was oboje, wy cholerne wścibskie krótkoterminowe pierdoły!
DORWĘ WAS OBOJE!!!]

Odwrócił się i pobiegł ścieżką prowadzącą do ogródka jordanowskiego i na korty tenisowe. Biegł wielkimi, wysokimi skokami, niby kosmonauta po powierzchni Księżyca. Sądząc z tego, jak szybko się poruszał, postrzał nie zrobił mu wielkiej krzywdy.

Lois złapała Ralpa za ramię. Potrząsała nim gorączkowo, a aury zaczęły blednąć...

Dzieci! Biegnie do dzieci...!

Gasła. Nagle nabrało to sensu; i równie nagle Ralph zorientował się, że Lois wcale do niego nie mówi, tylko wpatruje mu się w twarz swymi czarnymi oczami i ścisza go kurczowo.

- Nie słyszę cię! - krzyknął. - Lois, ja cię nie słyszę!

- Co ci się stało? Ogłuchłeś? Biegnie do ogródka jordanowskiego. Do dzieci! Nie możemy pozwolić na to, żeby skrzywdził dzieci!

Ralph westchnął głęboko.

- Nie skrzywdzi ich.

- Jak możesz być tego taki pewien?

- Nie wiem. Jestem.

- Postrzeliłam go. - Lois podniosła palec ku skroni. Przez moment wyglądała jak kobieta rozważająca możliwość samobójstwa. - Postrzeliłam go z palca!

- Aha. I poczuł ten strzał. Z tego, co widziałem, nie sprawiło mu to przyjemności.

- Nie widzę już kolorów, Ralph. Skinął głową.

- Pojawiają się i zanikają jak stacje radiowe nocą.

- Sama nie wiem, jak się czuję... nie wiem nawet, jak się powinnam czuć. - Lois rozplakała się wreszcie, a on objął ją mocno. Mimo tego, co działo się akurat w jego życiu, z jednego zdał sobie sprawę z niezwykłą wręcz jasnością: dobrze jest znów trzymać w ramionach kobietę.

- Wszystko w porządku - powiedział i przycisnął twarz do czubka jej głowy. Włosy Lois pachniały słodko; nie wionął od nich zapach wszystkich tych kosmetyków, do którego przywykł przez ostatnie kilkanaście lat życia z Carolyn. - Przestańmy na razie o tym myśleć, dobrze?

Spojrzała mu w oczy. Nie widział już bladej mgły unoszącej się przed jej źrenicami, lecz był pewien, że nadal tam jest. A poza tym nawet bez dodatkowych atrakcji były to bardzo piękne oczy.

- Po co to wszystko, Ralph? Czy wiesz, po co to wszystko?

Potrząsnął głową, w której wirowały mu oderwane obrazy - kawałki wielkiej łamigłówki nie pasujące do żadnej całości: kapelusze, doktorzy, robaki, transparenty, lalki wybuchające strumieniami fałszywej krwi. Jeden element tej łamigłówki narzucał mu się z wyjątkową siłą - bezsensowne powiedzenie Starego Dora: „Upieczonej bułeczki nie odpieczesz”. Co się stało, to się nie odstanie.

Miał wrażenie, że to najprawdziwsza prawda.

Od strony toalet dobiegło go ciche, smutne skomlenie. Rosalie leżała obok pnia wielkiej sosny. Próbowwała dźwignąć się na nogi. Ralph nie widział już otaczającej ją czerni, ale pewien był, że nie znikła.

- Och, Ralph, biedny piesek. Możemy coś dla niego zrobić?

Nic nie mogli dla niego zrobić, był tego najzupełniej pewny. Ujął dłoń Lois w swoje dłonie i czekał, aż Rosalie położy się na ziemi i zdechnie.

Ale Rosalie dźwignęła się energicznie na łapy. Przez moment stała nieruchomo, z łbem zwieszonym tak nisko, że nosem niemal dotykała ziemi. Nagle kilka razy energicznie kichnęła, otrząsnęła się i spojrzała wprost na Lois i Ralpa. Szczeknęła raz, krótko, rześko i pogodnie - w uszach Ralpa zabrzmiało to tak, jakby ich pocieszała: niech się o nią nie

martwią. Następnie po prostu odwróciła się i potruchtała przez mały sosnowy laszek w stronę bocznego wyjścia z parku. Nim stracili ją z oczu, biegła już na swój zwykły sposób. Kulawa noga nie służyła jej lepiej niż przed spotkaniem z doktorkiem nr 3, ale i nie gorzej. Najwyraźniej stara, lecz przecież daleka od śmierci (dokładnie jak reszta z nas, pierników z Harris Avenue, pomyślał Ralph), Rosalie znikła wreszcie wśród drzew.

- Myślałam, że ją zabije - powiedziała Lois. - Tak naprawdę to myślałam, że już ją zabił.

- Ja też - przytaknął Ralph.

- Słuchaj, czy to wszystko rzeczywiście się zdarzyło? Zdarzyło się, prawda?

- Tak.

- Te balonowe wstążki... czy to... linie życia? Ralph powoli skinął głową.

- Tak. To coś w rodzaju pępowin. A Rosalie...

Wrócił myślami do swego pierwszego doświadczenia z aurami. Pamiętał, jak stał przed „Szczęściem w pigułce” oparty o niebieską skrzynkę na listy, z rozdziawionymi ustami. Z sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu osób, które obserwował, dopóki ich aury nie zbladły, tylko kilka otoczonych było czernią - w myślach nazywał ją teraz „torbą śmierci” - a ta, którą przed chwilą wysnuła dla siebie Rosalie, była czarniejsza niż one wszystkie razem wzięte. No i ludzie otoczeni tymi ciemnymi aurami wydali mu się niezdrowi... jak pies, którego aura od początku miała kolor brudnych, przepoconych skarpetek, jeszcze zanim łysek trzeci zaczął się z nim zabawiać.

Może przyśpieszył tylko najzupełniej naturalny proces?

- Ralph? - przerwała mu Lois. - Co z Rosalie?

- Sądzę, że moja stara przyjaciółka dożywa resztek swych dni - powiedział.

Lois spojrzała na oświetlony słońcem sosnowy laszek, w którym znikł pies.

- Ten karzeł ze skalpelem wyszedł z drugim takim z domu May Locher, prawda? - spytała w końcu.

- Nie. Tamci dwaj byli inni.

- Widziałeś ich więcej?

- Nie.

- A myślisz, że jest ich więcej?

- Nie wiem.

Spodziewał się, że zaraz go zapyta, czy zauważył, że ten stwór miał na głowie kapelusz Billa McGovern, ale nie zapytała. Prawdopodobnie wcale nie rozpoznała starej panamy Billa. Zbyt wiele zdumiewających rzeczy zdarzyło się przed chwilą, a poza tym kiedy

Bili nosił ten kapelusz, kawałek ronda nie był jeszcze odgryziony.

Emerytowani nauczyciele historii po prostu nie obgryzają kapeluszy, pomyślał i uśmiechnął się.

- A to dopiero mieliśmy przygodę! - Lois spojrzała mu w oczy. - Moim zdaniem musimy porozmawiać. Naprawdę, powinnam chyba wiedzieć, o co chodzi.

Ralph przypomniał sobie, co zaszło wcześniej; miał wrażenie, że o tysiące lat wcześniej. Szedł sobie ulicą wracając z terenu piknikowego, w myślach przeglądał krótką listę znajomych i zastanawiał się, któremu z nich mógłby się zwierzyć. Skreślił Lois z tej listy - obawiał się, że będzie plotkować z przyjaciółkami. Wstydził się teraz swojego pośpiesznego sądu, który był oparty bardziej na wizerunku Lois namalowanym przez McGoverną, niż na jego własnym. Okazało się, że jedyną osobą, z którą rozmawiała o aurach, był lekarz, człowiek, który powinien być całkowicie godny zaufania.

Skinął głową.

- Masz rację. Powinniśmy porozmawiać.

- Miałbyś ochotę wpaść do mnie na trochę spóźniony lunch? Jak na starą babę, która nie potrafi nawet upilnować własnych kolczyków, robię cholernie ostrą zapiekankę.

- Świetnie! Powiem ci, co wiem, ale to nam zabierze trochę czasu. Kiedy dziś rano rozmawiałem z Billem, podałem mu bardzo skróconą wersję wydarzeń.

- Aha. Pokłóciliście się o szachy, co?

- Nie całkiem. - Ralph wstydliwie opuścił wzrok, ale uśmiechał się. - Może bardziej przypominało to kłótnię, którą miałaś z synem i synową? I wcale nie opowiedziałem mu tego, co najbardziej zwariowane.

- Ale mnie opowiesz?

- Tak - zapewnił ją i podniósł się z ławki. - Założę się, że jesteś wspaniałą kucharką. A nawet... - przerwał nagle, złapał się za pierś. Opadł ciężko na ławkę, oczy otwarte miał szeroko, usta rozdziawione.

- Ralph? Nic ci nie jest?

Zaniepokojony, przerażony głos Lois zdawał się dobiegać go z bardzo daleka. We wspomnieniu Ralph widział łyska nr 3 stojącego między pralnią a sąsiadującym z nią budynkiem mieszkalnym. Łysak nr 3 wołał Rosalie, by przeszła na drugą stronę Harris Avenue. Chciał przeciąć jej balonową wstążkę. Wtedy mu się nie udało, ale i tak załatwił sprawę

{Chciałem się z nią zabawić!}

przed końcem poranka.

Ralphie, stary przyjacielu, może Lois nie zauważyła, co łysek nr 3 ma na głowie, nie tylko dlatego, że Bili McGovern raczej nie nadgryzłby własnego kapelusza. Może nie zauważyła kapelusza, bo nie chciała go zauważyć. Może jest w tej układance kilka pasujących do siebie części - a jeśli tak, to konsekwencje tego prostego faktu mogą być dalekosiężne. Rozumiesz, prawda?

- Ralph, co się stało?

Widział, jak karzeł obgryza rondo panamy, a potem wkłada ją sobie na głowę. Słyszał, jak mówi, że zamiast z Rosalie będzie chyba musiał zabawić się z samym Ralphem.

Ale nie tylko ze mną. Ze mną i z moimi przyjaciółmi. Tak powiedział. Ze mną i z moimi kretyńskimi przyjaciółmi.

Teraz, kiedy wspominał tę chwilę, uprzytomnił sobie, że dostrzegł wówczas coś jeszcze. Mianowicie, jak promienie słońca odbijają się od uszu doktora nr 3, kiedy to doktor nr 3 wgryzł się w rondo kapelusza. Wspomnienie było zbyt wyraźne, by mu zaprzeczyć. Zbyt jasne, by im zaprzeczyć, mogły być także konsekwencje.

Dalekosiężne konsekwencje.

Spokojnie, przyjacielu - niczego nie wiesz na pewno, a szpital wariatów czeka na ciebie tuż za linią horyzontu. Sądzę, że nie wolno ci o tym zapomnieć, że powinieneś nawet zrobić użytek z tego faktu jako punktu odniesienia w rzeczywistości. Nie powinno cię obchodzić, czy Lois też widzi to wszystko, czy nie. Ci inni faceci w białych fartuchach - nie żadne tam łyse kurdupelki, lecz postawni faceci z siatkami i strzykawkami z torazyną - mogą pojawić się tu lada chwila. Lada chwila.

Mimo wszystko...

Mimo...

- Ralph! Jezu Chryste, Ralph, odezwij się! - Lois potrząsała nim i potrząsała, jak żona, która budzi męża, żeby się nie spóźnił do pracy.

Oprzytomniał, spojrzał na nią, próbował nawet wyprodukować na wargach coś w rodzaju uśmiechu. Wyszedł mu uśmiech z gruntu fałszywy, kiedy patrzyło się na niego od środka, ale z zewnątrz musiał sprawiać wrażenie całkiem szczerego, bo Lois się odprężyła. W każdym razie nieco się odprężyła.

- Przepraszam - powiedział. - Przez kilka chwil to wszystko... chyba... wzięło nade mną górę.

- Nie waż się tak mnie straszyć! Złapałeś się za pierś i... Boże!

- Nic mi nie jest - powiedział i fałszywy uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. Czuł się jak dzieciak, który rozciąga watę cukrową, sprawdzając, kiedy się wreszcie rozerwie. - A jeśli

nadal masz zamiar coś mi ugotować, to obiecuję to coś zjeść!

Raz, dwa, trzy pchły na spacer szły. Lois jeszcze raz uważnie mu się przyjrzała, a potem odprężyła się już wyraźnie.

- Doskonale. Będę miała zabawę. Od... no wiesz, od dawna... nie gotowałam dla nikogo oprócz Simone i Miny; to te moje przyjaciółki. - Roześmiała się. - Nie, nie o to mi chodziło. To nie dlatego będę miała zabawę.

- O co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, że od dawna nie gotowałam dla mężczyzny. Mam nadzieję, że nie zapomniałam, jak się to robi.

- Ale... przecież byliśmy u ciebie z Billem. Oglądaliśmy wiadomości, zrobiłaś makaron z serem...

Lekceważąco machnęła ręką.

- Odgrzewane. To się nie liczy. *Małpa siedziała w tramwaju...*

Ralph uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wata zaraz zacznie się rozrywać.

- Jestem pewien, że nie zapomniałaś jak, Lois.

- Pan Chasse miał zdrowy apetyt. Miał zdrowy apetyt... na wszystko. Dopóki nie zaczęły się te kłopoty z wątrobą i... - Westchnęła, a potem podała mu ramię gestem jednocześnie skromnym i pełnym wielkiej pewności siebie; wzruszyło go do głębi to szczególne połączenie. - Nie ma o czym mówić. Mam już dosyć szlochów i rozczulania się nad przeszłością. Zostawiam to Billowi. Idziemy!

Wstał, wziął ją pod rękę. Ruszyli z górki ku bocznemu wyjściu z parku. Lois uśmiechała się szeroko do młodych matek na placu zabaw. Ralph był rad, że na niego nie patrzy. Powtarzał sobie wprawdzie, że nie powinien sądzić pochopnie, powtarzał sobie raz za razem, że zbyt mało wie o tym, co dzieje się z nim i z Lois, by w ogóle wyciągać logiczne wnioski, a jednak wyciągał wnioski i jakiś instynkt mu podpowiadał, że są to wnioski właściwe. Powoli dochodził też do przekonania, że w świecie aur uczucie i wiedza właściwie niczym się od siebie nie różnią.

O tych dwóch niewiele wiem, ale ten trzeci to zaiste szalony doktorek... i kolekcjonuje pamiątki. Kolekcjonuje je tak, jak niektórzy szaleńcy w Wietnamie kolekcjonowali uszy.

To, że synowa Lois w szalonym impulsive ukradła diamentowe kolczyki z porcelanowej miseczki i wsadziła je do kieszeni dżinsów, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Lecz Jan et Chasse już tych kolczyków nie miała. Pewnie właśnie teraz wyrzuca sobie gorzko, że je zgubiła, i niepomrotnie się dziwi, dlaczego w ogóle zabrała je teściowej.

Ralph wiedział, że kurdupel ze skalpelem ma kapelusze Billa, nawet jeśli Lois go nie

rozpoznała. Oboje widzieli, jak zabierał chustę Rosalie. Wstając z ławki Ralph zdał sobie po prostu sprawę, że odbicie światła na jego uszach oznacza, iż prawie na pewno doktorek nr 3 zdobył także kolczyki Lois.

Fotel na biegunach, własność nieodżałowanej pamięci pana Chasse, stał na wytartym linoleum przy wejściu na ganek od tyłu. Lois usadziła na nim Ralpa i zapowiedziała, że ma „nie kręcić się jej pod nogami”, Ralph zaś miał wrażenie, że z wykonaniem jej polecenia nie będzie najmniejszego problemu. Huśtał się na fotelu, a jasne promienie popołudniowego słońca padały mu na kolana. Nie miał pojęcia, jakim cudem tak szybko zrobiło się tak późno, ale jakoś się to stało. Może zasnąłem, pomyślał. Może nadal śpię i to wszystko tylko mi się śni? Patrzył, jak Lois zdejmuje z półki nad kuchnią wok rozmiaru w sam raz dla łakomych hobbitów, a w pięć minut później kuchnię wypełniły smakowite zapachy.

- Obiecałam ci, że pewnego dnia będę dla ciebie gotować - powiedziała, wyjmując warzywa z lodówki i przyprawy z szafek nad kuchnią. - Wtedy, kiedy odgrzałam resztki makaronu z serem dla ciebie i Billa. Pamiętasz?

- Chyba tak - odparł z uśmiechem.

- Dzbaneł świeżego cydru jest w pojemniku na mleko na ganku od frontu. Cydr najlepiej przechowuje się na dworze. Przyniesiesz go? I mógłbyś od razu nalać dwie szklanki. Dobre okulary trzymam w szafce nad umywalką, nie sięgam do niej bez krzesła. Ty jesteś chyba wystarczająco wysoki, żeby nie mieć z tym kłopotu. Masz z metr osiemdziesiąt, prawda?

- Prawie metr osiemdziesiąt pięć. W każdym razie miałem. Przez ostatnie dziesięć lat mogło mi ubyc parę centymetrów. Kręgosłup się kurczy czy coś. I nie musisz wkładać dla mnie najlepszych okularów, naprawdę.

Lois spojrzała na niego srogo. Ręce trzymała na biodrach, z jednej garści sterczała jej łyżka, którą mieszała zapiekankę. Wyglądałaby groźnie, gdyby nie uśmiech.

- Powiedziałam „dobre okulary”, a nie „najlepsze okulary”, panie Roberts.

- Oczywiście, szanowna pani. - Ralph uśmiechnął się wesoło i dodał: - Sądząc po zapachu, nie zapomniała pani jeszcze, jak się gotuje dla mężczyzny.

- O jakości potraw świadczy wyłącznie apetyt jedzącego - odparła Lois, ale Ralph miał wrażenie, że kiedy odwracała się z powrotem ku piecykowi, na jej twarzy widniał wyraz głębokiej satysfakcji.

Zapiekanka okazała się wyśmienita, przy jedzeniu nie rozmawiali więc o tym, co się zdarzyło w parku. Ralph nie był ostatnio całkiem pewien swojego apetytu - pojawiał się on i znikał, od czasu zaś gdy bezsenność stała się problemem naprawdę poważnym, częściej

znikał, niż się pojawiał. Tym razem posłużył mu jednak zarówno przy ostrej zapiekance, jak i cydrze, którego wypił trzy szklanki (z nadzieją, że tego dnia już ani na chwilę nie oddali się niebezpiecznie od toalety). Kiedy skończyli, Lois wstała, podeszła do zlewu i zaczęła go napępniać gorącą wodą. Podczas zmywania powrócili do najważniejszego tematu, jakby rozmowa niczym nie różniła się, na przykład, od roboty na drutach, do której wraca się po wykonaniu innych, pilniejszych zajęć.

- Co ty mi właściwie zrobiłeś? - spytała Lois. - Żeby kolory wróciły?

- Nie wiem.

- Miałam wrażenie, że stoję na krawędzi tego innego świata, a kiedy położyłeś mi dłonie na oczach, to jakbyś mnie do niego wepchnął.

Skinął głową, bo pamiętał, jak wyglądała przez kilka pierwszych sekund, kiedy cofnął rękę - jakby właśnie zdjęła gogle wyjęte z worka z cukrem pudrem.

- Zrobiłem to całkowicie instynktownie. I masz rację, to zupełnie inny świat. Sam tak o nim myślę: „świat aur”.

- Jest piękny, prawda? To znaczy, wydaje się trochę przerażający i kiedy zaczęło mi się to zdarzać w końcu lipca albo

na początku sierpnia, byłam pewna, że zaczynam chorować na głowę. Ale nawet wtedy mi się podobał, nic na to nie mogłam poradzić.

Ralph patrzył na nią zdumiony. Czyżby kiedyś rzeczywiście uważał Lois za istotę prostą i nieskomplikowaną? Za plotkarkę? Za kobietę niezdolną do zachowania tajemnicy?

No nie, obawiam się, że było nawet nieco gorzej, przyjacielu. Miałeś ją za istotę płytką. W rzeczywistości patrzyłeś na nią w zasadzie oczami Billa; była dla ciebie po prostu „tą naszą Lois”.

- Co się stało - spytała nieco zmieszana. - Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Widzisz aury od lata? Tak długo?

- Aha. I są coraz jaśniejsze. A także pojawiają się coraz częściej. To dlatego poszłam w końcu do tego gaduły. Naprawdę postrzeliłam tego łysego z palca, Ralph? W miarę upływu czasu coraz mniej chce mi się w to wierzyć!

- Postrzeliłaś. Mnie samemu zdarzyło się coś podobnego na krótko przed naszym spotkaniem.

Opowiedział jej o swoim wcześniejszym spotkaniu z doktorkiem nr 3 i jak go wtedy przegonił, przynajmniej na jakiś czas. Podniósł dłoń na wysokość ramienia i opuścił ją szybko.

- Tylko to zrobiłem. Jak dziecko udające, że jest Chuckiem Norrisem albo Stevenem

Segalem. Ale wypuściłem z dłoni promień niebieskiego światła i ten karzeł zwiął w podskokach. Pewnie dobrze się złożyło, bo nie mogłem powtórzyć tego wyczynu. I w ogóle nie wiem, jak mi się udało tego dokonać. A ty potrafiłabyś strzelić tak jeszcze raz?

Lois zachichotała, obróciła się i wycelowała z palca w niego... no, mniej więcej w niego.

- Chcesz się przekonać? Ba bam! Ba bam!

- Niech pani lepiej przesunie odrobinę to coś - poprosił Ralph. Uśmiechał się przy tym, ale wcale nie był pewien, czy żartuje.

Opuściła palec i wlała do wody w zlewie trochę płynu do zmywania. Mieszając wodę ręką i dmuchając na banieczki, zadała pytanie najważniejsze.

- Skąd bierze się ta moc, Ralph? I czemu służy? Wstał i podszedł do niej. Potrząsnął głową.

- Nie wiem. I nie wiem. Bardzo ci pomogłem, prawda? Gdzie trzymasz ściereczkę do wycierania naczyń?

- Nie twoja sprawa. Siadaj. I proszę, powiedz, że nie jesteś jednym z tych nowoczesnych mężczyzn, Ralph... tych, co to zawsze tulą się do siebie i kwilą.

Ralph roześmiał się.

- Ależ nie! Po prostu zostałem dobrze wytresowany.

- Aha. Tylko nie opowiadaj mi, jaki jesteś wrażliwy. My, dziewczyny, lubimy pewne rzeczy odkrywać same. - Otworzyła szafkę pod zlewem i wyjęła z niej spłowiałą, lecz dziewiczo czystą ściereczkę. - Wycieraj naczynia i ustawiaj na blacie. Ja sama odłożę je na miejsce. Teraz możesz opowiedzieć mi o sobie. Pełną wersję.

- Załatwione.

Ciągle jeszcze się zastanawiał, od czego zacząć, kiedy usta otworzyły mu się same.

- Kiedy wreszcie uświadomiłem sobie, że Carolyn musi umrzeć, zacząłem chodzić na spacer. Pewnego dnia, kiedy szedłem Extension...

Opowiedział jej wszystko, poczynając od interwencji w kłótni Eda z grubasem w czapeczce-reklamówce West Side Gardeners, a kończąc na tym, jak Bili wysłał go do lekarza, bo „w naszym wieku choroba umysłowa zdarza się często, w naszym wieku choroba umysłowa zdarza się cholernie często”. Kilkrotnie musiał wracać do tego, co zdarzyło się wcześniej - na przykład zapomniał opowiedzieć, jak to w chwili, kiedy Ed już miał się rzucić na Grubego, pojawił się na miejscu Stary Dor - ale Lois chyba nie miała najmniejszego kłopotu ze śledzeniem wątku opowieści. Snując ją, czuł przede wszystkim ulgę - ulgę tak wielką, że niemal bolesną. Było tak, jakby na sercu i na umyśle ktoś wybudował mu

prawdziwy mur, który rozbierał teraz cegła po cegle.

Kiedy skończył, przenieśli się z kuchni do dużego pokoju z wszystkimi jego zdjęciami, wśród których, z telewizora, królował pan Chasse.

- No więc? - spytał. - W co wierzysz?

- We wszystko, oczywiście - odparła i albo nie zauważyła malującej się na jego twarzy wielkiej ulgi, albo postanowiła ją po prostu zignorować. - Po tym, co widzieliśmy dziś rano, nie mówiąc już o tym, co powiedziałeś o mojej cudownej

synowej, nie bardzo mogę ci nie wierzyć. Na tym polega moja przewaga nad Billem. Nie tylko na tym, pomyślał, ale siedział cicho.

- Nic nie zdarzyło się przypadkowo? - spytała jeszcze. Ralph potrząsnął głową.

- Nie, nie sądzę.

- Kiedy byłam mała, mama najęła do pomocy w domu takiego chłopca, syna sąsiadów, nazywał się Richard Henderson. Miała do wyboru wielu chłopców, ale wybrała Richiego, bo go lubiła... lubiła go dla mnie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Oczywiście. Bawiła się w swatkę.

- Aha, ale przynajmniej nie robiła tego brutalnie, jawnie, tak żebym musiała się wstydzić. I dzięki Bogu, bo Richie zupełnie mnie nie obchodził, no, ale mama starała się jak mogła. Kiedy odrabiałam lekcje przy kuchennym stole, kazała mu napelnić skrzynkę węglem, choć był już maj, i w dodatku ciepły. Kiedy karmiłam kury, Richie musiał ciąć trawę wokół podwórka. Chciała, żebym miała go ciągle na oczach, żebym się do niego przyzwyczaiła... a gdybyśmy poczuli się dobrze w swoim towarzystwie, gdyby zaprosił mnie na tańce albo na jarmark, bardzo by jej to odpowiadało. Robiła to łagodnie, ale robiła. Popychała mnie ku niemu. To jest podobne.

- Żadne „pchanie” nie wydaje mi się teraz łagodne. - Ralph machinalnie dotknął ręką boku tam, gdzie zranił go nóż Pickeringa.

- Nie, oczywiście, że nie. Kiedy człowieka tak pchną nożem w żebra... to musi być straszne. Dzięki Bogu, że miałeś przy sobie gaz. Jak sądzisz, czy Stary Dor też widzi aury? Czy to coś z tamtego świata powiedziało mu, żeby ci włożył pojemnik do kieszeni?

Ralph bezradnie wzruszył ramionami. Zastanawiał się nad tą możliwością już wcześniej, ale gdyby uznać ją za prawdę... no, to zaczynała się droga z górki. Bo gdyby przyjąć, że to Dorrance włożył mu gaz do kieszeni, trzeba by także przyjąć, że jakieś

(istoty)

siły albo stworzenia wiedziały, że będzie potrzebował pomocy. Mało. Te siły - albo te istoty - musiałyby także wiedzieć, że: a) Ralph ma zamiar wyjść z domu w niedzielę po

południu; b) pogoda, na razie niezła, zmieni się na gorszą i Ralph włoży marynarkę; c) którą włoży marynarkę. Innymi słowy, mowa

o czymś lub o kimś umiejącym przewidywać przyszłość. Szczerze mówiąc, myśl, że ktoś lub coś dysponujące taką mocą w ogóle zwróciło na niego uwagę, przerażała go dogłębnie. W przypadku ataku Pickeringa to coś prawdopodobnie ocaliło mu życie, ale i tak bardzo się bał.

- Może - powiedział. - Może coś użyło Dora w charakterze chłopca na posyłki. Ale dlaczego?

- A co wiemy? - zainteresowała się Lois. Ralph tylko bezradnie potrząsnął głową.

Lois spojrzała na zegar wciśnięty między fotografię przedstawiającą mężczyznę w norkach i fotografię młodej kobiety gotową w każdej chwili powiedzieć „marmelada”, a potem sięgnęła po telefon.

- Prawie wpół do czwartej! O mój Boże! Ralph położył rękę na jej dłoni.

- Do kogo dzwonisz?

- Do Simone Castonguay. Umówiłam się z nią i z Milą na wypad do Ludlow, w „Grange” można będzie pograć w karty. Ale po tym wszystkim nie mogę pojechać. Zdarłyby ze mnie ostatnią koszulę. - Roześmiała się i zarumieniła rozkosznie. - Tak się tylko mówi.

Przycisnęła jej dłoń tak, że nie mogła podnieść słuchawki.

- Powinnaś pojechać, Lois.

- Naprawdę? - Patrzyła na niego z powątpiewaniem, wyraźnie rozczarowana.

- Oczywiście. - Nadal nie był pewien, co się tu właściwie dzieje, ale miał wrażenie, że niedługo już tej niepewności. Lois twierdziła, że czuła się popychana, jemu jednak wydawało się, że jest niesiony: człowiek w czólnie niesiony przez rzekę. Nie wiedział jednak, dokąd podąży, ciężka mgła zasłaniała brzegi, a teraz prąd wody przybrał jeszcze na sile i z dala dobiegał huk wodospadu.

Są jednak kształty, Ralph. Kształty we mgle.

Tak, rzeczywiście. I niewielkiej dodawały mu otuchy. Może były to drzewa, przypominające tylko zaciśnięte pięści... ale równie dobrze mogły to być zaciśnięte pięści wyglądające jak drzewa. Póki się nie dowie, z którą z tych dwóch możliwości ma do czynienia, lepiej będzie, jeśli Lois wybierze się za miasto. Miał nieodparte wrażenie - choć może była to tylko nadzieja przebrana za wrażenie - że doktorek nr 3 nie jest w stanie udać się za nią do Ludlow.

Nie możesz tego wiedzieć, Ralph.

Nie wiedział, ale wrażenie było nieodparte, a nadal był przekonany, że w świecie aur

wrażenia i wiedza prawie się od siebie nie różnią. Jedno zresztą wiedział na pewno: doktorek nr 3 nie odciął jeszcze jej wstążki; widział ją na własne oczy, podobnie jak radośnie zdrowy, szary blask aury Lois. Nie mógł jednak obronić się przed poczuciem, że doktorek trzeci, szalony doktorek, ma zamiar ją przeciąć i że - choć Rosalie prezentowała się całkiem nieźle, wybiegając z parku - przecięcie tej linki to akt morderstwa.

Powiedzmy, że masz rację, Ralph, powiedzmy, że nie będzie w stanie dorwać jej dziś wieczorem w Ludlow, podczas gry w pokera na centy. A co z dzisiejszą nocą? Co będzie jutro? W przyszłym tygodniu? Jak ona sobie z tym poradzi? Czy ma zadzwonić do syna i tej cholерnej synowej i powiedzieć im, że zmieniła jednak zdanie na temat „Osiedla Nad Rzeką?”

Nie miał pojęcia i potrzebował czasu do namysłu, a wiedział, że trudno mu będzie myśleć konstruktywnie, póki się całkowicie nie upewni, że Lois jest bezpieczna, przynajmniej na razie.

- Ralph, znów zaczynasz wyglądać tak mgliście.

- Jak?

- Mgliście. - Energicznym ruchem głowy odrzuciła włosy z czoła. - Wymyśliłam to słowo, kiedy chciałam opisać, jak wygląda pan Chasse, kiedy udaje, że słucha mnie uważnie, a w rzeczywistości myśli wyłącznie o swojej kolekcji monet. Wiem, kiedy ktoś wygląda mgliście, Ralph, ja się na tym znam. O czym myślałeś?

- Zastanawiałem się, o której masz zamiar wrócić.

- To zależy.

- Od czego?

- Czy wpadniemy do Tubby'ego na koktajl mleczny z czekoladą - powiedziała tonem kobiety, która przyznaje się do jakiegoś wstydliwego nałogu.

- Załóżmy, że wrócisz wprost do domu.

- No, to o siódmej, wpół do ósmej.

- Zadzwon do mnie, jak tylko przyjedziesz. Dobrze?

- Oczywiście. Ty chcesz, żebym wyjechała z miasta, prawda? To stąd ten mglisty wygląd?

- No...

- Twoim zdaniem to obrzydliwe łyse stworzenie będzie chciało mnie skrzywdzić, prawda?

- Uważam, że to możliwe.

- No, przecież tobie też może zrobić coś złego!

- Tak, ale...

O ile wiem, Lois, on nie nosi jeszcze mojej biżuterii!

- Ale co!?

- Ale nic mi się nie stanie, póki nie wrócisz, to wszystko. - Przypomniał sobie, jak żartowała ze współczesnych mężczyzn, którzy tulą się do siebie i kwilą, i spróbował groźnie zmarszczyć brwi.

- Idź pograć sobie w karty, a ja już wszystkim się zajmę. Przynajmniej na razie. To rozkaz!

Carolyn albo roześmiałyby się, albo rozgniewała na niego za tak komiczne odgrywanie prawdziwego mężczyzny, lecz Lois, wychowana w zupełnie innej szkole kobiecości, tylko skinęła głową i wyglądała na szczęśliwą, że nie musi podejmować decyzji.

- Dobrze - powiedziała i uniosła brodę, żeby mu spojrzeć prosto w oczy. - A czy ty wiesz, co robisz, Ralph?

- Nie. Na razie jeszcze nie.

- No, to w porządku. Przynajmniej umiesz się do tego przyznać.

Położyła mu dłoń na ramieniu i mocno pocałowała w usta. Ralph doświadczył nagle całkiem miłego, gorącego uczucia w dole brzucha.

- Pojadę do Ludlow i ogram w pokera na pięć dolarów wszystkie te głupie baby, które zawsze próbują dobierać do strita. A wieczorem porozmawiamy o tym, co robić dalej. Dobrze?

- Dobrze.

Jej uśmiech - widoczny bardziej w wyrazie oczu niż w skrzywieniu warg - sugerował, że na rozmowie się nie skończy, jeśli tylko Ralph okaże odrobinę śmiałości... a w tej chwili Ralph czuł się bardzo śmiały. I nawet groźne spojrzenie pana Chasse królującego nad pokojem z telewizora nic nie mogło na to poradzić.

Rozdział 4

Dochodziła za piętnaście czwarta, kiedy Ralph przeszedł przez ulicę i ruszył pod górkę, w kierunku domu. Znow był zmęczony; miał wrażenie, że nie spał od jakichś trzech stuleci, lecz mimo to czuł się lepiej niż kiedykolwiek od śmierci Carolyn. Był bardziej skupiony. Był bardziej sobą.

A może tylko bardzo chcesz uwierzyć, że nikt nie może się czuć fatalnie bez końca, bezwarunkowo, bez nagrody? Niezła myśl, Ralph, tylko nie za bardzo realistyczna.

No dobrze, pomyślał, może akurat sam nie wiem, co myśleć?

Rzeczywiście. A poza tym był jeszcze przerażony, podniecony, zdezorientowany i trochę napalony. Wśród tej mieszanki wybuchowej uczuć i emocji jedno wybijało się na plan pierwszy i domagało natychmiastowego działania - musi dojść jakoś do porozumienia z Billem. Jeśli trzeba będzie go przeprosić, to go przeprosi. Może nawet powinien? W końcu to przecież nie Bili przyszedł do niego ze słowami: „Hej, przyjacielu, wyglądasz strasznie, siadź tu i opowiedz mi

o wszystkim”. Nie, to nie Bili do niego, lecz on zwrócił się do Billa. Wahał się i miał wątpliwości, to prawda, ale w końcu się do niego zwrócił.

Ach, Ralph, co ja właściwie mam z tobą zrobić? - odezwał się rozbawiony głos Carolyn, przemawiający tak wyraźnie

i czysto, jak podczas tych kilku tygodni tuż po jej śmierci, kiedy to Ralph usiłując zapanować nad tęsknotą i żalem, prowadził z nią długie, wyimaginowane dyskusje... i czasami, kiedy był sam w domu, rozmawiał z nią głośno. To przecież Bili wyszedł z siebie i wrzeszczał, słodziutki, nie ty. Widzę, że nadal jesteś tak skłonny przypisywać sobie wszelkie winy, jak

za mojego życia. Chyba rzeczywiście pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Ralph uśmiechnął się krzywo. Dobra, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają i może Bili bardziej zawinił. Sęk w tym, że wcale nie jestem pewien, czy chcę, by ta przyjaźń skończyła się przez głupią kłótnię i bezsensowny spór o to, kto miał rację, a kto jej nie miał. Nie było nic obraźliwego w moim zachowaniu, lecz jeśli nawet Bili otrzyma niezасłużone przeprosiny, to co? O ile dobrze pamiętam, jak ostatni raz wypowiedziałem słowo „przepraszam”, słowo „przepraszam” mnie nie ugryzło, prawda?

Carolyn w jego głowie w milczeniu zdumiała się takim postawieniem sprawy.

Nie przejmuj się, powiedział jej Ralph, ruszając w dalszą drogę. Robię to dla siebie, nie dla niego. I nie dla ciebie, jeśli już o to chodzi.

Zdumiało go i niemal rozbawiło, że tą ostatnią myślą poczuł się tak bardzo zawstydzony. Jakby popełnił świętokradztwo. W żaden sposób nie podważyło to jednak prawdy w niej zawartej.

Szukał klucza, kiedy dostrzegł kartkę przyklepioną do drzwi. Pomacał kieszenie w poszukiwaniu okularów, ale zostawił je u siebie, na kuchennym stole. Odchylił się i zmrużył czy. Rozpoznał pajęcze pismo Billa.

Drogi Ralphie/Lois/Foye/Ktokolwiek

Cały dzień spędzę prawdopodobnie w szpitalu. Siostrzenica Boba Polhursta zadzwoniła z informacją, że teraz to już prawie na pewno to. Biedak chyba Już się poddał. Pokój 313 na oddziale intensywnej opieki medycznej w Szpitalu Miejskim to ostatnie miejsce na ziemi, w którym pragnąłbym spędzić ten piękny październikowy dzień, ale chyba powinienem doprowadzić tę sprawę do końca.

Ralph, przepraszam za to, że dziś rano tak na Ciebie naskoczyłem. Przyszedłeś do mnie po pomoc, a ja zaatakowałem Cię kłami i pazurami. W charakterze przeprosin mogę powiedzieć tylko, że ta sprawa z Bobem kompletnie zszargała mi nerwy. Rozumiesz? Chyba jestem Ci winien kolację... jeśli w ogóle jadasz kolacje z takimi typami jak ja.

Faye, proszę, proszę, PROSZĘ - daj mi spokój z tym twoim cholernym turniejem szachowym! Obiecałem, że zagram, a zwykle dotrzymywałem obietnic.

Żegnaj, okrutny świecie. Bili

Ralph wyprostował się. Co za ulga! Gdyby tylko wszystko, co działo się z nim ostatnio, wyjaśniło się tak gładko!

Wszedł na górę, potrząsnął czajnikiem i właśnie nalewał do niego wody przy kuchennym zlewie, kiedy zadzwonił telefon.

- Rany, jaki jestem szczęśliwy, że wreszcie cię złapałem - powiedział John Leydecker.
- Zaczynałem się już martwić, przyjacielu!

- Dlaczego? Co się właściwie stało?

- Może nic, a może coś? Charlie Pickering zapłacił jednak kaucję.

- Twierdziłeś, że to niemożliwe.

- No więc myliłem się, dobra? - Leydecker był wyraźnie zirytowany. - I nie była to moja jedyna pomyłka. Powiedziałem ci, że sędzia wyznaczy prawdopodobnie kaucję na poziomie jakichś czterdziestu tysięcy dolarów, ale nie wiedziałem, że Pickering trafi na Steadmana, który twierdzi, że w ogóle nie wierzy w szaleństwo. Steadman ustalił kaucję:

osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Obrońca z urzędu Charliego wył jak wilk do księżyca, ale nic mu to nie pomogło.

Ralph zorientował się, że nadal trzyma czajnik w dłoni. Odstawił go na stół.

- I Pickering zapłacił?

- Zapłacił. Pamiętasz, jak twierdziłem, że Ed spisie go na straty niczym nóż do obierania ziemniaków ze złamanym ostrzem?

- Pamiętam.

- No więc zapisz mi kolejne pudło. O jedenastej rano Ed wmaszerował do sądu z walizeczką pełną forsy.

- Zapłacił za Charliego osiem tysięcy?

- Powiedziałem „walizeczką”, nie „kopertą” - poprawił go Leydecker. - Nie osiem, lecz osiemdziesiąt. Cały sąd aż trzęsie się od plotek. Do diabła, będzie się trząsał, nawet kiedy opadną igły ze świątecznych choinek!

Ralph próbował wyobrazić sobie Eda w porozciąganym bluzie i wytartych luźnych spodniach - Carolyn nazywała to „garniturem szalonego naukowca” - i nie mógł.

- Twierdziłeś chyba, że dziesięć procent wystarczy?

- Bo wystarczy, jeśli możesz dać zastaw, dom albo nieruchomość wartości mniej więcej kaucji. Tego Ed najwyraźniej nie potrafił dokonać, miał za to pod materacem drobne oszczędności na kiepską pogodę. Albo to, albo musiał cholernie dobrze wyssać jakiegoś pieprzonego elfa!

Ralph przypomniał sobie list, który dostał od Helen w jakiś tydzień po tym, jak wyszła ze szpitala i schroniła się w domu „Na Zboczu”. Wspomniała w nim o czeku od Eda - czeku na siedemset pięćdziesiąt dolarów. „Najwyraźniej zdaje sobie sprawę ze swych obowiązków”, napisała. Ciekawe, co by czuła, gdyby się dowiedziała, że jej mąż wmaszerował do gmachu sądu w Derry z sumą, która by mogła zapewnić ich córeczce komfortowe pierwsze piętnaście lat życia, i poświęcił ją dla szaleńca zakochanego w nożach i koktajlach Mołotowa.

- Na miłość boską, skąd on miał tyle forsy? - spytał.

- Nie wiem.

- Nie musi zdradzić źródła pochodzenia tych pieniędzy?

- Nie. To wolny kraj. Powiedział, zdaje się, że spieniężył jakieś akcje.

Ralph wspominał stare dobre czasy, stare dobre czasy, nim Carolyn zachorowała i umarła, a Ed tylko zachorował. Przypomniał sobie kolacje, które jadali wspólnie mniej więcej co dwa tygodnie - pizza na telefon u Eda i Helen, kurczaki a la Carolyn w kuchni Robertsów. Pamiętał, jak przy jakiejś okazji Ed obiecał, że zaprosi wszystkich na świeże żeberka do

restauracji w Bangor, gdy tylko ich akcje „dojrzeją”..Jasne”, odparła Helen, uśmiechając się do niego z uczuciem. Była wtedy we wczesnej ciąży; uczesana w koński ogon i ubrana w luźną sukienkę, o wiele jeszcze na nią za wielką, wyglądała najwyżej na czternaście lat. „Jak myślisz, Ed, które dojrzeją wcześniej: dwa tysiące akcji Powiązanych Parówek czy sześć tysięcy holdingu Jaja?” Ed warknął na nią wtedy i wszyscy się roześmiali, ponieważ Ed Deepneau nie potrafiłby nikogo przestraszyć, nawet gdyby na serio próbował, Ed ma gołębie serce; przecież wszyscy wiedzą, że nie potrafi skrzywdzić muchy. Tylko Helen nie była chyba tego taka pewna - Helen od dawna wiedziała lepiej, niezależnie od pełnego uczucia uśmiechu.

- Ralph? Jesteś tam?

- Ed nie miał żadnych akcji. Na litość boską, był chemikiem, naukowcem, a jego ojciec pracował jako zmianowy w fabryce butelek w jakimś zwariowanym Plaster Rock gdzieś w Pensylwanii. W tej rodzinie nie było forsy na akcje!

- No, w każdym razie skądś wziął tę forszę i skłamałbym, twierdząc, że mi się to podoba.

- Może pomogli mu „Przyjaciele Życia?” Jak sądzisz?

- Nie, nie pomogli. Po pierwsze, nie ma wśród nich ludzi

naprawdę bogatych, to przeważnie pracownicy fizyczni, tacy bohaterowie klasy robotniczej. Dają, co mają, ale żeby aż tyle? Nie. Może gdyby zrobili zbiórkę, zdołaliby wyciągnąć Pickeringa, ale nawet nie próbowali. Większość z nich odmówiłaby, nawet gdyby Ed o to poprosił. Ed jest wśród nich persona non grata i moim zdaniem żałują, że w ogóle słyszeli o Pickeringu. Dan Dalton znów został przywódcą „Przyjaciół Życia” i bardzo im z tego powodu ulżyło. Ed, Charlie i jeszcze dwójka innych - Frank Felton i Sandra McKay - tworzą teraz właściwie osobną grupę. O Feltonie nie wiemy nic i nie mamy na niego żadnego haka, ale ta McKay odbyła podobną co Charlie turę i po podobnych instytucjach. Nie sposób jej nie zauważyć: blada, cała w pryszczach, okulary tak grube, że oczy wyglądają przez nie jak sadzone jajka, waży ze sto pięćdziesiąt kilo.

- Żartujesz.

- Nie, nie żartuję. Chodzi w spodniach elastycznych z K-market, najczęściej widywana w towarzystwie batonów, baloników i czekoladek. Wkłada przeważnie luźną bluzę z napisem FABRYKA DZIECI; twierdzi, że urodziła ich piętnaścioro. W rzeczywistości jednak nie ma dzieci i prawdopodobnie nie może mieć.

- Dlaczego mówisz mi to wszystko?

- Bo chcę, żebyś uważał na tych ludzi - powiedział Leydecker spokojnie, jakby tłumaczył coś dziecku. - Mogą być niebezpieczni. Charlie na pewno jest niebezpieczny, czego

nie muszę ci chyba uświadamiać, a Charlie właśnie wyszedł na wolność. Skąd Ed wziął pieniądze, żeby go wyciągnąć, nie ma większego znaczenia. Zapłacił i to się liczy. Nie zdziwiłbym się, gdyby Charlie znów się na ciebie zasadził. On, Ed, albo ktoś z tej dwójki.

- Co z Helen i Natalie?

- Są z przyjaciółmi, którzy doskonale zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa ze strony niezrównoważonych dupków. Rozmawiałem z Mike'em Hanlonem, będzie na nią uważał. Biblioteki pilnują nasi ludzie. Nie sądzimy, by Helen groziło niebezpieczeństwo, nadal mieszka w schronisku „Na Zboczu” - ale robimy, co możemy.

- Dziękuję ci, John. Za wiadomości i za to, że zadzwoniłeś.

- Dziękuję za to, że dziękujesz, ale wcale jeszcze nie skończyłem. Powinieneś pamiętać, do kogo Ed dzwonił z pogrozkami. Nie do Helen, lecz do ciebie. Nią chyba przestał się już

przejmować, ale o tobie myśli, Ralph. Prosiłem szefa, Johnsona, o człowieka - myślałem o Chrisie Nellu - żeby miał na ciebie oko, przynajmniej do wyjazdu tej suki do wynajęcia, którą kupił sobie ośrodek, ale mi odmówiono. Szef stwierdził, że w tym tygodniu za dużo będzie się działo... tylko że sposób, w jaki odesłał mnie z kwitkiem, świadczy moim zdaniem, że przychyliłby się do tej prośby, gdyby wyszła od ciebie. Miałbyś anioła stróża. Co ty na to?

Ochrona policyjna. W telewizyjnych serialach kryminalnych nazywają to ochroną policyjną. Proponuje mi ochronę policyjną.

Ralph próbował serio rozważyć propozycję Johna, ale nie mógł się skupić; w głowie tańczyły mu obrazy jak oszalałe wisienki w kompocie: kapelusze, doktorko wie, fartuchy, pojemniki z gazem. By nie wspomnieć już o nożach, skalpelach i nożycach, widzianych przez zakurzone szkła lornetki.

Wszystko co robię robię pośpiesznie by móc zrobić co innego, pomyślał Ralph, a na skrzydłach tej myśli przyleciała następna: Długa jest droga do raj, skarbie, więc nie przejmuj się drobiazgami.

- Nie - powiedział.

- Co!?

Ralph zamknął oczy; pod powiekami miał obraz samego siebie podnoszącego tę samą słuchawkę, by odwołać wizytę u faceta od igieł. Chodziło przecież wciąż o to samo, prawda? Prawda. Policja może go ochronić przed Pickeringami, Feltonami i paniami McKay tego świata, ale nie tak to się ma odbyć, prawda? Wiedział o tym, czuł to w każdym uderzeniu serca, w rytmie pompowanej przez nie krwi.

- Przecież mnie słyszałeś. Nie chcę ochrony policyjnej.

- Na litość boską, czemu!?

- Potrafię się o siebie zatroszczyć - stwierdził i skrzywił się lekko; w jego ustach ta kwestia, którą słyszał wypowiedaną w nieskończoność w westernach z Johnem Wayne'em, brzmiała wręcz absurdalnie.

- Ralph, strasznie mi przykro, że dowiadujesz się tego ode mnie, ale jesteś stary. W niedzielę miałeś szczęście. Za drugim razem szczęście może ci już nie dopisać.

To nie tylko szczęście. Mam bardzo ustosunkowanych przyjaciół. Czy może powinienem powiedzieć „bardzo ustosunkowane istoty”?

- Nic mi nie będzie.

Leydecker tylko westchnął.

- Zadzwonisz do mnie, jeśli zmienisz zdanie?

- Zadzwonię.

- A jeśli zobaczysz albo Pickeringa, albo grubą babę w grubych okularach i ze skołtunionymi jasnymi włosami...

- Nie martw się, zadzwonię.

- Ralph, proszę, przemyśl to sobie. Facet w zaparkowanym przy twojej ulicy samochodzie. To wszystko, o co mi chodzi.

- Co się stało, to się nie odstanie.

- Co?

- Powiedziałem, że doceniam twoją troskę o mnie, ale muszę odmówić. Będę dzwonił.

Delikatnie odłożył słuchawkę na widelki. John najprawdopodobniej ma rację, a on najprawdopodobniej oszalał, a jednak nigdy w życiu nie czuł się bardziej normalny.

- Jestem zmęczony - oznajmił puste, słonecznej kuchni. - Ale normalny. Przerwał, a potem dodał: - I może jeszcze zakochany.

Uśmiechnął się na tę myśl. Uśmiechał się jeszcze, stawiając czajnik na gazie.

Pił drugą filiżankę kawy, kiedy przypomniał sobie, że w pozostawionym na drzwiach domu liściku Bili obiecał mu kolację. Pod wpływem chwili zdecydował, że zaproponuje mu spotkanie w barze „Koniec Dnia, Zachód Słońca” - taką małą kolacyjkę. I będą mogli zacząć od nowa.

Powinniśmy zacząć od nowa, bo ten mały wariat ma jego kapelusz, a to może znaczyć, że Bili jest w kłopotach.

Cóż, trzeba kuć żelazo póki gorące. Podniósł słuchawkę i zadzwonił pod numer, którego jakoś nie udawało mu się zapamiętać.

941-5000.

Był to numer szpitala w Derry.

Szpitalna telefonistka połączyła go z pokojem 313. Słuchawkę podniosła kobieta, najwyraźniej zmordowana do granic

wytrzymałości, Denise Polhurst, bratanica konającego. Powiedziała, że Billa nie ma. Czterej inni nauczyciele z dni chwały stryjka, jak to określiła, pojawili się w szpitalu około pierwszej i Bili zaprosił ich na lunch. Ralph nie miał najmniejszych wątpliwości, jakich słów użył jego przyjaciel: „Lepiej późno niż wcale”; było to jedno z jego ulubionych powiedzonek.

Spytał, czy Bili wróci jeszcze do szpitala, i usłyszał, że tak, wkrótce.

- Był taki pomocny. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła, panie Robbins.

- Roberts. Bili opowiadał mi o panu Polhurście. To był chyba wspaniały człowiek.

- Tak, wszyscy się co do tego zgadzają. Ale oczywiście jego fan-club nie zapłaci rachunków za leczenie, prawda?

- No... nie. - Ralph był mocno zażenowany. - Chyba nie. Karteczka, którą mi zostawił Bili, sugeruje, że stan pani stryja jest krytyczny.

- Tak. Lekarze twierdzą, że nie doczeka wieczora, nie wspominając już o nocy, ale tę piosenkę już nieraz słyszałam. Niech mi Bóg wybaczy, ale ze stryjkiem Bobem jest trochę jak z tymi reklamami wyprzedaży książek - obiecują cuda i nic nigdy z tego nie wychodzi. Powiedziałam chyba coś strasznego, ale jestem tak zmęczona, że nic mnie to już nie obchodzi. Dziś rano wyłączyli system podtrzymywania życia, nie byłam w stanie sama podjąć tej decyzji, ale zadzwoniłam do Billa i to on powiedział, że stryjek Bob właśnie tego by sobie życzył. „Nadszedł czas, by odkrył lepszy świat. Ten zna już w najdrobniejszych szczegółach”, tak powiedział. Bardzo to poetyckie, nie uważa pan, panie Robbins?

- Roberts, proszę pani. Tak, bardzo poetyckie. Czy powie pani Billowi, kiedy wróci, że dzwonił Ralph Roberts i prosi o te...

- Więc wyłączyli te wszystkie maszyny, byłam przygotowana, chyba można powiedzieć nastawiona na najgorsze, a on wcale nie umarł. Nie rozumiem. Jest gotów, ja jestem gotowa, zrobił w życiu wszystko, co mógł zrobić... więc czemu nie umiera?

- Nie wiem.

- Śmierć jest strasznie głupia. - Pani Polhurst mówiła ostrym, szorstkim głosem, którym mówić umieją tylko ludzie straszliwie zmęczeni i straszliwie smutni. - Położnika, który tak by się spóźniał z przecięciem niemowlęciu pępownicy, wylano by ze szpitala za brak kwalifikacji.

Umysł Ralpha miał ostatnio wyraźną tendencję do wrywania się gdzieś w swoich

sprawach, tym razem jednak Ralph szybko przywołał go do porządku.

- Powiedziała pani...?

- Przepraszam, co? - panna Polhurst wydawała się zdezorientowana, jakby to jej umysł wyrwał się spod kontroli.

- Powiedziała pani coś o przecinaniu...?

- Nic takiego nie miałam na myśli. - Jej głos stał się jeszcze bardziej szorstki, jeszcze ostrzejszy.

Nie, zdał sobie nagle sprawę Ralph, nie jest szorstki, lecz raczej jęczący i nie ostry, lecz przerażony. Coś tu było nie tak. Serce nagle zaczęło mu bić znacznie szybciej.

- Nic podobnego nie miałam na myśli - upierała się panna Polhurst.

Nagle telefon w dłoni Ralpha nabrał złowrogiego niebieskiego koloru.

Chce go zabić i nie są to tylko takie sobie myśli. Chce położyć mu poduszkę na twarzy i zadusić go. „To nie potrwa długo”, myśli. „To akt łaski”, myśli. „Wreszcie wszystko się skończy”, myśli.

Ralph odsunął słuchawkę od ucha. Z jej dziurek wybiegały cienkie promyki chłodnego światła w kolorze błękitu lutowego nieba w mroźny dzień.

Morderstwo jest błękitne. Trzymał słuchawkę w wyciągniętej ręce i przyglądał się z niedowierzaniem, jak niebieskie promyki gną się, łamią niby sople lodu i spływają na podłogę. Gdzieś, z bardzo daleka, dobiegał go słaby, ostry, przestraszony głos Denise Polhurst.

Nigdy nie pragnąłem tej wiedzy, ale teraz wiem, że morderstwo jest błękitne.

Przysunął słuchawkę do ust, ale trzymał ją skośnie, tak by część otoczona niebieską aurą znajdowała się jak najdalej od ucha. Bał się, że zimna, gwałtowna rozpacz może go ogłuszyć.

- Proszę powiedzieć Billowi, że dzwonił Ralph. Roberts, nie Robbins - powiedział i przerwał połączenie, nie czekając na odpowiedź. Niebieskie promyki oderwały się od słuchawki. Znów przypominały sople lodu - oczami wyobraźni widział, jak spadają rządkiem z okapu, kiedy w ciepły zimowy dzień przesunie się po nim ręką w rękawicy.

Znikły, nim dosięgły linoleum.

Rozejrzał się. W kuchni nic nie świeciło, nie wibrowało, nie szemrało. Po raz kolejny aury znikły.

Już miał westchnąć z ulgą, kiedy za oknem, na Harris Avenue, rozległ się huk strzału z gaźnika.

W pustym mieszkaniu na piętrze Ralph Roberts krzyknął przeraźliwie.

Nie miał ochoty na herbatę, ale nadal chciało mu się pić. W najdalszym kącie lodówki znalazł pół butelki dietetycznej pepsi, wygazowanej, lecz przynajmniej mokrej, przelał ją do plastikowego kubeczka z wytartym znakiem firmowym „Jabłuszka” i wyszedł na dwór. Nie chciał siedzieć w mieszkaniu, w którym unosił się zapach zmęczenia i bezsenności. Nie chciał siedzieć w mieszkaniu - zwłaszcza, po tym, co się zdarzyło z telefonem.

Dzień zrobił się jeszcze piękniejszy, jeśli to w ogóle możliwe. Łagodny, lecz silny wiatr igrał nad zachodnim Derry pasmami światła i cienia, zdzierając liście z drzew i przeganiając je po chodnikach szalonymi sznurami brązu, żółci i czerwieni. Ralph skręcił w lewo nie dlatego, by zamierzał jeszcze raz odwiedzić teren piknikowy, lecz żeby mieć wiatr w plecy. Niemniej jednak w dziesięć minut później już wchodził na małą polankę przy lotnisku. Tym razem była pusta. Wiatr nie był wprawdzie ostry i nie zmuszał starych ludzi do szukania schronienia pod dachem, ale trudno było bezustannie pilnować figurek na szachownicy i leżących na stole kart, które niezmordowanie próbował porwać. Podchodząc do niewielkiego drewnianego stołu, przy którym zazwyczaj królował Faye, Ralph bez zdziwienia stwierdził, że leży na nim przyciśnięta kamieniem kartka papieru. Wiedział też mniej więcej, co jest na niej napisane, jeszcze nim odstawił kubek i wziął ją do ręki.

Dwa spaceru, dwa spotkania z szalonym doktorkiem ze skalpelem, dwoje starych ludzi cierpiących na bezsenność i mających bajecznie kolorowe wizje, dwa liściki. Zupełnie jak z Noem, który prowadził zwierzęta do arki nie pojedynczo, lecz parami... Czy znowu spadnie tak gwałtowny deszcz? Jak myślisz, stary?

Nie wiedział, co o tym myśleć, lecz liścik Billa był swego rodzaju nekrologiem na wyrost i nie miał wątpliwości, że liścik Faye'a będzie podobny. Uczucie, że niesie go jakiś prąd - bez wysiłku i prostym kursem - było zbyt silne, by je podawać

w wątpliwość. Miał wrażenie, że obudził się na scenie w jakimś przedziwnym teatrze, recytując (a w każdym razie wyjąkując) kwestie dramatu, którego prób nie mógł sobie przypomnieć, że dostrzegł jasno zdefiniowany kształt w plamach, które do tej chwili wydawały mu się najzupełniej przypadkowe, albo że odkrył... Co odkrył?

- Kolejne tajemne miasto - powiedział do siebie. - Derry Aur.

Podniósł liścik Faye'a. Czytał go, a wiatr bawił się jego rzędziejącymi włosami.

Ci, którzy chcą pożegnać się z Jimmym Vandermeerem, powinni to zrobić najpóźniej do jutra. Dziś w południe rozmawiałem z ojcem Coughlinem, wiem od niego, że nasz biedny przyjaciel może skończyć w każdej chwili. Na razie może jednak przyjmować gości. Leży na oddziale intensywnej terapii szpitala w Derry, sala 315.

Faye.

PS Pamiętajcie, nie macie za dużo czasu.

Przeczytał list dwukrotnie, po czym odłożył kartkę na stół i przycisnął kamieniem, tak by bez kłopotu odnalazł ją jakiś inny Stary Piernik, gdyby przyszło mu do głowy tu zawędrować. Stał nieruchomo z opuszczoną głową i rękami w kieszeniach i spod gęstych brwi przyglądał się pasowi startowemu nr 3. Zeschnięty liść, pomarańczowy niby dynia-maską na Halloween, które wkrótce udekorują ulice Derry, spadł mu z błękitnego nieba wprost na rzadziejące włosy; Ralph zgarnął go machinalnie, myśląc o dwóch salach na oddziale intensywnej opieki medycznej szpitala w Derry, dwóch sąsiadujących ze sobą salach. W jednej umiera Bob Polhurst, w drugiej Jimmy V. A w trzeciej? W trzeciej, w sali nr 317 umarła jego żona.

- To nie przypadek - powiedział cicho.

Nie przypadek? Tylko co? Kształty we mgle? Tajemne miasto. Zgrabne określenie - zgrabne, lecz niczego nie wyjaśniające.

Usiadł na sąsiednim stole, zdjął buty i założył nogę na nogę. Wiatr mierzwił mu włosy. Siedział tak wśród opadających liści z pochyloną głową i zmarszczonym czołem, pograżony w myślach. Wyglądał trochę jak Budda Winslowa Homera, kiedy tak medytował z dłońmi opartymi na kolanach, usiłując przypomnieć sobie dokładnie, jakie wrażenie wywarł na nim doktorek nr 1 i doktorek nr 2... i porównując je z wrażeniem, jakie wywarł na nim doktorek nr 3.

Pierwsze wrażenie - wszyscy trzej przypominali mu Obcych z brukowców typu *Inside View*, których portrety podpisane były zawsze „wizja artysty”. Wiedział, że ów pomysł na niedużych, łysych, ciemnookich tajemniczych przybyszy z kosmosu nie jest nowy; ludzie mówili o kontaktach z łyskami (tak zwanymi małymi doktorkami) od bardzo dawna, być może od tak dawna, jak dawne są same historie o UFO. Całkiem dobrze pamiętał, że jeden z takich opisów czytał jeszcze w latach sześćdziesiątych.

- No dobrze, więc kręci się tu sporo tego typu gości - oznajmił wróblowi, który właśnie przysiadł na koszu na śmieci. - Powiedzmy, że nie trzech, lecz trzystu. Albo trzy tysiące. Nie tylko Lois i ja ich widzieliśmy. I...

Tylko czy przypadkiem świadkowie tego rodzaju spotkań nie wspominali także o ostrych przedmiotach?

Tak, ale raczej nie o nożycach lub skalpelach, tego był prawie pewien. Większość tych, na których napadli mali łysi doktorkowie, mówiła o sondach, prawda?

Wróbel odleciał. Ralph nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Myślał o małych łysych doktorkach, którzy odwiedzili May Locher w noc jej śmierci. Co jeszcze o nich wiedział? Co

jeszcze widział? Mieli na sobie białe fartuchy, podobne do tych, jakie nosili lekarze z telewizyjnych seriali z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych i jakie do dziś noszą farmaceuci. W odróżnieniu od stroju doktora nr 3 ich fartuchy były jednak czyste. Nr 3 piastował zardzewiały skalpel. Jeśli na nożycach, które nr 1 trzymał w prawej dłoni, była rdza, to on tego nie zauważył. Nawet kiedy dokładnie przyjrzał się im przez lornetkę.

Coś jeszcze, prawdopodobnie nieważne, ale to zauważyłeś. Doktorek od nożyc był praworęczny, przynajmniej sądząc z tego, jak trzymał swoje nożyce, doktorek od skalpela zaś to mańkut jak się patrzy.

Jasne, pewnie to nieważne, ale mimo wszystko zastanawiające. Taki kształt, nieduży kształt we mgle. Jaka jest różnica między prawo - a leworęcznością?

- Lewa to prawa sprawa - powiedział, powtarzając pointę jakiegoś dowcipu, którego już nawet nie pamiętał. - Prawa to lewa sprawa.

Dobra, zostawmy to. Co jeszcze wiedział o doktorkach?

No, oczywiście otaczały ich aury - bardzo piękne, zielonozłote - i zostawiali te *{ślady białego człowieka}*

diagramy choreograficzne Arthura Murraya. I choć rysy ich twarzy nie wyróżniały się niczym szczególnym, z aur była moc... surowość... i...

- Godność, do diabła - powiedział głośno. Powiał wiatr, zerwał z drzewa kolejne liście. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, niedaleko starych torów kolejowych, skręcone, niemal wyrwane z ziemi drzewo wyciągnęło w jego kierunku gałęzie przypominające trochę dłonie.

Nagle Ralph zdał sobie sprawę, że tamtej nocy widział sporo jak na człowieka dożywającego ponoć swych dni, człowieka w wieku, który Szekspir (i Bili McGovern) nazywali wiekiem spadających pantalonów. Lecz nic z tego, co widział, nic a nic, nie sugerowało ani niebezpieczeństwa, ani żadnych wrogich intencji. Fakt, że dopatrywał się w tym obrazie czegoś groźnego, nie był szczególnie zdumiewający. Doktorkowie sprawiali wrażenie istot dziwnych, niemal niesamowitych, bo wychodzili z domu ciężko chorej kobiety w porze, kiedy raczej rzadko przyjmuje się gości, i patrzył na nich zaledwie parę minut po tym, jak śnił mu się wręcz kosmiczny koszmar.

Teraz jednak, kiedy przypominał sobie, co właściwie zaszło, pojawiły się i inne obrazy. Na przykład: doktorkowie 1 i 2 stali na progu domu May Locher, jakby mieli wszelkie prawo tam stać; wydali mu się wówczas nawet starymi kumplami pogrążonymi w rozmowie, którą zaraz zakończą i każdy ruszy w swoją stronę. Wracający z pracy przyjaciele, dzielący się poglądami w jakiejś pilnej, ale niezbyt ważnej sprawie.

Zgoda, tak ci się wydawało, Ralph, ale nie znaczy to przecież, że możesz ufać swoim wrażeniom.

Ralph był jednak pewien, że może im zaufać. Starzy przyjaciele, znający się dobrze i od dawna, którzy właśnie zakończyli pracę na nocnej zmianie. Zakończyli ją wizytą u May Locher.

No i dobrze. Doktorkowie nr 1 i nr 2 różnili się od doktora nr 3 jak dzień od nocy. Byli czysti, a on brudny, mieli aury, podczas gdy on aury nie miał (a przynajmniej Ralph żadnej nie zauważył), mieli nożyce zamiast skalpela, wydawali się spokojni i poważni niczym para mądrych wiejskich staruszków, podczas gdy ten trzeci sprawiał wrażenie szalonego jak marcowy zając.

Ale jedno wydaje się całkowicie jasne, prawda? Twoi przyjaciele to istoty nadnaturalne. I - nie licząc Lois - najwyraźniej jedynym człowiekiem, który zdaje sobie sprawę z ich istnienia, jest Ed Deepneau. Miałbyś może ochotę założyć się, jak dobrze sypia Ed?

- Nie - powiedział głośno. Podniósł dłonie z kolan, podsunął sobie pod oczy. Drżały lekko. Ed wspominał o łysych doktorkach i okazało się, że łysi doktorkowie istnieją. Czy to ich nazywał centurionami? Ralph nie wiedział, ale miał nadzieję, że tak, bo ilekroć słowo centurioni przyszło mu na myśl, stawały mu przed oczyma coraz straszliwsze obrazy: upiory Pierścienia z trylogii Tolkiena, zakapturzone postaci siedzące na koniach jak szkielety z płonącymi czerwonymi oczami, napadające na grupkę zdrętwiałych ze strachu hobbitów niedaleko gospody „Pod Tańczącym Kucykiem” w Bree.

Na wspomnienie hobbitów pomyślał o Lois i dłonie zaczęły mu drżeć bardziej.

Carolyn: *Daleka jest droga do raję, kochanie, więc nie przejmuj się drobiazgami.*

Lois: *W mojej rodzinie jeśli ktoś umiera przed osiemdziesiątką, to umiera młodo.*

Joe Wyzer: *Patolog sądowy jako przyczynę zgonu wpisuje raczej „samobójstwo” niż „bezsensowność”.*

Bili: *Jego specjalnością była Wojna Domowa, a teraz nawet nie wie, co to takiego wojna domowa, już nie wspominając o tym, kto wygrał naszą.*

Denise Polhurst: *Śmierć jest strasznie głupia. Gdyby położnik tak długo zwlekał z przecięciem pępowiny...*

Nagle jakby ktoś zapalił mu w głowie potężną latarnię, Ralph krzyknął w słoneczne jesienne popołudnie. Nawet ryk silników lądującego właśnie na pasie nr 3 727 delty nie zdołał całkiem stłumić tego krzyku.

Resztę popołudnia spędził, siedząc u siebie na ganku i niecierpliwie czekając, aż Lois

wróci z tej swojej „partyjki”. Mógł znów spróbować złapać McGoverna, ale nie spróbował. Przeszła mu ochota na rozmowę z McGovernem. Nie wszystko jeszcze rozumiał, ale chyba rozumiał już o wiele więcej niż poprzednio i jeśli błysk jasnowidzenia, którego doznał na

terenie piknikowym, w ogóle był coś wart, wyjaśnienie Billowi, co się stało z jego kapeluszem, kompletnie mijało się z celem, nawet gdyby Bili mu uwierzył.

Muszę odzyskać ten kapelusz, pomyślał. I muszę też odzyskać kolczyki Lois.

To było doprawdy zdumiewające popołudnie i wczesny wieczór. Z jednej strony - nie działo się nic. Z drugiej strony - działo się wszystko. Świat aur pojawiał się wokół niego i znikał niczym majestatyczni procesja muskanych zachodnim wiatrem chmur. Ralph siedział i podziwiał ten świat, zafascynowany, schodząc z posterunku tylko po to, by coś zjeść i pójść do toalety. Obserwował starą panią Bennigan, która stała na ganku, oparta o chodzik i przyglądała się jesiennym kwiatom w swoim ogrodzie. Widział otaczającą ją aurę - czyściutką, różową jak świeżo wykąpane niemowlę, prawdziwy okaz zdrowia - i piastował w sercu nadzieję, że pani Bennigan nie ma mnóstwa krewnych, żyjących nadzieją na rychły spadek po niej. Widział młodego, najwyżej dwudziestoletniego młodzieńca, maszerującego rażno po przeciwnej stronie Harris Avenue. Wyglądał wspaniale w wytartych dżinsach i podkoszulku bez rękawów z logo bostońskich Celtów, lecz otaczała go czarna poświata śmierci, jakby „był wysmarowany brudnym olejem, wstążka zaś unosząca mu się z głowy przypominała zgniły sznur do zasłon w nawiedzonym domu.

Nie widział za to żadnych małych łysych doktorków, lecz zaraz po wpół do szóstej dostrzegł strumień fioletowego światła, bijący z wjazdu do kanału pośrodku ulicy. Światło wznosiło się do nieba niczym jakiś efekt specjalny z biblijnego filmu Cecila B. DeMille'a. Biło tak przez jakieś trzy minuty, a potem nagle zgasło. Widział także wielkiego ptaka, przypominającego jakiegoś prehistorycznego jastrzębia, który leciał między kominami starej młeczarni za rogiem Howard Street, oraz na zmianę czerwone i niebieskie prądy unoszące się leniwie nad parkiem Strawforda.

Kiedy za piętnaście szósta skończył się trening piłki nożnej w szkole podstawowej Fairaount, na parkingu „Jabłuszka” pojawiło się kilkunastu chłopców. Wyglądali na klientów, którzy mają zamiar kupić zapas batoników na przegryzkę przed kolacją i zapas kart, o tej porze roku najprawdopodobniej futbolowych. Dwaj z nich pokłócili się o coś i ich aury, jedna zielona, druga ciemnopomarańczowa, nasycona, niemal

wibrująca, zagęściły się, zbiegły i zaczęły pulsować spiralami szkarłatnych nici.

- Uważaj! - Ralph krzyknął bezgłośnie, ostrzegając tego z pomarańczową aurą na ułamek sekundy przedtem, nim ten z aurą zieloną upuścił książki i uderzył go w twarz.

Chłopcy zwarli się, wykonali niezdamny, lecz agresywny taniec po betonie, po czym upadli spleceni. Wokół nich natychmiast sformował się krąg krzyjących i zachęcających ich do walki kolegów, a nad kręgiem zaczęła się rozbudowywać fioletowoczerwona kopała niby chmura burzowa, obracająca się powoli w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Jej kształt wydawał się jednocześnie straszny i piękny i Ralph zastanowił się przelotnie, jak też wygląda aura nad prawdziwą bitwą, po czym doszedł do wniosku, że wcale nie chce wiedzieć. W chwili kiedy pomarańczowy chłopiec usiadł na zielonym i zaczął go entuzjastycznie okładać, ze sklepu wyszła Sue, krzyżąc, żeby się wynieśli i nie urządzali bójkę na parkingach.

Pomarańczowy niechętnie zszedł z zielonego. Obaj wstali powoli, patrząc na siebie nieufnie. Zielony, udając nonszalancję, odwrócił się i poszedł do sklepu. Tylko szybkie spojrzenie przez ramię, kiedy sprawdzał, czy przeciwnik go nie ściga, zepsuło efekt tego odwrotu.

Część widzów poszła za zielonym do sklepu na potreningowe zakupy, część zgromadziła się wokół pomarańczowego, gratulując mu zwycięstwa, a ponad nimi niewidzialny, czerwono-fioletowy wir rozwiewał się powoli jak chmura na silnym wietrze; dzielił na kawałki, rozplatał i znikał.

Ulica to karnawał energii, pomyślał Ralph. To, co wypłynęło z tych chłopców w trakcie półtoraminutowej bójki, mogłoby chyba przez tydzień oświetlać całe Derry. A jeśli udałoby się wykorzystać tę energię w kształcie grzyba, którą wydalili z siebie obserwatorzy, prawdopodobnie wystarczyłoby jej do oświetlenia całego Maine przez miesiąc. Potrafisz sobie wyobrazić, do czego wystarczyłoby energii unoszącej się nad Times Square w sylwestra, dwie minuty przed północą?

Wolał sobie tego nie wyobrażać. Miał wrażenie, że obserwował straż przednią mocy tak straszliwej i tak wielkiej, że przy niej wybuch całej broni jądrowej, wyprodukowanej od 1946 roku, miałby mniej więcej siłę wystrzału z dzieciennego kapiszonowca. Mocy tak ogromnej, że wystarczyłoby jej na zniszczenie wszechświata... lub stworzenie nowego.

Ralph wrócił na górę, do jednego garnka wrzucił puszkę fasoli, do drugiego kilka parówek, i chodził niecierpliwie po mieszkaniu, wyłamując sobie palce, od czasu do czasu przeczesując włosy dłonią i czekając, aż ugotuje się ta improwizowana kawalerska kolacja. Paraliżujące zmęczenie, które ciążyło mu jak niewidoczna kula u nogi co najmniej od lata, na razie minęło - wypełniała go szaleńcza, zwariowana energia. Miał wrażenie, że dla tego uczucia ludzie zakochują się w benzedrynie i kokainie, tylko że jego odlot chyba był lepszy, bo kiedy minie, on sam nie będzie zgnębiony, stłamszony, bardziej użyty niż używający.

Ralph Roberts, nie zdając sobie sprawy z tego, że włosy, które tak niecierpliwie przeczesuje, stały się ostatnio gęściejsze i że po raz pierwszy od pięciu lat pojawiły się w nich pasemka czerni, truchtał po mieszkaniu prawie na palcach, jakby tańczył, zrazu nucąc, a potem śpiewając starą rockandrollową piosenkę z wczesnych lat sześćdziesiątych: „Hej, śliczna mała, nie siadaj, nie... tańcz i podskakuj, i w kółko kręć się...”

Fasola kipiała w garnku, parówki też już były gotowe. Ralph Roberts miał nawet wrażenie, że tańczą bristolski taniec ludowy pod wtór starej piosenki Dovellsów. Wyśpiewując na cały głos („Kiedy słyszysz te bębny, nie siadaj, o nie!”), wkroił parówki do fasoli, wlał do garnka słoik keczupu, dodał chili, zamieszał energicznie i ruszył w stronę drzwi z garnkiem z kolacją w ręku. Zbiegł po schodach szybko i zręcznie, jak chłopak przestraszony, że spóźni się na pierwszą lekcję w nowym roku szkolnym. Z szafy w holu wyciągnął wypchany sweter - własność Billa, co za różnica! - i wyszedł na ganek.

Aury znikły, lecz nie poczuł się szczególnie rozczarowany, na razie interesowało go przede wszystkim jedzenie. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio był tak po prostu i zwyczajnie głodny! Usiadł z rozkraczonymi nogami na najwyższym stopniu ganku - długie uda i kościste kolana sterczały mu na boki i w tej pozycji szalenie przypominał Ichaboda Crane'a-i zaczął jeść. Pierwsze kilka łyżek poparzyło mu usta i język, nie zniechęciło go to jednak. Wręcz przeciwnie, jadł jeszcze szybciej.

Przerwał po zjedzeniu mniej więcej połowy fasoli z parówkami. Żarłoczne zwierzę, które załęgło mu się w żołądku, nie poszło bynajmniej spać-przynajmniej na razie - ale zostało odrobinę oswojone. Beknął (nie całkiem świadomie) i przyjrzał

się Harris Avenue z zadowoleniem, którego nie doznawał od lat. Biorąc pod uwagę okoliczności, uczucie to nie miało za grosz sensu. Kiedy po raz ostatni czuł się aż tak dobrze? Może tego ranka, gdy obudził się w stodole gdzieś na trasie dzielącej Derry, stan Maine, od Poughkeepsie, stan Nowy Jork, zdumiony szaleństwem krzyżujących się wśród ciepłego, pachnącego słodko powietrza promieni słońca, tysiący promieni słońca.

A może nigdy?

Tak, być może nigdy.

Dostrzegł panią Perrine, prawdopodobnie wracającą z „Bezpiecznego Miejsca”, kuchni i schroniska dla bezdomnych, które mieściło się nad kanałem. Po raz kolejny zafascynował go jej dziwny, płynny krok. Szła bez laski i najwyraźniej w ogóle nie kołysała biodrami. Włosy, nadal bardziej czarne niż siwe, przytrzymał, czy też raczej podporządkowywał sobie grzebień wetknięty w nie nad czołem. Na nogach miała nieskazitelne białe szpitalne drewniaki ze sztywną cholewką, lecz Ralph prawie nie widział

jej butów ani nóg - tego wieczora pani Perrine włożyła męski wełniany płaszcz, sięgający niemal kostek. Wrażenie, że porusza się tylko dzięki pracy nóg od kolan w górę - oznaka chronicznych problemów z kręgosłupem, jak przypuszczał - było nieodparte. Wyglądała trochę niesamowicie: jak królowa na szachownicy, którą porusza niewidzialna dłoń lub, co gorsza, która porusza się sama.

Pani Perrine zbliżała się do domu, gdzie na ganku siedział niejaki Ralph Roberts w podartej koszuli, a w dodatku jedzący kolację wprost z garnka - i w tym momencie w świetle znów pojawiły się aury. Wokół zapalonych już latarni uformowały się łuki lawendowego światła. Ralph widział także czerwoną mgłę nad niektórymi dachami, żółtą nad innymi, bladoczerwoną nad jeszcze innymi. Na wschodzie, skąd nadchodziła noc, horyzont błyszczał bladozielonymi iskierkami: *

A znacznie bliżej aura otoczyła szczerze panią Perrine - szara, bardzo przypominająca mundur kadeta z West Point. Kilka ciemniejszych plamek, niczym guziki, pojawiło się na jej piersi (Ralph zakładał, że jakaś pierś kryje się jednak pod ciężkim, męskim płaszczem). ciemne plamy mogły być oznaką choroby.

- Dobry wieczór, pani Perrine - powiedział grzecznie, obserwując słowa przybierające przed jego oczami kształt płatków śniegu.

Pani Perrine najpierw przeszła go wzrokiem, a następnie zmierzyła od stóp do głów, jakby jednocześnie oceniła go i uznała, że nie zasługuje na uwagę.

- Nadal nosisz tę podartą koszulę, Roberts - stwierdziła.

Czego zaś nie powiedziała, lecz co Ralph odczytał z łatwością, brzmiało: „Widzę także, jak siedzisz tu i jesz fasolę wprost z garnka niby jakiś włóczęga. A ja zapamiętuję to, co widzę, Roberts!”

- A, tak. Zapomniałem się przebrać.

- Hmm. - Miał wrażenie, że pani Perrine rozważa teraz kwestię jego gaci. „Kiedy ostatni raz przyszło ci do głowy je zmienić? Strach pomyśleć!”

- Piękny wieczór, prawda, proszę pani?

Kolejny szybki rzut nieco ptasiego oka, tym razem w niebo. I znów spojrzenie w jego kierunku.

- Wkrótce zrobi się zimno.

- Naprawdę tak pani uważa?

- O tak, ciepła jesień się skończyła. Moje plecy nie nadają się ostatnio do niczego oprócz przepowiadania pogody, ale potrafią ją przepowiadać bezbłędnie. - Przerwała na chwilę. - Zdaje się, że to sweter Billa McGoverna?

- No... tak. - Ciekawe, czy spyta teraz „A Bili wie, że go nosisz?” Z pewnością się nie zawaha!

Ale pani Perrine kazała mu tylko zapiąć go na wszystkie guziki.

- Nie masz chyba ochoty na zapalenie płuc, Roberts? - spytała, a zaciśnięte usta wyraźnie świadczyły, przed powiedzeniem czego się zawahała: „na dodatek do utraty rozumu”.

- Oczywiście, że nie! - Ralph odstawił garnek, sięgnął do guzików i odkrył, że na lewej ręce ma nadal termiczną rękawicę. Przedtem nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

- Łatwiej ci będzie, jeśli ją zdejmiesz! - Czy to możliwe, że jej oczy błysnęły uśmiechem?

- Ma pani rację - odparł pokornie, zdjął rękawicę i zapiął sweter McGoverna.

- Moja propozycja nadal jest ważna, Roberts.

- Przepraszam, co?

- Propozycja zszycia ci koszuli. Jeśli oczywiście możesz się z nią rozstać na jakiś dzień czy coś. - Zapadła chwilka ciszy. - Bo masz inną koszulę, prawda, Roberts? Żeby ją włożyć, kiedy będę ci reperowała tę?

- Och, tak, oczywiście. Mam mnóstwo koszul!

- Wybieranie między nimi każdego ranka musi być szalenie męczące. Sos ci cieknie po brodzie, Roberts! - Z tymi słowami pani Perrine skierowała wzrok przed siebie i ruszyła w dalszą drogę.

To, co w tym momencie zrobił Ralph, nie poprzedzone było żadną myślą ani błyskiem zrozumienia, lecz tak instynktowne jak „cios karate”, którym odstraszył doktora nr 3 od Rosalie. Ralph po prostu podniósł dłoń, na której miał przedtem termiczną rękawicę, zamknął ją w rurkę i przyłożył do ust. Potem westchnął gwałtownie z cichym gwizdem.

Rezultat okazał się zdumiewający. Wąski promień szarego światła oderwał się od aury pani Perrine niczym nibynóżka ameby. Wydłużał się szybko, w miarę jak właścicielka aury szła przed siebie, aż wreszcie, ponad trawnikiem, wbiegł w przyłożoną do ust dłoń. Ralph wchłonął go, nabierając powietrza w płuca, i było to jak łyk czystej energii. Miał wrażenie, że rozbłyskuje jak wielki neon nad kinem. Przez pierś i żołądek przebiegła mu z siłą wybuchu niezwykła moc - odebrał ją niczym eksplozję - w jednej chwili wypełniając go całego, od stóp do głów.

Spomiędzy palców Ralpa wytrysnęły promienie szarego jak naelektryzowana mgła światła. Straszne, radosne uczucie niezwykłej siły rozjaśniło mu myśli i prawie natychmiast znikło, zastąpione wstydem i pełnym zdumienia strachem.

Co ty wyprawiasz, Ralph? Czymkolwiek to coś jest, nie należy do ciebie. Sięgnąłbyś do torebki i zabrał jej pieniądze, korzystając z tego, że nie patrzy?

Poczuł, że się rumieni. Opuścił dłoń i zamknął usta, a kiedy się zwierzały, coś jakby pękło z trzaskiem. Podobny dźwięk słyszał gryząc świeży rabarbar.

Pani Perrine zamarła; przyglądał się jej zaniepokojony, widział, jak lustruje wzrokiem Harris Avenue.

Ja nie chciałem, pomyślał do niej. Naprawdę nie chciałem, pani Perrine. Nadal się tego uczę.

- Roberts?

- Tak?

- Słyszałeś coś? Brzmiało prawie jak wystrzał. Potrząsając głową Ralph prawie czuł, jak gorąca krew dociera mu do czubków uszu.

- Nie, ale... słuch już nie ten... co niegdyś i...

- Pewnie strzeliło w jakimś samochodzie na Kansas Street - stwierdziła pani Perrine, machnięciem ręki odsuwając

od siebie jego płacząco wyjaśnienia mięczaka. - Ale omal mi serce nie stanęło.

Ruszyła przed siebie swoim dziwnym, sztywnym krokiem królowej szachowej, po czym zatrzymała się jeszcze raz i znów na niego spojrzała. Szara aura bladła, ale Ralph widział jej oczy, bystre i nieugięte.

- Zmieniłeś się, Roberts. Wyglądasz młodziej.

Ralph, który spodziewał się zupełnie innych słów (na przykład: „W tej chwili masz oddać to, co mi ukradłeś, słyszysz?”), znów zdolny był tylko wybelkotać:

- Naprawdę... to bardzo... znaczy, dziękuję...

Pani Perrine machnęła niecierpliwie ręką, jakby chciała powiedzieć: „Och, zamknij się wreszcie!”

- To pewnie sprawa światła. Radziłabym ci uważać na ten sweter, Roberts. Nie zaplam go. Mam wrażenie, iż Bili McGovern należy do ludzi dbających o swoje rzeczy.

- Więc powinien lepiej zadbać o kapelusz. Bystre oczy znów przyłgnęły do jego twarzy.

- Przepraszam, nie zrozumiałam.

- Panamę - wyjaśnił Ralph. - Ostatnio zapodział gdzieś swoją panamę.

Pani Perrine uniosła tę wieść do światła swego intelektu, studiowała ją przez chwilę z kolejnym „hmmm” i odrzuciła jako niewartą uwagi.

- Lepiej wróć do środka, Roberts. Jeśli tak tu będziesz siedział, zaziębisz się na

śmierć. - I odeszła, nie sprawiając wrażenia osoby w jakiś sposób skrzywdzonej owym bezmyślnym aktem złodziejstwa.

Złodziejstwa? Pewien jestem, że to niezbyt odpowiednie słowo, Ralph. To, co zrobiłeś przed chwilą, bliższe było...

Wampiryzmu - powiedział tępo do siebie. Powoli pocierał dłonie. Był zawstydzony, czuł się winny... lecz przepelniała go także pulsująca energia.

Zamiast krwi wyssałeś odrobinę jej siły życiowej... Ale wampir pozostaje wampirem, prawda?

Oczywiście. Ralph nagle uświadomił sobie, że zapewne nie zrobił tego po raz pierwszy.

„Zmieniłeś się, Roberts. Wyglądasz młodziej”. Pani Perrine powiedziała to dzisiaj, ale podobne uwagi na jego widok ludzie robili już od późnego lata, prawda? Przyjaciele nie nalegali za mocno, by natychmiast poszedł do lekarza, ponieważ wyglądał doskonale. Skarżył się wprawdzie na bezsenność, ale na oko

był z niego okaz zdrowia. Ten plaster miodu najwyraźniej sprawia cuda, powiedział Johnny Leydecker, kiedy w niedzielę (która wydawała się odległa jak epoka żelaza) wychodzili razem z biblioteki. A kiedy Ralph zapytał, co ma na myśli, Leydecker powiedział: „Wyglądasz o wiele lepiej, niż kiedy widziałem cię po raz pierwszy”.

A Leydecker nie był bynajmniej wyjątkiem. Ralph walczył bohatersko z każdym kolejnym dniem, zmordowany, przygnieciony brakiem snu, zużyty, a ludzie powtarzali mu, jak świetnie wygląda, jak świeżo wygląda, jak młodo wygląda. Helen... McGovern... nawet Faye Chapin powiedział coś takiego tydzień czy dwa tygodnie temu, choć jego słów akurat dokładnie nie zapamiętał.

- Ależ pamiętam - powiedział do siebie cichym, pełnym niepokoju głosem. - Spytał, czy używam kremu przeciw zmarszczkom. Kremu przeciw zmarszczkom! Święty Boże!

Czyżby już wtedy podkładał ludziom siłę życiową? Podkładał im ją, nie zdając sobie z tego sprawy?

No pewnie. Jezu Chryste, jestem wampirem!

Lecz czy to właściwe słowo? - zastanowił się nagle. Czy przypadkiem w świecie aur ktoś, kto kradnie życie, nie nazywa się wampirem, lecz centurionem?

Obraz Eda, jego bladej, napiętej twarzy stanął mu przed oczami niczym duch wracający z zaświatów, by oskarżyć swego mordercę. Ralph, nagle przerażony, opasał kolana dłońmi i złożył na nich głowę.

Rozdział 5

Dwadzieścia po siódmej doskonale utrzymany lincoln town car z końca lat siedemdziesiątych podjechał do krawężnika przed domem Lois. Ralph, który ostatnią godzinę spędził kąpiąc się, goląc i próbując uspokoić, stał na progu i patrzył na wysiadającą z niego kobietę. Żegnała się z przyjaciółkami, w pewnym momencie wiatr przyniósł mu dźwięk wesołego dziewczęcego śmiechu.

Lincoln odjechał, Lois zaś ruszyła chodnikiem w stronę domu. W połowie drogi odwróciła się i spojrzała ku niemu. Przez dłuższą chwilę oboje patrzyli na siebie przez szerokość Harris Avenue, widząc się doskonale mimo zapadającego zmroku i dzielących ich dwustu metrów. Płonęli dla siebie w ciemności niczym dwie tajemne pochodnie.

Lois wymierzyła w niego palec gestem bardzo podobnym do tego, dzięki któremu udało się jej zranić doktorka nr 3, lecz tym razem nie zaniepokoiło go to ani trochę.

Intencje, pomyślał marząco. Wszystko jest kwestią intencji. W tym świecie nie popełnia się wielu błędów... a kiedy już nauczysz się po nim poruszać, być może nie popełnia się ich wcale.

Wąski, szary promień światła wypłynął z palca Lois i powoli ruszył nad Harris Avenue. Jakiś samochód po prostu przez niego przejechał, szyby rozbłysły na sekundę jaskrawym szarym blaskiem, światła przygasły, i to już było wszystko.

Ralph również wyciągnął palec. Pocięło z niego niebieskie światło. Oba promienie zetknęły się pośrodku Harris Avenue, splotły ze sobą jak dzikie wino i uniosły w niebo, lekko blednąc w miarę wznoszenia. Ralph zgiął palec i jego światło znikło nagle. W chwilę później zgasło także światło Lois.

Powoli zszedł z ganku i ruszył przez trawnik. Lois szła w jego kierunku. Spotkali się pośrodku ulicy... i było to ich drugie tam spotkanie.

Objął ją mocno i pocałował.

„Zmieniłeś się, Roberts. Wyglądasz inaczej. Młódziej”.

Słowa te przypominały mu się od czasu do czasu, powracały niczym odgrywana w kółko ta sama taśma, kiedy siedział w kuchni Lois, pijąc kawę. Nie mógł oderwać od niej oczu. Wydawała się dziesięć lat młodsza i dobre parę kilogramów lżejsza od Lois, do której przyzwyczały go ostatnie lata. Czy dziś rano, w parku, wyglądała równie ślicznie i młodo? Chyba nie, ale przecież była wtedy zdenerwowana, była zdenerwowana i płakała, i to miało

pewien wpływ na jej wygląd, prawda?

Ale...

Tak, ale... Ale znikła siateczka zmarszczek w kącikach jej ust. Znikły fałdy luźnej skóry na szyi i ramionach. Rano Lois płakała, a teraz była promienna i szczęśliwa, lecz to nie wyjaśniało wszystkich zmian.

- Wiem, na co tak patrzysz - stwierdziła Lois. - Trochę to niesamowite, prawda? Niby definitywnie rozwiązuje problem, że to wszystko się nam nie przywidziało... ale nadal jest trochę niesamowite. Odkryliśmy Fontannę Młodości i wcale nie musieliśmy jechać na Florydę, ona cały czas była tu, w Derry.

- My ją odkryliśmy?

Przez moment Lois sprawiała wrażenie tylko zaskoczonej... i trochę napiętej, jakby podejrzewała, że Ralph z niej żartuje, że podkpiwa z niej sobie, że traktuje ją jak „tę naszą Lois”. Potem, ponad stołem, uściśnęła jego dłoń.

- Idź do łazienki. Spójrz na siebie.

- Przecież wiem, jak wyglądam. Do diabła, właśnie skończyłem się golić. I trochę mi to czasu zabrało.

Skinęła głową.

- Bardzo dobrze się ogoliłeś i w ogóle nie o to chodzi. Po prostu przyjrzyj się sobie.

- Mówisz poważnie?

- Tak - stwierdziła stanowczo. - Mówię zupełnie poważnie.

Był już prawie przy drzwiach, kiedy dodała:

- Nie tylko się ogoliłeś, ale i zmieniłeś koszulę. Doskonale. Nie chciałam nic mówić, ale ta płócienna była podarta.

- Naprawdę? - Stał plecami do niej, więc nie mogła widzieć jego uśmiechu. - Nie zauważyłem.

Przez dobre dwie minuty Ralph stał oparty o umywalkę i patrzył w lustro. Dwie minuty zajęło mu przekonanie samego siebie, że rzeczywiście widzi to, co widzi. Pasma lśniących, czarnych niczym skrzydło kruką włosów zdumiały go tak samo jak to, że znikły brzydkie worki pod oczami, ale wzroku wręcz nie mógł oderwać od warg, na których nie pozostało ani śladu linii i głębokich pęknięć. Taki drobiazg... taki niesamowicie ważny drobiazg. Miał wargi młodego mężczyzny. I...

Nagle włożył palec do ust, przeciągnął nim po dolnych zębach z prawej strony. Nie miał oczywiście stuprocentowej pewności, ale wydawało mu się, że są dłuższe, jakby mniej starte niż poprzednio.

- O, cholera! - mruknął i przypomniał sobie ów upalny letni dzień, kiedy to rozmawiał z Edem na trawniku przed jego domem. Ed najpierw zaproponował mu, żeby się rozgościł, a potem zdradził sekret: Derry zostało opanowane przez tajemniczych morderców dzieci. Przez stwory kradnące życie. „Zbiegają się tu linie sił”, powiedział Ed. „Wiem, jak trudno uwierzyć w coś takiego, ale to prawda”. Z upływem czasu Ralphowi coraz łatwiej przychodziło jednak w to wierzyć, za to coraz trudniej przychodziło mu wierzyć, że Ed jest szaleńcem.

- Jak tak dalej pójdzie - odezwała się od drzwi Lois, tak niespodziewanie, że drgnął - będziemy musieli wziąć ślub i uciec z miasta. Simone i Mina dosłownie nie były w stanie oderwać ode mnie oczu. Oczywiście opowiedziałam im historyjkę o nowych cudownych kosmetykach, które kupiłam sobie ostatnio, ale nie dały się na to nabrać. Z mężczyzną dałabym sobie radę, ale kobieta wie, czego może dokonać makijaż. I czego dokonać nie może.

Wrócili do kuchni i choć aury na razie znikły, Ralph odkrył, że jeden kolor widzi doskonale - rumieniec rodzący się nad kołnierzykiem białej jedwabnej bluzki Lois.

- W końcu musiałam powiedzieć im tę jedną jedyną rzecz, która mogła je przekonać.

- Co takiego?

- Powiedziałam im, że spotkałam mężczyznę. - Przerwała, a kiedy zarumieniła się już cała jej twarz, aż po czoło, dodała odważnie: - I zakochałam się w nim.

Wziął ją pod rękę, obrócił ku sobie. Patrzył na niewielkie wgłębienie przy zgiętym łokciu, marząc, by dotknąć go ustami. Albo czubkiem języka. Potem podniósł wzrok.

- A czy powiedziałaś prawdę?

Odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym nadziei i dumy.

- Chyba tak. - Jej głos był cichy, czysty. - Ale wszystko jest teraz takie dziwne. Jedno wiem jednak na pewno: chciałabym, żeby to była prawda. Potrzebuję przyjaciela. Już od dawna żyłam taka przestraszona, taka nieszczęśliwa i samotna. Kiedy się starzejesz, to chyba właśnie samotność jest najgorsza, a nie że coś cię boli, że masz kłopoty z żołądkiem i sapiesz na schodach, na które mając dwadzieścia lat wbiegałaś, wcale o tym nie myśląc. Samotność jest najgorsza.

- Oczywiście, najgorsza.

- Nikt już z tobą nie rozmawia. Och, od czasu do czasu ludzie mówią coś do ciebie, ale to nie to samo. Na ogół jednak nikt cię po prostu nie dostrzega. Ty też tak to odczuwasz?

Ralph pomyślał o Derry Starych Pierników, mieście ignorowanym przez tłum śpieszących do pracy i do zabawy, i skinął głową.

- Ralph, przytulisz mnie?

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział i delikatnie wziął ją w ramiona.

W jakiś czas później, nieco zużyci i bardzo oszołomieni, lecz szczęśliwi, Ralph i Lois siedzieli przytuleni na kanapie w dużym pokoju, kanapie rozmiaru w sam raz dla hobbitów, co wcale im nie przeszkadzało. Ralph obejmował mocno Lois, która rozpuściła włosy. Nawinął kosmyk na palec, zdumiony, że tak łatwo zapomniał dotyku kobiecych włosów i jak bardzo różnią się od męskich. Lois opowiadała o kartach, a on słuchał uważnie, zdziwiony, ale wcale, jak się okazało, nie zaskoczony.

Było ich, „dziewcząt”, kilkanaście. Grały co miesiąc

w „Grange” w Ludlow, na symboliczne wręcz stawki. Z partyjki do domu wracało się czasem o pięć dolarów uboższym albo dziesięć dolarów bogatszym, ale najczęściej było się o dolar do przodu albo kilkadziesiąt centów do tyłu. Choć niektóre z pań grały dobrze, a niektóre wręcz przeciwnie (Lois zaliczała siebie do tej pierwszej grupy), ich spotkania były tylko okazją do spędzenia sympatycznego wieczoru - kobieca wersja turniejów szachowych i maratonów durnia w świecie Starych Pierników.

- Tylko że dziś nie mogłam przegrać. Biorąc pod uwagę, że one wszystkie tylko wypytywały, jakich witamin używam, kiedy zdążyłam zrobić sobie lifting i w ogóle, powinnam wrócić do domu bez grosza. Kto potrafiłby skoncentrować się na oczku czy pokerze, kiedy musi wymyślać bez przerwy nowe kłamstwa i uważać, żeby się nie potknąć na starych?

- Rzeczywiście, musiało ci być ciężko - stwierdził współczująco Ralph, ze wszystkich sił starając się powstrzymać uśmiech.

- A było! Bardzo ciężko. Tylko że zamiast przegrywać, wygrywałam raz za razem. I wiesz dlaczego?

Wiedział, ale potrząsnął głową. Chciał, żeby mu powiedziała, lubił słuchać, jak mówi.

- Dzięki austom. Nie zawsze wiedziałam, jakie dokładnie karty mają dziewczęta, ale i to się zdarzało. A nawet jeśli nie, co najmniej zdawałam sobie sprawę, jakie są dobre. Aury czasami znikwały, wiesz, jak to z nimi jest, ale nawet kiedy ich nie było, grałam lepiej niż kiedykolwiek w życiu. W ciągu ostatniej godziny zaczęłam umyślnie przegrywać. Tylko po to, żeby mnie nie znienawidziły! I wiesz co? Trudno mi było nawet umyślnie przegrać!

Opuściła wzrok na dłonie. Nerwowo splatała i rozplatała palce.

- Kiedy wracaliśmy, zrobiłam coś, czego bardzo się wstydzę - wyznała.

Znów zaczął dostrzegać jej aurę: szarą mgłę, w której wirowały nie uformowane do końca pęcherze ciemnego błękitu.

- Nim skończysz, posłuchaj i powiedz, czy nie brzmi ci to znajomo.

Opowiedział jej, jak siedział na progu, zajadając fasolę i czekając na jej powrót, jak pojawiła się pani Perrine i co jej zrobił. Oczy miał spuszczone, czuł, jak uszy robią mu się coraz gorętsze.

- No, tak - powiedziała, kiedy skończył. - Zrobiłam

dokładnie to samo... ale wcale nie chciałam, Ralph... to znaczy, wydaje mi się, że nie chciałam. Siedziałam na tylnym siedzeniu, obok Miny, a ona zaczęła wszystko od początku: jak dobrze wyglądam, jak inaczej, jak młodo. Pomyślałam wtedy... wstyd mi powiedzieć głośno, co pomyślałam, ale chyba lepiej powiem. Pomyślałam: „Zamknij się, ty wścibska, zazdrosna starucho”. Bo ona była zazdrosna, Ralph. Widziałam to w jej aurze! Widziałam te wielkie, ostre błyski koloru kocich oczu. Nic dziwnego, że zazdrość nazywają zielonookim potworem. W każdym razie wskazałam palcem za okno i krzyknęłam: „Och, zobacz tylko, jaki śliczny domek!” A kiedy obróciła się, żeby popatrzeć, zrobiłam... zrobiłam to samo co ty, Ralph. Tylko że nie zwinęłam ręki. Jakoś tak złożyłam usta, właśnie tak... - pokazała mu jak i wyglądała przy tym tak ślicznie, że miał ochotę (a raczej wręcz czuł przymus), by ją ucałować - ...i wciągnęłam wielką chmurę jej aury.

- Co było dalej? - spytał zafascynowany i lekko przestraszony.

Lois roześmiała się. Niewesoło.

- Z nią czy ze mną?

- Iz nią, i z tobą.

- Mina podskoczyła i uderzyła się po karku. „Coś mnie ugryzło! Ugryzło! Spędź to, Lois, proszę! Spędź to!” Nic jej oczywiście nie ugryzło... to znaczy, ja ją ugryzłam, ale pomachałam jej przy karku, otworzyłam okno i powiedziałam, że to coś przez nie uciekło. Miała szczęście, że nie rozwaliłam jej głowy, machając ręką, taka czułam się silna. Czułam, że mogłabym wyskoczyć z samochodu i przebiec całą drogę do domu.

Ralph tylko skinął głową.

- To cudowne uczucia. Trochę zanadto cudowne. Jak te telewizyjne historie o narkotykach, co to najpierw przenoszą cię do nieba, a potem strącają do piekła. Co będzie, jeśli się okaże, że nie możemy przestać?

- Aha! Albo że robimy tym ludziom krzywdę. Mnie nasunęło się porównanie z wampirami, - A wiesz, o czym ja myślę? - Lois zniżyła głos do szeptu. - O tym, co ci powiedział Ed Deepneau. O tych centurionach. A jeśli to my nimi jesteśmy? Co, jeśli centurioni to my?

Przytulił ją i pocałował w czubek głowy. Kiedy usłyszał, jak wypowiada na głos jego największe lęki, zrobiło mu się nieco lżej na sercu.

- Wiem - uspokoił ją. - To, co zrobiłem pani Perrine, zrobiłem pod wpływem impulsu - nie zastanawiałem się choćby przez chwilę. Z tobą było tak samo, prawda?

- Tak, właśnie tak. - Lois położyła mu głowę na ramieniu.

- Nie wolno nam tego powtórzyć - powiedział. - Ponieważ rzeczywiście możemy wpaść w nałóg. Coś tak wspaniałego po prostu musi prowadzić do nałogu, nie uważasz? Musimy się także postarać... zabezpieczyć się jakoś, żeby nie robić tego nieświadomie. Ja chyba robiłem to już przedtem. To pewnie dlatego...

Przerwał mu dobiegający z ulicy przeraźliwy zgrzyt hamulców i pisk zablokowanych opon. Spojrzeli na siebie rozszerzonymi oczami, a dźwięk ów trwał i trwał, niczym jęk żalu, który tylko patrzeć zmieni się w brzęk zgniatanego metalu.

Ucichł wreszcie, zakończony stłumionym odgłosem uderzenia. Ktoś wrzasnął przeraźliwie, kobieta lub dziecko, Ralph nie miał pewności. Ktoś krzyknął: „Co się stało?”, a potem: „O, do diabła!” Po chodniku zadudniły liczne kroki.

- Zostań tu! - Ralph podbiegł do okna w dużym pokoju. Kiedy podnosił żaluzję, Lois stała obok niego. Doskonale. Carolyn w podobnych okolicznościach postąpiłaby dokładnie tak samo.

Wyglądali razem na ciemny świat, pulsujący przedziwnymi barwami, pełen ruchu. Ralph wiedział, że zobaczą Billa, wiedział, że to musi być Bili - to Bili, uderzony przez samochód, leży martwy na ulicy, z ręką na spoczywającej obok ciała panamie z nadgryzionym rondem. Objął Lois, która zacisnęła palce na jego dłoni.

Lecz w świetle reflektorów forda, który stał krzywo pośrodku Harris Avenue, nie zobaczyli ciała Billa McGovern, lecz ciało Rosalie. Rosalie już nigdy nie wybierze się wczesnym rankiem na obchód śmietników. Leżała teraz na ulicy w rosnącej kałuży krwi, z grzbietem złamanym w kilku miejscach. Kierowca forda, który ją potrącił, przyklęknął przy niej i bezlitosne światło najbliższej latarni oświetliło mu twarz. Był to Joe Wyzer, farmaceuta ze „Szczęścia w pigułce”; jego pomarańczowożółta aura lśniła teraz buzującą się w niej czerwienią i błękitem. Głaskał zdychającą sukę, a jego dłoń zniknęła z oczu Ralpha za każdym razem, kiedy pograżała się w złowrogiej, czarnej aurze psa.

Fala strachu zalała Ralpha, mroząc i kurcząc mu jądra, aż stały się małe i twarde jak pestki wiśni. Przeniósł się nagle w lipiec 1992 roku, Carolyn znów umierała, tykał zegar śmierci

i coś dziwnego działo się z Edem Deepneau. Ed po prostu wyszedł z siebie i Ralph właśnie starał się powstrzymać tak zwykle dobrodusznego męża Helen od rzucenia się do gardła grubasowi w reklamowej czapeczce West Side Gardeners. Nagle - niczym

meksykańska przyprawa do spaghetti, jakby powiedziała Carolyn - na miejscu pojawił się Dorrance Marsteller. Stary Dor. I co miał do powiedzenia Stary Dor?

Ja bym go więcej nie dotykał... Nie widzę twoich dłoni!

Nie widzę twoich dłoni.

- O mój Boże - szepnął Ralph.

Do przytomności doprowadził go ciężar Lois na ramieniu. Ślaniała się, jakby miała zaraz zemdleć.

- Lois! - krzyknął ostro, chwytając ją mocniej. - Lois, nic ci nie jest?

- Chyba nie... ale Ralph... widzisz?

- Tak, to Rosalie. Wiesz...

- Nie chodzi mi o nią, tylko o niego!

O bagażnik forda Joego Wyzera opierał się doktorek nr 3. Na łysej głowie nadal miał panamę Billa zawadiacko zsuniętą z czoła. Zerknął na Ralpha i Lois, uśmiechnął się do nich bezczelnie, po czym powoli przyłożył kciuk do nosa i zagrał im na nim.

- Ty łotrze! - wrzasnął Ralph i w bezradnej wściekłości walnął pięścią w ścianę obok framugi.

Kilka osób biegło do miejsca wypadku, lecz nic już nie można było zmienić; Rosalie zdechnie w blasku reflektorów, nim ktokolwiek zdoła do niej podbiec. Czarna aura wokół niej gęstniała, aż zmieniła się w coś, co przypominało cegłę z głębi kominka. Otoczyło ją to dokładnie, niemal jak forma odlewnicza. Dłoń Wyzera znikła aż do nadgarstka za każdym razem, kiedy przebijała ten upiorny płaszcz.

Doktorek nr 3 uniósł palec wskazujący - parodia nauczyciela tak doskonała, że niemal słyszało się: „Uważajcie, proszę!” Na paluszkach, z przesadną ostrożnością - efekt zupełnie niepotrzebny, bo nikt go przecież nie mógł zauważyć, ale wspaniały aktorsko - ruszył ku Joemu Wyzerowi. Obejrzał się na Ralpha i Lois, jakby chciał się upewnić, że nadal patrzą, po czym powoli sięgnął do tylnej kieszeni Joego.

- Powstrzymaj go - jęknęła Lois. - Och, proszę, powstrzymaj go!

Powoli, niczym ktoś pod wpływem narkotyków, Ralph podniósł dłoń i wykonał nią gest karate. Z palców wystrzeliło mu niebieskie światło, lecz rozproszyło się przebiegając przez szybę. Pastelowa mgła otoczyła na chwilę dom Lois, ale prawie natychmiast się rozwiała. Łysy doktorek pokiwał mu palcem w doprowadzającej do szału pantomimie: „Och, ty niegrzeczny chłopcze!”

Doktorek nr 3 wyjął coś z tylnej kieszeni Joego Wyzera, który klęczał na ulicy i płakał nad przejechanym psem. Ralph nie potrafił powiedzieć, co to takiego, póki łysek w brudnym

fartuchu nie zdjął kapelusza McGoverna i nie udał, że używa tego czegoś do przeczesania nie istniejących włosów. Był to mały grzebyk, jaki można kupić w kiosku za dolca dwadzieścia dziewięć.

Nagle doktorek podskoczył, strzelając obcasami jak jakiś złowrogi elf.

Rosalie, która podniosła łeb na widok zbliżającego się doktora, teraz złożyła go na asfalcie i zdechła. Otaczająca ją aura znikła. Nie zbladła, lecz po prostu znikła jak bańka mydlana. Wyzer wstał, odwrócił się do jakiegoś mężczyzny i zaczął mu opowiadać, co się stało, gestykulując i pokazując, jak to pies po prostu wybiegł przed samochód. Ku swemu wielkiemu zdumieniu Ralph odczytał z jego warg kilka słów: „Jakby pojawił się znikąd”. A kiedy Ralph znów spojrzął na forda, zorientował się, że tak samo musiał teraz zniknąć mały łysy doktorek.

Rozdział 6

Ralph zdołał jakoś zapalić silnik swojego przerdzewiałego oldsmobile'a, ale do szpitala znajdującego się we wschodniej części Derry i tak dojechali dopiero po dwudziestu minutach. Carolyn rozumiała, czemu Ralph denerwuje się za kierownicą, i próbowała się dostosować, ale należała do kobiet niecierpliwych z natury i wiecznie się gdzieś śpieszących, a lata bynajmniej nie złagodziły jej charakteru. Gdy jechali razem ponad kilometr, nieuchronnie zaczynały się uwagi. Jeśli nie zadowalało jej tempo - czy raczej brak tempa - jazdy, mogła na przykład zapytać, czy Ralph nie sądzi, że lewatywa oczyściłaby mu tyłek z ołowiu. Słodka z niej była kobieta, ale jęczyczek zawsze miała ostry.

Po kilku tego typu praktycznych radach Ralph, zawsze spokojnie, proponował żonie, by sama usiadła za kierownicą, a Carolyn zawsze tę propozycję odrzucała. Po prostu wierzyła głęboko, że obowiązkiem męża jest prowadzić, obowiązkiem zaś żony zapewnić konstruktywną krytykę.

Ralph spodziewał się po Lois złośliwych komentarzy na temat albo rozwijanej przez oldsa prędkości, albo nawyków jego kierowcy (który musiał, po prostu musiał co najmniej parę razy zapomnieć o migaczach - nie pamiętałby o nich w każdej wymagającej ich użycia sytuacji, nawet gdyby ktoś mu przyłożył pistolet do głowy), lecz Lois nie odezwała się ani słowem. Siedziała w fotelu, który parę tysięcy razy zajmowała przed nią Carolyn, trzymając torebkę na kolanach tak samo jak Carolyn. Kolorowe światła - neony sklepów, sygnalizacja na skrzyżowaniach, uliczne lampy - odbijały się tęczą na jej policzkach i czole. Zamyślony wzrok utkwiała gdzieś w przestrzeni.

Po śmierci Rosalie płakała, wręcz zalewała się łzami i kazała Ralphowi opuścić żaluzję. Ralph zrazu nie chciał usłuchać. Przede wszystkim chciał wyskoczyć na ulicę, nim Joe Wyzer odjedzie, chciał uprzedzić Joego, powiedzieć mu, że musi teraz bardzo na siebie uważać. Powiedzieć mu, że kiedy dziś wieczorem opróżni kieszenie spodni, nie znajdzie w nich taniego grzebyka. Żaden problem, ludzie zawsze gubią grzebienie, tylko że akurat teraz grzebień to wielki problem i następnym razem to on, Joe Wyzer, farmaceuta ze „Szczęścia w pigułce”, może umierać na ulicy, uderzony przez samochód. Posłuchaj mnie, Joe, posłuchaj mnie bardzo uważnie. Musisz być ostrożny, bo wiele się ostatnio działo w Strefie Hiperrzeczywistości, a wiadomości, które dotyczyły ciebie, podawano tylko w czarnych obwódkach.

Tyle że tego typu stwierdzenie mogło spowodować pewne kłopoty, a Joe Wyzer, mimo sympatii, którą okazał Ralphowi tego dnia, kiedy załatwił mu wizytę u akupunkturzysty, najpewniej wzięłby go za szaleńca. A poza tym, jak bronić się przed istotą, której nie sposób nawet zobaczyć?

Więc w końcu Ralph zasunął żaluzję... lecz nim ją zasunął, jeszcze raz przyjrzał się uważnie mężczyźnie, który tak sympatycznie żartował sobie ze swego nazwiska. Z głowy Joego wciąż wznosiła się balonowa wstążka, jaskrawa, żółtopomarańczowa. Tak więc, przynajmniej na razie, wszystko było w porządku.

W porządku.

Na razie.

Zaprowadził Lois do kuchni i przygotował jej filiżankę czarnej kawy z mnóstwem cukru.

- Zabił ją, prawda? - spytała, obiema rękami podnosząc filiżankę do ust. - Ten mały potwór ją zabił?

- Tak. Ale nie sądzę, że zabił ją właśnie teraz. Raczej zrobił to dziś rano.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Bo mógł - stwierdził ponuro Ralph. - To chyba jedyny powód, jakiego mu trzeba. Zrobił to, bo mógł to zrobić.

Lois obrzuciła go zamglonym spojrzeniem i powoli na jej twarzy pojawiła się ulga.

- Przemyślałeś sobie to wszystko, prawda? Powinam się domyślić, kiedy tylko cię dziś wieczorem zobaczyłam. I pewnie bym się domyśliła, gdybym akurat nie miała tylu problemów na skołatanej głowie.

- Co sobie przemyślałem? Nic sobie jeszcze nie przemyślałem, ale to i owo przyszło mi do głowy. Lois, pojedziesz ze mną do szpitala?

- Dobrze, pojedę. Pewnie chcesz zobaczyć Billa?

- Właściwie to nawet nie jestem pewien, kogo chcę zobaczyć. Może Billa, a może jego przyjaciela Boba Polhursta. A może nawet Jimmy'ego Vandermeera... znasz go?

- Jimmy'ego V.? Oczywiście, że go znam. Jego żonę znałam jeszcze lepiej! Nawet grałam z nią w pokera. *Zmarła* na atak serca, tak nagle... - Lois przerwała i spojrzała na Ralpha swymi czarnymi, hiszpańskimi oczami. - Jimmy jest w szpitalu? O mój Boże, Ralph, to rak, prawda? To ten jego rak?

- Tak. Leży po sąsiedzku z przyjacielem Billa. - Opowiedział jej o swej porannej rozmowie z Faye'em i o liściku, który znalazł po południu na stole, pod kamieniem. Wspomniał o przedziwnej zbieżności sąsiedztwa sal i leżących w nich ludzi: Polhursta,

Jimmy'ego V., Carolyn, i spytał Lois, czy uważa ją za przypadkową.

- Nie - odparła. - Jestem pewna, że ta zbieżność nie jest przypadkowa. - Zerknęła na zegarek. - No to co, jedziemy? Odwiedziny kończą się tam chyba o wpół do dziesiątej. Jeśli mamy zdążyć, to lepiej się pośpieszmy.

Wjechał na szpitalny parking (znów zapomniałeś o tym cholernym migaczu, kochanie, powiedziała mu Carolyn), spojrzął na Lois - Lois siedzącą w milczeniu z dłońmi zaciśniętymi na torebce i, na razie przynajmniej, niewidoczną aurą - i spytał, czy dobrze się czuje.

Lois skinęła głową.

- Tak, dobrze. Nie za świetnie, ale w gruncie *rzeczy* dobrze. Nie martw się o mnie.

Tylko że ja się martwię, pomyślał Ralph. Bardzo się martwię. A tak przy okazji, widziałas może, jak doktor nr 3 zabrał Joemu Wyzerowi grzebień?

Byłoby to cholernie głupie pytanie. Oczywiście, że widziała. Ten łysy karzeł chciał, żeby widziała. Chciał, żeby oboje widzieli. Prawdziwy problem polegał na tym, jakie znaczenie do tego przywiązywała.

Ile naprawdę wiesz, Lois? ile rzeczy sobie skojarzyłaś? Muszę się o to martwić, bo doprawdy nietrudno tu o skojarzenia. Chcę wiedzieć... ale boję się zapytać.

Niespełna pół kilometra dalej, przy drodze dojazdowej, znajdował się niski ceglany budynek: Ośrodek Opieki nad Kobietami. Silne reflektory - jeszcze niedawno ich tu nie było, co do tego nie miał żadnych wątpliwości - oświetlały teren przed drzwiami. W ich świetle Ralph wyraźnie widział dwóch mężczyzn spacerujących tam i z powrotem i ciągnących za sobą groteskowo wydłużone cienie. Prawdopodobnie ochroniarze. Kolejna nowość, kolejny pyłek niesiony przez złowrogi wiatr.

Ralph skręcił w lewo (tym razem, na szczęście, nie zapominając o migaczu) i powoli wjechał w tunel prowadzący na wielopoziomowy parking szpitala. Dojechał do pomarańczowego szlabanu, zagrządzającego wyjazd. ZATRZYMAJ SIĘ I WEŹ KWIT - głosił znak obok szlabanu. Ralph dobrze pamiętał czasy, kiedy w takich miejscach jak to pracowali jeszcze zwykli ludzie. To były piękne dni, naprawdę piękne dni! - pomyślał, otwierając okno i biorąc kwit parkingowy z automatu.

- Ralph?

- Hmmm? - Był bardzo skupiony. Jak mógł, starał się uniknąć tylnych zderzaków samochodów zaparkowanych ukosem po obu stronach prowadzącej w dół rampy. Oczywiście wiedział, że rampa jest wystarczająco szeroka i nie musi martwić się o inne wozy; głowa wiedziała, ale serce mówiło mu coś wręcz przeciwnego. Carolyn to dopiero by się wściekała

widząc, jak prowadzę, pomyślał przelotnie, lecz z głębokim uczuciem.

- Słuchaj, czy ty wiesz, co właściwie tu robimy, czy tylko strzelasz w ciemno?

- Sekundkę, niech no zaparkuję tego cholernego grata! Na pierwszym poziomie minął kilka miejsc wystarczająco

szerokich dla starego oldsa; margines bezpieczeństwa był jednak za mały, by go w pełni usatysfakcjonować. Na trzecim poziomie trafił na trzy wolne miejsca obok siebie (pomieściłby się na nich nawet czołg) i powolutku, ostrożnie, zaparkował na środkowym.

Wyłączył silnik. Spojrzał na Lois. Wokół nich, na górze i na dole, warczały silniki, z powodu echa nie sposób było jednak stwierdzić, skąd dokładnie dobiega ich dźwięk. Pomarańczowe światło - ostre, jaskrawe, zainstalowane już chyba na wszystkich podziemnych parkingach - barwiło im skórę jak trująca farba.

Lois odpowiedziała mu spokojnym spojrzeniem. Zaczerwienione i spuchnięte powieki świadczyły o łzach, wylanych jakże niedawno nad biedną Rosalie, lecz same oczy były spokojne i pewne. Uderzyło go, jak bardzo zmieniła się od dzisiejszego ranka, kiedy to siedziała na ławce w parku, zgarbiona, szlochająca. Lois, pomyślał, gdyby syn i synowa mogli cię teraz zobaczyć, zapewne uciekliby, wrzeszcząc ile sił w płucach. Nie ze strachu, lecz dlatego, że kobiety, którą chcieli zmusić do przenosin do „Osiedla Nad Rzeką”, już nie ma.

- No i co? - Lois uśmiechnęła się lekko. - Masz zamiar porozmawiać czy będziesz tak siedział i gapił się na mnie?

A on, zazwyczaj najwstrzemięźliwszy z ludzi, powiedział pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy:

- No więc, prawdę mówiąc, najbardziej chciałbym cię schrupać jak czekoladkę.

Lois uśmiechnęła się tak, że w kącikach jej ust pojawiły się dołeczki.

- Może później sprawdzimy, jak wielką ochotę masz na słodycze, Ralph. Na razie chcę tylko wiedzieć, dlaczego mnie tu zabrałeś. I nie mów, że nie wiesz, bo mam wrażenie, że wiesz.

Ralph zamknął oczy, odetchnął głęboko i otworzył je.

- Chyba zabrałem cię tu na spotkanie z tymi dwoma facecikami. Z tymi, których widziałem, jak wychodzili z domu May Locher. Jeśli ktokolwiek jest w stanie nam wyjaśnić, o co właściwie chodzi, to tylko oni.

- Dlaczego sądzisz, że spotkamy ich akurat w szpitalu?

- Według mnie mają tu zadanie do wykonania. Jimmy V. i przyjaciel Billa umierają w sąsiednich pokojach. Powinienem był domyślić się, kim są ci łysi doktorkowie i czym się

zajmują, gdy tylko zobaczyłem, jak sanitariusze wynoszą z domu May Locher przywiązaną do noszy i z prześcieradłem na twarzy. Domyśliłbym się, gdybym nie był taki cholernie zmęczony. Same tylko nożyce powinny mi wszystko wyjaśnić. Ale zrozumiałem to dopiero teraz i tylko dzięki słowom siostrzenicy Polhursta.

- A co ona takiego powiedziała?

- Że śmierć jest głupia. Że gdyby położnik tak długo zwlekał z przecięciem dziecku pępowiny, to by go oskarżono o błąd w sztuce. Przypomniało mi to mit, czytałem to jeszcze w podstawówce, kiedy nigdy nie miałem dość bohaterów, bohaterów i trojańskich koni. Chodzi o opowieść o trzech greckich siostrach, czy może czarownicach. Cholera, nawet nie

pytaj, przecież nie potrafię zapamiętać, kiedy trzeba włączyć migacz. W każdym razie te siostry odpowiadały za całe ludzkie życie. Jedna przędła nić, druga ją nawijała... kojarzy ci się to?

- Oczywiście! - Lois niemal krzyknęła. - To te balonowe wstążki!

Skinął głową.

- Tak. Wstążki. Nie pamiętam imion dwóch siostr, ale nigdy nie zapomnę imienia trzeciej: Atropos. Jej zadaniem było przecinanie nici, którą ta pierwsza uprzędła, a druga nawinęła. Mogłeś ją prosić i błagać, ale pozostawała nieugięta. Kiedy zdecydowała, że pora ciąć, ciąła.

Lois energicznie kiwała głową.

- Tak, pamiętam tę opowieść. Nie wiem, czy ją czytałam, czy może słyszałam od kogoś, kiedy byłam mała. Wierzysz, że jest prawdziwa, Ralph? Nie mylę się? Tylko że zamiast siostr-czarownic decydujących o losie są łysi doktorzowie?

- Tak i nie. O ile pamiętam, siostry były po tej samej stronie, tworzyły zespół. Tak jak ci dwaj, których widziałem wychodzących z domu May Locher. Wydawali mi się partnerami pracującymi wspólnie od dawna i darzącymi się nawzajem wielkim szacunkiem. Ten trzeci, którego widzieliśmy dziś rano, jest inny. Moim zdaniem, ten doktorek jest po prostu zły.

Lois zadrżała - teatralny gest, który w ostatniej chwili nabrał stuprocentowej autentyczności.

- On jest obrzydliwy. Nienawidzę go! - oznajmiła.

- Trudno mieć o to do ciebie pretensję.

Ralph sięgnął do klamki, lecz Lois powstrzymała go lekkim dotknięciem dłoni.

- Widziałam, jak to zrobił.

Ralph obrócił się i spojrzał jej w oczy. Napięte ścięgna szyi aż mu przy tym ruchu zatrzęszczały. Nie miał wątpliwości, co za chwilę usłyszy.

- Zabrał coś temu mężczyźnie, który przejechał Rosalie. Zabrał mu coś, kiedy ten mężczyzna przy niej przyklęknął. Grzebyk, zwykły mały grzebyk. I miał na głowie coś, co chyba też poznałam.

Tylko na nią patrzył z nadzieją, że nic więcej nie zdołała dostrzec i zapamiętać.

- To był kapelusz Billa, prawda? Jego panama?

- Właśnie.

Lois przymknęła oczy.

- O mój Boże - wykrztusiła tylko.

- I co powiesz, Lois? Grasz dalej?

- Tak. - Otworzyła drzwiczki i wysunęła nogi z samochodu. - Ale lepiej chodźmy, zanim wpadnę w panikę.

- Święte słowa - stwierdził poważnie Ralph Roberts.

Kiedy zbliżali się do głównej bramy szpitala, Ralph pochylił się i wyszeptał do ucha Lois:

- Czy z tobą też...?

- Oczywiście. - Oczywiście miała otwarte bardzo szeroko. Boże, jakie to teraz silne, prawda?

Przecięli promień fotokomórki i drzwi właśnie się przed nimi otwierały, gdy powierzchnia świata nagle znikła, ukazując ten inny, cały w blasku nieznanymi kolorów, ten, w którym poruszały się nieznane kształty. Nad ich głowami, pod ogromnym freskiem na suficie przedstawiającym Derry takim, jakim było jako centrum handlu drewnem, śmigwały ciemnobrązowe strzały, zbliżając się do siebie i czasem stykając, przy spotkaniu rozbłyskując na moment ciemną zielenią i natychmiast zmieniając kierunek. Jaskrawosrebrny wir, przypominający trochę gejzer, a trochę miniaturowe tornado, zstępował po schodach prowadzących na pierwsze piętro, do kawiarni, świetlicy i sali wykładowej. Jego szeroka góra kołysała się w przód i w tył, w miarę jak schodził stopień po stopniu, Ralph zaś wyraźnie odbierał wrażenie, że jest to zjawisko przyjazne, jak antropomorficzne postaci z kreskówek Disneya. Na jego oczach dwóch mężczyzn z teczkami pośpieszyło schodami w górę. Jeden z nich przeszedł wprost przez ową srebrzystość, nie przestając rozmawiać z towarzyszem, ale kiedy pojawił się z drugiej strony wiru, machinalnym gestem przygładził włosy... choć były idealnie uczesane.

Wir znalazł się na parterze, wykonał energiczną ósemkę na podłodze holu i znikł, pozostawiając po sobie zaledwie rzadką, różaną mgłę, która szybko się rozpraszała.

Lois szturchnęła Ralpha łokciem w żebra. Już miała wskazać palcem na ścianę za recepcją, kiedy zdała sobie sprawę, że wokół są ludzie, i zdecydowała się na gest

podbródkiem. Wcześniej tego dnia Ralph widział na niebie kształt prehistorycznego ptaka, teraz patrzyli na coś w rodzaju długiego, przezroczystego węża. Stwór pelzył nad tabliczką: DLA OCZEKUJĄCYCH NA BADANIA KRWI.

- Czy on żyje? - W głosie Lois brzmiał niepokój. Ralph przyjrzał się wężowi i stwierdził, że nie ma on głowy.

Ani ogona. Najprawdopodobniej żył (w pewnym sensie) - zapewne wszystkie aury żyły (w pewnym sensie) - ale stworzenie to chyba nie było naprawdę węzem i wątpił, by mogło okazać się niebezpieczne, przynajmniej dla takich jak oni istot.

- Nie przejmuj się drobiazgami - wyszeptał, gdy ustawiali się w krótkiej kolejce do informacji. Jakby słysząc te słowa, „wąż” znikł wessany przez sufit.

Ralph nie wiedział, jakie znaczenie w owym sekretnym świecie mają istoty w rodzaju węża czy prehistorycznego ptaka, był jednak pewien, że to człowiek jest w nim najważniejszy. Hol gmachu szpitala w Derry wyglądał, jakby właśnie odbywał się tu pokaz fajerwerków na Czwartego Lipca, w którym rolę fajerwerków odgrywają ludzie. Lois zaczepliła mu palec za kołnierzyk koszuli i pochyliła jego głowę ku swojej.

- Ty masz mówić - oznajmiła cichym, zdumionym głosem. - Ja robię, co mogę, żeby nie zmoczyć majtek!

Stojący przed nimi mężczyzna odszedł od okienka. Ralph zrobił krok naprzód i w tym momencie przed oczami pojawiło mu się słodkie, nostalgiczne wspomnienie o Jimmym V. Jechali drogą gdzieś w Rhode Island - może koło Kingston? - i pod wpływem chwili zdecydowali, że koniecznie muszą wziąć udział w nabożeństwie, które odbywało się właśnie na łące. Obaj byli zalani niczym muchy w butelce ginu. Przed wejściem do namiotu stały dwie domytki, zadbane dziewczyny rozdające religijne broszurki. Kiedy się do nich zbliżali, zaczęli się nawzajem napominać podejrzanie aromatycznym szeptem: „Udawaj trzeźwego, pamiętaj, udawaj trzeźwego!” Dostali się wtedy do środka czy...

- ...pomóc? - spytała kobieta siedząca w okienku informacji tonem wyraźnie dającym do zrozumienia, że wyświadcza światu zaszczyt, racząc w ogóle mówić. Ralph spojrział przez szklaną przegrodę. Recepcjonistkę otaczała niespokojna, pomarańczowa aura koloru płonących kaktusów. Oto ktoś, do kogo pisze się podania i kto utrudni ci życie, jeśli tylko może, pomyślał i nagle przypomniał sobie, że kiedy się zbliżyli, te dwie dziewczyny przy wejściu do namiotu tylko pociągnęły nosami i natychmiast stanowczo i grzecznie zawróciły ich z powrotem do samochodu. Wieczór spędzili, zdaje się, w barze w Central Falls i mieli sporo szczęścia, że ich nie obrabowano, gdy zataczali się na ulicy po zamknięciu tego baru.

- Proszę pana! - recepcjonistka wyraźnie się niecierpliwiła. - Pan czegoś chce?

Ralph spadł w terażniejszość z niemal słyszalnym łoskotem.

- Tak, proszę pani. Wraz z żoną chcielibyśmy odwiedzić Jimmy'ego Vandermeera na trzecim piętrze, jeśli...

- Ależ to oddział intensywnej opieki medycznej - warknęła kobieta. - Tam potrzebna jest specjalna przepustka. - Z aury wokół jej głowy wykwitły ostre szpikulce; wkrótce przypominała już ogrodzenie z drutu kolczastego, otaczające jakieś złowrogie pole bitwy.

- Wiem - przyznał Ralph, pokorny jak nigdy - ale mój przyjaciel, Lafayette Chapin, powiedział mi...

- No proszę, czy to nie cudowne, że wszyscy mają mnóstwo przyjaciół? - przerwała mu recepcjonistka i z kpiącym zdumieniem spojrzała w sufit.

- Faye mi powiedział, że Jimmy'ego można odwiedzać. Pani rozumie, ma raka i nie pożyje pewnie...

- Sprawdzę jego kartę - w głosie recepcjonistki brzmiał gniew, jakby z góry wiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie - ale komputer pracuje dziś bardzo wolno i może mi to zająć trochę czasu. Proszę mi podać nazwisko, a potem możecie państwo usiąść, o tam, i zaczekać. Wywołam państwa, gdy tylko...

Ralph zdecydował, że dość już poniżania się przed tym biurokratycznym psem łańcuchowym. W końcu nie prosi przecież o wizę wyjazdową z Albanii, tylko zwykłą przepustkę na szpitalny oddział.

Sięgnął przez okienko i złapał kobietę za nadgarstek, nim zdążyła cofnąć rękę. Doznał wrażenia, bezbolesnego, lecz niezwykle klarownego, że kolce jej aury przesywają mu ciało, nie znajdując nic, czego mogłyby się ucześcić. Delikatnie zacisnął dłoń i poczuł niewielki przepływ mocy - gdyby był widzialny, byłby pewnie nie większy niż kapsułka jakiegoś leku - z siebie do siedzącej w okienku kobiety. Pompatyczna pomarańczowa aura wokół jej lewego ramienia i boku zmieniła się w jego turkusową aurę, ona sama zaś sapnęła i wyprostowała się, jakby ktoś nasypał jej kostek lodu za fartuch na plecach.

[Do diabła z komputerem. Proszę tylko o dwie przepustki. Dobrze?]

- Oczywiście, proszę pana - recepcjonistka wygrzeczniała błyskawicznie. Ralph uwolnił jej dłoń, by mogła sięgnąć do szuflady biurka. Turkusowa poświata wokół jej ramienia powoli zmieniała się w pomarańczową. Kolor spływał z niego w kierunku jej nadgarstka.

Ale przecież mogłem zmienić ją całą. Mogłem przejąć nad nią kontrolę. Mogłem pogonić ją po tym jej biurze niczym nakręcaną zabawkę.

Nagle przypomniał sobie Eda cytującego Ewangelię według św. Mateusza: *Wtedy*

*Herod widząc, że go Mędracy zawiedli, wpadł w straszny gniew, i przepełniły go jednocześnie strach i złość. Przez głowę przeleciało mu znów słówko „wampiryzm” oraz fragment słynnego komiksu z Pogo: *Spotkaliśmy nieprzyjaciela, którym byliśmy my sami.* Tak, prawdopodobnie mógłby zrobić z tą pomarańczową biurwą, co mu się żywnie podoba, był całkowicie naładowany... tyle że z jego i Lois akumulatorów biegł skradziony prąd.*

Kiedy kobieta wyjęła rękę z szuflady, trzymała w niej dwa oprawione w przezroczysty plastik identyfikatory z napisem: ODDZIAŁ INTENSYWNEJ OPIEKI MEDYCZNEJ. GOŚĆ.

- Bardzo proszę - powiedziała grzecznie, głosem zgoła odmiennym niż ten, którym powitała go przed chwilą. - Dziękuję, że był pan uprzejmy zaczekać. Życzę miłych odwiedzin.

- Ja również bardzo pani dziękuję. - Ralph wziął od niej identyfikatory i chwycił Lois za rękę. - Chodź, kochanie - powiedział. - Musimy

- Ralph, co ty jej zrobiłeś?]

[Chyba nic. Chyba nic się jej nie stało.]

już iść na górę i zobaczyć się z nim, bo może być za późno.

Lois zerknęła na kobietę królującą w okienku informacji. Zajmowała się kolejnym petentem, powoli i z namysłem, jakby właśnie doznała dość szokującego objawienia i próbowała dojść z nim do ładu. Niebieski pobłysk widzialny był już tylko w czubkach jej palców; zgasł zresztą jeszcze na oczach Lois, która spojrzała na Ralpa z uśmiechem.

[Tak, nic jej nie będzie. Nie musisz się już martwić.]

[A martwiłem się?]

[Tak, chyba tak, tak mi się zdaje... Ralph, znów rozmawiamy w ten sposób.]

[Wiem.]

[Ralph?]

[Tak?]

[To cudowne, prawda?]

[Tak.]

Próbował ukryć przed nią resztę swoich myśli. A myślał, że kiedy przyjdzie im płacić za coś tak cudownego, może się okazać, że cena jest bardzo wysoka.

[Przestań się tak gapić na dziecko, Ralph. Denerwujesz matkę!]

Ralph zerknął na kobietę ze śpiącym dzieckiem w ramionach. Lois ma rację... tyle że trudno było nie patrzeć. Dziecko, najwyżej trzymiesięczne, leżało w kapsule oscylującej gwałtownie żółtoszarej aury. Potężna, lecz niepokojąco niestabilna, otaczała jego maleńkie

ciałko niczym atmosfera gazowych gigantów - Jowisza, powiedzmy, lub Saturna.

Jezu, Lois, to uszkodzenie mózgu, prawda?]

Tak. Ta kobieta twierdzi, że mieli wypadek.]

Twierdzi? Rozmawiałaś z nią?]

Nie. To]

[Nie rozumiem.]

[Nie ty jeden.]

Wielka szpitalna winda mozolnie pięła się w górę. Jadący nią ludzie - kulawy, upośledzony i parę osób winnych grzechu dobrego zdrowia - nie rozmawiali ze sobą. Patrzyli albo na światelka nad drzwiami oznaczające kolejne piętra, albo na własne buty. Jedynym wyjątkiem była kobieta z oszołomionym dzieckiem w ramionach. Wpatrywała się w Ralpa z mieszaniną nieufności i niepokoju, jakby się spodziewała, że lada chwila skoczy na nią i spróbuje wyrwać jej niemowlę.

Nie w tym rzecz, że mu się przyglądam, pomyślał Ralph., Ona czuje, że myślę o jej dziecku. Wyczuła mnie... odebrała... słyszała... no, w każdym razie coś w tym rodzaju.

Winda stanęła na drugim piętrze, drzwi otworzyły się opornie. Kobieta z dzieckiem w ramionach odwróciła się w kierunku Ralpa, a kiedy się odwracała, dziecko lekko poruszyło się, ukazując czubek głowy. W maleńkiej czaszce widniała głęboka rana, a brzydki czerwony strup wewnątrz przypominał Ralphowi pasmo plugawej wody, stojącej w zagłębieniu rowu melioracyjnego. Obrzydliwa, żółtoszara aura wypływała z rany jak para ze szczeliny w ziemi. Wstążka balonowa dziecka miała

ten sam kolor i nie kojarzyła mu się z żadną z tych, które widział dotychczas. Nie wskazywała na jakąś chorobę: była tylko krótka, nieprzyjemna dla oka; taki mały kijek.

- Matka nie nauczyła pana, jak się zachowywać? - powiedziała nagle matka niemowlęcia. Ralpa zaskoczyły nie tyle jej słowa, ile ton. Najwyraźniej mocno ją wystraszył.

- Proszę pani, zapewniam panią...

- Gadaj zdrów, stary - przerwała mu kobieta, wychodząc z windy. Drzwi zaczęły się zasuwać. Ralph zerknął na Lois; połączył ich moment absolutnego zrozumienia. Lois pokiwała palcem na drzwi, jakby je za coś karciała. Z palca wypłynęła substancja formująca się w szarą siatkę. Drzwi uderzyły w nią i zaczęły się rozsuwać; tak zaprogramowano je na wypadek, gdyby natrafiły na jakąkolwiek przeszkodę.

[Proszę pani!]

Kobieta zatrzymała się i obróciła, najwyraźniej zmieszana. Rzuciła podejrzliwe

spojrzenia na wszystkie strony, próbując się zorientować, kto do niej przemówił. Aurę miała ciemnożółtą z pomarańczowymi błyskami wewnątrz. Ralph spojrzął jej wprost w oczy.

[Przykro mi, jeśli panią uraziłem. Wszystko to jest jeszcze nowe i dla mnie, i dla mojej przyjaciółki. Jesteśmy jak dzieci na bardzo uroczystej kolacji. Przepraszamy.]

[]

Nie wiedział, co kobieta pragnie mu przekazać - czuł się tak, jakby widział kogoś mówiącego za dźwiękoszczelną szklaną ścianą - odebrał jednak ulgę... i niepokój, jaki odczuwają ludzie, kiedy sądzą, że przyłapano ich na czymś, czego nie powinni robić. Pełen wątpliwości wzrok utkwiony był w jego twarzy jeszcze przez moment, a potem kobieta odwróciła się i poszła szybko w kierunku drzwi z napisem BADANIA NEUROLOGICZNE. Szara siatka rzucona przez Lois rozplywała się w powietrzu i gdy drzwi spróbowały się zamknąć po raz drugi, przeszły przez nią bez oporu. Winda zaczęła się powoli wznosić.

[Ralph... Ralph, ja chyba wiem, co przytrafiło się temu dziecku!]

Lois wyciągnęła otwartą dłoń w kierunku jego twarzy, kciukiem dotknęła lekko jednej kości policzkowej, palcem wskazującym drugiej. Zrobiła to tak szybko, z taką pewnością siebie, że nikt z trojga jadących windą ludzi nie zauważył jej gestu, a gdyby nawet zauważył, wzięłby go pewnie za kobiecy odruch

dobrej żony, czyszczącej policzki męża z resztek pianki do golenia albo kremu.

Ralph poczuł się tak, jakby ktoś przekręcił wyłącznik i uwolnił w jego głowie prąd o ogromnym napięciu: zapalały się w niej rzędy za rzędami pomarańczowych sodowych lamp. W ich jaskrawym, brutalnym blasku zobaczył ohydną scenę: ręce w otoczce gwałtownej, brązowioletowej aury wyrywają z kołyski dziecko, które widzieli przed chwilą, potrząsają nim, mała główka kołysze się na cienkiej łożyszce szyi niczym główka szmacianej lalki...

...rzucają...

Światła zgasły nagle. Ralph wydał z siebie drżące, głębokie westchnienie ulgi. Przypomniał sobie manifestację obrońców życia, którą oglądał w dzienniku zaledwie wczoraj wieczorem - mężczyźni i kobiety niosący zdjęcia Susan Day z podpisem POSZUKIWANA ZA MORDERSTWO, mężczyźni i kobiety przebrani za śmierci, mężczyźni i kobiety z transparentami ŻYCIE, CO ZA WSPANIAŁA ODMIANA! Ciekawe, czy chore dziecko nie miałoby przypadkiem innego zdania na temat tego twierdzenia. Lois patrzyła mu w oczy zdumionym, pełnym cierpienia wzrokiem. Mocno ujął jej dłonie.

[Ojciec mu to zrobił, prawda? Rzucił dzieckiem o ścianę?]

[Tak. Przeszkadzał mu jego bezustanny płacz.]

[Ona wie. Matka wie. I nikomu nic nie powiedziała!]

[Nie... ale może powie, Ralph. Zastanawia się, czy nie powiedzieć wszystkiego.]

[A być może poczeka, aż spróbuje po raz drugi. Tym razem może nawet mu się uda uciszyć dziecko definitywnie!]

Nagle, niczym meteor rozświetlający błyskiem nocne niebo, przez głowę przeleciała mu straszliwa myśl: czy nie lepiej byłoby dla dziecka, gdyby nie żyło? Jego wstążka była krótka jak patyczek, ale wyglądała zdrowo. Ten dzieciak może żyć lata, nie wiedząc, kim jest, gdzie jest, a przede wszystkim dlaczego jest, patrząc, jak ludzie pojawiają się i znikają niczym drzewa we mgle...

Lois stała zgarbiona, wpatrzona w podłogę windy. Promieniowała takim smutkiem, że Ralphowi ścisnęło się serce. Wyciągnął rękę, podłożył jej palec pod brodę. Patrzył, jak w miejscu, w którym stykały się ich aury, rozkwita błękitna róża. Kiedy uniósł głowę Lois, w jej oczach dostrzegł łzy.

- Nadal sądzisz, że to takie cudowne? - spytał i na to pytanie odpowiedzi nie usłyszał. Ani uszami, ani umysłem.

Na trzecim piętrze wysiedli tylko oni. Panowała tu cisza tak gęsta, jak warstwa kurzu pod bibliotecznymi półkami. W połowie korytarza stały dwie pielęgniarki; do obciążniętych białymi fartuchami piersi przyciskały sztywniki i rozmawiały ze sobą przyciszonym szeptem. Gdyby ktoś inny stał przy windzie, pomyślałby zapewne, że ich rozmowa dotyczy życia, śmierci i bohaterstwa w jej zwalczaniu, Ralphowi i Lois wystarczył jednak rzut oka na ich aury, by stwierdzić, że właśnie dyskutują, gdzie by tu pójść na drinka, gdy wreszcie skończy się ich zmiana.

Ralph dostrzegł to automatycznie jak ktoś pogrążony w myślach dostrzega uliczne światła i stosuje się do nich. W chwili gdy wraz z Lois wyszedł z windy w świat, w którym pisk przesuwających się po linoleum kapci pielęgniarek brzmiał niemal jak pisk aparatury do podtrzymywania życia, ogarnęło go wszechobecne, okrutne wrażenie déjà vu.

Sale parzyste po lewej, sale nieparzyste po prawej, pomyślał, a sala 317, w której umarła Carolyn, znajduje się tuż przy pokoju pielęgniarek. Tak, sala 317, pamiętam. Teraz, kiedy znów tu jestem, pamiętam wszystko. Pamiętam, że kartę choroby zawsze wkładano w tę ramkę w drzwiach do góry nogami. Pamiętam, jak w pogodne dni promienie słońca padały przez okno na łóżko, rysując na nim taki krzywy kwadrat. Pamiętam, jak siadało się na krześle dla odwiedzających i patrzyło na dyżurną pielęgniarkę, której obowiązkiem było obserwować monitory aparatury do podtrzymywania życia, przyjmować telefony i dzwonić po pizzę.

Nic się nie zmieniło. Nic się nie zmieniło. Znów był początek marca, ponury zmierzch

brzydkiego dnia, o jedyne okno sali 317 uderzał niesiony wiatrem śnieg z deszczem, a on siedział od rana na krześle dla odwiedzających z nie otwartym egzemplarzem „Narodzin i upadku III Rzeszy” Shirera. Nie wychodził nawet do toalety, w zegarze śmierci bowiem sprężyna rozwinęła się już prawie do końca, zegar śmierci tykał już nierówno, z wysiłkiem, każda przerwa między tyknięciami była długa jak samo życie, kobieta, z którą przeżył tyle lat, czekała na pociąg, który był tuż-tuż, a on chciał pomachać jej z peronu na pożegnanie. I miał tylko jedną szansę, by zrobić to dobrze.

Słyszał wtedy wyraźnie, jak zamieć na zewnątrz staje się coraz gwałtowniejsza, ponieważ aparaturę podtrzymującą funkcje organizmu wyłączono. On poddał się w ostatnim tygodniu lutego. Carolyn, która nie poddała się nigdy, przyjęcie klęski do wiadomości zabrało znacznie więcej czasu. A co oznacza w tym przypadku słowo klęska? Ano, że w ciężkim dziesięciorundowym pojedynku Carolyn Roberts z Rakiem wygrał Rak, mistrz nad mistrze wagi ciężkiej. Przez KO.

Siedział na krześle dla odwiedzających, patrzył i czekał, a Carolyn oddychała coraz głośniejsze. Ciężko wydychała powietrze z płaskiej, nieruchomej piersi, a w nim rosło przekonanie, że ten jej ostatni oddech rzeczywiście jest ostatni, że sprężyna zegara rozkręciła się już do końca, że pociąg zatrzymał się przy peronie po swego jedyne go pasażera. A potem następowało kolejne raptowne, głębokie westchnienie, znów nabierała w płuca nieprzyjemnego powietrza, nie oddychając już świadomie, tylko instynktownie prac przed siebie niczym pijak w ciemnym, długim korytarzu taniego hotelu.

Pac, pac, pac, pac - mokry śnieg stukał w okno niewidzialnymi paznokciami; kolejny obrzydliwy marcowy dzień przechodził w kolejny obrzydliwy marcowy wieczór, a Carolyn czekała już tylko druga połowa ostatniej rundy. Oczywiście, pracowała wyłącznie na autopilocie; mózg, istniejący niegdyś w tej pięknie ukształtowanej czaszce, przestał istnieć, jakby go nigdy nie było. Zastąpił go kretyński szaroczarny łobuz niezdolny myśleć i czuć, żrący tylko, żrący, żrący, aż wreszcie obżerający się na śmierć.

Pac, pac, pac, pac - i nagle dostrzegł, że tkwiąca jej w nosie końcówka aparatu do oddychania przekrzywiła się lekko. Począł, aż raptownie i z wielkim trudem zaczerpnie powietrza, a kiedy zrobiła wydech, pochylił się i poprawił tę małą plastikową końcówkę. Pamiętał, jak poczuł na palcach wilgoć wydzieliny, jak wytarł je papierową chusteczką ze stojącego przy łóżku stolika. Usiadł i czekał na kolejny oddech,- chciał się upewnić, że końcówka znów się nie przekrzywi, ale nie było już następnego oddechu. Uświadomił sobie też, że tykanie, które od poprzedniego lata zdawało się dobiegać go zewsząd, umilkło.

Pamiętał, jak mijały minuty... jedna, dwie, sześć... a on nadal czekał, niezdolny

uwierzyć, że wszystko dobre, co się im zdarzyło (nie wspominając już o kilku wypadkach niedobrego), skończyło się tak cicho, tak... nieznacznie. Stojące w kącie radio Carolyn, nastawione na lokalną stację, nadawało muzykę

lekką. Simon i Garfunkel skończyli śpiewać „Scarborough Fair”. Wayne Newton skończył śpiewać „Danke Schön”. Następna w kolejności była prognoza pogody. Zanim spiker skończył opowiadać, jak będzie wyglądał jego pierwszy pełny dzień wdowca, zanim skończył opowiadać o wszystkich tych przejaśnieniach i chłodniejszych wiatrach z północy, Ralph wreszcie zrozumiał, co się stało. Zegar przestał tykać, pociąg przyjechał, walka dobiegła końca. Metafory uleciały, została po nich wyłącznie kobieta w szpitalnej sali, wreszcie zupełnie cicha. Rozpłakał się. Płacząc, podszedł chwiejnie do radia i wyłączył je. Przypomniało mu się, jak pewnego lata chodzili na lekcje malowania palcami. Zakończyli je, malując palcami po swoich nagich ciałach - i na to wspomnienie rozpłakał się jeszcze bardziej. Stanął przy oknie, przyłożył czoło do zimnej szyby i płakał. W tej pierwszej strasznej minucie pragnął tylko jednego - umrzeć także. Pielęgniarka usłyszała jego płacz. Przyszła i sprawdziła puls Carolyn. Powiedział jej, żeby się przestała wygłupiać. Pielęgniarka podeszła wówczas do niego, przez chwilę sądził, że i jemu sprawdzi puls, ale ona objęła go tylko i...

[Ralph? Ralph, dobrze się czujesz?

Obejrzał się na Lois, już chciał powiedzieć, że owszem, znakomicie, ale przypomniał sobie, że kiedy byli w tym stanie, nie mógł ukryć przed nią niczego.

[Jestem smutny. Zbyt wiele tu wspomnień. Nie za bardzo przyjemnych^

[Rozumiem... ale patrz! Spójrz na podłogę!]

Spojrzał na podłogę i oczy mu się rozszerzyły. Pokrywały ją nakładające się na siebie kolorowe ślady, niektóre świeże, większość spłowiała i prawie niewidzialna. Dwa z nich wyróżniały się - i to bardzo wyraźnie - jaskrawe jak dwa diamenty wśród barwnych szkiełek, ciemnozielono-złote; płaśły w nich jeszcze małe czerwone iskierki.

[Czy zostawili je ci, których szukamy?

[Tak. Doktorkowie przybyli]

Wziął Lois za rękę - jej dłoń wydała mu się bardzo zimna - i powoli poprowadził w głąb korytarza.

Rozdział 7

Zaledwie zrobili parę kroków, gdy zdarzyło się coś bardzo dziwnego i raczej przerażającego. Na moment świat przed ich oczami pobiełał. Drzwi do sal chorych, zaledwie widoczne w tej bieli, powiększyły się do rozmiaru wrót ładunkowych w magazynach, korytarz wydłużył się i jednocześnie podwyższył. Ralphowi żołądek podjechał do gardła; znał to uczucie z dzieciństwa, kiedy to często jeździł na kolejce górskiej w Old Orchard Beach. Usłyszał jęk Lois, która w panice mocno ścisnęła mu dłoń.

Biel trwała zaledwie przez sekundę, a kiedy na świat powróciły kolory, wydawały się jaśniejsze, ściślej zdefiniowane, powróciła także normalna perspektywa, ale przedmioty sprawiały wrażenie... bardziej konkretnych. Aury wróciły również, wydawały się jednak bledsze i bardziej przezroczyste. Jednocześnie Ralph zdał sobie sprawę, że widzi każdą szczelinę i każdy otworek w udającej marmur terakocie na ścianach... a w chwilę później widział również rury, izolacje i przewody biegnące w ścianie. Nie musiał się przy tym „przestawiać” - wystarczyło, że spojrział.

o mój Boże, pomyślał. Czy to dzieje się naprawdę? Czy to w ogóle możliwe?

Dźwięki... były wszędzie: ciche dzwonki, odgłos splukiwania toalety, stłumiony śmiech. Takich dźwięków na co dzień nawet się nie zauważa, są zbyt zwyczajne - ale teraz okoliczności były niezwykle. Tak samo jak rzeczy, dźwięki również wydawały się mieć esencję niezwykle mocno oddziaływującą na zmysły.

i nie wszystkie były zwyczajne; z docierającej zewsząd

mieszanki wyraźnie wybijały się te niecodzienne. Ralph słyszał muchę, bzyczącą w rurach centralnego ogrzewania, i cichy odgłos jakby tarcia drewna drobnym papierem ściernym - to w toalecie pielęgniarka poprawiała sobie pończochy. Słyszał bicie serca, słyszał płynącą w żyłach krew, słyszał ciche fale oddechu, a każdy z dobiegających go dźwięków był doskonały i wyraźny sam w sobie i równie doskonale łączył się z innymi jakby w balet - Jezioro Łabędzie burczących żołądków, szumiących transformatorów, pracujących z siłą huraganu suszarek do włosów, szeptu kół szpitalnych wózków. Słyszał nawet telewizor grający w końcu korytarza, za pokojem pielęgniarek. Pan Thomas Wren z sali 340, chory na nerki, oglądał „Złych i pięknych” z Laną Turner i Kirkiem Douglasem. „Razem, dziecińco”, mówił właśnie Kirk, „przewrócimy to miasto do góry nogami”, a z aury jego słów Ralph odczytał, że w dniu, w którym kręcono tę właśnie scenę, Kirka Douglasa bolał ząb. I to nie

wszystko. Ralph wiedział, że zdolny jest sięgnąć

(wyżej? głębiej? szerzej?)

jeśli tylko zechce. Lecz jak najbardziej zdecydowanie nie chciał. Znalazł się w głębi Lasu Ardeńskiego, w którym zbyt łatwo było się zgubić.

Lub zostać pożartym przez tygrysy.

[Jezu! To kolejny poziom - to musi być kolejny, nowy poziom, Lois!]

[Wiem]

[I potrafisz to znieść?]

[Chyba tak, Ralph. A ty?]

[Jakoś sobie radzę... na razie. Lecz gdyby pojawiło się kolejne dno... nie wiem. Idziemy.]

Lecz nim ruszyli zielonozłotym śladem, z sali 313 wyszedł Bili McGovern, pogrążony w rozmowie z jakimś mężczyzną.

Lois obróciła ku Ralphowi przerażoną twarz.

[Nie! Nie. och, nie! Widzisz? Widzisz?]

Ralph mocniej zacisnął dłoń na jej dłoni. Widział, a jakże. Przyjaciela Billa otaczała śliwkowa aura, nie sprawiająca wprawdzie wrażenia szczególnie zdrowej, lecz nie sygnalizująca także żadnej niebezpiecznej choroby - wskazywała raczej na schorzenia chroniczne, być może reumatyzm albo piasek w nerkach. Wstążka balonowa w tym samym spłowiałym fiolecie kołysała mu się nieznacznie nad głową niczym przewód oddechowy nurka na lekkim prądzie.

Ale aura McGoverna była całkowicie czarna, a to, co pozostało ze wstążki, sterczało z niej sztywno. U dziecka wstążka była krótka, lecz zdrowa, u Billa przypominała gnijącą pozostałość po brutalnej amputacji. Przed oczami Ralpha na moment pojawił się obraz tak wyraźny, że należało go w istocie nazwać halucynacją; zobaczył, jak gałki oczne Billa najpierw wychodzą, a potem wręcz wypadają z orbit, wypchnięte z nich potokiem czarnych robali. Musiał zamknąć oczy, żeby nie krzyknąć, a kiedy je otworzył, Lois nie było już przy jego boku.

McGovern szedł z przyjacielem w kierunku pokoju pielęgniarek, chcąc prawdopodobnie skorzystać ze znajdującego się tam kranu z wodą do picia. Lois ścigała ich truchtem, pierś poruszała się jej ciężko, a w aurze błyszczały różowe iskierki jak neonowe przecinki. Ralph ruszył za nią. Nie wiedział, co się może stać, jeśli uda się jej zwrócić na siebie uwagę McGoverna, i doprawdy wolał nie wiedzieć. Ale miał wrażenie, że jednak się dowie.

[Lois, Lois, nie rób tego!]

Lois zignorowała go.

[Bili, zatrzymaj się! Musisz mnie wysłuchać! Coś jest z tobą nie tak!]

McGovern nie słyszał jej krzyku. Opowiadał właśnie o rękopisie książki Polhursta „Tego lata, nieco później”. „Najlepsza cholerna książka o Wojnie Domowej, jaką kiedykolwiek czytałem”, tłumaczył mężczyźnie o śliwkowej aurze, „ale kiedy zaproponowałem mu, żeby ją opublikował, powiedział, że to absolutnie wykluczone. Uwierzyłyś w to? Pewna kandydatka do nagrody Pulitzera, a on...”

[Wracaj, Lois! Nie zbliżaj się do niego!]

[Bili. Bili, Bili!]

Dotknęła ramienia McGoverna, nim Ralph zdołał ją dogonić. Ralph widział, jak jej palce zanurzają się w otaczającym Billa mroku... a następnie znikają w jego ciele.

Aura Lois zmieniała się natychmiast: zamiast szaroniebieskiej z różowymi iskierkami stała się jaskrawoczerwona jak wóz straży pożarnej. Przeszywały ją spiczaste wybłyski czerni niby chmury drobnych ruchliwych robaczków. Lois krzyknęła, cofając rękę z przerażeniem i obrzydzeniem jednocześnie.

Podniosła dłoń do oczu i krzyknęła raz jeszcze, choć Ralph nie zauważył na niej nic szczególnego. Wąskie paski czerni wirowały teraz na brzegach jej aury; przypominały mu orbity planet na mapie Układu Słonecznego.

Odwróciła się, uciekła. Ralph złapał ją za ramiona, a ona zaczęła go bić pięściami.

Tymczasem McGovern i jego przyjaciel, nieświadomi obecności przerażonej, krzyczącej i szarpiącej się niespełna trzy metry od nich kobiety, szli powoli korytarzem. „Kiedy spytałem Boba, dlaczego nie chce opublikować książki”, mówił dalej Bili, „to stwierdził, że spośród wszystkich ludzi na świecie ja najlepiej powinienem zrozumieć jego motyw. Ja mu na to, że...”

Krzyk Lois zagłuszył jego słowa niczym huk pioruna.

/

[]

[Przestań, Lois. Natychmiast przestań. Cokolwiek się stało, to już koniec! Skończyło się, nic ci nie jest!]

Ale Lois tylko dalej szarpała mu się w ramionach, nadal krzyczała mu wprost w mózg, próbując opowiedzieć, jakie to było straszne, jak Bob gnije, jak to coś w środku go pożera, pożera go żywcem i że to straszne, ale wcale nie najgorsze, bo to coś jest świadome, jest złe i wie, że ona tam była!

[Lois, jesteś ze mną! Jesteś ze mną i - wszystko...]

Wymachująca na ślepo mała pięść trafiła go w brodę i Ralphowi gwiazdy zatańczyły przed oczami. Zrozumiał, że choć przekroczyli granice rzeczywistości, w której możliwy był prawdziwy, fizyczny kontakt - ■ czyż nie widział, jak dłoń Lois przeniknęła ciało Billa McGoverna jak ręka ducha? - dla siebie nawzajem nadal byli całkiem realni, czego dowodziła jego obolała szczęka.

Objął Lois i przytulił mocno, unieruchamiając jej pięści i przyciskając je do swej piersi. Jej krzyki

[!!

[

nadal jednak rozsadzały mu głowę. Złączył więc dłonie między jej łopatkami i nacisnął mocno. Poczul, jak moc wybucha z niego - podobnie jak rano - tylko tym razem uczucie było zupełnie inne. Błękitne światło przeszło niespokojną czerwono-czarną aurę, łagodząc ją. Lois powoli przestawała się szarpać, głęboko wciągała powietrze. Ponad nią i wokół niej unosiła się chmura blednącego błękitu. Czarne pasma znikły z jej aury jedno po drugim, a zaraz potem zaczęła blednąć ta niepokojąca, chora czerwień.

Lois położyła mu głowę na ramieniu.

[Przepraszam. Chyba znowu strzeliłam Jak atomówka.]

[Rzeczywiście. Nic nie szkodzi. Już wszystko dobrze. To najważniejsze.]

[Gdybyś tylko wiedział, jakie to było straszne, tak go dotknąŁ.]

[Poradziłaś z tym sobie bardzo dobrze.]

Lois spojrzała w głąb korytarza. Przyjaciel McGoverna pił właśnie wodę. Bili stał obok niego, oparty o ścianę i opowiadał, jak Wielki & Wspaniały Bob Polhurst zawsze rozwiązywał krzyżówki niedzielnego *New York Timesa* długopisem. „Twierdził, że to nie pycha tylko optymizm”, mówił McGovern, a czarna otoczka wirowała wokół niego, pulsując w rytm wypowiedzianych słów, wpływała mu do ust i wypływała z nich, przeciekała przez palce gestykulujących, wymownych dłoni.

[Nie możemy mu pomóc, co, Ralph? Nie możemy zrobić nic, zupełnie nic, prawda?]

Ralph przytulił ją krótko, mocno. Aura Lois całkowicie wróciła do normy.

McGovern z przyjacielem szedł korytarzem w ich kierunku. Wiedziony kaprysem, nie myśląc, Ralph uwolnił się z objęć Lois i stanął dokładnie na drodze pana Śliwkowego, który wysłuchując narzekań Billa na starość, kiwał głową, kiedy należało.

[Ralph, nie!]

[Nie martw się, wszystko będzie dobrze.]

Lecz naraz nie był już tak pewien tego, że wszystko będzie dobrze. Gdyby została jeszcze choćby sekunda, cofnąłby się, nim jednak zdążył ustąpić z drogi panu Śliwkowemu, ten spojrział mu wprost w twarz i przeszedł przez niego. Uczucie, które towarzyszyło Ralphowi przy jego przejściu, było znajome - charakterystyczne klucie, jak gdy krew znów zaczyna krążyć w zdętwiałej ręce czy nodze. Na moment ich aury się zmieszały i nagle Ralph wiedział już o nieznanym wszystkim, ale to wszystko - łącznie z tym, o czym śnił on w łonie matki.

Pan Śliwkowy stanął jak wryty.

- Co ci się stało? - zainteresował się McGovern.

- Nie, nic, ale... słyszałeś może taki trask... fajerwerk albo wystrzał z gaźnika samochodu?

- Nie, nie słyszałem, ale mój słuch nie jest już taki jak kiedyś. - Bili McGovern zachichotał. - Jeśli gdzieś rzeczywiście strzeliło, to mam nadzieję, że nie w laboratorium radiologicznym.

- Już nic nie słyszę. Pewnie mi się wydawało.

Weszli obaj do pokoju Boba Polhursta.

Pani Perrine powiedziała, że brzmi to niczym huk strzału, pomyślał Ralph. Przyjaciółce Lois wydawało się, że ma na skórze jakiegoś owada i że chyba ją ugryzł. To pewnie indywidualna różnica, taka jak różnice interpretacji między dwoma pianistami. Tak czy inaczej, ludzie nas wyczuwają. Nie wiedzą, co właściwie czują, ale z pewnością nas wyczuwają.

Lois wzięła go za rękę i poprowadziła do sali 313. Stali w korytarzu patrząc, jak McGovern sadowi się na plastikowym krzeselku w nogach łóżka. W sali znajdowało się przynajmniej osiem osób, które zasłaniały Ralphowi widok, dostrzegł jednak, że choć Bob Polhurst tkwił głęboko w otoczce śmierci, jego wstążka pozostała nie naruszona. Obrzydliwa niczym zardzewiała rura wydechowa, popękana i obłaząca, wstążka Polhursta pozostała nie naruszona.

Ralph obrócił się ku Lois.

[Być może będą zmuszeni czekać dłużej, niż sądzą.]

Lois skinęła głową, wskazując palcem zielonozłote ślady. Mijały salę 313 i skręcały w następne drzwi-drzwi do pokoju Jimmy'ego V. Podeszli do nich i zajrzeli do sali 315.

Jimmy V. miał trzech gości, lecz ten, który siedział przy łóżku i przyglądał się kartkom z życzeniami leżącym na stoliku w dwóch kupkach - Faye Chapin - był pewien, że jest samotny. Pozostali dwaj to byli mali łysi doktorkowie, których Ralph widział już na

progu domu May Locher. Obaj stali w nogach łóżka Jimmy'ego i wyglądali dostojnie w śnieżnobiałych tunikach. Teraz, kiedy znalazł się wreszcie blisko nich, Ralph zorientował się, jak wiele charakteru mają ich gładkie i niemal identyczne twarze. Tyle że czegoś takiego nie można dostrzec przez lornetkę... Być może nie można dostrzec, nie wznosząc się nieco na drabinie postrzegania. Charakter wyzierał głównie z ich oczu, ciemnych, pozbawionych źrenic; oczu, w których lśniły plamki złota, błyszczących inteligencją i żywą świadomością. Aury otaczały ich uroczystym blaskiem niczym cesarskie szaty...

...albo płaszcze centurionów podczas oficjalnej wizyty w obcym państwie.

Obaj przyglądali się Ralphowi i Lois, którzy stali w drzwiach i trzymali się za ręce niczym zgubione w lesie dzieci z bajki. Przyglądali się im z uśmiechem.

[Dzień dobry, kobieto.] - przemówił doktorek nr 1. W prawej ręce trzymał nożyce, których ostrza wydawały się bardzo długie, czubki bardzo ostre. Doktorek nr 2 zrobił krok w ich kierunku i skłonił się im śmiesznie, dostojnie.

[Dzień dobry, mężczyzno. Czekaliśmy na was.]

Ralph czuł, jak sztywnieje tkwiąca w jego dłoni dłoń... i jak rozluźnia się, gdy Lois dochodzi do wniosku, że nie ma żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa.

Lois zrobiła krok naprzód. Przyjrzała się najpierw pierwszemu doktorkowi, potem drugiemu.

[Kim jesteście?]

Doktorek nr 1 skrzyżował ręce na wąskiej piersi. Nożyce leżały teraz na jego lewym, białym odzianym ramieniu, równie długie jak samo ramię.

[Nie mamy imion, przynajmniej w tym sensie, w jakim używają imion Krótkoterminowi, lecz możecie nas nazywać imionami parok z tej historii, którą opowiedział ci już mężczyzna. To, że uważano je za kobiety, nie ma wielkiego znaczenia - jesteśmy stworzeniami bez seksualnego wymiaru. Ja będę Kloto, choć nie przędę, a mój kolega i stary przyjaciel będzie Lachesis, choć nie nawija nici i nigdy jeszcze nie rzucił monetą. Wejdźcie oboje... proszę^

Weszli na salę. Stanęli niepewnie między krzesłem dla odwiedzających a łóżkiem. Ralph nie sądził, by doktorkowie mieli wyrządzić im krzywdę, przynajmniej na razie, ale mimo to nie chciał się do nich niepotrzebnie zbliżyć. Ich aury, jaskrawe i wspaniałe w porównaniu z aurami ludzi, wyjątkowo go onieśmiały. Szeroko otwarte oczy Lois i jej lekko rozchylone usta świadczyły, że odniosła podobne wrażenie. Musiała wyczuć, że na nią patrzy, obróciła się bowiem do niego, próbowała uśmiechnąć. Moja Lois, pomyślał Ralph, objął ją i przytulił.

Lachesis: *[Podaliśmy wam nasze imiona... w każdym razie imiona, których możecie użyć. Czy nie podacie nam waszych imion?]*

Lois: *[Chcecie powiedzieć, że jeszcze ich nie znacie? Wybaczcie, ale trudno mi w to uwierzyć!]*

Lachesis: *[Moglibyśmy je poznać, ale świadomie z tego zrezygnowaliśmy. Wolimy stosować się do zasad grzeczności obowiązujących Krótkoterminowych, jeśli to możliwe. Uważamy je za urocze, ponieważ wasz rodzaj przekazuje je z pokolenia na pokolenie, tworząc iluzję długowieczności.]*

[Nie rozumiem.]

Ralph także nie zrozumiał słów doktora i wcale nie był pewien, czy chce je zrozumieć. W głosie tego łysego stworzenia, które kazało się nazywać Lachesisem, wyłowił ton lekkiego poczucia wyższości, jak u McGovern, gdy miał ochotę wygłosić kazanie lub napomnieć go z góry.

Lachesis: *[Nie ma to najmniejszego znaczenia. Byliśmy pewni, że nadejdziecie. Wiemy, że obserwowałeś nas w poniedziałkowy rano, mężczyzno, gdy odwiedziliśmy dom]*

W tym momencie w mowie Lacheśsa pojawiła się przedziwna ambiwalencja. Wydawało się, że mówi on jednocześnie dwie różne rzeczy, a obie składają się w jedną - niczym wąż, który gryzie własny ogon:

[May Locher] [umarła kobieta]

Lois zrobiła krok naprzód.

[Nazywam się Lois Chasse. Ralph Roberts jest moim przyjacielem. A teraz, kiedy już się sobie przedstawiliśmy, może nam powiecie, o co tu właściwie chodzi...]

Lachesis: *[Jeszcze jednego trzeba by nazwać...]*

Kloto: *[Ralph Roberts już go nazwał.]*

Lois spojrzała na Ralpa, który tylko kiwał głową.

[Mówicie o doktorze numer trzy? Prawda, panowie?]

Kloto i Lachesis skinęli głowami. Na twarzach mieli podobne przytakujące uśmiechy. Zdaniem Ralpa miały to być uśmiechy przypochlebne, tylko że wcale przypochlebne nie były. Ralph nieczuł się pochlebiony, był tylko przestraszony... i bardzo zagniewany. Manipulowano nimi, sterowano każdym ich krokiem. Nie znaleźli się tu przypadkiem, bynajmniej - od samego początku spotkanie to było przygotowywane. Kloto i Lachesis, dwaj mali łysi doktorowie, rządzący czasem, czekający przy łożu śmierci Jimmy'ego V. na dwójkę Krótkoterminowych, ho, ho!

Zerknął na Faye'a, który właśnie wyjął z tylnej kieszeni spodni książeczkę pod

tytułem „50 klasycznych problemów szachowych”, usiadł i zabrał się do lektury, dłużej przy tym w nosie. Po kilku mizernych próbach udało mu się wsunąć palec bardzo głęboko i wyciągnąć doprawdy imponujące wykopalisko. Przyjrzał mu się, a potem wtarł go w blat szpitalnego stołu, od spodu. Ralph, zmieszany, odwrócił głowę. Przypomniało mu się powiedzenie babci: „Kto podgląda bliźniego, widzi siebie samego”. Musiał dożyć siedemdziesiątki, żeby je wreszcie zrozumieć. Tymczasem zastanowiła go jeszcze jedna kwestia.

[Dlaczego Faye nas nie widzi? Dlaczego nie widział nas Bili i jego przyjaciel? I jak udało mu się po prostu przeze mnie przejść? A może mi się to tylko wydawało?]

Kloto uśmiechnął się.

[Nie, nic ci się nie wydawało. Spróbuj pomyśleć o życiu jako swego rodzaju budynku - nazwij go drapaczem chmur.]

Tylko że Kloto nie ma wcale na myśli drapacza chmur, uświadomił sobie Ralph. Na krótką chwilę stanął mu przed oczami obraz przekazany przez umysł. Fascynujący i niepokojący zarazem: wysoka wieża z ciemnego, omszałego kamienia, na polu czerwonych róż. Wąskie okna w jej murach wznoszą się do góry spiralą...

Obraz znikł.

[Ty, Lois i inne stworzenia krótkoterminowe żyjecie na dwóch pierwszych poziomach tej budowli. Są, oczywiście, windy...]

Nie, pomyślał Ralph, nie w wieży, której obraz widziałem, mój ty niewysoki przyjacielu. W tym gmachu - oczywiście jeśli coś takiego w ogóle istnieje - nie ma wind, lecz wyłącznie wąskie schody obwieszane pajęczynami i drzwi prowadzące Bóg wie dokąd.

Lachesis przyglądał mu się z natężoną, pełną podejrzliwości ciekawością i Ralphowi wcale nie podobało się to spojrzenie. Gestem poprosił Klota, by mówił dalej.

Kloto: *[Jak powiedziałem, są windy, ale w normalnej sytuacji Krótkoterminowym nie wolno ich używać. Nie jesteście*

[gotowi] [zdolni] []

Ostatnie określenie było bez wątpienia najlepsze, pojawiło się jednak w jego umyśle niczym błysk i znikło, nim zdążył je rozszyfrować. Spojrzał na Lois, która tylko przecząco pokręciła głową, po czym znów skupił uwagę na Klocie i Lachesisie. Był wściekły jak jeszcze nigdy. Długie, nie kończące się noce, które przesiedział w fotelu, czekając na świt; dni, podczas których czuł się jak duch skrępowany więzami własnego ciała; niemożność zapamiętania prostego zdania, jeśli się go nie przeczyta trzy razy; wyszukiwanie w notesie numerów telefonów, które niegdyś pamiętał bez problemu...

I wreszcie wspomnienie sumujące i jednocześnie całkowicie usprawiedliwiające gniew, jaki wzbudziły w nim łyse stworzenia o ciemnozłotych oczach i niemal oślepiających aurach. Zobaczył samego siebie, jak zagląda do szafki nad kuchennym zlewem, szukając zupki w proszku, która - według jego z mordowanego, przemęczonego mózgu - musiała gdzieś tam być. Widział siebie, jak maca w szafce, przerywa i znów maca. Widział wyraz swej twarzy, wyraz łagodnego namysłu, który jakże łatwo pomylić z niegroźnym debilizmem, lecz który jest jedynie dowodem straszliwego zmęczenia. Widział, jak opuszcza ręce, staje i stoi nieruchomo, jakby się spodziewał, że torebka zupki sama wskoczy mu w ręce.

Dopiero teraz ten widok i to wspomnienie uświadomiły mu, jak straszne było te kilka ostatnich miesięcy. Kiedy je teraz oglądał oczami wyobraźni, przypominały mu pustynię pomalowaną w upiorne brązy i szarości.

[Więc zabraliście nas do windy... A może winda jest za dobra dla takich jak my, i musieliśmy się wspinać schodami przeciwpożarowymi? Mam wrażenie, że od czasu do czasu przystawaliśmy, żeby się zaaklimatyzować i nie oszaleć kompletnie, co?

*i chyba przyszło wam to dość łatwo. Wystarczyło tylko odebrać nam sen i czekać, aż niemal od tego zwariujemy. Syn i synowa Lois chcieli wsadzić ją do zoo dla staruszków, wiecie? Mój przyjaciel Bill McGovern już widzi mnie w najbliższym szpitalu dla umysłowych, a tymczasem wy, mali aniołkowie.. *

Kloto uśmiechnął się, lecz był to tylko cień poprzedniego szerokiego uśmiechu.

[Nie jesteśmy aniołami, Ralph.]

*[Ralph, proszę, nie krzycz na nich! *

Tak, rzeczywiście krzyczał i coś z tego jego krzyku musiało dotrzeć do Faye'a, bo zamknął książeczkę problemów szachowych, przestał dłubać w nosie i siedział wyprostowany, z niepokojem rozglądając się po sali.

Ralph spojrzął na Klota (który cofnął się o krok pod tym spojrzeniem, na jego ustach zaś nie pozostał nawet cień poprzedniego uśmiechu), a potem na Lachesisa.

[Twój przyjaciel mówi, że nie jesteście aniołami. Więc gdzie są anioły? Grają w pokera parę pięter wyżej? Bóg pewnie ma apartament na dachu, a diabeł pali w kotłowni, co?

Żadnej odpowiedzi. Kloto i Lachesis patrzyli sobie w oczy z powątpiewaniem. Lois ciągnęła go za rękaw, ale zignorował

ją[A jakie jest nasze zadanie, panowie? Mamy wyśledzić tę małą

*łysą wersję Hannibala Lectera i odebrać mu skalpel? No, to pieprzcie się! *

Po tych słowach Ralph obróciłby się na pięcie i wyszedł (obejrzał wiele filmów i potrafił rozpoznać naprawdę dobrą kwestię, kiedy ją usłyszał), gdyby Lois, przestraszona, nie zalała się nagle łzami. To go powstrzymało, a jej pełne zdumionego wyrzutu spojrzenie kazało mu nawet pożałować tego wybuchu... przynajmniej troszeczkę. Objął ją, przytulił i wyzywająco spojrzał na dwóch małych łysych doktorków.

Doktorkowie jeszcze raz popatrzyli na siebie... i najwyraźniej porozumieli się między sobą - o poziom wyżej jednak, niż sięgały zdolności Ralpha i Lois. Lachesis odwrócił się ku nim z uśmiechem, w oczach miał jednak powagę.

[Słyszę twój gniew, Ralph, lecz nie jest on usprawiedliwiony. Nie wierzysz w to teraz, lecz może uwierzysz później. Na razie jednak musimy odłożyć na bok zarówno twoje pytania, jak i te nasze odpowiedzi, których możemy udzielić.]

[Dlaczego?]

[Ponieważ dla tego człowieka nadszedł czas przecięcia. Patrz i uważaj, a może nauczysz się czegoś i coś zrozumiesz.]

Kloto stanął po lewej stronie łóżka, Lachesis przeszedł na prawą, po drodze przenikając przez Faye'a Chapina. Faye pochylił się nagle, rozkasłał, a kiedy kaszel minął, wyprostował się i wrócił do problemów szachowych.

[Ralph, nie mogę na to patrzeć. Nie mogę patrzeć, jak mu to robią!]

Lecz Ralph miał wrażenie, że Lois będzie patrzeć. Miał wrażenie, że oboje będą patrzeć. Przytulił ją tylko mocniej. Kloto i Lachesis pochylili się nad Jimmym V.

Łagodne twarze małych łysych doktorków pełne były miłości i troski; przypomniały Ralphowi twarze ludzi z jakiegoś obrazu Rembrandta... nazywał się chyba „Straż nocna”. Ich aury zmieszały się i przeniknęły nad piersią Jimmy'ego i nagle spoczywający na łożu śmierci mężczyzna otworzył oczy. Przez moment, poprzez dwójkę łysych doktorków wpatrywał się w sufit - na twarzy miał wyraz niepewności i zdumienia - a potem spojrzał na drzwi i uśmiechnął się.

- Hej, zobaczcie, kto tu jest! - ucieszył się Jimmy V. Głos miał słaby, schrypnięty, lecz Ralph rozpoznał znajomy akcent, miękki akcent cwaniaka z południowego Bostonu. Faye aż podskoczył na krześle, książeczka z problemami szachowymi spadła mu z kolan na podłogę. Pochylił się i wziął Jimmy'ego

za rękę, ale Jimmy zignorował go, tylko dalej patrzył przez pokój na Ralpha i Lois. - Ralph Roberts! A z nim żoneczka Paula Chasse'a! buchaj, Ralphie, pamiętasz dzień, kiedy próbowaliśmy dostać się do tego namiotu i posłuchać, jak śpiewają „Radujmy się łaską”?

[Pamiętam, Jimmy.]

Jimmy chyba się uśmiechnął, po czym zamknął oczy. Lachesis ujął go dłońmi za policzki i lekko obrócił mu głowę, niczym fryzjer szykujący się do ogolenia klienta. W tej samej chwili Kloto pochylił się jeszcze głębiej, otworzył nożyce i ich długie ostrza objęły czarną wstążkę. Kiedy je zamykał, Lachesis pocałował umierającego w czoło.

[Odejdź w pokoju, przyjacielu.]

Rozległo się ciche, błahe „klik”. Odcięta część wstążki uniosła się pod sufit i znikła. Czarna powłoka Jimmy’ego rozjaśniła się na moment przebłyskiem bieli, a potem znikła również - dokładnie tak, jak nieco wcześniej otoczka Rosalie. Jimmy jeszcze raz otworzył oczy i spojrzał na Faye’a. Ralph miał wrażenie, że zaczyna się uśmiechać... lecz oczy mu znieruchomiały, zapatrzone w dal, a dołeczki w kącikach ust wygładziły się.

- Jimmy? - Faye potrząsnął go za ramię; wyciągniętą ręką dotknął boku Lachesisa. - Jimmy, co... o, cholera! - Wstał i wypadł z pokoju, prawie biegł.

Kloto: *[Czy widzicie i rozumiecie, że to, co robimy, robimy z miłością i szacunkiem? Że w rzeczywistości jesteśmy lekarzami przypadków beznadziejnych? W naszych wzajemnych stosunkach, Ralphie i Lois, najważniejsze jest, żebyście to zrozumieli]*

[Rozumiemy]

[Rozumiemy]

Ralph nie miał wprawdzie zamiaru godzić się z niczym, co mu powiedzą mali łysi doktorkowie, lecz to stwierdzenie - lekarze przypadków beznadziejnych - czysto i bez wysiłku przebiło zasłonę jego gniewu. Brzmiało... prawdziwie. Jimmy V. wyzwolony został przez nich od świata, w którym istniał już wyłącznie ból. Tak, niewątpliwie w pewne marcowe popołudnie, gdy za oknem padał mokry śnieg, obaj stali obok niego w sali 317 i udzielili Carolyn podobnego wyzwolenia. I niewątpliwie obaj wykonywali swą pracę z miłością i szacunkiem. Wszelkie wątpliwości w tej sprawie rozwiązał złożony na czole Jimmy’ego pocałunek lachesisa. Lecz czy miłość i szacunek dały im prawo do tego, żeby ich wpędzać - jego

i Lois - w piekło, a potem zmuszać do ścigania nadnaturalnej istoty, której się pomieszało w głowie? Czy dawało im prawo do choćby zakładania, że dwójka zwykłych, niemłodych już ludzi poradzi sobie z kimś takim?

Lachesis: *[Chodźmy stąd. Wkrótce będzie tu pełno ludzi, a my musimy porozmawiać.]*

[Czy mamy wybór?]

Ich odpowiedzi

[Alei oczywiście!] [Zawsze jest wybór!]

nadbiegły błyskawicznie, pełne barw zdziwienia.

Kloto i Lachesis podeszli do drzwi. Ralph i Lois odsunęli się, robiąc im miejsce. Aury małych łysych doktorków musnęły ich jednak przelotnie i Ralph odczuł ich smak i dotyk: smak słodkich jabłek, dotyk niby muśnięcie lekkiej, suchej kory.

Kiedy doktorkowie wychodzili ramię w ramię, pogrążeni w poważnej rozmowie, na salę wrócił Faye w towarzystwie dwóch pielęgniarek. Cała trójka przeszła najpierw przez Lachesisa i Klota, potem przez Ralpa i Lois, nie zwalniając nawet i najwyraźniej nie zauważając nic szczególnego.

Na oddziale życie toczyło się jak zwykle, powoli i statecznie. Nie dzwoniły brzęczyki, nie błyskały kolorowe światełka, pielęgniarze nie biegli korytarzem i nie popychali przed sobą wózków z aparaturą. Nikt nie krzyczał przez głośniki: „Pilne!” Śmierć gościła tu zbyt często, by budzić panikę. Ralph miał wrażenie, że choć nikt nie witał jej jak z dawna oczekiwanego gościa, znano ją tu jednak i akceptowano. Przypuszczał także, że Jimmy V. byłby całkiem zadowolony ze sposobu, w jaki pożegnał się z oddziałem intensywnej opieki medycznej na trzecim piętrze szpitala w Derry. Odszedł bez zbędnego zamieszania, bez krzyku, nie musiał okazywać nikomu ani prawa jazdy, ani karty ubezpieczeniowej. Odszedł z godnością, tak często cechującą to, co oczywiste i oczekiwane. Chwila czy kilka chwil świadomości, której towarzyszyło nieco szersze spojrzenie na otaczający świat, a potem - pyk! Zabierz me radości i troski, i odleć, ptaszku, pa, pa!

Do doktorków dołączyli na korytarzu, przed salą, w której leżał Bob Polhurst. Przez otwarte drzwi widzieli ludzi, czuwających przy łożu śmierci starego nauczyciela.

Lois: *[Najbliżej łóżka stoi Bili McGovern, nasz przyjaciel. Coś jest z nim nie w porządku. Chyba z nim bardzo źle. Czy jeśli zrobimy, czego chcecie, to...]*

Lachesis i Kloto z przekonaniem potrząsali głowami.

Kloto: *[Niczego nie można zmienić.]*

Tak, pomyślał Ralph. Dorrance o tym wiedział: „Co się stało, to się nie odstanie”.

Lois: *[Kiedy to nastąpi?]*

Kloto: *[Wasz przyjaciel należy do tego innego, tego trzeciego. Tego, którego Ralph ochrzcił imieniem Atropos. Ale Atropos, tak jak my, nie potrafiłby podać wam godziny jego śmierci. Nie wie nawet, kto będzie następny. Atropos jest czynnikiem Przypadku.]*

Na dźwięk tego słowa Ralph poczuł chłód w sercu.

Lachesis: *[Ale tu nie powinniśmy rozmawiać. Chodźmy.]*

Wziął za rękę Klota, drugą wyciągnął do Ralpa. W tej samej chwili Kloto wyciągnął wolną dłoń do Lois. Zawahała się, zerknęła na Ralpa, on zaś spojrzał poważnie na Lachesisa.

[Nie waż się jej skrzywdzić!]

[Nikogo nie spotka krzywda. Weź mnie za rękę.]

Jestem niczym obcy w raj, pomyślał Ralph, z sykiem wypuścił powietrze z płuc przez zaciśnięte zęby, skinął głową w kierunku Lois i złapał dłoń Lachesisa. I znów zalało go uczucie rozpoznania, wielkie i przyjemne, jak gdy się spotka starego, cenionego przyjaciela. Jabłka i kora - wspomnienie sadu, w którym spacerował jako dziecko. Choć nie widział własnej aury, był jednak świadomy, że zmieniła kolor i - przynajmniej chwilowo - nabrała zielonozłotej barwy aur doktorków.

Lois chwyciła rękę Klota. Westchnęła krótko, radośnie i na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

Kloto: [Zamknijcie krąg, Ralphie, Lois. Nie bójcie się. Wszystko jest dobrze]

Ojejku, jak tu się zgodzić z tym twierdzeniem, pomyślał Ralph, lecz kiedy Lois podała mu dłoń, chwycił ją. Do smaku jabłek i dotyku suchej, lekkiej kory dołączył mroczny zapach nie znanej mu przyprawy. Wciągnął go głęboko w płuca i uśmiechnął się do Lois. Odpowiedziała mu uśmiechem - nie było w nim wahania - a on trochę się zmieszał. Jak można się w ogóle bać? Jak można w ogóle się wahać, kiedy ich dar wydaje się taki dobry, taki... właściwy.

Podzielam twe uczucia, ale waham się mimo to, usłyszał jeszcze.

[Ralph? Ralph!]

W tym głosie brzmiał niepokój i... oszołomienie. Ralph rozejrzał się wokół w sam czas, by dostrzec, jak górna framuga drzwi do sali 315 mija go opadając w dół... tylko że to nie drzwi opadały, lecz Lois... oni wszyscy... ulatywali w górę, nadal trzymając się za ręce.

Zaledwie to pojął, przed oczami dostrzegł ciemność ostrą jak brzytwa i tak głęboką jak cień rzucany przez deseczkę żaluzji. Przez moment widział płataninę cienkich rur, otoczonych grubą różową izolacją, prawdopodobnie część szpitalnego systemu kanalizacyjnego, a potem długi, wykładany kafelkami korytarz. Po kafelkach jechał szpitalny wózek, celując wprost w jego głowę, a jego głowa, z czego nagle, zdumiony, zdał sobie sprawę, niczym peryskop łodzi podwodnej wyłoniła się z podłogi czwartego piętra.

Usłyszał krzyk Lois, jej dłoń zacisnęła się na jego dłoni. Instynktownie zamknął oczy, czekając, aż wózek roztrzaska mu czaszkę.

Kloto: [Spokojnie! Proszę, uspokójcie się! Pamiętajcie, że to, co widzicie, istnieje na poziomie rzeczywistości różnym od tego, na którym wy się teraz znajdujecie!]

Ralph otworzył oczy. Wózek znikł, choć nadal słychać było dźwięk jego oddalających się kółek; dobiegał już zza jego pleców. Musiał go po prostu przeniknąć! Cała ich czwórka

lewitowała teraz korytarzem oddziału pediatrycznego: postaci z bajek tańczyły i ścigały się po ścianach, a na wielkie okna jasnej, pogodnej świetlicy nalepione były wizerunki bohaterów disneyowskiego Aladyna i Małej Syrenki. Doktor i pielęgniarka zmierzali w ich kierunku, dyskutując jakiś przypadek.

- ...na co wydają się wskazywać ostatnie badania, ale musimy być co najmniej w dziewięćdziesięciu procentach pewni, że...

Lekarz przeszedł przez Ralpa, który nagle wiedział, że znów pali on w ukryciu po pięciu latach przerwy i ma z tego powodu cholerne wyrzuty sumienia, po czym znikł. Ralph spojrzął w dół w sam czas, by dostrzec, jak jego własne stopy powoli wyłaniają się z pokrytej kafelkami podłogi. Z nieśmiałym uśmiechem obrócił się ku Lois.

[Lepsze to niż winda, prawda?]

Lois skinęła głową. Nadal zaciskała dłoń na jego dłoni.

Przelecieli przez piąte piętro, wyłonili się w pokoju lekarzy na szóstym (byli tam dwaj doktorzy - tym razem pełnowymiarowi - jeden oglądał powtórkę starego „F Troop”, drugi chrapał na obrzydliwej kanapie w stylu „Nowoczesna szwedzka”) i nagle znaleźli się na dachu.

Noc była czysta, bezksiężycowa, wspaniała. Na niebie niezwykle jasno, wręcz ekstrawagancko mgłą światła błyszczały gwiazdy. Wiał wiatr. Ralph przypomniał sobie, co powiedziała pani Perrine: babie lato skończyło się i lepiej niech uwierzy jej słowom. Słyszał ten wiatr, lecz nie czuł go, choć miał wrażenie, że mógłby poczuć, gdyby tylko zechciał, gdyby tylko skoncentrował się we właściwy sposób...

Ledwie pojawiła się ta myśl, wyczuł, jak w jego ciele coś zmienia się błyskawicznie, lecz nieznacznie; przypominało mu to mrugnięcie i nagle wiatr zwał mu włosy z czoła, a nogawki spodni zaczęły powiewać wokół łydek. Zadrżał. Krzyż pani Perrine miał rację - pogoda się zmieniła. Kolejne wewnętrzne mrugnięcie i powiew wiatru znikł. Spojrzął na Lachesisa.

[Mogę już puścić twoją rękę?]

Lachesis skinął głową i rozluźnił uścisk na jego dłoni, Kloto także zwolnił dłoń Lois. Ralph spojrzął ponad miastem na zachód. Zobaczył pulsujące niebieskie światła lotniskowego pasa, za którymi rozciągała się siatka blasku lamp sodowych - Capet-Green, osiedle mieszkaniowe w budowie po drugiej stronie Pustkowi. Gdzieś tam, wśród latarni po wschodniej stronie lotniska, leżała Harris Avenue.

[Jakie to piękne, prawda, Ralph?]

Skinął głową. Istotnie, warto było przeżyć wszystko, co przeżył od chwili, gdy zaczęła się jego bezsenność, by stanąć tu i tak oglądać miasto. Warto było przeżyć to wszystko i

jeszcze więcej. Nie chciał się jednak dać zwieść temu wrażeniu.

Obrócił się ku doktorce.

[Doskonale, czekam na wyjaśnienia. Kim jesteście, kim jest on i czego od nas chcecie?]

Dwaj mali łysi doktorcy stali między wentylatorami klimatyzacji, tłoczącymi w noc brązowo-fioletowe wachlarze rozgrzanego powietrza. Spojrzeli na siebie raczej nerwowo. Lachesis prawie niezauważalnie skinął głową na Klota, który zrobił krok w przód i zerknął najpierw na Lois, potem na Ralpa, jakby zbierał myśli.

[Doskonale. Najpierw musicie zrozumieć, że to, co się dzieje, jakkolwiek nieoczekiwane i przygnębiające, nie jest bynajmniej nienaturalne. Ja i mój przyjaciel robimy to, do czego zostaliśmy stworzeni, Atropos robi to, do czego został stworzony, a wy, moi

Krótkoterminowi przyjaciele, zrobicie to, do czego zostaliście stworzeni]

Ralph uśmiechnął się do niego oślepiającym, gorzkim uśmiechem.

[/ tak oto pożegnaliśmy się chyba z wolnością wyboru, prawda?]

Lachesis: *[Nie wolno wam myśleć w ten sposób! Po prostu to, co nazywacie wolnością wyboru, jest częścią tego, co my nazywamy „ka” - wielkiego koła życia]*

Lois: *[Widzimy jak przez ciemne szkło... to masz na myśli?]*

Kloto uśmiechnął się prawie młodzieńczo.

[To chyba Biblia. Bardzo dobre określenie.]

Ralph: *[A także bardzo użyteczne dla takich facetów jak wy. Dobra, tę sprawę możemy na razie zostawić w spokoju. Mamy jednak inne powiedzenie, nie pochodzące wprawdzie z Biblii, ale mimo to bardzo dobre: „Nie owijać w bawełnę”. Spodziewam się, że potraficie je zapamiętać.]*

Miał jednak wrażenie, że prosi o zbyt wiele.

Kloto zaczął mówić i mówił długo, Ralph nie miał jednak pojęcia jak długo, ponieważ na tym poziomie czas biegł inaczej - wydawał się w jakiś sposób skurczony. Czasami nie używał nawet słów; zastępowały je wyraźne, czytelne obrazy jak na dzieciennych rebusach-układankach. Być może była to telepatia, zjawisko doprawdy zdumiewające, lecz teraz wydawała się Ralphowi czymś równie naturalnym jak oddychanie.

A czasami nie było w jego przemowie ani słów, ani obrazów. Zastępowały je zagadkowe przerwy

t] - w procesie porozumiewania, lecz nawet i wtedy Ralph przeważnie rozumiał, co Kloto próbuje mu przekazać. Miał też wrażenie, że Lois pojmuje, co kryło się za tymi przerwami, lepiej niż on sam.

[Po pierwsze wiedźcie, że na tym poziomie egzystencji, na którym życia wasze, nasze i

życia

[]

się nakładają, istnieją tylko cztery stałe. Te cztery stałe to Życie, Śmierć, Cel i Przypadek. Wszystkie te słowa mają dla was pewne znaczenie, lecz teraz nieco inaczej pojmujecie już Życie i Śmierć, prawda?]

Lois i Ralph z wahaniem skinęli głowami.

[Lachesis i ja jesteśmy czynnikami Śmierci. Czyni nas to postaciami dla większości Krótkoterminowych przerażającymi. Nawet ci, którzy udają, że akceptują zarówno nas, jak i pełnione przez nas funkcje, na ogół się boją. Na obrazach bywamy przedstawiani jako straszne szkielety albo postaci w płaszczach z kapturami zakrywającymi twarze.]

Kloto złożył maleńkie dłonie na piersiach i zadrżał. Komizm tego występu wywołał nawet na wargach Ralpha lekki uśmiech.

[Lecz nie jesteśmy wyłącznie czynnikami Śmierci, Ralphie i Lois - jesteśmy także agentami Celu. A teraz słuchajcie uważnie, bowiem nie możemy pozwolić sobie na nieporozumienia. Wśród waszego rodzaju są tacy, którzy wierzą, że wszystko dzieje się zgodnie z jakimś scenariuszem, i tacy, którzy uważają, że wszystkim rządzi szczęście i przypadek. Prawda jest jednak taka, że życie jest zarówno przypadkowe, jak i celowe, choć nie w równych proporcjach. Życie jest jak]

Tu Kloto wyciągnął ręce i złączył dłonie, formując krąg, trochę jak dziecko próbujące pokazać kształt ziemi. Wewnątrz tego kręgu Ralph dostrzegł jaskrawy i wymowny obraz: tysiące (a być może i miliony) kart rozłożonych w tęczę iskrzącą się kierami, pikami, treflami i karami. Wśród nich były także dzokery - nie tyle, by dało się z nich złożyć osobny kolor, ale więcej niż w normalnej talii - a wszystkie one uśmiechały się zimno, każdy miał też na głowie panamę z obgryzionym rondem.

I każdy trzymał w dłoni zardzewiały skalpel.

Ralph spojrział na Klota szeroko rozwartymi oczami. Kloto skinął głową.

[Tak. Nie wiem, co dokładnie widziałeś, ale wiem, że widziałeś to, co próbowałem przekazać. Lois? A ty?]

Lois, która bardzo lubiła grać w karty, przytaknęła słabo.

[Atropos jest dzokerem w talii - to próbowałeś powiedzieć.]

[Jest czynnikiem Przypadku. My, Lachesis i ja, służymy tej drugiej sile, tej, której dziełem jest większość zdarzeń zarówno w życiu jednostek, jak i w szerszym strumieniu życia. Na waszym piętrze gmachu, Ralphie i Lois, wszystkie stworzenia są stworzeniami krótkoterminowymi, czyli mającymi przed sobą określony czas. Nie oznacza to oczywiście, że

dziecko wyskakuje z łona matki z tabliczką na szyi głoszącą PRZECIĄĆ WSTĄŻKĘ ZA 84 LATA, U MIESIĘCY, 9 DNI, 6 GODZIN, 4 MINUTY I 21 SEKUND. Sama taka myśl jest śmieszna. A jednak jego

czas jest zazwyczaj ustalony i - co oboje widzieliście - oprócz wielu innych funkcji, aura także spełnia rolę zegara.]

Lois poruszyła się niespokojnie i gdy Ralph odwracał się ku niej, dostrzegł coś zdumiewającego: nad ich głowami niebo bladło. Przypuszczał, że musi być około piątej. Przyjechali do szpitala około dziewiętej wieczór we wtorek, a tu zupełnie nagle była już środa, szósty października. Słyszał oczywiście o „biegnącym czasie”, ale to było wręcz groteskowe!

Lois: *[Zajmujecie się więc tym, co nazywamy naturalną śmiercią, prawda?]*

W jej aurze pojawiły się zmieszane, niekompletne obrazy. Mężczyzna (zdaniem Ralpa, nieodżałowanej pamięci pan Chasse) leżący pod namiotem tlenowym. Jimmy V. po raz ostatni otwierający oczy, by spojrzeć na Ralpa i Lois w chwili, gdy Kloto przecinał jego wstążkę. Strona nekrologów z lokalnych *News* upstrzona fotografiami, w większości formatu znaczka pocztowego, obrazującymi tygodniowy plon zebrany ze szpitali i domów starców.

Kloto i Lachesis jednocześnie pokręcili głowami.

Lachesis: *[Tak naprawdę nie ma niczego takiego jak naturalna śmierć. Nasza praca to śmierć celowa. Zbieramy starych i chorych, ale nie tylko starych i chorych. Na przykład zaledwie wczoraj zabraliśmy młodego mężczyznę. Miał dwadzieścia osiem lat, był cieślą. Dwa krótkoterminowe tygodnie temu spadł z rusztowania. Pęknięcie czaszki. Przez te dwa tygodnie jego aura wyglądała tak]*

Ralph zobaczył niewyraźny obraz wzburzonej aury, podobnej do aury otaczającej dziecko w windzie.

Kloto: *[W końcu przyszła zmiana - zmiana aury. Wiedzieliśmy, że przyjdzie, ale nie wiedzieliśmy, kiedy przyjdzie. Kiedy przyszła, pojawiliśmy się u niego i odesłaliśmy go.]*

[Odesłaliście dokąd?]

Zadając to pytanie, Lois niemal przypadkowo wdała się w delikatne zagadnienie życia po życiu. Ralph zacisnął swój mentalny pas bezpieczeństwa z niejaką nadzieją, że zapadnie ta szczególnie cisza, ale nie, nakładające się na siebie odpowiedzi dwóch małych doktorków pojawiły się i obie okazały się jasne i czytelne.

Kloto: *[Wszędzie.]*

Lachesis: *[Do innych światów niż ten.]*

Ralph poczuł ulgę... i rozczarowanie.

[Brzmi to bardzo poetycko, ale moim zdaniem oznacza - poprawcie mnie, jeśli się mylę - że życie po życiu jest dla was taką samą tajemnicą jak dla nas.]

Lachesis, jakby nieco sztywno: *[Przy innej okazji znajdziemy może czas, by to sobie przedyskutować, ale nie teraz. Zauważyliście bez wątpienia, że na tym poziomie gmachu czas biegnie znacznie szybciej.]*

Ralph rozejrzał się dookoła. Zrobiło się jeszcze jaśniej.

[Przepraszam]

Kloto, z uśmiechem: *[Ależ nie, bardzo radują nas wasze pytania. Są takie odświeżające. Ciekawość istnieje w całym kontinuum, nigdzie jednak nie w takiej ilości jak tu. To, co nazywasz życiem po życiu”, nie ma jednak swego miejsca wśród czterech stałych: Życia, Śmierci, Celu i Przypadku, które teraz nas interesują.*

Niemal każda służąca Celowi śmierć zbliża się w identyczny i doskonale nam znany sposób. Aury tych, którzy umrą śmiercią celową, wraz ze zbliżaniem się czasu ich końca szarzeją; szarość stopniowo ciemnieje do czerni. Zostajemy wezwani, gdy aura

[]

i przybywamy właśnie tak, jak to się stało tego wieczoru. Uwalniamy od cierpień cierpiących, uwalniamy od strachu przerażonych, dajemy odpoczynek tym, którzy nie mogli znaleźć odpoczynku. Większość celowych śmierci jest spodziewana, nawet oczekiwana, ale nie wszystkie. Czasami zostajemy wezwani po mężczyzn, kobiety i dzieci, które wydają się stuprocentowo zdrowe... lecz ich aury zmieniają się nagle i nadchodzi dla nich czas końca.]

Ralph przypomniał sobie młodego człowieka w podkoszulku Celtów, którego widział wczoraj po południu wchodzącego do „Jabluszka”. Młody człowiek był prawdziwym okazem siły i zdrowia... oczywiście gdyby nie lśniąca tłusto wokół niego czarna aura. Już otwierał usta, by o nim wspomnieć (a może i spytać, co z nim), lecz rozmyślił się w ostatniej chwili. Słońce stało im już nad głowami i nagle ogarnęła go przedziwna pewność, że on i Lois stali się przedmiotem lubieżnych plotek w mieście Starych Pierników.

Ktoś ich dzisiaj widział?... Nie? Myślicie, że uciekli?... Żeby się pobrać?... Nie, nie w ich wieku, ale pewnie gdzieś się zaszyli... No, nie wiadomo, czy naszemu Ralphiemu zmartwychwstanie, ale mnie tam ona zawsze wydawała się ostra... Aha, chodzi, jakby dokładnie wiedziała, co się z tym robi.

Przed oczami pojawił mu się obraz przerdzewiałego staruszka oldsa, który czeka cierpliwie za jednym z obrosniętych bluszczem bungalowów motelu „Derry Cabins”, podczas gdy w środku rytmicznie i lubieżnie pojękują sprężyny łóżka, i Ralph uśmiechnął się. Nic nie mógł na to poradzić. W chwilę później przyszło mu do głowy, że być może przekazuje ten

obraz w swej aurze, i z trzaskiem wywalił go z wyobraźni. Tylko... czy Lois nie przygląda mu się przypadkiem z namysłem i sporą dozą rozbawienia?

Jak najszybciej z powrotem skupił uwagę na słowach Klota.

[Atropos służy Przypadkowi. Nie wszystkie śmierci, które Krótkoterminowi nazywają bezsensownymi, zbędnymi, tragicznymi, są jego dziełem, ale większość tak. Kiedy kilkunastu starszych ludzi ginie w pożarze w domu starców, można być niemal pewnym, że Atropos odwiedził ten dom, zbierając pamiątki i przecinając wstążki. Kiedy dziecko umiera w kołysce, na pozór bez najmniejszego powodu, powodem najczęściej jest Atropos i jego zardzewiały skalpel. Kiedy pies - tak, nawet pies, bo w krótkoterminowym świecie losy wszystkich niemal żywych stworzeń wyznacza albo Przypadek, albo Cel - zostaje przejechany, bo kierowca wybrał sobie zły moment, by spojrzeć na zegarek...]

Lois: *[Czy to właśnie zdarzyło się Rosalie?]*

Kloto: *[To Atropos zdarzył się Rosalie. Przyjaciel Ralphi, Joe Wyzer, był tylko tym, co nazywamy „okolicznością dopełniającą”]*

Lachesis: *[/ Atropos właśnie przydarzył się waszemu przyjacielowi, nieodżałowanej pamięci panu McGovernowi]*

Lois wyglądała dokładnie tak, jak Ralph się czuł - sprawiała wrażenie smutnej, ale nie zaskoczonej. Było już późne popołudnie, być może aż osiemnaście krótkoterminowych godzin minęło od chwili, gdy po raz ostatni widzieli Billa, a Ralph doskonale zdawał sobie sprawę, że ma on przed sobą bardzo niewiele czasu - nawet licząc ten czas od ostatniej nocy. Lois, która niechętnie włożyła w niego rękę, chyba nawet lepiej zdawała sobie z tego sprawę.

Ralph: *[Kiedy to się stało?]*

Lachesis: *[Niedawno. Kiedy wychodził ze szpitala. Przykro mi z powodu waszej straty i przepraszam za to, że przekazaliśmy wam tę wiadomość w tak niezręczny sposób. Rozmawiamy z Krótkoterminowymi tak rzadko, że zapomnieliśmy, jak to się robi. Nie chcieliśmy was zranić, Ralphi. Lois]*

Lois powiedziała, że wszystko w porządku i że rozumie, ale po policzkach spływały jej łzy; Ralphowi także łzy paliły oczy.

Sam fakt, że Bili odejdzie, że dorwał go ten mały sukinsyn w brudnym fartuchu, był niemal nie do pojęcia. A więc Bili już nigdy nie podniesie kpiąco krzaczastej brwi? Już nigdy nie ponarzeka, jak okropnie jest być starym? Niemożliwe. Nie do wiary.

Gwałtownie zwrócił się do Klota.

[Pokaż nam!]

Zaskoczony Kloto zaczął się jękać.

[Ja... nie sądzę...]

Ralph: *[My, Krótkoterminowe dupki, mawiamy, że zobaczyć znaczy uwierzyć. Nigdy tego nie słyszeliście?]*

Nieoczekiwanie zabrała głos Lois.

[Tak, pokażcie nam. Ale tylko tyle, żebyśmy mogli upewnić się i zaakceptować to, co się stanie. Spróbujcie sprawić, żebyśmy się nie czuli gorzej, niż się czujemy.]

Kloto i Lachesis wymienili spojrzenia, po czym jakby wzruszyli ramionami, właściwie wcale nimi nie poruszając. Lachesis gwałtownym gestem wznosił dwa pierwsze palce prawej ręki - wystrzelił z nich niebieskozielony wachlarz światła niczym pawi ogon. W tym świetle Ralph ujrzał mały, lecz wręcz niesamowicie szczegółowy obraz korytarza oddziału intensywnej terapii* Pojawiła się w nim pielęgniarka pchająca przed sobą wózek - i znikła. Na samej granicy obrazu jakby się nawet... wygięła!

Mimo okoliczności Lois sprawiała wrażenie zachwyconej.

[To jak oglądać film w bańce mydlanej!]

McGovern i pan Śliwkowy wyszli z pokoju Boba Polhursta. Bili miał na sobie starą bluzę z emblematem szkoły średniej w Derry, jego towarzysz zapinał kurtkę; najwyraźniej obaj odłożyli czuwanie przy łożu śmierci na następną noc. McGovern szedł powoli, nie nadążając za Śliwkowym. Ralph doskonale widział, że jego sąsiad i przyjaciel wygląda źle.

Poczuł, jak Lois kładzie mu rękę na ramieniu i mocno zaciska palce.

W połowie drogi do windy McGovern przystanął ciężko, oparł się ręką o ścianę i opuścił głowę. Wyglądał jak kompletnie wyczerpany biegacz na mecie maratonu. Przez chwilę pan Śliwkowy szedł jeszcze przed siebie, Ralph widział, jak poruszają mu się usta, i pomyślał: nie zdaje sobie sprawy, że mówi w powietrze... jeszcze nie.

I nagle nie chciał już niczego oglądać.

Wewnątrz niebieskozielonego wachlarza McGovern przyłożył dłoń do piersi, drugą zaś zaczął masować sobie gardło, jakby sprawdzał, czy nie urosło mu wole. Ralph nie był całkiem pewny, ale miał wrażenie, że w jego oczach widzi przerażenie. Przypomniawszy sobie grymas nienawiści na twarzy doktora nr 3, gdy pojął, że Krótkoterminowy ośmielił się wtrącić między niego a jakiegoś bezpańskiego kundla. Co mu wtedy powiedział doktor?

Upierdolę cię, Krótki. Upierdolę cię na amen! I upierdolę też twoich przyjaciół! Rozumiesz?

Straszne podejrzenie, właściwie nawet pewność, zaświtało mu w głowie, gdy patrzył, jak Bili McGovern osuwa się na podłogę.

Lois: *[Przestańcie... proszę, przestańcie!]*

Schowwała mu głowę na piersi. Kloto i Lachesis spojrzeli na siebie niepewnie. Ralph nagle zdał sobie sprawę, że nie są już dla niego istotami wszechmocnymi i wszechwiedzącymi. Być może byli istotami nadnaturalnymi, ale nie dorastali do pięt Davidowi Copperfieldowi. Miał także wrażenie, że faceci z kryształowymi kulami w dobrym stanie nie mieli w swym repertuarze takich min.

Poruszają się po omacku, jak my wszyscy, pomyślał i poczuł, niechętną co prawda, lecz jednak sympatię dla panów K. i L.

Niebieskozielony wachlarz światła, unoszący się w powietrzu przed Lachesisem - i widoczny w nim obraz - nagle znikły.

Głos Klota brzmiał raczej niepewnie: *[Pamiętajcie, Ralphie i Lois, że to wy chcieliście na to patrzeć^*

Ralph zaledwie go słuchał. Podejrzanie rozwijało mu się w głowie niczym wywoływana właśnie fotografia, na którą patrzy się chcąc nie chcąc. Myślał o kapeluszu Billa... chuście Rosalie... i zaginionych diamentowych kolczykach Lois.

Upierdolę twoich przyjaciół, Krótki - pojmujesz? Mam nadzieję, że pojmujesz. Naprawdę mam nadzieję!

Spojrzał na Klota i na Lachesisa... Już wcale nie czuł dla nich sympatii. Zastąpił ją pulsujący gniew. Lachesis twierdził, że nie ma czegoś takiego jak przypadkowa śmierć, co z pewnością dotyczy także miało McGoverna. Bez wątplenia jednak Atropos zabrał McGoverna przy pierwszej okazji tylko z jednego prostego powodu: chciał zranić Ralpha, ukarać go za mieszanie się w nie swoje sprawy, w... jak to określił Dorrance?... sprawy Długoterminowych.

Stary Dor też mu radził, żeby się w ich sprawy nie mieszał. Rada niewątpliwie dobra, lecz przecież Ralph nie miał wyboru, bo to ci dwaj kurduple wmieszali się w jego sprawy! To oni, w pełnym znaczeniu tego słowa, zabili Billa McGoverna.

Kloto i Lachesis uświadomili sobie jego gniew i zrobili krok wstecz, choć chyba nie poruszyli przy tym stopami. Niepewność na ich twarzach była wyraźniejsza niż kiedykolwiek.

[To wy dwaj spowodowaliście śmierć Billa McGoverna! Taka jest prawda, nie zaprzeczycie!]

Kloto: *[Proszę, gdybyś tylko pozwolił nam skończyć!]* Lois patrzyła na Ralpha, niespokojna i przestraszona. *[Ralph, co się stało? Dlaczego jesteś taki zły?] [Nie rozumiesz? Ta ich gierka kosztowała Billa McGoverna życie! Jesteśmy tutaj dlatego, że Atropos zrobił już coś, co nie podoba się tym facetom, albo wkrótce..]*

Lachesis: *[Przedwcześnie wyciągasz wnioski, Ralph...]* *[...jest tylko jeden drobny*

problem: on wie, że go widzimy! Atropos wie, że go widzimy!] Strach rozszerzył oczy Lois.
Strach i zrozumienie.

Rozdział 8

Mała biała dłoń spadła na ramię Ralpha i spoczęła na nim jak obłoczek dymu.

[Proszę, gdybyś tylko pozwolił nam wyjaśnić...]

Poczuł zmianę... jakby mrugnięcie... jeszcze nim w pełni zdał sobie sprawę, że jej sobie zażyczył. Znów czuł wiatr, tnący z ciemności niczym ostrze noża; drżał. Dotyk Klota był tylko ledwie wyczuwalną wibracją pod powierzchnią skóry. Nadal widział pozostałą trójkę, lecz wyłącznie jako blade fantomy, duchy.

Zstąpiłem w dół. Nie na sam dół, nie tam, skąd zaczęliśmy wspinaczkę, ale co najmniej na poziom, na którym oni nie mają ze mną prawie żadnego fizycznego kontaktu. Aura, wstążka... tak, jestem pewien, że do nich mają dostęp, ale moja fizyczna część, żyjąca prawdziwym życiem w krótkoterminowym świecie... bez żartów, panowie!

Głos Lois, daleki jak cichnące echo: *[Ralph! Zrobisz sobie krzywdę!]*

Spojrzał na upiorne postaci Klota i Lachesisa. Klo to i Lachesis nie sprawiali już wrażenia niepewnych czy może trochę winnych - byli najzwyczajniej w świecie przerażeni. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości, choć nie widział wyraźnie ich zamazanych twarzy.

Kloto, cichym i dalekim, lecz słyszalnym głosem: *[Wróć, Ralph! Proszę, wróć!]*

- Wrócę, jeśli skończycie te wasze gierki i zaczniecie szczerze z nami rozmawiać.

Lachesis, blednący, znikający: *[Tak! Tak!]*

Ralph wywołał w sobie owo wewnętrzne mrugnięcie. Cała trójka znów się przed nim pojawiła, a równocześnie puste

przestrzenie świata wypełniły kolory i czas przyśpieszył biegu - widział księżyc toczący się z nieba niczym kropla rtęci po pochyłym blacie. Lois zarzuciła mu ręce na szyję. Przez chwilę Ralph nie był pewien, czy go tuli, czy może ma zamiar udusić.

[Dzięki Bogu! Już myślałam, że mnie zostawisz!]

Ralph pocałował ją i na moment głowę wypełniła mu mieszanka rozkosznych wrażeń: smak świeżego miodu, dotyk miękkiej wyczesanej wełny, zapach jabłek. Pomyślał:

(Jak by to było kochać się z nią)

i natychmiast wygnał z głowy tę myśl. Przez kilka następnych

(minut? godzin? dni?)

będzie musiał mówić - a także myśleć - z wielką ostrożnością i podobne skojarzenia z

pewnością tylko mu to utrudnią. Odwrócił się do małych łysych doktorków, zmierzył ich spojrzeniem.

[Mam nadzieję, że dotrzymacie słowa. Bo jeśli nie, lepiej uznać ten idiotyczny wyścig za niebyły i niech każde z nas idzie swoją drogą.]

Tym razem Kloto i Lachesis zrezygnowali z wymiany spojrzeń, tylko obaj energicznie skinęli głowami. Lachesis przemówił - takim tonem, jakby się bronił. Ralph podejrzewał, że ci dwaj faceci, choć z gruntu sympatyczniejsi niż Atropos, tak jak Atropos nie byli przyzwyczajeni do odpowiadania na pytania ani żeby ich przyciskać do muru, jak by powiedziała jego matka.

[Ralphie i Lois, wszystko co wam powiedzieliśmy, to szczerą prawdą. Istotnie, nawet nie wspomnieliśmy o możliwości, iż Atropos rozumie sytuację lepiej, niż byśmy pragnęli, ale...]

Ralph: *[A co, jeśli odmówimy dalszego wysłuchiwanie tych nonsensów? Jeśli po prostu odwrócimy się i odejdziemy?]*

Doktorkowie nie odpowiedzieli na to pytanie, ale w ich oczach dostrzegł coś, co odebrało mu ochotę do stawiania okoniem: wiedzieli, że Atropos ma kolczyki Lois i wiedzieli, że on wie. Jedynie Lois nie zdawała sobie z tego sprawy... a przynajmniej taką miał nadzieję.

Lois ciągnęła go właśnie za ramię.

[Nie rób tego, Ralph, proszę. Powinniśmy ich wysłuchać!]

Ralph skinął przyzwalająco ręką. Niech mówią.

Lachesis: *[W zwykłych okolicznościach nie wtrącamy się do tego, co robi Atropos, a on nie wtrąca się do nas. Nie mogliśmy mu w niczym przeszkodzić, nawet gdybyśmy chcieli, Cel i Przypadek są jak białe i czarne pola szachownicy, definiujące się*

nawzajem przez przeciwieństwo. Atropos pragnie jednak wtrącać się w to, jak działają rzeczy - wtrącanie się jest naprawdę tym, do czego został stworzony - i od czasu do czasu, bardzo rzadko, zdarza mu się po temu wyjątkowa okazja. Niemal nigdy nie podejmuje się wysiłków w celu powstrzymania go...]

Kloto: *[Prawda, Ralphie i Lois, jest w rzeczywistości nieco bardziej brutalna: za naszych czasów nigdy nie podjęto wysiłków, żeby mu przeszkodzić lub go powstrzymać.]*

Lachesis: *[...chyba że sytuacja jest wyjątkowo delikatna i ważą się bardzo poważne sprawy. Mamy właśnie do czynienia z taką sytuacją. Atropos obciął wstążkę życia, której nie powinien był w ogóle dotykać. Spowoduje to straszliwe zamieszanie na wszystkich poziomach, nie mówiąc już o poważnym zachwianiu równowagi między Celem i Przypadkiem - chyba że uda się nam naprawić sytuację. My nie możemy działać, sprawy przekroczyły granice naszych*

możliwości. Nie widzimy już jasno, więc tym bardziej nie mamy możliwości działania. W tym wypadku niezdolność widzenia nie ma jednak większego znaczenia, bowiem w końcu wyłącznie Krótkoterminowi zdolni są przeciwstawić się woli Atroposa. Dlatego właśnie wy się tu znaleźliście.]

Ralph: *[Chcecie powiedzieć, że Atropos przeciął wstążkę należącą do kogoś, kto miał umrzeć śmiercią naturalną... czy też celową?]*

Kloto: *[Niezupełnie. Niektóre życia - bardzo ich niewiele - nie mają jasno określonego przeznaczenia. Kiedy ingeruje w nie Atropos, niemal zawsze pojawiają się kłopoty. Wtedy, jak wy chyba mówicie nie obowiązują żadne zasady". Te nie oznaczone życia są jak...]*

Kloto rozłożył ręce, między którymi znów pojawił się obraz kart. Niewidzialna ręka odwróciła szybko siedem z nich: asa, dwójkę, dzokera, trójkę, siódemkę i damę. Ostatnia odwrócona karta była czysta.

Kloto: *[Czy ten obraz coś wam mówi?]*

Ralph zmarszczył brwi. Nie był pewien, czy ten obraz coś mu powiedział. Gdzieś tam żył ktoś, kto nie był ani zwykłą kartą, ani dzokerem. Ktoś nie oznaczony, ktoś do wzięcia. Atropos przeciął mu metaforyczny przewód tlenowy i coś z góry (lub ktoś z góry) przerwał mecz, wziął czas.

Lois: *[Mówimy o Edzie, prawda?]*

Ralph obrócił się na pięcie. Spojrzał na nią ostro, Lois jednak zadała to pytanie Lachesisowi.

[Ed Deepneau jest czystą kartą?]

Lachesis kiwał głową.

[Skąd wiedziałas, Lois?]

[A kto inny mógłby to być?]

Nie śmiała się z niego, niezupełnie, Ralph wyczuwał w niej jednak cień uśmiechu. Obrócił się z powrotem ku doktorkom.

[Doskonale, przynajmniej do czegoś wreszcie dochodzimy. No więc, który to z trenerów wziął czas? Nie sędzę, by chodziło

o was, panowie - odnoszę wrażenie, że przynajmniej w tej sprawie wy tylko sprzątacie.]

Doktorkowie pochylili się i zaczęli coś do siebie szeptać. Ralph dostrzegł jednak słabą żółtawą linię wyglądającą jak szew. Przebiegała w miejscu, gdzie stykały się ich aury, i już wiedział, że się nie myli. W końcu Kloto i Lachesis skończyli naradę.

Lachesis: *[To, co powiedziałas, jest w zasadzie prawdą. Potrafisz umieszczać sprawy*

we właściwej perspektywie, Ralph. Od wieków nie prowadziliśmy takiej rozmowy...]

Kloto: [Ja nic podobnego nie pamiętam.]

Ralph: [Wystarczy tylko, żebyście powiedzieli prawdę, panowie]

Lachesis, błagalnie, jak dziecko: [Mówiliśmy prawdę!]

Ralph: [Całą prawdę.]

■ *Lachesis: [Zgoda, całą prawdę. Tak, Atropos przeciął wstążkę Edd Deepneau. Wiemy o tym nie dlatego, że to widzieliśmy - jak już wspomniałem, nasza zdolność widzenia się skończyła - lecz dlatego, że to jedyne logiczne wyjaśnienie.- Deepneau nie miał przeznaczenia, nie należał ani do Celu, ani do Przypadku - to wiemy na pewno - i jego wstążka musiała być szczególnie ważna, skoro powstało aż takie zamieszanie, aż taki niepokój. Sam fakt, że żyje tak długo po jej przecięciu, dowodzi, iż jest kimś potężnym i istotnym. Przecinając jego wstążkę, Atropos dał początek straszliwej lawinie zdarzeń]*

Lois zadrżała i przytuliła się do Ralpa.

Lachesis: [Powiedziałeś, że my tylko sprzątamy. Nawet nie podejrzewasz, ile miałeś racji. W tym wypadku jesteśmy zaledwie zwykłymi posłańcami. Naszym zadaniem było uświadomić tobie

i Lois, co się zdarzyło i czego się po was oczekuje, i zadanie to już prawie wykonaliśmy. Jeśli zaś chodzi o to, kto „wziął czas”, nie możemy odpowiedzieć wam na to pytanie, bo po prostu sami nie wiemy.]

[Nie wierzę wam.]

Lecz sam zdał sobie sprawę z braku przekonania w swym głosie (jeśli w tym wypadku w ogóle można mówić o głosie).

Kloto: [Nie bądź głupi, oczywiście, że wierzysz! Czy oczekujesz, że dyrektor wielkiej fabryki samochodów zaprosi na zebranie rady nadzorczej zwykłego robotnika, by mu wyjaśnić decyzje wynikające z polityki firmy? Albo wytłumaczyć, dlaczego zamknięto ten zakład, a inny pracuje nadal?]

Lachesis: [Nasze stanowiska są nieco wyższe niż stanowisko robotnika pracującego przy taśmie, ale ciągle jesteśmy tylko - jak byś powiedział - zwykłymi robotnikami. Ni mniej, ni więcej.]

Kloto: [Musisz się zadowolić następującym wyjaśnieniem: ponad Krótkoterminowymi poziomami istnienia i Długoterminowymi poziomami istnienia, z których pochodzimy Lachesis, Atropos i ja, są kolejne poziomy. Zamieszkują je istoty, które moglibyśmy nazwać Pełnoterminowymi, istoty wieczne albo prawie tak wieczne, że rozróżnienie to nie jest ważne. Krótkoterminowi i Długoterminowi żyją w przenikających się sferach - czy też, jeśli wolisz, na

połączonych poziomach gmachu - rządzeni Celem i Przypadkiem. Ponad tymi poziomami, niedostępne dla nas, lecz będące częścią tej samej wieży istnienia, żyją inne istoty. Niektóre z nich są cudowne i wspaniałe, inne wstrętne ponad naszą zdolność pojmowania, nie wspominając już o waszej. Można je nazwać Wyższym Celem i Wyższym Przypadkiem... a może powyżej pewnego poziomu nie ma już Przypadku - podejrzewamy, że jest właśnie tak, ale wiedzieć na pewno nie możemy. Wiemy jednak, że ktoś z tych wyższych poziomów zainteresował się Edem i że ktoś inny z góry wykonał swój ruch. Tym ruchem jesteście wy, Ralphie i Lois.]

Lois spjrzała na Ralpha z rozpaczą, lecz on prawie nie zauważył jej spojrzenia. Myśl, że ktoś porusza nimi jak pionkami po szachownicy w ukochanym Turnieju Pasa nr 3 Faye'a Chapina - myśl, która w innych okolicznościach doprowadziłaby go do szału - na razie wcale nim nie wstrząsnęła. Wspominał tę noc, kiedy zadzwonił do niego Ed ze słowami: „Wpływasz na głębokie wody, a w ich nurcie pływają stwory, których nie potrafisz sobie nawet wyobrazić”.

Innymi słowy - istoty.

Stworzenia zbyt straszne, by mogli je sobie wyobrazić - zdaniem pana K., a pan K. śmiercią zarabiał na życie.

„Na razie jeszcze cię tak naprawdę nie zauważyli”, powiedział mu tej nocy Ed, „ale jeśli nadal będziesz się do mnie wtrącał, zauważą. A tego z pewnością byś nie chciał. Uwierz mi, tego z pewnością byś nie chciał”.

Lois: *[A w ogóle to jak się wam udało wynieść nas na ten poziom? Przez bezsenność, prawda?]*

Lachesis, ostrożnie: *[Wzasadzie tak. Jesteśmy wstanie wprowadzać w aury Krótkoterminowych pewne niewielkie zmiany. Zmiany te spowodowały dość niezwykle przypadek bezsenności, który przekształcił zarówno sposób, w jaki śnicie, jak i sposób, w jaki postrzegacie świat na jawie. Zmiany w aurach Krótkoterminowych to bardzo delikatna, przerażająca praca. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo szaleństwa.]*

Kloto: *[Były chwile, kiedy myśleliście, że szaleństwo już was ogarnęło, lecz w rzeczywistości żadnemu z was nigdy poważnie to nie groziło. Oboje jesteście znacznie twardsi, niż przypuszczacie.]*

Ci kretyni naprawdę uważają, że nas pocieszyli, zdumiał się Ralph, który po prostu nie miał teraz czasu, by się wściekać. Może później nadrobi tę stratę. Miał nadzieję, że tak. Na razie tylko poklepał Lois po dłoni i zwrócił się do doktorków.

[Latem, po pobiciu żony, Ed powiedział mi o istocie, którą nazwał Karmazynowym

Królem. Czy wam to coś mówi, panowie?]

Kloto i Lachesis wymienili spojrzenia. W ich wzroku Ralph raz już - mylnie - odczytał powagę.

Kloto: [Ralph, musisz uświadomić sobie, że Ed jest szaleńcem, że żyję w wymyślonym świecie...]

[Aha, tylko tak dalej]

[...naszym jednak zdaniem ów Karmazynowy Król istnieje w tej lub innej formie i kiedy Atropos przeciął wstążkę Eda Deepneau, Ed znalazł się bezpośrednio pod jego wpływem.]

Mali łysi doktorkowie jeszcze raz spojrzeli po sobie i tym razem Ralph dostrzegł w ich wzroku to, co rzeczywiście w nich było: paralizujący strach.

Zaświtał nowy dzień - czwartek - i już zbliżało się czwartkowe południe. Ralph nie był tego całkiem pewien, miał jednak przemożne wrażenie, że tempo, w jakim czas mijał tam, na poziomie Krótkoterminowych, rosło. Jeśli szybko nie uporają się z najpilniejszymi sprawami, Bili McGovern nie będzie jedynym z przyjaciół, których przeżyją.

Kloto: [Atropos wiedział, że Wyższy Cel użyje kogoś do przzerwiania łańcucha zdarzeń, który on uruchomił; teraz wie już także, kim ten ktoś jest. Nie wolno wam jednak pozwolić mu się

mylić, musicie pamiętać, że nie jest on niczym więcej niż pionkiem na szachownicy. To nie Atropos stanął naprzeciw was.]

Przerwał i z powątpiewaniem spojrzął na przyjaciela. Lachesis skinął głową, dając mu do zrozumienia, by kontynuował, i zrobił to z przekonaniem, niemniej jednak Ralph poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Nie miał wątpliwości, iż doktorkowie mają najlepsze intencje, było jednak jasne, że mimo dobrych intencji strzelają w ciemno.

Kloto: [Nie wolno wam także działać bezpośrednio przeciw niemu. Nie sposób przecenić wagi tego ostrzeżenia. Otaczają go siły znacznie większe niż on sam, siły złe i niesłychanie potężne, świadome i gotowe nie cofnąć się przed niczym, by wam przeszkodzić. A jednak naszym zdaniem, jeśli będziecie trzymać się z daleka od niego, uda się wam zapobiec temu, co się zdarzy... co tak naprawdę już się dzieje!]

Ralphowi nie podobało się przyjęte przez dwóch niedużych łydków założenie, że oboje z Lois bez wahania zrobią to, czego owi łydkowie od nich chcą, chwila jednak nie sprzyjała rozważaniom na ten akurat temat.

Lois: [A co ma się zdarzyć? Czego wy właściwie od nas chcecie? Czy mamy znaleźć Eda i namówić go, żeby nie zrobił tego, co chce zrobić?]

Kloto i Lachesis spojrzeli na nią z identycznym wyrazem panicznego strachu w oczach.

[Czy nie słuchałaś, co...]

[...nie wolno wam nawet pomyśleć o...]

Przerwali. Kloto gestem wskazał, że to Lachesis ma mówić dalej.

[Jeśli nie słuchałaś, gdy mówiliśmy przedtem, posłuchaj nas teraz, Lois. Trzymajcie się z dala od Eda Deepneau! Podobnie jak Atropos, dzięki niezwykłości tego, co się zdarzyło, dysponuje on chwilowo wielką mocą. Samo zbliżenie się do niego oznacza ryzyko spotkania z istotą, którą nazywa Karmazynowym Królem... a poza tym, on wyjechał z Derry.]

Lachesis spojrział na miasto - był czwartkowy wieczór, paliły się już niektóre światła - po czym obrócił się ku Ralphowi i Lois.

[Wyjechał do]

[-I

Bez słów, lecz Ralph odebrał czysty przekaz, częściowo węchowy (olej, smar, spaliny, morska sól), częściowo dotykowy i dźwiękowy (wiatr targający czymś, być może flagą), a częściowo wzrokowy (wielki budynek z przerdzewiałej blachy, z otwartymi, przesuwającymi się po stalowej szynie wrotami).

[Jest gdzieś na wybrzeżu, prawda? Albo zmierza w tym kierunku.]

Kloto i Lachesis skinęli głowami. Z ich twarzy łatwo było wyczytać, że wybrzeże, odległe o jakieś sto czterdzieści kilometrów od Derry, to miejsce w sam raz dla Eda Deepneau.

Lois znów pociągnęła go za rękaw. Ralph spojrział na nią.

[Widziałeś ten budynek, Ralph?]

Przytaknął skinieniem głowy.

Lois: *[To nie Hawking Labs, ale blisko... Chyba nawet znam to miejsce...]*

Lachesis wtrącił się szybko, jakby chciał zmienić temat: *[Tak naprawdę nie ma wielkiego znaczenia, co to za miejsce i co może planować Ed. Wasze zadanie jest inne, nie tak groźne, choć być może, by je wypełnić, będziecie potrzebowali całych waszych wielkich, krótkoterminowych zdolności, a i niebezpieczeństwo może okazać się poważne]*

Lois obrzuciła Ralpha nerwowym spojrzeniem.

[Powiedz im, że nikogo nie skrzywdzimy. Być może zgodzimy się im pomóc w granicach naszych możliwości, ale niezależnie od wszystkiego nikogo nie skrzywdzimy]^

Ralph jednak nic takiego im nie powiedział. Oczami wyobraźni widział błysk diamencików w uszach Atroposa, rozmyślał zaś o tym, w jaką doskonałą złapano go

pułapkę... i Lois, oczywiście, wraz z nim. Jasne, że nie wahałby się wyrządzić komuś krzywdy, gdyby chodziło o odzyskanie kolczyków i w ogóle nie w tym rzecz. Ale... jak daleko by się posunął? Czy zabiłby, żeby je odzyskać?

Nie chcąc poruszać tego tematu - na razie nie chciał nawet spojrzeć Lois w oczy - zwrócił się ku Kloto i Lachesisowi. Już otwierał usta, ale Lois go uprzedziła.

[Jest coś, co muszę wiedzieć, zanim posuniemy się dalej.]

Odezwał się Kloto. Sprawiał wrażenie z lekka rozbawionego i istotnie bardzo przypominał McGoverna, co wcale się Ralphowi nie podobało.

[Co musisz wiedzieć, Lois?]

[Czy Ralph także jest w niebezpieczeństwie? Czy Atropos ma coś, co należało do Ralpa i co będziemy mu musieli odebrać? Coś takiego jak kapelusz Billa?]

Kloto i Lachesis wymienili szybkie niepewne spojrzenia.

Ralph nie sądził, by Lois zwróciła na to uwagę, on jednak je zauważył. Miał wrażenie, że doktorkowie powiedzieli sobie: „Niebezpiecznie zbliża się do prawdy”. Ale kiedy obaj spojrzeli na Lois, ich twarze pozbawione były, jak zwykle, jakiegokolwiek wyrazu.

Lachesis: *[Nie. Atropos nie zabrał Ralphowi niczego, ponieważ aż do tej chwili na nic by mu się to nie przydało.]*

Ralph: *[Co to znaczy „aż do tej chwili”?]*

Kloto: *[Całe życie przeżyłeś jako część Celu, Ralph. Lecz to się zmieniło.]*

Lois: *[Kiedy się zmieniło? Wtedy, kiedy zaczęliśmy widzieć aury, prawda?]*

Doktorkowie znów spojrzeli na siebie, potem na Lois, a potem, nerwowo, na Ralpa. Nie odezwali się, a Ralphowi wpadła do głowy ciekawa myśl: Kloto i Lachesis nie mogli kłamać jak mały George Washington z czytanki... I w chwilach takich jak ta zapewne bardzo tego żalowali. Wykorzystywali więc jedyną otwartą dla nich furtkę: trzymali gębę na kłódkę w nadziei, że rozmowa zejdzie na bezpieczniejsze tematy. Nie miał zamiaru na to pozwolić, przynajmniej na razie, mimo niebezpieczeństwa, że Lois domyśli się, kto ma jej kolczyki... zakładając oczywiście, że jeszcze tego nie wie, co wcale nie wydawało mu się aż tak nieprawdopodobne. Przypomniały mu się słowa naganiacza sprzed festynowego kasyna: „Wchodźcie, panowie... kto gra, ten wygrywa!”

[Och, nie, Lois - zmiana nie nastąpiła, gdy zacząłem widzieć aury. Myślę, że wielu ludzi widywało od czasu do czasu świat Długoterminowych i nic złego im się nie stało. Nie sądzę, by pozbawiono mnie bezpiecznego, ciepłego kąta w domu Celu, póki nie zaczęliśmy rozmowy z tymi dwoma sympatycznymi panami. Co na to powiecie, sympatyczni panowie? Zrobiliście wszystko, zostawiliście nam prawie ślad z okruszków chleba, cały czas doskonale

zdając sobie sprawę z konsekwencji naszego spotkania. Mam rację?]

Sympatyczni panowie stali z oczami wbitymi w dach. W końcu, niechętnie, podnieśli na niego wzrok. Odpowiedział mu Lachesis.

[Tak, Ralph. Przyciągnęliśmy cię do nas, choć wiedzieliśmy, jak zmieni to twoje ka. Przykro nam, ale sytuacja tego wymagała.]

Teraz Lois zapyta o siebie, pomyślał. Teraz musi zapytać o siebie.

Ale Lois nie zapytała o siebie. Wpatrywała się tylko w doktorków nieprzeniknionym wzrokiem i w tej chwili wcale nie przypominała „tej naszej Lois”. Ralph po prostu musiał się zastanowić, ile wie i czego się domyśla, zdumiony, że nie ma

o tym zielonego pojęcia... a potem wszystkie jego myśli pochłonęła nowa fala gniewu.

[Ach wy, przyjaciele... ale z was numeranci, przyjaciele...]

Nie skończył, choć mógłby skończyć, gdyby Lois nie stała obok niego. No tak, panowie, nie ograniczyliście się wyłącznie do namieszania nam we śnie, co? Nie wiem, jak to wygląda z Lois, ale ja miałem ciepły kąć u Celu... a to znaczy, że specjalnie zrobiliście ze mnie wyjątek od tych zasad, których bronicie podobno całym życiem. Do pewnego stopnia jestem teraz tak nie oznaczony jak ten gość, którego chyba mamy znaleźć. Jak to powiedział Kloto? W tym wypadku „nie obowiązują żadne zasady”. O, cholera - jakie to słuszne!

Lois: *[Wspomniałeś coś o zrobieniu użytku z naszych zdolności. Jakich zdolności?]*

Lachesis obrócił się ku niej. Zmiana tematu najwyraźniej bardzo go uszczęśliwiła. Złożył dłonie, a potem rozłożył je w dziwnie orientalnym geście. Pomiedzy nimi pojawiły się i niemal natychmiast znikły dwa obrazy: Ralpha, wykonującego charakterystyczny gest, po którym z jego palców trysnął zimnoniebieski promień, i palca Lois, z którego strzelały jaskrawe szaroniebieskie kapsułki światła niczym atomowe krople na kaszel.

Ralph: *[Dobra, zgoda, jakieś tam zdolności mamy, ale nie możemy na nich polegać. Są jak...]*

Skupił się i stworzył swój własny obraz: dłonie, otwierające pokrywkę radia i wyjmujące z niego dwie pokryte niebieskoszarym nalotem baterie. Kloto i Lachesis zmarszczyli czoła. Nie rozumieli.

Lois: *[Chce powiedzieć, że nie zawsze możemy to robić, a jeśli już robimy, to niedługo. Baterie się nam wyczerpują, rozumiecie?]*

Po twarzach łysych doktorków łatwo było poznać, że zrozumieli, że nie wierzą własnym uszom i że to ich rozbawiło.

Ralph: *[Co takiego cholernie śmiesznego powiedziałem?]*

Kloto: *[Nic. Wszystko. Nie macie pojęcia, jacy dziwni się nam wydajecie, ty i Lois -*

nieprawdopodobnie mądrzy i inteligentni w jednej chwili, straszliwie wręcz naiwni w następnej. Wasze baterie, jak to ujęliście, nigdy się nie wyczerpują, ponieważ obydwójce bezustannie znajdujecie się w sąsiedztwie niewyczerpanego źródła energii. Założyliśmy, że skoro oboje Już z niego korzystaliście, to oboje o nim wiecie.]

Ralph: *[O co wam, do diabła, chodzi?]*

Lachesis znów złączył, a potem rozłączył dłonie w owym przedziwnie orientalnym geście. Tym razem ukazała się pomiędzy nimi pani Perrine, wyprostowana, sztywna, otoczona szarą aurą w kolorze munduru kadeta West Point i wybiegająca z jej aury linia szarego światła, cienka i prosta jak kolec jeżozwierza.

Na obraz pani Perrine nałożył się inny: chudej kobiety otoczonej brudnobrązową aurą wyglądającej przez okno samochodu. Głos - głos Lois - powiedział: „Och, Mina, czyż to nie śliczny domek?” W chwilę później rozległ się cichy świst jak przy wciągnięciu oddechu przez zęby i z aury na karku kobiety wybiegł promień.

Po tych dwóch nastąpił trzeci obraz, przelotny, lecz bardzo wyraźny: Ralph sięga przez okienko w szklanej ścianie szpitalnej informacji, chwytając kobietę z kolczastą pomarańczową aurą za przegub dłoni... i natychmiast aura wokół jej lewej ręki przestaje być pomarańczowa, natychmiast przybiera spłowiełą, turkusową barwę, którą Ralph w myślach nazywał „błękitem Ralpa Roberta”.

Na tym pokaz się skończył. Lachesis i Kloto patrzyli na Ralpa i Lois, Lois i Ralph stali, sparaliżowani zdumieniem, patrząc na Lachesisa i Klota.

Lois: *[Och, nie! Tego nie możemy robić. To jak..]*

Obraz: dwaj mężczyźni w więziennych pasiakach i maskach na oczach wychodzą na palcach z bankowego skarbcza, dźwigając na plecach wielkie worki, każdy z ogromnym znakiem „\$”.

Ralph: *[Znacznie gorzej. To jak...]*

Obraz: nietoperz wylatuje przez uchylone okno, robi dwa okrążenia w srebrnym promieniu księżycy i zmienia się w Ralpa Lugosiego w pelerynie i staroświeckim smokingu. Podchodzi do śpiącej kobiety - wcale nie świeżej, młodziutkiej dziewczyny, lecz starej pani Perrine w prostej flanelowej koszuli nocnej - i pochyla się, by wysać jej aurę.

Kiedy podniósł wzrok na doktorków, obaj energicznie potrząsali głowami.

Lachesis: *[Nie! Nie, nie, nie! Doprawdy, trudno chyba o większą pomyłkę. Czy nigdy nie zastanawialiście się, dlaczego jesteście Krótkoterminowi i życie mierzycie dziesiątkami, a nie setkami*

lat? Żyjecie krótko, bo płoniecie jak suche drewno! Kiedy pobieracie energię od

innych Krótkoterminowych, to jak...]

Obraz: dziecko na brzegu morza, śliczna mała dziewczynka, złote loki opadają jej na ramiona. Biegnie plażą do miejsca, w którym załamują się fale. W ręczce ma czerwone plastikowe wiaderko. Klęka i napełnia je z wielkiego szaroniebieskiego Atlantyku.

Kloto: *[Ralphie, Loh, jesteście jak to dziecko, a inni Krótkoterminowi są jak ocean. Czy teraz rozumiecie?]*

Ralph: *[Naprawdę? Ludzkość ma w sobie tyle naturalnej energii?]*

Lachesis: *[Nadal nie rozumiesz. Tyle energii jest...]*

Lois mu przerwała. Głos jej drżał, Ralph nie potrafił ocenić, czy ze strachu, czy z zachwytu.

[Tyle energii jest w każdym z nas, Ralph. Tyle energii jest w każdym żyjącym na ziemi człowieku^

Ralph gwizdnął cicho i spojrzał na doktorków. Kiwali głowami potakująco.

[Mówicie, że możemy brać energię od każdego, kto akurat stanie nam na drodze? I że to będzie dla niego bezpieczne?]

Kloto: *[Tak. Nie możecie nikomu zaszkodzić, tak jak nie można wyczerpać oceanu dzieciennym wiaderkiem]*

Ralph miał szczerą nadzieję, że to prawda i tylko prawda. Był prawie pewien, że oboje z Lois nieświadomie pobierali energię jak szaleni - jedynie to mogło wytłumaczyć komplementy, których im ostatnio nie szczędzono. Ludzie mówili mu, że wygląda wspaniale. Ludzie mówili mu, że z pewnością przewyciężył już bezsenność, że się z nią uporał, bo sprawia wrażenie tak wypoczętego, tak zdrowego! Ludzie mówili mu, że odmłodził.

O, do diabła, pomyślał. Rzeczywiście odmłodziłem!

Księżyc zaszedł znowu. Ralph uświadomił sobie, zaskoczony, że wkrótce wzejdzie słońce i będzie już piątek rano. Najwyższy czas wrócić do sedna sprawy.

[Dobra, panowie, porozmawiajmy poważnie. Po co zadaliście sobie tyle trudu? I do czego właściwie nie powinniśmy dopuścić?]

I w tym momencie doznał olśnienia. Wrażenie to było zbyt silne, zbyt kompletne, by w nie wątpić lub je kwestionować.

[Chodzi o Susan Day, prawda? Zamierza zabić Susan Day? Planuje zamach na jej życie?]

Kloto: *[Tak, ale..]*

Lachesis: *[...nie w tym rzecz...]*

Ralph: *[Dajcie spokój, panowie... nie sądzicie, że nadszedł czas, by wyłożyć wreszcie*

karty na stół?]

Lachesis: *[Tak, Ralph. Nadszedł czas.]*

Od czasu kiedy sformowali krąg i przez kolejne piętra szpitala wlecieli na dach, prawie się wzajemnie nie dotykali, lecz teraz Lachesis delikatnie objął Ralpha za ramiona, a Kloto wziął Lois pod rękę; podobnie dżentelmen z dawnych czasów mógł prowadzić partnerkę na parkiet.

Zapach jabłek, smak miodu, dotyk wełny... lecz tym razem rozkosz, jaką sprawiały Ralphowi te doznania, nie zdołała przyćmić niepokoju; Lachesis obrócił go i poprowadził ku krawędzi płaskiego szpitalnego dachu.

Jak wiele większych i znacznie ważniejszych miast, pierwsi osadnicy wybudowali Derry w najgorszym i geograficznie najbardziej nieodpowiednim miejscu pod słońcem. Powstało na stromych zboczach doliny, przez którą płynęła leniwie rzeka Kenduskeag. Oba brzegi zarastała splątana zieleń Pustkowi. Z dachu szpitala wyglądało to tak, jakby serce miasta przebijał cienki zielony sztylet... tyle że w nocy sztylet ten wydawał się czarny.

Na jednym zboczu doliny znajdowało się Old Cape - modne powojenne osiedle lśniące szkłem, z luksusowym centrum handlowym. Drugie zajmowało coś, co obywatele Derry mieli na myśli, kiedy mówili „śródmieście”. Centrum śródmieścia było Milowe Podejście, dalej Witcham Street, rozdzielająca się w płataninę uliczek, z których jedną była Harris Avenue - to po stronie zachodniej. Main Street oddzielała się od Witcham Street mniej więcej w połowie Milowego Podejścia i prowadziła na południowy zachód, na niższe zbocze doliny. Tę część miasta nazywano Wzgórzem Main Street albo Bassey Park. A teraz na samej górze Main Street...

Lois, niemal jęcząc: *[Słodki Boże, a co to takiego?]*

Ralph pragnął ją jakoś uspokoić, ale tylko westchnął chrap-, liwie. Ponad szczytem Wzgórz Main Street unosiło się coś czarnego w kształcie parasola, i to coś przysłaniało blednące z nadejściem poranka gwiazdy. Próbował wytłumaczyć sobie, że to tylko dym, że zapalił się jeden z wielu znajdujących się tam magazynów... albo na przykład stacja końcowa starej linii kolejowej na Nebolt Street. Lecz magazyny znajdowały się nieco dalej na południe, a stacja nieco dalej na zachód, a w ogóle gdyby ten przerażający muchomor rzeczywiście był dymem, wiatr rozrywałby go i przewiewał pasmami nad miastem. A nie

rozrywał. Plama czerni wisiała po prostu nad ziemią, ciemniejsza od samej ciemności.

I nikt jej nie widzi, pomyślał Ralph. Nikt oprócz nas... i małych łysych doktorków. Cholernych małych łysych doktorków!

Zmrużył oczy, próbując zobaczyć, co okrywa ta wielka torba śmierci, choć tak

naprawdę nie musiał niczego wypatrywać; większość życia przeżył w Derry i właściwie mógł się poruszać po ulicach z zamkniętymi oczami (pod warunkiem oczywiście, że nie poruszał się po nich samochodem). Płaski okrągły dach, wygięta fasada z cegły i szkła... nie sposób się było pomylić. Relikt lat pięćdziesiątych, zaprojektowany w charakterze żartu przez słynnego architekta (i niegdyś mieszkańca miasta) Benjamina Hanscoma, nowe Centrum Obywatelskie, które zastąpiło stare, zniszczone przez powódź 1985 roku.

Kłoto obrócił się ku Ralphowi i spojrzał mu w oczy.

[Widzisz, Ralph, miałeś rację. Zamierza zamordować Susan Day... i nie tylko Susan Day.]

Przerwał, zerknął na Lois i znów poważnie spojrzał Ralphowi w oczy.

[Ta chmura, którą słusznie nazywacie „torbą śmierci”, oznacza, że w pewnym sensie dokonał już tego, czego się po nim spodziewał Atropos. Dziś wieczorem będzie tam ponad dwa tysiące ludzi... i Ed Deepneau ma zamiar zabić ich wszystkich. Jeśli łańcuch zdarzeń nie zostanie przerwany, zabije ich wszystkich.]

Lachesis zrobił krok naprzód. Dołączył do kolegi.

[Wy, Ralphie i Lois, jesteście tymi, którzy mogą temu zapobiec]

Przed oczami Ralpha pojawił się plakat Susan Day - ten w oknie wystawowym zamkniętego sklepu między apteką i barem „Koniec Dnia, Zachód Słońca”. Pojawiły się też słowa wypisane palcem na brudnym, zakurzonej szkle: „Zabić piczę”. Nie był to pusty slogan, w Derry coś takiego mogło się wydarzyć. Derry nie do końca przypominało inne miasta. Wprawdzie atmosfera znacznie się oczyściła od czasu wielkiej powodzi przed ośmiu laty, lecz mimo wszystko Derry nie do końca przypominało inne miasta. Było w nim coś groźnego, a kiedy jego obywatele nasza gorączka, skłonni byli do zaiste obrzydliwych czynów.

Otarł usta - jedwabisty, prawie niewyczuwalny dotyk dłoni na wargach na moment oderwał go od czarnych myśli. Na różne sposoby dowiadywał się, że istnieje zdecydowanie inaczej niż kiedyś.

Lois, przerażona: *[Jak mamy tego dokonać? Jeśli nie wolno nam zbliżyć się do Atroposa i Eda, jak mamy zapobiec temu, co się dzieje?]*

Ralph zdał sobie nagle sprawę, że całkiem wyraźnie widzi jej twarz. Dzień wstawał błyskawicznie, jak na starym przyrodniczym filmie Disneya, w którym użyto techniki zdjęć poklatkowych.

[Zadzwonimy i powiemy, że w Centrum Obywatelskim podłożono bombę. To powinno wystarczyć.]

Kloto wyglądał na rozczarowanego tym pomysłem, a Lachesis nawet klepnął się w czoło otwartą dłonią, po czym nerwowo spojrział w całkiem już jasne niebo. Kiedy zaś obrócił wzrok na Ralpa, w jego oczach było coś do złudzenia przypominającego z trudem kontrolowaną panikę.

[To nic nie pomoże, Ralph. A teraz posłuchajcie mnie oboje... i słuchajcie uważnie: cokolwiek zrobicie przez te czternaście godzin, które wam jeszcze pozostały, nie wolno wam zlekceważyć mocy, które Atropos uwolnił, najpierw odkrywając Eda, a potem przecinając jego wstążkę.]

Ralph: *[A czemu nie pomoże?]*

[Nie możemy tak sobie stać i odpowiadać na twoje pytania, Ralph. Od tej chwili musicie po prostu wierzyć nam na słowo. Wiecie, jak szybko biegnie czas na tym poziomie. Jeśli zostaniemy tu choć odrobinę dłużej, wasze szansę, że zapobiegniecie temu, co ma się zdarzyć dziś wieczorem w centrum, zmaleją do zera. Oboje musicie zstąpić na niższy poziom. Musicie!]

W głosie Lachesisa brzmiał gniew... i strach.

Kloto podniósł dłoń, powstrzymując przyjaciela, a potem przemówił do Ralpa i Lois:

[Odpowiem na to ostatnie pytanie, choć jestem pewien, że gdybyście się zastanowili, sami znaleźlibyście odpowiedź. Do dziś odebrano dwadzieścia trzy telefony z informacją, że podczas wystąpienia Susan Day w centrum wybuchnie bomba. Policja dysponuje psami szkolonymi w wyszukiwaniu ładunków wybuchowych, od czterdziestu ośmiu godzin prześwietla się wszystkie paczki i przesyłki dostarczane na miejsce, odbywają się także rutynowe przeszukania. Ochrona odbiera telefony z groźbami o podłożeniu bomby. Wprawdzie traktuje je bardzo poważnie, ale oni zakładają, że telefonują obrońcy życia, którzy próbują tylko zapobiec wystąpieniu Susan Day.]

Lois, tępo: *[O Boże, to jak w historii o chłopcu, który tyle razy krzychał „pożar!”, że kiedy pożar rzeczywiście wybuchł, nikt mu nie uwierzył!]*

Kloto: *[Masz rację, Lois.]*

Ralph: *[A czy on podłożył bombę? Podłożył, prawda?]*

Na dach szpitala padł jaskrawy promień słońca; wydłużył cienie obracających się wentylatorów, jakby były z gumy. Kloto

i Lachesis spojrzeli na nie, a potem na wschód, gdzie nad horyzontem ukazał się skrawek słonecznej tarczy. Ich twarze miały identyczny wyraz - strachu.

Lachesis: *[Nie wiemy i nie ma to żadnego znaczenia. Musicie zapobiec wystąpieniu Susan Day, a dokonać tego możecie tylko w jeden sposób: przekonując przewodniczącą*

komitetu organizacyjnego, by je odwołała. Rozumiecie? Susan Day nie może pojawić się dziś w Centrum Obywatelskim! Nie możecie powstrzymać Eda, nie wolno wam nawet zbliżyć się do Atroposa, musicie więc wpłynąć na Susan Day.]

Ralph: *[Ale...]*

To nie coraz jaśniejsze słońce ani coraz wyraźniejszy na twarzach małych doktorków strach zamknął mu usta, lecz Lois. Lois położyła mu dłoń na policzku i delikatnie, choć z przekonaniem potrząsnęła głową.

[Koniec, Ralph. Musimy zejść na dół. Już.]

Pytania krążyły mu w głowie jak komary, lecz skoro Lois powiedziała, że nie mają czasu, to nie mieli czasu. Spojrzał na słońce, które całkowicie wynurzyło się już zza horyzontu, i skinął głową. Objął ją i przytulił.

Kloto, z naciskiem: *[Nie zawiedźcie nas, Ralphie i Lois.]*

Ralph: *[Oszczędź sobie tej gadki, mały. To nie szatnia zawodników przed meczem.]*

I nim doktorkowie zdążyli zareagować, Ralph zamknął oczy i skoncentrował się na zejściu na poziom Krótkoterminowych.

Rozdział 9

Poczuł to wewnętrzne „mruknięcie”, twarz owiał mu chłodny wiatr poranka. Otworzył oczy i spojrzał na stojącą obok niego kobietę. Przez chwilę jeszcze widział aurę ciągnącą się za nią niczym muślinowy tren balowej sukni, a potem była to już po prostu Lois, na oko dwadzieścia lat młodsza niż przed tygodniem... i na smołowanym dachu szpitala wyglądająca bardzo niezwykle w lekkim płaszczu i porządnej, spokojnej sukience „na odwiedzinę u chorego”.

Ralph przytulił ją mocniej. Trząsał się. Po Lachesisie i Klocie nie pozostał nawet ślad.

Chociaż mogą przecież stać tuż-tuż, pomyślał. I prawdopodobnie stoją.

Nagle znów przypomniały mu się słowa naganiacza przed festynowym kasynem; kto gra, ten wygrywa, więc wchodźcie, szanowni panowie i wykładajcie pieniądze. Tyle że najczęściej nie ty wygrywasz, tylko ciebie wygrywają. I na kogo wychodzisz? Na głupka, oczywiście.

Ciekawe, dlaczego akurat teraz przysięgłby, że wyszedł na głupka?

Bo mnóstwa rzeczy się nie dowiedziałeś - powiedziała Carolyn w jego wnętrzu. Sprowadzili cię na wiele uroczych bocznych ścieżek i trzymali z daleka od tego, co najważniejsze, aż za późno już było na zadanie pytania, na które może wcale nie chcieliby odpowiedzieć. Według mnie coś takiego raczej nie zdarza się przez przypadek. A według ciebie?

Rzeczywiście. Coś takiego raczej nie zdarza się przez przypadek.

Uczucie, że coś wpycha go głębiej w ciemny tunel, gdzie

wszystko może się zdarzyć, zrobiło się nagle silniejsze. Uczucie, że jest manipulowany, mały... kruchy... I cholernie wkurzony.

- Nooo... tttto wrrrócilisssmy. - Lois energicznie szczękała zębami. - Jak myślisz, która to godzina?

Mogło być gdzieś koło szóstej rano, ale kiedy Ralph spojrzał na zegarek, bez zdziwienia stwierdził, że zegarek nie chodzi. Nie pamiętał, kiedy go ostatnio nakręcił. Pewnie we wtorek rano.

Powiódł wzrokiem za spojrzeniem Lois. Na południowym zachodzie widniało Centrum Obywatelskie, jak wyspa na oceanie parkingów. Poranne słońce odbijało się w rzędach okien na półkolistej fasadzie. Gigantyczna czarna otoczka, widoczna wokół gmachu

jeszcze przed chwilą, znikła.

Nie, nie, nic z tego. Nie ma się co oszukiwać, przyjacielu. Być może akurat teraz nie jesteś zdolny jej zauważyć, ale ona tam jest. Bez wątplenia.

- Wczesna - odparł i przytulił ją mocniej. Podmuch zimnego wiatru zwał mu z czoła włosy; siwych było wśród nich jakieś pięćdziesiąt procent. - Ale mam wrażenie, że dziś szybko zrobi się późno.

Zrozumiała, o co mu chodzi, i skinęła głową.

- Gdzie Lllachesssis i Kkk...

- Moim* zdaniem są na poziomie, na którym wiatr nie odmraża człowiekowi tyłka. Chodź, znajdziemy jakiś włącznik i wynośmy się z tego cholernego dachu.

Lois nie ruszyła się z miejsca. Trzęsła się i patrzyła na centrum.

- Co on takiego wymyślił? - spytała cicho. - Jeśli nie podłożył bomby, to co takiego wymyślił?

- Może podłożył bombę, a pieski o wrażliwych noskach jeszcze jej nie wywąchały? A może sprokurował coś, czego psy nie potrafią wywąchać? Kanister między krokwiemi dachu, na przykład, niewielka śmierdząca niespodzianka wyprodukowana w łazience. Pamiętaj, Ed zarabiał na życie jako chemik... przynajmniej póki nie przeszedł na pełny etat psychopaty. Może chce zagazować ich jak szczury?

- Jezu, Ralph! - Lois przyłożyła dłoń do piersi nad biustem i spojrzała na niego ze zgrozą.

- Chodź, Lois. Wynośmy się z tego cholernego dachu! Tym razem poszła za nim nawet chętnie. Poprowadził ją

w stronę włącznika... z nadzieją, że będzie otwarty.

- Dwa tysiące ludzi! - jęknęła Lois. Dotarli na miejsce; Ralphowi ulżyło, gdy klamka ustąpiła. Lois położyła mu rękę

na dłoni, nim zdołał otworzyć włącznik. Jej uniesiona twarz płonęła szaleńczą nadzieją. - A może te małe ludziki kłamały, Ralph? Może chcą upiec przy tym ogniu jakąś własną pieczeń... Może mają do załatwienia coś, o czym nie mamy pojęcia, i nakłamali nam?

- Chyba nie są w stanie kłamać - odparł powoli. - Najgorsze, że moim zdaniem, nie są w stanie kłamać. No i widzieliśmy to - wyciągnął palec w stronę centrum i otaczającej je błony; niewidocznej teraz, lecz przecież istniejącej. Lois nie odwróciła się, nie chciała nawet spojrzeć w tamtym kierunku. Położyła mu tylko na dłoni chłodną dłoń.

Zeszli z dachu i ruszyli w dół po schodach.

Ralph otworzył drzwi i zerknął na korytarz szóstego piętra. Był pusty. Ruszyli ku

windom. Zatrzymali się przed otwartymi drzwiami, przy których na ścianie widniały wielkie, czerwone litery napisu: POKÓJ LEKARSKI. Widzieli go już po drodze na dach: reprodukcje Winłowa Homera wiszące krzywo na ścianach, czajnik na elektrycznej kuchence, obrzydliwe „nowoczesne szwedzkie” meble. Wewnątrz nie było nikogo, lecz na ekranie telewizora ich stara znajoma, Lisette Benson, czytała akurat wiadomości porannego dziennika. Ralph przypomniał sobie ten dzień, kiedy to wraz z Billem siedzieli u Lois, zjadali makaron z serem i słuchali doniesień Lisette Benson o manifestacji i rzucaniu lalkami. Od tamtej chwili upłynął niespełna miesiąc. Nagle uświadomił sobie, że Bili McGovern nigdy już jej nie zobaczy, nigdy nie zapomni zamknąć drzwi wejściowych do ich domu, i żal przeszył go niczym podmuch listopadowego wiatru. Nie mógł jakoś uwierzyć w śmierć Billa... jeszcze nie. Jak Bili mógł umrzeć tak błyskawicznie, tak po prostu?

Cholernie by mu się to nie podobało, pomyślał. I nie tylko dlatego, iż uznałby, że umrzeć na atak serca w szpitalnym korytarzu to rzecz w złym guście. Uznałby, że to kiepski teatr.

Lecz przecież widział śmierć Billa, a Lois nawet czuła, jak ta śmierć przeżera jego ciało. Pomyślał o czarnej błonie nad Centrum Obywatelskim i o tym, co się tam zdarzy, jeśli nie zdołają zapobiec wystąpieniu Susan Day. Ruszył znów ku windom, lecz Lois powstrzymała go. Zafascynowana, wpatrywała się w telewizor.

- ...wielką ulgę, kiedy mowa feministki i zwolenniczki aborcji, Susan Day, przejdzie do historii - mówiła właśnie Lisette Benson - lecz policjanci nie są w tym odosobnieni. Najwyraźniej zarówno obrońcy jak i przeciwnicy aborcji odczuwają napięcie w związku z niebezpieczeństwem konfrontacji. John Kirkland jest w tej chwili przed Centrum Obywatelskim w Derry i może więcęj nam o tym powiedzieć. John?

Bładym, ponurym mężczyzną stojącym obok Kirklanda był Dan Dalton. W koszule miał wpięty znaczek, który przedstawiał skalpel spadający na dziecko skulone w pozycji płodu. Rysunek ujęty był w czerwony krąg i przecięty skośną czerwoną linią. W tle Ralph dostrzegł kilka policyjnych radiowozów i dwa wozy transmisyjne telewizji, jeden z logo NBC na burcie. Mundurowy policjant przeszedł ukosem przez trawnik, prowadząc na smyczy dwa psy. wyżła i owczarka niemieckiego.

- Masz rację, Lisette. Znajduję się obecnie przed Centrum Obywatelskim, gdzie panuje nastrój niepokoju i cichej determinacji. Jest ze mną pan Dalton, przewodniczący organizacji „Przyjaciele Życia”, której członkowie z takim zapalem przeciwstawiali się wystąpieniu Susan Day. Panie Dalton, czy zgadza się pan z naszą oceną sytuacji?

- Że w Derry panuje strach i determinacja? - spytał Dalton. Ralph miał wrażenie, że

uśmiecha się nerwowo, lecz z pogardą. - *Tak, chyba można określić to w ten sposób. Obawiamy się, że Susan Day, będąca jednym z największych pozostałych na wolności kryminalistów Ameryki, odniesie sukces, fałszując obraz tego, o co naprawdę chodzi w Derry. A chodzi o mordowanie dwunastu do czternastu niewinnych, nie narodzonych dzieci na dobę dzień po dniu!*

- *Panie Dalton...*

- */... - zagłuszył go Dalton - jesteśmy zdecydowani pokazać obserwującemu nas narodowi, że nie wszyscy godzimy się być dobrymi nazistami, że nie wszyscy obawiamy się religii politycznej poprawności, przerażających „dwóch »p«,„*

- *Panie Dalton...*

- *Jesteśmy także zdecydowani pokazać obserwującemu nas narodowi, że są jeszcze ludzie skłonni bronić swych przekonań, wypełnić świętą misję, do której zobowiązał każdego z nas miłosierny Bóg...*

- *Panie Dalton, czy „Przyjaciele Życia” planują protesty w ostrej, gwałtownej formie?*

Pytanie to zamknęło na moment Daltona, starło mu na

chwilę z twarzy sztuczne ożywienie, a gdy go zabrakło, Ralph dostrzegł coś strasznego: Dalton był śmiertelnie przerażony.

- *Gwałt?* - spytał w końcu, a wypowiedział to słowo bardzo ostrożnie, jakby obawiał się, że niewłaściwie użyte może mu pokaleczyć wargi. - *Dobry Boże, nie!* „Przyjaciele Życia” odrzucają ideę zwalczania zła złem. *Mamy zamiar przeprowadzić wielką demonstrację - iv walce tej wspomogą nas grupy obrońców życia z Augusta, Portland, Portsmouth, nawet z Bostonu. Ale nie przewidujemy aktów gwałtu.*

- *A co z Edem Deepneau? Czy jest pan upoważniony do składania oświadczeń w jego imieniu?*

Usta Daltona, zaciśnięte w cienką linię, teraz niemal całkiem znikły.

- *Pan Deepneau nie jest już związany z „Przyjaciółmi Życia”.* - Ralph miał wrażenie, że w jego głosie słyhać zarówno strach jak i gniew. - *Nie są z nami związani także Frank Felton, Sandra McKay i Charles Pickering, by rozproszyć wszelkie pańskie wątpliwości!*

John Kirkland zerknął w kamerę; jego wzrok nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że uważa Dana Daltona za zwykłego wariata.

- *Czy chce pan przez to powiedzieć, że Ed Deepneau i inne wymienione przez pana osoby... bardzo mi przykro, ale nic o nich nie słyszałem... stworzyły własną organizację przeciwników aborcji? Że nastąpiło coś w rodzaju rozłamu?*

- *Nie jesteśmy przeciwnikami aborcji, lecz zwolennikami życia!* - krzyknął Dalton. - *To*

wielka różnica, o której wy, reporterzy, bardzo chętnie zapominacie!

- Więc nie wie pan, co dzieje się z Edem Deepneau i co on planuje, jeśli oczywiście cokolwiek planuje?

- Nie wiem, gdzie jest, nie obchodzi mnie, gdzie jest, i nie obchodzi mnie ci jego... rozłamowcy.

Ale się boisz, pomyślał Ralph. A jeśli taki zadufany w sobie kutasina, jak ty, ma pietra, to ja chyba powinienem umrzeć ze strachu.

Dalton ruszył przed siebie. Kirkland, najwyraźniej przekonany, że nie wyjął go jeszcze do sucha, ruszył za nim w pogoń, rozwijając po drodze sznur mikrofonu.

- Nie zaprzeczy pan, panie Dalton, że jako członek grupy „Przyjaciele Życia” Ed Deepneau zorganizował szereg gwałtownych protestów, a podczas jednego z nich, w zeszłym miesiącu, rzucono lalkami wypełnionymi sztuczną krwią w...

- Wszyscy jesteście tacy sami, nie? - stwierdził Dalton. - Będę się za ciebie modlił, przyjacielu - oświadczył i odszedł z godnością.

Kirkland, zmieszany, patrzył za nim przez chwilę, a potem odwrócił się do kamery.

- Próbowaliśmy skontaktować się z główną przeciwniczką pana Daltona, Gretchen Tillbury, która podjęła się imponującego zadania organizacji wystąpienia Susan Day, lecz nie udało się nam do niej dotrzeć. Według naszych źródeł, przebywa ona w schronisku „Na Zboczu”, domu dla kobiet, utrzymywanym przez ośrodek i będącym jego własnością. Najprawdopodobniej wraz ze współpracowniczkami kończy przygotowania do, miejmy nadzieję, spokojnego i pozbawionego gwałtownych akcentów spotkania z Susan Day.

Ralph zerknął na Lois.

- Świetnie - powiedział - teraz przynajmniej wiemy, dokąd powinniśmy pojechać!

Na ekranie telewizora ukazała się siedząca w studiu Lisette Benson.

- John, czy coś wskazuje na to, że w Derry może dojść do aktów gwałtu?

Ujęcie Kirklanda a, stojącego jak poprzednio na tle radiowozów. Kirkland trzymał na wysokości krawata białą, zadrukowaną kartkę.

- Cóż, będący tu na służbie funkcjonariusze prywatnej firmy ochroniarskiej znaleźli dziś rano, o świcie, podobne do tej ulotki na trawniku przed centrum. Jeden z nich twierdzi, że widział samochód, z którego je rozrzucano, cadillaca z końca lat sześćdziesiątych, brązowego lub czarnego. Nie dostrzegł numeru rejestracyjnego, tylko znaczek na tylnym zderzaku: **ABORCJA TO MORDERSTWO, NIE WYBÓR!**

Ujęcie Lisette Benson w studiu, która sprawiała wrażenie szalenie zaciekawionej.

- Co jest na tej ulotce, John? Znow ujęcie Kirklanda.

- Można chyba powiedzieć, że coś w rodzaju zagadki. - Kirkland spojrział na karteczkę. - „Znajdujesz się w jednym pokoju z Hitlerem, Stalinem i zwolennikiem aborcji i masz pistolet załadowany tylko dwoma pociskami. Do kogo strzelisz?” - Kirkland spojrział w kamerę. - Odpowiedź znajduje się na drugiej stronie, Lisette, i brzmi: „Do zwolennika aborcji. Dwukrotnie”.

Z Derry mówił dla państwa John Kirkland.

- Umieram z głodu - powiedziała Lois, podczas gdy Ralph ostrożnie prowadził oldsa krętymi rampami podziemnego parkingu z nadzieją, że gdzieś znajdzie drogę na wolność... jeśli oczywiście nie przegapił którejs z tych wszystkich strzałek. - I nie przesadzam albo niewiele.

- Ja też jestem głodny. A że po raz ostatni jedliśmy we wtorek, nie należy chyba zanadto się temu dziwić. Zjemy duże śniadanie w jakiejś restauracji po drodze do domu „Na Zboczu”.

- A mamy czas?

- Musimy znaleźć czas na jedzenie. Żołnierze walczący o pustym żołądku zawsze przegrywają.

- Pewnie masz rację, choć nie czuję się żołnierzem. A wiesz, gdzie...

- Bądź przez chwilę cicho, dobrze, Lois?

Ralph zatrzymał samochód, ustawił dźwignię automatycznej skrzyni biegów na „park” i słuchał. Spod maski dobiegało postukiwanie, które wcale mu się nie podobało. Oczywiście betonowe ściany na parkingach i te rzeczy wzmacniają dźwięki, mimo wszystko jednak...

- Ralph? - Lois sprawiała wrażenie zdenerwowanej. - Tylko mi nie mów, że coś jest nie tak z samochodem. Tylko mi tego nie mów, dobrze?

- Chyba nie dzieje się nic złego - stwierdził i ruszył w poszukiwaniu dziennego światła. - Po prostu trochę się już odzwyczaiłem od starej Nellie. Oddaliśmy się od siebie po śmierci Carolyn. Zapomniałem już, jak brzmi. Chciałaś mnie

o coś zapytać, prawda?

- Wiesz, gdzie jest ten dom. „Na Zboczu”? Ralph potrząsnął głową.

- Podobno gdzieś na granicy Newport, tylko tyle wiem. Nie sądzę, by podawano jego dokładną lokalizację mężczyznom. Miałem nadzieję, że może ty...

Teraz Lois potrząsnęła głową.

- Nigdy nie korzystałam ze schroniska, dzięki Bogu. Będziemy musieli do niej zadzwonić. Do tej Tillbury. Znasz ją

i Helen, więc możesz z nią porozmawiać. Wysłucha cię.

Zerknęła na niego i od tego jej spojrzenia zrobiło mu się ciepłej na sercu, bo mówiło ono wyraźnie: „Każdy obdarzony choćby odrobiną rozsądku z pewnością cię wysłucha”.

- Założę się, że przyjmuje dziś tylko telefony z centrum czy gdzie tam jest Susan Day.

- Spojrzał na Lois. - Wiesz, żeby tak po prostu przyjechać do Derry... Ta baba jest cholernie twarda... albo cholernie głupia!

- Pewnie i jedno, i drugie. Jeśli Gretchen Tillbury nie przyjmie naszego telefonu, to jak się z nią skontaktujemy?

- Wiesz, coś ci powiem. Przez długi czas byłem komiwojażerem... w prawdziwym życiu jak mawia Faye Chapin. Założę się, że jeśli okoliczności będą tego wymagały, nawet dziś zdobędę się na jakiś pomysł. - Przemknęła mu przez myśl kobieta ze szpitalnej informacji, ta z pomarańczową aurą, i uśmiechnął się. - I potrafię być przekonujący.

- Ralph? - Głos Lois był bardzo cichy.

- Tak?

- Mnie to życie wydaje się bardzo prawdziwe. Poklepał ją po dłoni.

- Chyba wiem, co masz na myśli.

Znajoma chuda twarz wyjrzała na nich z budki strażnika przy wyjeździe z parkingu. Rozjaśniał ją znajomy, szeroki uśmiech, obnażający posterunki, z których zdezerterowało co najmniej ze sześć zębów.

- Ej, Ralphie, ty to czy ktoś inny? Niech mnie... ty! Cudo! Cudo!

- Trigger? - zdumiał się Ralph. - Trigger Vachon?

- We własnej osobie! - Trigger odrzucił z oczu kasztanowate włosy, by lepiej przyjrzeć się Lois. - A co to za kwiatuszek tu mamy? Ja ją skądś znam, niech mnie kule, jeśli nie!

- To Lois Chasse. - Ralph wyjął kwit parkingowy zza osłony przeciwsłonecznej nad szybą. - Mogłeś znać jej męża, Paula...

- Niech mnie kule, jeśli go nie znałem! - krzyknął Trigger. - Była z nas para rozbójników, kiedyś, w siedemdziesiątym piątym, może siedemdziesiątym szóstym! Nieraz wyrzucano nas z gospody „U Nan”! Niech mnie pokręci! A jak tam Paul?

- Pan Chasse odszedł nieco ponad dwa lata temu - wyjaśniła Lois.

- Och, cholera! Przykro mi to słyszeć. Fajny był facet

z tego Paula Chasse. Prawdziwy fajny facet. Wszyscy go lubili. - Trigger był tak przygnębiony, jakby dowiedział się, że pan Chasse umarł wczoraj.

- Dziękuję panu, panie Vachon. - Lois zerknęła najpierw na zegarek, a potem na Ralpha. Zaburczało jej w brzuchu, jakby i żołądek miał tu coś do powiedzenia.

Ralph podał kwit Triggerowi przez otwarte okno i kiedy Trigger go brał, nagle uświadomił sobie, że na stemplu będzie wtorkowa data. Spędzili w szpitalu niemal sześćdziesiąt godzin!

- A co z pralniczym interesem? - spytał szybko.

- Och, wywalili mnie. Nie mówiłem ci? Prawie wszystkich wywalili. Najpierw byłem trochę przygnębiony, ale w kwietniu przyjęli mnie tutaj i... hej, hej! O wiele bardziej lubię tę robotę. Mam telewizorek na spokojniejsze godziny, nikt na mnie nie trąbi, jeśli nie ruszę w pierwszej sekundzie po zmianie świateł, i nikt nie wymusza na mnie pierwszeństwa tam, na Extension. Dziś każdy się śpieszy, żeby być gdzie indziej. Każdy, tylko nie ja. I jeszcze jedno ci powiem, Ralph, ten mój wóz był zimową porą chłodny jak cycki wiedzmy. Bardzo panią przepraszam, proszę pani.

Lois nie odpowiedziała. Z wielkim zainteresowaniem studiowała grzbiety swych dłoni. Ralph tymczasem z ulgą dostrzegł, że Trigger Vachon zgniół kwit i wyrzucił go do kosza, nie patrząc na stempel z datą i godziną. Uderzył w klawisz na kasie; na ekraniku w oknie jego budki ukazały się zera.

- Jezu, Trig, to bardzo ładnie z twojej strony!

- Jeej, przecież nie ma o czym mówić! - I Trigger zamasyście przycisnął inny guzik. Szlaban przy wyjeździe uniósł się powoli. - Miło było cię widzieć. I słuchaj, pamiętasz, jak spotkaliśmy się koło lotniska? Raaany! Było goręcej niż w piekle, a ci dwaj faceci omal się nie zaczęli tłuc na dobre. A potem lunęło jak z cebra. I nieźle wiało. Poszedłeś na spacer, a ja podwiozłem cię do domu. Od tej pory widziałem cię tylko raz, może dwa. - Przyjrzał się bliżej Ralphowi. - Wyglądasz dziś o wiele lepiej niż wtedy, nie? Co ja mówię! Raaany, nie dałbym ci więcej niż pięćdziesiąt pięć lat!

Lois znów zaburczało w żołądku, tym razem głośniejsze. I nadal studiowała dłonie.

- Ale czuję się sporo starszy - powiedział Ralph. - Słuchaj, Trig, miło było cię spotkać, ale powinniśmy już...

- Cholera! - Trigger z napięciem wpatrywał się w przestrzeń. - Chciałem ci coś powiedzieć, wiesz, Ralph? No, chciałem... coś o tamtym dniu... Rany, ale ze mnie durny piernik, nie?

Ralph czekał jeszcze przez chwilę, trochę zniecierpliwiony, a trochę zaciekawiony.

- Co, do diabła? - spytał sam siebie Vachon, wpatrzony w dach swej budki, jakby odpowiedź tam była wypisana.

- Ralph, powinniśmy ruszać - przypomniała mu Lois. - Nie chodzi tylko o śniadanie, pamiętasz.

- Oczywiście, masz rację. - Ralph ruszył powoli. - Jeśli ci się przypomni, Trig, zadzwoń, dobra? Jestem w książce telefonicznej. Miło było cię znów zobaczyć.

Trigger Vachon zlekceważył go całkowicie, jakby już w ogóle zapomniał o istnieniu Ralpa Roberta.

- Czy to coś, co widzieliśmy? - spytał sufitu. - Czy coś, co zrobiliśmy...

Gapił się w górę i drapał krótkie włoski na karku, gdy Ralph skręcił w lewo, pomachał mu na pożegnanie i skierował oldsmobile'a ku niskiemu ceglanemu budynkowi Ośrodka Opieki nad Kobietami.

Teraz, w pełnym słońcu, budynku strzegł tylko jeden strażnik, demonstrantów zaś nie było - ani jednego. Ralphowi przypomniały się wszystkie książki o przygodach w tropikalnych dżunglach, które przeczytał jako chłopak. A zwłaszcza te ich fragmenty, kiedy bębny krajowców przestawały bić i bohater - Jon Hall albo Frank Buck - odwracał się do dowódcy tragarzy i mówił, że mu się to nie podoba, że mu się to wcale nie podoba. Strażnik wyjął spod pachy podkładkę do papierów, zerknął na oldsa i zapisał coś, najprawdopodobniej numer rejestracyjny. Potem powoli ruszył w ich kierunku zaśmieconą liśćmi dróżką.

O tej godzinie poranka Ralph mógł przebierać w dziesięciominutowych miejscach parkingowych poza parkingiem, z dala od budynku. Wybrał jedno, wysiadł, obszedł samochód i otworzył drzwi przed Lois. Tak został wytrenowany.

- Jak masz zamiar to załatwić? - spytała, ujmując jego dłoń i opierając się na niej przy wysiadaniu.

- Prawdopodobnie będziemy musieli pograć sprytnie, i nie dajmy się ponieść, dobrze?

- Doskonale. - Gdy przechodzili przez parking, Lois nerwowo wygładzała płaszcz, do strażnika zaś uśmiechnęła się szerokim, wręcz olśniewającym uśmiechem. - Dzień dobry, panie władzo - powiedziała rażno.

- Dzień dobry. - Strażnik zerknął na zegarek. - Nie ma tu jeszcze nikogo oprócz recepcjonistki i sprzątaczk.

- Chcemy się zobaczyć właśnie z recepcjonistką - oznajmiła radośnie Lois. Dla Ralpa była to kompletna nowość. - Z Barbie Richards. Jej ciotka, Simone, ma dla niej bardzo ważną wiadomość. Bardzo ważną. Proszę jej tylko powiedzieć, że czeka na nią Lois Chasse.

Strażnik przemyślał to sobie, po czym skinął głową w kierunku drzwi.

- Nie ma sprawy, proszę pani. Możecie państwo wejść do środka.

Lois uśmiechnęła się jeszcze promiennie).

- To nie potrwa nawet dwóch minut, prawda, Norton?

- Najwyżej półtorej - zgodził się Ralph, a kiedy zostawili już strażnika za sobą i

wchodzili do budynku, pochylił się i szepnął: - Norton? Boże Świąty, Lois, dlaczego Norton?

- Nic innego nie przyszło mi do głowy. Chyba myślałam o „The Honeymooners”, no wiesz, Ralph i Norton. Pamiętasz?

- Pamiętam. „Któregoś dnia, Alice... och, będzie wspaniale”!

Dwoje z trojga drzwi było zamkniętych, lecz te po lewej ustąpiły po naciśnięciu klamki. Ralph ścisnął dłoń Lois, a ona w odpowiedzi ścisnęła jego rękę. W tej samej chwili poczuł, jak się koncentruje, jak jego wola i świadomość skupiają się, wyostrzają. Oko otaczającego go - otaczającego ich - świata jakby mrugnęło, a potem otwarło się szeroko.

Hol był niemal ostentacyjnie zwyczajny. Na ścianach wisiały plakaty, głównie z rodzaju tych, które agencje turystyczne rozsyłają za cenę znaczka pocztowego. Jedynym wyjątkiem był ten wiszący na prawo od stanowiska recepcjonistki. Czarno-biały, przedstawiał fotografię kobiety w obszernej ciężowej sukni, siedzącą na barowym stołku ze szklanką martini w dłoni. W CIAŻY NIGDY NIE PIJESZ SAMA - głosił umieszczony u dołu podpis. Nic nie wskazywało na to, że w sali lub salach, gdzieś za tym przyjemnym wnętrzem sugerującym, że to siedziba zamożnej korporacji finansowej, dokonuje się aborcji na życzenie.

No, bo i czego się spodziewałeś?-pomyślał Ralph. Reklamy?

Plakatów z abortowanymi płodami w żelaznych wiadrach pomiędzy reklamami letnich wakacji na Capri i zimowych we włoskich Alpach? Człowieku, bądź poważny!

Nie opodal tęga, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta zmywała blat szklanego stolika do kawy; obok niej stał wózek z różnymi środkami czystości, ściereczkami i drobiazgami. Otaczała ją granatowa aura z czarnymi kropeczkami poruszającymi się jak jakieś dziwne owady w okolicy serca i płuc. Kobieta patrzyła na nich z nie ukrywaną podejrzliwością. A wprost przed nimi, inna kobieta przyglądała im się również uważnie, lecz bez podejrzliwości sprzątaczkii. Ralph rozpoznał ją z wywiadu w telewizyjnych wiadomościach po demonstracji z rzucaniem lalkami.

Siostrzenica Simone Castonguay była brunetką w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat. Nawet o tak wczesnej godzinie wyglądała na skończoną piękność. Siedziała za prostym szarym biurkiem, stanowiącym wspaniałą ramę dla jej urody. Otaczała ją żywa zielona aura, znacznie chyba zdrowsza niż aura sprzątaczkii. Na biurku stała kryształowa waza z bukietem jesiennych kwiatów.

Barbara Richards uśmiechnęła się do nich z wahaniem, najwyraźniej nie poznając Lois. Palcem pokazała wiszący na ścianie zegar.

- Otwieramy dopiero o ósmej - oznajmiła - a i tak nie sądzę, byśmy mogli dziś

państwu pomóc. Wszyscy lekarze mają dzień wolny, to znaczy z wyjątkiem doktor Hamilton, ale nie jestem nawet pewna, czy mogłabym ją znaleźć. Strasznie dużo się tu dzieje, to dla nas bardzo ważny dzień.

- Wiem - powiedziała Lois, jeszcze raz uścisnęła dłoń Ralpa i puściła ją. Przez chwilę jej głos rozbrzmiewał mu w mózgu, słaby jak kiepskie telefoniczne połączenie międzynarodowe, lecz słyszalny:

[Zostań tu. Ona...]

Lois przesłała mu także obraz - znacznie mniej czytelny niż słowa - który znikł zresztą, zanim Ralph zdołał go rozszyfrować. Tego rodzaju komunikacja była jednak znacznie wygodniejsza na wyższych poziomach. Niemniej to, co zobaczył i usłyszał, wystarczyło. Dłoń, którą Barbie Richards wskazywała zegar, leżała teraz na blacie, druga ręka znajdowała się jednak pod blatem, spoczywając lekko na białym przycisku umieszczonym na ścianie biurka, obok jej kolan. Gdyby którekolwiek z nich zachowało się choćby odrobinę podejrzanie, przycisnęłaby ten przycisk, wzywając najpierw ich przyjaciela, strażnika przed wejściem, a potem resztę prywatnych ochroniarzy z całego Derry.

I to mnie obserwuje szczególnie podejrzliwie, ponieważ jestem mężczyzną, pomyślał Ralph.

Na widok Lois podchodzącej do recepcjonistki Ralpa nawiedziła niepokojąca myśl. Biorąc pod uwagę atmosferę w Derry, tego rodzaju dyskryminacja płci - nieświadoma, ale przecież rzeczywista - mogła przyczynić pięknej ciemnowłosej kobiecie kłopotów, mogła ją nawet zabić. Pamiętał słowa Leydeckera - jeden ze wsporników w szaleństwie Eda był kobietą. „Błada cera”, powiedział mu Leydecker, „mnóstwo pryszczy i okulary tak grube, że oczy za nimi wyglądają jak jajka sadzone”. Sandra Jakaśtam - tak nazywała się ta kobieta. Gdyby Sandra Jakaśtam zbliżała się do jej biurka tak, jak teraz podchodziła do niego Lois, najpierw otwierając torebkę, a potem wkładając do niej rękę, czy piękna Barbie nacisnęłaby biały guzik?

- Najprawdopodobniej nie pamiętasz mnie, Barbaro - powiedziała Lois - bo nieczęsto widywałyśmy się od czasu, kiedy byłaś na studiach i chodziłaś z tym chłopakiem Sparkmayerów...

- O mój Boże! Lennie Sparkmayer! Od lat nawet o nim nie pomyślałam. - Barbara Richards zaśmiała się zażenowana. - Ale pamiętam ciebie. Jesteś Lois Delancey. Przyjaciółka od pokerka cioci Simone. Nadal grywacie, dziewczęta?

- Chasse, nie Delancey, i tak, nadal grywamy. - Lois sprawiała wrażenie szczerze zachwyconej tym, że Barbara ją pamięta, i Ralph się zaniepokoił, czy nie zapomni, po co tak

naprawdę tu przyjechali. Ale niepotrzebnie się martwił. - No więc, Simone przysłała mnie z wiadomością dla Gretchen Tillbury. - Wyjęła z torebki złożoną karteczkę. - Sądziłam, że będziesz mogła jej to przekazać.

- Bardzo wątpię, czy uda mi się nawet porozmawiać dziś z Gretchen przez telefon. Jest zajęta, jak my wszystkie. Nawet bardziej.

- No pewnie! - Lois roześmiała się wesoło i zdumiewająco autentycznie. - Ale chyba nie musisz się śpieszyć. Gretchen ma po prostu siostrzeńca, który właśnie dostał pełne stypendium na New Hampshire. Zauważyłaś może, jak ludzie o wiele bardziej starają się skontaktować z kimś, kiedy mają dla niego złą wiadomość? Dziwne, prawda?

- No... chyba tak. - Barbie wyciągnęła rękę po karteczkę. - W każdym razie będę szczęśliwa, mogąc przekazać Gretchen...

Lois złapała ją za przegub. Błysk szarego światła - tak jaskrawy, że Ralph musiał przymknąć oczy - przebiegł po ręce, ramieniu i szyi Barbie Richards, zawirował jej nad głową niczym aureola i znikł.

Nie, nie znikł, pomyślał Ralph. Nie znikł, tylko... wsiąkł.

- Co to było? - spytała podejrzliwie sprzątaczką. - Co to za huk?

- W jakimś samochodzie strzeliło z gaźnika - pośpieszył z wyjaśnieniem Ralph. - Nic wielkiego.

- Aha! Cholerni mężczyźni, zawsze wszystko wiedzą lepiej. Słyszałaś to, Barbie?

- Słyszałam. - Jej głos wydał się Ralphowi całkiem normalny, wiedział też, że nikt oprócz niego i Lois nie dostrzeże perłowszarej mgły, która zasnęła oczy recepcjonistki. - On chyba ma rację, ale może poszłabyś sprawdzić, co na to Peter? Musimy być bardzo ostrożne.

- Cholernie - przytaknęła sprzątaczką, odłożyła pojemnik płynu do mycia szkła, ruszyła w kierunku drzwi (po drodze obrzucając Ralpha ponurym spojrzeniem, mówiąc wyraźnie: „Jesteś stary, ale niech mnie cholera, jeśli gdzieś tam nie chowasz penisa”) i wyszła.

Gdy tylko znikła, Lois przechyliła się ponad biurkiem.

- Barbaro, mój przyjaciel i ja musimy dziś rano porozmawiać z Gretchen. Twarzą w twarz - powiedziała.

- Nie ma jej tu. Jest w schronisku „Na Zboczu”.

- Powiedz nam, jak tam dojechać.

Recepcjonistka obróciła wzrok na Ralpha. Jej oczy, szare, bez źrenic, wydały mu się niepokojące i trochę straszne - zupełnie jak u klasycznej rzeźby, która jakimś cudem ożyła. Ciemnozielona aura była wyraźnie bledsza.

Nie. Tylko na krótko zasłoniła ją szarość Lois. To wszystko.

Lois rozejrzała się szybko, powiodła wzrokiem za utkwionym w jej przyjacielu spojrzeniem i znów spojrzała na Barbie Richards.

- Tak, jest mężczyzną, ale jest w porządku. Daję słowo. Nie chcemy zrobić krzywdy ani Gretchen, ani żadnej z kobiet w „Na Zboczu”, ale musimy z nią porozmawiać. Więc powiedz nam, jak tam dojechać! - Znów dotknęła dłoni recepcjonistki, znów błysnęła szarość.

- Nie skrzywdź jej - zaniepokoił się Ralph.

- Nie skrzywdzę, ale musi nam powiedzieć. - Lois pochyliła się nad Barbarą Richards.

- Gdzie to jest? Powiedz, Barbaro!

- Wyjedźcie z Derry drogą trzydzieści trzy. Old Newport Road. Jakies osiemnaście kilometrów dalej po lewej zobaczycie duży czerwony dom na farmie. Za nim stoją dwie stodoły. Miniecie go i skróćcie w pierwszą drogę w lewo...

Sprzątaczką wróciła.

- Peter nic nie słyszał... - powiedziała i przerwała nagle. Być może nie spodobało się jej to, jak Lois pochylała się nad biurkiem, może nie spodobał się jej nieprzytomny wzrok jej przyjaciółki.

- Barbaro? Nic się...

- Niech pani będzie cicho - poprosił ją Ralph spokojnie, przyjacielsko. - Rozmawiają.

- Ujął ramię sprzątaczkę tuż nad łokciem i poczuł krótkotrwały, lecz potężny przepływ energii. Przez chwilę kolory świata rozbłysły jeszcze jaskrawiej. Sprzątaczką nazywała się Rachel Andersen. Była raz zamężna, mąż bił ją mocno i często, dopóki osiem lat temu nie odszedł i słuch o nim zaginął. Teraz miała psa, przyjaciółki w ośrodku i to jej starczało do szczęścia.

- Och, oczywiście - powiedziała rozmarzonym głosem. - Gawędzą sobie i Peter mówi, że wszystko w porządku, więc pewnie lepiej, żebym się nie odzywała.

- No właśnie. - Ralph nadal lekko trzymał ją za ramię. Lois rozejrzała się sprawdzając, czy sytuacja nie wymknęła

się przypadkiem spod kontroli, po czym znów obróciła się ku Barbarze.

- Mamy skrócić w lewo za czerwonym domem i dwoma stodołami. Dobrze, rozumiem. Co dalej?

- Znajdziecie się na drodze gruntowej. Prowadzi pod górę, długo, jakies dwa i pół kilometra, i kończy się przed białym domem farmerskim. To jest właśnie schronisko „Na Zboczu”. Mają stamtąd doprawdy wspaniałe widoki...

- Tak, oczywiście. Barbaro, bardzo się cieszę, że znowu się spotkałyśmy. A teraz mój

przyjacieli i ja...

- Mnie również było bardzo miło - stwierdziła recepcjonistka obojętnym, martwym głosem.

- Teraz już sobie pójdziemy. Wszystko jest w porządku.

- Doskonale.

- Nie będziesz pamiętać niczego, co tu zaszło.

- Niczego.

Lois ruszyła w kierunku Ralpa, ale odwróciła się jeszcze i zabrała karteczkę papieru, która upadła na biurko, kiedy chwyciła za przegub Barbarę Richards.

- Może wrócisz do pracy, Rachel - zaproponował sprzątacze Ralph. Ostrożnie puścił jej ramię, gotów uchwycić je ponownie, gdyby jej zachowanie tego wymagało.

- Tak, chyba lepiej wrócę do pracy - powtórzyła sprzątaczką. Jej głos brzmiał nieco bardziej przyjaźnie. - Chcę skończyć do dwunastej, żeby pojechać do schroniska i pomóc im robić transparenty.

Odeszła w kierunku wózka, Lois tymczasem dołączyła do Ralpa. Sprawiała wrażenie zdumionej i nieco roztrzęsionej.

- Nic się im nie stanie, prawda, Ralph?

- Jestem pewien, że nic się im nie stanie. A co z tobą? Nie masz zamiaru zemdleć czy coś w tym rodzaju?

- Nic mi nie będzie. Zapamiętałeś wskazówki Barbie?

- Oczywiście. Kiedyś nazywało się to „Sad Barretta”. Jeździliśmy tam z Carolyn co roku, na jesieni. Zbieraliśmy jabłka i kupowaliśmy cydr, póki farmy nie sprzedano w latach osiemdziesiątych. Tylko pomyśleć, że tam jest ten dom!

- Dziwić możesz się później, Ralph. Ja naprawdę umieram z głodu.

- Dobrze. A przy okazji, co to za kartka? No, ta z wiadomością o siostrzeńcu i stypendium w New Hampshire?

Lois uśmiechnęła się szeroko, wręczając mu karteczkę. Był to formularz rachunku za światło, za wrzesień.

- I co, zdołaliście państwo zostawić wiadomość? - spytał strażnik, kiedy znaleźli się na dworze.

- Tak, dziękujemy - odparła Lois, znów włączając ten swój olśniewający uśmiech. Nie zatrzymała się jednak i mocniej ścisnęła dłoń Ralpa, który dobrze wiedział, co czuła. On sam też nie miał najmniejszego pojęcia, jak długo działać będzie sugestia, którą narzucili dwóm kobietom.

To świetnie. - Strażnik ruszył razem z nimi dróżką przez trawnik. - Czekają nas wszystkich długi, bardzo długi dzień - zwierzył się. - Będę bardzo szczęśliwy, kiedy już się skończy. Wiecie, ilu funkcjonariuszy będzie tu od południa aż do północy? Dwunastu. Dwunastu tylko tutaj. Pod Centrum Obywatelskim ma być przeszło czterdziestu... oczywiście oprócz miejscowych glin. A w dodatku gówno to pomoże, pomyślał Ralph.

- I po co to wszystko? Żeby jedna napalona blondyna mogła się wygadać. - Strażnik zerknął na Lois, jakby się spodziewał, że natychmiast nazwany zostanie męską szowinistyczną świnią, ale Lois tylko znów uśmiechnęła się promiennie.

- Mam nadzieję, że dla pana wszystko ułoży się jak najlepiej - pożegnał strażnika Ralph i oboje poszli w kierunku samochodu. Ruszyli. Ralph pracowicie zawracał spodziewając się, że lada chwila Barbara Richards, Rachel Anderson lub może obie naraz wypadną z gmachu z dzikim błyskiem w oczach, wskazując ich oskarżycielsko palcami. Udało mu się wreszcie skierować maskę oldsa we właściwym kierunku. Westchnął z ulgą. Lois spojrzała na niego i westchnęła współczująco.

- Uważałem się zawsze za dobrego komiwojażera - stwierdził Ralph - ale nie wiedziałem, że można coś komuś sprzedać tak wspaniale.

Lois uśmiechnęła się tajemniczo, skromnie kładąc ręce na kolanach.

Mijali właśnie garaż szpitala. Nagle z budki wyskoczył Trigger Vachon, wymachując dziko rękami. Ralph pomyślał najpierw, że jednak się im nie udało, że strażnik sprzed ośrodka wyniuchał coś i zadzwonił albo przez radio nakazał Triggerowi ich zatrzymać. Zaraz jednak dostrzegł, że Trigger, choć zdyszany, wydaje się szczęśliwy, w prawej dłoni zaś ścisną bardzo stary i bardzo zniszczony czarny portfel. Przy każdym ruchu wymachującej dziko ręki portfel to składał się, to otwierał niczym bezzębne, kłapiące usta.

- Nie bój się - powiedział, hamując. - Nie wiem, czego chce, ale jestem prawie pewien, że nie będzie robił żadnych trudności. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Nie obchodzi mnie, czego chce! To ja chcę się stąd wreszcie wydostać i coś zjeść. Ralph, jeśli zaczniesz ci pokazywać, jaką rybę złapał, sama przycisnę gaz!

- Amen - zakończył wiedząc doskonale, że Trigger wcale nie ma zamiaru chwalić się wędkarskimi sukcesami. Nadal nie rozumiał wszystkiego, ale jednego był całkiem pewien: nic już nie zdarzało im się przypadkiem. Nic a nic. Cel przeszedł do kontraktacji.

Zatrzymał się obok Triggera i przycisnął guzik opuszczający szybę bocznego okienka po jego stronie. Szyba zapiszczała ostro w proteście przeciw takiemu traktowaniu.

- Heeej, Ralph! - wrzasnął Trigger. - Już myślałem, że mi uciekłeś.

- O co chodzi, Trig? Śpieszymy się trochę i...

- Tak, tak, nie zabiorę wam nawet sekundki. Mam to tu, w portfelu, wiesz? Człowieku, trzymam w nim wszystkie moje papiery i nigdy jeszcze niczego nie zgubiłem.

Otworzył bezzębne usta starego portfela, ujawniając jego zawartość: kilka pogniecionych banknotów, harmonijka zdjęć w celuloidowych oprawkach (i niech go diabli, jeśli Ralph nie dostrzegł na jednym z nich Triga z wielkim pstrągiem) i co najmniej kilkadziesiąt wizytówek, większość wygniecionych, brudnawych i starych. Trigger zaczął je przerzucać z wprawą kasjera liczącego gotówkę.

- Ja tam nigdy nie wyrzucam wizytówek - wyznał. - Nadają się świetnie, żeby zapisywać sobie na nich różne rzeczy, lepiej niż notes, no a poza tym są za darmo. Jeszcze sekundkę... sekundkę... no, cholero, gdzieś mi się schowała?

Lois zniecierpliwiona i przestraszona spojrzała na Ralpha i wskazała na drogę. Ralph zignorował zarówno jej spojrzenie, jak gest. Dziwnie mrowiło go w piersi. Oczami wyobraźni widział samego siebie, jak wyciąga wyprostowany palec wskazujący i rysuje nim coś na mgle, która osiadła na przedniej szybie półciężarówki Triggera w ten ciepły dzień, kiedy nagle spadł chłodny deszcz.

- Ralph, pamiętasz chustę, którą miał wtedy na szyi ten Deepneau? Biała z takimi czerwonymi znaczkami?

Tak, pamięta. „Piczolz”, powiedział Ed do Grubego. „Pieprzyłeś matkę i lizałeś jej piczę”. Tak, oczywiście, pamiętał chustę. Oczywiście. Ale to, co na niej widniało, to nie były po prostu znaczki, pozbawiony znaczenia wzorek - to był ideogram albo ideogramy. Nagłe ściśnięcie żołądka poinformowało go, że Trig spokojnie może przestać grzebać w portfelu. Teraz, zaraz może przestać przerzucać wizytówki, bo on, Ralph, wie już, o co tu chodzi. Wie doskonale.

- Byłeś na wojnie, Ralph? Tej wielkiej? Drugiej Światowej?

- Do pewnego stopnia, ale walczyłem głównie w Teksasie. Pojechałem za ocean w początku czterdziestego piątego. Do końca walk trzymali nas na tyłach.

Trigger skinął głową.

- To oznacza Europę - oznajmił. - Na Pacyfiku nie było tyłów. Aż do końca.

- Anglia, potem Niemcy.

Trigger ciągle kiwał głową, bardzo z siebie zadowolony.

- Gdybyś walczył na Pacyfiku, wiedziałbyś, że te znaczki na chuście wcale nie były chińskie.

- Tylko japońskie, prawda? Prawda, Trig?

Trigger jeszcze raz kiwnął głową. W ręku trzymał wizytówkę wyciągniętą spod niego

mnóstwa innych. Na nie zadrukowanej stronie widniał rysunek przypominający znaczki z chusty Eda, podwójny ideogram, który on sam narysował wówczas na szybie.

- O czym wy mówicie? - spytała Lois i w jej głosie nie było już niecierpliwości, tylko najczystszy strach.

- Powinienem się domyślić. - Ralph usłyszał własny, cichy, przerażony głos. - Mimo wszystko powinienem się domyślić.

- Domyślić czego? - Złapała go za ramię i potrząsnęła nim. - Czego?!

Nie odpowiedział. Jak we śnie wyciągnął rękę po wizytówkę. Trigger Vachon nie uśmiechał się już, patrzył na Ralpa poważnie, z troską.

- Przerysowałem to, zanim para zeszła z szyby - powiedział. - No, bo byłem pewien, że kiedyś już widziałem coś podobnego. Mój starszy brat, Marcel, ostatni rok wojny spędził na Pacyfiku. Przywiózł pamiątki, między innymi chustę z identycznymi znaczkami, też czerwonymi. Spytałem go, tak dla pewności, a on zapisał mi to tu, na wizytówce. - Wskazał wizytówkę, którą Ralph trzymał w palcach. - Chciałem ci o tym wspomnieć, kiedy tylko znów cię zobaczę, no, ale wyleciało mi z głowy i strasznie się ucieszyłem, że sobie o tym przypomniałem. Tylko kiedy tak na ciebie patrzę, to myślę, że byłoby lepiej, gdybym sobie nie przypomniał!

- Nie, nie, wszystko w porządku. Lois zabrała mu wizytówkę.

- Co to jest? O co chodzi?

- Później wszystko ci wytłumaczę. - Ralph położył dłoń na dźwigni automatycznej skrzyni biegów. Lois przyglądała się symbolom wypisanym na czystej stronie wizytówki, więc Ralph dowiedział się, do kogo należała. R. H. FOSTER. STUDNIE, CEMBROWINY. U dołu brat Triggera napisał jedno tylko słowo:

KAMIKAZE.

CZEŚĆ TRZECIA
KARMAZYNOWY KRÓL

Jesteśmy staroświeccy, I każdy z nas ma, zamkniętą, brzytwę.

Robert Lowell: „Nastrojowy spacer”

Rozdział 1

Kiedy olds toczył się dostojnie Hospital Drive, Ralph i Lois przeprowadzili krótką, właściwie nawet bardzo krótką, rozmowę.

- Ralph?

Ralph zerknął na Lois i natychmiast obrócił wzrok na drogę. Pod maską coś znów zaczęło postukiwać, ale na razie jeszcze

o tym nie wspomniała. Miał nadzieję, że nie zacznie akurat teraz.

- Ja chyba wiem, gdzie on jest. Ed. Już tam, na dachu, byłam całkiem pewna, że rozpoznaję ten barak, który nam pokazali.

- Jaki barak? Gdzie?

- Garaż samolotowy. Zaraz, jak to się nazywa... hangar?

- O mój Boże! Coastal Air przy Bar Harbor Road? Lois skinęła głową.

- Wynajmują samoloty, latają nad morzem z wycieczkami, tego rodzaju rzeczy. Pewnego razu, kiedy wybraliśmy się na przejażdżkę, pan Chasse poszedł i spytał jednego człowieka, ile kosztowałby nas lot nad wyspami. Ten człowiek powiedział, że czterdzieści dolarów, na co oczywiście nie było nas stać, i w lecie pewnie nie spuściłby ani centa, ale to był zaledwie kwiecień i panu Chasse udało się stargować cenę do dwudziestu dolarów. Myślałam wtedy, że to i tak za duży wydatek, jak na lot trwający niespełna godzinę. Potem cieszyłam się, że poleciliśmy. Bałam się, ale to było takie piękne!

- Jak aury?

- Tak. Tak jak... - Głos się jej załamał. Ralph na moment obrócił głowę, dostrzegł, że po pyzatyach policzkach Lois płyną łzy. - ...Tak jak aury.

- Nie płacz, proszę.

Lois znalazła w torebce papierową chusteczkę. Wytarła nią oczy.

- Nic na to nie poradzę. To japońskie słowo na wizytówce oznaczało „kamikaze”, prawda? „Boski Wiatr”. - Przerwała, usta jej drżały. - Piloci-samobójcy?

Ralph skinął głową. Kurczowo zaciskał ręce na kierownicy.

- Tak - potwierdził. - Piloci-samobójcy.

Droga 33, znana w mieście pod nazwą Newport Avenue, przechodziła o cztery przecznice od Harris Avenue, Ralph nie miał jednak najmniejszego zamiaru przerywać podróży tu, po zachodniej stronie miasta, a to z powodu równie prostego jak ostatecznego:

oboje nie mogli się pokazać żadnemu ze starych przyjaciół. W końcu wyglądali dziś o dobre dwadzieścia lat młodziej niż we wtorek.

Czy ktoś spośród owych starych przyjaciół doniósłby policji o ich zaginięciu? Całkiem możliwe, Ralph miał jednak nadzieję, że na razie udało się im uniknąć rozgłosu, przynajmniej wśród znajomych. Być może Faye wraz z resztą towarzystwa zbierającego się na terenie piknikowym będzie zbyt zajęty zejściem nie jednego, lecz dwóch Pierników, by marnować czas na spekulacje, gdzie to Ralph Roberts ruszył swój chudy tyłek.

I Bili, i Jimmy zostali już pewnie pożegnani, spaleni i pochowani, pomyślał.

- Jeśli mamy czas na śniadanie, to zacznij się rozglądać za odpowiednim miejscem. Jestem tak głodna, że zjadłabym konia z kopytami. Dosłownie.

Odjechali już prawie dwa kilometry od szpitala - dość, by poczuć się względnie bezpiecznie - a przed nimi, jak na zamówienie, pojawiła się „Biesiada w Derry”. Ralph wrzucił migacz i skręcił na parking. Nagle uświadomił sobie, że nie był tu od czasu, kiedy Carolyn zachorowała. Może od roku, może nawet dłużej.

- No to dojechaliśmy - powiedział. - Lepiej zjedzmy więcej niż śniadanie, najedzmy się za wszystkie czasy! Być może nie będzie dziś okazji do drugiego posiłku.

Lois uśmiechnęła się niczym licealistka.

- Przekonasz się, że do tego mam akurat wielki talent. - Poruszyła się lekko na siedzeniu. - Muszę także wydać parę centów.

Ralph tylko skinął głową. Nie jedli od wtorku i od wtorku nie byli w toalecie. Lois mówiła o centach, on miał zamiar znaleźć męski przybytek i pozbyć się co najmniej paru dolarów!

- Idziemy - powiedział, przekręcając kluczyk w stacyjce. Silnik ucichł, a wraz z silnikiem ucichł także ów niepokojący klekot spod maski. - Najpierw łazienka, potem stolik.

Po drodze Lois zwierzyła mu się (głosem, jego zdaniem, nieco zbyt beztroskim), że nie sądzi, by Mina albo Simone doniosły o jej zaginięciu policji, a nawet jeśli, to w każdym razie nieprędko. Kiedy spytał ją, skąd to przekonanie, ze zdumieniem i rozbawieniem stwierdził, że Lois rumieni się aż po czubek głowy.

- Obie wiedzą, że podkochuję się w tobie od lat.

- Żartujesz!?

- Oczywiście, że nie żartuję! - W jej głosie wyraźnie pobrzmiewała lekka uraza. - Carolyn też o tym wiedziała. Niektórym, babom to przeszkadza, ale ona zdawała sobie sprawę, że jestem zupełnie nieszkodliwa. Była taką wspaniałą kobietą!

- Oczywiście, była.

- No, a Simone i Mina myślą pewnie, że wyjechaliśmy...

- Wyjechaliśmy na... majówkę? Lois roześmiała się.

- No, coś takiego.

- A ty miałabyś ochotę na coś takiego?

Lois wspięła się na palce i pocałowała go w ucho.

- Jeśli przeżyjemy dzisiejszy dzień, będziesz mógł zapytać mnie o to jeszcze raz.

Ralph pocałował ją delikatnie.

- Zapytam na pewno.

Za drzwiami rozeszli się, a kiedy się spotkali znowu, Lois sprawiała wrażenie zamyślanej i nieco wstrząśniętej.

- To nie mogę być ja - powiedziała cicho. - No... przez dobre pięć minut przyglądałam się sobie w lustrze i nadal nie wierzę, że to ja! Kurze łapki w kącikach oczu znikły, a... a włosy... - Ciemne, hiszpańskie oczy spojrzały mu w twarz, błyszczące i zdumione. - Ty też! Mój Boże, wątpię, czy wyglądałeś tak dobrze mając czterdzieści lat!

- Nie, nie wyglądałem, ale szkoda, że nie widziałaś mnie przed trzydziestką! Prawdziwe zwierzę to ja!

Lois zachichotała.

- Chodź, wariacie, zmordujemy parę kalorii.

- Lois?

Lois podniosła na niego wzrok znad menu, wybranego z prawdziwej ich kolekcji złożonej pomiędzy solniczką a pieprzniczką.

- Kiedy byłem w łazience, próbowałem przywołać aury. I tym razem mi się nie udało.

- A dlaczego w ogóle chciałeś je przywołać? Wzruszył ramionami. Nie marzył o tym, żeby jej opowiadać

o paranoicznym uczuciu, które go nawiedziło, kiedy stał przy umywalce maleńkiej toalety, w poplamionym kroplami wody lustrze obserwując swoją przedziwnie odmłodniałą twarz. Nagle wydało mu się, że wcale nie jest sam. Gorzej, wydało mu się też, że Lois, przebywająca akurat za ścianą, wcale nie musi być sama, że być może tuż za jej plecami stoi niewidzialny Atropos; kolczyki w maleńkich uszach lśnią odbitym światłem, w wyciągniętej ręce trzyma zardzewiały skalpel...

Nagle, zamiast kolczyków Lois i panamy Billa McGoverna, oczami wyobraźni dostrzegł skakankę, przez którą Atropos skakał, kiedy udało mu się dostrzec go po raz pierwszy

(raz dwa trzy pchły na spacer szły)

na zachwaszczonej alejce między piekarnią a solarium, skakankę będącą niegdyś ukochaną zabawką małej dziewczynki, która poślizgnęła się podczas zabawy w chowanego w mieszkaniu, wypadła z okna i skręciła kark (co za straszny wypadek, miała przed sobą całe życie, jeśli Bóg istnieje, to czemu pozwala na takie nieszczęścia, i tak dalej, i tak dalej, nie wspominając już o ple, ple, ple i innych takich).

Ralph powiedział sobie „dość”. Sprawy szły i tak źle, nawet bez pomocy wyobraźni podsuwającej mu przed oczy okropny obraz Atroposa, który przecina wstążkę Lois. Niewiele to jednak pomogło... Wiedział, iż Atropos może być z nimi w restauracji, że Atropos może im zrobić, co tylko zapragnie.

Co tylko zapragnie.

Lois wyciągnęła rękę ponad stołem i leciutko dotknęła jego dłoni.

- Nie martw się - pocieszyła go. - Kolory wrócą. Zawsze wracają.

- Chyba masz rację. - Ralph wziął menu i przyjrzał się zestawom śniadaniowym. Na pierwszy rzut oka miał ochotę zamówić wszystkiego po trochu.

- Po raz pierwszy zauważyłeś, że Ed zachowuje się jak szaleniec, kiedy wyjeżdżał z lotniska, tak? Teraz wiemy, co tam robił. Brał lekcje pilotażu.

- Oczywiście. Kiedy Trig odwoził mnie na Harris Avenue, wspomniał nawet, że do bramy trzeba mieć specjalną kartę. Spytał, czy wiem, jak udało się ją zdobyć Edowi. Powiedziałem, że nie wiem. No, to teraz się dowiedziałem. Muszą dawać je wszystkim uczniom General Aviation.

- A jak sądzisz, czy Helen wiedziała o tym jego hobby? Pewnie nie, prawda?

- Jestem pewien, że nie wiedziała. Jestem pewien, że przeniósł się do Coastal Air zaraz po tym, jak wpadł na Grubego z West Side Gardeners. Musiał sobie uświadomić, że traci kontrolę nad sytuacją i dobrze zrobi, jeśli będzie brał lekcje latania nieco dalej od domu.

- A może to Atropos go przekonał? - spytała Lois bezbarwnym tonem. - Atropos albo ktoś wyżej od niego postawiony?

Ralphowi nie całkiem podobał się ten pomysł, ale musiał przyznać, że jest prawdopodobny. Istoty, pomyślał i zadrżał. Karmazynowy Król.

- Poruszają nim jak laleczką na sznurkach, prawda? - spytała jeszcze Lois.

- Masz na myśli Atroposa?

- Nie. Atropos jest wstrętny, ale poza tym chyba nie różni się od panów K. i L. On tylko sprzęta, może nawet w hierarchii istot stoi niewiele wyżej od zwykłego niewykwalifikowanego robotnika.

- Coś w rodzaju sprzątaczkki?

- Tak - zgodziła się Lois. - Sprzątacze, może dozorca? To on przede wszystkim pracuje nad Edem i założę się o milion, że kocha tę robotę, ale założę się o jeszcze więcej, że rozkazy dostaje z góry. No i co? Sądzisz, że ma to ręce i nogi?

- Oczywiście. Pewnie nie dowiemy się nigdy, jak bardzo Ed był obłąkany, zanim to wszystko się zaczęło, ani kiedy dokładnie Atropos przeciął mu wstążkę, ale najbardziej interesuje mnie w tej chwili bardzo przyziemna kwestia. Chciałbym wiedzieć, jakim cudem zapłacił kaucję za Pickeringa... i za te cholerne lekcje pilotażu.

Pojawiła się kelnerka.

- Co państwo zamawiacie? - spytała.

- Dla mnie omlet z serem i pieczarkami - powiedział Ralph.

- Aha. - Kelnerka zamyśliła się głęboko. - A z dwóch czy z trzech jajek, skarbie?

- Z czterech, jeśli można prosić.

Kelnerka lekko uniosła brwi i zanotowała coś na bloczku.

- Prosić możesz zawsze, skarbie - stwierdziła. - Coś jeszcze?

- Tak, z przyjemnością. Szklanka soku pomarańczowego, duża, i porcja frytek. To znaczy podwójna porcja frytek. - Ralph przerwał, namyślił się i uśmiechnął. - Aha, a czy jest rolada?

- Chyba jeszcze jest. Z serem i z jabłkami. - Obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem. - Musisz być cholernie głodny, skarbie.

- Czuję się, jakbym nie jadł od tygodnia - przyznał Ralph. - Wezmę kawałek z serem i kawałek z jabłkiem. I na początek proszę kawę. Mnóstwo kawy. Zapisała pani to wszystko?

- Och, oczywiście, wszystko zapisałam, skarbie. Ciekawe, jak ci się uda stąd wyjść.

Kelnerka spojrzała na Lois.

- A co dla pani?

Lois uśmiechnęła się słodko.

- Dla mnie to samo... skarbie.

Ralph spojrzał nad ramieniem odchodzącej kelnerki na zegar ścienny, nastawił zegarek i nakręcił go. Było zaledwie dziesięć po siódmej. Doskonale. Do Sadu Barretta mogą dotrzeć za niespełna pół godziny; z umyśłowymi laserami nastawionymi na Gretchen Tillbury nadal mają szansę uniemożliwić Susan Day występ w Derry - powiedzmy, że mogą go abortować - jeszcze przed dziewiątą. Nie czuł jednak ulgi, tylko ostry, szarpiący niepokój. Jak swędzenie w miejscu, w które nie można się podrapać.

- Dobrze - powiedział. - Spróbujmy złożyć to w jakąś całość. Możemy przyjąć, że Ed interesował się kwestią aborcji

od wielu lat, że od lat popierał „Przyjaciół Życia”. Potem przestał sypiać, zaczął słyszeć głosy...

- ...dostrzegać małych łysych doktorków... - przerwała mu Lois.

- ...a zwłaszcza jednego - zgodził się Ralph. - Atropos został jego guru, opowiadał mu o Karmazynowym Królu, o centurionach i o całej reszcie. Kiedy Ed mówił mi o królu Herodzie...

- ...myślał o Susan Day - skończyła za niego Lois. - Atropos... jak to się teraz mówi?... Atropos go sobie ustawił. Zmienił go w raketę samosterującą. Jak myślisz, skąd Deepneau ma tę chustę?

- Od Atroposa - powiedział bez wahania Ralph. - Założę się, że Atropos ma mnóstwo tego rodzaju drobiazgów.

- A jak myślisz, co zabierze do samolotu? - Głos Lois drżał. - Materiały wybuchowe czy gaz?

- Materiały wybuchowe są znacznie bardziej prawdopodobne, silny wiatr sprawiłby mu mnóstwo kłopotów, gdyby wziął gaz. - Ralph podniósł szklankę z wodą; z czymś w rodzaju zainteresowania stwierdził, że dłoń mu drży. - Z drugiej strony nie wiemy, co upichcił w swoim domowym laboratorium, prawda?

- Nie - przyznała cicho Lois. Ralph odstawił szklankę.

- To, czego pragnie użyć, nie powinno nas aż tak bardzo interesować - oświadczył.

- A co powinno?

Kelnerka przyniosła świeżo zaparzoną kawę. Sam jej zapach rozpałił nerwy Ralpha niczym neony. Oboje złapali za filiżanki, zaczęli pić, zanim kelnerka się odwróciła. Mocna gorąca kawa oparzyła Ralphowi wargi, ale i tak czuł się jak w niebie. Kiedy odstawił filiżankę, była opróżniona do połowy, w brzuchu zaś czuł ciepło, jakby połknął żarzący się węgielek. Lois patrzyła na niego poważnie znad krawędzi filiżanki.

- Mnie interesuje najbardziej, co z nami - oznajmił Ralph. - Powiedziałaś, że Atropos zmienił Eda w raketę samosterującą. Słusznie, piloci kamikaze z Drugiej Wojny Światowej byli właśnie takimi raketami. Hitler miał swoje V-2, Hirochito swój „Boski Wiatr”. Niepokoi mnie, że Kloto i Lachesis zrobili nam dokładnie to samo! Naładowali nas mnóstwem różnych cudów i zaprogramowali na lot do „Na Zboczu” w moim starym gracie. Mam uniemożliwić występ Susan Day. Doskonale! Chciałbym tylko wiedzieć dlaczego?

- Przecież wiemy dlaczego - zaprotestowała Lois. - Jeśli mu nie przeszkodzimy, podczas przemówienia Susan Day Ed popełni samobójstwo... zabierając ze sobą dwa tysiące ludzi!

- Oczywiście. I zrobimy co w naszej mocy, żeby mu przeszkodzić, nie bój się. - Ralph skończył kawę i odstawił filiżankę. Żołądek całkiem się już obudził, wręcz błagał o jedzenie.

- Nie potrafiłbym stać z boku, patrzeć, jak Ed zabija tych ludzi... tak samo jak nie potrafiłbym stać, patrzeć na lecącą mi w twarz piłkę baseballową i nie uchylić się. Tyle że nie mieliśmy okazji przyjrzeć się temu, co było napisane na końcu umowy, małym drukiem. Tego się trochę obawiam. - Przerwał na chwilę. - I to mnie wkurza - dokończył.

- O co ci chodzi?

- O to, że ci mali goście pociągają za sznurki, jakbyśmy byli jakimiś cholernymi pajacami! My wiemy, dlaczego próbujemy nie dopuścić do występu Susan Day. Nie możemy znieść myśli o śmierci setek niewinnych ludzi. Ale nie wiemy, dlaczego oni chcą, żebyśmy przeszkodzili Edowi! I tego się boję.

- Mamy szansę uratować dwa tysiące ludzkich istnień. Czy chcesz powiedzieć, że to wystarczający powód dla nas, ale dla nich?

- Właśnie to chcę powiedzieć. Nie sądzę, żeby liczby wywierały na tych facecikach większe wrażenie, zgarniają nas przecież nie tyle dziesiątkami czy setkami tysięcy, co wręcz milionami. I od lat przyglądają się, jak Cel i Przypadek wałą w nas jak w bęben.

- Nieszczęścia. Jak pożar w Coconut Grove albo powódź sprzed ośmiu lat tu, w Derry.

- Racja, ale to dla nich błahostka w porównaniu z tym, co może się zdarzyć... co dzieje się każdego roku na świecie. Powódź osiemdziesiątego piątego w Derry zabiła wprawdzie dwieście dwadzieścia osób, ale na wiosnę tego roku powódź w Pakistanie zabiła trzy i pół tysiąca ludzi, a ostatnie wielkie trzęsienie ziemi w Turcji cztery tysiące. A co z tą awarią reaktora atomowego w Rosji? Czytałem gdzieś, że szacunkowa liczba ofiar tej katastrofy wynosi siedemdziesiąt tysięcy. To mnóstwo kapeluszy, skakanek i... i okularów... Lois. - Ralph przeraził się. Omal nie powiedział: „kolczyków”.

- Daj spokój. - Lois zadrżała.

Nie lubię o tym myśleć, ale myśleć musimy, choćby dlatego, że ci dwaj goście bardzo nas od myślenia odmawiali. Rozumiesz już, do czego zmierzam? Z pewnością wielkie tragedie zawsze były domeną Przypadku. Dlaczego tym razem jest inaczej?

- Nie wiem - przyznała Lois - ale jeśli to takie ważne, że doktorkowie uznali za stosowne wciągnąć nas do współpracy, to musi być bardzo ważne.

Ralph skinął głową. Kofeina działała; w głowie mu się rozjaśniło, palce - choć bardzo delikatnie - drżały.

- I na pewno jest. A teraz przypomnij sobie, co się działo na dachu szpitala. Czy kiedykolwiek w życiu udało ci się spotkać dwóch gości, którzy wyjaśniliby ci tyle,

praktycznie niczego nie wyjaśniając?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedziała Lois, ale coś w wyrazie jej twarzy upewniło Ralpa, że raczej nie chce zrozumieć.

- Myślę o tym, co jest chyba najważniejsze: może i nie mogą kłamać. Załóżmy, że nie mogą. Jeśli coś wiesz, chcesz to coś zataić i nie potrafisz skłamać, to co robisz?

- Próbuję sterować z daleka od niebezpieczeństwa. Albo niebezpieczeństw.

- Doskonale! Czy nie kojarzy ci się to z zachowaniem doktorków?

- No... dobrze, doskonale, próbowali sterować rozmową, ale ty przeszkadzałeś im jak mogłeś, Ralph. Zaimponowałeś mi, zadając te wszystkie pytania. Ja chyba spędziłam większość czasu, próbując przekonać samą siebie, że to się naprawdę dzieje.

- Jasne, zadawałem pytania, mnóstwo pytań, ale... - przerwał nie bardzo wiedząc, jak wyrazić coś, co wydawało mu się jednocześnie bardzo skomplikowane i dziecinnie wręcz proste. Po raz kolejny spróbował przenieść się na wyższy poziom, czekał, aż pojawi się znajome wrażenie mrugnięcia, wiedział, że jeśli uda mu się dosięgnąć jej umysłu, prześle obraz jasny i krystalicznie czysty. Ale nic z tego nie wyszło..Zły i sfrustrowany tylko zabębnił palcami po obrusie.

- Byłem tak samo zdumiony jak ty - powiedział w końcu. - A jeśli moje zdumienie ujawniło się w formie pytań, to tylko dlatego, że mężczyzn, w każdym razie mężczyzn z mojego pokolenia, nauczono, że nie wolno im achać i ochać. Że to domena kobiet, które wybierają materiał na zasłony.

- Seksista. - Lois uśmiechnęła się, ale tego uśmiechu Ralph nie potrafił odwzajemnić. Przypomniał sobie Barbie Richards. Gdyby to on się do niej zbliżył, prawie na pewno

przycisnęłaby guzik pod biurkiem. Ponieważ zamiast niego podeszła Lois, nie włączyła alarmu, bo nasłuchiwała się wszystkich tych bzdur: „siostró” to i „siostró” tamto.

- Tak - powiedział. - Jestem seksistą, jestem staroświecki i czasami wpędza mnie to w kłopoty.

- Ralph, nie chciałam...

- Wiem, czego chciałaś. Wszystko w porządku, Lois. Próbuję tylko powiedzieć, że byłem tak samo zdumiony, tak samo oszołomiony, jak ty. Zadawałem pytania... i co z tego? Czy to były dobre pytania? Trafiające w sedno pytania?

- Chyba nie, co?

- No, na początku może wcale nie szło mi najgorzej. O ile dobrze pamiętam, pierwsze pytanie, które zadałem, kiedy znaleźliśmy się na dachu, brzmiało: „Kim jesteście i czego chcecie?” A oni zamiast odpowiedzieć mi po prostu, wdali się we wszystkie te filozoficzne

rozważania. Wyobrażam sobie, że musieli się jednak mocno spocić. Potem zaczęli opowiadać o Celu i Przypadku. Fascynujący temat, ale przecież nic z tego nie było nam potrzebne, by trafić do „Na Zboczu” i skłonić Gretchen Tillbury do odwołania przyjazdu Susan Day. Boże, przecież oszczędzilibyśmy kupę czasu, gdyby tylko dali nam wskazówki, jak dojechać na miejsce - te, które dostaliśmy w końcu od bratanicy Simone.

Lois sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- A wiesz, że masz rację!

- Aha. Kiedy tak sobie sympatycznie rozmawialiśmy, czas uciekał, jak uciekać potrafi tylko wtedy, kiedy jesteś parę poziomów wyżej. A oni bacznie śledzili jego upływ; możesz mi wierzyć. Grali na zwłokę, żeby wyjaśnić, czego od nas chcą dopiero wtedy, kiedy nie będzie już czasu na zadawanie pytań, na które być może woleliby nie udzielać odpowiedzi. Moim zdaniem najbardziej zależało im, żeby całą tę sprawę przedstawić jako coś w rodzaju posłannictwa, zasugerować nam, że chodzi wyłącznie o życie tych dwóch tysięcy ludzi, ale nie mogli tego powiedzieć wprost, bo...

- Bo to już byłoby kłamstwo, a być może oni nie potrafią kłamać.

- Tak. Być może oni nie potrafią kłamać.

- Więc o co im właściwie chodzi, Ralph? Ralph tylko potrząsnął głową.

- Nie mam zielonego pojęcia - stwierdził.

Lois dopiła kawę, ostrożnie odstawiła filiżankę na spodeczek, przez chwilę przyglądała się koniuszkom palców, a potem spojrzała mu wprost w oczy. I znów uderzyła go jej niezwykła piękność - uderzyła i oszołomiła.

- Oni obydwaj byli dobrzy - powiedziała. - Są dobrzy. Czulałam to, bardzo mocno to czulałam. Ty nie?

- Ja też - przyznał Ralph, jakby z niechęcią. Oczywiście, że czuł ich dobroć. Panowie K. i L. byli wszystkim, czym Atropos nie był.

- I masz jednak zamiar powstrzymać Eda? Powiedziałeś, że nie mógłbyś tego nie zrobić, tak jak nie mógłbyś nie uchylić się przed lecącą ci w twarz piłką do baseballu.

- Powiedziałem - przyznał Ralph jeszcze bardziej niechętnie.

- Więc powinienes dać sobie spokój z wszystkimi tymi spekulacjami - powiedziała spokojnie, patrząc swymi czarnymi oczami w jego niebieskie. - Tylko ci przeszkadzają. Zawracają głowę.

Ralph wiedział dobrze, że Lois udzieliła mu rozsądnej rady, mimo wszystko wątpił, czy potrafi po prostu otworzyć zaciśniętą garść i pozwolić wątpliwościom ulecieć w siną dal. Być może trzeba dożyć siedemdziesiątki, by zdać sobie sprawę z trudności w

przewycięzaniu nawyków z dzieciństwa. Był mężczyzną, któremu wpojono, jak być mężczyzną, zanim Adolf Hitler doszedł do władzy, i wciąż należał do generacji mężczyzn, którzy słuchają przez radio H. V. Kaltenborna i Andrews Sisters, i wierzą, że warto przejść dwa kilometry po camela. Tego rodzaju wychowanie niemal wykluczało subtelne moralne rozważania na temat, kto jest dobry, a kto zły. Najważniejsze było: nikt ci nie będzie sypać piaskiem w oczy. Nikt cię nie będzie prowadził za rączkę.

Doprawdy? - spytała Carolyn, spokojna choć z lekka rozbawiona. Jakie to fascynujące! Pozwól jednak, że ja pierwsza wprowadzę cię w pewien drobny sekret, Ralph - takie gadanie jest gównem warte. Było gównem warte, nim jeszcze odszedł Glen Miller, i jest gównem warte dziś. Ale... sama idea, że mężczyzna musi zrobić to, co mężczyzna musi zrobić... w tym pewnie jest odrobina prawdy, nawet dziś i nawet w tym stuleciu. W każdym razie długa jest droga do rajów, nie, skarbie?

A tak, bardzo długa jest droga do rajów.

- Dlaczego się uśmiechasz, Ralph?

Dzięki kelnerce, która pojawiła się akurat z wielką tacą jedzenia, udało mu się uniknąć odpowiedzi na to pytanie.

Dopiero teraz zauważył, że dziewczyna ma przypięty do fartucha znaczek głoszący: **ŻYCIE NIE JEST KWESTIĄ WYBORU!**

- Będzie pani na spotkaniu w Centrum Obywatelskim? - zainteresował się.

- Będę - odparła kelnerka, stawiając tacę na sąsiednim, wolnym stoliku. - Na zewnątrz. Z transparentem. Chodzić w kółko.

- Pani jest przyjaciółką życia? - zainteresowała się Lois. Kelnerka stawiała właśnie przed nimi omlety i resztę zamówienia.

- A żyję? - odpowiedziała pytaniem.

- Z pewnością wygląda pani na taką - stwierdziła uprzejmie Lois.

- Samo to robi chyba ze mnie „przyjaciółkę życia”, prawda? Zabijać kogoś, kto kiedyś może napisać wspaniały poemat albo wynaleźć lekarstwo na AIDS czy raka, mnie tam wydaje się po prostu złe. Więc będę chodziła w kółko z transparentem pilnując, żeby feministki Normy Kamali i volvo-liberałowie widzieli wypisane na nim słowo „morderstwo”. Oni tego słowa nienawidzą. Nie wypowiadają go na przyjęciach i kiedy zbierają fundusze! Państwo chcecie keczupu?

- Nie - powiedział Ralph. Nie mógł oderwać oczu od kelnerki. Widział wokół niej słaby zielony poblask, wydobywający się jakby wprost z porów skóry. Aury wróciły, już wkrótce miały zabłysnąć pełnym blaskiem.

- Druga głowa wyrosła mi, od kiedy ostatni raz spojrziałam w lustro, czy co? - spytała kelnerka, językiem przepychając gumę spod jednego policzka pod drugi.

- Zagapiłem się na panią, prawda? - Ralph poczuł, że się czerwieni. - Przepraszam.

Kelnerka tylko wzruszyła potężnymi ramionami, górna część jej aury zafalowała powoli, fascynująco.

- Próbuję nie dać się ponieść emocjom, rozumiecie, prawda? Na ogół po prostu robię swoje i trzymam gębę na kłódkę, ale nie mam zamiaru rezygnować z własnych przekonań. Wiecie, od kiedy maszeruję wkoło tej ceglanej rzeźni w dzień tak upalne, że tyłek mi się gotuje, i noce tak zimne, że się odmraża?

Oboje potrząsnęli tylko głowami.

- Od osiemdziesiątego czwartego roku. Dziewięć długich lat. I wiecie, co mnie najbardziej denerwuje u tych od „prawa wyboru”?

- Co? - spytała cicho Lois.

- A to, że chcą zakazać posiadania broni, żeby ludzie nie mogli do siebie strzelać, chcą zakazać krzeseł elektrycznych i komór gazowych, bo konstytucja nie pozwala stosować kar cechujących się zbędnym okrucieństwem. To im się nie podoba. Ale chcą pozwolić lekarzom wsadzać odkurzacze w brzuchy kobiet i wyciągać nimi ich nie narodzonych synów i córki. Lekarzom! W kawałkach! To mnie najbardziej denerwuje.

Kelnerka wygłosiła tę przemowę - najwyraźniej dobrze przećwiczoną - nie podnosząc głosu i bez żadnych widocznych objawów gniewu. Ralph słuchał niezbyt uważnie, koncentrując się przede wszystkim na otaczającej ją bladozielonej aurze. Tylko że nie cała aura była bladozielona. Żółtoczarny krąg wirował powoli na wysokości brzucha tej kobiety, po prawej stronie. Przypominał brudne koło wozu.

Wątroba, pomyślał. Coś jest nie tak z jej wątrobą!

- Ale nie chciałaby pani, żeby coś się stało Susan Day, prawda? - Lois przyglądała się kelnerce zmartwiona. - Jest pani bardzo miła i z pewnością by pani tego nie chciała!

Kelnerka westchnęła przez nos, wydmuchując przy tym dwa pasma bladozielonej aury.

- Nie jestem taka miła, na jaką wyglądam, skarbie: Gdyby Bóg coś jej zrobił, pierwsza wzniosłabym ręce do góry z okrzykiem „Niech się dzieje wola Twoja!” Naprawdę, możesz mi wierzyć. Ale jeśli masz na myśli jakiegoś szaleńca, to już zupełnie inna sprawa. Coś takiego poniżyłoby nas wszystkich, ściągnęło na poziom tych, których próbujemy powstrzymać. Ale szaleńcy traktują zupełnie inaczej pewne sprawy. Są dzokerami w talii.

- Tak - powiedział Ralph. - Otóż to. Są dzokerami w talii.

- No, chyba rzeczywiście nie marzę, żeby coś się przytrafiło tej babie. Ale niewykluczone, że się jednak przytrafi. Tak, niewykluczone. I wtedy sama sobie będzie winna. Igra z ogniem, a jak ktoś igra z ogniem, nie powinien płakać, kiedy się poparzy.

Ralph nie był pewien, ile zdoła zjeść po tej wymianie zdań, ale jego apetyt przetrwał szczęśliwie rozmowę z kelnerką i jej

poglądy na aborcję w ogóle, a na Susan Day w szczególności. Aury pomogły; jedzenie nigdy w życiu nie smakowało mu tak wspaniale, nawet kiedy był jeszcze nastolatkiem i jadał pięć albo i sześć posiłków dziennie, oczywiście jeśli było go na nie stać.

Lois dotrzymywała mu kroku, przynajmniej przez jakiś czas, jednak w końcu odsunęła od siebie resztkę frytek i ostatnie dwa kawałki bekonu. Ralph zakończył walkę samotnie i po męsku. Włożył ostatnią parówkę na ostatni kawałek grzanki, przeżuł, połknął i rozparł się na krześle z ciężkim westchnieniem ulgi.

- Aura zrobiła ci się o dwa odcienie ciemniejsza - stwierdziła Lois. - Nie wiem, czy to znaczy, że wreszcie się najadłeś, czy może że zaraz umrzesz z niestrawności.

- Pewnie jedno i drugie. Znów je widzisz, prawda? Skinęła głową.

- Wiesz co? - powiedział. - Ze wszystkich cudów świata najbardziej marzę o drzemce.

- I była to najprawdziwsza prawda. Teraz, kiedy się najadł i ogrzał, cztery miesiące bezsennych nocy zwały się na niego jak worek wypełniony piaskiem. Powieki ciążyły mu jak zanurzone w szybko schnącym cemencie.

- Obawiam się, że akurat teraz to kiepski pomysł - zaniepokoiła się Lois. - Bardzo zły pomysł.

- I chyba masz rację.

Lois już podnosiła rękę sygnalizując, że prosi o rachunek, ale ją opuściła.

- A gdyby tak zadzwonić do twojego przyjaciela policjanta? Leydeckera... tak się nazywa, prawda? Czy on mógłby nam pomóc? I czyby chciał?

Ralph namyślał się chwilę, z trudem pokonując senność, i w końcu z wahaniem potrząsnął głową.

- Chyba nie ośmielę się nawet spróbować. Co możemy mu powiedzieć, żeby się nie dać wciągnąć w tę sprawę? Ale to tylko część problemu. Jeśli zostaniemy wciągnięci... nie tak jak powinniśmy... sytuacja zamiast się poprawić, jeszcze się pogorszy.

- No dobrze. - Lois pomachała na kelnerkę. - Odjeżdżamy stąd ze wszystkimi oknami otwartymi, a po drodze zatrzymamy się w Old Cape, w „Dunkin Donuts”, na dwie największe kawy, jakie piłeś w życiu. Ja stawiam.

Ralph uśmiechnął się. To był szeroki, głupi uśmiech, który mógł się wydać

uśmiechem pijaka.

- Oczywiście, szanowna pani.

Kiedy kelnerka podeszła i położyła przed nim rachunek odwrócony tak, by nie widać było sumy, Ralph zauważył, że na fartuchu nie ma już znaczka z napisem ŻYCIE NIE JEST KWESTIĄ WYBORU.

- Słuchajcie - powiedziała tak szczerze i z takim naciskiem, że Ralpha prawie to zabolalo. - Bardzo przepraszam, jeśli was obraziłam. Przyjechaliście tu zjeść śniadanie, a nie wysłuchiwać kazań.

- Nie obraziła nas pani - stwierdził Ralph i zerknął przez stół. Lois skinęła głową.

Kelnerka uśmiechnęła się i natychmiast spoważniała.

- Dziękuję, ale i tak mam wrażenie, że na was napadłam. Normalnie wcale się tak nie zachowuję, ale dziś o czwartej mamy własne spotkanie, na którym przedstawię pana Daltona. Powiedzieli mi, że mam trzy minuty dla siebie. I chyba tyle czasu wam zabrałam.

- Wszystko w porządku. - Lois poklepała ją po dłoni. - Naprawdę.

Tym razem kelnerka uśmiechnęła się szerzej, cieplej, ale kiedy się odwracała, Ralph dostrzegł, jak twarz Lois poważnieje na widok żółtoczarnego pęcherza unoszącego się tuż nad jej prawym biodrem. Wyjął długopis z kieszeni na piersi i napisał coś szybko na odwrocie papierowej serwetki, a kiedy skończył, położył na niej wyjęty z portfela pięciodolarowy banknot. Sięgając po napiwek, kelnerka po prostu będzie musiała dostrzec jego liścik.

Pomachał rachunkiem.

- Nasza pierwsza prawdziwa randka - oznajmił - a chyba będę musiał prosić o pożyczkę. Jeśli dam jej piątkę, prawie nic mi już nie zostanie. Proszę, powiedz, że cię nie rujnuję!

- Rujnuję? Królową pokerka z Ludlow Grange? Nie bądź głupcem, kochanie. - Pogrzebała w torebce i podała mu garść banknotów. Podczas kiedy wybierał z nich te potrzebne, przeczytała szybko liścik na serwetce:

Proszę Pani, Ma Pani poważne problemy z wątrobą i powinna Pani natychmiast pójść do lekarza. Szczerze radzę też trzymać się dziś z dala od Centrum Obywatelskiego.

- To głupie, wiem - powiedział Ralph, kiedy Lois skończyła czytać liścik.

W odpowiedzi otrzymał całusa w nos i zapewnienie:

- Pomaganie ludziom nigdy nie jest głupie.

- Dziękuję. Ale ona i tak mi nie uwierzy. Pomyśli, że mimo wszelkich zapewnień wściekliśmy się z powodu tego jej znaczka... no i kazania... I że w ten dziwny sposób próbujemy się na niej odegrać.

- Być może istnieje sposób, by ją przekonać, że to nieprawda. - Lois spojrzała na kelnerkę, która stała biodrem oparta o framugę drzwi do kuchni, pijąc kawę i rozmawiając z kucharzem. Ralph wyraźnie widział, jak Lois się koncentruje, dostrzegł też, że jej szaroniebieska zwykle aura ciemnieje i kurczy się, niemal oblepiając ciało.

Nie był całkiem pewien, co się dzieje... ale czuł to bardzo wyraźnie. Włosy na karku stanęły mu na baczność, ramiona pokryła gęsia skórka. Nabiera mocy, pomyślał, przestawia przełączniki, uruchamia turbiny i robi to dla kobiety, której nigdy nie widziała i której prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy!

Po chwili kelnerka też coś poczuła. Spojrzała na nich, jakby usłyszała wołanie. Lois uśmiechnęła się lekko i pomachała do niej, kiedy jednak zwróciła się do Ralpha, głos aż drżał jej ze zmęczenia.

- Niemal... niemal mi się udało.

- Co niemal ci się udało?

- Nie wiem. To, co chciałam zrobić. Zaraz skończę. Ona nazywa się Zoe, z dwoma kropkami nad e. Idź, zapłać rachunek. Odwróć jej uwagę. Niech na mnie nie patrzy. Wtedy jest ciężiej.

Zrobił, o co go poprosiła, i właściwie nawet mu się udało, mimo że kelnerka co chwila zerkała przez ramię na Lois. Przyjmując od niego pieniądze, omyłkowo stuknęła w klawisz kasy i wyszło 234.20 dolarów. Niecierpliwie stuknęła po raz drugi, a kiedy spojrzała na Ralpha, twarz miała bladą, a w oczach niepokój.

- O co chodzi pańskiej żonie? - zdenerwowała się. - Przecież przeprosiłam, prawda? Więc dlaczego tak na mnie patrzy?

Ralph wiedział, że Zoe nie może widzieć w tej chwili Lois; prawie stepowała, próbując ukryć się przed nią za jego ciałem, lecz wiedział także, że ma rację. Lois rzeczywiście się na nich gapiła.

Spróbował się uśmiechnąć.

- Nie wiem, o czym pani...

Kelnerka podskoczyła i, wściekła, zerknęła na kucharza, z którym rozmawiała przedtem.

- Przestań tak hałasować tymi garnkami! - krzyknęła, choć z kuchni dobiegała wyłącznie muzyka z radia, i znów spojrzała na Ralpha. - Boże, hałas zupełnie jak w jakimś Wietnamie. A teraz, gdyby zechciał pan powiedzieć żonie, że to niegrzecznie...

- Gapić się? Ona się nie gapi. Naprawdę się nie gapi. - Ralph przesunął się o krok. Lois, już w drzwiach, obrócona tyłem wyglądała na ulicę. - No i widzi pani?

Kelnerka milczała przez kilka sekund, wpatrując się w Lois. W końcu spojrzała na Ralpa.

- Jasne, widzę. A teraz może byście państwo wreszcie sobie poszli.

- Jasne. Nie gniewa się pani?

- Nie. - Ale nie spojrzała mu w oczy.

Kiedy Ralph dołączył do Lois, dostrzegł, że jej aura wróciła do normy, była tylko znacznie jaskrawsza niż zwykle.

- Zmęczona? - spytał cicho.

- Nie. Właściwie czuję cię całkiem dobrze. Idziemy. Otworzył jej drzwi i zawahał się.

- Wzięłaś długopis?

- Ojej! Nie, został na stole.

Poszedł go zabrać. Pod jego liścikiem Lois dodała PS szerokim, palmerowskim pismem.

W1989 roku urodziłaś dziecko i oddałaś je do adopcji. To było w Saint Annę, w Providence, R.I. Idź do lekarza, Zoe, nim będzie za późno. Wiemy, o czym mówimy.

- Oho - powiedział, kiedy wrócił do czekającej na niego przy drzwiach Lois. - Wystraszy się na śmierć.

- Jeśli pójdzie do lekarza, zanim wątroba całkiem jej wysiadzie, nic mnie to nie obchodzi.

Ralph skinął głową.

- Dowiedziałaś się o dziecku, kiedy zanurzyłaś się w jej aurę? - spytał Ralph, gdy szli pokrytym liśćmi parkingiem.

Lois skinęła głową. Cała widoczna przed nimi wschodnia część Derry mieniła się kolorowym zmiennym światłem. Tajemny blask stawał się coraz wyraźniejszy, prawie nieznośny.

Ralph dotknął karoserii samochodu. Poczul się tak, jakby łykał lukrecjowe krople na kaszel.

- Nie sądzę, żebym zabrała jej wiele... wiele tego... czegoś, ale miałam wrażenie, że połykam ją całą.

Ralph przypomniał sobie coś, co przeczytał niedawno w jakimś magazynie naukowym.

- Jeśli każda komórka naszego ciała zawiera kompletny zestaw informacji o tym, jak jesteśmy zrobieni, to dlaczego każda cząstka aury nie miałaby zawierać informacji o tym, kim jesteśmy?

- To nie brzmi bardzo naukowo, Ralph.

- Przecież wiem.

Lois złapała go za rękę i uśmiechnęła się.

- Ale wydaje się całkiem słuszne. Odpowiedział jej uśmiechem.

- Ty też powinieneś trochę... tego... wziąć. Mnie nadal wydaje się to złe, jak kradzież.

Ale jeśli nie weźmiesz, możesz paść na miejscu.

- Jak tylko będę miał okazję. Na razie marzę wyłącznie o znalezieniu się w schronisku „Na Zboczu”. - Ale ledwie usiadł za kierownicą, opuścił rękę, którą wyciągał po kluczyk.

- Ralph, co się stało?

- Nic. To znaczy coś. Wszystko. Nie mogę prowadzić. Owinę nas wokół słupa telefonicznego albo wjadę wprost do czyjegoś domu. - Spojrzał w niebo i dostrzegł jednego z owych wielkich ptaków, tym razem przezroczystego. Siedział na antenie satelitarnej bloku mieszkalnego po drugiej stronie ulicy. Cienka mgła, zielona niczym limony, unosiła się z jego złożonych, prehistorycznych skrzydeł.

Czy ty naprawdę widzisz to, co widzisz? - spytała jakaś część jego umysłu. Czy jesteś tego pewny? Całkiem pewny?

A tak, widzę i jestem pewny. Na szczęście czy na nieszczęście, widzę to wszystko... Ale jeśli istnieje w ogóle właściwa chwila, by widzieć tego rodzaju rzeczy, to na pewno nie jest to ta chwila!

Skupił się i wkrótce poczuł wewnętrzne mrugnięcie. Ptak znikł niczym obraz, kiedy wyłączy się telewizor. Ciepłe i bogate kolory ogarniające przedtem poranek straciły całą swą jaskrawość. Obserwował ten drugi świat dość długo, by dostrzec, jak zbiegają się w lśniącą, szaroniebieską mgłę, którą widział tego dnia, gdy z Wyzerem poszli do baru „Koniec Dnia, Zachód Słońca” na kawę i szarlotkę... lecz mgła niemal natychmiast znikła. Ralph miał nieprzepartą ochotę zwinąć się w kłębek, oprzeć dłoń na ramieniu i zasnąć. Próbował oddychać głęboko, powoli, każdy haust powietrza wciągając w płuca coraz głębiej. Przekręcił kluczyk. Silnik ryknął, a spod maski rozległo się znajome stukanie, tym razem znacznie głośniejsze.

- Co to takiego? - spytała Lois.

- Nie wiem - odparł Ralph, ale chyba wiedział. Zawór albo tłok. W każdym razie jeśli puści, będą kłopoty. W końcu stukanie przycichło. Przeszawił dźwignię skrzyni biegów. Ruszyli.

- Po prostu stuknij mnie mocno, gdybyś zauważyła, że przysypiam, dobrze?

- Możesz na to liczyć - powiedziała Lois. - No, jedziemy.

Rozdział 2

Bar „Dunkin Donuts” na Newport Avenue był wesołym, ozdobnym różowym budynkiem stojącym w ponurym otoczeniu szeregowych domków, z których większość wybudowano w ciągu jednego, 1946 roku i które rozpadały się teraz na kawałki. Takie właśnie było Old Cape w Derry: stare samochody z tłumikami trzymającymi się na kawałek drutu, popękanymi szybami i nalepkami na zderzakach, które głosiły: „Nie wiń mnie za to, że głosowałem na Perrota” albo „Niech żyje NRA”, każdy dom z nieodłącznym trójkołowym rowerkiem na łysym trawniku, dziewczyny jak dynamit w wieku lat szesnastu i najczęściej grube, tępe matki trojga dzieci, gdy miały lat dwadzieścia cztery.

Dwaj chłopcy na wymalowanych fluorescencyjną farbą rowerach kręcili kółka po parkingu, schodząc sobie nawzajem z drogi z wprawą, która sugerowała solidne wykształcenie w grach wideo i możliwą świetlaną przyszłość w wysoce opłacalnym zawodzie kontrolerów powietrznych... oczywiście pod warunkiem, że nie zdarzy się im ani kokaina, ani wypadek samochodowy. Obaj mieli na głowach czapki daszkami do tyłu. Ralph zastanawiał się przez chwilę, dlaczego w piątkowy rano nie są w szkole albo choćby w drodze do szkoły, i zdecydował, że nic go to nie obchodzi.

Nagle rowery, którym do tej pory bez najmniejszego problemu udawało się unikać kontaktu, wpadły na siebie z trzaskiem. Obaj chłopcy znaleźli się na chodniku i niemal natychmiast zerwali się na równe nogi. Ralph z ulgą stwierdził, że żadnemu nic się nie stało; ich aury nie przygasty nawet na moment. - Ach, ty półgłówku! - krzyknął wściekle na przyjaciela

chłopak w podkoszulku Nirwany. Miał może jedenaście lat. - Co się z tobą, do cholery, dzieje! Jeździsz jak stary pierdoła!

- Usłyszałem coś - powiedział drugi, starannie wkładając czapkę na brudne jasne włosy. - Huk. Głośny. Chcesz powiedzieć, że ty nie? Bujaj zdrów!

- Nie słyszałem nawet wybuchowego komara! - odparł Nirwanowiec. Wyciągnął brudną (lub raczej brudniejszą) rękę; krew ciekła mu z kilku płytkich zadrapań. - Tylko na to popatrz, ty pokrako!

- Przeżyjesz - orzekł spokojnie jego przyjaciel.

- Tak, ale... - Nirwanowiec zauważył Ralpha, który stał oparty o swego podrdzewiałego wieloryba, trzymał ręce w kieszeniach i przyglądał się im uważnie. - A ty na

co się, kurwa, gapisz?

- Na ciebie i twojego przyjaciela - odparł spokojnie Ralph. - Na was.

- Na nas, co?

- Na was. To.

Nirwanowiec spojrział na kumpla, a potem znów na starszego mężczyznę przy samochodzie. Oczy płonęły mu podejrzliwą nienawiścią w stanie czystym; doświadczenie podpowiadało Ralphowi, że to szczególne uczucie można znaleźć tylko na Old Cape.

- Masz problem, stary?

- Nie mam problemu. - Ralph nawdychał się tyle z rudobrązowej aury Nirwanowca, że czuł się jak Superman na haju. Czuł się także, jakby napastował nieletnich. - Po prostu myślałem właśnie, że kiedy byłem dzieckiem, nie mówiliśmy tak jak wy.

Nirwanowiec wpatrywał się w niego bezczelnie.

- Tak? A jak mówiliście?

- Nie całkiem pamiętam - przyznał Ralph - ale mam wrażenie, że nie robiliśmy z siebie aż takich durni. - Usłyszał trzask zamykanych drzwi i odwrócił się. Lois wyszła właśnie z baru z dwoma wielkimi kubkami kawy. Chłopcy tymczasem wskoczyli na wymalowane fluorescencyjną farbą rowery i odjechali; zanim znikli, Nirwanowiec obrzucił Ralpha pożegnalnym, nieufnym spojrzeniem.

- Możesz pić i prowadzić jednocześnie? - spytała Lois wręczając mu kubek.

- Chyba tak, ale właściwie wcale nie potrzebuję już kawy. Czuję się świetnie, wiesz?

Lois powiodła spojrzeniem za znikającymi chłopakami na rowerach i ze zrozumieniem skinęła głową. - Dobra, jedźmy - zdecydowała.

Jechali szosą 33 w stronę tego, co nazywało się kiedyś Sadem Barretta, a świat lśnił wokół nich i nie musieli wznosić się na żaden, nawet o centymetr wyższy poziom percepcji, by widzieć jego lśnienie. Miasto mieli za sobą, droga wiodła teraz przez młody las, płonący barwami jesieni. Niebo rozciągało się nad nimi niczym błękitna autostrada, z tyłu zaś gonił ich cień oldsmobile'a, przeskakujący po opadłych liściach i uschłych gałęziach.

- Boże, jakie to piękne - powiedziała Lois. - Piękne, prawda, Ralph?

- Tak, bardzo piękne.

- Wiesz, czego bym chciała? Najbardziej w świecie? Potrząsnął głową.

- Żebyśmy mogli po prostu zjechać z drogi, stanąć na poboczu i pójść na spacer do lasu. Znaleźlibyśmy sobie polankę, usiedlibyśmy w słońcu, patrzylibyśmy w chmury. Ty po, wiedziałbyś: „Popatrz na nią, Lois, wygląda zupełnie jak koń”, a ja powiedziałabym: „A ta, Ralph! Przecież to człowiek z miotłą!” Miło by było, prawda?

- Tak, oczywiście. - Po lewej, w lesie, otworzyła się wąska przecinka. Słupy trakcji wysokiego napięcia maszerowały nią w dół zbocza jak karni żołnierze. U ich stóp rozrastał się śmiały czerwony sumak, a kiedy Ralph podniósł wzrok w niebo, dostrzegł jastrzębia, który żeglował na prądach wznoszących równie niewidzialnych jak świat aur. - Tak, oczywiście - powtórzył. - Byłoby bardzo miło. Może nawet będziemy kiedyś mieli okazję zrobić sobie taki spacer? Tylko...

- Co tylko?

- Wszystko co robię, robię pośpiesznie, by móc zrobić co innego.

Lois spojrzała na niego zaskoczona.

- Jakie to przerażające!

- Aha. Prawda najczęściej jest przerażająca. To był cytat z tomu wierszy pod tytułem „Cmentarne noce”. Dostałem go od Dorrance’a Marstellara tego dnia, kiedy włożył mi do kieszeni gaz łzawiący.

Zerknął we wsteczne lusterko. Widział w nim co najmniej trzy i pół kilometra drogi 33 - pas czerni przesywający płonące jesiennymi kolorami lasy. Słońce odbiło się jaskrawo od jakiejś jasnej powierzchni. Samochód. Może nawet dwa lub trzy samochody. Wyglądało na to, że mkną szybko.

- Stary Dor - powtórzyła Lois z namysłem.

- Tak. Wiesz, myślę, że i on jest częścią tego wszystkiego.

- Może. Jeśli Ed jest przypadkiem specjalnym, dlaczego i Dorrance nie miałby nim być?

- Aha. Też o tym myślałem. Najbardziej interesujące jest w nim - w Starym Dorze, nie w Edzie - to, że Kloto i Lachesis chyba nie mają o nim pojęcia. Jakby pochodził z zupełnie innej rzeczywistości.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie jestem pewien. Ale panowie K. i L. nie wspomnieli o nim choćby jednym słowem, a to... to może...

Znów zerknął w lusterko. Za tymi, które dostrzegł wcześniej, pojawił się czwarty samochód, także pędzący jak szatan, a na trzech pierwszych widział już migające niebieskie światełka. Radiowozy. Jadą do Newport? A może znacznie bliżej?

A może chodzi im o nas? - pomyślał. Może Lois nie udało się jednak zasugerować tej Richards, żeby o nas zapomniała?

Czy policja posłałaby jednak aż cztery radiowozy za dwójką starszków przeżywających złotą jesień życia, uzbrojonych w przerdzewiałego oldsmobile’a? Nie istniało

nawet takie prawdopodobieństwo. Nagle przed oczami mignęła mu twarz Helen

i poczuł przeraźliwe ssanie w żołądku. Zjechał na pobocze, zwolnił.

- Ralph? Co...? - Ale i Lois usłyszała wycie syren. Raptownie obróciła się w fotelu, strach rozszerzył jej oczy. Pierwszy z trzech radiowozów przemknął obok nich, pędząc dobre sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Po karoserii ich grata zazgrzytał żwir, opadłe na szosę liście zatańczyły wściekle.

- Ralph! - Lois prawie krzyczała. - A co jeśli to dom „Na Zboczu”? Tam jest Helen. Helen i jej dziecko!

- Wiem. - Czwarty samochód przeleciał obok nich tak szybko, że stary oldsmobile aż zakołysał się na resorach. W tej samej chwili Ralph znów poczuł wewnętrzne „mrugnięcie”. Sięgnął po dźwignię biegów, lecz dłoń zawisła mu w powietrzu. Z napięciem wpatrywał się w horyzont. Rozlana tam plama

nie była aż tak upiorna jak ta wokół Centrum Obywatelskiego, ale obie nie różniły się od siebie za bardzo. Obie były torbami śmierci.

- Szybciej! - krzyknęła Lois. - Ralph, szybciej!

- Nie mogę - syknął przez zaciśnięte zęby. - Docisnąłem do dechy. - Nie powiedział jednak tego, co pomyślał: jadę i tak szybciej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat i boję się jak cholera!

Igła prędkościomierza zawisła odrobinę ponad cyfrą 140, las za szybą rozmazał się w niewyraźne pasma czerwieni, żółci i brązu, w silniku nie stukowało już, lecz waliło niczym na turnieju kowali. I mimo wszystko nowa trójca policyjnych samochodów, które właśnie dostrzegł w lusterku, zbliżała się do nich bez problemu.

A przed nimi droga ostro skręcała w prawo. Choć instynkt samozachowawczy kazał mu zrobić zupełnie co innego, Ralph nie przeniósł stopy na hamulec. Zdjął ją tylko z gazu, kiedy, wchodzili w zakręt, a gdy poczuł, że tył samochodu zaczyna uciekać, znów przydepnął go aż do dechy. Siedział za kierownicą skulony, zgarbiony, zagryzał dolną wargę. Oczy pod siwymi brwiami miał nieprzytomne, wybałuszone. Tylne gumy zapiszczały, nie... wręcz zawyły na zakręcie, Lois wpadła na niego, łapiąc się kurczowo oparcia siedzenia, on zaś ścisnął kierownicę w spoconych dłoniach, czekając, aż samochód po prostu się wywróci. Olds jednak był jednym z ostatnich autentycznych potworów drogowych starego Detroit; niski, szeroki i ciężki jakoś przetrwał zakręt, za którym pojawił się czerwony dom farmerski... a przy nim dwie stodoły.

- Ralph, skręcamy!

- Tak, wiem.

Nowa partia policyjnych radiowozów dogoniła ich i właśnie szykowała się do wyprzedzania. Zjechał na prawo tak daleko, jak tylko się ośmielił, modląc się, by któryś nie stuknął go od tyłu. Nie przy tej prędkości! Nie doszło jednak do nieszczęścia - przemknęły obok płynnie, jadąc praktycznie zderzak w zderzak, skrzyły w lewo i ruszyły pod górkę, w stronę „Na Zboczu”.

- Trzymaj się, Lois!

- Trzymam się, trzymam!

Gdy Ralph skierował się w dróżkę, którą oboje z Carolyn nazywali zawsze Sadową, olds obrócił się niemal bokiem do kierunku jazdy. Gdyby ta wąska wiejska droga wylana była asfaltem, wielki wóz pewnie przewróciłby się na dach, jak na gangsterskich filmach. Zamiast jednak kręcić beczki wykonał tylko ekstrawagancki poślizg, wysyłając w powietrze wielką chmurę pyłu. Lois krzyknęła cienko; Ralph zaryzykował i zerknął na nią szybko.

- Jedź! - Lois tylko niecierpliwie machnęła ręką. W tym momencie tak przypominała Carolyn, że Ralph miał wrażenie, iż obok niego siedzi duch. Ciekawe, co powiedziałaaby na ten poślizg jego żona, która w ciągu ostatnich pięciu lat życia zrobiła sobie zawód z poganiania go. - Nie zwracaj na mnie uwagi, uważaj na drogę!

W Sadową skręcały kolejne policyjne radiowozy. ile ich było? Nie wiedział, pogubił się w rachunkach. Prawdopodobnie kilkanaście. Zjechał na prawo, koła znalazły się na krawędzi paskudnego na oko rowu. Radiowozy, trzy ze złotym napisem DERRY POLICE i dwa policji stanowej, przemknęły obok, obrzucając ich nową porcją piachu i żwiru. Ralph dostrzegł jeszcze policjanta w mundurze, który wychylał się z wozu policji miejskiej i machał na niego gwałtownie, po czym przykryła ich gęsta żółta chmura i tylko myśl o Helen i Nat powstrzymała go od stanięcia na pedale hamulca. W chwilę później znów widział świat, no, przynajmniej coś widział, a procesja pięciu radiowozów była już w połowie wzgórza.

- Ten policjant kazał ci zjechać na bok, prawda? - spytała Lois.

- No pewnie.

- Nie dopuszczaj nas tam - stwierdziła, patrząc wielkimi, niespokojnymi oczami na unoszącą się na horyzoncie ciemną smugę.

- Dojedziemy, gdzie chcemy dojechać. - Ralph zerknął w lusterko, spodziewając się kolejnych samochodów, ale dostrzegł tylko chmury kurzu.

- Ralph?

- Co?

- Jesteś... naładowany? Widzisz kolory?

Spojrzał na nią szybko. Lois wydała mu się piękna, cudownie młoda, ale nie dostrzegł

ani śladu jej aury.

- Nie - przyznał. - A ty?

- Nie wiem. Nadal widzę to. - Wskazała ciemną smugę na szczycie wzgórza. - Co to takiego? Jeśli nie torba śmierci, to co to właściwie jest?

Już otwierał usta, by wyjaśnić, że to dym i że na szczycie wzgórza płonąć może tylko ten jeden dom, lecz nagle w silniku oldsa coś pękło z tęnym, dudniącym hukiem. Maskę podskoczyła, a w jednym miejscu nawet wypuczyła się, jakby od środka uderzyła ją wściekła pięść. Samochód skoczył do przodu, na tablicy rozdzielczej zabłyśły idiotyczne czerwone światełka i silnik zgasł.

Ralph skręcił, zjeżdżając na miękkie pobocze, a kiedy ustąpiło pod prawymi kołami i olds ześlizgnął się do rowu, olśniła go pewność, że właśnie zakończył raz na zawsze służbę jako kierowca czegokolwiek. Przyjął ją bez śladu żalu.

- Co się stało? - krzyknęła Lois.

- Szlag nas trafił. Resztę drogi przejdziemy pieszo. Wsiadaj, Lois. Na moją stronę, bo wpadniesz w błoto.

Wiał dość silny zachodni wiatr i gdy wysiedli z samochodu, bardzo wyraźnie poczuli woń dymu w powietrzu. Pokonywali ostatni półkilometrowy odcinek drogi nie wspominając o niej ani słowem; szli ręką w rękę i szli szybko. Kiedy dostrzegli policyjny radiowóz zaparkowany w poprzek drogi na szczycie wzgórza, dym wznosił się już nad drzewa gęstymi kłębam, a Lois dyszała ze zmęczenia.

- Słuchaj, nic ci nie jest?

- Nie, nic, tylko ważę za...

Bum, bum, bum... Zza blokującego drogę samochodu rozległy się strzały pistoletu. Odpowiedziało im ochryple, szybkie szczekanie - ten dźwięk Ralph znał z programów telewizyjnych relacjonujących wojny domowe w krajach Trzeciego Świata i strzelaniny przed bankami w trzecim świecie amerykańskich miast: pistolet maszynowy ustawiony na ogień ciągle. Znowu wystrzelił pistolet, a potem rozległ się głośniejszy i surowszy huk strzału z karabinu. Odpowiedział mu przeraźliwy krzyk bólu. Ralph aż się skrzywił i miał ochotę zasłonić sobie uszy. Zdawało mu się, że krzyczy kobieta, i nagle coś sobie przypomniał: jak nazywała się współpracowniczka Eda, o której mówił Leydecker. McKay. Sandra McKay. Fakt, że przyszło mu to do

głowy w takiej chwili, napełnił go niejasnym przerażeniem. Próbował sobie wytłumaczyć, że krzyczeć mógł ktokolwiek, nawet mężczyzna, czasami mężczyźni krzyczą jak kobiety, kiedy są ranni - ale wiedział lepiej. To była ona. To byli oni. Szaleńcy Eda.

Szaleńcy Eda zaatakowali dom „Na Zboczu”. Za ich plecami rozległo się wycie syren. Woń dymu stała się jeszcze wyraźniejsza. Lois, zdyszana, patrzyła na niego szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Zerknął w górę wzgórze i na poboczu drogi zobaczył dużą skrzynkę pocztową. Nie było na niej żadnego napisu. Oczywiście, kobiety prowadzące schronisko bardzo starały się, żeby to miejsce było anonimowe, co, jak widać, zakończyło się pełnym sukcesem. Flaga na skrzynce była podniesiona. Ktoś zostawił list do doręczenia. Pomyślał

o liście, który kiedyś przysłała mu stąd Helen, ostrożnym, lecz pełnym nadziei.

Kolejne strzały. Jęk rykoszetującej kuli. Trzask pękającego szkła, ryk, który mógł być manifestacją wściekłości, ale najprawdopodobniej był tylko manifestacją bólu. Syk płomieni pochłaniających suche drewno. Wycie syren. I czarne wielkie oczy Lois wpatrzone w niego, bo jest mężczyzną, a ją wychowano w przekonaniu, że mężczyźni doskonale wiedzą, co robić w podobnych sytuacjach.

Więc zrób coś - wrzasnął na samego siebie. Na rany Chrystusa, zrób coś!

Ale co? Co?

- Pickering! - Wzmocniony policyjną tubą głos dochodził z za zakrętu drogi, z lasku świerczków wielkości bożonarodzeniowych choinek. W ciężkim dymie nad laskiem Ralph dostrzegł iskry i pomarańczowe języki ognia. - Pickering! W środku są kobiety! Pozwól nam uratować kobiety!

- On wie, że tam są kobiety - szepnęła Lois. - Czy oni nie rozumieją, że wie? Czy są aż tacy głupi, Ralph?

Gliniarzowi z tubą odpowiedział dziwny, wibrujący skrzek. Ralph nie od razu się zorientował, że to swego rodzaju śmiech. Rozległa się kolejna seria z pistoletu maszynowego, potem strzały z pistoletu i karabinka.

Lois ścisnęła go za rękę. Palce miała zimne.

- Co zrobimy, Ralph? Co my teraz zrobimy? Spojrzał na chmurę dymu w powietrzu, potem na mknące

pod górę wozy policyjne - tym razem było ich ze sześć - i wreszcie na bladą, przestraszoną twarz Lois. W głowie mu się nieco przejaśniło. Nie do końca, o nie, ale przynajmniej

zdał sobie sprawę, że istnieje tylko jedna odpowiedź na jej pytanie. - Idziemy tam - powiedział.

Mrugnięcie - i unoszące się nad świerkowym laskiem płomienie z pomarańczowych zrobiły się czarne. Ostry trzask ognia przycichł, stłumiony; przypominał teraz trzask fajerwerków wybuchających w zamkniętym pudełku. Nadal trzymając Lois za rękę, Ralph

obszedł maskę radiowozu policji stanowej, który blokował im drogę.

Nowo przybyłe wozy zaparkowały opodal. Mężczyźni w niebieskich mundurach wyskakiwali z nich, jeszcze zanim stanęły na dobre; niektórzy uzbrojeni byli w broń do tłumienia zamieszek, większość miała na sobie pękate kamizelki kuloodporne. Jeden z policjantów przebiegł wprost przez Ralpa jak podmuch ciepłego wiatru. Nazywał się David Wilbert i podejrzewał, że żona ma romans z szefem, właścicielem agencji handlu nieruchomościami, w której pracowała jako sekretarka. Na razie jednak prawie o niej zapomniał. Po pierwsze, strasznie chciało mu się siusiu, a po drugie, przez głowę - raz za razem, jak zakłęcie - przelatywała mu paniczna myśl: „Nie skompromitujesz się, nie skompromitujesz się, nie skompromitujesz się, nie...”

- Pickering! - ryknął wzmocniony głos i Ralph odczuł smak słów niczym smak srebrnych kropelek. - Twoi przyjaciele nie żyją! Rzuć broń i wyjdź na podwórko! Pozwól nam ratować kobiety!

Oboje wyszli zza zakrętu, niewidzialni dla uwijających się wokół mężczyzn i znaleźli się wśród zaparkowanych chaotycznie policyjnych samochodów, stojących tam, gdzie droga przechodziła w podjazd ozdobiony z obu stron skrzynkami kwiatów.

Kobieca dłoń znaczy tak wiele, pomyślał Ralph.

Za podjazdem rozciągał się dziedziniec zbudowanego bez planu farmerskiego domu, który miał co najmniej siedemdziesiąt lat. Dwupiętrowy, dwuskrzydłowy budynek miał długi ganek biegnący między skrzydłami. Z ganku rozciągał się wspaniały widok na zaledwie widoczne w porannym świetle na horyzoncie góry. Ten dom z jakże uspokajającym widokiem był kiedyś siedzibą rodziny sadowników Barrettów, a teraz mieszkali w nim nieszczęsne, przerażone kobiety. Jedno spojrzenie wystarczyło jednak Ralphowi, by pojąć, że jutro o tej godzinie nikt już nie znajdzie w nim schronienia. Południowe skrzydło płonęło, ganek powoli ogarniał ogień, języki ognia widać było także w oknach. Lizały lubieżnie gzymsy; strzelały z nich w powietrze poczerńiałe dachówki. W głębi ganku płonął wiklinowy bujany fotel; na poręczy fotela leżał nie skończony wełniany szal, z którego sterczały rozpalone do białości druty. Gdzieś tam chorągiewka na dachu wygrywała ogłupiającą melodyjkę.

Na prowadzących do wejścia schodach leżała głową w dół martwa kobieta w zielonych mundurowych spodniach i kamizelce, wpatrzona w niebo zakrwawionymi szklami okularów. We włosach miała ziemię, w ręku pistolet, a w brzuchu dziurę. Na północnym krańcu ganku, przewieszony przez barierkę, wisiał mężczyzna z jedną nogą opartą o kosiarkę do trawy. On także miał na sobie mundurowe spodnie i zieloną kamizelkę. Pod nim, na

klombie, leżał wojskowy karabin ze sterzącym magazynkiem w kształcie banana. Po ramieniu mężczyzny ściekała krew, ciemne krople kapały z palców. Dzięki podwyższonej percepcji Ralph widział, że jest to krew czarna, trupia.

Felton, pomyślał. Jeśli policja wrzeszczy na Pickeringa - i jeśli rzeczywiście to Pickering jest w środku - ten gość musi być Feltonem. A co z Susan Day? Ed jest gdzieś na wybrzeżu, Lois wydaje się tego całkiem pewna i, moim zdaniem, ma rację. Lecz jeśli Susan Day jest w środku? Jezu, czy to możliwe?

Wydawało mu się, że owszem, całkiem możliwe, ale rachunek prawdopodobieństwa nie miał w tej chwili żadnego znaczenia. Helen i Natalie prawie na pewno były w środku wraz z jeden Bóg wie iloma kobietami i dziećmi... i tylko to miało znaczenie.

Z wnętrza domu rozległ się trzask tłuczonego szkła, a zaraz po nim cicha eksplozja, niemal jak westchnienie. Ralph dostrzegł, jak za szybkami drzwi frontowych strzelają płomienie.

Koktajle Mołotowa, pomyślał. Charlie Pickering doczekał wreszcie okazji. Brawo! Wytrwały facet.

Nie wiedział, ilu gliniarzy chroni się za samochodami - wyglądało na to, że jest ich najmniej trzydziestu - ale poznał wśród nich dwóch, którzy kiedyś aresztowali Eda Deepneau. Chris Nell przykucnął, skulony, za przednim kołem stojącego najbliżej domu radiowozu policji miejskiej, a za nim klęczał na

jednym kolanie John Leydecker. To Nell trzymał tubę i kiedy Ralph i Lois zbliżali się do tej policyjnej twierdzy, zerknął na Leydeckera. Leydecker skinął głową, wskazał dom i wyciągnął dłoń w geście „bądź ostrożny”. Z aury Chrisa Nella Ralph odczytał jednak wieść przynębiającą: młody policjant był zbyt podniecony, by zachować ostrożność. Zbyt... naładowany. W tej samej chwili, jakby za przyczyną tej jego myśli, aura Nella zaczęła zmieniać kolor. Z jasnoniebieskiej przeszła w ciemnoszarą, a potem, z oszłamiającą i obrzydliwą szybkością, w martwoczną.

- Poddaj się, Pickering! - krzyknął Nell, nie zdając sobie sprawy z tego, że choć mówi i oddycha, jest już nieboszczykiem.

Szkielecowa kolba karabinu szturmowego wybiła szybę w oknie na parterze północnego skrzydła i natychmiast znikła w środku. W tym samym momencie z hukiem pękła szyba nad drzwiami frontowymi, zasypując ganek odłamkami szkła. Przez dziurę wściekle buchnęły płomienie, a w sekundę później drzwi otworzyły się same jak wypchnięte od środka niewidzialną dłonią. Nell wychylił się nieco zza samochodu, być może sądząc, że strzelec ze środka zmałował wreszcie i ma zamiar wyjść.

Ralph wrzeszczał: *[Odciągnij go, Johnny! Odciągnij go!]*

Znów pojawił się karabin, a raczej - tym razem - lufa karabinu.

Leydecker złapał Nella za kołnierz, ale działał zbyt wolno. Powtarzalny karabin zakaszłał kilkakrotnie, sucho i szybko. Ralph usłyszał metaliczne „bam, bam, bam!” kul przebijających cienką blachę policyjnego samochodu. Aura młodego policjanta, teraz już całkiem czarna, zmieniła się w torbę śmierci. Nell drgnął i upadł na bok; kula ugodziła go w kark. Padając wyrwał się z chwytu Leydeckera. Leżał na dziedzińcu, noga drgała mu spazmatycznie. Wypuścił też tubę i powietrze rozdarł przeraźliwy pisk sprzężenia. Ukryty za sąsiednim samochodem policjant wrzasnął ze zgrozy, krzyk Lois był jednak znacznie głośniejszy.

Ziemię szyły kolejne pociski, chmurki kurzu zbliżały się do leżącego policjanta, aż wreszcie na udach jego mundurowych spodni pojawiły się czarne dziury. Ralph niewyraźnie widział go, zamkniętego i duszącego się w torbie śmierci, widział, jak beznadziejnie usiłuje przewrócić się na brzuch i wstać. W tych wysiłkach było coś nieopisanie straszego; Ralph miał wrażenie, że patrzy na złapane w sieć stworzenie, tonące w brudnej płytkiej wodzie.

Leydecker wychylił się zza radiowozu. Dłoń znikła mu w czerni martwej aury i w tym samym momencie Ralph usłyszał głos Starego Dora: *Na twoim miejscu nie dotykałbym go, Ralph... nie widzę twych dłoni.*

Lois: *[Przestań! Przestań, on nie żyje, on już nie żyje...]*

Wystawiona z okna lufa karabinu, obracająca się już w prawo, zatrzymała się i niespiesznie wróciła, celując w Leydeckera. Mężczyznę, który trzymał karabin, grad kul policjantów najwyraźniej nie wzruszył, nie zaszkodził mu też w najmniejszym stopniu. Ralph podniósł dłoń i opuścił ją w geście jak cios karate - tym razem trysnęło z niej jednak nie światło, lecz coś przypominającego wielką niebieską łzę. Kropla ta otoczyła jaskrawozieloną aurę Johna Leydeckera niemal dokładnie w chwili, gdy z karabinu w oknie posypały się kule. Ralph dostrzegł, jak dwie z nich trafiają w pień drzewa na prawo od Johna, jak kora tryska na boki, a w żółtobiałym drewnie pojawiają się czarne dziury. Trzecia uderzyła substancję pokrywającą aurę policjanta. Na lewo od jego skroni błysnęło pomarańczowe światelko, rozległ się gwizd kuli rykoszetującej lub może raczej odbijającej się od niej jak płaski kamyczek od powierzchni wody.

Leydecker zdołał wciągnąć ciało Nella za samochód. Zerknął na nie, otworzył drzwi radiowozu i rzucił się na przednie siedzenie. Znikł przy tym z pola widzenia, Ralph jednak słyszał jego głos wrzeszczący w radio: „Gdzie, do kurwy nędzy, są te cholerne karetki?!”

Znów rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Lois kurczowym gestem złapała Ralpa za

ramię i coś mu wskazała. Po dziedzińcu toczyła się cegła, wyrzucona najwyraźniej z jednego z długich okien, znajdujących się tuż nad ziemią w północnym skrzydle i niemal całkowicie zakrytych podchodzącą pod sam dom rabatą.

- Pomocy! - krzyknął ktoś przez* rozbite okno i głosu tego nie zagłuszył nawet strzał; to ukryty w domu *mężczyzna* wystrzelił odruchowo, w powietrze uniósł się czerwony kurz, cegła zaś rozpadła na trzy nierówne kawałki. Ani Ralph, ani Lois nigdy nie słyszeli tego głosu w krzyku, rozpoznali go jednak bez trudu. Był to głos Helen Deepneau. - Ratunku, pomóżcie nam! Jesteśmy w piwnicy! Mamy dzieci! Proszę, nie pozwólcie, żebyśmy się spaliły, mamy dzieci!

Ralph i Lois wymienili tylko przerażone spojrzenia i pobiegli w kierunku domu.

Dwaj umundurowani mężczyźni w pękatych kuloodpornych kamizelkach, przypominający raczej zawodowych futbolistów niż policjantów, wyskoczyli zza jednego z radiowozów. Biegli wprost na ganek, trzymając karabiny. Kiedy szarżowali tak po skosie, przez dziedziniec, z okna wychylił się Charlie Pickering, wciąż śmiejący się szaleńczo, z siwymi włosami rozwichrzonymi jeszcze bardziej niż zwykle. Kilkudziesięciu policjantów strzelało do niego niemal bez przerwy, Charlie prawie cały pokryty był szczapami z rozbitej kulami framugi - jedna z kul zerwała nawet wiszącą mu nad głową zardzewiałą rynnę, która spadła z brzękiem na ganek - lecz nie był nawet draśnięty!

Jakim cudem pudłują? - pomyślał Ralph. Wraz z Lois wchodzili właśnie na ganek, kierując się ku jaskrawozielonym płomieniom, które były z dziury po drzwiach frontowych. Jezu Chryste, przecież praktycznie przyłożyli mu lufy do łba! Jakim cudem aż tak strasznie pudłują?!

Lecz oczywiście wiedział, jakim cudem i dlaczego. Kloto wyjaśnił im przecież, że zarówno Atroposa jak i Eda Deepneau chronią” siły wprawdzie złe, lecz także opiekuńcze. Czyż nie wydawało się prawdopodobne, że te same siły chronią teraz Pickeringa, podobnie jak on, Ralph, ochronił przed kulami Johna Leydeckera, kiedy ten wychylił się zza samochodu, by przyciągnąć ciało martwego kolegi?

Pickering zaczął strzelać do funkcjonariuszy; karabin nastawiony miał na ogień ciągły i - z powodu kamizelek - mierzył nisko, w nogi. Trafił w obu przypadkach. Jeden z atakujących padł i już się nie podniósł, drugi odczołgał się tam, skąd przybiegł, wrzeszcząc, że jest ranny, że jest, kurwa, cholernie ciężko ranny.

- Pieczeń! - krzyknął przez okno Pickering przeraźliwym głosem, jakby się śmiał. - Pieczeń! Pieczeń! Święty ogień! Spalić czarownice! Boski płomień! Święty boski płomień!

Ralph słyszał także inne krzyki, krzyki dobywające mu się spod nóg, a kiedy opuścił

wzrok, dostrzegł coś przerażającego: mieszanka aur wypływała niczym para przez szczeliny w deskach ganku; kolor aur przyćmiewał jednak szkarłatny jak krew blask, wstający wraz z nimi... i otaczający je. Ta krwawa chmura nie całkiem przypominała kształtem sinogranatową, która unosiła się w powietrzu podczas bójki Zielonego Chłopca

z Pomarańczowym Chłopcem wtedy, pod „Jabluszkim”, lecz zdaniem Ralph'a obie miały podobną naturę. Tyle że ta zrodziła się ze strachu, nie z gniewu i napastliwości. - Pieczeń! - wrzeszczał Pickering, a potem dodał jeszcze

coś o zabijaniu diabelskich picz. Nagle Ralph znenawidził go bardziej niż kogokolwiek w życiu. [*Idziemy, Lois - dorwiemy tego sukinsyna!*] Wziął ją za rękę i wciągnął do płonącego domu.

Rozdział 3

Drzwi frontowe otwierały się na długi korytarz i korytarz ów cały płonął. Ralph postrzegał płomienie jako jaskrawozielone i - kiedy przechodził przez nie z Lois - chłodne, jakby przenikał przez nasyconą mentolem mgłę. Trzaski płonącego drewna dobiegały ich przytłumione, strzały wydawały się nieważnymi stukami, niczym gromy burzy, gdy płynię się pod wodą... I tak właśnie Ralph się czuł. Jakby płynął pod wodą. Tak, zdecydował. Właśnie tak. Oboje jesteście teraz niewidzialnymi istotami, płynącymi przez ocean ognia.

Wskazał drzwi na prawo i pytająco spojrzął na Lois. Skinęła głową. Sięgnął po klamkę i skrzywił się, kiedy dłoń po prostu przez nią przeszła. Ale tak oczywiście było lepiej, bo gdyby udało mu się ująć mosiężną kulę, zostawiłby na niej skórę z palców prawej ręki, zwisającą czarnymi, zwęglonymi pasmami.

[Musimy przejść, Ralph.]

Spojrzał badawczo na Lois i w jej oczach dostrzegł wprawdzie strach i niepewność, ale nie panikę. Skinął głową. Przeszli razem przez drzwi w chwili, gdy wiszący w połowie korytarza kandelabr zwałił się na podłogę z niemelodycznym trzaskiem kryształu i żelaznego łańcucha.

Za drzwiami znajdowała się bawialnia. Żołądek Ralpha aż skręcił się ze zgrozy. Pod wielkim plakatem przedstawiającym Susan Day w dżinsach i flanelowej koszuli w stylu Dzikiego Zachodu (NIE POZWÓL MU NAZYWAĆ SIĘ DZIECINĄ, JEŚLI NIE CHCESZ, ŻEBY TRAKTOWAŁ CIĘ JAK DZIECINĘ - głosił slogan na nim) siedziały oparte o ścianę dwie kobiety. Obie zastrzelono strzałami w głowę z bliskiej

odległości: mózg, kawałki skóry z włosami i odłamki kości rozprysły się po tapecie w kwiatki i ozdobnie szytych kowbojskich butach Susan na plakacie. Jedna z kobiet była w ciąży. W drugiej poznał Gretchen Tillbury.

Przypomniał sobie dzień, kiedy wraz z Helen przyszła do niego, kiedy dała mu puszkę czegoś, co nazywa się „Ochroniarz”, kiedy wydała mu się taka piękna... lecz oczywiście wtedy jej pięknie ukształtowana głowa była jeszcze nie uszkodzona, a jej pięknych jasnych włosów nie spalił jeszcze oddany z bliska strzał. Piętnaście lat wcześniej ledwie uniknęła śmierci z ręki męża, piętnaście lat później inny mężczyzna przystawił jej lufę do głowy, strzelił i odebrał ją światu. Gretchen Tillbury już nigdy nie opowie jakiejś nieszczęśliwej kobiecie, skąd wzięła się blizna na jej lewym udzie.

Przez jedną straszną chwilę Ralph był pewien, że zemdleje. Nie stracił przytomności tylko dlatego, że skoncentrował się na Lois, której aura przeszła w ciemną przerażoną czerwień. Czarne zygzakowate linie tańczyły wokół niej i przesywały ją; wyglądały jak EKG kogoś, kto doznał śmiertelnego ataku serca.

[Ralph, Ralph, o mój Boże.]

W południowej części domu coś wybuchło z taką siłą, że podmuch wywalił drzwi, przez które właśnie przeszli. Mógł to być zbiornik lub zbiorniki gazu kuchennego. W tej chwili zresztą nie miało to praktycznie znaczenia. Z korytarza do pokoju wleciały płonące strzępy tapety; Ralph dostrzegł też, że zasłony i pozostałe na głowie Gretchen Tillbury włosy falują i ulatują w stronę drzwi, jakby płomień wysysał z pokoju powietrze na pożywienie dla samego siebie. Ile czasu mają zamknięte w piwnicy kobiety i dzieci, zanim ogień usmaży je niczym ziemniaczane chrupki? Nie miał pojęcia, lecz uznał, że i to w tej chwili nie ma praktycznie znaczenia. Uduszą się lub zatrują dymem dużo wcześniej.

Przerażona Lois wpatrywała się w martwe kobiety; po policzkach płynęły jej łzy. Upiorne szare światło, wstające ze śladów, które zostawili po sobie na podłodze, wyglądało jak para nad suchym lodem. Szli razem przez bawialnię w kierunku drzwi na przeciwległej ścianie, przystanęli przed nimi, żeby odetchnąć głęboko, po czym Ralph objął Lois w talii i wkroczył w drewnianą ścianę.

Przez moment znajdowali się w całkowitej ciemności i nie nosem, lecz wręcz całym ciałem Ralph czuł słodki zapach

Trocin, a potem znaleźli się w pokoju najbardziej wysuniętym na północ. Kiedyś mógł to być gabinet, lecz później został przerobiony na salę terapeutyczną. Pośrodku stało w kręgu kilkanaście krzeseł, ściany zawieszono plakietkami głoszącymi prawdy takie jak: NIE MOGĘ OCZEKIWAĆ SZACUNKU OD NIKOGO, JEŚLI PRZEDTEM NIE NAUCZĘ SIĘ SZANOWAĆ SAMEJ SIEBIE, a na tablicy ktoś wypisał: JESTEŚMY RODZINĄ, SĄ TU ZE MNĄ WSZYSTKIE MOJE SIOSTRY. Przy jednym z wychodzących na wschód okien, w kuloodpornej kamizelce na bluzie ze Snoopym, którą Ralph wszędzie by rozpoznał, kuczał Charlie Pickering.

- Pieczeń z bezbożnych kobiet! - wrzasnął. Kula przeleciała mu nad ramieniem, inna wbiła się we framugę na prawo od niego, odłupując szczapkę drewna, która odbiła się od szkła jego okularów w rogowej oprawie. Podejrzenie, że coś go musi chronić, wróciło do Ralpha, tym razem z siłą absolutnej pewności.

- Lesbijka pieczeń! Niech zobaczą, jak smakuje ich lekarstwo! Niech poczują, czym jest piekło!

[Zostań tu, Lois. Ani mi się waź ruszyć!]

[Co masz zamiar zrobić?]

[Mam zamiar się nim zająć.]

[Nie zabijaj go, Ralph, błagam, nie zabijaj go!]

A czemu nie? - pomyślał gorzko. Zrobiłbym światu przysługę.

Niewątpliwie miał rację, ale nie czas teraz spierać się o racje.

[Dobrze, nie zabiję go. Ale nie waź mi się stąd ruszyć! Za wiele lata tu kul, żeby ryzykować zejście w dół we dwójkę.]

Nim zdołała zaprotestować, skoncentrował się, wezwał na pomoc owo wewnętrzne mrugnięcie i spadł na poziom Krótkoterminowych. Tym razem nastąpiło to tak szybko i nieoczekiwanie, że dech mu zapało, jakby po skoku z pierwszego piętra wylądował na betonie. Część kolorów spęzła ze świata. Zastąpiły je dźwięki: trzask ognia - już nie stłumiony, lecz bliski i ostry - tępy odgłos karabinu, huk pistoletowych strzałów. W rozgrzanym prawie nie do wytrzymania powietrzu unosił się swąd spalenizny. Coś jak brzęczenie pszczoły przeleciało mu koło ucha, miał jednak wrażenie, że była to pszczoła kaliber 45.

Lepiej się pospiesz, kochanie, doradziła mu Carolyn. Na tym poziomie od kul się ginie, zapomniałeś?

Nie zapomniał. Pochylony pobiegł w kierunku odwróconego do niego plecami Pickeringa. Pod nogami zgrzytały mu odłamki szkła, odłupane kawałki drewna, ale Charlie Pickering

nawet nie drgnął. Oprócz pistoletu maszynowego w dłoniach, miał jeszcze wiszący w olstrze na biodrze rewolwer, a przy lewej stopie płócienną otwartą torbę, z której wyglądały butelki po winie. Z szyjek sterczały wilgotne szmaty.

- Zabić suki! - wrzeszczał właśnie, strzelając serią po dziedzińcu. Wyjął magazynek i uniósł bluzę na plecach, ukazując ich jeszcze kilka, zatkniętych za pasek. Ralph sięgnął do torby, wyjął jedną z wypełnionych benzyną butelek (ujął ją za szyjkę) i wyrzucił ją w głowę. Zadając cios, zobaczył, dlaczego Charlie nie słyszał, jak podchodzi: miał w uszach wojskowe zatyczki. Nie było jednak czasu na refleksję nad ironią faktu, że człowiek podejmujący się misji samobójczej aż tak dba o słuch, bo butelka rozprysła się o skroń Pickeringa i zalała go bursztynowym płynem. Pickering poderwał się, automatycznie podnosząc dłoń do głowy, rozciętej w dwóch miejscach. Krew przeciekała mu przez długie palce - palce, które zdaniem Ralpa winny raczej należeć do malarza lub pianisty - aż na szyję. Obrócił się, ukryte za brudnymi okularami oczy miał wielkie, zdumione, a ponieważ

siwe włosy sterczały mu w niebo, wyglądał jak komiksowy człowieczek, którego poraził właśnie prąd o zaiste wielkim natężeniu.

- Ty! - krzyknął. - Ty szatański centurionie! Ty bezbożny morderco dzieci!

Ralph pomyślał o dwóch kobietach w bawialni i znów ogarnął go straszny, wściekły gniew... choć słowo „gniew” było tu za łagodne, o wiele za łagodne. Miał wrażenie, że nerwy w jego wnętrzu płoną. W głowie kołatała mu jedna myśl: ona była w ciąży więc kto tu jest mordercą dzieci ona była w ciąży więc kto tu jest mordercą dzieci ona była w ciąży więc kto tu jest...

Kolejna wielkokalibrowa pszczoła zabrzęczała mu koło ucha, ale nie zwrócił na nią uwagi. Pickering próbował podnieść karabin; na pewno z tego karabinu zabił Gretchen i jej ■ ciężarną przyjaciółkę. Ralph wyrwał mu broń z ręki, przyłożył do ramienia i Charlie skrzeknął w panicznym strachu. Dźwięk ten rozwścieczył Ralpha jeszcze bardziej, złożona Lois obietnica poszła w zapomnienie. Wymierzył, mając szczyry zamiar posłać zawartość magazynka w ciało człowieka, kulącego się w panice pod ścianą (napiecie chwili sprawiło, że obaj zapomnieli, iż w karabinie nie ma akurat magazynka), lecz nim nacisnął spust, przed jego oczami zabłyśło wirujące światło. Najpierw nie miało żadnego określonego kształtu - baśniowy kalejdoskop

barw, którym jakimś cudem udało się uciec z wiążącej je tuby - a potem przybrało kształt kobiety z wyrastającą jej z głowy długą, przezroczystą wstążką. *[Nie zabijaj go.]*

- Ralph, proszę, nie zabijaj go!

Przez chwilę Ralph, patrząc poprzez sylwetkę, widział jeszcze tablicę z wypisanym na niej tekstem, a potem barwy zmieniły się w ubranie Lois, jej włosy, jej skórę, i ona cała znalazła się na niższym poziomie. Pickeringowi oczy stanęły w ślup, odchodził od zmysłów ze strachu. Skrzeknął jeszcze raz, a jego zielone mundurowe spodnie pociemniały w kroku. Wsadził dłoń w usta, jakby chciał stłumić wybiegające z nich dźwięki.

- Upór! - wrzasnął gryząc palce. - Heturion i upór! Lois zignorowała go. Złapała karabin za lufę.

- Nie zabijaj go, Ralph! Nie zabijaj! Ralph nagle wściekł się i na nią.

- Nie pojmujesz, Lois? Nadal nic nie pojmujesz? On rozumie, co zrobił! Przynajmniej do pewnego stopnia rozumie! Widziałem jego aurę!

- Nie szkodzi. - Lois nie puściła lufy skierowanej w podłogę. - Nie ma najmniejszego znaczenia, co rozumie, a czego nie rozumie. Nie wolno nam postępować jak oni! Nie możemy stać się tym, czym oni!

- Ale...

- Ralph, będę musiała puścić lufę. Jest gorąca. Parzy mi palce.

- Dobrze - powiedział i wypuścił z ręki kolbę w tej samej chwili, w której ona wypuściła z ręki lufę. Karabin spadł na podłogę, a Charlie, który podczas ich rozmowy osuwał się po ścianie, nadal gryząc palce, z nieprzytomnymi oczami nadal utkwionymi w Lois, rzucił się ku niemu błyskawicznie jak atakujący grzechotnik.

To, co zrobił wówczas Ralph, zrobione zostało bez gniewu, wręcz bezmyślnie - instynkt po prostu kazał mu działać w ten właśnie sposób. Wyciągnął ku Pickeringowi obie ręce, ujął jego twarz w dłonie i w tym momencie jaskrawe światło ześrodkowane niczym w soczewce zapłonęło mu w głowie. Wzleciał w górę przez kolejne poziomy, w ułamku sekundy znalazł się wyżej niż kiedykolwiek, wyżej niż zdarzyło się dotrzeć im obojgu. W szczycie tego lotu poczuł, jak jakaś straszna siła błyska mu w głowie i spływa w dół ramionami, a potem, spadając, usłyszał huk płytki, lecz wyraźny, nie do pomylenia z dobiegającym z zewnątrz hukiem strzałów.

Ciało Pickeringa drgnęło, jakby przepłynął przez nie prąd elektryczny, nogi wyprostowały się z taką siłą, że z jednej spadł but, pośladki uniosły się nad podłogę, a potem uderzyły w nią z trzaskiem. Przez moment Ralph był przekonany, że widzi niebieskie iskierki nad rozwichrzonymi siwymi włosami, a potem iskierki znikły, a Charlie sflaczał oparty o ścianę. Patrzył na Ralpa i Lois oczami, w których nie było już żadnego uczucia.

Lois krzyknęła. Ralph był pewien, że krzyczy z powodu tego, co uczynił z Pickeringiem, ale spostrzegł, że bije się po głowie - wylądował na niej płonący strzęp tapety, od którego zajęły się włosy. Objął ją, stłumił płomienie dłonią, po czym osłonił własnym ciałem, bo ogień skierowany na północne skrzydło domu nasilił się gwałtownie. Wolną ręką opierał się o ścianę. Nagle między jej środkowym a serdecznym palcem, jakby za sprawą magicznej sztuczki, pojawiła się czarna dziura po kuli.

- W górę, Lois, w górę.

[Już, już!]

Unieśli się w górę, przed nieprzytomnymi oczami Charliego Pickeringa zmienili w kolorowy dym... i znikli.

[Co mu zrobisz, Ralph? Przez sekundę nie było cię... uleciałeś... a potem... potem... co mu zrobisz?]

Patrzyła na Charliego Pickeringa zdumiona i przerażona. Charlie siedział oparty o ścianę, niemal dokładnie w tej pozycji, co dwie martwe kobiety w sąsiednim pokoju. Na oczach wpatzonego w niego Ralpa z jego ust wypłynęła różowa ślina i urosła w bąbel, który pękł.

Ralph zwrócił się ku Lois, ujął jej ramiona tuż nad łokciami i wykreował w umyśle obraz skrzyni bezpieczników w piwnicy swojego domu na Harris Avenue. Dłoń otworzyła skrzynkę i szybko wyłączyła wszystkie bezpieczniki. Nie był pewien, czy jest to obraz właściwy - wszystko tu działo się zbyt szybko, by być pewnym czegokolwiek - ale miał wrażenie, że prawie na pewno oddaje prawdę.

Lois spojrzała na niego zdziwiona, a potem skinęła głową.

[Sam sprowadził na siebie nieszczęście, prawda? Nie zrobiłeś tego specjalnie?]

Ralph skinął głową, a w miejscu, w którym stali, spod podłogi dobiegły go paniczne krzyki. Krzyki, których - czego był całkowicie pewien - nie słyszał uszami.

[Lois?]

[Tak, tak... natychmiast.]

Zamiast ramion ujął jej ręce, tak jak we czwórkę trzymali się za ręce w szpitalu, tylko że tym razem wędrowali nie w górę, lecz w dół, przenikając podłogę z desek, jakby zanurzali się w basenie. Ralph znów poczuł, jak błyskawicznie zapada się w czerń, podchodzącą mu pod oczy niczym ostrze brzytwy... a potem byli już w piwnicy i opadali powoli na cementową podłogę. Widział niewyraźnie ciemne od brudu rury centralnego ogrzewania, mały pług śnieżny, przykryty wielką płachtą zaplamionego plastyku, narzędzia ogrodnicze oparte o ścianę obok cylindra, który był prawdopodobnie piecem centralnego ogrzewania, kartony złożone przy surowym ceglany murze: zupy, makaron, fasola, kawa, torby na śmieci, papier toaletowy; a wszystko to wyglądało jak we śnie, jakby nie całkiem istniało w rzeczywistym świecie. Najpierw pomyślał, że to może efekt uboczny przekraczania granicy poziomów, a potem zdał sobie sprawę, że nie, że to tylko dym, w szybkim tempie wypełniający piwnicę.

W kącie długiego mrocznego pomieszczenia tłoczyło się ze dwadzieścia osób. W większości kobiet, lecz Ralph dostrzegł także mniej więcej czteroletniego chłopca, uczonego kolan matki (blednące sińce na jej twarzy mogły być wynikiem wypadku, lecz najprawdopodobniej nie były), starszą od niego o rok, może dwa lata dziewczynkę z twarzą wtuloną w brzuch mamy... i Helen, która trzymała w ramionach Natalie i dmuchała jej w twarz, jakby w ten sposób mogła zapewnić córeczce czyste powietrze. Nat kaszłała, dławiała się, zanosila płaczem. Za tą grupką widać było prowadzące w górę brudne schody.

[Ralph, musimy teraz zejść na dół, prawda?]

Skinął głową, „mruknął”... i zaniósł się kaszlem, bo wciągnął w płuca dym. Oboje zmaterializowali się nagle tuż przed wystraszoną grupką kobiet i dzieci. Na ich pojawienie się zareagował jednak tylko chłopiec przytulony do kolan matki. Ralph był pewien, że gdzieś go przedtem widział, ale nie miał pojęcia gdzie - w tej chwili nie myślał o owym dniu z samego

końca lata, kiedy to patrzył, jak pewien dzieciak bawi się z matką na boisku baseballowym w parku Strawforda.

- Mamo, patrz. - Chłopiec wyciągnął rękę, zanosząc się kaszlem. - Anioły.

Ralph usłyszał głos Klota: „Nie jesteśmy aniołami”. Ruszył przez gęstniejący dym w kierunku Helen, nie puszczać dłoni Lois. Oczy już mu łzawiły, słyszał też jej kaszel. Helen patrzyła na niego oszołomiona, jakby go nie poznawała... Podobnie patrzyła tego sierpniowego dnia, kiedy pobił ją Ed.

- Helen.

- Ralph?

- Te schody! Dokąd prowadzą?

- Co ty tu robisz? Jak się tu do... - Rozkaszłała się, zgięła we dwoje, omal nie puszczając Natalie. Lois wyjęła jej z rąk dziecko, bo groził mu upadek na betonową podłogę.

Ralph spojrział w lewo, ale stojąca tam kobieta wydała mu się jeszcze mniej przytomna niż Helen, więc tylko złapał ją za ramię i potrząsnął nią mocno.

- Dokąd prowadzą te schody!?! Helen obejrzała się.

- Zewnętrzne wyjście z piwnicy - powiedziała. - Ale to się na nic nie zda, bo... - pochyliła się i rozkaszła suchym kaszlem, którego dźwięk dziwnie przypominał strzały z pistoletu maszynowego Charliego - ...bo są zamknięte - dokończyła. - Zamknęła je ta gruba baba. Miała w kieszeni kłódkę. Widziałam, jak ją zakłada. Dlaczego ona to zrobiła, Ralph? Skąd wiedziała, że uciekniemy do piwnicy?

A dokąd jeszcze mogłyście uciec? - pomyślał z goryczą, a potem obrócił się do Lois.

- Sprawdź, co da się zrobić, dobrze?

- Dobrze. - Lois oddała mu krztuszące się rozwrzeszczane dziecko i przepchnęła przez tłumek kobiet, wśród których chyba nie było Susan Day. Po przeciwnej stronie piwnicy część stropu zapadła się w chmurze iskier i zalała ich fala gorąca jak z otwartego pieca. Dziewczynka z buzią wtuloną w brzuch mamy zaczęła krzyczeć.

Lois wspięła się na czwarty stopień schodków. Wyciągnęła dłoń palcami do przodu jak ksiądz udzielający błogosławieństwa. W słabym świetle iskier Ralph widział skośny cień klapy; przyłożyła do niej palce. Przez chwilę nic się nie działo, a potem Lois znikła w wirze jaskrawych kolorów. Usłyszał ostry huk, jakby puszka aerozolu wybuchła w ogniu i Lois pojawiła się znowu. W tym samym momencie Ralph zobaczył nad jej głową błysk białego światła.

- Co to było, mamo? - spytał chłopiec, który przedtem nazwał ich aniołami. - Co to było? - Zanim jednak matka zdołała odpowiedzieć, kupka zasłon złożona na stoliku na

kólkach jakieś sześć metrów dalej wybuchła płomieniem, malując twarze uwięzionych w jaskrawe, pomarańczowo-czarne barwy masek na Halloween.

- Ralph! - krzyknęła Lois. - Pomóż mi!

Ralph przebił się przez stadko oszołomionych kobiet i wszedł na schody.

- Co...? - Miał wrażenie, że płucze sobie gardło naftą. - Nie otworzyłaś ich?

- Otworzyłam. Czułam, jak kłódka puszcza, czułam w głowie, ale ta cholerna kłapa jest dla mnie za ciężka. Teraz to już twój problem. Oddaj dziecko.

Ralph pozwolił odebrać sobie Natalie, a potem przyłożył dłoń do kłapy. Rzeczywiście, była ciężka, ale - napędzany czystą adrenaliną - podparł ją ramieniem z taką siłą, że natychmiast się otworzyła. Wąskimi schodkami spłynął do piwnicy blask słońca i strumień świeżego powietrza. Na każdym z jego ukochanych filmów wyczyn ten przywitałyby okrzyki ulgi i tryumfu, ale uwięzione w piwnicy kobiety milczały, wpatrując się z niedowierzaniem w kwadrat czystego nieba wyczarowany na suficie pomieszczenia, które większość z nich uznała za grób.

Co będą opowiadać? - pomyślał. Jeśli rzeczywiście uda im się przeżyć, to co będą opowiadać? Że chudy mężczyzna o krzaczystych brwiach i tęga (lecz o pięknych, ciemnych oczach) kobieta zmaterializowali się w piwnicy, zerwali kłódkę zamykającą kłapę od zewnątrz i wyprowadzili ich na dwór?

Zerknął za siebie. Dziwnie znajomy chłopiec wpatrywał się w niego wielkimi poważnymi oczami. Na grzbiecie nosa miał półkolistą bliznę. Ralphowi przyszło do głowy, że tylko on naprawdę ich widzi od momentu, gdy zeszli na poziom krótkoterminowy. Wiedział też, co opowie: że aniołowie, pan anioł i pani anioł, przybyli i wszystkich uratowali. Fajna ciekawostka, w sam raz do dzisiejszych wiadomości, pomyślał. Rzeczywiście, pewnie strasznie spодoba się Lisette Benson i Johnowi Kirklandowi.

Lois uderzyła dłonią w jeden z podtrzymujących strop piwnicy słupów.

- Kochani, wychodzimy! - krzyknęła. - Ruszajcie się, lada chwila ogień może sięgnąć zbiorników ropy do pieca!

Kobieta z małą dziewczynką zerwała się pierwsza. Wzięła

córkę w ramiona i zaczęła wspinać się po schodach, kaszląc i płacząc. Reszta ruszyła za nią. Prowadzony przez matkę za rękę, chłopiec z blizną na nosie mijając Ralpha obdarzył go pełnym podziwu spojrzeniem.

- Bomba, człowieku - powiedział z uznaniem.

Ralph nie wytrzymał i odpowiedział mu szerokim uśmiechem, po czym obrócił się ku Lois.

- Jeśli nie mam kręćka, znajdziemy się za domem. Nie pozwól im wyjść z za rogu. Gliniarze rozwalą połowę tego towarzystwa, zanim się zorientują, że strzelają do ludzi, którym przyszli na pomoc.

- W porządku - przytaknęła Lois. Nic więcej, żadnego pytania. Pokochałby ją już za samo to. Ruszyła po schodach; przystanęła tylko, by przesadzić Natalie na drugą rękę i złapać za ramię kobiety, która się potknęła.

W piwnicy pozostali już tylko Ralph i Helen Deepneau.

- Czy to była Lois? - spytała Helen.

- Tak.

- Zabrała Natalie?

- Tak.

Oberwał się kolejny wielki kawał stropu, w powietrze uleciały iskry, po belkach płomyki mknęły zręcznie w stronę pieca centralnego ogrzewania.

- Jesteś pewien? - Helen trzymała go za koszulę, patrzyła mu w twarz rozpaczliwym spojrzeniem podpuchniętych oczu. - Jesteś pewien, że ma Nat?

- Całkowicie pewien. Idziemy.

Helen rozejrzała się. Miał wrażenie, że liczy. Była najwyraźniej zaniepokojona.

- Gretchen! - krzyknęła. - I Merrilee! Musimy pomóc Merrilee. Jest w siódmym miesiącu ciąży!

- Nie było jej tutaj! - Złapał ją za ramię, kiedy obracała się, chcąc zejść ze schodów i wrócić do płonącej piwnicy. - Gretchen też. Czy kogoś jeszcze brakuje?

- Nie, chyba nie.

- W porządku. Chodź. Wynosimy się stąd.

Wyszli z piwnicy w chmurze ciemnoszarego dymu, który wyglądał jak dekoracja w finale występu światowej klasy

iluzjonisty. Rzeczywiście znajdowali się z tyłu domu, w pobliżu wisiało rozpięte na sznurkach pranie. Sukienki, spodnie, bielizna i prześcieradła powiewały na coraz silniejszym wietrze. Na oczach Ralpha płonąca dachówka padła na jedno z prześcieradeł, które zapaliło się natychmiast. Płomienie buchały też z kuchennego okna. Żar był nie do zniesienia.

Helen prawie na nim zawisała - nie straciła przytomności, nie, po prostu była skrajnie wyczerpana. Ralph złapał ją w pasie i podtrzymał, bo upadłaby na ziemię. Drapała go słabo po szyi, próbując dowiedzieć się czegoś o Natalie, i dopiero kiedy zobaczyła dziecko na rękach Lois, wyraźnie się uspokoiła. Ralph złapał ją mocniej i na pół uniósł, na pół odciągnął od klapy piwnicy. Przy okazji dostrzegł na ziemi nowiutką kłódkę, rozerwaną na połowy,

skreconą jakby rękami olbrzyma.

Uwolnione kobiety stały jakieś dziesięć metrów dalej, zbite w gromadkę za węglem domu. Lois coś im tłumaczyła przekonując, by nie szły dalej. Ralph pomyślał, że jeśli dobrze się przygotują i będą mieli odrobinę szczęścia, może wyjdą cało z opresji. Policjanci wprawdzie wciąż strzelali, ale ogień wyraźnie osłabł.

- Pickering! - Chyba krzyczał John Leydecker, choć przez tubę trudno było rozpoznać głos. - Czemu raz w życiu nie błysniesz inteligencją i nie wyjdiesz, póki jeszcze możesz chodzić?

Ralph usłyszał kolejne zbliżające się syreny, wśród nich także cienkie wycie karetki pogotowia. Poprowadził Helen ku reszcie kobiet. Lois oddała jej Natalie, a potem odwróciła się w kierunku, skąd dobiegał głos z tuby, i przyłożyła dłonie do ust.

- Hej! - krzyknęła. - Hej, wy tam, słyszycie... - przerwała i rozkaszała się gwałtownie. Stała pochylona, dłońmi opierała się o kolana, z podrażnionych oczu łzy ciurkiem spływały jej na policzki.

- Lois, nic ci nie jest? - spytał Ralph. Kątem oka widział, jak Helen pokrywa pocałunkami buzię Wspaniałego & Niesamowicie Mądrego Dziecka.

- Nie, nic - odparła ocierając łzy. - Wszystko przez ten cholerny dym! - Znow przyłożyła dłonie do ust. - Czy mnie słyszycie!?

Ogień osłabł, rozlegały się już tylko pojedyncze strzały. Ralph pomyślał, że wystarczy jedna mała kula, a zginie niewinna kobieta.

Sam zwinął dłonie w trąbkę przy wargach.

- Leydecker! - wrzasnął. - Johnie Leydeckerze! Odpowiedziała mu cisza, lecz po chwili wzmocniony przez

policyjną tubę głos wydał rozkaz, od którego zrobiło mu się lżej na sercu.

- Wstrzymać ogień!

Jeszcze jeden strzał i cisza. Słyszeć było tylko trzask płomieni.

- Kto mówi? Podajcie nazwiska!

Ralph doszedł do wniosku, że ma wystarczająco wiele problemów i bez odzewu na ten rozkaz.

- Tu są kobiety! - krzyknął i omal sam się nie rozkaszał. - Wysyłam je do was!

- Nie, nie! - odpowiedział mu natychmiast Leydecker. - W ostatnim pokoju na parterze jest uzbrojony mężczyzna. Już zabił kilka osób!

Jedna z kobiet jęknęła i ukryła twarz w dłoniach. Ralph odchrząknął, oczyszczając w miarę możliwości spieczone gardło. W tej chwili cały swój fundusz emerytalny oddałby za

butelkę zimnej coca-coli.

- Nie musicie obawiać się Pickeringa! - odkrzyknął. - Pickering jest...

No właśnie, jaki właściwie jest Pickering? Cholernie dobre pytanie, co?

- Pan Pickering jest nieprzytomny! Dlatego przestał strzelać! - wspomogła go Lois. Zdaniem Ralpa słowo „nieprzytomny” niezbyt pasowało do sytuacji, ale mogło, od biedy, ujść. - Kobiety wyjdą z za rogu domu z rękami podniesionymi nad głowę. Nie strzelajcie! Obiecujcie, że nie będziecie strzelać!

Cisza, a potem:

- Obiecujemy, ale mamy nadzieję, że pani wie, co mówi! Ralph skinął głową na matkę małego chłopca.

- Idźcie. Możecie poprowadzić paradę.

- Jesteście pewni, że nic nam nie zrobią? - Znikające już, ale jeszcze widoczne na twarzy kobiety (znów niejasne wrażenie, że ją też gdzieś już widział) sińce świadczyły, że to, czy zostanie, czy też nie zostanie wraz z synkiem skrzywdzona, jest dla niej najważniejszą sprawą w życiu. - Jesteście pewni?

- Tak. - Lois nadal kaszłała, a z oczu nadal ciekły jej łzy. - Tylko wysoko podnieście ręce. Potrafisz to zrobić, młodzieńcze, prawda?

Chłopczyk natychmiast podniósł rączki z zapalem weterana

zabawy w policjantów i złodziei. Błyszczących oczu nie odrywał od twarzy Ralpa.

Różowa, pomyślał Ralph. Nie widzę jego aury, ale z pewnością jest różowa. Jak róża. Nie wiedział, czy to intuicja, czy może wspomnienie, ale nie miał wątpliwości co do koloru aury chłopaka.

- A ci, którzy zostali w środku? - zaniepokoiła się inna kobieta. - Co będzie, jeśli oni zaczną strzelać? Mają broń. Co będzie, jeśli zaczną strzelać?

- Nikt już nie będzie strzelał z domu - zapewnił ją Ralph. - No, idźcie.

Matka chłopca jeszcze raz obrzuciła go nieufnym spojrzeniem, a potem popatrzyła na syna.

- Gotów, Pat? - spytała.

- Tak. - Pat uśmiechnął się szeroko.

Jego mama uniosła rękę do góry, drugą otoczyła ramię chłopca we wzruszająco bezradnym, obronnym geście. Tak oboje wyszli z za węgła.

- Nie zróbcie nam krzywdy! - krzyknęła. - Trzymamy ręce do góry i jest tu ze mną mój synek, więc nie róbcie nam krzywdy!

Chwila oczekiwania... i jako druga ruszyła kobieta, która zakryła sobie twarz dłońmi,

a za nią matka dziewczynki (niosła córeczkę w ramionach, lecz miała mimo to posłusznie unosiła rączki). Za nimi reszta ocalonych; niemal wszyscy kaszlali, a wszyscy trzymali w górze puste ręce. Kiedy, jako jedna z ostatnich, chciała do nich dołączyć Helen, Ralph dotknął jej ramienia. Obejrzała się na niego, zaczerwienione oczy miała spokojne, lecz w ich spojrzeniu było niedowierzenie.

- Po raz drugi pojawiłeś się, gdy najbardziej cię potrzebowaliśmy - powiedziała. - Kim jesteś? Naszym Aniołem Stróżem?

- Być może - odparł Ralph. - Być może jestem waszym Aniołem Stróżem. Słuchaj, Helen, nie mamy wiele czasu. Gretchen nie żyje.

Helen zapłakała i kiwnęła głową.

- Wiedziałam. Nie chciałam wiedzieć, ale w jakiś sposób wiedziałam.

- Bardzo mi przykro.

- Tak dobrze się bawiliśmy, kiedy przyjechali. To znaczy byliśmy zdenerwowane, ale mimo to śmiałyśmy się i rozmawiały. Chciałyśmy spędzić dzień na przygotowaniach do spotkania z Susan Day. Do spotkania i do jej przemowy.

- Właśnie o to miałem cię zapytać. - Ralph mówił najłagodniej jak potrafił. - Myślisz, że mimo wszystko...

- Kiedy przyjechali, robiłyśmy właśnie śniadanie - opowiadała Helen, jakby w ogóle nie słyszała jego pytania. Ralph przypuszczał, że rzeczywiście nie słyszała. Nat wyglądała znad jej ramienia i choć nadal kaszlała, przestała płakać. Bezpieczna w ramionach matki patrzyła to na niego, to na Lois z bystrą, dziecięcą ciekawością. ■

- Helen... - powiedziała Lois.

- Patrzcie, widzicie? - Helen wskazała na starego brązowego cadillaca, stojącego przy podupadłej szopie, w której za czasów gdy Ralph przyjeżdżał tu z Carolyn, tłoczono cydr. Teraz służyła pewnie za garaż. Caddy był w żalonym stanie: popękana przednia szyba, wgniecenia na błotnikach, szybka jednej lampy podklejona taśmą, zderzak cały w plakietkach przedwaborcyjnych. - Przyjechali tym samochodem. Minęli dom, jakby mieli zamiar wjechać do garażu. Chyba to nas zwiodło. Podjechali od tyłu, jakby mieli wszelkie prawo zaparkować w garażu! - Przez moment Helen przyglądała się samochodowi, a potem zwróciła zaczerwienione, nieszczęśliwe oczy na Ralpha i Lois. - Ktoś powinien dostrzec te cholerne nalepki na zderzakach!

Ralphowi przypomniawszy się nagle Barbara Richards z Ośrodka Opieki nad Kobietami - Barbie Richards, która tak wyraźnie rozluźniła się i uspokoiła, kiedy podeszła do niej Lois. Nie obeszło jej wcale, że Lois trzyma rękę w torebce, liczyło się tylko to, że jest kobietą.

Cadillaca prowadziła Sandra McKay. Nie musiał pytać, by wiedzieć, że to właśnie ona siedziała za kierownicą. Zobaczyły kobietę i zlekceważyły nalepki na zderzaku. Jesteśmy rodziną, mam tu przy sobie wszystkie moje siostry.

- Kiedy Deanie powiedziała, że ludzie wysiadający z samochodu mają na sobie jakby mundury i są uzbrojeni, myślałyśmy, że żartuje. Wszystkie oprócz Gretchen tak myślałyśmy. Gretchen kazała nam zejść jak najszybciej na dół. Potem poszła do bawialni. Chyba po to, żeby zadzwonić na policję. Powinnam była z nią zostać.

- Nie! - zaprzeczyła Lois, zwijając w palcach lok delikatnych włosów Nat. - Twoim obowiązkiem było zaopiekować się Nat. I nadal jest.

- Chyba masz rację - przytaknęła tępo Helen. - Chyba tak. Ale ona była moją przyjaciółką, Lois. Moją przyjaciółką!

- Wiem, kochanie.

Twarz Helen wykrzywiła się nagle jak zmięta ścierka i wybuchnęła płaczem. Natalie spojrzała na matkę z wyrazem komicznego zdumienia na buzi i też zaczęła płakać.

- Helen - powiedział Ralph. - Helen, posłuchaj mnie. Chcę cię o coś zapytać. To bardzo, bardzo ważne. Słuchasz mnie?

Helen skinęła głową, ale nadal płakała. Ralph nie miał pojęcia, czy go słyszy. Zerknął w stronę, gdzie odeszła reszta kobiet, zastanawiając się, kiedy zaszarżuje na nich policja, a potem głęboko zaczerpnął tchu.

- Jak sądzisz, czy spotkanie z Susan Day odbędzie się... po tym, co tu się stało? Czy jest na to jakaś szansa? Byłaś z Gretchen bliżej niż ktokolwiek. Powiedz mi, co myślisz.

Helen przestała płakać. Patrzyła na niego nieruchomymi, rozszerzonymi oczami, jakby nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. A potem oczy te wypełnił straszny gniew.

- Jak możesz pytać? Jak możesz w ogóle pytać!?

- No... bo przecież... - przerwał, nie mogąc wykrztusić słowa. Wściekły gniew był ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał.

- Jeśli nas teraz powstrzymają, wygrali - powiedziała Helen. - Nie jesteś w Stanie tego zrozumieć? Gretchen nie żyje, Merrilee nie żyje, ten dom płonie z całym dobytkiem tych kobiet! Jeśli nas teraz powstrzymają, wygrali!

Jakaś - głęboko ukryta - część umysłu Ralpha dokonała błyskawicznie straszego porównania. Inna część, ta, która kochała tę kobietę, próbowała je wymazać, lecz nie zdążyła. Oczy Helen wyglądały w tej chwili dokładnie tak, jak oczy Charliego Pickeringa w bibliotece, a w żadnym umyśle, w żadnym normalnym umyśle nie mogłoby się zalęgnąć nic, co sprawia,

że oczy przybierają taki wyraz.

- Jeśli nas teraz powstrzymają, wygrali! - wrzeszczała Helen, a Natalie w jej ramionach płakała coraz głośniej. - Nie jesteś w stanie tego pojąć? Cholera, nie jesteś w stanie tego pojąć!? Nie pozwolimy, żeby do tego doszło. Nigdy nie pozwolimy. Nigdy, nigdy, nigdy!

Nagle podniosła wolną rękę i odeszła za róg domu. Ralph próbował ją zatrzymać, ale tylko musnął palcami jej bluzkę.

- Nie strzelajcie! - krzyknęła do policji czekającej za rogiem. - Nie strzelajcie, jestem jedną z kobiet! Nie strzelajcie, jestem jedną z kobiet!

Ralph skoczył za nią - nieświadomie, całkowicie instynktownie - ale Lois złapała go za pasek.

- Lepiej się nie pokazuj, dobrze? - powiedziała. - Jesteś mężczyzną, mogą pomyśleć...

- Cześć Ralph! Cześć Lois!

Oboje odwrócili się. Ralph rozpoznał ten głos i ogarnęło go zdumienie, a jednocześnie ani trochę nie był zdumiony. Za wiszącymi na sznurkach płonącymi prześcieradłami i bielizną stał Dorrance Marsteller we flanelowych spodniach i starych, posklejanych taśmą izolacyjną adidasach. Włosy, delikatne jak u Natalie (choć siwe, nie kasztanowate), rozwiewał mu październikowy wiatr, coraz silniejszy tu, na szczycie wzgórza. I jak zwykle Dor trzymał w dłoni książkę.

- Chodźcie, kochani - powiedział, machając im ręką i uśmiechając się. - Przyspieszcie kroku, prędzej. Nie mamy wiele czasu.

Poprowadził ich krętą, zarośniętą, najwyraźniej nie używaną ścieżką, która odchodziła od domu w kierunku mniej więcej zachodnim. Przeszli najpierw przez spory ogród, którego plony zebrano już (z wyjątkiem dyń), potem przez sad (jabłka już prawie dojrzały), a w końcu przez gęste krzaki jeżyn (wyrastały zewsząd i kolce szarpały im ubrania). Kiedy dotarli do mrocznego iglastego lasu, Ralph uświadomił sobie, że są już na zboczu nachylonym ku Newport.

Dorrance szedł rażno, jak na kogoś w jego wieku. Łagodny uśmiech nie schodził mu z warg. Książka, którą trzymał w ręku, miała tytuł „Dla Miłości, wiersze 1950-1960”, napisał ją zaś niejaki Robert Creeley. Ralph nigdy o nim nie słyszał.

Tylko raz odezwał się do Starego Dora - kiedy zeszli wreszcie ze zbocza śliskiego i zdradliwego, bo pokrywały je sosnowe igły. Kawałek dalej płynął niewielki, lecz bystry strumyk.

- Dorrance, co ty tu właściwie robisz? A w *ogóle* to skąd się tu właściwie wzięłeś? I

dokąd, do cholery, idziemy?!

- Och, właściwie nigdy nie odpowiadam na pytania - odparł Stary Dor, uśmiechając się szeroko. Przyjrzał się strumykowi, po czym podniósł palec i wycelował go w wodę. Mały brązowy pstrąg wyskoczył w powietrze, błysnął kroplami za

ogonem i znikł w wodzie. Ralph i Lois wymienili spojrzenia. Czy widziałeś... czy widziałas... to co ja widziałem... to co ja widziałam?

- Nie, nie - stwierdził stanowczo Dorrance, schodząc z brzegu na mokry kamień. - Prawie nigdy. Za wiele z tym kłopotów. Za wiele jest możliwości. Za wiele poziomów... co, Ralph? Świat jest pełen poziomów, prawda? Jak się czujesz, Lois?

- Świetnie - odparła patrząc, jak Dor przekracza strumyk po jakby specjalnie do tego celu porozrzucanych kamieniach. Rozłożył przy tym szeroko ramiona; wyglądał jak najstarszy akrobata świata. Właśnie wyszedł na drugi brzeg, kiedy za ich plecami rozległ się głośny, tępy wybuch - raczej sapnięcie niż eksplozja.

Poszły zbiorniki ropy, pomyślał Ralph.

Dor obrócił się i spojrzał na nich z drugiego brzegu. Uśmiechał się niczym dobrotliwy Budda. Ralph wznosił się na wyższy poziom bez żadnej świadomej intencji, nie poczuł także wewnętrznego mrugnięcia. Dzień wypełnił się barwami, lecz on zaledwie zwrócił na to uwagę. Wpatrywał się tylko w Dorrance^ Marstellara i przez prawie dziesięć sekund nie oddychał.

W ciągu ostatniego miesiąca widział aury w wielu odcieniach, lecz nigdy nie spotkał się z niczym, co choćby w przybliżeniu przypominało aurę otaczającą starego mężczyznę, o którym Don Veazie powiedział kiedyś: „Cholernie miły z niego facet, ale prawdziwy głupek”. Wyglądała niczym białe światło przepuszczone przez pryzmat... lub jak tęcza. Świeciła oślepiającymi łukami: błękitnym i fioletowoczerwonym, fioletowoczerwonym i czerwonym, czerwonym i różowym, różowym i kremowojasnożółtym w kolorze dojrzałego banana.

Poczuł dłoń Lois szukającą jego dłoni i zaciskającą się na niej.

[Mój Boże, Ralph, widzisz? Widzisz? Widzisz, jaki jest piękny?]

[Oczywiście, że widzę.]

[Kim on jest? Człowiekiem?]

[Nie...]

[Przestańcie! Natychmiast wróćcie na dół.]

Dorrance uśmiechał się wprawdzie, ale głos, który usłyszeli w głowach, brzmiał rozkazująco i bardzo zdecydowanie. Nim Ralph zażyczył sobie zejścia na dół, poczuł pchnięcie. Kolory i dźwięki znikły jak zdmuchnięte.

- Nie mamy czasu na takie zabawy - oznajmił Dor. - Toż jest już południe!

- Południe? - zdumiała się Lois. - Niemożliwe! Przecież dojechaliśmy tu przed dziewiątą i nie minęło jeszcze nawet pół godziny...

- Czas płynie szybciej, gdy wzlatusz się wysoko. - Stary Dor powiedział to bardzo poważnie, ale oczy mu się śmiały. - Zapytajcie każdego pijącego piwo i słuchającego country w sobotnią noc. No, chodźcie! Pośpieszcie się! Zegar bije! Przejdźcie przez strumyk!

Lois przeszła pierwsza, powoli, uważnie stawiając stopy, z rękami rozłożonymi na boki, jak Dorrance. Ralph szedł za nią, trzymał dłonie na jej biodrach, gotów ją chwycić, gdyby się zachwiała, ale to właśnie jemu niemal udało się wpaść do wody. Uniknął wprawdzie najgorszego, ale zamoczył stopę aż po kostkę. Miał wrażenie, że gdzieś, w jakimś zakątku jego umysłu Carolyn śmieje się wesoło.

- Nic nam nie możesz powiedzieć, Dor? - spytał, kiedy oboje dotarli szczęśliwie do brzegu. - Całkiem się zagubiliśmy. - I nie tylko duchowo, pomyślał. W życiu nie był w tych lasach, nawet kiedy jako młody chłopak polował na kuropatwy i jelenie. Gdyby ścieżka, którą szli, nagle znikła, gdyby Stary Dor pogubił się w tych wszystkich zakrętach... co wtedy?

- Oczywiście, że mogę - odparł natychmiast Marstellar. - Jedną rzecz mogę wam powiedzieć z całkowitą, stuprocentową pewnością.

- Mów!

- To najlepsze wiersze, jakie napisał Robert Creeley. - Dor wyciągnął przed siebie tomik „Dla Miłości” i nim którekolwiek z nich zdołało powiedzieć słowo, odwrócił się i ruszył wąską leśną ścieżką, prowadzącą z grubsza na zachód.

Ralph spojrzał na Lois, Lois spojrzała na Ralpha. Oboje nic z tego, oczywiście, nie pojmowali, ale to Lois pierwsza otrząsnęła się ze zdumienia.

- Chodź, przyjacielu - powiedziała. - Lepiej, żebyśmy go teraz nie zgubili. Nie mam okruszków chleba.

Wspięli się na kolejne wzgórze i z jego szczytu Ralph dojrzał starą wyjeżdżoną leśną drogę z biegnącym między koleinami pasem trawy. Droga kończyła się na zarośniętym żwirowisku, jakieś pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie stali. Przy wjeździe

na żwirowisko stał samochód, doskonale anonimowy nowy ford, Ralph miał jednak wrażenie, że gdzieś go już widział. Kiedy otworzyły się drzwi i z forda wysiadł kierowca, uczucie to znalazło swoje wytłumaczenie. Oczywiście, że widział już kiedyś ten samochód - widział go z okna pokoju Lois, we wtorek wieczorem. Stał wtedy skosem na Harris Avenue, a w świetle jego reflektorów klęczał kierowca... klęczał nad zdychającym psem, którego potrafił. Joe Wyzer zauważył ich, uśmiechnął się i pomachał ręką.

Rozdział 4

- Powiedział, że mam was zawieźć - oznajmił im Wyzer, ostrożnie zawracając samochód przed wjazdem do żwirowni.

- Ale dokąd? - zainteresowała się Lois.

Siedziała z tyłu, z Dorrance'em Marstellarem. Ralph usiadł z przodu, obok Joego Wyzera, który wyglądał, jakby nie do końca wiedział, gdzie się właściwie znajduje... a nawet kim właściwie jest. Potrząsając jego ręką, Ralph wzbił się nieco wyżej, ale niewiele, tyle żeby zerknąć na jego aurę. Zarówno ona jak i wstążka balonowa były na miejscu, obie stuprocentowo zdrowe. Tylko żółtopomarańczowy kolor jakby lekko spłowieł. Ralphowi wydawało się, że spłowieć mógł pod wpływem Starego Dora.

- Słuszne pytanie! - Wyzer roześmiał się cicho i niepewnie. - Tak naprawdę to nie mam zielonego pojęcia. Przeżyłem właśnie najdziwniejszy dzień w całym moim interesującym życiu. Niewątpliwie.

Leśna droga kończyła się skrzyżowaniem z dwupasmową asfaltową szosą. Wyzer przystanął, rozejrzał się i skręcił w lewo. Niemal natychmiast minęli znak DO 1-95. Ralph doszedł do wniosku, że gdy tylko znajdą się na autostradzie, ruszą na północ. Teraz już wiedział, gdzie są - jakieś trzy i pół kilometra na południe od drogi 33. Powrót do Derry zajmie im niespełna pół godziny. Nie miał wątpliwości, że tam właśnie wracają.

Roześmiał się nagle.

- No i proszę! Trójka wesolutkich szczęściarzy na wycieczce. No, powiedzmy czwórka. Witamy w cudownym świecie hiperrzeczywistości, Joe.

Wyzer obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, lecz zaraz rozluźnił się i uśmiechnął.

- To rzeczywiście hiperrzeczywistość? - spytał i nie czekając na odpowiedź dodał: - No tak. Chyba tak.

- Czytałeś ten wiersz? - Z tylnego siedzenia wychylił się Dorrance. - Ten, który zaczyna, się: *Wszystko co robię robię pośpiesznie by móc zrobić co innego!*

Ralph spojrział na niego. Stary Dor nadal się uśmiechał swym łagodnym uśmiechem.

- Oczywiście, czytałem i...

- Czyż nie jest wystrzałowy? I piękny. Stephen Dobyns przypomina mi Hart a Crane'a bez jego pretensjonalności. A może mam na myśli Stephena Crane'a? Nie, nie, chyba nie. Oczywiście brakuje mu muzyki Dylana Thomasa, ale czy to źle? Chyba nie. Współczesna

poezja to nie muzyka. Chodzi w niej o śmiałość - kto jest śmiały, a kto nie.

- Boże! - Lois spojrzała w niebo.

- Gdybyśmy tylko wzniesli się o parę poziomów, pewnie mógłby nam wyjawić wszystko, co chcielibyśmy wiedzieć - stwierdził Ralph - ale nie chce, żebyśmy się wznosili. Prawda, Dor? Bo czas płynie szybciej, kiedy wlatujesz wysoko.

- Strzał w dziesiątkę! - ucieszył się Marstellar. Na drodze pojawiły się niebieskie znaki zwiastujące wjazd na autostradę. - Wyobrażam sobie, że później będziecie musieli się wnieść oboje, ty i Lois, więc bardzo ważne jest, byśmy teraz oszczędzili tyle czasu, ile to tylko możliwe. Oszczędzili... czas. - Mówiąc to uczynił dziwny, wymowny gest. Wyciągnął (pokręcone i starcze) kciuk i palec wskazujący i zwarł je, jakby pokazywał coś, co się zwięża.

Joe Wyzer włączył migacz, po czym skręcił w lewo, na wjazd w kierunku północnym, w stronę Derry.

- Jakim cudem się w to wplątałeś, Joe? - zainteresował się Ralph. - Dlaczego Dor akurat ciebie wybrał za szofera? Przecież mógł skorzystać z usług każdego innego mieszkańca zachodniego Derry?

Wyzer tylko potrząsnął głową, a kiedy samochód wjechał na autostradę, zdrzyfował na lewy, szybki pas. Ralph sięgnął do kierownicy i natychmiast poprawił jego błąd. Joe z pewnością kiepsko spał przez kilka ostatnich nocy. Dobrze, że na drodze nie było praktycznie ruchu - przynajmniej w tej odległości od miasta - bo oszczędzało mu to zdenerwowania, a jeden Bóg wie, że denerwował się ostatnio aż nadto.

- Nas wszystkich połączył Cel - powiedział nagle Dorrance. - To ka-tet, co oznacza „jedność z wielu”. Tak jak wiele rymów tworzy wiersz. Rozumiecie?

- Nie - odparli wszyscy troje jednym głosem, w doskonałej harmonii, a potem, równie jednogłośnie, roześmieli się nerwowo. Trójka Bezsennych Apokalipsy, pomyślał Ralph. Jezu Chryste!

- Nic nie szkodzi - Stary Dor uśmiechnął się szeroko. - Po prostu uwierzcie mi na słowo. Ty i Lois... Helen i jej córeczka... Bili... Faye Chapin... Trigger Vachon... ja... my wszyscy jesteśmy częścią Celu.

- To świetnie, Dor - wtrąciła Lois - ale gdzie ten Cel prowadzi nas teraz? I co mamy zrobić, kiedy już znajdziemy się na miejscu?

Dorrance pochylił się i wyszeptał coś w ucho Joego Wyzera, zasłaniając usta zniekształconą wiekiem i pokrytą wątrobianymi plamami dłonią. Potem rozparł się na siedzeniu, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony.

- Mówi, że mamy jechać do Centrum Obywatelskiego - oznajmił głośno Joe.

- Centrum Obywatelskiego!?! - zaniepokoiła się nagle Lois. - Nie, to przecież niemożliwe! Ci dwaj mali doktorkowie...

- Zapomnijmy o nich - przerwał jej Dor. - Pamiętajcie tylko, o co chodzi. O śmiałość. Kto jest śmiały, a kto nie jest.

Przez jakieś dwa kilometry w fordzie Joego Wyzera panowała cisza. Dor otworzył tomik wierszy Roberta Creeleya i zaczął czytać, wodząc po linijkach poślódką palca. Ralph przypomniał sobie zabawę z dzieciństwa... niezbyt sympatyczną zabawę. Nazywała się-”polowanie na dubleta”. Trzeba było znaleźć dzieciaka (koniecznie nieco młodszego i o wiele bardziej łatwowiernego), potem wcisnąć mu historię o mitycznym ptaku „dublecie”, a w końcu wysłać go z pełnym plecakiem na całe popołudnie, na wyczerpujący spacer po moczarach i leśnych ścieżkach Pustkowi, żeby szukał nie istniejącego ptaszyska. Zabawę tę nazywano też czasami „nurkowaniem za dziłą kaczką”. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że tam, na szpitalnym dachu, Kloto i Lachesis wysłali ich właśnie na poszukiwanie „dubleta”.

Odwrócił się i spojrzał na Starego Dora. Dor zwinął górny róg strony, którą właśnie czytał, zamknął książkę i odpowiedział mu spojrzeniem pełnym uprzejmego zainteresowania.

- Kazali nam nie zbliżać się do Eda Deepneau i doktorka numer 3 - poinformował go Ralph. Mówił powoli, najwyraźniej jak potrafił. - Nie pozostawili cienia wątpliwości, że nie wolno nam nawet myśleć o tym, by się do nich zbliżyć, ponieważ w tej specyficznej sytuacji dysponują oni wielką mocą i mogą nas zgnieść jak robaczki. O ile dobrze pamiętam, Lachesis zasugerował nawet, że jeśli zwrócimy na siebie uwagę Eda lub Atroposa, możemy spodziewać się odwiedzin kogoś bardzo ważnego, kogoś z samej góry... kogoś, kogo Ed nazywa Karmazynowym Królem. Z tego, co wiemy, nie jest to sympatyczny gość.

- No właśnie - potwierdziła słabym głosem Lois. - Dokładnie to nam powiedzieli w szpitalu, na dachu. I że mamy skłonić organizatorkę wizyty Susan Day do odwołania jej przyjazdu. Dlatego pojechaliśmy do schroniska „Na Zboczu”.

- I co, udało wam się ją przekonać? - zainteresował się Joe Wyzer.

- Nie. Obląkani przyjaciele Eda zdążyli tam przed nami, podpalili dom i zabili przynajmniej dwie osoby. Zastrzelili je. To właśnie z jedną z nich mieliśmy porozmawiać.

- Z Gretchen Tillbury - dodał Ralph.

- Tak - przytaknęła Lois. - Ale na pewno nie musimy robić nic więcej. Nie wierzę, że dojdzie do spotkania z Susan Day. To znaczy, jak by mogli! Przecież zginęły co najmniej cztery osoby. Prawdopodobnie więcej! Będą musieli odwołać spotkanie, a przynajmniej przesunąć je na później! Prawda?

Joe i Dorrance milczeli. Ralph milczał także. Myślał o zaczerwienionych, wściekłych oczach Helen. „Jak możesz nawet pytać! Jeśli nas teraz powstrzymają, wygrali!” Krzyczała na niego.

Czy policja ma prawo nie dopuścić do spotkania? Prawdopodobnie nie. A Rada Miejska? Może i tak. Może zwołać posiedzenie i wycofać zezwolenie na spotkanie z Susan Day. Ale czy zdobyłaby się na odwagę? Gdyby dwa tysiące wściekłych, rozżalonych kobiet maszerowało wokół ratusza krzycząc: „Jeśli nas teraz powstrzymają, wygrali!”, czy Rada zdobyłaby się na odwagę i wycofała pozwolenie?

Ze strachu ssało go w żołądku.

Helen najwyraźniej uważała, że sprawa mityngu jest teraz ważniejsza niż kiedykolwiek. Z pewnością nie ona jedna. Nie chodziło już o „wybór” i o to, kto ma decydować, co kobieta robi ze swym ciałem, lecz o sprawę wystarczająco ważną, by za nią umrzeć, i o przyjaciół, którzy za nią umarli. Spotkanie z Susan Day przestało być kwestią polityki; stało się czymś w rodzaju świeckiej mszy żałobnej za umarłych.

Lois złapała go za ramię i potrząsała nim mocno. Ralph wrócił do rzeczywistości, ale niechętnie, jak człowiek budzący się w środku niezwykle barwnego snu.

- Odwołają je, prawda? A nawet jeśli nie odwołają, jeśli z jakiegoś szalonego powodu go nie odwołają, to ludzie nie przyjdą, prawda? Po tym, co się tam stało, będą się bali przyjść?

Ralph potrząsnął głową.

- Już raczej pomyślą sobie, że to koniec i nie ma się czego bać. W wiadomościach podadzą przecież, że dwójka radykałów, którzy zaatakowali schronisko, nie żyje, a trzeci jest w stanie... no, katatonii albo coś.

- Ale Ed! Co z Edem?! - Lois krzyczała. - Na litość boską, przecież to on zaplanował ten atak! Przecież to on ich tam wysłał!

- Może i prawda, nawet z pewnością prawda, ale jak to udowodnić? Wiesz, co moim zdaniem gliniarze znajdą w miejscu, które służyło Charliemu za mieszkanie? Liścik z informacją, że to od początku do końca był jego własny pomysł. Liścik kryjący Eda całkowicie i bez cienia wątpliwości, a może i zawierający oskarżenia pod jego adresem, wyrzuty, że opuścił ich w największej potrzebie. A jeśli nie znajdą go u Charliego, to będzie pewnie u Feltona albo u tej McKay.

- Ale to... to przecież... - Lois przerwała, przygryzła dolną wargę. Rzuciła Wyzerowi pełne nadziei spojrzenie. - A co z Susan Day? Gdzie ona się podziewa? Czy ktoś to wie? Może pan? Zadzwonimy do niej z Ralphem, wytłumaczymy...

- Jest już w Derry - powiedział Wyzer - choć pewnie nawet policja nie wie gdzie. Kiedy jechaliśmy tu, ja i ten starszy pan, w radiu podawali, że spotkanie się odbędzie... i że podobno ta informacja pochodzi bezpośrednio od niej..

Oczywiście, pomyślał Ralph. Jasne, że się odbędzie. Przedstawienie trwa nadal, przedstawienie musi trwać i Susan Day doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Ktoś, kto przewodzi ruchowi kobiecemu od tylu lat... do diabła, od konwencji w Chicago w 1968... potrafi rozpoznać godzinę prawdy, kiedy godzina prawdy nadejdzie. Rozważyła ryzyko i uznała, że jest

do przyjęcia. Albo to, albo oceniła sytuację i doszła do wniosku, że gdyby teraz zrezygnowała, straciłaby wiarygodność, a to jest oczywiście nie do przyjęcia. A może zrobiła jedno i drugie? W każdym razie, tak jak my, jest niewolnikiem sytuacji - niewolnikiem ka-tet.

Znaleźli się już na granicy Derry. Na horyzoncie widać było Centrum Obywatelskie.

Lois zwróciła się do Starego Dora:

- Gdzie ona jest? Może ty wiesz? Nie chodzi o to, ilu ma przy sobie ochroniarzy, Ralph i ja możemy stać się niewidzialni i... z łatwością wpływamy na decyzje różnych ludzi.

- Och, zmiana decyzji Susan Day nie zmieniłaby niczego - stwierdził Dor. Nadal uśmiechał się tym swoim szerokim, cholernie denerwującym uśmiechem. - Ludzie przyjdą do centrum bez względu na okoliczności. Jeśli drzwi będą zamknięte, wyłamią je i wejdą do środka. Muszą mieć ten swój mityng. Żeby pokazać, że się nie boją.

- Co się stało, to się nie odstanie - powiedział tępo Ralph.

- Strzał w dziesiątkę! - ucieszył się Dor i klepnął go po ramieniu.

W pięć minut później ford przejechał obok stojącego przed Centrum Obywatelskim ohydneho plastikowego pomnika Paula Bunyana i skręcił przy strzałce z podpisem **PRZED SWOIM CENTRUM ZAWSZE ZNAJDZIESZ DARMOWE MIEJSCE PARKINGOWE!**

Dobry akr parkingu znajdował się między gmachem a torem wyścigów konnych Bassey Park. Gdyby tego wieczora miał odbyć się koncert rockowy, regaty wioślarskie albo walki zapaśnicze, o tej porze mieliby go dla siebie, ale widać całe lata świetlne dzieliły dzisiejszą atrakcję od meczów koszykówki czy zawodów traktorów z przyczepami, bo na miejscu było już z sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt samochodów, a wokół nich stały grupki ludzi, na ogół wpatrzonych w gmach centrum. W oczy rzucały się przede wszystkim kobiety, niektóre z koszykami piknikowymi, większość ze łzami w oczach, a prawie wszystkie z czarnymi, żałobnymi opaskami na rękawach. Ralph zauważył panią w średnim wieku o inteligentnej twarzy, z masą siwych włosów na głowie, rozdającą te opaski z plastikowej

torby na zakupy. Ubrana była w biały podkoszulek z portretem Susan Day i napisem:

W C KOŃCU? ZWYCIĘŻYMY.

Podjazd przed wejściem do centrum był jeszcze bardziej zatłoczony. Stało tam co najmniej sześć telewizyjnych wozów transmisyjnych. Technicy gromadzili się w małych grupkach pod trójkątnym betonowym frontonem, dyskutując, jakich to sztuczek użyją podczas transmisji. A - przynajmniej według zwisającego z frontonu ogromnego transparentu - transmisja miała się odbyć. MITYNG Z SUSAN DAY wypisano na nim wielkimi, zamazanymi literami, farbą w aerozolu. 20.00 - PRZYJDŹ - OKAŻ SOLIDARNOŚĆ - WSPOMÓŻ SIOSTRY!

Joe Wyzer zatrzymał forda, odwrócił się w stronę Starego Dora i uniósł brwi w niemym pytaniu. Dor skinął głową i Joe powiedział do Ralpha i Lois:

- Zdaje mi się, że tu wysiadacie. Powodzenia. Poszedłbym z wami, gdybym mógł, nawet go o to poprosiłem, ale on twierdzi, że nie jestem odpowiednio wyekwipowany.

- W porządku, w porządku - odparł Ralph. - Jesteśmy ci głęboko wdzięczni za to, co dla nas zrobiłeś. Prawda, Lois?

- Tak, oczywiście!

Ralph sięgnął do klamki, ale cofnął rękę. Obrócił się i spojrzał na Dorrance'a.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytał. - Ale tak naprawdę. Bo z pewnością nie o to, by ocalić dwa tysiące ludzi, którzy, według dwóch małych doktorków, mają być tu dziś wieczorem. Dla tych ponadczasowych sił, o których wspomnieli, dwa tysiące trupów to jak odrobina oleju, żeby kółka się lepiej kręciły. Więc o co tu chodzi, Dor? Dlaczego się tu znaleźliśmy?

Dorrance Marsteller spoważniał w końcu; bez uśmiechu wyglądał młodziej i niezwykle godnie.

- Hiob zadał Bogu to samo pytanie i nie otrzymał na nie odpowiedzi. Wy też jej nie otrzymacie, ale powiem wam tyle: staliście się osiłą wielkich wydarzeń, punktem skupienia wielkich sił. Dzieła wyższego świata zamarły, bowiem zarówno Cel jak i Przypadek śledzą tylko wasze ruchy.

- Wspaniale, ale nadal nic nie pojmuję. - W głosie Ralpha więcej było rezygnacji niż gniewu.

- Ja też - przyznała cicho Lois. - Ale mnie wystarczą te dwa tysiące. Nie potrafiłabym żyć ze świadomością, że nie spróbowałam ich ocalić. Torba śmierci nad centrum śniłaby mi się do końca życia. To wystarczy, choć śpię najwyżej godzinę na dobę.

Ralph myślał chwilę i skinął głową. Otworzył drzwi, wystawił na zewnątrz jedną nogę.

- Słusznie - stwierdził. - I Helen tam będzie. Pewnie zabierze ze sobą Nat. Dla takich starych krótkoterminowych bałwanów jak my to starczy, żeby działać.

A może, pomyślał, chcę rewanzu z doktorkiem nr 3?

Och, Ralph! - pożałowała go Carolyn. Bawisz się w Clintę Eastwooda? Znowu?

Nie, nie bawił się w Clintę Eastwooda. Ani w Sylwestra Stallone. Ani nawet w Johna Wayne'a. Nie był żadnym komandosem, nie był gwiazdą filmową, tylko zwykłym Ralphem Robertsem z Harris Avenue. Mimo to żywił poważną urazę do doktorka nr 3... i ta uraza wcale nie była nierealna. Nie wywołał jej zresztą wyłącznie bezpański pies i stary nauczyciel historii, z którym sąsiedował przez jakieś dziesięć lat. Ralph nie potrafił po prostu przestać myśleć o bawialni w schronisku „Na Zboczu” i o opartych o ścianę kobietach pod portretem Susan Day. A przed oczami wyobraźni nie miał wcale wielkiego brzucha ciężarnej Merrilee, lecz włosy Gretchen Tillbury - piękne jasne włosy niemal całkiem spalone przez wystrzał z bliskiej odległości. Charlie Pickering pociągnął za spust i pewnie to Ed Deepneau wsadził mu karabin w dłoń - ale on winił o wszystko Atroposa, Atroposa złodzieja skakanek, Atroposa złodzieja kapeluszy, Atroposa złodzieja grzebyków.

I Atroposa złodzieja kolczyków.

- Chodź, Lois - powiedział. - Idziemy!

Ale Lois położyła mu dłoń na ramieniu i potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie. Wsadź nogę do środka i zamknij drzwi. Przyjrzał się jej uważnie i zrobił, co kazała. Lois tymczasem

umilkła, zbierając myśli, a po chwili odezwała się bezpośrednio do Starego Dora.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego wysłano nas do domu „Na Zboczu”. Ci dwaj nie powiedzieli wprawdzie wprost, że mamy tam pojechać, nawet nam tego nie zasugerowali, ale wiedzieliśmy, że właśnie tam należy jechać, prawda, Ralph? To chcę zrozumieć! Jeśli mamy być tu, dlaczego musieliśmy jechać tam? To znaczy, uratowaliśmy kilka osób, bardzo się z tego cieszę, ale Ralph ma chyba rację. Kilka trupów nie ma żadnego znaczenia dla reżyserów tego spektaklu.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Dorrance odpowiedział jej pytaniem.

- Czy Kloto i Lachesis naprawdę sprawili na tobie wrażenie niezwykle mądrych i szalenie wszechwiedzących?

- No... mądrzy byli, ale żadni z nich geniusze - odparła po namyśle Lois. - W którymś momencie nazwali się zwykłymi robotnikami, bardzo dalekimi od sali posiedzeń rady nadzorczej, która podejmuje decyzje.

Stary Dor uśmiechał się i kiwał głową.

- Kloto i Lachesis sami są niemal Krótkoterminowi, przynajmniej w wielkim kole świata. Są rzeczy, których się boją, i rzeczy, których nie rozumieją. Mogą także podejmować błędne decyzje... ale w ostatecznym rachunku nie ma to najmniejszego znaczenia, ponieważ i oni służą Celowi... oraz ka-tet.

- Sądziłeś, że w bezpośrednim starciu z Atroposem musimy przegrać, prawda? - zainteresował się Ralph. - To dlatego wmówili sobie, że zdołamy osiągnąć cel w mniej bezpośredni sposób... czyli przez wizytę w schronisku „Na Zboczu”?

- Tak. Właśnie tak.

- Wspaniale. Uwielbiam, kiedy się mnie docenia. A już zwłaszcza...

- Nie - przerwał mu Dor. - Nie w tym rzecz. Ralph i Lois wymienili zdumione spojrzenia.

- O czym ty mówisz?

- Jest i tak, i tak. Jak zresztą prawie zawsze w polu działania Celu. Bo wiecie... to znaczy... - Dor westchnął. - Nienawidzę tych wszystkich pytań! Prawie nigdy nie odpowiadam na pytania! Wspomniałem wam o tym?

- Oczywiście - przyznała Lois. - Wspomniałeś.

- Aha. A teraz znowu! Wszystkie te pytania! Przykre! Bezsensowne!

Ralph spojrzął na Lois, Lois spojrziała na Ralpha. Nie poruszyli się, nie wysiedli z samochodu. Dor westchnął ciężko.

- No, dobrze... ale więcej nic wam nie powiem, więc uważajcie: Kloto i Lachesis mogli was wysłać do schroniska z niewłaściwych powodów, lecz Cel wysłał was tam z powodów właściwych. Spełniliście swoje zadanie.

- Ratując kobiety? - zaryzykowała Lois. Dorrance tylko potrząsnął głową.

- Więc co takiego zrobiliśmy?! - Teraz prawie już na niego krzyczała. - Co? Czy nie mamy prawa wiedzieć, jaką część zadania spełniliśmy dla tego cholernego Celu!?

- Nie. A przynajmniej jeszcze nic. Ponieważ będziecie musieli spełnić je po raz drugi.

- To jakieś szaleństwo - stwierdził Ralph.

- Nie, nie! - Stary Dor trzymał tomik wierszy na wysokości piersi, miał go i wpatrywał się w Ralpha prosząco. - Przypadek jest szalony. Cel nie.

Doskonale, to co takiego zrobiliśmy oprócz uratowania paru kobiet... i dzieci? No i oczywiście Johna Leydeckera. Gdyby nie interweniował, Pickering zabiłby go pewnie, tak jak zabił Chrisa Nella. Czy może tu chodzić o Johna?

Możliwe. Ale nie chciało mu się wierzyć, by chodziło tu właśnie o Johna.

- Dorrance - powiedział-proszę, nie możesz powiedzieć nam więcej? No, bo...

- Nie - odparł Dor, łagodnie i trochę współczująco. - Nie będzie więcej pytań... nie mamy czasu. Kiedy to wszystko się skończy, zjemy razem kolację... pod warunkiem, że będziemy jeszcze kręcić się po okolicy.

- Doprawdy wiesz, jak wprawić człowieka w dobry humor. - Ralph otworzył drzwi i tym razem Lois go nie zatrzymywała. Wyszli oboje. Ralph na odchodnym pochylił się jeszcze i spojrzał na Joego Wyzera.

- Może to nie wszystko? Może tobie coś nasuwa się na myśl?

- Nie, chyba...

Dor pochylił się i wyszeptał mu coś do ucha. Joe słuchał ze zmarszczonymi brwiami.

- No i co? - spytał Ralph, kiedy Dorrance skończył szeptać. - Co ci powiedział?

- Powiedział, żebyście nie zapomnieli o moim grzebyku. Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale to przecież nic nowego.

- Nie szkodzi. - Ralph uśmiechnął się lekko. - To jedna z tych niewielu rzeczy, które zrozumiałem. Chodź, Lois. Wmieszajmy się w tłum. Sprawdźmy, co się dzieje.

Gdzieś w połowie parkingu Lois szturchnęła go w żebra tak mocno, że Ralph omal się nie przewrócił.

- Patrz! - szepnęła. - Tam, o tam! Czy to nie Connie Chung?

Ralph spojrzał, gdzie mu kazała. Tak, kobieta w beżowym płaszczu, stojąca między dwoma technikami w kurtkach ze znakiem CBS to istotnie Connie Chung. Podziwiał jej ładną, inteligentną twarz przy zbyt wielu kolacjach, by mieć co do tego jakiejś wątpliwości.

- Albo to ona, albo jej siostra-bliźniaczka - odparł. Lois chyba już całkiem zapomniała o Starym Dorze, „Na

Zboczu” i łysych doktorkach; znów stała się kobietą, którą Bili McGovern nazywał „tą naszą Lois”.

- A niech mnie! A co ona tu robi!?

- No... - Ralph przerwał i uniesioną dłonią osłonił usta skrzywione w potężnym ziewnięciu. - Pewnie to, co dzieje się w Derry, zainteresowało wreszcie krajowe dzienniki telewizyjne. Przyjechała, żeby zrobić reportaż na żywo do dzisiejszych wiadomości i...

Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, aury powróciły i Ralph stęknął zduszonym głosem.

- Jezu! Lois, czy ty też to widzisz?

Lois jednak chyba nie widziała, bo gdyby widziała, Connie Chung nie doczekałaby się nawet najdrobniejszej wzmianki z jej ust. Oczy Ralpa otwarły się na potworność prawie

niepojętą; po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że piękny świat aur też ma swoją ciemną stronę, zdołają skłonić zwykłego człowieka, by padł na kolana i dziękował Bogu za ograniczenia percepcji.

A *przecież* nawet nie przesunąłem się wyżej, pomyślał. A przynajmniej nie sądzę, żebym się przesunął. Ja tylko patrzę na ten drugi świat jak przez okno. Nie jestem w nim.

Ani być w nim nie pragnął. Samo patrzenie na coś takiego prowokowało do marzeń o ślepcie.

Lois obserwowała go, zmarszczywszy brwi.

- Co czy widzę? Kolory? Nie. A powinnam spróbować? Coś z nimi nie tak?

Próbował jej odpowiedzieć i nie mógł. W chwilę później poczuł, jak ściska mu ramię nad łokciem, mocno, boleśnie i wiedział, że nic już nie musi wyjaśniać. Na dobre czy złe, Lois widziała to teraz na własne oczy.

- O Boże! - wykrztusiła słabym, zdyszonym głosem, pełnym nie wylanych jeszcze łez.

- O mój Boże, Boże, Jeezu!

Z dachu szpitala aura wisząca nad Centrum Obywatelskim

wyglądała jak wielka, obwisła parasolka - przypominała znak Travelers Insurance pokolorowany przez dziecko czarną kredką świecową. Teraz, tutaj, na parking, czuli się raczej jak wewnątrz wielkiej i nieopisanie obrzydliwej moskitiery, tak starej i zaniedbanej, że gaza zasnuła się czarnozieloną pleśnią. Jaskrawe październikowe słońce skurczyło się do rozmiarów wytartej srebrnej monetki. Powietrze, mgliste i ciemne, przypominało Ralphowi zdjęcia Londynu z końca XIX wieku. Już nie patrzyli na otaczającą centrum torbę śmierci, już nie. Zostali w niej żywcem pogrzebani. Ralph czuł, jak przyciska go ona zachłannie, jak próbuje go pokonać, jak narzuca mu poczucie straty, rozczarowania, rozpacz.

I po co w ogóle się starać? - spytał sam siebie, patrząc na forda Joego Wyzera oddalającego się w stronę Main Street. Stary Dor nadal siedział na tylnym siedzeniu. No, bo co jesteśmy w stanie osiągnąć, do diabła? Nie uda się nam nic zmienić, nie uda, nie damy rady i już! Może i dokonaliśmy czegoś tam, w schronisku, ale różnica między tym, co działo się tam, a tym, co dzieje się tutaj, jest mniej więcej taka jak różnica między czarną plamą a czarną dziurą. Jeśli dalej będziemy się mieszać w nie swoje sprawy, zostaniemy po prostu rozdeptani!

Usłyszał jęk i zorientował się, że to Lois płacze. Przywołując całą pozostałą mu jeszcze energię, objął ją ramieniem.

- Trzymaj się - powiedział. - Damy radę. Ale sam bardzo w to wątpił.

- My to wdychamy! - chlipnęła Lois. - Jakbyśmy wdychali samą śmierć. Och, Ralph,

chodźmy stąd. Proszę, Ralph, wynośmy się stąd!

Spodobał mu się ten pomysł, tak jak każdemu wędrowcowi umierającemu z pragnienia spodobałaby się manierka wody, ale tylko potrząsnął głową.

- Jeśli czegoś nie zrobimy, zginie tu dziś dwa tysiące osób. Nic nie wiem o innych sprawach, ale to pojąłem bez trudu.

- Dobrze - szepnęła Lois. - Tylko trzymaj mnie tak jak teraz, żeby nie upadła i nie rozbiła sobie głowy.

Co za ironia, pomyślał. Mają twarze i ciała zdrowych, energicznych ludzi w średnim wieku, ale przez parking idą niczym para staruszków, których ścięgnięta są z nici, a kości ze szkła. Słyszał oddech Lois, chrapliwy i przyśpieszony - był to oddech kogoś, kto właśnie uległ ciężkiemu wypadkowi.

- Zabiorę cię stąd, jeśli tylko chcesz - powiedział i mówił

to zupełnie szczerze. Zawrót, *zabierze* ją na pomarańczowy przystanek autobusowy, który widział stąd bardzo wyraźnie; a kiedy przyjedzie autobus, wsiądą do niego, wrócą na Harris Avenue i będzie to najprostsza rzecz pod słońcem.

Wszehobecna przed centrum mordercza aura otaczała go i próbowała udusić niczym nałożona na głowę plastikowa torba. Przypomniawszy sobie, co Bili McGovern powiedział o chorobie May Locher: że po prostu nie ustępuje. Miał wrażenie, że właśnie się dowiaduje, jak się czuła May Locher podczas kilku ostatnich lat życia. Nie miało znaczenia, jak bardzo chciał odetchnąć, jak głęboko wciągał powietrze w płuca - stale go brakowało. Serce waliło mu ciężko, pulsowało w głowie, czuł się, jakby cierpiał na najgorszego kaca w życiu.

Już otwierał usta, by powtórzyć, że może ją zabrać do domu, kiedy Lois wydyszała:

- Wytrzymam... chyba... Ale mam nadzieję... że to nie potrwa długo... Ralph, jak to się dzieje, że odczuwamy coś tak złego, nawet nie widząc kolorów? A oni co? - Wskazała na dziennikarzy, techników i ludzi kręcących się wokół budynku. - Czy my, Krótkoterminowi, naprawdę jesteśmy tacy niewrażliwi? To przerażające.

Potrząsnął głową, jakby mówił „nie wiem”, ale miał wrażenie, że technicy i strażnicy stojący przed wejściem i pod zwisającym z frontonu transparentem coś jednak czują. Widział mnóstwo rąk trzymających papierowe kubki z kawą, której nikt jakoś nie pił. Na dachu samochodu kombi stało pudełko pączków, ale jedyny wyjęty z niego pączek leżał na serwetce, zaledwie nadgryziony i porzucony. Na twarzach nie dostrzegł uśmiechów... ani jednego. Personel telewizji robił swoje: ustawiano kamery, *zaznaczano* miejsce, w którym mieli stać reporterzy, kładziono na cementie kable i mocowano je taśmą, ale tę pracę wykonywano bez entuzjazmu, którego można by się spodziewać po relacji z wydarzenia tak

wielkiego, na jakie zapowiadało się to wydarzenie.

Connie Chung wyszła spod frontonu w towarzystwie przystojnego brodatego kamerzysty - na kurtce CBS miał plaketkę z nazwiskiem MICHAEL ROSENBERG - i uniosła dłoń z wyciągniętymi równolegle kciukiem i palcem wskazującym, tłumacząc mu, jak ma nakręcić transparent. Rosenberg skinął głową. Twarz Connie była blada i poważna; w pewnym momencie dziennikarka zamilkła nawet i przyłożyła dłoń do skroni, jakby straciła wątek albo jakby zrobiło jej się słabo.

Wszyscy ludzie przed centrum wyglądali podobnie - mieli podobny wyraz twarzy - i Ralph go rozpoznawał. Za czasów jego dzieciństwa to uczucie nazywało się melancholią. Takie wymyślne słowo na oznaczenie zwykłego, prostego smutku.

Przypomniał sobie chwile, kiedy ogarniało go coś w rodzaju emocjonalnego odpowiednika zimnego prądu podczas pływania albo turbulencji podczas gładkiego lotu samolotem. Fajny dzień, robisz swoje, czujesz się świetnie albo po prostu zwyczajnie dobrze, nic wielkiego się nie dzieje... i nagle, bez powodu, silniki stają w ogniu i rozbijasz się o ziemię. Zadajesz sobie pytanie: „Po co w ogóle się starać?”, nie sprowokowane żadnym szczególnym zdarzeniem, niemniej wszechmocne i chciałbyś już tylko wleźć do łóżka i naciągnąć kołdrę na głowę.

Może przyczyną jest wówczas właśnie to? Może wpadasz wtedy właśnie w coś takiego - w sumę śmierci i smutku, które jeszcze się nie zdarzyły, rozciągniętą niczym namiot nad ogrodowym bufetem, namiot zrobiony z pajęczyny i łez, a nie z płótna i sznurków. My, Krótkoterminowi, nie widzimy go z naszego poziomu, ale potrafimy go wyczuć. Oczywiście, że potrafimy go wyczuć. A teraz...

Teraz czarna aura próbowała wysssać ich do sucha. Być może oni nie byli wampirami, choć tak się tego obawiali, ona natomiast - owszem. Torba śmierci żyła utajonym, na pół świadomym życiem i wysssałaby ich, gdyby tylko mogła. Gdyby tylko pozwolili jej się wysssać.

Lois zachwiała się, oparła o niego, a Ralph zrobił wszystko co w jego mocy, by oboje nie przewrócili się na bruk. Potem podniosła głowę (powoli, jakby włosy oblano jej cementem), zwinęła dłoń wokół ust i wzięła głęboki wdech. W tej samej chwili jej kontury na moment jakby się zatartyły. Kiedy indziej Ralph zlekceważyłby to zjawisko, pewien, że mu się tylko wydawało. Ale nie teraz. Lois wyprostowała się lekko. Tylko trochę. Tylko tyle, żeby się pożywić.

Nie widział, jak korzystała z aury kelnerki, tym razem jednak wszystko zdarzyło się na jego oczach. Aury personelu telewizyjnego były jak maleńkie, lecz jaskrawe japońskie

latarenki świecące dzielnie w mrocznej jaskini. Z jednej - od brodatego kamerzysty Connie, Michaela Rosenberga ■- bił ku nim promień fioletowego światła. Trzy, może pięć centymetrów od głowy Lois rozdzielił się na dwoje. Górna część rozdzieliła się jeszcze raz i wnikła w ciało przez nozdrza, dolna zaś przez rozchylone wargi dostała się wprost do ust Lois. Widział jej

slaby blask przez policzki; Lois rozświetliła się, jakby w latarnię wsadzono płonąca świeczkę.

Rozluźniła uścisk. Poczul, że juz się o niego nie opiera. W chwile później fioletowy promień znikl. Lois rozejrzała się dookoła. Na jej blade policzki powrócił ślad rumieńca.

- No, juz mi lepiej... o wiele lepiej. Teraz ty, Ralph. Zawahał się - nadal miał wrazenie, że korzystając z aur

innych ludzi dokonuje kradziezy - ale nie miał wyboru, jeśli nie chciał paść na miejscu; niemal czul, jak resztki aury Nirwanowca wyparowują mu przez skóre. Zwinął dłoń przy ustach, tak jak to zrobil rano na parkingu „Dunkin Donuts”, i obrócił się lekko w lewo, szukając celu. Connie Chung zbliżyła się o kilka kroków - stala plecami do nich, i nadal przyglądając się improwizowanemu transparentowi na frontonie centrum, rozmawiała z Rosenbergiem (któremu ingerencja Lois najwyraźniej wcale nie zaszkodziła). Ralph dal odpocząć sumieniu i westchnął przez zwiniętą w tubę dłoń.

Aura Connie Chung miała ten sam piękny kolor kremowego ślubnego welonu, co aury Helen i Nat tego dnia, kiedy wraz z Gretchen Tillbury pojawila się u niego w domu. Tym razem oddzielilo się od niej nie światło, lecz coś w rodzaju długiej wstążki. Niemał od razu Ralph poczul wypełniającą go siłę. Ból stawów i mięśni znikl, jakby go nigdy nie bylo, mógł także jasno myśleć, jakby z mózgu wypłukano mu wielką gulę śluzu.

Connie Chung zająknęła się, na moment spojrzala w niebo, a potem wróciła do rozmowy z kamerzystą. Ralph zerknął w bok. Lois przyglądała mu się z niepokojem.

- I co, lepiej? - szepnęła.

- Pod każdym względem, ale nadal czuję się, jakby mnie zamknięto w torbie na zwłoki.

- Chyba... - I nagle Lois zerknęła na coś znajdującego się na lewo od wejścia do centrum, krzyknęła, przytulila się do Ralpa; strach rozszerzył jej źrenice. Powiódl oczami za jej wzrokiem i udławił się własnym oddechem.

Architekci próbowali złagodzić surową architekturę centrum, sadząc pod ścianami iglaki. Albo je zaniedbano, albo celowo pozwolono im wyrosnąć, tak że niemał całkiem zakryły wąski pas trawy oddzielający je od chodnika biegnącego równolegle do podjazdu.

Wylewały się z nich teraz strumieniami wielkie robaki, przypominające prehistoryczne trylobity. Zawracały, łażyły po sobie, podnosiły się i walczyły między sobą przednimi odnóżami

niby jelenie w sezonie rui rogami. Nie były przezroczyście jak tamto przedpotopowe ptaszysko, ale mimo to wydawały się upiorne, nierealne. Ich aury błyskały gorączkowo (i - jak przypuszczał Ralph - bezmyślnie) całym spektrum barw, jaskrawo, lecz efemerycznie, tak że można by je pomylić z dziwacznymi robaczkami świętojańskimi.

Ale to nie robaczki świętojańskie. Przecież wiesz, że to nie robaczki świętojańskie.

- Hej! - krzyknął Rosenberg, kamerzysta Connie Chung, ale gapili się na nich prawie wszyscy zgromadzeni. - Nic jej nie jest, kolego?

- Nie! - odkrzyknął Ralph. Zorientował się, że nadal trzyma przy ustach zwiniętą dłoń. Poczul się głupio i szybko ją opuścił. - Tylko że...

- Mysz! - zawołała Lois uśmiechając się niezbyt mądrze, za to wyjątkowo szeroko. Takiego uśmiechu „tej naszej Lois” Ralph jeszcze nie widział. Był z niej bardzo dumny.

Lois wyciągnęła drżący palec.

- Tam uciekła. Jejku, ale była strasznie gruba! Widziałeś ją, Norton?

- Nie, Alice.

- Niech pani nie ucieka! - zawołał Michael Rosenberg. - Spotka tu pani jeszcze niższe formy życia! - Parę osób roześmiało się wysilonym, sztucznym śmiechem, a potem wszyscy wrócili do swoich zajęć.

- Boże, Ralph - wyszeptała Lois. - Te... te robale... Ujął jej dłoń i ścisnął ją mocno.

- Uspokój się, Lois.

- One... wiedzą, prawda? Dlatego tu są, prawda? Jak sępy.

Skinął głową. Na jego oczach kilka robali wypełzło z krzaków i zaczęło bezładnie wlaźć na mur. Poruszały się powoli, ociężale, jak muchy po szybie w chłodny listopadowy dzień, pozostawiając po sobie lepkie, blednące szybko i znikające smugi. Inne wylewały się z krzaków na wąski pas trawy.

Jeden z komentatorów wiadomości lokalnych ruszył w ich kierunku. Kiedy na moment odwrócił głowę, Ralph rozpoznał w nim Johna Kirklanda. Kirkland rozmawiał z przystojną panią w „poważnym” stroju kobiety interesu, który Ralphowi osobiście - przynajmniej w normalnych okolicznościach - wydawał się zawsze szalenie seksowny. Domyślił się, że to jego producentka; ciekawe, czy w jej obecności aura Lisette Benson zielenieje.

- Idą do tych robali - szepnęła gwałtownie Lois. - Musimy ich ostrzec, Ralph.

Musimy!

- Nie ruszymy nawet palcem.

- Ale...

- Lois, nie możemy przecież zacząć wrzeszczeć „robale!”, skoro nikt oprócz nas ich nie widzi. Jak nic wylądowalibyśmy w wariatkowie. A poza tym one nie na nich czekają... - przerwał, a potem dodał: - Mam nadzieję.

Patrzyli, jak Kirkland i jego przystojna towarzyszka wchodzi na trawę... wprost w galaretowatą kupkę łączących po sobie, kotłujących się trylobitów. Jeden wlaź na błyszczący półbut komentatora, poczekał, aż przystanie na sekundę, i znikł w nogawce jego spodni.

- Mało mnie obchodzi to całe gówno z Susan Day - mówił właśnie Kirkland. - Dziś nie ona jest najważniejsza, lecz Ośrodek Opieki nad Kobietami, te zapłakane dupcie z czarnymi opaskami na ramionach.

- Uważaj, John - powiedziała sucho kobieta - Demonstrujesz właśnie swoją słynną wrażliwość.

- Naprawdę? O, cholera! - Robał w nogawce spodni pełzł do góry, jakby wiedział, dokąd zmierza. Ralph pomyślał, że gdyby Kirkland wiedział, co zaraz będzie mu pełzać po jajach, zwariowałby pewnie ze strachu.

- W porządku, ale koniecznie pogadaj z kobietami, które wszystkim tu teraz trzęsą - mówiła właśnie producentka. - Tillbury nie żyje; liczą się tylko Maggie Petrovski, Barbara Richards i doktor Roberta Harper. Harper ma przedstawić dziś Wielkiego Mogoła - a raczej, biorąc pod uwagę okoliczności, Wielką Mogołkę. - Zeszła z chodnika, obcas jej szpilki rozgniółt pełznącego robaka. Wylały się z niego flaki we wszystkich kolorach tęczy oraz biała substancja o konsystencji wosku; wyglądała jak zepsute ziemniaczane puree. Ralph pomyślał, że ta substancja to jaja.

Lois przytuliła się do niego, odwracając twarz.

- I koniecznie znajdź Helen Deepneau. - Producentka zrobiła kolejny krok w kierunku budynku. Przyklejony do obcasa robał wił się i kłapał w powietrzu.

- Deepneau? - Kirkland stukał się w czoło kostkami palców. - Gdzieś tam, głęboko, zadzwonił mi mały srebrny dzwoneczek.

- Nie, to tylko skołała ostatnia twoja aktywna szara komórka. Mówię o żonie Eda Deepneau. Są w separacji. Jeśli

chcesz łez, nastaw się na nią. Była przyjaciółką tej Tillbury. Być może wyjątkowo bliską przyjaciółką... jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Kirkland uśmiechnął się lubieżnie. Ten uśmiech bardzo nie pasował do jego

telewizyjnego oblicza i Ralph poczuł się lekko zdezorientowany. Tymczasem jeden z robaków wlaźł najpierw na pantofel producentki, a potem ruszył do góry po nodze. Z rozpaczliwą fascynacją Ralph patrzył, jak znika jej pod sukienką. I znów koleżanka Kirklanda musiała coś poczuć, choć całkowicie pochłaniała ją rozmowa o wywiadach na temat wystąpienia Susan Day, bo pochyliła się machinalnie i podrapała w miejscu, gdzie wybrzuszała się jej sukienka, już prawie na biodrze. Ralph nie usłyszał wprawdzie plaśnięcia rozgniatanego miękkiego ciała, ale doskonale potrafił je sobie wyobrazić. I najwyraźniej nie mógł sobie poradzić z wyobraźnią... bo wyobraził sobie także wnętrzności robala, które spływają po nylonowej pończosze jak ropa i pozostają tam przynajmniej do wieczornego prysznica, niewidzialne i nieodczuwalne.

Kirkland i jego producentka pogrążeni byli akurat w dyskusji o tym, jak powinni pokazać demonstrację „Przyjaciół Życia”... założywszy oczywiście, że taka demonstracja się odbędzie. Producentka była zdania, że nawet „Przyjaciele Życia” nie są aż tak głupi, by się tu pokazać po tym, co zdarzyło się w schronisku „Na Zboczu”, Kirkland powiedział jej, że nie sposób przecenić głupoty fanatyków i że ludzie zdolni publicznie nosić te wszystkie tworzywa sztuczne z pewnością są siłą, z którą należy się liczyć. A podczas tej rozmowy, przerywanej żarcikami, ploteczkami i świeżymi pomysłami na to i na owo, coraz więcej wielkich, miękkich robali wlaźło im na nogi i tułowiu. Najbardziej przedsiębiorczy dotarł aż na czerwony krawat Kirklanda, wyraźnie zmierzając ku jego twarzy.

Kątem oka Ralph dostrzegł jakiś ruch na prawo. Obrócił się w kierunku drzwi w sam czas, by dostrzec technika telewizyjnego, który szturchał łokciem kolegę i wskazywał palcem na niego i Lois. Nagle jasno uświadomił sobie, co widzą obaj panowie: dwójkę ludzi nie mających żadnego powodu, by w ogóle się tu znajdować (ani on, ani Lois nie założyli czarnych opasek i oczywiście żadne z nich nie reprezentowało środków masowego przekazu), stojących nieruchomo na granicy parkingu. Pani, która raz już zresztą wrzasnęła, kryje głowę na

piersi dżentelmena... dżentelmen zaś jak idiota gapi się w przestrzeń.

Przemówił cicho, kącikiem ust, jak więzień na starym filmie, dyskutujący z innym więźniem szczegóły ucieczki.

- Podnieś głowę. Budzimy za duże zainteresowanie, a nie możemy sobie na to pozwolić.

Przez moment nie wierzył, by Lois była w stanie dokonać tego wyczynu... oprzytomniała jednak i oderwała się od niego. Po raz ostatni zerknęła na krzaki przy murze centrum - machinalnie i z wyraźnym przerażeniem w oczach - po czym spojrzała na niego i

tylko na niego.

- Widziałeś jakiś ślad Atroposa? Przecież po to tu przyjechaliśmy, prawda? Żeby znaleźć jakiś jego ślad?

- Może i tak. Chyba rzeczywiście tak. Prawdę mówiąc, nawet go do tej pory nie szukałem. Za wiele się tu działo. Sądzę, że powinniśmy podejść nieco bliżej. - O tym akurat nie marzyłem, ale bardzo ważne wydało mi się, by zrobić cokolwiek. Czułem zaciskającą się wokół nich torbę śmierci, ponurą i dławiącą, samym swym istnieniem sprzeciwiającą się jakimukolwiek działaniu. To z nią mieli walczyć.

- Doskonale - stwierdziła Lois. - Mam zamiar poprosić Connie Chung o autograf. Będę tak głupiotka i rozchichotana, jak to tylko możliwe. Zniesiesz to jakoś?

- Oczywiście.

- Doskonale! Bo ludzie, którzy zwrócili na nas uwagę, patrzeć teraz będą przede wszystkim na mnie.

- Nieźle.

Po raz ostatni przyjrzał się Kirklandowi i jego producentce. Zupełnie nieświadomi istnienia robali, które pełzały im po twarzach, rozmawiali o tym, że wydarzenia mogą zmusić ich do przerwania normalnego toku wiadomości i do kilku wejść na żywo; tymczasem robak powoli i pracowicie włożył Kirklandowi w usta.

Ralph odwrócił wzrok. Pozwolił Lois pociągnąć się ku Connie Chung i stojącemu obok niej brodatemu kamerzyście. Oboje spojrzeli najpierw na Lois, a potem na siebie nawzajem. W ich spojrzeniu była jedna trzecia rozbawienia, dwie trzecie rezygnacji. „To jedna z nich” - mówiło ono bardzo wyraźnie. Lois mocno ścisnęła mu rękę, sygnalizując: „Nie przejmuj się, Ralph. Rób swoje, a ja zrobię swoje”.

- Bardzo przepraszam, ale czy pani nie jest przypadkiem Connie Chung? - spytała autentycznie zdumionym i zachwyconym głosem. - Stałam tam sobie, a kiedy panią zobaczyłam, od razu powiedziałam do Nortona: „Czy to ona, czy może wariuję?” A potem...

- Jestem Connie Chung i bardzo miło mi panią poznać, ale przygotowuję się właśnie do wieczornych wiadomości, więc wybacz pani, że...

- Och, oczywiście, oczywiście, nie zamierzam zabierać pani czasu, tylko chciałam poprosić o autograf... wystarczy mi zwykły podpis... bo ja jestem największą pani wielbicieleką, przynajmniej tu, w Maine...

Connie Chung zerknęła na Rosenberga. Kamerzysta już trzymał w dłoni pióro. Zachował się niczym dobrze wyszkolona pielęgniarka na sali operacyjnej, przygotowana do podania chirurgowi skalpela dokładnie w chwili, gdy jest mu on potrzebny. Ralph skupił

uwagę na frontowej ścianie Centrum Obywatelskiego i leciutko uniósł się do góry.

Najpierw, zaskoczony, tuż przed drzwiami, dostrzegł pięciocentymetrową warstwę półprzezroczystej czarnej substancji. Wyglądała niemal jak formacja geologiczna. To jednak wydawało się niemożliwe. No, bo gdyby była to prawdziwa formacja geologiczna - w każdym razie prawdziwa w ten sposób, w jaki prawdziwe są rzeczy świata Krótkoterminowych - zablokowałaby drzwi. Tymczasem dwaj technicy telewizyjni przeszli, brnąc w niej po kostki jak przez leżącą nisko warstwę mgły.

Ralph przypomniał sobie ślady stóp, które ludzie pozostawiali w świecie aur - te, które wyglądały jak diagramy taneczne Artura Murraya - i nagle zrozumiał, z czym ma do czynienia. Ślady znikają jak dym z papierosa. Tylko że dym z papierosa tak naprawdę wcale nie znika. Pozostaje na ścianach, na szybach... i na płucach palacza. Najwyraźniej ludzkie aury też nie znikają. Tego, co pozostawiały po sobie, nie było widać w przypadku jednego człowieka, ale teraz znajdowali się przecież przed największym publicznym miejscem spotkań w czwartym co do wielkości mieście stanu Maine. Pomyślał o wszystkich ludziach wchodzących i wychodzących przez te drzwi - o bankietach, konferencjach, wystawach numizmatycznych, koncertach, meczach koszykówki. To po nich pozostała owa półprzezroczysta substancja - jak wgłębienie w kamieniu często używanych schodów.

Może daj sobie z tym spokój, skarbie. Na razie masz ważniejsze sprawy na głowie.

Connie Chung podpisywała właśnie Lois wrześnieowy rachunek za światło. Ralph wpatrywał się w leżącą na chodniku mgłę, szukając śladu Atroposa, śladu rozpoznawalnego raczej węchem niż wzrokiem, obrzydliwego aromatu surowego mięsa, który unosił się w pasażu na tyłach sklepu mięsnego Hustona, kiedy Ralph był jeszcze dzieckiem.

- Ależ dziękuję - gruchała Lois. - Powiedziałam Nortonowi: „Wygląda dokładnie jak w telewizji. Jak chińska laleczka z porcelany”. Dokładnie tak mu powiedziałam.

- Nie wątpię w pani uznanie, ale naprawdę muszę już wracać do pracy...

- Oczywiście, oczywiście. Proszę pozdrowić ode mnie Dana RATHERA, dobrze? I proszę mu ode mnie powiedzieć: „Odwagi!”

- Na pewno nie zapomnę. - Connie Chung oddała pióro Rosenbergowi. Uśmiechała się, kiwała głową. - A teraz, jeśli nam pani wybaczy...

Jeśli on tu jest, jest wyżej, pomyślał Ralph. I ja też będę musiał unieść się jeszcze troszkę. Troszeczkę.

Musi to jednak zrobić bardzo ostrożnie, i nie tylko dlatego, że czas jest teraz na wagę złota. Po prostu, jeśli uniesie się wystarczająco wysoko, zniknie z Krótkoterminowego świata, a tego rodzaju zdarzenie może odwrócić uwagę telewizyjnych dziennikarzy od zbliżającego

się proaborcyjnego spotkania... choćby na chwilę.

Skoncentrował się, ale charakterystyczne przesunięcie w głowie tym razem nie było mrugnięciem, lecz jakby powolnym przymykaniem powiek. Świat majestatycznie wypełniły kolory, przedmioty nabrały oślepiającego blasku, ale dominująca w tym świecie była upiorna czerń torby śmierci i czerń ta znosiła wszystkie inne wrażenia. Ralpa znów ogarnęła depresja i uczucie paralizującej bezsilności wbiło mu się w serce jak harpun. Zdał sobie sprawę, że zadanie, które ma tu do wykonania, musi wykonać szybko i zejść na poziom Krótkoterminowych, nim straci resztki siły życiowej.

Jeszcze raz spojrzął na drzwi. Przez moment nadal widział na nich wyłącznie blednące aury pozostawione przez podobnych mu Krótkoterminowych... i nagle wyjątkowo wyraźnie dostrzegł to, czego szukał. List napisany sokiem z cytryny tak właśnie pojawia się na papierze, gdy się go trzyma nad płomieniem świecy.

Spodziewał się czegoś o wyglądzie i woni gnijących wnętrzności w koszach na śmieci za sklepem mięsnym pana Hustona, lecz rzeczywistość okazała się znacznie gorsza - być może

dlatego, że się jej nie spodziewał. Na drzwiach wejściowych do centrum zobaczył plamy gęstej krwawej substancji, najprawdopodobniej pozostawionej przez niespokojne dłonie Atroposa, przed drzwiami zaś kałuża tej samej substancji powoli wsiąkała w twarde pozostałości aur. Było w niej coś tak obrzydliwego, tak obcego ludzkiemu doświadczeniu, że w porównaniu z nią kolorowe robale wydały się czymś niemal zwykłym i normalnym. Ta krwawa, gęsta wydzielina była jak wymioty psa chorego na jakąś nową, niebywale groźną odmianę wścieklizny. Od kałuży ciągnął się jej ślad: najpierw szereg większych plam, potem jakby krople ściekającej z pędzla farby.

Oczywiście, pomyślał Ralph. To dlatego musieliśmy przyjechać właśnie tu. Ten mały sukinsyn nie może żyć z dala od centrum. Jest dla niego jak kokaina dla narkomana.

Wyobraził sobie Atroposa stojącego dokładnie w miejscu, w którym stał teraz on sam, wpatzonego w drzwi, uśmiechniętego, robiącego krok do przodu i przykładającego do nich dłonie. Gładzącego je. Zostawiającego na nich te brudne krwawe ślady. Wyobraził sobie Atroposa czerpiącego siłę i energię z tej właśnie czerni, która z niego, Ralpa, wysysała życie.

Och, oczywiście, Atropos musi wędrować tu i tam, i ma mnóstwo roboty - nadnaturalni psychopaci są bez wątpienia istotami wyjątkowo wręcz zajętymi - ale na pewno ciężko mu odrywać się od tego miejsca na dłużej, niezależnie od nawału pracy. A jak się dzięki niemu czuje? Jak po dobrym pieprzeniu w letnie popołudnie, oto jak!

Lois pociągnęła go z tyłu za rękaw. Nadal uśmiechała się, ale gorączkowa panika w oczach sprawiała, że ten uśmiech podejrzenie przypominał krzyk. Za jej plecami Connie Chung i Rosenberg szli niespiesznie w kierunku centrum.

- Musisz mnie stąd zabrać! - szepnęła. - Już dłużej tego nie zniosę. Chyba tracę zmysły!

[Oczywiście, natychmiast.]

- Nie słyszę cię, Ralph. I chyba widzę, jak słońce przez ciebie prześwieca. Jezu, rzeczywiście!

[Och... poczekaj chwilę...]

Ralph skoncentrował się i poczuł, jak świat przesuwa się lekko wokół niego. Kolory zbladły, aura Lois jakby wnikała w jej skórę.

- I co? Lepiej wyglądam?

- No... w każdym razie solidniej. Uśmiechnął się lekko.

- Doskonale. Idziemy.

Wziął ją za łokieć i poprowadził do miejsca, gdzie wysadził ich Joe Wyzer. W tym właśnie kierunku wiodły krwawe plamy.

- Znalazłeś to, czego szukaliśmy?

- Tak.

Lois natychmiast się rozjaśniła.

- To dobrze! Wiesz, widziałam, jak się unosisz. Bardzo to było dziwne, jakbyś zmieniał się w taką starą rudą fotografię. A potem... miałam wrażenie, że słońce przez ciebie prześwieca... bardzo szczególne uczucie. - Patrzyła na niego groźnie.

- Nieprzyjemne, co?

- Nie, nie to. Po prostu szczególne. Za to te robale! One dopiero były nieprzyjemne!

- Chyba wiem, co masz na myśli. Ale moim zdaniem wszystkie zostały... tam.

- Może, ale przecież mamy jeszcze przed sobą daleką drogę.

- Aha. Carolyn powiedziała: „Daleka droga do rajów”.

- Po prostu trzymaj się mnie, a nie zabłądzisz, Ralphie Roberts!

- Ralph Roberts? Nigdy o takim nie słyszałem. Na imię mam Norton, szanowna pani!

Lois roześmiała się. Co za ulga.

Rozdział 5

Szli powoli wyasfaltowanym parkingiem, pociętym wyznaczającymi miejsca żółtymi liniami. Dziś wieczorem większość tych miejsc będzie zajęta. Pojawi się tu mnóstwo ludzi. Przyjadą, by widzieć i być widzianymi, by wysłuchać Susan Day, ale przede wszystkim, by pokazać swemu miastu - i śledzącemu dziś, co się w ich mieście dzieje, krajowi - że nie przestraszy ich nikt pokroju Pickeringa. A nielicznych, przestraszonych przez Pickeringa, zastąpią inni, ci, których przywiedzie tu tylko niezdrowa ciekawość.

Zbliżając się do toru wyścigowego, docierali także do granicy torby śmierci. Tu była ona grubsza i Ralph widział nawet jej powolny, wirujący ruch - jakby maleńkich cząstek spalenizny. Trochę przypominało to powietrze nad otwartym ogniem, drżące z gorąca i pełne drobin zwęglonego papieru. Słyszał także nakładające się na siebie dwa rodzaje dźwięków. Pierwszym był wysoki jęk. Jak wiatr, pomyślał, który nauczył się płakać. Brzmiał przeraźliwie, lecz to, co naprawdę obrzydliwe, kryło się w głębi owego płaczu; mokre cmokanie, jakby gdzieś niedaleko wielkie bezzębne usta żuły coś miękkiego i wilgotnego.

Kiedy podchodzili do mrocznej, nierównej i jakby pryszczatej skóry torby śmierci, Lois zatrzymała się i spojrzała na Ralpha przerażonym i jednocześnie przepraszającym wzrokiem, a kiedy się odezwała, mówiła głosem małej dziewczynki.

- Chyba nie potrafię przez to przejść. - Przerwała, przełknęła ślinę i w końcu wydusiła z siebie jeszcze kilka słów. - Ona żyje, wiesz? Ona... żyje. Cała. Widzi ich - kciukiem wskazała za siebie, na ludzi zgromadzonych na parkingu, na

kręcących się przed wejściem dziennikarzy - i to już niedobrze, ale gorzej, że widzi nas... i wie, że myją widzimy. Nie lubi być widziana. Odczuwana tak, owszem, być może - ale nie widziana.

Niższy głos - ten obrzydliwie mlaskający głos - wydawał się przemawiać teraz do nich słowami. Im dłużej Ralph mu się przysłuchiwał, tym większą miał pewność, że tak jest istotnie.

[Speerzaj. Woun. Juuuz.]

- Ralph - szepnęła Lois. - Czy ty to słyszysz? *[Nieawidzee. Morduuje. Poožeeraa.]*

Skinął głową i znów wziął ją pod ramię.

- Idziemy - powiedział ostro.

- Idziemy...? Dokąd?

- W dół. Na sam dół.

Przez chwilę Lois tylko na niego patrzyła, nic nie rozumiejąc, a potem oczy jej rozbłyły i skinęła głową. Ralph poczuł mrugnięcie - odrobinę mocniejsze niż tylko przymknięcie powiek - i nagle dzień wokół nich pojaśniał. Wirująca brudna bariera rozjaśniła się i znikła, lecz mimo to podchodząc do miejsca, w którym widzieli jej „skórę”, oboje zamknęli oczy i wstrzymali oddech. Szli szybko, a kiedy przekraczali niewidzialną teraz granicę, Ralph poczuł, jak dłoń Lois zaciska się na jego ramieniu. W chwilę później na niego samego spłynęły splątane, mroczne wspomnienia-powolna śmierć żony, ukochany pies, którego stracił w dzieciństwie, Bili McGovern pochylający się z ręką przyciśniętą do piersi - najpierw jakby delikatnie otaczając mu mózg, potem zaciskając się na nim niczym okrutna dłoń. Uszy wypełnił mu ów piskliwy mlaskający jęk, niezmienny i bezmyślny jak płacz nieuleczalnego idioty.

A potem byli już po drugiej stronie.

Gdy tylko przeszli pod drewnianym łukiem na końcu parkingu (WITAMY NA WYŚCIGACH W BASSEY PARK - widniało na nim), Ralph poprowadził Lois do najbliższej ławki i zmusił ją, by usiadła. Lois protestowała gwałtownie, że to niepotrzebne i że czuje się już świetnie.

- Cieszę się, bardzo się cieszę, ale sam potrzebuję sekundy, żeby się pozbierać.

Lois odgarnęła mu włosy ze skroni i złożyła na niej lekki pocałunek.

- Możesz odpoczywać, ile chcesz, kochanie. Potrzebował pięciu minut. Kiedy był już niemal pewien, że

gdy wstanie, kolana się pod nim nie ugną, wziął ją za rękę. Wstali oboje.

- Znalazłeś je, Ralph? Znalazłeś ślady? Skinął głową.

- Żeby je zobaczyć, trzeba przeskoczyć jakieś dwa stopnie. Próbowałem najpierw wznieść się odrobinę, tyle tylko, by dostrzec aury, bo wtedy czas chyba aż tak strasznie nie przyśpiesza, ale nie pomogło. Trzeba wejść jeszcze trochę wyżej.

- Dobrze.

- Tylko...

- Musimy uważać. Bo kiedy my widzimy...

- Jesteśmy widziani. Oczywiście. I nie wolno nam stracić poczucia czasu.

- Nie wolno. Gotowa?

- Prawie. Chyba potrzebuję całusa. Wystarczy taki malutki.

Ralph uśmiechnął się i spełnił jej życzenie.

- Teraz jestem gotowa. - Doskonale. Ruszamy. Mrugnięcie.

Ślad czerwonych plam wiódł przez ubity plac, na którym podczas tygodnia jarmarku stawiano stoiska i namioty, na tor, na którym od maja do września biegały kłusaki. Lois przystanęła przy sięgających jej do piersi sztachetach, sprawdzając, czy nie ma nikogo na trybunach, po czym rzuciła wyzwanie ogrodzeniu. Pod górę poruszała się ze zręcznością nastolatki, ale kiedy usiadła już okrakiem na górnej belce, na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia zmieszanego z niepokojem.

[Lois, nic ci nie jest?]

[Nie, nic. Te cholerne stare majtki! Chyba straciłam na wadze, bo po prostu nie chcę siedzieć na swoim miejscu! Na litość boską!]

Ralph nagle zdał sobie sprawę, że widzi nie tylko koronkowy brzeg jej majteczek, ale także dobre parę centymetrów różowego nylonu. Powściągnął uśmiech i pomyślał, czy nie powiedzieć siedzącej okrakiem na belce przyjaciółce, która walczyła z kawałkiem bardzo nieposłusznego materiału, jak uroczo i seksownie wygląda, ale uznał, że w tych okolicznościach nie jest to najlepszy pomysł.

[Odwróć się tyłem, to przy wołam je do porządku. A skoro już przy tym jesteśmy, daj sobie spokój z tym cholernym uśmieszkiem!]

Odwrócił się i spojrzał na Centrum Obywatelskie. Jeśli istotnie się uśmiechał (a bardziej prawdopodobne wydało mu się, że Lois odczytała uśmiech z jego aury), widok obracającej się nad nim czarnej kopuły szybko przywołał go do rzeczywistości.

[Lois, może najlepiej by było, gdybyś je po prostu zdjęła?]

[Możesz sobie iść do diabła i z powrotem, Ralphie Roberts! Nie wychowano mnie na dziewczynę, która zdejmuję majtki i zostawia je na wyścigach, a jeśli zadawałeś się kiedyś z taką, mam nadzieję, że było to, zanim poznałeś Carolyn. Żałuję tylko, że nie mam...]

W głowie Ralpha pojawił się obraz agrafki.

[A może ty...]

Potrząsnął głową i przesłał jej w odpowiedzi własny obraz: piasku przesypującego się w klepsydrze.

[Dobrze, dobrze, rozumiem! Zdaje się, że zwyciężyłam i że zostaną tam, gdzie ich miejsce... przynajmniej przez jakiś czas! Możesz się już odwrócić.]

Odwrócił się. Lois złaźła właśnie z ogrodzenia bez kłopotów, ale jej aura wyraźnie pobladła, a pod oczami znów pojawiły się sińce. Bunt Podstawowej Bielizny został jednak na jakiś czas stłumiony.

Ralph podciągnął się, przełożył nogę na drugą stronę i zeskoczył lekko na ziemię. Przyjemne było uczucie towarzyszące temu wyczynowi - ciało przypomniało sobie, jak to

było dawno, dawno temu.

[Niedługo znów powinniśmy się naładować, wiesz?]

Lois z rezygnacją skinęła głową.

[Wiem. Idziemy.]

Śladem kropli przeszli przez tor wyścigowy, pokonali jeszcze jedno ogrodzenie po drugiej stronie i zarośniętym, dzikim

zbozchem zeszli ku Nebolt Street. Ralph zauważył, że Lois z uporem podtrzymuje majtki przez spódnicę, chwilę zastanawiał się, czyby jej nie poradzić, żeby pozbyła się po prostu tego cholerstwa, i zdecydował, że lepiej pilnować własnego nosa. Jeśli sytuacja stanie się nie do zniesienia, zrobi to sama, bez jego dobrych rad.

Obawiał się jednego: że ślad Atroposa zniknie. Obawa ta okazała się jednak bezpodstawna. Bładoróżowe krople prowadziły ich po splekanym, łatanym asfalcie Nebolt Street pomiędzy surowymi murami kamienic, które powinny zostać wyburzone już dawno temu. Podarte prania wisiały na obwisłych sznurkach, z brudnych podwórek przyglądały się im brudne dzieci z gilami u nosów, a stojący przy wejściu do jednej z klatek schodowych, śliczny jak marzenie, mniej więcej trzyletni chłopczyk o niemal białych włosach obrzucił ich nieufnym spojrzeniem, po czym jedną rączką złapał się za krocze, a drugą pokazał im ptaszka.

Neibolt Street kończyła się ślepo na starym dworcu kolejowym i tu na moment stracili ślad. Stanęli przy jednym z drewnianych kozłów otaczających prostokątne wejście do piwnicy - jedyną pozostałość stacji pasażerskiej - i rozglądali się po wielkim półokręgu kompletnej, całkowitej ruiny. Zardzewiałe tory wyzierały smętnie spod słoneczników i kolczastych chwastów, szkło setek rozbitych butelek błyszczało w promieniach słońca. Wymalowana farbą w sprayu na ścianie warsztatów wieść głosiła: SUZY SSAŁA MOJEGO WIELKIEGO ITLÓSTEGO! Tę sentymentalną deklarację otaczały tańczące swastyki.

Ralph: *[Gdzie on się, do cholery, podział?]*

Lois: *[Spójrz tam, Ralph. Tam! Widzisz?]*

Wskazywała na tor - główny do 1963 roku, jedyny do 1983, a teraz zardzewiały jak reszta torów i prowadzący donikąd. Nawet podkłady znikły prawie wszystkie, spalone albo przez miejscowych alkoholików, albo przez włóczęgów, którzy udawali się na pola ziemniaczane hrabstwa Aroostook lub do sadów i na kutry wybrzeża. Na jednym z niewielu ocalałych z pogromu Ralph dostrzegł różowe krople. Wydały mu się świeższe od tych, za którymi szli do tej pory.

Przyglądał się zachwaszczonym torom, próbując sobie uświadomić, dokąd prowadzą.

Jeśli pamięć go nie zawodziła, omijały Miejskie Tereny Golfowe w drodze... w drodze... tak, na zachód! Prawdopodobnie to ta sama linia, która biegła obok

lotniska i terenu piknikowego, gdzie Faye Chapin pewnie męczy się teraz z rozstawieniem graczy w zbliżającym się Turnieju Pasa nr 3.

Zatoczyliśmy koło, pomyślał. Zajął nam to prawie całe cholerne trzy dni i w końcu dotarliśmy tam, skąd zaczęliśmy podróż... nie do Raju, lecz na Harris Avenue.

- Hej, przyjaciele, jak wam leci?

Ralph prawie rozpoznał ten głos, podobnie jak mężczyznę, który ich pozdrowił. Mężczyzna stał za nimi, w miejscu gdzie chodnik Nebolt Street poddawał się wreszcie i przestawał istnieć. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, ale na oko mógł być o pięć, a nawet dziesięć młodszy. Miał na sobie bluzę i postrzępione džinsy, a jego aura była butelkowozielona jak kufel piwa na dzień Świętego Patryka. I aura właśnie odświeżyła mu pamięć. Był to pijaczek, który podszedł do nich tego dnia, kiedy Bili oplakiwał swego przyjaciela Boba Polhursta... który, jak się okazało, miał go przeżyć. Życie było czasami śmieszniejsze nawet niż sam Groucho Marx.

Nagle Ralpa ogarnęło poczucie dziwnego fatalizmu, a wraz z nim intuicyjne zrozumienie otaczających ich teraz sił. Czy siły te były dobre, czy złe, czy *rządzi* nimi Cel, czy Przypadek nie miało to znaczenia. Ważne, że są tak gigantyczne. Przy ich ogromie to, co Kloto i Lachesis mówili o wolnej woli, zakrawało po prostu na żart. Miał wrażenie, że i jego, i Lois przywiązano do ogromnego koła - koła, na którym wracali tam, skąd wyszli, pogrążając się jednocześnie coraz głębiej i głębiej w strasznym, ciemnym tunelu.

- Może miałby pan trochę drobnych?

Ralph opuścił się odrobinę, by mieć pewność, że pijaczek go słyszy.

- Założę się, że wuj zadzwonił do pana z Dexter - powiedział. - Może pan dostać dawną pracę w tkalni, ale tylko pod warunkiem, że przyjedzie pan dzisiaj. Mam rację?

Pijaczek przyjrzał mu się ostrożnie, lekko zdziwiony.

- No... tak. Coś takiego... - Najwyraźniej próbował znaleźć wątek opowieści, w którą sam wierzył pewnie bardziej niż ci, którym ją opowiadał, i w końcu mu się udało. - To dobra praca, wiesz pan? I mogę ją odzyskać. O drugiej jest autobus do Bangor i Aroostook, ale bilet kosztuje pięć pięćdziesiąt, a ja mam tylko ćwiartkę...

- Tak naprawdę to ma pan siedemdziesiąt sześć centów: dwie ćwiartki, dwie dziesiątki, piątkę i centa - przerwała mu

Lois. - Ale, biorąc pod uwagę, ile pan pije, muszę powiedzieć, że pana aura wygląda zdumiewająco dobrze. Zdumiewająco. Jest pan zdrowy jak koń!

Pijaczek cofnął się o krok, obejrzał sobie Lois bardzo ostrożnie, wytarł nos grzbietem dłoni.

- Niech się pan nie boi - uspokoił go Ralph. - Moja żona wszędzie widzi aury. To osoba wyjątkowo uduchowiona.

- Czyżby, proszę pana?

- Och, tak. A także bardzo szczodra i sądzę, że dostanie pan od niej więcej niż kilka centów. Prawda, Alice?

- On je po prostu przepije. Nie ma żadnej pracy w Dexter.

- Pewnie masz rację. - Ralph zmierzył ją groźnym spojrzeniem. - Ale jego aura rzeczywiście wygląda zdrowo. Bardzo zdrowo.

- Pan, widzę, też jesteś uduchowiony - stwierdził pijaczek. Oczy biegały mu od Ralpha do Lois i z powrotem, ale teraz była w nich odrobina nadziei.

- Wie pan, to szczerą prawdą. Ostatnio moje uduchowanie jakby się nawet nasiliło. - Ralph zwinął usta w dzióbek, niby w namyśle na czymś bardzo, bardzo interesującym i odetchnął głęboko. Z zielonej aury trysnął promień światła, przemierzył dzielące ich pięć metrów i wniknął mu w usta. Smak miał mocny, bardzo łatwy do zidentyfikowania - wino jabłkowe Boone's Farm, tanie i kwaśne, lecz jednocześnie przyjemne, proste, kojarzące się z odpoczynkiem po ciężkiej pracy. Wraz z nim pojawiła się siła (bardzo dobrze) i niezwykła jasność umysłu (jeszcze lepiej).

Tymczasem Lois wyjęła z torebki dwudziestodolarowy banknot. Pijaczek nie od razu go jednak zauważył. Marszcząc brwi, wpatrywał się w niebo. W tym momencie kolejny zielony promień oddzielił się od jego aury, przeleciał nad zachwaszczoną ziemią obok wejścia do piwnicy niczym jaskrawe światło bardzo silnej latarki, i wniknął w nos i usta Lois. Banknot w jej dłoni zadrżał lekko.

[Och, Ralph, jakie to dobre!]

- No nie! Znowu te cholerne asy z bazy w Charleston! - zganił pilotów pijaczek. - Bariere dźwięku wolno im przecież przekraczać dopiero nad morzem! O mało się nie zsiła... - dostrzegł trzymaną przez Lois dwudziestodolarówkę i skrzywił się jeszcze bardziej. - Proooszę paaani! Co to za żarty? Nie zidiociałem, wie pani? Może zdarzy mi się wypić od czasu do czasu, ale przecież jeszcze nie zidiociałem!

Poczekajmy, pomyślał Ralph. To tylko kwestia czasu!

- Nikt nie sądzi, że jest pan idiotą - zapewniła pijaczka Lois. - I to nie żart.

Pijaczek próbował utrzymać na twarzy ów godny i podejrzliwy wyraz, ale tylko przyjrzał się bliżej Lois, zerknął szybko na Ralpha... i nie wytrzymał. Uśmiechnął się szeroko.

Podszedł bliżej. Wyciągnął rękę po pieniądze, które - sam o tym nie wiedząc - uczciwie zarobił.

Lois cofnęła rękę, nim zdążył chwycić banknot.

- Proszę pamiętać o zjedzeniu czegoś, nie tylko o picciu. I niech pan się zastanowi, czy jest pan szczęśliwy, żyjąc w ten sposób.

- Święta racja! - krzyknął entuzjastycznie pijaczek. Wpatrywał się w banknot, dosłownie pożerał go oczami. - Święta racja, proszę pani! Po drugiej stronie rzeki jest klinika, mają tam specjalny program, odtruwanie i rehabilitacja. Właśnie się nad tym zastanawiam. Naprawdę się zastanawiam! Zastanawiam się nad tym codziennie! - Nadal gapił się w dwudziestkę, prawie się śliniąc. Lois zerknęła na Ralpha z powątpiewaniem, wzruszyła ramionami i dała ją pijaczkowi.

- Dziękuję! Strasznie dziękuję! - Włóczęga spojrzął z kolei na Ralpha. - Ta pani jest świetna. Mam nadzieję, że pan zdaje sobie z tego sprawę!

Ralph obdarzył Lois spojrzeniem pełnym uczucia.

- Tak się składa, że owszem, zdaję sobie z tego sprawę - powiedział.

W pół godziny później Ralph i Lois maszerowali między zardzewiałymi szynami, łagodnym łukiem omijającymi Miejskie Tereny Golfowe. Wzniesli się nieco ponad poziom Krótkoterminowych (być może dlatego, że pijaczek sam nie całkiem do tego poziomu należał) i właściwie nie był to marsz. Przede wszystkim wcale się nie męczyli, a poza tym chociaż poruszali nogami, Ralph miał wrażenie, że raczej szybują, niż idą. Nie był także całkiem pewien, czy w krótkoterminowym świecie są widzialni. Wiewiórki swobodnie hasały im pod nogami, pracowicie zbierając zapasy na nadchodzącą zimę, a Lois musiała nawet uchylić się przed lecącym wprost na nią strzyżykiem. Inne ptaki skręcały w lewo i w górę raptownie, jakby dopiero

w ostatniej chwili się orientując, że naprzeciw idzie człowiek. Golfiarze też nie zwrócili na nich najmniejszej uwagi. Wprawdzie Ralph uważał ich wszystkich bez wyjątku za ludzi ogarniętych nieuleczalną obsesją, lecz ów brak zainteresowania uznał za podejrzany. Gdyby jemu zdarzyło się dostrzec elegancko odzianych starszych państwa, którzy idą torami nieczynnej od dawna linii kolejowej, to chyba wziąłby sobie wolne na te parę sekund i zastanowił się, co tu właściwie robią i dokąd właściwie idą. Zwłaszcza chyba zainteresowałaby mnie dama poprawiająca spódnice i mrużąca „nie ważcie mi ruszyć się z miejsca, cholery!”, pomyślał z uśmiechem. Golfiarze jednak nawet na nich nie zerknęli, choć czterech, idących właśnie w stronę dziewiątego dołka, przeszło tak blisko, że słyszał, jak z niepokojem komentują słabość rynku obligacji. Tak więc oboje - być może - stali się

niewidzialni, a w każdym razie bardzo słabo widzialni. To go zaniepokoiło. „Czas biegnie szybciej, kiedy wzlatujesz wysoko” - powiedział Stary Dor.

Im dalej szli na zachód, tym krople gęstej różowej cieczy wydawały się świeższe i Ralphowi coraz mniej się podobały. Kilka padło na zardzewiałe tory i wyzarło rdzę jak mocny kwas. Poplamione nimi chwasty szczeniały i zwiędły, nawet te najtwardsze i najbardziej odporne. Kiedy mijali trzecią łączkę pola golfowego, wchodząc w las chudych drzewek i niewysokich krzaczków, Lois szarpnęła go za rękaw. Spojrzał na nią. Wyciągnęła rękę: różowa maź jak obrzydliwa farba lśniła na podchodzących teraz pod same tory pniach, a między torami widniały gdzieniegdzie wgłębienia wypełnione całymi jej kałużami. Kiedyś były tam podkłady, pomyślał Ralph.

[Zbliżamy się do miejsca, gdzie mieszka. Ralph.]

[Tak.]

[Co zrobimy, jak wróci i znajdzie nas u siebie?]

Ralph tylko wzruszył ramionami. Niech się o to martwią siły, które poruszają nimi jak pionkami na szachownicy; panowie K. i L. nazwali je, zdaje się, Wyższym Celem. Jeśli Atropos rzeczywiście stanie im na drodze, on, Ralph, spróbuje wyrwać mu język i udusić nim tego cholernego łysego sukinsyna, a jeśli to się komuś nie podoba, tym gorzej dla niego! Jego, zwykłego człowieka, nie można przecież obciążyć odpowiedzialnością za wielkie plany i wielkie interesy Długoterminowych. On musi dbać o Lois, której życie jest w niebezpieczeństwie, i zapobiec katastrofie, która ma się lada chwila zdarzyć niedaleko stąd. I - kto wie? - może będzie miał

odrobinę wolnego czasu, by zadbać i o swoją, tak pięknie odmłodzoną skórę? To jest jego robota, a jeśli ten kurdupel stanie mu na drodze, to któryś z nich przejdzie po trupie któregoś. Szefowie mają pewnie inne plany, ale jeśli tak, szefowie mogą się bardzo uprzejmie pieprzyć.

Lois odebrała większość tych przemyśleń z aury. Odczytał to z jej „kolorów”, kiedy dotknęła jego ramienia.

[Co to właściwie znaczy, Ralph? Że spróbujesz go zabić, jeśli wejdzie nam w drogę!]

Po namyśle skinął głową.

[Aha. Właśnie. Masz rację.]

Teraz z kolei Lois zamyśliła się na chwilę.

[Ralph?]

Spojrzał na nią unosząc brwi.

[Jeśli to będzie konieczne, pomogę, dobrze?]

Poczuł się absurdalnie wzruszony tą deklaracją, a w dodatku musiał się bardzo starać, by ukryć przed nią to, co najważniejsze: wziął ją ze sobą tylko dlatego, że chciał mieć na nią oko i ją chronić. Pomyślawszy o tym, zaczął myśleć o jej kolczykach. Odepchnął od siebie ich obraz, nie chcąc, by zobaczyła je w aurze - nawet jakiś ich ślad.

Tymczasem Lois skrzyła w odrobinę bezpieczniejszą dróżkę.

[Nawet jeśli go nie spotkamy, będzie wiedział, że ktoś u niego był, prawda? Prawdopodobnie będzie nawet wiedział kto.]

Temu nie mógł zaprzeczyć, ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Na razie po prostu nie mieli przed sobą innej drogi. Muszą poruszać się krok po kroku z nadzieją, że kiedy jutro wzejdzie słońce, będą mogli oglądać ten wschód. Chociaż, gdybym miał wybór, pewnie wolałbym go przespać, pomyślał i skrzywił wargi w lekkim, smutnym uśmiechu. Boże, czuję się, jakbym ostatni raz spał całe lata temu! Potem przypomniało mu się ulubione powiedzenie Carolyn, jaka to daleka jest droga do raju. Raj pewnie budzi się w południe... a może nawet trochę po południu?

Wziął Lois za rękę. Znow ruszyli śladem Atroposa.

Jakieś, piętnaście metrów na wschód od ogrodzenia z siatki, które otaczało teren lotniska, szyny poddały się i znikły. Sądząc po śladach, Atropos parł jednak przed siebie, choć chyba

niedługo. Ralph był całkiem pewien, że widzi, dokąd dążył, i oczami wyobraźni znow zobaczył wielkie koło, do którego przywiązany jest wraz z Lois... koło, którego każdy obrót przenosił ich tam, gdzie wszystko się zaczęło. Jeśli miał rację, nora Atroposa znajdowała się o rzut kamieniem od miejsca, gdzie Ed wjechał na pikap Grubego.

Powiał wiatr, niosąc ze sobą dobiegający z niedaleka smród zgnilizny i nieco odleglejszy głos Faye'a Chapina wygłaszającego do kogoś swoje ulubione kazanie: „...przecież zawsze to powtarzam! Mah-jongg jest jak szachy, a szachy są jak życie, więc jeśli dobrze grasz w...” Wiatr ucichł i choć Ralph nadal słyszał głos Faye'a (gdy wytężył słuch), to już nie poszczególnie słowa. Mniejsza z tym - tę przemowę znał właściwie na pamięć.

[Ten smród jest straszny. To on, prawda?]

Skinął głową, ale Lois chyba tego nie dostrzegła. Z całej siły ścisnęła mu rękę, patrząc wprost przed siebie rozszerzonymi strachem oczami. Ślad krwawej galarety, którym podążali od Centrum Obywatelskiego, kończył się jakieś siedemdziesiąt metrów dalej, u podstawy pochylonego dziwacznie, martwego dębu. Przyczyna śmierci tego patriarchy (i powód, dla którego umarł tak dziwnie pochylony) wydawała się jasna - uderzenie pioruna wyłupało mu pień po jednej stronie. Pęknięcia, szczeliny, układ kory tworzyły obrazy pogrzebanych i

wrzeszczących w milczeniu twarzy, nagie gałęzie zaś rysowały na niebie niepokojące ideogramy - a może była to tylko kwestia wyobraźni?- podobne do japońskich, oznaczających „kamikaze”. Piorun, który zabił drzewo, nie zdołał go przewrócić, ale zrobił wszystko, co było w jego mocy. Część gigantycznego systemu korzeniowego, ta od strony lotniska, sterczała wyrwana na powierzchnię ziemi. Rozciągające się daleko korzenie uniosły siatkę ogrodzenia i wygięły ją na kształt dzwonu. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat Ralph pomyślał o koledze z dzieciństwa, Chucku Egstromie.

„Nie wolno ci bawić się z Chuckiem”, powtarzała mu matka. „To brzydki chłopiec”.

Ralph nie wiedział, czy Chuckie jest, czy nie jest brzydki, ale był pewien, że ma fioła. Chuckie Egstrom lubił chować się za drzewem na podwórku, zawsze mając na podorędziu długą gałąź, którą nazywał Różdżką Podglądaczką. Kiedy obok przechodziła kobieta w długiej spódnicy, szedł za nią na paluszkach, zahaczał różdżką o brzeg owej spódnicy i podnosił ją

w górę, co często decydowało o kolorze bielizny rzeczonyj damy (kolor damskiej bielizny naprawdę go fascynował), nim dama orientowała się, jakiego to podstępu padła ofiarą i ruszała w pościg za gdczącym śmiechem chłopcem grożąc, że powie wszystko jego mamie. Uniesione korzeniami dębu ogrodzenie wyglądało kubek w kubek jak spódnice, gdy Chuckie *zaczynał* unosić Różdżkę.

[Ralph?]

Obrócił wzrok na Lois.

[Co to za róża? Ta, o której teraz myślisz.]

Ralph wybuchnął śmiechem.

[Dostrzegłaś to w aurze?]

[Chyba tak. Właściwie to już nie wiem. Co to za róża?]

[Kiedyś ci opowiem. Idziemy.]

Wzięli się za ręce i ruszyli powoli ku obalonemu piorunem dębowi, gdzie kończyły się ślady Atroposa - wprost w smród zgnilizny, który był jego wonią.

Rozdział 6

Stali pod dębem, patrząc w ziemię. Lois nieświadomie ssała dolną wargę.

[Musimy tam zejść, Ralph? Naprawdę musimy?]

[Tak.]

[Ale dlaczego? Dlaczego? Co mamy właściwie zrobić? Odebrać mu coś, co zabrał? Zabić go?]

Musieli odzyskać grzebień Joego i jej kolczyki; co dalej, nie wiedział. Był jednak pewien, że się dowie, że oboje się dowiedzą, kiedy nadejdzie właściwa pora.

[Moim zdaniem najlepiej, żebyśmy się teraz ruszyli, Lois.]

Piorun, który zamordował dąb, zadziałał jak mocarna ręka. Gwałtownie pchnął drzewo na wschód, po zachodniej zaś stronie, u podstawy pnia, pojawiła się wielka dziura. Zwykły Krótkoterminowy (mężczyzna lub kobieta) dziurę tę na pewno uznałby za mroczną, a może i lekko przerażającą, bo sterzące wewnątrz, zaledwie widoczne korzenie przypominały węże, lecz poza tym raczej nieciekawą.

Być może dziecko obdarzone bujną wyobraźnią dostrzegłoby w niej coś więcej. Ciemna dziura pod korzeniami martwego dębu kazałaby mu, być może, pomyśleć o pirackich skarbach... kryjówkach bandytów... jaskiniach trolli...

Lecz Ralph nie przypuszczał, by nawet obdarzone wyjątkową wyobraźnią krótkoterminowe dziecko zdolne było dostrzec bijący z jamy słaby, czerwony blask lub zdać sobie sprawę z tego, że węzowate korzenie tworzą w rzeczywistości szczelne, prowadzące w miejsce tajemne wprawdzie, lecz przede wszystkim nieprzyjemne.

Nie, nawet dziecko o wyjątkowej wyobraźni nic takiego by nie dostrzegło... choć, być może, zdolne byłoby to wyczuć.

Słusznie. A potem nawet dziecko obdarzone minimalną choćby dozą zdrowego rozsądku rzuciłoby się do ucieczki, jakby goniły je wszystkie demony piekła. On i Lois oczywiście zrobiliby to samo... gdyby dysponowali minimalną choćby dozą zdrowego rozsądku. I gdyby nie kolczyki. I gdyby nie grzebyk Joego Wyzera. I gdyby nie miejsce w hierarchii Celu, które stracił Ralph. I oczywiście-gdyby nie Helen (oraz, prawdopodobnie, Nat) wraz z tymi dwoma tysiącami ludzi, którzy mieli pojawić się dziś w Centrum Obywatelskim. Lois miała całkowitą rację. Musieli coś zrobić i jeśli teraz tego czegoś nie zrobią, to, co się stało, nie będzie miało najmniejszej szansy się odstać.

Tak wyglądają sznury, pomyślał jeszcze, którymi wielkie potęgi przywiązują do koła nas, biednych, tępych Krótkoterminowych.

W soczewkach nienawiści widział panów K. i L. i wiedział, że gdyby to oni znaleźli się na ich miejscu, wymieniliby jedno ze swych patentowanych niepewnych spojrzeń i szybko zrobili krok czy dwa wstecz.

I mądrze by zrobili. Bardzo mądrze.

[Ralph? Co się stało? Dlaczego jesteś taki wściekły?]

Podniósł do ust dłoń Lois i złożył na niej szarmancki pocałunek.

[Nie, nic się nie stało. No, chodź. Zanim się rozmyślimy.]

Lois patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem skinęła głową. A kiedy Ralph usiadł i spuścił nogi w wielkie usta dziury o zębach z korzeni, była tuż przy jego boku.

Ralph wślizgnął się pod drzewo na plecach, wolną dłonią osłaniając oczy przed osypującą się ziemią. Próbował się nie kulić, gdy palce korzeni muskały mu szyję i kark. Tu, w dole, śmierdziało jak w małpiarni; żołądek mu się przewracał. Póki schodził, udawało mu się oszukiwać samego siebie, że się do tego przyzwyczai, ale kiedy znalazł się na samym dole, nie wytrzymał. Oparł się na łokciu czując, jak mniejsze korzenie dotykają mu głowy, a kawałki kory policzków, i zwymiotował tyle ze śniadania, ile był w stanie zwymiotować. Po jego lewej ręce Lois zajęta była mniej więcej tym samym.

W głowie przelewała mu się wielka, oślizgła fala. Zrobiło mu się słabo. Smród był tak gęsty, że prawie go jadł; dłonie i ramiona wysmarowane miał czerwoną cieczą, której tropem tu dotarli. Samo patrzeć na nią było nie do zniesienia, a teraz, na litość boską, cały się w niej wykapał!

Coś złapało go za rękę. Zanim zdążył wpaść w panikę, zorientował się, że to tylko Lois.

Spletli palce.

[Ralph, unieś się choć troszkę. Jest lepiej, można oddychać.]

Natychmiast zrozumiał, co Lois ma na myśli. Opanował się, powstrzymał dosłownie w ostatniej chwili, bo inaczej wystrzeliłby w górę drabiny percepcji jak rakietą.

Świat drgnął i nagle w śmierdzącej norze zrobiło się nieco jaśniej, ona sama zaś wydała się nieco większa. Smród nie znikł, ale osłabł do znośnego poziomu - takiego, powiedzmy, jak w małym namiocie, pełnym nie domytych mężczyzn w brudnych skarpetkach; nic przyjemnego, ale można wytrzymać. Przynajmniej jakiś czas.

Ralph wyobraził sobie nagle zegarek, i to z poruszającymi się zbyt szybko wskazówkami. Lepiej było bez wnikającego do gardła, duszącego smrodu, lecz miejsce to nie

przystało bynajmniej być niebezpieczne. Załóżmy, że wyjdą na świat jutro rano? że po Centrum Obywatelskim zostanie tylko dymiąca dziura w Main Street? A to się mogło zdarzyć. Tutaj, na dole, sama myśl o kontroli czasu krótkoterminowego, długoterminowego, jakiegokolwiek - wydawała się po prostu żartem.

Daj sobie spokój, Ralph, nic na to nie poradzisz, a oddychać musisz, więc daj sobie spokój.

Spróbował. I nagle uświadomił sobie, że Stary Dor miał całkowitą, stuprocentową rację, kiedy tego dnia, gdy Ed staranował Grubego w pikapie, powiedział, że lepiej nie mieszać się w sprawy Długoterminowych. A jednak on, Ralph, znalazł się tu, najstarszy Piotruś Pan świata z najstarszą Wendy świata, przez magiczne drzewo wślizgujący się do podziemnego świata, o którego zobaczeniu żadne z nich nie marzyło.

Lois wpatrywała się w niego, bladą twarz oświetlała jej niesamowita czerwona poświata. Oczy miała przerażone. Na jej brodzie dostrzegł ciemne pasma. Krew. Już nie ssała dolnej wargi, lecz zaczęła ją gryźć.

[Ralph, nic ci nie jest?]

[Wpełzłem pod wielkie drzewo z piękną dziewczyną, a ty się jeszcze pytasz? Nic mi nie jest, skarbie. Ale chyba powinniśmy się pośpieszyć.]

[Dobrze.]

Pomacał wokół siebie i w dole. Postawił stopę na skręconym korzeniu. Korzeń wytrzymał. Ześlizgnął się po kamiennym zboczu, precyzyjnie pod innym korzeniem, obejmując Lois w pasie. Sukienka podjechała jej do góry; jeszcze raz pomyślał o Chucku Engstromie i jego Różdźce Podglądacze. Z rozbawieniem - ale i odrobiną irytacji - dostrzegł, że Lois bardzo stara się doprowadzić do porządku.

[Wiem, że dama nie zadziera spódnicy, jeśli może tego uniknąć, ale chyba ta zasada nie obowiązuje dam wślizgujących się do jaskiń trolli pod starym dębem. Prawda?]

Lois uśmiechnęła się lekko, przestraszona i zażenowana.

[Gdybym wiedziała, czym będziemy się zajmować, włożyłabym spodnie. Myślałam, że po prostu jedziemy do szpitala.]

Gdybym ja wiedział, czym będziemy się zajmować, spieniężyłbym obligacje mimo słabości rynku i kupił dwa bilety do Rio, pomyślał Ralph.

Poszukał oparcia dla drugiej nogi, ostrożnie, w pełni świadom, że jeśli spadnie, to tam, gdzie pogotowie Derry nie będzie w stanie dotrzeć. Tuż obok, na wysokości czoła, z ziemi wylał czerwony robak, obsypując mu głowę piaskiem.

Szukał oparcia dla nogi przez wieczność, aż wreszcie poczuł pod nią gładkie drewno -

nie korzeń tym razem, ale coś jak prawdziwe schody. Ześlizgnął się na nie, nadal trzymając Lois w pasie. Stał i *czekał*, aż to coś, na czym stoją, załamie się pod ich podwójnym ciężarem, ale się nie załamało.

Spojrzał w dół. Znajdowali się na wąskich schodach prowadzących w jarzącą się słabo czerwienią ciemność. Schody te zbudowano (a może zbudowała je sama dla siebie?) dla istoty znacznie od nich niższej, więc musieli się garbić, ale lepiej się było garbić, niż od nowa przeżywać koszmar kilku ostatnich chwil.

Podniósł głowę i spojrzał na poszarpaną plamę jasności za nimi. Oczy w jego spoconej, brudnej twarzy płonęły bezmyślną tęsknotą. Światło słońca nigdy jeszcze nie wydawało mu się tak słodkie i tak niedosiężne. Obrócił się do Lois i skinął głową. Lois ścisnęła mu dłoń i także kiwnęła głową, jakby się z nim zgadzała.

Zgarbieni, wzdrygając się, ilekroć zwisający korzeń dotykał im karku lub pleców, ruszyli w dół.

Wydawało im się, że schodzą wieki. Czerwony blask stawał się coraz jaśniejszy, smród Atroposa coraz gęściejszy, Ralph zaś był w pełni świadom, że maszerując tak w dół wędrują także w górę; nie mieli wyboru, musieli albo uciec przed smrodem, albo w nim zginąć. Powtarzał sobie, że robią tylko to, co muszą zrobić, i że do operacji tak gigantycznej na pewno oddelegowano kogoś z zadaniem pilnowania czasu, kto szturchnie ich jakoś, kiedy zaczną się robić niebezpiecznie późno. Ale go to wcale nie uspokoiło. Bo być może nikogo takiego nie było, nie było sędziego ze stoperem albo kilku sędziów w pasiastych koszulkach. „Wszystko dozwolone”, powiedział przecież Kloto.

Już pomyślał, że schody wiodą pewnie aż do samego piekła, kiedy się skończyły. Krótki korytarz o kamiennych ścianach, niespełna metrowej wysokości i jakieś pięć metrów długi, prowadził do sklepionych drzwi, za którymi pulsowała czerwona poświata, rozjaśniając się nieregularnie, jakby odbijała blask otwartego paleniska.

[Chodź, Lois... ale bądź gotowa na wszystko. Bądź gotowa na niego.]

Lois skinęła głową, podciągnęła nieposłuszne majtki i ruszyła za nim wąskim korytarzem. Ralph kopnął po drodze coś, co nie było kamieniem. Pochylił się, by sprawdzić, co to takiego, podniósł z ziemi czerwony plastikowy cylinderek i niemal natychmiast zorientował się, że trzyma w dłoni rączkę skakanki. *Raz, dwa, trzy, pchły na spacer szły.*

„Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, Krótkoterminowy”, powiedział mu Atropos, ale on wetknął nos w nie swoje sprawy, i to nie tylko z powodu tego, co mały łysy doktorek nazywał „ka”. Wtrącił się, ponieważ były to jego sprawy. To, co robił Atropos, dotyczyło bezpośrednio jego, zupełnie niezależnie od widzimisię tego cholernego łysego kurdupla.

Derry było jego miastem, a Lois Chasse jego przyjaciółką. Ralph odkrył właśnie, że szczerze i gorąco marzy, by doktorek nr 3 serdecznie pożalował, iż kiedyś w ogóle zobaczył kolczyki Lois.

Wyrzucił rączkę skakanki i ruszył przed siebie. W chwilę później oboje przeszli pod łukiem prowadzącym do rezydencji Atroposa i zamarli na widok jego podziemnego pałacu. Stojąc tak i trzymając się za ręce, bardziej niż kiedykolwiek przypominali dwójkę dzieci z jakiejś baśni - już nie Piotrusia Pana

i Wendy, lecz raczej Jasia i Małgosię, którzy po całych dniach błąkania się po nieprzebytym lesie stają wreszcie twarzą w twarz z chatką z piernika, w której mieszka wiedźma.

[O mój Boże... o mój Boże, Ralph, czy ty to widzisz?]

[Ciii, Lois, ciii...]

Przed nimi znajdowało się małe, obrzydliwe pomieszczenie, *zarazem* wstrętne i groźne. Pośrodku coś niby niski okrągły stolik, chyba górna połowa beczki, a na niej resztki jedzenia - szara, śmierdząca substancja, która wyglądała jak płynny mózg zastygający w misce zupy jarzynowej. Obok stołu jedno brudne składane krzesło. Na prawo prymitywny ustęp: przerdzewiała stalowa beczka z deską klozetową; z beczki unosił się nieopisanie wręcz obrzydliwy smród. Jediną dekoracją pokoju było wielkie ściennie lustro w mosiężnej oprawie, tak pociemniałe ze starości, że uwięzieni w nim Ralph i Lois wyglądali, jakby pływali w głębokiej wodzie.

Na lewo od lustra stało łóżko: brudny materac i jutowy worek wypełniony słomą czy pierzem. Zarówno materac jak i poduszka świeciły i śmierdziały potem używającego ich stworzenia. Sny uwięzione w głębi tego worka doprowadziłyby mnie do szaleństwa, pomyślał Ralph.

Gdzieś głębiej - jeden Bóg wie jak głęboko - ciurkała woda.

W ścianie naprzeciw znajdowało się drugie, większe sklepienie przejście, za którym dostrzegli przeładowany, iście surrealistyczny „magazyn”. Ralph nawet mrugnął raz czy dwa, niepewny, czy rzeczywiście widzi to, co widzi.

Trafiliśmy na właściwe miejsce, pomyślał. Czymkolwiek jest to, czego szukamy, jest tutaj!

Lois ruszyła ku przejściu do „magazynu” powolutku, jak zahipnotyzowana. Usta drżały jej z obrzydzenia, lecz w oczach miała nieprzewyciężoną ciekawość-taki wyraz musiały mieć oczy żony Sinobrodego, kiedy otworzyła drzwi komnaty, do której nie wolno jej było nawet zajrzeć. Ralpa ogarnęło nagle poczucie absolutnej pewności, iż tuż za łukiem

czeka Atropos z nastawionym zardzewiałym skalpelem. Skoczył, złapał Lois, chwycił ją za ramię, przyłożył palec do ust i potrząsnął głową na znak, żeby milczała.

Skulił się, opierając dłoń o klepisko pełniące funkcję

podłogi jak sprinter czekający na strzał startera. Nagle skoczył do przodu (nawet w takim momencie ucieszyła go niezwykła sprawność odmłodzonego ciała), upadł na bark i przetoczył się w głąb. Piętami przewrócił kartonowe pudło, z którego posypały się przeróżne drobiazgi: rękawiczki, skarpety nie do pary, kilka starych książek w miękkich okładkach, szorty do kolan, śrubokręt wymazany na ciemnobrązowo, może farbą, może krwią.

Ukląkł. Spojrzał na Lois. Stała w wejściu, zasłaniając dłońmi otwarte usta. Nikt nie czaił się pod ścianą i po prawdzie nie było tam dla nikogo miejsca; po obu stronach piętrzyły się stosy pudeł. Z uczuciem ponurego zdumienia Ralph przeczytał wydrukowane na nich napisy: Jack DaniePs, Gilbey's, Smirnoff, J & B. Najwyraźniej Atropos uwielbiał pudła po alkoholach - jak każdy, komu żal wyrzucić cokolwiek.

[Ralph? Czy tam jest... bezpiecznie?]

Pytanie zakrawało na żart, ale Ralph tylko skinął głową i wyciągnął rękę. Lois wręcz wpadła do środka, podciągając przy tym majtki energicznym gestem. Rozejrzała się dookoła z niebotycznym zdumieniem.

Kiedy stali w sypialni Atroposa i patrzyli przez łuk, „magazyn” wydał im się wielki. Teraz, kiedy się w nim znaleźli, okazało się, że jest ogromny. Tak olbrzymie pomieszczenie w pełni zasługiwało na miano magazynu - bez cudzysłowu. Pomiędzy wielkimi stosami przeróżnych towarów wiły się korytarze. Pudeł użyto tylko przy wejściu, resztę poskładano byle jak, tworząc coś, co w dwóch piątych wydawało się labiryntem, a w trzech piątych pułapką. Znaleźli się w prawdziwym podziemnym mieście. Atropos mógł czaić się za każdym rogiem każdego korytarza... a jeśli się czaił, to prawdopodobnie także ich obserwował.

Lois nie spytała, czego szukają; Ralph z jej twarzy wyczytał, że wie. Kiedy się odezwała, mówiła powoli, marząco. Ciarki przebiegły mu po plecach.

[Musi być strasznie stary...]

Tak. Strasznie stary.

Jakieś dwadzieścia metrów od wejścia dostrzegł wielkie koło szprychowe, które leżało na bambusowym bujaku. Bujak stał na starej, zardzewiałej maszynie do prasowania. Na widok koła ciarki znów dały o sobie znać - oto metafora, którą się posłużył, by przybliżyć sobie pojęcie ka, nagle stała się rzeczywistością. Pas zardzewiałej stali otaczającej koło po jego wewnętrznej stronie świadczył, że pochodzi ono najpewniej z bicykla z lat dziewięćdziesiątych XEX wieku - takiego przypominającego wyrośnięty tricykl.

Tak, to koło dziewiętnastowiecznego roweru. Ma co najmniej sto lat!

Sto lat. Ilu ludzi - ile tysięcy, ile dziesiątek tysięcy ludzi - umarło w okolicach Derry, zanim Atropos jakimś cudem przetransportował do podziemia to koło? A z tych tysięcy śmierci ile należało do Przypadku?

I od kiedy on tu jest? Od ilu setek lat?

Trudno powiedzieć, oczywiście. Być może od samego początku - niezależnie od tego, kiedy i jak odbył się ów początek. I przez cały ten czas zabierał jakiś drobiazg każdemu, kogo udało mu się załatwić, a potem... przynosił go tutaj.

Przynosił tutaj.

[RalphT]

Obejrzał się. Lois stała z wyciągniętymi rękami. W jednej trzymała panamę z obgryzionym rondem, w drugiej plastikowy grzebyk kieszonkowy z rodzaju tych, jakie sprzedają w każdej drogerii za dolca dwadzieścia dziewięć. Grzebyk nadal świecił słabo pomarańczowożółtym blaskiem i nic dziwnego. Czesząc włosy, właściciel za każdym razem nasyczał go blaskiem swojej aury i wstążki, więc pozostały na nim jak odrobiny łupieżu. Ralpa nie zdziwiło także, że grzebyk i kapelusz odnalazły się razem; kiedy widział je po raz ostatni, również były razem. Pamiętał kpiący uśmiech Atroposa, zdejmującego panamę i udającego, że czesze swą łysą pałę.

A potem podskoczył i strzelił obcasami.

Lois wskazała na bujak z pękniętą płożą.

[Kapelusz leżał tu, na siedzeniu. A grzebyk pod nim. To grzebyk pana Wyzera, prawda?]

[Tak.)

Wyciągnęła rękę.

[Weź go. Nie jestem taka roztrzepana, za jaką uważał mnie Bili, ale zdarza mi się gubić różne rzeczy. Nie wybaczyłabym sobie nigdy, gdybym go zgubiła!]

Ralph wziął grzebyk. Już go wkładał do tylnej kieszeni spodni, kiedy przypomniał sobie, z jaką łatwością Atropos wyciągnął go z tejże kieszeni podobnych spodni Joego. Takie to było łatwe, jak poślizgnąć się na skórcie banana. Przełożył więc grzebyk do przedniej kieszeni, po czym spojrzął na Lois, która przyglądała się obgryzionemu kapeluszu Billa z pełnym

żałości zdziwieniem-tak zapewne Hamlet patrzył na czaszkę swego starego kumpla Yorricka. Kiedy podniosła wzrok, w jej oczach błyszczały łzy.

[Kochał ten kapelusz. Sądził, że wygląda w nim elegancko, światowo. Nieprawda,

wyglądał po prostu jak Bili w kapeluszu, ale uważał, że jest w nim przystojniejszy, i tylko to się liczy. Mam rację, Ralph?]

[Tak]

Rzuciła kapelusz z powrotem na siedzenie fotela i zabrała się do przeglądania pudła z czymś, co przypominało ubrania z drugiej ręki. Gdy tylko odwróciła się do niego plecami, pochylił się i zajrzał pod fotel, z nadzieją że zobaczy w ciemności podwójny błysk kolczyków. Jeśli były tu kapelusz Billa i grzebień Joego, to może...

Pod fotelem nie było nic, jeśli nie liczyć brudu i zrobionego na drutach różowego dziecięcego bucika.

Powinienem wiedzieć, że to nie będzie takie łatwe, pomyślał wstając. Poczul się nagle bardzo zmęczony. Grzebień Joego znaleźli bez najmniejszych problemów - i doskonale, świetnie! - ale obawiał się, że to tylko jeszcze jeden przypadek szczęścia nowicjusza. Nadal nie mógł przestać się martwić o kolczyki Lois... no i czy zrobią to, po co w ogóle zostali tu wysłani, cokolwiek to miało być. A co to miało być? Nie wiedział, a jeśli ktoś z góry wysyłał mu instrukcje, to on z całą pewnością ich nie odbierał.

[Lois, czy ty w ogóle wiesz co...]

[Ciii...]

[Co się stało? Czy to on?]

[Nie. Cicho bądź, Ralph. Słuchaj.]

Wyteżył słuch. Najpierw nie słyszał nic, a potem w głowie poczul znów to ściśnięcie... mrugnięcie... tylko że teraz było ono wyjątkowo delikatne. Ostrożne. Wzniósł się w górę odrobinę, łagodnie jak piórko poderwane podmuchem ciepłego powietrza i usłyszał długi, niski jęk podobny do nie kończącego się skrzypu zamykanych drzwi. Było w tym coś znajomego... nie w samym dźwięku... ale wiązało się to z czymś znajomym. Było...

Jak alarm albo może wykrywacz dymu? To coś wskazuje nam samo, gdzie jest. Wzywa nas.

Lois złapała go za rękę dłonią zimną jak lód.

[O to nam chodziło, Ralph. Tego szukaliśmy. Słyszysz?]

Tak, oczywiście, słyszał, lecz czymkolwiek był ten głos, nie miał nic wspólnego z kolczykami Lois. A on nie ruszy się stąd bez kolczyków Lois.

[Chodź, Ralph, chodź! Musimy go znaleźć!]

Dał się poprowadzić w głąb magazynu. Prawie wszędzie wznosiły się stosy trofeów Atroposa o dobry metr wyższe od nich. Jak taki kurdupel zdołał dokonać czegoś podobnego - może lewitował? Błyskawicznie stracili poczucie kierunku w korytarzach, które wiły się,

skręcały tu i tam, a w kilku przypadkach po prostu zawracały. Ralph wiedział na pewno tylko jedno: niski jęk brzmiał mu w uszach coraz wyraźniej, a w miarę jak zbliżali się do jego źródła, coraz bardziej przypominał bzyczenie wielkiego owada i dźwięczał coraz nieprzyjemniej. Za każdym zakrętem spodziewał się wielkiej szarańczy, gapiącej się na niego tępyimi brązowoczarnymi oczami, wielkimi jak grejpfruty.

Choć pojedyncze aury przedmiotów zgromadzonych w tym wielkim magazynie znikły jak zapach kwiatów suszonych między kartkami książek, nadal dawało się wyczuć spod przykrywającego wszystko inne smrodu Atroposa. To milczące wspomnienie po ofiarach Przypadku wydawało się Ralphowi jednocześnie straszne i żałosne. Zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że znajduje się nie w czymś w rodzaju muzeum (lub szcurzej norze), lecz raczej w kościele, w którym Atropos przystępuje do swej własnej wersji komunii: smutek za chleb, łzy za wino.

Wędrówka po krętych, wąskich korytarzach była przeżyciem wstrętnym, niemal nieznośnym. Za każdym z zakrętów - zresztą nie całkiem przypadkowych - odkrywali setki nowych przedmiotów, których Ralph wolałby nigdy nie widzieć na oczy i nie zapamiętać, a każdy z nich krzyczał własnym głosem zdumienia i bólu. Nie musiał się zastanawiać, czy Lois podziela jego uczucia - szła obok, szlochając cicho, lecz nieprzerwanie.

Poobijane dziecinne nartosanki ze sznurkiem wciąż przywiązany do kierownicy. Chłopiec, do którego należały, zmarł w konwulsjach pewnego mroźnego styczniowego ranka 1953 roku.

Pałeczka owinięta fioletowo-białą wstążką - kolory Akademii Granta. Dziewczyna, która maszerowała z nią na czele pochodów, została zgwałcona i zatłuczona kamieniem na jesieni 1967 roku. Mordercy nigdy nie złapano, ukrył ciało w jaskini; jej kości spoczywały tam nadal wraz z kośćmi dwóch innych ofiar gwałciciela.

Broszka z kameą. Na jej właścicielkę spadła cegła. Zginęła na Main Street, kiedy szła po nowy numer *Vogue*. Gdyby

wyszła z domu pół minuty wcześniej albo pół minuty później, nic by się jej nie stało.

Nóż myśliwski mężczyzny, zabitego przypadkowo na polowaniu w 1937 roku.

Kompas harcerza, który osunął się podczas wspinaczki na Mount Katahdin i skręcił kark.

Bucik chłopczyka imieniem Gage Creed, przejechanego na drodze nr 15 w Ludlow przez jadącą zbyt szybko cysternę.

Pierścionki i pisma, kółka na klucze i parasolki, kapelusze i okulary, grzechotki i radia. Wyglądały odmiennie, ale dla Ralpha były jednym: słabym, smutnym płaczem ludzi

skreślonych ze scenariusza w połowie drugiego aktu, kiedy właśnie uczyli się swych ról do trzeciego, ludzi spisanych na straty, nim spełnili dzieło życia i wszystkie swe obowiązki, ludzi, których jedynym przestępstwem było to, że urodzili się pod władzą Przypadku... i że wpadli w oko szaleńcowi z zardzewiałym skalpelem.

Lois, szlochając: *[Nienawidzę go! Tak strasznie go nienawidzę!]*

Ralph rozumiał ją doskonale. Co innego słuchać Klota i Lachesisa tłumaczących, że Atropos ma swe miejsce w obrazie rzeczy, że być może służy nawet Wyższemu Celowi, a co innego widok spłowiałej czapeczki bostońskich Niedźwiedzi, należącej do chłopczyka, który przez zarośnięty chwastami otwór wpadł do piwnicy zrujnowanego domu i zmarł w ciemności niezdolny wydobyć z siebie głosu po sześciu godzinach cierpień i krzyku „mamo!”

Ralph wyciągnął dłoń i dotknął czapeczki. Chłopiec nazywał się Billy Weatherbee. Umierając myślał o lodach.

Zacisnął dłoń na dłoni Lois.

[Ralph, co się stało? Słyszę, jak myślisz, jestem pewna, że myślisz... ale to jak słuchanie kogoś, kto burczy coś pod nosem.]

[Myślałem o tym, że nogi z dupy powyrywam temu małemu sukinsynowi, Lois. Może nauczymy go, co to jest bezsenna noc. Co ty na to?]

Lois uścisnęła mu rękę. Skinęła głową.

Dotarli do miejsca, w którym ich korytarz rozdzielał się na dwa korytarze. Niskie buczenie dochodziło ich z lewej strony;

sądząc z nasilenia dźwięku, jego źródło musiało być niedaleko. Nie mogli już iść obok siebie, a im dalej się posuwali, tym było wężiej. W końcu Ralph musiał iść bokiem.

Czerwonawa maź, którą pozostawiał po sobie Atropos, ściekała po spiętrzonych „pamiątkach”, tworzyła małe kałuże na klepisku. Lois ścisnęła dłoń Ralpha aż do bólu, Ralph jednak wcale się na to nie skarżył.

[To jak Centrum Obywatelskie, wiesz? Spędza tu mnóstwo czasu.]

Skinął głową. Panie A., co pan tak często tu odwiedza? Docierali już do końca magazynu, korytarz zablokowany był prawdziwą ścianą gratów, a nadal nie widział tego, co wydawało z siebie ten brzęczący dźwięk... dźwięk, który - powoli, ale skutecznie - doprowadzał go do szaleństwa. Jakby w środku głowy siedziała mu końska mucha i za wszelką cenę starała się uwolnić z pułapki. W miarę jak dochodzili do końca korytarza, coraz bardziej był pewny, że to, czego szukają, znajduje się za ścianą i że albo będą się musieli cofnąć w poszukiwaniu innej drogi albo przebić przez nią na wylot. Jedno i drugie mogło zabrać im więcej czasu, niż go mieli do dyspozycji.

Korytarz nie kończył się jednak ślepo. Stanęli w niskim obszernym pomieszczeniu. Po lewej stał stół zastawiony naczyniami i kupkami zielonego papieru, a pod stołem...

Zielonego papieru? Nie, nie całkiem. Kupkami banknotów! Dziesiątek, dwudziestek i pięćdziesiątek porozkładanych w nieładzie na zastawie. W sosjerkę wetknięty był kłęb setek, z zakurzonego kieliszka do wina wyglądała pięćsetdolarówka.

[Ralph! Mój Boże, przecież to fortuna!]

Lois nie patrzyła jednak na stół, lecz na przeciwległą ścianę korytarza, ścianę zbudowaną jak z cegieł z obanderolowanych kostek banknotów. Znajdowali się w przejściu dosłownie wybrukowanym forszą i Ralph pojął, że właśnie znalazł odpowiedź na kolejne pytanie, które go dotąd dręczyło: skąd Ed miał forszę na kaucję za Pickeringa. Atropos tarzał się w forsie... ale dziewczyny mimo to chyba raczej na niego nie lecą.

Pochylił się, by zajrzeć pod stół. Może tamtędy się dokądś precyzyjnie. Po drugiej stronie było chyba jeszcze jedno pomieszczenie, na odmianę bardzo małe. Rozbłyskał z niego powoli i niki w rytm bicia serca czerwony blask. Odbijał się niewyraźnie na ich butach.

Ralph wskazał go gestem i spojrzał na Lois. Lois skinęła głową. Opadł na kolana i przepelzł pod uginającym się pod

ciężarem pieniędzy stołem. Znalazł się w małej kapliczce, którą Atropos urządził wokół leżącego na podłodze... czegoś. I bez wątplenia to było to, po co tu przyszli... tyle że nadal nie wiedział, po co właściwie tu przyszli. Przedmiot, niewiele większy od kulki z tych, którymi tak lubią bawić się dzieci, otaczała torba śmierci nieprzenikniona jak czarna dziura.

Cudownie! I co teraz?

[Ralph? Słyszysz śpiew? Jest bardzo słaby.]

Spojrzał na Lois z powątpiewaniem, a potem rozejrzał się dookoła. Już zdążył znienawidzić to maleńkie pomieszczenie i choć z natury nie cierpiał na klaustrofobię, czuł wręcz paniczną ochotę ucieczki. Tylko że w głowie zabrzmiał mu bardzo wyraźny głos: Nie chodzi o to, czego chcę, lecz o to, co muszę, Ralph. Zrobię wszystko, by ci towarzyszyć, ale jeśli szybko nie dokonasz dzieła, którego masz tu dokonać - cokolwiek by to, do cholery, było - nie będzie miało znaczenia, co któreś z nas chce. Przejmę kontrolę i zwieję, aż się będzie za mną kurzyło!

Z trudem trzymane na wodzy przerażenie wyraźnie słyszalne w tym głosie wcale go nie zdumiało, ponieważ to miejsce rzeczywiście przerażało. Nie wyglądało na salkę, lecz raczej na dno głębokiego szybu, którego koliste ściany zbudowano z mnóstwa skradzionych, przypadkowych przedmiotów: opiekaczy do grzanek, podnóżków, radioodbiorników z zegarkami, aparatów fotograficznych, książek, drewnianych skrzynek, butów, grabi. Tuż

przed oczami Ralpha wisiał na przegniłym pasku sfatygowany saksofon z imieniem „Jake” wypisanym na pociemniałym od upływu lat kryształe górskim. Ralph o mało go nie złapał i nie odsunął od twarzy, ale wyobraził sobie, jak wyrwanie choćby jednego przedmiotu powoduje lawinę, która grzebie ich żywcem, i cofnął rękę. W tej samej chwili jak najszerzej otworzył umysł i zmysły na świat i przez chwilę wydawało mu się, że coś rzeczywiście słyszy - coś jak słabe westchnienie zaklętego w muszli szumu oceanu. Westchnienie pojawiło i prawie natychmiast znikło.

[Jeśli rzeczywiście coś tu śpiewa, ja nic nie słyszę... ta cholera wszystko zagłusza.]

Wskazał znajdujący się pośrodku kręgu przedmiot - czarny czernią będącą syntezą czerni, na torbę śmierci będącą apoteozą śmierci.

Lois tylko potrząsnęła głową.

[Nie, nie zagłusza. Wysysa.]

Spojrzała na wrzeszczące czarne coś ze strachem i obrzydzeniem.

[Ta... ta rzecz... wysysa życie ze wszystkiego, co znajduje się obok niej. Próbuje także wysssać życia z nas.]

No tak, oczywiście. Teraz, kiedy Lois wypowiedziała tę myśl głośno, Ralph zdał sobie sprawę, że torba śmierci - lub to, co okrywa - ciągnie za coś zamkniętego w jego głowie, że szarpie, wykręca i pcha... próbuje to coś wyrwać jak ząb z różowego gniazodka w dziąśle.

Próbuje wysssać z nich życie? Ciepło, ale nie gorąco. Nie sądził, by zamknięta w torbie śmierci rzecz pożądała ich życia albo dusz... a w każdym razie nie do końca. Pożądała ich sił życiowych. Ich ka.

Lois odebrała tę jego myśl. Oczy się jej rozszerzyły... i nagle sięgnęła po coś tuż nad jego prawym ramieniem. Klęcząc pochylila się, wyciągnęła rękę...

[Słuchaj, na twoim miejscu... wszystko tu może zwalić się nam na..]

Za późno. Lois wyrwała coś ze ściany, przyjrzała się temu z przerażeniem i wyciągnęła rękę.

[To nadal żyje... wszystko tu nadal żyje! Nie wiem, jak to możliwe, ale jakoś... jakoś jest możliwe. Tylko że śpiew brzmi słabo... dlaczego tak słabo?]

W wyciągniętej ręce trzymała mały biały trampek, z pewnością własność kobiety lub dziecka. Ralph wziął go i usłyszał słaby, cichy i daleki melodyjnie brzmiący szum jak jęk wiatru w chmurne październikowe popołudnie, a jednocześnie nieprawdopodobnie wręcz słodki - prawdziwa odtrutka na brzęczenie torby śmierci.

Ten słodki głos znał. Był tego całkowicie pewien.

Na czubku trampka widniała brązowa plama. Najpierw pomyślał, że to może mleczko

czekoladowe albo coś podobnego, ale potem rozpoznał zaschniętą krew. W tej samej chwili przeniósł się przed „Jabłuszko”, łapał Nat, zanim Helen ją upuściła, widział, jak płaczą się jej nogi, jak się zatacza, opiera o drzwi niczym pijak o latarnię, jak wyciąga do niego ręce.

Daj dzie...dzi. Daj Nataaaa.lie!

Rozpoznał ten głos, ponieważ był to głos Helen. Helen miała wówczas na nogach te właśnie białe trampki, a krew na nich pochodziła albo z jej rozbitego nosa, albo rozciętego policzka.

W powietrzu unosił się słodki śpiew, nie całkiem zakłócony przeciągłym brzęczeniem zamkniętego w torbie śmierci czegoś, i teraz, kiedy jego uszy (czy też to, co w świecie aur służy za uszy) otworzyły się, Ralph słyszał też głosy innych przedmiotów. Śpiewały niczym chór zagubionych dusz.

Żyły i śpiewały.

Mogły śpiewać... wszystkie przedmioty w tych ścianach mogły śpiewać, ponieważ ludzie mogli śpiewać...

Ponieważ ich właściciele żyli!

Ralph rozejrzał się dookoła. Choć były tu rzeczy stare - na przykład saksofon altowy - zdecydowaną większość stanowiły przedmioty całkowicie nowe. Nie zauważył żadnego koła roweru sprzed wieku, za to dostrzegł trzy radia z zegarami - wyłącznie cyfrowymi, zestaw do golenia wyglądający, jakby właściciel nie użył go ani razu, i szminkę, na której nadal widniała nalepka „Szczęścia w pigułce” z ceną.

[Lois, Atropos zabrał to wszystko ludziom, którzy będą dziś wieczorem w centrum, prawda?]

[Tak. Jestem pewna, że tak.]

Wskazał leżący na podłodze czarny kokon, który niemal zagłuszał śpiew... zagłuszał go i żywił się nim.

[/ cokolwiek jest tam, w środku, musi to mieć coś wspólnego z tym, o czym Kloto i Lachesis mówili, że wiąże różne przedmioty... różne życia... splata je w jedno..]

[Czyni z nich ka-tet. Tak.]

Oddał trampek Lois.

[Zabieramy go ze sobą. Należy do Helen.]

[Wiem.]

Lois przez moment przyglądała mu się, a potem zrobiła coś, co uznał za wyjątkowo sprytnie: wyciągnęła sznurówki z dwóch górnych dziurek i przywiązała bucik do lewego nadgarstka, jak bransoletkę.

Ralph podpełzł ku torbie śmierci i przyjrzał się jej uważniej. Trudno mu było zbliżyć się do niej, a jeszcze trudniej zostać blisko - przypominało to trochę próbę przyłożenia ucha do osłony silnika młota pneumatycznego, pracującego na pełnych obrotach, albo spojrzenia w silne światło bez zmruczenia oka. Tym razem miał wrażenie, że w basowym brzęczeniu rozpoznaje słowa, te same, które słyszał, kiedy przekraczali krawędź torby śmierci otaczającej centrum. „Woon. Spieerdala. Zaabiję”.

Przyłożył dłonie do uszu, ale to mu oczywiście nie pomogło. Ten dźwięk nie dobiegał z zewnątrz. Tak się tylko wydawało. Opuścił ręce i spojrzał na Lois.

[Jak myślisz? Co powinniśmy teraz zrobić?]

Nie bardzo wiedział, czego się właściwie po niej spodziewa, ale z pewnością nie oczekiwał szybkiej, zdecydowanej odpowiedzi.

[Rozetnij torbę. Wyjmij to, co ukrywa. Natychmiast. Jest niebezpieczna. Być może wzywa Atroposa - pomyślałeś o tym? A teraz nas zagaduje. Kradnie nam czas. Jak w bajkach.]

Ralph rozważył już tę możliwość, choć nie aż tak barwnie i precyzyjnie. Doskonale, pomyślał. Mam rozciąć opakowanie i wyjąć nagrodę. Ale... nikt mi nie powiedział, jak tego dokonać!

Może promień światła... taki jaki posłał w Atroposa, kiedy ten łysy dupek wzywał przez ulicę Rosalie. Nie, może być z tego więcej szkody niż pożytku. Co się stanie, jeśli trofeum, po które przybyli, zmieni się w parę?

Chyba nie jesteś aż tak silny.

Zgoda, doskonale, sam też nie sądził, że jest aż tak silny... Ale kiedy otaczają cię pamiętki po dwóch tysiącach ludzi, którzy do rana mają być martwi, podejmowanie nawet rozsądnego ryzyka wydaje się raczej kiepskim pomysłem. Wydaje się obłąkanym pomysłem.

Niepotrzebna mi żadna błyskawica, wystarczyłyby ostre nożyce, na przykład takie, jakie mieli Kloto i Lachesis...

Spojrzał na Lois, zaskoczony czystością obrazu.

[Nie wiem, o czym właściwie myślałeś, ale pośpiesz się i zrób coś. Cokolwiek.]

Ralph spojrzał na swoją dłoń - dłoń, z której znikły zmarszczki i zniekształcenia artretyczne, dłoń zamkniętą w kuli niebieskiego światła. Czuł się dość głupio, gdy podwinął palce (oprócz wskazującego i środkowego), myśląc o pamiętanej z dzieciństwa grze: kamień łamie nożyce, nożyce tną papier, papier przykrywa kamień.

Bądźcie nożycami, pomyślał. Potrzebuję nożyc. Pomóżcie mi!

Zerknął na Lois. Lois wpatrywała się w niego z całkowitym spokojem, który wydał

mu się wręcz przerażający. Och, Lois, gdybyś tylko wiedziała, pomyślał i natychmiast odpędził od siebie tę myśl. Przecież coś poczuł. Poczł coś, prawda?

Tym razem nie przywołał słów, lecz obraz - i nie obraz nożyc, których panowie K. i L. użyli na Jimmym V., lecz

nożyczek z koszyczka z robótkami matki: długich, wąskich, spiczastych, o czubkach ostrych jak brzytwa. Skoncentrował się jeszcze bardziej i zdołał nawet przeczytać słowa wygrawerowane na metalu tuż pod spajającą ostrza śrubą: SHEFFIELD STEEL. I znów poczuł coś w głowie, nie mrugnięcie jednak, lecz ruch kurczącego się, a potem rozciągającego powoli niesłychanie potężnego mięśnia. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w palce; wyobrażał sobie, jak nożyce najpierw otwierają się i zamykają, a równocześnie rozdzielił i połączył palce, tworząc z nich zwężające się i rozszerzające „V”.

Teraz z kolei poczuł, jak w głowie gromadzi mu się energia zaczerpnięta od Nirwanowca i pijaczka, i jak - niczym kurz - sływa po ramieniu na dłoń.

Aura otaczająca wskazujący i środkowy palec skupiła się... wydłużyła. Przyjęła kształt dwóch ostrzy nożyczek. Ralph zaczął, aż sięgnie jakichś dziesięciu centymetrów licząc od czubków paznokci, po czym zsunął i rozsunął palce. Ostrza otworzyły się i zamknęły.

[Już, Ralph. Zrób to!]

Oczywiście, nie mógł pozwolić sobie na dalszą zwłokę i eksperymenty. Był trochę jak akumulator, któremu kazano zapalić o wiele dla niego za wielki silnik. Nagle poczuł, że energia (cała jego własna i cała pożyczona po drodze) sływa po ramieniu na dłoń... i dalej.

Nie wystarczy mu jej na długo.

Pochylił się z palcami zwartymi w takim geście, jakby coś wskazywał, i zanurzył czubek nożyc w torbie śmierci. Tak bardzo skoncentrował się najpierw na ich stworzeniu, a później utrzymaniu, że przestał słyszeć niskie, ochryple brzęczenie - no, przynajmniej świadomie - lecz gdy powierzchnia torby śmierci została naruszona, bolesny wrzaskliwy krzyk przeszedł nagle na inną częstotliwość. Ralph dostrzegł gęstą czarną substancję ściekającą na podłogę; wyglądała jak smarki niebezpiecznie, wręcz śmiertelnie chorego. Jednocześnie konieczny na utrzymanie nożyc wydatek energetyczny zwiększył się mniej więcej dwukrotnie. Zdał sobie też sprawę, że widzi tę energię; aura wędrowała mu ramieniem na dłoń powolnymi, leniwymi falami. Widział też, jak ciemniała wokół całej reszty jego ciała, w miarę jak robiło się jej coraz mniej.

[Pośpiesz się! Pośpiesz się!]

Z wielkim, wręcz ogromnym wysiłkiem Ralph rozwarł palce. Rozwarły się także świecące, błękitne ostrza i w czarnym jaju

pojawiło się nacięcie. Wrzasnęło, po powierzchni torby przemknęły błyskawice czerwonego światła. Ralph zwarł palce i patrzył, jak ostrza zamykają się, tnąc dalej gęstą czerń, na pół ciało, na pół skorupę. Krzyknął. Nie czuł bólu, raczej straszliwe, paraliżujące zmęczenie. Tak musi się czuć ktoś wykrwawiający się na śmierć, pomyślał.

Wewnątrz torby coś błyszczało złotem.

Zebrał wszystkie pozostałe mu *jeszcze* siły i spróbował rozewrzeć palce. Najpierw sądził, że to się nie może udać - miał wrażenie, że skleił je jakiś superklej - lecz po chwili jednak mu się udało i rozcięcie rozszerzyło się wyraźnie. Już niemal widział to coś zamknięte w torbie: małe, okrągłe, błyszczące. Przecież to musi być... - pomyślał i nagle serce przestało mu bić. Błękitne ostrza błysnęły i zgasły.

[Lois! Pomóż!]

Lois złapała go za przegub. Wypełniła go fala świeżej siły. Zafascynowany patrzył, jak nożyce błyskają nowym światłem. Tylko że teraz jedno ostrze miały niebieskie, drugie perłowszare.

Z głębi głowy dobiegł go krzyk Lois:

[Tnij! Już!]

Znów zwarł palce i tym razem ostrza całkowicie rozcięły torbę śmierci. Krzyknęła po raz ostatni drżącym, przenikliwym krzykiem, rozbłysła czerwienią i znikła. Znikły także wyrastające mu z palców ostrza. Ralph na moment zamknął oczy i uświadomił sobie, że po policzkach ściekają mu wielkie krople potu, jak łzy. Pod powiekami widział jeszcze szalone resztki ostatnich obrazów - tańczące nożyce.

[Lois? Nic ci niejestT]

[Nie. Czuję się... taka... wyczerpana. Nie wiem, jakim cudem wrócę do tych stopni pod dębem, że już nie wspomnę, że trzeba się na nie wspiąć.]

Ralph otworzył oczy, oparł dłonie na kolanach i pochylił się. Na podłodze, w miejscu gdzie jeszcze przed chwilą była torba śmierci, leżała męska obrączka. Z łatwością odczytał wygrawerowane wewnątrz litery: HD-ED 8-5-87.

Helen Deepneau i Edward Deepneau. Poślubieni piątego sierpnia 1987 roku.

A więc po to przybyli. Pamiątka po Edzie!

Pozostało już tylko podnieść ją... wsadzić do kieszonki na zegarek... *znaleźć* kolczyki Lois... i wynieść się stąd w cholerę.

Kiedy sięgał po obrączkę, przyszedł mu do głowy fragment wiersza - tym razem nie Stephena Dobynsa, lecz J. R. R. Tolkiena, wynalazcy hobbitów, o których myślał, siedząc w małym, przytulnym, obwieszonym rodzinnymi zdjęciami saloniku Lois. Minęło niemal

trzydzieści lat od czasu, gdy po raz ostatni czytał opowieść o Frodzie, Gandalfie i Sauronie Czarnym Władcy, opowieść, w której wielką rolę grał (co uświadomił sobie dopiero teraz) podobny przedmiot, lecz wiersz pojawił mu się w głowie tak czysty i jasny, jak przed chwilą ostrza nożyc.

Jeden by wszystkimi rządzić, jeden, by wszystkie odnaleźć, Jeden, by wszystkie zgromadzić i w ciemności zwięzać, W krainie Mordor, gdzie zaległy cienie.

Nie zdołam go podnieść, pomyślał. Będzie tak ściśle związany z kołem ka, jak Lois i ja, i nie zdołam go podnieść. Albo to, albo okaże się, na przykład, że jest jak przewód pod wysokim napięciem, i padnę trupem, nie zdając sobie nawet sprawy, kiedy umarłem.

Lecz przecież nie wierzył, by coś takiego mogło się zdarzyć. Jeśli nie jest zdolny podnieść obrączki, to dlaczego otaczała ją torba śmierci? Gdyby nie był zdolny jej podnieść, to dlaczego siły stojące za panami K. i L. (i Dorrance'em, nie wolno mu zapomnieć o Starym Dorze) w ogóle wysłałyby jego i Lois do kryjówki Atroposa?

Jeden, by wszystkimi rządzić, jeden, by wszystkie odnaleźć, pomyślał i zamknął palce na obrączce Eda. Przez chwilę czuł potężny, przenikliwy ból w dłoni, nadgarstku i ramieniu, a jednocześnie śpiewające cicho głosy rzeczy zgromadzonych przez Atroposa uniosły się w melodyjnym krzyku.

Z gardła wydarł mu się jakiś dźwięk - być może krzyk, być może tylko jęk - i Ralph uniosł zaciśniętą dłoń. Poczucie zwycięstwa, jak wino, popłynęło mu wraz z krwią i...

[Ralph.]

Spojrzał na Lois, Lois jednak nie patrzyła na niego, lecz na podłogę, tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżała obrączka Eda, w jej oczach zaś widział strach i zdumienie.

Tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżała obrączka Eda... i tam, gdzie nadal leżała obrączka Eda... bo obrączka Eda leżała jak przedtem, dokładnie w tym samym miejscu, lśniąca złotem, z wygrawerowanymi wewnątrz literami HD-ED 8-5-87.

Ralph poczuł przelotny zawrót głowy i opanował się z największym wysiłkiem. Rozwarł palce, spodziewając się, że obrączki w nich nie ma, choć co innego mówiły mu zmysły, lecz obrączka nadal leżała na jego dłoni, otaczając miejsce, w którym rozdzielają się linia życia i linia miłości i odbijając złowrogie czerwone światło obrzydliwej kryjówki Atroposa. HD-ED 8-5-87.

Obie obrączki wydawały się identyczne.

8

Jedną trzymał w ręku, druga leżała na podłodze i nie było między nimi żadnej, najmniejszej nawet widocznej różnicy.

Lois wyciągnęła dłoń po obrączkę, która zastąpiła obrączkę leżącą mu na dłoni, zawahała się, a potem chwyciła ją mocno i podniosła. Na ich oczach tuż nad klepiskiem pojawił się krąg złotego światła, formujący trzecią obrączkę. I na niej wygrawerowane było HD-ED 8-5-87.

Ralphowi przypomniała się kolejna książka, nie Tolkiena jednak, lecz Dr. Seussa; czytał ją dziecku siostry Carolyn, gdzieś w latach pięćdziesiątych. Wiele czasu upłynęło od tej chwili, ale nigdy nie zapomniał opowiadania, dużo bardziej poważnego i mrocznego niż seussowskie dźwięczne nonsensy o szczurach, żabach i nieszczęsnych krabach. Opowiadanie nazywało się „Pięćset kapeluszy Bartholomew Cubbinsa” i chyba nic dziwnego, że przypomniało mu się akurat teraz.

Biedny Bartholomew Cubbins był prostaczkiem, wieśniakiem z dalekiej prowincji. Miał pecha, bo znalazł się w wielkim mieście, przez które właśnie przejeżdżał król. Przed osobą tak dostojną należało, oczywiście, zdjąć kapelusz, Bartholomew wiedział o tym doskonale i bardzo się starał. Lecz starał się bezskutecznie, bo za każdym razem, kiedy zdjął kapelusz, na jego głowie pojawiał się kolejny, identyczny.

[Ralph, co się dzieje? Co to właściwie znaczy?]

Potrząsnął głową w milczeniu, jego oczy biegały od obrączki, którą trzymał w dłoni, do obrączki, którą trzymała Lois, i do obrączki, która leżała na podłodze; wszystkie trzy identyczne, dokładnie jak kapelusze, które Bartholomew Cubbins po kolei zdejmował z głowy. Ralph pamiętał, że biedny wieśniak starał się uszanować dobre obyczaje nawet wtedy, gdy kat prowadził go po schodach na miejsce, gdzie miał ponieść karę za zbrodnię obrazy majestatu...

Nie, niezupełnie tak. Przecież po pewnym czasie kapelusze na głowie biednego Bartholomew zaczęły się zmieniać, były coraz bardziej ozdobne i piękne.

Czy obrączki rzeczywiście są identyczne, Ralph? Jesteś tego pewien?

Nie, chyba nie był tego całkowicie pewien. Kiedy podniósł pierwszą, ostry, chwilowy - jakby reumatyczny-ból przeszył mu ramię, drugą jednak Lois podniosła bez żadnych szczególnych wrażeń.

I głosy - nie słyszałem ich krzyku, kiedy podnosiła swoją!

Ralph pochylił się i podniósł trzecią obrączkę. Nie poczuł bólu i nie usłyszał krzyku przedmiotów tworzących ściany pomieszczenia... nadal śpiewały cicho. Tymczasem na miejscu trzech poprzednich zmaterializowała się czwarta obrączka, jak kolejny kapelusz na głowie biednego Bartholomew Cubbinsa, lecz Ralph nawet na nią nie spojrzał. Patrzył na pierwszą obrączkę, leżącą mu na dłoni w miejscu, gdzie rozchodziły się linia życia i linia

miłości.

Jeden by wszystkimi rządzić, jeden, by wszystkie zgromadzić, pomyślał. I moim zdaniem ty nim jesteś, skarbie. Reszta to tylko cwane podróbki.

A może istnieje jakiś sposób, by to sprawdzić?

Ralph przyłożył do uszu obie obrączki. Ta w lewej ręce milczała, ta w prawej, którą wyjął z torby śmierci, promieniowała echem jej ostatniego, śmiertelnego krzyku.

Ta w jego prawej ręce żyła.

[Ralph.]

Dłoń na ramieniu, chłodna, drżąca. Ralph spojrział na nią, po czym niedbale rzucił przez ramię obrączkę z lewej ręki. Tę z prawej podniósł do oka. Widział przez nią niczym przez teleskop napiętą, przedziwnie młodą twarz Lois.

[Ta jest prawdziwa. Inne chyba tylko podkreślają jej wartość, jak zera w jakimś skomplikowanym równaniu]

[Chodzi ci o to, że nic nie znaczą?]

Ralph zawahał się nie wiedząc, co odpowiedzieć... ponieważ wszystkie kolejne obrączki coś jednak znaczyły. Nie wiedział, jak przełożyć na słowa to, co intuicyjnie rozumiał bez problemu. Jak długo fałszywe obrączki pojawiały się w tym pomieszczeniu niczym kapelusze na głowie Bartholomew Cubbinsa, tak długo przyszłość, reprezentowana przez rozpostartą nad centrum torbę śmierci, pozostawała jedyną możliwą przyszłością. Lecz pierwsza obrączka, którą Atropos skradł z palca Eda

(być może wtedy, gdy spał on obok Helen w ślicznym domku w stylu Cape Cod, który stał teraz pusty) - od tej obrączki zależało wszystko.

Jej repliki służyły tylko zachowaniu ka, dokładnie tak jak koncentryczne, wybiegające z jednego miejsca szprychy służą zachowaniu kształtu koła. Oryginał jednak...

Ralph miał wrażenie, że oryginał jest tym miejscem, z którego wybiegają szprychy. *Jeden, by wszystkie złączyć.*

Ścisnął obrączkę mocno i poczuł, jak jej ostry brzeg wbija mu się w ciało. Schował ją do kieszonki na zegarek.

Jednej rzeczy o ka nam nie powiedzieli. Jest śliskie. Śliskie jak stara obrzydliwa ryba, która nie da się zdjąć z haczyka, tylko niezmordowanie wije ci się w rękę.

Przypominało także trochę wspinanie się na wydnię, kiedy na każde dwa kroki do przodu człowiek ześlizguje się jeden krok do tyłu. Pojechali do schroniska „Na Zboczu” dokonać czegoś - i choć nie wiedzieli czego, Dorrance zapewnił, że przynajmniej według niego, tego nieznanego czegoś dokonali. Teraz przyszli tu i znaleźli obrączkę Eda, ale i to nie

było wszystko. A dlaczego? Bo ka jest jak śliska ryba, ka jest jak piaszczysta wydma, ka jest jak koło, które wcale nie chce się zatrzymać, tylko toczy się, toczy, toczy, krusząc wszystko, co napotka na swej drodze. Koło o wielu szprychach.

Lecz najbardziej z tego wszystkiego ka przypomina, być może, obrączkę.

Ślubną obrączkę.

Zrozumiał nagle to, czego nie były mu w stanie przekazać słowa Klota i Lachesisa, wypowiedziane na dachu szpitala, i słowa Dorrance'a, wypowiedziane w samochodzie: to, że Ed nie był przypisany ani do Celu, ani do Przypadku, w połączeniu z faktem, że Atroposowi udało się Eda znaleźć, obdarzyło tego nieszczęsnego, chorego człowieka wielką mocą. Otwarły się wrota, a przez otwarte wrota przeszedł demon nazywany Karmazynowym Królem, demon mocniejszy niż Kloto, niż Lachesis, niż Atropos, mocniejszy od nich wszystkich. I nie zamierzał pozwolić, by powstrzymał go jakiś Stary Piernik z Derry imieniem Ralph.

{Ralph?}

[Jeden, by wszystkimi rządzić, Lois. Jeden, by wszystkie odnaleźć.]

[O czym ty mówisz? Co to znaczy?]

Poklepał się po kieszeni. Wyczuł małą, lecz wyraźną wypukłość. Obrączka. Wyciągnął rękę, położył na jej ramieniu.

[Te zastępcze, te fałszywe obrączki są szprychami, ale ta nie. Ta jest osią. Zabierz oś, a koło nie będzie się obracać.]

[Jesteś pewien?]

Oczywiście, tego był całkowicie pewien. Tylko jeszcze nie wiedział, jak zabrać oś!

[Tak. A teraz idziemy. Wynośmy się stąd, póki jesteśmy w stanie!]

Lois przepętlęła pod zawałonym pieniędzmi stołem jako pierwsza, Ralph opadł na kolana i ruszył za nią. W połowie drogi zatrzymał się i obrócił. Dostrzegł coś dziwnego i przerażającego: choć brakowało owego obrzydliwego niskiego brzęczenia, torba śmierci odbudowywała się nad zastępczą obrączką. Jej blask przyćmiony był tak bardzo, że prawie niewidoczny.

Patrzył na nią przez kilka sekund, zafascynowany, niemal zahipnotyzowany, a potem z wysiłkiem oderwał oczy od przerażającego widoku i popętlęł za Lois.

Bał się, że stracą mnóstwo czasu szukając powrotnej drogi w labiryncie korytarzy przedziwnego magazynu Atroposa, ale okazało się, że nie było z tym najmniejszego kłopotu. Znaleźli swoje własne ślady, blednące, lecz nadal widoczne.

Kiedy już zostawili za sobą to straszne małe wnętrze, on sam poczuł przyływ siły,

Lois jednak słabła wyraźnie - do tego stopnia, że kiedy znaleźli się pod łukiem, który oddzielał magazyn od obrzydliwej sypialni, musiał ją podpierać. Spytał, jak się czuje, a ona tylko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się słabym, zmęczonym uśmiechem.

[To dlatego, że wciąż tu jesteśmy. Nie ma przecież znaczenia, jak wysoko się wzniesiemy, to miejsce na zawsze pozostanie obrzydliwe i nigdy nie przestanę go nienawidzić. Wystarczy odrobina świeżego powietrza i wszystko będzie dobrze. Obiecuję]

Ralph miał nadzieję, że Lois się nie myli. Przechodząc pod łukiem próbował znaleźć pretekst, by wysłać ją przodem i gdy się oddali, szybko przeszukać sypialnię. Jeśli przeszukanie nic nie da, będzie musiał założyć, że Atropos nadal ma kolczyki w uszach.

Zauważył, że majtki znów wyglądają spod spódnicy i właśnie otwierał usta, by zwrócić jej na to uwagę, gdy kątem oka pochwycił jakiś ruch. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że

w drodze powrotnej byli znacznie mniej ostrożni - trochę zapewne z powodu zmęczenia - i być może teraz przyjdzie im za to zapłacić. Drogo zapłacić.

[Lois, uważaj!]

Za późno. Ralph poczuł, jak jej ramię wyslizguje mu się spod dłoni. To złapał ją w pasie i odciągnął niski stwór z wyszczerzonymi zębami. Atropos sięgał głową zaledwie pod pachę Lois, ale i to wystarczyło, by zardzewiały skalpel znalazł się nad jej głową. A kiedy Ralph instynktownie skoczył ku niemu, szalony doktor przyłożył go do perłowszarej, wznoszącej się z czubka głowy Lois wstążki. Szczerzył zęby w ohydny uśmiech.

[Ani kroku dalej, Krótki... ani kroku!]

Cóż, przynajmniej skończyły się kłopoty z poszukiwaniem Zbłąkanych Kolczyków. Błyszczały brudnym, różowoczarnym światłem w małych uszach Atroposa. Ralpa powstrzymał bardziej ich widok niż ostrzegawczy krzyk.

Skalpel cofnął się odrobinę... ale tylko odrobinę.

[A teraz, Krótki... przed chwilą coś mi ukradliście. Prawda? Nie próbuj zaprzeczać, przecież wiem. Zaraz mi to oddasz.]

Skalpel powrócił ku wstążce Lois, Atropos pogładził ją płaską stroną ostrza.

[Albo oddasz, coś ukradł, albo ta suka umrze na twoich oczach. Będziesz stał i patrzył, jak worek czernieje wokół niej. To co powiesz, Krótki? No, oddawaj co nie twoje!]

Rozdział 7

Uśmiech Atroposa promieniał wstrętną radością zwycięstwa i...

Strachem. Złapał nas w potrzask, trzyma skalpel przy wstążce Lois, trzyma dłoń na jej gardle, lecz mimo to śmiertelnie się boi. Czego?

[No już! Nie traćmy czasu, ty dupku! Oddawaj obrączkę!]

Ralph sięgnął powoli do kieszonki na zegarek i ujął obrączkę w palce, zastanawiając się, dlaczego Atropos nie zabił Lois od razu. Przecież na pewno nie miał zamiaru jej wypuścić... Nie miał zamiaru wypuścić ich obojga.

Boi się, że uderzę go tym moim telepatycznym ciosem karate. Ale nie tylko tego, a nawet nie przede wszystkim tego. Przede wszystkim boi się spieprzyć sprawę. Boi się rzeczy - istoty - która nim kieruje. Boi się Karmazynowego Króla. Szefa się boisz, co, ty mój obrzydliwy mały przyjacielu?

Wyjął obrączkę i trzymając ją między kciukiem i palcem wskazującym, znów przez nią spojrzął.

[Chodź i weź ją sobie. Taki jesteś nieśmiały?]

Wściekłość wykrzywiła twarz Atroposa, a jego tryumfalny uśmiech twardziela zmienił się w komiksowy grymas gniewu.

[Zabiję ją, Krótki. Słyszysz? Tego chcesz?]

Ralph podniósł lewą dłoń powoli, z namaszczeniem. Machnął nią i z przyjemnością dostrzegł, jak Atropos się kuli.

[Jeśli choćby ją skaleczysz, dostaniesz taką dawkę, że scyzorykiem będziesz wydłubywał zęby ze ściany! Szczerze ci to obiecuję!]

[Oddawaj obrączkę. Krótki.]

Nie mogą kłamać, pomyślał nagle Ralph. Nie pamiętam, czy ktoś mi to powiedział, czy sam się domyśliłem, ale jestem pewien, że nie mogą kłamać. Ja natomiast mogę.

[Coś panu powiem, panie A. Zawrzemy układ i oddam ją panu, iv porządku?]

Atropos przyglądał mu się spojrzeniem pełnym powątpiewania i podejrzliwości.

[Układ? Jaki układ?]

[Ralph, nie!]

Zerknął na Lois, a potem na Atroposa. Podniósł lewą rękę, by podrapać się po policzku, nie zważając, jak ten gest odbierze mały doktor. Skalpel nagle znów znalazł się

przy wstążce Lois. Tym razem nawet lekko ją wgniół, a w miejscu dotknięcia pojawiła się ciemna plama, wyglądająca jak podbiegły krwią pęcherz. Na czole łysego doktora nr 3 zaperliły się wielkie krople potu; kiedy przemówił, wrzeszczał ochryple w panice:

[Nie wolno ci rzucać na mnie tych cholernych tandetnych piorunów! Twoja baba umrze, jeśli spróbujesz!]

Ralph natychmiast opuścił rękę, a potem splótł dłonie za plecami, jak grzeczne dziecko. W prawej nadal trzymał obrączkę Eda; niemal bezwiednie wsunął ją teraz do tylnej kieszeni spodni. Dopiero wtedy nabrał całkowitej pewności, że nie ma zamiaru się z nią rozstać. Nawet za cenę życia Lois - nawet za cenę życia ich obojga - nie miał zamiaru rozstać się z obrączką.

Ale może nie trzeba będzie płacić tej ceny.

[Układ oznacza, że obydwaj odejdziemy sobie spokojnie, panie A. Ja oddaję panu obrączkę, pan oddaje mi przyjaciółkę. Musi mi pan tylko obiecać, że jej pan nie skrzywdzi. No i co?]

[Nie, Ralph, nie!]

Atropos nie odezwał się jednak ani słowem. Gapił się tylko na Ralph a z pełną strachu i nienawiści bezradnością. Jeśli kiedykolwiek pragnął umieć skłamać, to - zdaniem Ralph - nigdy aż tak bardzo jak dzisiaj. Przecież wystarczyłyby zaledwie dwa słowa: „Dobra, załatwione” i piłka byłaby po stronie przeciwnika. Lecz nie mógł tego powiedzieć, bo nie mógł tego zrobić.

Wie, że wpadł w obrzydliwe gówno. Dla niego to przecież bez znaczenia, czy przetnie wstążkę, czy pozwoli nam odejść - na pewno myśli, że usmażę go żywcem bez względu na okoliczności... i wcale się nie myli.

A tak naprawdę, to co jesteś w stanie mu zrobić, skarbie? - Z miejsca, które zajęła w jego głowie, rozległ się pełen powątpiewania głos Carolyn. ile zostało ci pary po rozcięciu torby śmierci wokół obrączki?

Odpowiedź brzmiała niestety: Niewiele. Może tyle, by oparzyć łysą pałę, ale z pewnością nie tyle, by ugotować ją na twardo.

I nagle Ralph dostrzegł coś, co wcale mu się nie podobało. Hysteryczny wręcz, paniczny uśmiech Atroposa zmieniał się, nabierał powoli ostrożnego optymizmu, a szalone ślepie zachłannie lustrowały jego ciało: twarz, ręce, ale przede wszystkim aurę. Oczami wyobraźni zobaczył nagle mechanika w kombinezonie, wyciągającego miarkę i sprawdzającego poziom oleju w silniku.

Zrób coś - błagała go wzrokiem Lois. - Proszę, zrób coś!

A on nie wiedział, co zrobić. Po prostu zabrakło mu konceptu.

W uśmiechu Atroposa pojawiła się sadystyczna radość.

[Nie jesteś naładowany, Krótki, co?]

[Zrób Jej krzywdę, to się przekonasz, ty gówniany kurdupelku.]

Atropos uśmiechnął się jeszcze szerzej.

[Tym, co masz, nie podkułbyś szczura. Bądź dobrym chłopcem i daj mi obrączkę, zanim...]

[Och, ty sukinsynu!]

Te ostatnie słowa wysyczała Lois. Lois nie patrzyła już na Ralpa, lecz w wiszące na przeciwległej ścianie lustro, w którym gospodarz sprawdzał urodę kolejnych modnych dodatków do brudnego fartucha: chusty Rosalie, powiedzmy, albo kapelusza Billa McGoverna. Lois oczy miała rozszerzone, wściekłe; Ralph wiedział, co zobaczyła.

[To moje, ty śmierdzący, wstrętny złodzieju!]

Gwałtownie rzuciła się do tyłu, ciężarem własnego ciała miażdżąc Atroposa. Rąbnął o łuk i sieknął ciężko. Uniesiona dłoń odskoczyła, skalpel zeszkrobał ze ściany trochę brudu. Lois już stała przodem do niego, twarz miała skrzywioną jak furia i do tego stopnia nie przypominała „tej naszej Lois”, że gdyby Bill McGovern ją teraz zobaczył, pewnie by zemdłał. Paznokciami orała policzki szalonego doktora, próbując złapać kolczyki. Skaleczyła go nawet; Atropos pisnął jak pies, któremu ktoś nadepnął na łapę, złapał ją w tali i odwrócił. Uniósł skalpel, gotów ciąć...

Ralph wyprostował palec wskazujący i wykonał nim taki ruch, jakby kogoś upominał. Z paznokcia trysnął promień

bladego, prawie niewidzialnego światła, uderzył w skalpel i odtrącił go od wstążki Lois... ale tylko na moment. To wszystko, na co było stać Ralpa. W jego prywatnej zbrojowni po prostu zabrakło broni.

Atropos szczyrzył do niego zęby znad ramienia miotającej się w jego uścisku Lois, Lois zaś wcale nie chciała wyrwać się z tych objęć, próbowała raczej odwrócić się i zaatakować. Usiłowała jeszcze raz uderzyć Atroposem o łuk i nogi spod niej uciekły. Ralph padł na kolana, wyciągając ręce i nie mając najmniejszego pojęcia, do czego *zmierza*.. Wyglądał w tej pozycji jak ktoś, kto wręcz oszalał z miłości i oświadcza się swej wybrance w niezwykle dramatyczny sposób, omal przy tym nie obrywając - Lois machała nogami i prawie trafiła go w grdykę. Wykorzystując tę nieoczekiwaną okazję, Ralph złapał za rąbek majtek. Nylon z szelestem zsunął się po ciele Lois. Nie protestowała, zbyt zajęta wrzeszczeniem na szalonego doktora.

[Ty wstrętny mały złodzieju. A masz, masz! Jak ci się to podoba?]

Atropos wrzasnął z bólu, a kiedy Ralph podniósł wzrok, dostrzegł zęby zatopione w jego prawym nadgarstku. Wzniesioną i trzymającą skalpel lewą ręką doktorek wymachiwał na ślepo, centymetry zaledwie od wstążki balonowej Lois. Ralph zerwał się na równe nogi i - nadal nie zdając sobie sprawy z tego, co właściwie robi - narzucił różowe majtki Lois na rękę ze skalpelem... i łąsą pałą szaleńca.

[Uciekaj, Lois! Już!]

Lois wypluła małą białą rączkę i zatoczyła się ku okrągłemu stołowi z beczki, stojącemu pośrodku izby. Z atawistycznym obrzydzeniem wytarła z warg krew Atroposa, lecz na jej twarzy nadal królował gniew. Sam Atropos, na razie unieszkodliwiony majtkami, wijący się i wymachujący skalpelem, wyciągnął wolną rękę, próbując ją złapać. Ralph odtrącił jego dłoń i cisnął go na łuk.

[A guzik, przyjacielu... guzik, guzik, guzik!]

[Puść mnie! Puść mnie, sukinsynu! Nie wolno ci tego robić!]

Zdumiewające, ale on chyba naprawdę w to wierzy! Tak długo wszystko szło po jego myśli, że nie pamięta już, do czego są zdolni Krótkoterminowi. Już ja mu odświeżę pamięć.

Ralph przypomniał sobie, że łysek przeciął wstążkę Rosalie już po tym, jak pies polizał go w rękę, i nienawiść do tej pewnej siebie, mściwej i kompletnie szalonej istoty rozblęła

mu w głowie jak zielona flara. Złapał majtki Lois i dwukrotnie owinał je sobie wokół nadgarstka - rysy Atroposa oblepił różowy nylon i wyglądał jak pośmiertna maska - a potem, kiedy ostrze skalpela znalazło się niebezpiecznie blisko, obrócił się wokół osi, używając majtek jak Dawid procy, i puścił je.

Dla Atroposa zdecydowanie lepiej byłoby, gdyby upadł, ale nie upadł; stopy zderzyły mu się wprawdzie, lecz nie splątały. Z łomotem walnął w kamień naprzeciw łuku, krzyknął z bólu zduszonym (oczywiście) głosem, upadł na kolana. Na majtkach Lois, niczym płatki kwiatu, ukazały się krople krwi. Skalpel znikł w rozdęciu materiału.

Ralph skoczył na doktorka, gdy tylko skalpel znów się pojawił i nieco wydłużył cięcie, uwalniając łysy czerep i zdumioną gębę z wybałuszonymi oczami. Z nosa łyska ciekła krew, krew ciekła mu także z czoła i z prawej skroni. Nim zdołał wstać, Ralph - przez śliskie majtki - złapał go za ramiona.

[Przestań! Ostrzegam cię, Krótki! Będziesz żałował, że w ogóle..]

Zignorował bezsensowne groźby i pchnął karzełka - mocno. Z ramionami uwięzionymi w majtkach karzełek nie miał się jak podeprzeć i padł na klepisko wprost na

pysk. Wrzasnął - częściowo ze zdumienia, ale głównie z bólu. Dziwne, ale w tej samej chwili w głowie Ralpa rozległ się głos Lois, która błagała, by przestał, by nie robił mu krzywdy - by nie robił krzywdy niewyrośniętemu psychopacie, który przed chwilą próbował ją zabić!

Atropos usiłował wstać. Ralph wymierzył mu kopniaka w plecy, znów rozciągając go płasko na podłodze.

[Nie ruszaj się, przyjacielu. Tytko tak naprawdę mi się podobasz.]

Spojrzał na Lois. Jej furia przeminęła równie nagle, jak się pojawiła, niczym jakiś meteorologiczny fenomen - powiedzmy tornado, spadające z błękitnego nieba, zrywające dach stodoły i znikające, jakby go nigdy nie było. Wskazywała Atroposa palcem.

[Ma moje kolczyki. Ten wstrętny mały złodziej ma moje kolczyki! I on je nosi!]

[Wiem. Widzę.]

Połowa wyszczerzonej gęby Atroposa pojawiła się w rozcięciu w majtkach - wyglądał trochę jak najpotworniejsze dziecko świata w momencie porodu. Ralph czuł też, jak pod

kolanem drżą mięśnie karku, bo doktorek rozpaczliwie próbuje się uwolnić. Przypomniał sobie stare przysłowie, które przeczytał gdzieś niedawno... może na pudełku ekspresowych herbatkach? Brzmiało ono: „Ktoś, kto złapał tygrysa za ogon, nie ośmieli się go puścić”. Tu, w głębi niesamowitej dziury w ziemi, czując się jak postać z bajki napisanej przez najautentyczniejszego szaleńca, Ralph osiągnął coś w rodzaju boskiego wręcz zrozumienia tego przysłowia. Nagły napad wściekłości Lois w połączeniu z jego prostym i dumnym farterem doprowadził do ich - niewątpliwie chwilowej - przewagi nad pieprzniętym kurdupelkiem. Pytanie brzmiało: co dalej? I domagało się natychmiastowej odpowiedzi.

Lewa ręka pieprzniętego kurdupelka machnęła skalpelem, ale słabo i całkiem na ślepo, więc Ralph nie miał najmniejszego kłopotu z unikaniem. Szlochający, przeklinający, nie znający strachu nawet w tej sytuacji, ale najwyraźniej nadwerężony i cholernie - choć beznadziejnie - wkurzony Atropos znów machnął skalpelem.

[Puść mnie, ty przerośnięty krótkoterminowy sukinsynu! Głupi stary siwku! Pomarszczony potworze!]

[Na pewno wyglądam lepiej niż ty teraz, przyjacielu. Czyżby umknęło to twojej uwagi?]

[Pierniki Dupek! Durny krótkoterminowy pierdola! Jeszcze pożałujesz! Długo będziesz żałował!]

No, cóż, pomyślał Ralph. Przynajmniej nie błaga o litość! Właściwie chyba miałem nadzieję, że zacznie błagać.

Atropos nadal słabo wymachiwał skalpelem, ale Ralphowi udało się uniknąć kontaktu z jego ostrzem. Dłonią sięgnął do gardła doktora.

Lois: *[Ralph! Nie! Nie!]*

Potrząsnął głową sam nie wiedząc, czy daje tym wyraz gniewowi, czy też dodaje Lois odwagi - może jedno i drugie? Dotknął nagiej skóry Atroposa, który zadrżał, wydając z siebie zduszony krzyk obrzydzenia. Ralph miał niejakie pojęcie, jak się czuje; doświadczenie to było równie przykre dla nich obu. Nie cofnął jednak dłoni, lecz spróbował je zamknąć na jego gardle... i bez przesadnego zdumienia skonstatował, że to niemożliwe. Lecz czy Lachesis nie stwierdził przypadkiem, że Krótkoterminowi mogą sprzeciwić się woli Atroposa? Zdaje się, że rzeczywiście, stwierdził. Pytanie tylko - jak?

Leżący pod nim szalenciec roześmiał się nieprzyjemnie.

[Ralph, proszę! Proszę, odbierz mu moje kolczyki i chodźmy stąd!]

Atropos wytrzeszczył na nią oczy, a potem spojrzał na Ralpa.

[Myślałeś, że zdołasz mnie zabić, Krótki? No, to już wiesz.]

Nie, Ralph nie brał pod uwagę tej możliwości. Wziął ją pod uwagę dopiero teraz.

[Cholerne jest to życie, nie, Krótki? Dlaczego po prostu nie oddasz mi obrączki? I tak odbiorę ci ją prędzej czy później, możesz mi wierzyć na słowo.]

[Pieprz się, tysy półgłówku.]

Twarda gadka, ale twarda czy nie, gadka to w końcu tylko gadka. Najważniejsze pytanie nadal pozostawało bez odpowiedzi.

Co, do cholery, zrobić z tym potworem?

Cokolwiek miałbyś z nim zrobić, nie zrobisz tego przy Lois, która stoi i gapi się na ciebie - ostrzegł go zimny głos, nie do końca przypominający głos Carolyn. Kiedy się wściekła, była w porządku, ale przestała się już wściekać, a ma zbyt miękkie serce, żeby być świadkiem tego, co się zacznie dziać za chwilę. Musisz się jej pozbyć.

Ralph spojrzał na Lois: oczy półprzymknięte, wygląda na to, że za chwilę osunie się po ścianie, usiądzie na podłodze i zaśnie., *[Lois, chcę, żebyś się stąd wyniosła. Już, teraz. Wejdź po schodach i zaczekaj na mnie przy drze...]*

Skalpel mignął mu przed oczami, tym razem niebezpiecznie blisko nosa. Ralph uchylił się i kolano obsunęło mu się po śliskim nylonie. Atropos wyprężył mięśnie i prawie się uwolnił; dosłownie w ostatniej chwili Ralph zdołał przycisnąć mu głowę do ziemi - na to zasady najwyraźniej mu pozwalały - i umieścić kolano na właściwym miejscu.

[Auuu! Auuu! Przestań! Zabijesz mnie!]

Zignorował jego wrzaski. Patrzył na Lois.

[Idź już. No idź! Przyjdę jak najszybciej.]

[Nie dam rady wspiąć się na schody bez pomocy... jestem zbyt zmęczona.]

[Dasz radę. Musisz wyjść sama i dasz radę.]

Atropos przestał się szarpać - przynajmniej na razie - Ralph miał jednak wrażenie, że przyciska kolanem pracujący na wysokich obrotach silniczek. Doskonale, ale przecież do niczego to nie prowadzi. Czas mija, mija szybko i teraz czas jest ich największym wrogiem, nie Ed Deepneau.

[Kolczyki...]

[Przyniosę je ze sobą. Obiecuję, Lois.]

Dzięki nadludzkiemu wręcz wysiłkowi woli Lois zdołała się wyprostować. Patrzyła na niego poważnie.

[Nie powinienes go krzywdzić, Ralph, jeśli nie będzie to naprawdę konieczne. To byłoby nie po chrześcijańsku.]

Rzeczywiście, nie po chrześcijańsku - zgodziła się niespokojna istota siedząca głęboko w głowie Ralpha. Ale nie mogę się doczekać, kiedy zacznę!

[Idź już, Lois. Zostaw go mnie.]

Lois patrzyła na niego smutno.

[Nie ma po co prosić cię, żebyś go nie skrzywdził, prawda?]

Ralph przemyślał to sobie i potrząsnął głową.

[Nie, ale jedno mogę ci obiecać. Zrobię tylko to, do czego mnie zmusi. Wystarczy?]

Lois rozważyła jego słowa w milczeniu. Skinęła głową.

[Tak. Chyba wystarczy. I może uda mi się samej wyjść na górę, jeśli będę szła ostrożnie i powoli. Ale... co z tobą?]

[Nie martw się. I czekaj pod drzewem]

[No... dobrze.]

Patrzył, jak Lois idzie przez odrażającą sypialnię Atroposa; trampek Helen kołysał się na przegubie jej lewej ręki. Pochyliła się przechodząc pod łukiem i powoli zaczęła się wspinać po schodach. Ralph czekał, aż jej stopy znikną mu z oczu, a potem skupił całą uwagę na uwięzionym w majtkach szaleńcu.

[No, i starzy przyjaciele mogą wreszcie porozmawiać w cztery oczy. To co zrobimy? Zabawimy się? Zdaje mi się, że lubisz się bawić.]

Atropos natychmiast zaczął się rzucać, wymachując przy tym skalpelem.

[Przestań! Precz z łapami, ty stary pedale!]

Miotał się gwałtownie - Ralph miał wrażenie, że klęczy na wężu. Nie zważając na dzikie wrzaski i błyski skalpela, sięgnął po kolczyki Lois. Zadanie miał ułatwione, bo z więzów różowych majtek wystawał już cały łysy łeb. Złapał kolczyki i pociągnął. Pozostały,

gdzie były, za to Atropos wrzasnął z całego serca.

Ralph pochylił się trochę i chwycił je mocniej. Uśmiechał się.

[Zapomniałem, że to kolczyki. Przepraszam, przyjacielu.]

[Odpieprz się! Odpieprz się, cholera!]

[Pozwolisz, że zacytuję twoje słowa? „Cholerne jest to życie!”]

Tym razem udało mu się zerwać kolczyki Lois. Małeńkie dziurki w uszach Atroposa zmieniły się w rozdarcia, w powietrze

strzeliły dwa strumienie krwi. Rozległ się wrzask, ostry jak nowiutkie diamentowe wiertło. Ralph przyglądał się karzełkowi z mieszaniną współczucia i pogardy.

Przyzwyczał się krzywdzić, nie być krzywdzony. Może nikt nigdy go nie skrzywdził. No i fajnie, przyjacielu, właśnie dowiadujesz się, jak żyje gorsza połowa.

[Przestań! Przestań! Nie wolno ci tego robić!]

[Mam dla ciebie kiepską wiadomość, przyjacielu... Wolno, bo robię. Dlaczego nie miałbyś pogodzić się z rzeczywistością?]

[I wydaje ci się, że coś wygrasz, Krótki? Niczemu nie zapobiegiesz! Wszyscy ci ludzie z Centrum Obywatelskiego tak czy inaczej są już martwi; masz obrączkę, ale to im nie pomoże!]

Jakbym nie wiedział!

Atropos nadal dyszał, ale przynajmniej przestał się rzucać. Ralph uznał, że w miarę bezpiecznie może się rozejrzeć po jego sypialni. Zdawał sobie sprawę, że w zasadzie szuka natchnienia. Jakiegokolwiek, nawet najmniejsze, byłoby mile widziane.

[Czy mogę coś panu zasugerować, panie A.? Jako przyjaciel i najnowszy towarzysz gier i zabaw? Wiem, że jest pan zajęty, ale powinien pan zrobić coś ze swoim mieszkaniem. Nie, nie sugeruję, żeby wysłał pan zdjęcia na konkurs najpiękniej zaprojektowanego wnętrza, ale... ten smród...]

Atropos, ponuro i trochę niepewnie: *[A myślisz, że twoje zdanie w ogóle mnie obchodzi, Krótki?]*

Przed Ralphem była tylko jedna droga do celu. Nie podobała mu się, ale miał zamiar z niej skorzystać. Musiał z niej skorzystać. Zmuszał go do tego obraz pod powiekami: Ed lecący z wybrzeża do Derry wynajętym małym samolotem, w którego nosie znajduje się skrzynka... ładunku wybuchowego albo pojemników z gazem paraliżującym.

[Co mam z panem zrobić, panie A.? Proszę o sugestię.]

Odpowiedź była natychmiastowa i jednoznaczna.

[Puść mnie. Nie masz wyboru. Nie masz żadnego wyboru. Zostawię cię w spokoju,

zostawię w spokoju was oboje. Zostawię was Celowi. Pożyjecie jeszcze z dziesięć lat... a, do diabła, możecie żyć jeszcze ze dwadzieścia, to wcale niewykluczone. Tylko oboje macie się ode mnie odczepić. Wracajcie do domu. Wielkie „bam” obejrzyście sobie w telewizji

Ralph udał, że szczerze się namyśla.

[Zostawisz nas w spokoju? Obiecujesz zostawić nas w spokoju?]

Atropos spojrział na niego z nową nadzieją, a wokół niego pojawił się pierwszy widzialny ślad aury, obrzydliwie czerwonej - jak blask oświetlający sypialnię.

[Wiepan co, panie A.]

Atropos, z czymś więcej niż tylko nadzieją: *[Nie, co?]*

Ralph wyciągnął rękę, złapał lewy nadgarstek łyska i wykręcił go mocno. Łysek wrzasnął z bólu, prostując palce. Puścił skalpel; Ralph złapał go z taką łatwością, z jaką doświadczony złodziej wyciąga portfel z kieszeni.

[Wierzę panu!]

[Oddawaj! Oddawaj! Oddawaj! Oddawaj...]

Atropos dostał ataku hysterii i mógłby tak wrzeszczeć godzinami, gdyby Ralph nie uciszył go w najprostszy znany sobie sposób: pochylił się i chlasnął skalpelem w łysy łeb wystający z majtek Lois, zostawiając na potylicy cienkie, pionowe rozcięcie. Nie powstrzymała go żadna niewidzialna dłoń, a i jego ręka poruszyła się płynnie, bez najmniejszych problemów. Krew trysnęła z rany ze zdumiewającą wręcz obfitością, aura zmieniła kolor na ciemny, złowrogi czerwony. Atropos znów wrzasnął.

Ralph pochylił się przyjacielsko do jego ucha.

[Chyba rzeczywiście nie mogę cię zabić, ale wypierdolić mogę, nie? I wcale nie muszę się do tego ładować, nie? Ten drobiazg wystarczy mi w zupełności, nie?]

Jeszcze jedno, tym razem poprzeczne, nacięcie. Na potylicy Atroposa, który już nie wrzeszczał, lecz wył, rozkwitła mała literka „t”. Ralph zorientował się z lekkim obrzydzeniem, że jakaś jego część - jakiś mały siedzący mu w głowie potworek - bawi się znakomicie.

[Jeśli lubisz być cięty, wrzeszcz sobie i próbuj się wyrwać. Jeśli nie lubisz, masz się natychmiast uspokoić.]

Atropos natychmiast się uspokoił.

[W porządku! A teraz zadam ci kilka pytań. W twoim najlepszym interesie jest udzielić na nie szczerych odpowiedzi]

[Pytaj! Rób, co chcesz! Tylko już mnie nie rań!]

[Bardzo obiecujące podejście do rzeczywistości, przyjacielu. Bardzo obiecujące. Mam jednak wrażenie, że lepsze jest wrogiem dobrego. Jak uważasz? No dobrze, sprawdzimy.]

Kolejne cięcie, tym razem na skroni. Kawałek skóry odchylił

się niczym kiepsko przyklejona tapeta. Atropos zawył. Ralph poczuł w żołądku skurcz obrzydzenia i przyniosło mu to ulgę, ale kiedy znów przemówił, bardzo się starał, by to uczucie nie odbiło się w jego głosie.

[Ja tylko zadbałem o właściwą motywację, doktorku. Jeśli zmusisz mnie, żebym zadbał o nią jeszcze raz, będziesz potrzebował kleju, żeby czubek łba nie odfrunął ci na silnym wietrze. Rozumiesz?]

[Tak! Tak!]

[I wierzysz mi?]

[Tak. Tak, ty cholerny siwy sukinsynu, wierzę!]

[No to świetnie. Oto pierwsze pytanie, panie A.: czy jeśli coś pan obiecuje, musi pan dotrzymać obietnicy!]

Atropos nie odpowiedział od razu, co należało uznać za dobrą nowinę. Kiedy skalpel poślaskotał mu policzek, wrzasnął na znak gotowości do współpracy.

[Tak! Tak! Tylko mnie nie tnij, proszę, tylko mnie nie tnij!]

Ralph cofnął skalpel. Na gładkim policzku potwora pozostał po nim ślad, jak znamię.

[Dobrze, słoneczko. Słuchaj, masz obiecać, że zostawisz mnie i Lois w spokoju aż do zakończenia mityngu w Centrum Obywatelskim. Żadnych pościgów, żadnego przecinania, nic z tych rzeczy. Obiecujesz?]

[Pieprz się! Wsadź sobie w dupę swoje żądania!]

Ralph tylko uśmiechnął się odrobinę szerzej. Atropos nie powiedział przecież „nie mogę”, a nawet - co znacznie ważniejsze - nie powiedział „nie jestem w stanie”. Powiedział „nie”. Innymi słowy zapomniał się, co przecież bardzo łatwo naprawić.

Ralph zacisnął zęby i ciał go skalpelem wzdłuż kręgosłupa. Majtki, brudny biały fartuch oraz ciało pod fartuchem rozlały się pod ostrzem. Krew trysnęła fontanną, a dziki wrzask bólu omal nie rozerwał mu bębenków. Skrzywił się i pochylił, w miarę możliwości unikając krwi i wyszeptał w małe ucho:

[Przystało mi się to podobać, przyjacielu. Obawiam się nawet, że jeszcze dwa cięcia i znów się wyrzygam, ale chcę, żebyś uświadomił sobie jedno: mogę cię ciąć i będę ciał, póki albo nie powiesz tego, co chcę usłyszeć, albo nie powstrzyma mnie ta siła, która nie pozwoliła mi cię udusić. Mam wrażenie, że jeśli na to czekasz, będziesz czekał jeszcze długo, ale to już twoja sprawa. To jak? Chcesz złożyć obietnicę czy mam cię obrać jak pomarańczę?]

Atropos bełkotał. Był to dźwięk obrzydliwy, przyprawiający o mdłości.

[Nie rozumiesz! Jeśli uda ci się powstrzymać to, co zaczęte - masz małe szansę, ale ciągle może ci się udać - zostanę ukarany przez istotę, którą nazywasz Karmazynowym Królem!]

Ralph ciął. Jego zaciśnięte usta wyglądały jak blizna po źle zagojonej ranie. Skalpel przeciął ciało z lekkim oporem

i na podłogę spadło lewe ucho karła. Krew trysnęła z dziury w łysej pale, a wrzask był tym razem tak głośny, że rzeczywiście ranił uszy.

No i proszę, jak daleko im do bogów. Ralph był wręcz chory z obrzydzenia i strachu. Jedyna prawdziwa różnica między nimi i nami polega na tym, że żyją dłużej. No i trochę trudniej ich zobaczyć. A ze mnie kiepski byłby żołnierz - przez tę krew zaraz zemdleję. Cholera!

[Dobrze, obiecuję! Obiecuję! Tylko przestań mnie ciąć. Proszę, przestań!]

[Nieźle, jak na początek, ale musisz być trochę bardziej precyzyjny. Chcę usłyszeć, jak obiecujesz, że będziesz się trzymał z dala ode mnie, od Lois i od Eda aż do zakończenia mityngu w Centrum Obywatelskim.]

Spodziewał się krzyków i walki, ale tym razem Atropos go zaskoczył.

[Obiecuję! Obiecuję trzymać się z daleka od ciebie i od tej suki, za którą ganiasz...]

[Ma na imię Lois. Wypowiedz jej imię!]

[Tak, tak, o nią chodzi... Lois Chasse! Zgadzam się trzymać z dala od niej i od Deepneau też! Od was wszystkich, tylko już mnie nie tnij! Zadowolony? Niech cię cholera, zadowolony jesteś?]

Ralph zdecydował, że jest zadowolony... jeśli zadowolony może być człowiek pełen obrzydzenia do zastosowanych przez siebie metod. Nie sądził, by obiecując mu, co obiecał, Atropos szukał jakiegoś wybiegu; łysy karzeł zdawał sobie sprawę, że zostanie ukarany - później - ale teraz załamał się pod wpływem bólu i strachu.

[A tak, panie A., chyba rzeczywiście jestem zadowolony.]

Ześlizgnął się z karła. Miał wrażenie, że żołądek mu się wywraca i że - ale to przecież nie mogła być prawda! - gardło otwiera mu się i zamyka jak ostryga. Przez chwilę patrzył na brudny od krwi skalpel, a potem uniósł rękę i cisnął nim z całej siły do magazynu. Skalpel koziółkując przeleciał przez łuk i znikł.

I dobrze. Przynajmniej nie za bardzo zachlapałem się jego krwią. No, koniec.

Już nie zbierało mu się na wymioty, raczej na płacz.

Atropos przyklękła i rozejrzała się dookoła oszołomionymi oczami kogoś, kto przeżył morderczy huragan. Zobaczył leżące na podłodze ucho, z którego zwisały kawałki ciała, podniósł je i obrócił w palcach. Potem popatrzył na Ralpha. W oczach miał łzy bólu i poniżenia... i coś jeszcze; była w nich wściekłość tak głęboka, tak mordercza, że Ralph aż cofnął się - chwiejnie - o krok. Obietnice, ostrzeżenia... nic nie miało znaczenia w obliczu takiej wściekłości. Wymierzył w karła drżący palec.

[Pamiętaj, co obiecałeś!]

Atropos wyszczerzył zęby we wstrętnym uśmiechu. Oderwana skóra na skroni kołysała się jak żagiel podczas ciszy, ciekła spod niej krew.

[Oczywiście, pamiętam. Jak mógłbym zapomnieć? Chcę ci nawet złożyć kolejną. Dostaniesz dwie za cenę jednej]

Uczył gest, który Ralph zapamiętał doskonale z dachu szpitala: rozstawił palce - wskazujący i środkowy - w znak zwycięstwa, a potem podniósł dłoń, tworząc w powietrzu czerwony łuk. Pojawiła się w nim ludzka postać, a za nią, widoczny niewyraźnie niczym przez krwawą mgłę, sklep „Jabluszek”. Ralph już miał zapytać, kto stoi z przodu, na Harris Avenue, lecz nagle rozpoznał kto, i spojrzał na Atroposa, wstrząśnięty.

[Jezu, nie! Nie możesz!]

Atropos uśmiechnął się szerzej.

[A wiesz, ja też tak myślałem. O tobie, Krótkoterminowy. I pomyliłem się. Jak ty. Patrz!]

Jeszcze trochę rozstawił palce. Z „Jabluszka” wyszedł ktoś w czapeczce bostońskich Czerwonych Skarpet na głowie i tym razem Ralph wiedział doskonale, kto to jest. Ten ktoś krzyknął do stojącej po drugiej stronie ulicy postaci i w tym momencie zaczęło się dzieć coś strasznego. Ralph odwrócił się, zrozpaczony, od wizji krwawej przyszłości, którą zobaczył pomiędzy rozstawionymi palcami doktora.

Lecz kiedy nadeszła, usłyszał ją.

[Ta, którą pokazałem ci jako pierwszą, należy do Przypadku, Krótki. Innymi słowy - do mnie. A ja składam ci obietnicę: jeśli będziesz mi wlaził w drogę, to, co widziałeś, nastąpi. I nic nie możesz na to poradzić, nikogo nie możesz ostrzec. Co ma się stać, to się stanie. Ale jeśli sobie teraz odpuścisz - jeśli ty i ta twoja kobieta zejdzicie mi z drogi - wtedy wstrzymam dłoń.]

Przekleństwa, które zwykle stanowiły tak wielką część słownika Atroposa, znikły niczym niepotrzebna dekoracja i po raz pierwszy Ralph zdał sobie sprawę - przynajmniej do pewnego stopnia - z jaką starą i jak złowrogo mądrą istotą ma w rzeczywistości do czynienia.

[Pamiętaj, co mówią narkomani, Krótki: umrzeć jest łatwo, trudno żyć. I w powiedzeniu tym jest wielka prawda, któż to wie lepiej niż ja? I co ty na to? Może tak zastanowiłbyś się nad odpowiedzią?]

Ralph stał ze zwieszoną głową i dłońmi zaciśniętymi w pięści. W jednej z nich kolczyki Lois płonęły niczym gorące węgielki. Obrączka Eda także wydawała się parzyć mu skórę. Wiedział, że nie ma na świecie mocy, która byłaby zdolna powstrzymać go od wyjęcia jej z kieszeni i ciśnięcia w ślad za skalpelem. Przypomnił sobie opowiadanie, które czytał w szkole, jakieś tysiąc lat temu, nazywało się „Dziewczyna czy tygrys?” - dopiero teraz zrozumiał, jak to jest posiadać tak straszną władzę... i stać przed tak strasznym wyborem. Pozornie wydawał się on łatwy; w końcu czym jest jedno życie przy dwóch tysiącach.

To życie jednak...!

Przecież nikt się nigdy nie dowie, pomyślał zimno. Nikt... może z wyjątkiem Lois, a Lois zaakceptuje moją decyzję. Carolyn może by jej nie zaakceptowała, ale one są takie różne.

Tak, tylko - czy ma prawo?

Atropos wyczytał wszystko w jego aurze. To, ile wie, wydawało się niesamowite.

[Oczywiście, że tak, Ralph. Przecież w sprawach życia i śmierci chodzi właściwie wyłącznie o to, kto ma prawo. Tym razem padło na ciebie. I co powiesz?]

[Nie wiem, co powiem. Nie wiem, co myślę. Tylko jednego jestem pewien... żałuję, że wszyscy trzej nie zostawiliście mnie, do kurwy nędzy, w spokoju!]

Ralph Roberts podniósł głowę ku przerośniętemu korzeniami sklepieniu śmierdzącej sypialni Atroposa i wrzasnął

Rozdział 8

W pięć minut później głowa Ralpha wyłoniła się z cienia pod starym, pochylonym drzewem. Dostrzegł Lois od razu; klęczała nad nim, poprzez sieć korzeni uważnie wpatrując mu się w twarz. Podniósł brudną, zakrwawioną dłoń. Chwyciła ją mocno i pomogła mu wspiąć się po kilku ostatnich powykręcanych korzeniach przypominających szczeble drabiny.

Ralph wygrzebał się z dziury, obrócił na plecy i głęboko odetchnął słodkim, świeżym powietrzem. Jeszcze nigdy nie smakowało ono tak wspaniale. Mimo wszystko szczerze dziękował losowi za to, że udało mu się wyjść. Że wreszcie jest wolny.

[Ralph? Nic ci nie jest?]

Ucałował jej dłoń. Potem na pocałowanym miejscu złożył kolczyki.

[Nie. Nic. To twoje.]

Lois spojrzała na niego dziwnie, jakby jeszcze nigdy w życiu nie widziała kolczyków - tych ani jakichkolwiek innych - i włożyła je do kieszeni.

[Dostrzegłaś je w lustrze, prawda, Lois?]

[Tak. I rozzłościłam się. Ale chyba w głębi serca wcale nie byłam zaskoczona.]

[Wiedziałaś?]

[Tak. Chyba wiedziałam. Może nawet od chwili, kiedy po raz pierwszy dostrzegłam Atroposa w panamie Billa. Tyle że... no... nie chciałam się to tego przyznać, nawet sama przed sobą.]

Spojrzała na niego ostrożnie, badawczo.

[No, dobrze, przecież teraz nie chodzi o moje kolczyki. Co się stało tam, na dole? Jak ci się udało wyjść?]

Ralph bał się, że jeśli będzie obserwowała go tak bacznie, dostrzeże za dużo. Wydawało mu się również, że jeśli wkrótce się nie podniesie, nie będzie w stanie podnieść się w ogóle. Przytłaczało go zmęczenie tak wielkie, jakby jakiś ciężar w nim - może tonący transatlantyk? - wzywał go w głąbiny, ciągnął w dół. Wstał więc. Nie mógł pozwolić, by któreś z nich pogrzyżyło się w głąbinach. Nie teraz. Wieść, jaką odczytał z nieba, nie była tak zła, jak się obawiał, ale nie była i dobra - dochodziła co najmniej szósta wieczorem. W całym Derry ludzie, których sprawa aborcji gównem obchodziła (innymi słowy pokaźna większość), siadali właśnie do gorącej kolacji, drzwi Centrum Obywatelskiego stały już otworem, oświetlone potężnymi światłami telewizji, a minikamery pokazywały pierwszych przybyłych

na mityng, którzy okrążali pikiety Dana Daltona i jego wymachujących transparentami „Przyjaciół Życia”. Niedaleko stąd ludzie śpiewali ulubioną piosenkę Eda Deepneau: „Hej, hej, Susan Day...”

A więc cokolwiek mieli do zrobienia w sprawie Susan, zrobić muszą w ciągu godziny, półtorej.

Zegar tykał.

[Dobra, Lois, powinniśmy się ruszyć]

[Wracamy do Centrum Obywatelskiego?]

[Nie, a przynajmniej nie od razu. Moim zdaniem, na początek powinniśmy...]

Nagle Ralph zorientował się, że nie może tak po prostu czekać, aż ktoś mu podpowie, co właściwie chce powiedzieć. No, bo właściwie gdzie powinni zacząć? W szpitalu? Pod Jabłuszkami? U niego w domu? Gdzie szukać dwóch facecików, pełnych dobrych intencji, ale niestety nie do końca kompetentnych, którzy wpędzili w kłopoty i ciebie, i twoich przyjaciół? A może należy założyć, że to oni cię znajdą?

Być może wcale nie chcą cię znaleźć, kochanie. Być może nawet się przed tobą ukrywają!

[Ralph, jesteś pewien, że dobrze się...]

Ralph przypomniał sobie Rosalie i już wiedział.

[Park, Lois. Park Strawforda. Idziemy do parku Strawforda. Ale po drodze musimy jeszcze gdzieś wpaść.]

Poprowadził ją wzdłuż ogrodzenia lotniska i wkrótce usłyszeli zwykłe, normalne rozmowy. Poczul także zapach smażonych parówek - po smrodzie nory Atroposa wydał się zapachem ambrozji. Jeszcze minuta i oboje znaleźli się na granicy terenu piknikowego przy pasie nr 3.

Był tam Dorrance, zanurzony w swej zdumiewającej wielobarwnej aurze. Obserwował podchodzący do lądowania mały samolot. Za plecami Starego Dora Faye Chapin i Don Veazie siedzieli przy jednym z drewnianych stołów; pomiędzy nimi leżała szachownica, a pod ręką mieli opróżnioną do połowy butelkę wina. Stan i Georgina Eberly'owie popijali piwo, obracając nadziane na widelce parówki nad rozpalonym w specjalnym dołku ogniskiem - w oczach Ralpa jego płomień miał przedziwny, bladuróżowy kolor rozgrzanego piasku.

Przez chwilę Ralph stał w miejscu, sparaliżowany niezwykłym pięknem tych ludzi - krótkotrwałym, lecz wspaniałym pięknem, które było chyba esencją życia Krótkoterminowych. Przypomniał mu się fragment piosenki sprzed najmniej dwudziestu pięciu lat: „Jesteśmy pyłem gwiazd, jesteśmy złotem”. Aura Dorrance'a była inna -

wspanialsza, bajkowa - lecz i reszta Pierników lśniła jak drogie i godne największego pożądanego klejnoty.

[Och, Ralph, czy ty też to widzisz? Widzisz, jacy są piękni?]

[Tak.]

[Jaka szkoda, że sami o tym nie wiedzą.]

Lecz... czy rzeczywiście nie wiedzieli? W świetle tego, co działo się do tej pory, Ralph nie był tego pewien. Miał wrażenie - choć może należało nazwać je raczej niczym nie popartym, lecz silnym podejrzeniem - że to piękno, nigdy nie rozpoznane świadomie, jest częścią „bycia”, nie „rozumienia”.

- No już, głupku, ruszaj się - powiedział jakiś głos. Ralph drgnął; zdawało mu się, że słowa adresowane są do niego, ale to tylko Faye poganiał Dona Veaziego. - Grasz jak kaleka.

- Spokojnie - odparł Don. - Przecież myślę.

- Możesz sobie myśleć do końca świata, kochaniutki. I tak dostajesz mata w sześciu ruchach.

Don nalał wina do papierowego kubka. Spojrzał w niebo z wyrazem męczeńskiej niewinności.

- O, cholera! - zadeklamował. - Nie wiedziałem, że gram z Borysem Spasskim! Myślałem, że to zwykły, prosty Faye Chapin! Baaardzo przepraszam!

- Wspaniale, Don. Takie aktorstwo... powinieneś ruszyć w trasę, zarobić milion tu, milion tam. I nawet nie musisz długo czekać, będziesz wolny za jakieś sześć ruchów.

- Ale z ciebie cwaniaczek - powiedział Don. - Nie wiem nawet, jak...

- Cicho! - przerwała im ostro Georgina Eberly. - Co to takiego? Jakby wybuch i...

Była to oczywiście Lois, właśnie wsysająca w siebie żywą zielenią dżungli z aury Georginy.

Ralph podniósł dłoń do ust, zwinął ją w lejek i wessał jaskrawoniebieską aurę Stana. Natychmiast wypełniła go energia, w mózgu rozbłysło mnóstwo jarzeniówek. Lecz zatopiony transatlantyk, zbudowany w zasadzie tylko z czterech miesięcy bezsennych nocy, nadal starał się ściągnąć go do siebie, na dno.

I decyzja nadal domagała się podjęcia.

Stan także rozglądał się dookoła. Ralph zaczerpnął mnóstwo z jego aury, ale świeciła ona równie jaskrawo jak przedtem. Najwyraźniej to, co powiedziano im o niewyczerpanych możliwościach ludzkich, było szczerą prawdą.

- No, cóż - stwierdził Stan... i przerwał. - Coś istotnie słyszałem...

- A ja nie - oznajmił Faye.

- No, oczywiście. Przecież jesteś głuchy jak pień. I nie przerywaj mi przez sekundę, choć to dla ciebie poważny problem. Chciałem powiedzieć, że to na pewno nie cysterna z paliwem, bo nie widzimy ani ognia, ani dymu. I Don nie pierdnął, bo wiewiórki nie spadają z drzew z przypalonym futerkiem. Pewnie strzeliło z gaźnika którejś z tych wielkich ciężarówek Sił Przeciwlotniczych. Nie martw się, kochanie. Obronię cię.

- To sobie obroń! - Georgina pokazała mu, gdzie się zgina dziób pingwina, ale uśmiechała się przy tym szeroko.

- O mój Boże! - Faye oderwał się od szachownicy. - Tylko popatrzcie na Starego Dora!

Jak na komendę wszyscy spojrzeli na Starego Dora, uśmiechniętego i machającego ręką gdzieś w kierunku Harris Avenue Extension.

- Kogo tam widzisz, staruszkę? - spytał Don Veazie, krzywiąc wargi.

- Ralpa i Lois - odparł promiennie uśmiechnięty Dorrance. - Widzę Ralpa i Lois. Wyszli właśnie spod przewróconego drzewa.

- No jasne! - Stan przysłonił oczy. Wskazał na nich palcem; Ralph aż się skulił, ale szybko zrozumiał, że Stan tylko wyciągnął rękę mniej więcej w kierunku, w którym patrzył Dorrance. - Tam! O tam! Ralph i Lois, a za nimi idzie Glen Miller! Niech to diabli!

Georgina próbowała szturchnąć go łokciem w żebra, ale Stan zrobił zgrabny unik i uśmiechnął się do niej wesoło.

[Cześć. Ralph. Cześć, Lois.]

[Dorrance! Słuchaj, idziemy do parku Strawforda. Dobrze robimy?]

Dor, ze szczęśliwym, szerokim uśmiechem na ustach: *[Nie wiem. Teraz to wyłącznie sprawa Długoterminowych. Ja już z tym skończyłem. Wkrótce pójdę do domu poczytać Waha Whitmana. Noc będzie wietrzna, a Whitmana najlepiej czyta się w wietrzne noce.]*

Lois, niemal nie panując nad sobą: *[Pomóż nam, pomóż!]*

Dor przestał się uśmiechać; stał i patrzył na nią poważnie.

[Nie mogę. Ta sprawa nie jest już w moich rękach. To, co trzeba zrobić, musicie zrobić wy. Ty i Ralph]

- Ufff! - stęknęła Georgina. - Nie znoszę, kiedy się tak gapi w przestrzeń. Człowiek gotów uwierzyć, że ktoś tam rzeczywiście jest! - Wzięła do ręki długi widelec i wróciła do opiekania parówki. - A przy okazji, nie widzieliście ostatnio Ralpa i Lois?

- Nie - odparł Don.

- Siedzą sobie zamknięci w jednym z moteli dla kochanków na wybrzeżu w towarzystwie kartonu piwa i butli oliwki dla dzieci - stwierdził Stan. - Wielkiej butli. Przecież

mówiłem ci wczoraj., - Obrzydliwy staruch. - Georgina wyprowadziła cios łokciem, tym razem mocniejszy i znacznie celniejszy.

Ralph: *[Dorrance, naprawdę nie możesz nam pomóc? Nic a nic? Powiedz przynajmniej, czy jesteśmy na właściwym tropie.]*

Przez chwilę był pewien, że Dor mu odpowie, ale w górze rozległo się bzyczenie silnika i starszek podniósł głowę. Uśmiechał się swym słodkim, pięknym uśmiechem.

- Patrzcie - krzyknął. - Stary grumman yellow bird! Cudo! - Podbiegł do ogrodzenia i obrócony do nich plecami obserwował lądowanie małego żółtego samolociku.

Ralph wziął Lois pod rękę. Sam spróbował się uśmiechnąć. Trudno mu było - w życiu nie był chyba tak niepewny, tak przerażony - ale starał się jak cholera.

[Dobrze, kochanie. Idziemy.]

Ralph przypomniał sobie, jak po drodze na lotnisko myślał, że właściwie wcale nie idą, tylko szybują. Z terenu piknikowego

przy końcu pasa startowego nr 3 do parku Strawforda dotarli mniej więcej w ten sam sposób, tyle że teraz szybowali szybciej, jakby stali na ruchomym pasie.

Na próbę przestał poruszać nogami. Domy i sklepy nadal przesuwają się do tyłu. Spojrzał na stopy, żeby się upewnić - rzeczywiście, nie poruszały się... w odróżnieniu od chodnika.

Pojawił się pan Dugan, kierownik Działu Pożyczek banku Derry Trust, jak zwykle w trzyczęściowym garniturze i jak zwykle w okularach bez oprawki na nosie. Na Ralphie sprawiał, jak zwykle, wrażenie jedyne ma świecie człowieka bez dziury w dupie; choć opinia ta mogła być nieco subiektywna, bo odrzucił mu kiedyś podanie o kredyt. Teraz zobaczył, że jego aura ma brzydki brudnoszary kolor szpitalnych ścian, i nie był specjalnie zdziwiony. Złapał się za nos jak ktoś zmuszony do pływania w brudnej wodzie, wstrzymał oddech, po czym przeszedł wprost przez bankiera. Dugan nawet nie drgnął.

Ralph trochę to rozbawiło, ale kiedy spojrzał na Lois, oprzytomniał błyskawicznie i całkowicie. W jej twarzy dostrzegł lęk i pytania, które koniecznie chciała zadać. Pytania, na które nie miał zadowalającej odpowiedzi.

Dochodzili już do parku Strawforda. Nagle zapłonęły uliczne lampy. Niewielki teren zabaw, przy którym chętnie przystawali z McGovernem - i bardzo często z Lois - by przyjrzeć się dzieciom, był niemal pusty. Dwaj licealiści siedzieli na sąsiednich huśtawkach, paląc papierosy i rozmawiając, matki i berbecie znikły jednak, jakby ich tu nigdy nie było.

Ralph pomyślał o McGovernie, o jego nieustającej makabrycznej gadaninie i roztkliwianiu się nad sobą, ledwie zauważalnym, kiedy się go poznawało, nie do

przegapienia, kiedy znało się go lepiej. Myślał także, jak Bili i jedno, i drugie przekształcał w coś znacznie lepszego: kpiący humor i nieoczekiwane dobre uczynki. Ogarnął go wielki smutek. Krótkoterminowi mogą sobie być gwiazdny pyłem, mogą nawet być złoci, ale kiedy odchodzą, odchodzą nie pozostawiając śladu. Jak mamy z dziećmi pojawiające się tu na krótko i wracające do domu na kolację.

Lois: *[Ralph, co my tu właściwie robimy? Przecież torba śmierci okrywa Centrum Obywatelskie, nie park Strawforda]*

Poprowadził ją do ławki, przy której spotkali się parę wieków temu, gdy Lois oplakiwała klótnię z synem i synową... oraz utracone kolczyki. U stóp wzgórza lśniły w mroku plastikowe budki toalet.

Ralph zamknął oczy. Zaczynam wariować, pomyślał, i to w tempie ekspresowym. Co to ma być? Dziewczyna... czy tygrys.

[Słuchaj, przecież musimy coś zrobić. Ludzie... tysiące ludzi... ich życie...]

W ciemnościach, na tle zamkniętych powiek, Ralph zobaczył kogoś wychodzącego z „Jabluska”. Ciemne bawełniane spodnie, czapeczka Czerwonych Skarpet. Wkrótce znów zaczęły się dziać rzeczy straszne, a ponieważ nie chciał ich oglądać, otworzył oczy i spojrzał na siedzącą obok niego kobietę.

[Każde życie jest ważne, Lois, prawda? Chyba się ze mną zgodzisz? Każde pojedyncze życie?]

Nie wiedział, co dostrzegła w jego aurze, ale najwyraźniej śmiertelnie ją to przeraziło.

[Co się stało tam, pod drzewem, kiedy zostawiłam was samych? Co on ci powiedział, co on ci zrobił? Powiedz mi, Ralph. Powiedz mi]

Więc co wybrać? Jedno życie? Życie wielu? Jeśli szybko nie podejmie decyzji, nie będzie już mógł jej podjąć. Czas zdecyduje za niego. Więc co? Co?

- Wszystko... albo nic - powiedział ochryplym głosem, przerażony i poruszony tak, iż nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że mówi głośno... i na wielu poziomach. - Nie wybiorę tak albo tak. Nie wybiorę! Słyszycie mnie?

Zeskoczył z ławki, rozejrzał się dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Czy mnie słyszycie? - krzyknął. - Odrzucam ten wybór! Wszystko... albo nic!

Na jednej ze ścieżek nie opodal pijaczek grzebał kijem w śmietniku, szukając zwrotnych butelek i puszek. Spojrzał raz, odwrócił się i uciekł gdzie pieprz rośnie.

Dostrzegł człowieka, który wydawał się płonąć.

Lois wyprostowała się. Ujęła twarz Ralpha w dłoń.

[Ralph, co się stało? Co się stało? O kogo ci chodzi? O mnie? O ciebie? Bo jeśli o

mnie, jeśli powstrzymuje cię myśl o mnie. to chcę, żebyś wiedział...)

Ralph odetchnął głęboko, uspokoił się, przyłożył czoło do jej czoła.

[Nie chodzi ani o ciebie, Lois, ani o mnie. Gdyby chodziło o któreś z nas, byłbym w stanie wybrać. Ale nie o nas chodzi i niech mnie diabli, jeśli nadal będę robił za pionka!]

Uwolnił się z jej objęć, zrobił krok wstecz. Aura płonęła mu tak jaskrawo, że Lois musiała osłonić oczy dłonią; wydawało jej się, że Ralph może wybuchnąć w każdej chwili. A kiedy usłyszała jego głos, huczał jej w głowie jak echo grzmotu.

[Kloto! Lachesis! Przybądźcie natychmiast! Natychmiast, do wszystkich diabłów!]

Ralph zrobił dwa, trzy kroki, zatrzymał się i spojrzał w dół wzgórza. Dwaj licealiści wpatrywali się w niego z bliźniaczym wyrazem strachu na twarzach. Gdy na nich spojrzął, poderwali się i znikli; biegli w stronę światła Witcham Street niczym para jeleni, pozostał po nich dym dwóch dopalających się na ziemi pod huśtawkami papierosów.

[Kloto! Lachesis!]

Płonął niczym łuk elektryczny, a Lois poczuła, jak nogi jej miękną, jak załamują się w kolanach. Cofnęła się, padła na ławkę. Kręciło się jej w głowie, serce przepelnione miała strachem, lecz przede wszystkim ogarnęło ją straszne, wszechogarniające zmęczenie. Dla Ralpha przybrało ono obraz zatopionego statku, dla niej mrocznej jamy, wokół której zmuszona była krążyć po zacieśniającej się spirali, świadoma, że prędzej czy później wpadnie do środka.

[Kloto! Lachesis! To wasza ostatnia szansa! Nie żartuję!]

Przez moment nic się nie działo, a potem drzwi plastikowych budek toalet otworzyły się jednocześnie. Kloto wyszedł z tej oznaczonej „Mężczyźni”, Lachesis z damskiej. Ich aury, jaskrawe, złotozielone niczym ważki latem, błyszczały w bladym świetle zapadającego szybko zmierzchu. Doktorkowie zbliżyli się do siebie, aż ich aury się połączyły, po czym ramię w ramię ruszyli pod górę; białe fartuchy niemal się stykały. Wyglądali jak dwójka przerażonych dzieci.

Ralph obrócił się ku Lois. Jego aura nadal płonęła osłepiająco.

[Zostań na miejscu!]

[Dobrze. Zostanę]

Odczekała, aż oddali się nieco, i krzyknęła za nim:

[Postaram się powstrzymać Eda, nawet jeśli ty zrezygnujesz. Nie żartuję!]

Wiedział oczywiście, że zrobi wszystko, by powstrzymać Eda, i serce rozplynęło mu

się na myśl o takiej odwadze...

Lecz przecież Lois nie wiedziała tego, co on wiedział, nie widziała tego, co widział on.

Obejrzał się i patrzył na nią przez chwilę, a potem ruszył w kierunku dwóch małych łysych doktorków, którzy gapili się na niego z przerażeniem w błyszczących oczach.

Lachesis, nerwowo: *[Nie skłamałiśmy ci... nie skłamałiśmy!]*

Kloto, o wiele bardziej nerwowo (choć to akurat wydawało się niemożliwe): *[Deepneau się zbliża. Musisz go powstrzymać, Ralph, musisz przynajmniej spróbować!]*

W rzeczywistości nic nie muszę, co łatwo odczytać z waszych gęb, pomyślał Ralph, odwrócił się ku Lachesisowi i z przyjemnością stwierdził, że mały łysek uchyla się przed jego spojrzeniem, cofa i spuszcza czarne, pozbawione źrenic oczy.

[Doprawdy? Tam, na szpitalnym dachu powiedzieliście nam, że mamy trzymać się z dala od Eda. Pod tym względem byliście bardzo stanowczy, panie L.]

Lachesis poruszył się niespokojnie. Nie wiedział, co zrobić z rękami.

[Ja... chciałem powiedzieć my... nie zawsze... to znaczy... czasami... się mylimy. I tym razem właśnie się pomyliłiśmy.]

Tylko że Ralph doskonale zdawał sobie sprawę, że słowo „pomyłka” nie bardzo pasuje do sytuacji. „Sami się oszukiwaliśmy” brzmiałoby znacznie lepiej. Pragnął nawymyślać im za użycie niewłaściwego słowa - pragnął nawymyślać im za to, że w ogóle wpakowali ich w to bagno! - i okazało się, że nie potrafi. Nie potrafi, bo według Starego Dora nawet to, jak oszukiwali samych siebie, służyło Celowi, a kiedy z Lois zabłądzili do „Na Zboczu”, w ostatecznym rachunku wcale tam nie zabłądzili. Nie pojmował dlaczego - nie pojmował, jak to w ogóle możliwe - ale miał zamiar pojąć w najbliższym czasie, jeśli to w ogóle jest w ludzkiej mocy.

[Panowie, tę sprawę możemy na jakiś czas pozostawić na boku. Porozmawiajmy o tym, dlaczego w ogóle dzieje się to, co się dzieje. Jeśli nadal chcecie, żebyśmy wam pomogli, lepiej zaczniecie gadać.]

Doktorkowie wymienili spojrzenia wielkich, przerażonych oczu, po czym jak na komendę obrócili je na Ralpa.

Lachesis: *[Słuchaj, czyżbyś wątpił, że ci wszyscy ludzie umrą? Bo jeśli tak...]*

[Nie wątpię, ale zmęczyło mnie już to, jak ciskacie mi ich w twarz. Gdyby centrum miało zostać zniszczone trzęsieniem ziemi, które służy Celowi, gdyby miało w nim zginąć dziesięć tysięcy ludzi, a nie marne dwa tysiące, nie ruszylibyście nawet palcem, prawda? No więc... co jest takiego niezwykłego w naszej sytuacji? Gadajcie!]

Kloto: *[Ralph, przecież reguł nie ustalamy ani my, ani ty. Byliśmy pewni, że to zrozumiałeś.]*

Ralph westchnął.

[/ znów omijacie temat, ale tym razem tylko marnujecie czas.]

Kloto, niepewnie: *[Dobrze już, dobrze, być może nie przekazaliśmy wam pełnego obrazu sytuacji, ale brakowało nam czasu i byliśmy przerażeni. A poza tym musicie zrozumieć, że niezależnie od wszystkiego, ci ludzie umrą... jeśli nie powstrzymacie Eda Deepneau.]*

[Na razie dajmy sobie spokój z nimi wszystkimi i porozmawiajmy o jednym człowieku - tym, który należy do Celu i którego Cel nie chce oddać tylko dlatego, że pojawił się jakiś wolny czynnik pozbawiony paru klepek, ale za to posiadający samolot i kupę materiałów wybuchowych. Kogo, waszym zdaniem, nie możecie oddać Przypadkowi? Kogo? Tej Day, prawda? Chodzi o Susan Day?]

Lachesis: *[Nie, Susan Day należy do Przypadku. To nie wasz problem i nasz też nie.]*
[Więc kto?]

Kloto i Lachesis ponownie spojrzeli sobie w oczy. Kloto skinął lekko głową i obaj obrócili się do Ralpa. I znów Lachesis wyprostował wskazujący i środkowy palec prawej ręki, tworząc w powietrzu wachlarz światła. Tym razem jednak Ralph nie dojrzał w nim McGoverna, tylko małego chłopca z jasnymi włosami wijącymi się w lokach nad czołem i blizną w kształcie haczyka na grzbiecie nosa. Rozpoznał go bez kłopotu - spotkali się w piwnicy, jego mama była posiniaczona. To on nazwał jego i Lois aniołami.

A poprowadzi ich dziecko, pomyślał, sparaliżowany ze zdumienia. Boże Świąty!

Z niedowierzaniem spozjrzał na dwóch małych łysych doktorków.

[Czyja dobrze zrozumiałem? Czy chodzi wam o jednego małego chłopca?]

Spodziewał się ich zwykłej, długiej i skomplikowanej gadki, ale odpowiedź była krótka i prosta.

Kloto: *[Tak.]*

Lachesis: *[On już jest w Centrum Obywatelskim. Jego matka, której życie także uratowaliście dziś rano, przed niespełną godziną miała telefon od opiekunki. Opiekunka skaleczyła się poważnie odłamkiem szkła i poinformowała ją, że mimo wszystko nie będzie mogła zająć się chłopcem dziś wieczorem. Zadzwońta tak późno, że znalezienie kogoś na zastępstwo okazało się niemożliwe, no a mama całe tygodnie czekała na przyjazd Susan Day... marzyła, żeby uścisnąć jej rękę, żeby ją objąć i przytulić, jeśli to tylko będzie możliwe. Ona tę Day po prostu ubóstwia!]*

Ralph przypomniał sobie sińce na jej twarzy i pomyślał, że to ubóstwienie może zrozumieć. Jeszcze lepiej rozumiał coś innego - to, że opiekunka skaleczyła się kawałkiem szkła, wcale nie było przypadkiem. Coś z uporem dążyło do umieszczenia chłopca o jasnych niesfornych włosach i zaczerwienionych od dymu oczach w Centrum Obywatelskim i by tego dokonać, skłonne było poruszyć niebo i ziemię. Matka zabrała go tam nie dlatego, że była złą matką, lecz była człowiekiem, jak wszyscy, i po prostu nie chciała zmarnować jedynej szansy spotkania z Susan Day, to wszystko.

Nie, to wcale nie wszystko. Zabrała go tam także, ponieważ jest pewna, że nie grozi im już żadne niebezpieczeństwo, skoro Pickering i jego banda szaleńców z „Chleba Naszego Powszedniego” zginęli. Pewnie myśli, że co najwyżej będzie musiała bronić syna przed grupą wymachujących transparentami „Przyjaciół Życia”... no i poza tym... piorun nie uderza dwa razy w to samo miejsce.

Ralph stał twarzą do Witcham Street; obrócił się teraz do obu doktorków.

[Jesteście pewni, że on jest w centrum? Całkowicie pewni?]

Kloto: *[Tak. Siedzi sobie na górnym północnym balkonie. Ma plakat McDonalda do kolorowania i kilka książeczek. Czy zdziwi cię, jeśli się dowiesz, że w jednej z nich jest opowiadanie „Pięćset kapeluszy Bartholomew Cubbinsa”]*

Ralph tylko potrząsnął głową. Nic już nie było w stanie go zdziwić.

Lachesis: *[Samolot Deepneau uderzy właśnie w północną część centrum. Chłopiec zginie na miejscu, jeśli nie zapobiegnie się jego śmierci... a do niej nie wolno nam dopuścić. Ten chłopiec nie może zginąć przed wyznaczonym mu czasem.]*

Lachesis w napięciu przyglądał się Ralphowi. Łuk niebieskozielonego światła pomiędzy jego palcami znikł.

[Można by długo jeszcze gadać, Ralph... tylko że samolot już wystartował i jest niespełna sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Niedługo zrobi się za późno...]

Do Ralpa podpełzała panika, ale nie ruszył się z miejsca. W końcu oni tego właśnie chcieli - by wpadł w panikę. By oboje wpadli w panikę.

[Mówię wam przecież, że nie ma to dla mnie żadnego znaczenia, póki się nie dowiem, o co chodzi!]

Kloto: *[A więc słuchaj. Od czasu do czasu rodzi się mężczyzna - lub kobieta - których życie wpływa nie tylko na życie ich najbliższych lub choćby całego świata Krótkoterminowych, lecz i na tych zamieszkujących wyższe i niższe od niego poziomy. Takich ludzi nazywamy Wielkimi; Wielcy zawsze służą Celowi. Jeśli giną za wcześnie, wszystko się zmienia. Szale wagi odchylają się niebezpiecznie. Czy nie wyobrażałeś sobie nigdy, jak różny*

od dzisiejszego byłby świat, gdyby Hitler utopił się w wannie jako dziecko? Możesz sądzić, że okazałby się lepszy, ale zapewniam cię, że gdyby to nastąpiło, nie istniałby dziś w ogóle. Załóżmy, że Winston Churchill zmarł na zatrucie pokarmowe, nim został premierem. Załóżmy, że August Cezar urodził się martwy, uduszony pępowiną? Chłopiec, którego masz ocalić, jest znacznie ważniejszy od nich wszystkich!]

[Do diabła, przecież już raz go uratowaliśmy! Czy to nie zmienia sytuacji, nie przywraca go Celowi?]

Lachesis, cierpliwie: *[Tak, ale nadal zagraża mu EdDeepneau, bo Deepneau nie ma przeznaczenia ani w Przypadku, ani w Celu. Ze wszystkich ludzi na świecie Deepneau jedynie może go uśmiercić przed jego czasem. Jeśli Deepneau poniesie klęskę, chłopiec znów będzie bezpieczny - będzie żył, póki nie przyjdzie na niego chwila występu na scenie. Krótkiego, lecz najważniejszego na świecie.]*

[Więc jedno życie może znaczyć tak wiele?]

Lachesis: *[Tak. Jeśli to dziecko zginie, upadnie wieża wszelkiego istnienia. Konsekwencji jej upadku nie jesteście sobie w stanie wyobrazić. My zresztą też nie.]*

Przez chwilę Ralph w napięciu przypatrywał się swoim butom. Miał wrażenie, że głowa waży mu przynajmniej tonę. Była w tym wszystkim ironia, ironia, którą mimo śmiertelnego

zmęczenia pojął bez problemu. Atropos ustawił Eda, odwołując się najwyraźniej do kompleksu Mesjasza, który tkwił w nim wcześniej, utajony... kompleksu będącego być może produktem ubocznym jego nieokreślonego statusu. Ed nie dostrzegł jednak - i nie uwierzyłby, gdyby mu powiedziano, że zamiast ocalić Mesjasza, ma go zabić.

Podniósł wzrok na pełne napięcia twarze dwóch małych łysych doktorków.

[Dobrze. Nie wiem wprawdzie, jak mam powstrzymać Eda, ale spróbuję.]

Kloto i Lachesis spojrzeli na siebie i wymienili identyczne (i bardzo ludzkie) szerokie uśmiechy, wyrażające jedno uczucie: ulgę. Ralph podniósł palec, jakby ich ostrzegał.

[Zaczekajcie. To jeszcze nie wszystko!]

Uśmiechy spełzły z gładkich twarzy.

[Chcę czegoś w zamian. Jednego życia. Wymienię życie tego waszego czteroletniego chłopca na...]

Lois nie dowiedziała się, jak zakończył zdanie; jego głos opadł na moment poniżej poziomu słyszalności, lecz kiedy zobaczyła, że najpierw Kloto, a potem Lachesis potrząsają głowami, serce przestało jej bić.

Lachesis: *[Rozumiem twój niepokój i z pewnością tak, A tropos może spełnić swe*

groźby, lecz przecież rozumiesz, że to jedno życie nie jest tak ważne jak...]

Ralph: *[Moim zdaniem jest, czy wy tego nie pojmujecie? Moim zdaniem jest. Spróbujcie wbić sobie w łepetyny, panowie, że moim zdaniem oba te życia są równie ważne...]*

Nie dosłyszała reszty, ale bez kłopotu dosłyszała Klota, bo niemal wrzeszczał z rozpaczą.

[One się różnią! Życie chłopca jest zupełnie inne!]

Znów usłyszała Ralpha, mówiącego z chłodną i nieubłaganą logiką, która przywiodła jej na myśl ojca.

[Każde życie różni się czymś od innego życia. Liczą się wszystkie albo nie liczy się żadne... oczywiście moim, być może nawet idiotycznym krótkoterminowym zdaniem. Cóż, kiedy musicie się z nim liczyć, bo to ja trzymam kij i marchewkę. Sprawa sprowadza się do tego, że zahandlujemy. Po równo. To wasze życie za to moje życie. Wystarczy, że obiecacie, i układ uznajemy za zawarty.]

Lachesis: *[Ralph, proszę! Zrozum, nam naprawdę nie wolno!]*

Na dłuższą chwilę zapanowała absolutna cisza, a kiedy Ralph wreszcie przemówił, jego głos, choć cichy, był doskonale słyszalny. Później Lois nie słyszała już prawie nic.

[Jest wielka różnica między „nie wolno” i „niemożliwe”. Prawda?]

Kloto coś powiedział, lecz Lois wychwyciła wyłącznie oderwane słowa:

[pertraktacje... dopuszczalne...]

Lachesis gwałtownie potrząsała głową. Ralph zaprotestował i Lachesis uczynił palcami ponury gest - jakby przecinał coś nożycami.

Najdziwniejsze, że Ralph wybuchnął w tym momencie śmiechem i skinął głową.

Kloto położył dłoń na ramieniu przyjaciela. Przemawiał do niego gwałtownie.

Lois zacisnęła złożone na kolanach dłonie, siłą woli nakazując Ralphowi i doktorcom dojść do jakiegoś porozumienia. Jakiegokolwiek porozumienia, byle tylko zamiast gadać, ruszyli wreszcie przeciwko Edowi Deepneau, który ma zamiar zamordować wszystkich tych niewinnych ludzi.

Nagle zbocze wzgórza zalało białe światło. Najpierw pomyślała, że pada z nieba, bo mity i religia nauczyły ją, że to niebo jest źródłem wszystkich nadnaturalnych emanacji. W rzeczywistości światło to wydawało się padać zewsząd: z drzew, z nieba, z ziemi, nawet z niej samej, wybiegając z jej aury wstęgami mgły.

A potem rozległ się głos... a raczej Głos. Zabrzmiały zaledwie dwa słowa, ale w głowie Lois dźwięczały jak żelazny dzwon.

[TO DOZWOLONE.]

Dostrzegła Klota, z twarzą jak maska strachu i uwielbienia, sięgającego do tylnej kieszeni po nożyce; ręka mu drżała i omal ich nie upuścił. Dzięki tej nerwowej reakcji Lois odkryła w nim bratnią duszę. Podniósł trzymane w obu dłoniach nożyce z rozwartymi ostrzami nad głowę.

I znów w powietrzu rozbrzmiały dwa dźwięczne słowa.

[TO DOZWOLONE.]

Tym razem towarzyszył im blask tak jaskrawy, że przez moment Lois była pewna, iż straciła wzrok. Podniosła dłonie do oczu, lecz zanim je całkiem zasłoniła, dostrzegła, że blask skoncentrował się na nożycach Klota, wzniesionych w górę niczym podwójny piorunochron.

Od tego blasku nie było ucieczki, ten blask zmienił w szkło i jej powieki, i osłaniające oczy ręce. Ten blask przeniknął jej ciało niczym promienie Roentgena, ujawniając zarys kości. Gdzieś, dobiegający z bardzo daleka, dosłyszała kobiecy głos podejrzanie przypominający głos niejkiej Lois Chasse:

[Zgaś to! Zgaś to, zanim mnie zabije!]

W końcu, kiedy wydawało się jej, że więcej już nie znieśie, światło zaczęło przygasać. Kiedy znikło, pozostawiając po sobie unoszący się w czerni obraz negatywu nożyc, Lois powoli otworzyła oczy. Przez chwilę rzeczywiście nie widziała nic oprócz jaskrawego niebieskiego krzyża i doszła do wniosku, że została naprawdę oślepią, a potem świat pojawił się znowu niczym mroczna, wywoływana właśnie fotografia. Dostrzegła Ralpa wraz z doktorkami. Stali z głowami opuszczonymi w porażającym zdumieniu, niby krety w gnieździe odsłoniętym przez ogrodnika.

Lachesis patrzył na nożyce w rękę kolegi, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Lois byłaby skłonna założyć się o milion, że takimi ich rzeczywiście nie widział. Ostrza ich nadal błyszcząły, kapiąc upiornymi baśniowymi kroplami światła.

Lachesis: *[Ralph, to był..)*

Reszty nie usłyszała, ale doktorek mówił tonem, jakim wieśniak opowiadałby, że kiedy otworzył drzwi swej chaty, ujrzał za nimi papieża, który zatrzymał się w jego obejściu na modlitwę.

Kloto nadal gapił się na ostrza nożyc. Ralph przyglądał się im także, ale w końcu podniósł głowę.

Ralph: *[...boleć?]*

Lachesis, tonem kogoś, kto budzi się z głębokiego snu: *[...Tak... nie potrwa długo... ale będzie bardzo intensywny... chcesz zmienić zdanie, Ralph?]*

Lois nagle przeraziła się owych lśniących nożyc. Chciała krzyknąć do Ralpa,

powiedzieć mu, żeby nie przejmował się jednym życiem, po prostu dał im życie tego chłopca. Żeby zrobił co tylko chcą, byle schowali ten przerażający przedmiot.

Lecz słowa te nie przeszły jej ani przez usta, ani przez umysł.

Ralph: *[...przynajmniej... chciałem wiedzieć, czego się mam spodziewać.]*

Kloto: *[...gotów?... musimy...]*

Powiedz im, Ralph, pomyślała do niego. Powiedz im „NIE!”

Ralph: *[...gotów.]*

Lachesis: *[...rozumiesz? Warunki, które on... i cenę?]*

Ralph, najwyraźniej zniecierpliwiony: *[Tak, tak, czy moglibyśmy po prostu...]*

Kloto, godnie i z wielką powagą: *[Doskonale, Ralph. To dozwolone.]*

Lachesis objął Ralpha za ramiona. Wraz z Klotem poprowadził go nieco dalej, w dół wzgórza, do miejsca, gdzie zimą młodsze dzieciaki zaczynały zjazdy na saneczkach. Zatrzymali się na płaskim kawałku terenu wielkości mniej więcej kolistego parkietu w nocnym klubie. Kiedy tam doszli, Lachesis obrócił Ralpha tak, że stał teraz twarzą do nich.

Lois zapragnęła nagle zamknąć oczy, ale nie była w stanie. Mogła tylko patrzeć i modlić się, by Ralph rzeczywiście wiedział, co robi.

Kloto coś do niego szepnął. Ralph skinął głową i zdjął bluzę, złożył ją schludnie i położył na zasypanej liśćmi ziemi. Kiedy się wyprostował, Kloto ujął go za nadgarstek i wyprostował mu ramię. Skinął na przyjaciela, który rozpiął mankiet koszuli Ralpha i trzema szybkimi ruchami podwinął rękaw powyżej łokcia. Następnie Kloto obrócił jego rękę nadgarstkiem do góry. Błękitne żyły wystąpiły na niej wyraźnie, podkreślone jeszcze delikatnymi śladami aury. Lois wszystko to wydało się koszmarnie znajome - przypominało scenę ze szpitalnego serialu, w której pielęgniarki przygotowują pacjenta do operacji.

Tylko że to nie był serial.

Lachesis pochylił się i coś mówił. Choć nie usłyszała co, wiedziała, iż informuje Ralpha, że to jego ostatnia szansa.

Ralph skinął głową. W jego aurze wyraźnie widać było przerażenie tym, co nastąpić miało lada chwila, ale jakimś cudem zdołał się nawet uśmiechnąć, a kiedy coś powiedział do Klota, to nie dlatego, że szukał u niego pociechy - raczej sam mu ją ofiarowywał. Kloto próbował odpowiedzieć mu uśmiechem, ale nie potrafił się nań zdobyć.

Lachesis chwycił mocno przegub Ralpha, ale-tak przynajmniej wydawało się Lois - nie po to, by nie pozwolić mu się wyrwać, lecz by ramię nie drżało. Tak czy owak bardzo przypominał pielęgniarkę przygotowującą się do zrobienia pacjentowi bolesnego zastrzyku. Potem z przerażeniem w oczach spojrzął na przyjaciela i skinął głową. Kloto odpowiedział

mu skinieniem, wstrzymał oddech i pochylił się nad ciałem, przez

które przeświecała upiornie sieć niebieskich żył. Stał tak przez chwilę, a po chwili powoli otworzył nożyce, którymi wraz z przyjacielem zmieniał życie w śmierć.

Lois wstała chwiejnie. Stała, kołysząc się w tył i w przód na nogach jak z drewna. Tak bardzo pragnęła przerwać ten okrutny paraliż, tę straszliwą ciszę, w której ją zamknięto, krzyknąć do Ralpa i rozkazać mu, by przestał... powiedzieć, że nie wie przecież, co chcą z nim zrobić.

Ale on wiedział. Widać było tę wiedzę w kolorze jego twarzy, w przymkniętych oczach, w boleśnie zaciśniętych ustach, ale najbardziej w czerwonych i czarnych plamach przemykających niczym meteory przez aurę i w samej aurze, zaciśniętej wokół jego ciała niczym twarda niebieska skorupa.

Skinął głową, a Kloto dotknął jego skóry ostrzem trzymany pionowo nożyc. Na moment skóra na ramieniu Ralpa tylko się ugięła, a później w miejscu ugięcia pojawiła się krew. Dolne ostrze zanurzyło się w niej głęboko. Kloto zwarł palce i górne zwarło się z nim, skóra zaś ustąpiła gwałtownie, niby uwolniona roleta. Odwinęła się i w jaskrawym błękicie aury warstwa tłuszczu pod nią błysnęła jak topiący się lód. Lachesis mocniej zacisnął dłoń na nadgarstku rozciętej ręki, Lois była jednak pewna, że Ralph nawet nie drgnął, że nawet instynktownie nie próbował wyszarpnąć ramienia, tylko spuścił głowę, a lewą, wyciągniętą w górę dłoń zacisnął jakby w salucie Black Power. Widziała, jak ścięgna na karku napięły mu się niczym liny.

Nie krzyknął, nie syknął nawet.

Rozpoczynając to straszne dzieło, Kloto kontynuował je z brutalnym, lecz zarazem litościwym pośpiechem. Rytmicznie zaciskając kciuk, ciął ramię w kierunku nadgarstka, używając nożyc tak, jakby rozcinał nimi kilkakrotnie okręconą taśmą paczkę. Wewnątrz rozciętego ciała widać było ścięgna, krew strumieniem tryskała w powietrze za każdym razem, gdy rozcinana była kolejna żyła. Na białych fartuchach pojawiły się krwawe plamy, dzięki którym doktorkowie bardziej niż kiedykolwiek wydawali się doktorkami.

Kiedy wreszcie ostrza rozcięły tętnice nadgarstka (cała operacja trwała nie więcej niż trzy sekundy, Lois wydawało się

jednak, że od pierwszego cięcia minęła wieczność), Kloto oddał ociekające krwią nożyce Lachesisowi. Ramię Ralpa zostało rozcięte od łokcia na całej długości, głęboko i równo. Kloto zacisnął palce nieco powyżej początku rozcięcia i Lois pomyślała: „Teraz ten drugi weźmie bluzę i zrobi z niej opaskę uciskową”, ale Lachesis nawet się nie poruszył, po prostu stał i patrzył.

Przez moment między zaciśniętymi palcami spływała jeszcze krew, lecz przestała płynąć prawie natychmiast, a kiedy Kloto powoli przesunął dłonią po ranie, zamykała się pod jego dotknięciem, pozostawiając tylko grubą bliznę, pamiątkę tego, co zaszło.

[Lois, Loooiiss...]

Ten głos nie narodził się we wnętrzu jej głowy, nie rozległ się także u stóp wzgórza, lecz za jej plecami. Był miękki, niemal pieszczotliwy. Atropos? Nie, skądże. Rozejrzała się i stwierdziła, że otacza ją zielone, trochę jakby podwodne światło. Przenikało między ramionami i ciałem, między jej nogami, nawet między palcami dłoni, kładąc na ziemię jej cień, chudy i taki... skręcony, jak cień kobiety wiszącej na szubienicy.

Światło pieściło ją chłodnymi palcami w kolorze jasnego mchu.

[Obróć się, Loooiiss...]

W tym akurat momencie ostatnią rzeczą, o której marzyła Lois Chasse, było obrócić się i spojrzeć w źródło tego światła.

[Obróć się, Loooiiss... spójrz na mnie, Loooiiss... wejdź w światło, Loooiiss... spójrz na mnie i wejdź w światło...]

Nie sposób się było oprzeć temu głosowi. Lois obróciła się powoli jak tancerka-zabawka na łożyskach zardzewiałych ze starości, a jej oczy wypełniły się blaskiem ogników świętego Elma.

Lois wkroczyła w światło.

Rozdział 9

[Otrzymałeś widzialny znak, którego żądałeś, Ralph - czy to cię satysfakcjonuje?]

Ralph spojrział na ramię. Ból, który pochłonął go jak wieloryb Jonasza, już wydawał mu się snem, halucynacją. Pomyślał jeszcze, że pewnie tak samo jest z kobietami pragnącymi dzieci po pierwszym porodzie - zapominają o cierpieniu i wysiłku, gdy tylko się kończy. Blizna wyglądała jak kawałek białego sznurka na niezbyt imponujących mięśniach.

[Tak. Byliście bardzo dzielni i zrobiliście to bardzo szybko. Dziękuję wam obu.]*

Kloto uśmiechnął się, ale nie powiedział nic.

Lachesis: *[Ralph, czy jesteś gotów? Mamy bardzo niewiele czasu.]*

[Tak, jestem...]

[Ralph! Ralph!]

Krzyczała Lois, która stała na szczycie wzgórza i machała na niego gwałtownie. Przez moment Ralphowi zdawało się, że zmieniła kolor ze zwykłego, jasnoszarego, na ciemniejszy, groźniejszy, lecz musiało to być złudzenie spowodowane bólem i zmęczeniem. Truchcikiem ruszył w jej kierunku.

Oczy Lois były nieprzytomne, rozmarzone. Jakby właśnie usłyszała słowo, które zmieniło całe jej życie.

[Lois, co się stało? Coś złego? Chodzi ci o rękę? Nie martw się, zobacz, jest jak nowa!]

Wyprostował ramię, żeby mogła się przekonać na własne oczy, ale Lois nawet na nie nie spojrzała. Patrzyła mu w twarz. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, w jak głębokim jest szoku.

[Ralph, był tu zielony człowiek.]

Zielony człowiek? Ralph zaniepokoił się natychmiast, złapał ją za dłonie.

[Zielony? Jesteś pewna? Nie Atropos albo...]

Nie skończył myśli. Nie musiał.

Lois powoli potrząsnęła głową.

[To był zielony człowiek. Jeśli w tej sprawie są w ogóle jakieś strony, to nie wiem, po której była ta... istota. Sprawiała wrażenie dobrej, ale mogę się mylić. Nie widziałam jej. Miała zbyt jaskrawą aurę. Mam ci to oddać.]

Wyciągnęła rękę i rzuciła mu na dłoń dwa małe błyszczące przedmioty - kolczyki. Na

jednym z nich dostrzegł brązową plamkę, zapewne zaschniętą krew Atroposa. Kiedy próbował zacisnąć palce, poczuł lekkie ukłucie bólu. Syknął cicho.

[Zapomniałaś o zakrętkach, Lois.]

Lois mówiła powoli, bezmyślnie i obojętnie, jakby przemawiała przez sen.

[Nie... nie zapomniałam... wyrzuciłam je. Zielony człowiek mi kazał. Sprawiał wrażenie... ciepłego... ale co ja mogę wiedzieć? Pan Chasse przecież bez przerwy mi powtarzał, że jestem najbardziej łatwowierną kobietą pod słońcem i zawsze w każdym doszukam się dobrego. W każdym.]

Powoli wyciągnęła ręce i chwyciła go za przeguby. Przez cały czas wpatrywała się w jego oczy.

[Po prostu nie wierni]

Wypowiedzenie tej myśli najwyraźniej trochę ją otrzeźwiło. Wyprostowała się, mrugnęła kilkakrotnie, szybko. Ralph pomyślał, że mogła spać, że to prawdopodobne (choć zaledwie prawdopodobne) i że zielony człowiek po prostu się jej przyśnił. Lecz i tak najchętniej pewnie będzie wziąć kolczyki. Może i nic nie znaczą, ale znowu... w niczym nie mogą mu *przecież* zaszkodzić... oczywiście, jeśli się nimi nie skaleczy.

Lachesis: *[Ralph, co się stało? Coś złego?]*

Obaj z Klotem pozostali nieco z tyłu, nie słyszeli więc jego rozmowy z Lois. Ralph potrząsnął głową, ukrywając kolczyki w dłoni. Klo to przyniósł mu bluzę McGoverna, strzepując z niej po drodze kilka liści. Ralphowi udało się ukryć kolczyki w kieszeni, gdy ją wkładał.

Najwyższy czas brać się do roboty. Promieniujące z ramienia wzdłuż blizny ciepło odpowiedziało mu, od czego powinien zacząć.

[Lois?]

[Tak, kochanie?]

[Muszę skorzystać z twojej aury... i dużo ci z niej zabiorę. Rozumiesz dlaczego?]

[Tak.]

[Zgadzasz się?]

[Ależ oczywiście!]

[Bądź dzielna, to nie potrwa długo.]

Objął ją, splótł dłonie na jej karku. Lois powtórzyła ten gest. Pochylali się powoli, aż zetknęli się czołami, a ich usta dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Ralph czuł słaby, zanikający zapach jej perfum... pochodził zapewne ze słodkich dołeczków za uszami.

[Gotowa, kochanie?]

To, co usłyszał, zabrzmiało mu w uszach dziwnie, ale pociesząco.

[Tak, Ralph. Spójrz na mnie. Wejdz w światło. Wejdz w światło i weź światło.]

Ralph zwinął usta. Zrobił wdech. Pasma dymnego blasku połączyło ich usta i nosy. Jego aura natychmiast pojaśniała i robiła się coraz jaśniejsza, aż wreszcie otaczała go aureola światła, a on wdychał nadal oddechem, który przekroczył granice oddechu, blizna na ręce stawała się coraz gorętsza, aż wreszcie była jak pogrążony w skórze kabel pod napięciem. Nie mógłby przestać, nawet gdyby chciał... a wcale nie chciał.

Lois zachwiała się. Na moment jej wzrok zrobił się całkiem nieprzytomny, Ralph poczuł, jak złączone na karku dłonie rozplatają się. Potem wielkimi, błyszczącymi, ufnymi oczami znów spojrzała mu w oczy, a jej dłonie nabrały siły. Gdy gigantyczny wdech począł wreszcie dobiegać kresu, Ralph zdał sobie sprawę, że jej aura stała się prawie niewidzialna, że Lois jest blada jak śmierć i że włosy osiwiwały jej ponownie. Musi przestać, musi - inaczej po prostu ją zabije.

Zdołał jakoś wyrwać lewą dłoń z uścisku prawej, przerywając chyba w ten sposób coś w rodzaju obwodu, bo udało mu się zrobić krok wstecz. Lois zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie Kloto i Lachesis, wyglądający kubek w kubek jak lilipuci z „Podróży Guliwera”, którzy złapali ją pod ręce i bardzo ostrożnie posadzili na pobliskiej ławeczce.

Ralph opadł przed nią na kolano. Był nieprzytomny ze wstydu i rozpacz, a jednocześnie czuł moc tak wielką, iż zdawało mu się, że wystarczy nim potrząsnąć, a wybuchnie niczym butelka napełniona nitrogliceryną. Swoim ciosem karate mógłby teraz obalać domy, a może i całe rzędy domów.

Lecz nie zmieniało to faktu, że zranił Lois. Być może zranił ją bardzo poważnie.

[Lois! Lois, słyszysz mnie? Wybacz!]

Spojrzała na niego nieprzytomnie - kobieta, która dystans między czterdziestką a sześćdziesiątką przebyła w kilka sekund, a potem, jak rakieta padająca za wyznaczonym jej celem, poszybowała dalej, ku siedemdziesiątce. Spróbowała się uśmiechnąć, ale nie była to próba udana.

[Lois, wybacz. Nie wiedziałem, a kiedy już wiedziałem, nie mogłem przestać.]

Lachesis: *[Jeśli w ogóle masz mieć szansę, Ralph, musisz ruszać. On już tu prawie jest.]*

Lois również skinęła głową.

[Idź, Ralph. Nic mi nie jest, tylko czuję się trochę słabo. To przejdzie. Posiedzę sobie tutaj, póki mi nie wrócą siły.]

Spojrzała w lewo. Ralph powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem. Dostrzegł pijaczka,

którego wystraszyli wcześniej. Pijacek wrócił, znów szperał w śmietnikach, szukając butelek i puszek, i choć jego aura nie wyglądała tak zdrowo jak ich przyjaciela z torów kolejowych, zdaniem Ralpa mogła się nadać w tej rozpaczliwej sytuacji.

Kloto: [Dopilnujemy, by podszedł bliżej, nie martw się. Nie władamy wprowadzić fizycznym aspektem waszego świata, ale tego z pewnością zdołamy dokonać.]

[Na pewnoT]

[Oczywiście.]

[Dobrze. Doskonale.]

Ralph zerknął na dwóch małych łysych doktorków, dostrzegł, ile niepokoju - więcej, przerażenia! - jest w ich wzroku, i skinął głową. Następnie pochylił się i pocałował chłodny, pomarszczony policzek Lois. Lois uśmiechnęła się do niego uśmiechem dobrej starej babuni.

Ja jej to zrobiłem, pomyślał. Nikt inny tylko ja.

To lepiej postaraj się, żeby jej ofiara nie poszła na marne - powiedział głos Carolyn.

Pożegnalnym spojrzeniem obrzucił całą ich trójkę - Kloto i Lachesis stali obok siedzącej na ławce Lois niczym para ochroniarzy - i ruszył w dół wzgórza.

Kiedy dotarł do toalet, przystanął między nimi na chwilę, a potem oparł się o tę dla pań. Cisza. Kiedy jednak przyłożył głowę do niebieskiej ścianki toalety dla mężczyzn, usłyszał coś. Ktoś podśpiewywał słabym, brzęczącym głosem:

Kto wierzył w moje najdziksze marzenia

W najszalensze plany, najdziwniejsze sny

Nikt tylko ty, kochanie, tylko ty.

Boże, takiego szaleńca święta ziemia nie nosiła.

Też mi nowina, kochanie.

Rzeczywiście, żadna nowina. Otworzył drzwiczki. Teraz słyszał już także pszczele brzęczenie silnika samolotowego, nie widział jednak nic, czego nie oglądałby już tysiące razy: popękana deska leżąca krzywo na muszli, rolka papieru toaletowego na oko złowieszczo spuchnięta i, po lewej, pisuar jak plastikowa łaża. Ściany pokryte były napisami, z których największy i najbardziej ozdobny widniał nad pisuarem i głosił: TONY BOYNTON MA NAJCUDOWNIEJSZĄ CIASNĄ PICZKĘ W DERRY! Duszący, sosnowy zapach dezodorantu pokrywał smród szczyn, gówna i pijackich pierdów niczym makijaż twarzy trupa. Głos, który słyszał Ralph, wydawał się wybiegać z muszli klozetowej... lecz być może przesączał się tu przez ściany?

Kiedy idę spać, do łóżka

I kiedy rano przerywa mi słodkie sny

Kto jest w moich marzeniach?

Nikt tylko ty, kochanie, tylko ty.

Gdzie on jest? I jak, do cholery, mam się do niego dostać?

Nagle poczuł gorąco na biodrze, jakby ktoś wrzucił mu do kieszeni żarzący się węgielek. Zmarszczył brwi i nagle przypomniał sobie, co tam trzyma. Wsadził palec do kieszonki na zegarek i namacał złotą obrączkę. Wyciągnął ją, położył na dłoni, tam gdzie rozdzielają się linia życia i linia miłości. Ostrożnie trącił ją palcem. Znowu pochłodziła.

Wcale nie był tym bardzo zdumiony.

HD-ED 8-5-87.

- *Jeden, by wszystkimi rządzić, jeden, by wszystkie odnaleźć* - mruknął do siebie i włożył obrączkę na palec lewej ręki. Pasowała doskonale. Popchnął ją, aż dotknęła obrączki, którą na ten sam palec jakieś czterdzieści pięć lat temu włożyła mu Carolyn. A kiedy podniósł głowę, dostrzegł, że tylna ściana toalety znikła.

W ramie ścian, które pozostały na miejscu, widać było niebo dosłownie przed chwilą pozbawione słońca i wielki kawał

pejzażu stanu Maine tonący w niebieskoszarej mgłę zmierzchu. Ralph patrzył na niego z góry, z wysokości jakichś trzech

tysięcy metrów. Widział lśniące jeziora, stawy i szerokie pasy

zielonych lasów, podbiegające ku muszli klozetowej i znikające. W dali, mniej więcej pod sufitem toalety, widniało skupisko świateł. Było to z pewnością Derry - oddalone najwyżej

o jakieś dziesięć minut lotu. U dołu, kątem oka dostrzegł fragment tablicy instrumentów pokładowych; nad wysokościomierzem widniała mała kolorowa fotografia, na której widok dech mu zapało. Na zdjęciu Helen, nieprawdopodobnie piękna

i nieprawdopodobnie szczęśliwa, trzymała w objęciach najwyżej czteromiesięczne Wspaniałe & Niesamowicie Mądre Dziecko, śpiące jak aniołek.

To będzie ostatnia rzecz, jaką zobaczy na tym świecie. Zmieniono go w potwora, ale chyba nawet potwory nie zapominają, co to znaczy kochać.

Z tablicy instrumentów rozległ się pisk. Pojawiła się ręka, przestawiła wyłącznik. Nim znikła, Ralph dostrzegł wgłębienie na serdecznym palcu, niewyraźne, lecz nadal widoczne - ślad po obrączce nie zdejmowanej przez co najmniej sześć lat. Zauważył także coś innego: otaczająca rękę aura bardzo przypominała aurę upośledzonego dziecka ze szpitalnej windy: wzburzona, poruszająca się gwałtownie otoczka, tak obca dla oka jak atmosfera Jowisza.

Ralph obejrzał się i podniósł dłoń. Kloto i Lachesis odpowiedzieli podobnym gestem,

a Lois posłała mu całusa. Udał, że go łapie, odwrócił się i wszedł do ubikacji.

Zawahał się na moment, zastanawiając się, co zrobić z zajmującą całą szerokość muszlą, a potem przypomniał sobie wózek szpitalny, który powinien był rozwalić mu głowę, ale jakoś jej nie rozwalił. Ruszył ku tylnej ścianie zacisnąwszy zęby, pewien, że zaraz uszkodzi sobie piszczele - po siedemdziesięciu latach obijania się o różne sprzęty co innego jest wiedzieć, co innego spodziewać się - ale przeszedł przez muszlę jak przez mgłę... albo jakby to on utkany był z mgły. Zaraz potem doświadczył strasznego uczucia nieważkości. Zaczął spadać, przez chwilę był nawet pewien, że zwymiotuje. Towarzyszyło temu inne uczucie, jakby coś wyssało z niego większą

część zapożyczonej od Lois mocy. I pewnie rzeczywiście wyssało. Teleportował się przecież (albo coś w tym rodzaju), doświadczenie wprost z powieści science fiction, któremu musi towarzyszyć znaczny wydatek energii.

Opadanie ustało, zastąpione przez coś znacznie gorszego: wrażenie, że coś obcięło mu głowę. Nagle Ralph zdał sobie sprawę, że ma wspaniały widok na cały otaczający go świat.

Jezu Chryste, co się dzieje! Co się stało?

Zmysły, choć z pewnymi oporami, w końcu poinformowały go jednak, że nie, właściwie to nic się nie stało, po prostu znalazł się w sytuacji najzwyczajniej w świecie niemożliwej. Ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, a kabina samolotu zaledwie metr pięćdziesiąt wysokości, co oznacza, że każdy pilot wyższy od małych łysych doktorków musi w niej stać zgięty w pół. On zaś nie tylko dostał się na pokład samolotu w trakcie lotu, lecz w dodatku wyprostowany. I nadal stoi, wyprostowany, pomiędzy i nieco za dwoma bliźniaczymi siedzeniami. Powód, dla którego miał nie ograniczony niczym widok na świat, okazał się prosty, lecz przerażający: głowa sterczała mu ponad kadłub.

Niczym w koszmarze przypomniał mu się jego stary pies, Rex, który uwielbiał jeździć na siedzeniu pasażera z łbem wystawionym przez otwarte okno i powiewającymi na wietrze uszami. Zamknął oczy.

Co będzie, jeśli wypadnę? Jeśli mogę wystawić łeb wprost przez jakiś cholerny sufit, to mogę przecież wylecieć wprost przez jakąś cholerną podłogę i zlecieć na ziemię. Albo przelecieć przez Ziemię na drugą stronę.

Nic takiego nie zdarzyło się jednak i nie miało zdarzyć, przynajmniej na tym poziomie. W końcu łatwo przelatowali przez podłogi szpitala, a później spokojnie i pewnie stali na dachu. Jeśli o tym nie zapomni, nic mu się nie stanie. Skupiony na tej pocieszającej myśli, zdobył się na odwagę i otworzył oczy.

Tuż przed oczami miał pochyloną szybę kokpitu, nieco dalej wydłużony nos samolotu,

zakończony srebrną mgiełką obracającego się szybko śmigła. Światła miasta, które dostrzegł jeszcze w toalecie, były znacznie bliższe.

Ugiął kolana; głowa gładko przeszła przez sufit kabiny. Przez chwilę czuł na wargach smak oleju, włoski w nosie zjeżyła mu elektryczność statyczna - a potem klęczał już pomiędzy siedzeniami pierwszego i drugiego pilota.

Ralph właściwie nie wiedział, czego powinien się spodziewać, jakich doświadczy wrażeń, widząc Eda po tylu dniach i w tak niezwykle ekstrawaganckich okolicznościach. Ukłucie żalu - nie litości, lecz szczerego żalu - sprawiło mu jednak sporą niespodziankę. Tak jak tego letniego dnia 1992 roku, kiedy najechał na pikapa Grubego, Ed miał na sobie podkoszulek zamiast eleganckiej koszulki polo z guzikami z przodu i karczkiem z tyłu. Strasznie schudł - być może nawet dwadzieścia kilo - i o dziwo, wyglądał nie jak człowiek wynędzniały, lecz raczej jak bohater romantycznego poematu. Ed był też bardzo blady, a jego zielone oczy za okrągłymi okularkami w stylu Johna Lennona wydawały się jednocześnie mroczne i rozświetlone (niczym szmaragdy w blasku księżyca, pomyślał natychmiast Ralph). Usta w białej jak papier twarzy sprawiały wrażenie nienaturalnie czerwonych, prawie pociągniętych szminką. Białą chustą przewiązał tym razem czoło, jej końce spadały mu na kark. Zamknięta w wirze niespokojnej aury, inteligentna, ruchliwa twarz Eda Deepneau promieniowała wręcz straszliwym żalem i żelazną determinacją. Był piękny - tak, piękny! - a Ralph doznał gwałtownego uczucia *deja vu*, tylko że teraz widział to, co zobaczył, wkraczając między Eda a Grubego, a wtedy jedynie się tego domyślał. Patrzył na mężczyznę zamkniętego w wirze nienaturalnej, groźnej aury, tak jak patrzyłby na szczątki wspaniałej wazy z epoki Ming rozbitej beztrąsco o ścianę.

Ale przynajmniej mnie nie widzi. Nie na tym poziomie.

Jakby odpowiadając na tę myśl, Ed obrócił się i spojrzał wprost na niego. Oczy miał rozszerzone, pełne szaleńczej czujności i Ralph uchylił się, pewien, że jednak został dostrzeżony. Ed nie zareagował jednak na ten ruch, obrzucił tylko czteroosobowąabinę podejrzliwym spojrzeniem, jakby usłyszał ostrożne kroki skradającego się złodzieja. Jednocześnie sięgnął przez niego, by dotknąć kartonowego pudła, przypiętego pa- sami do fotela drugiego pilota. Przesunął po nim palcami, po czym poprawił chustę na głowie. Uczyniwszy to, zaśpiewał, a od tej piosenki Ralpa przeszły ciarki.

Jest pigułka, która cię powiększy

Jest pigułka, która zmniejszy cię

A ta, którą masz od mamy, nic a nic ci nie da...

Słusznie. „Spytaj Alicji, gdy trzy metry ma”.

Ralphowi serce waliło w piersi jak młot - to, jak obejrzał się na niego Ed, przeraziło go bardziej od lotu na wysokości trzech tysięcy metrów z głową wystającą ponad kadłub samolotu. Nie

został zauważony, był tego prawie stuprocentowo pewny, ale ten, kto powiedział, że zmysły szaleńców są bardziej wyostrzone niż zmysły nas wszystkich, wiedział, co mówi. Bo Ed z pewnością wyczuł, że w jego samolocie coś się święci. Radio skrzeknęło; obaj podskoczyli ze strachu.

- Do Cherokee nad South Haven. Jesteś na granicy przestrzeni powietrznej Derry, na wysokości wymagającej wypełnionego planu lotu. Powtarzam, jesteś na granicy kontrolowanej miejskiej przestrzeni powietrznej. Tyłek w górę, Cherokee, winduj się na cztery i pół tysiąca metrów, prędkość sto siedemdziesiąt, powtarzam, jeden-siedem-zero. A po drodze możesz się nam przedstawić i podać...

Ed zacisnął dłoń w pięść i zaczął nią walić w radio. Poleciało szkło, wkrótce leciała już także krew, zachlapując szkiełka instrumentów pokładowych, zdjęcie Helen i Natalie i czysty szary podkoszulek. Ed walił w radio, aż przemawiający przez nie głos najpierw zginął w wyciu sprzężenia, a potem ucichł.

- Świetnie - powiedział, kiedy skończył, cichym, jęklwym głosem człowieka często rozmawiającego z samym sobą. - o wiele lepiej. Nienawidzę tych wszystkich pytań. Pytania to... Dostrzegł krew na dłoni, przerwał, uniósł ją do oczu, zacisnął

pięść. Duży odłamek szkła wbił mu się w ciało na wysokości serdecznego palca. „Wyrwał go zębami, wypluł i zrobił coś, od czego serce Ralpa zamarło: przeciągnął pięścią najpierw po jednym policzku, potem po drugim, zostawiając na obu długie czerwone pasma. Z płóciennej kieszeni, umieszczonej na ścianie kadłuba, wyjął lusterko, ocenił jakość swoich barw wojennych

i najwyraźniej go głęboko usatysfakcjonowały, bo odkładając lusterko na miejsce, uśmiechał się i kiwał głową.

- Nie zapomnij o ostrożności jak ta wiewiórka, co zbierała orzeszki - udzielił sobie pożytecznej rady tym samym cichym, jęklwym głosem i popchnął dźwęk. Nos samolotu opadł, wysokościomierz zaczął się obracać. Derry znajdowało się wprost przed nimi, wyglądało jak garść opali rozrzuconych po czarnym aksamicie.

Z dziury w kartonowym pudle przypiętym pasami do fotela drugiego pilota wystawały dwa kable, przeciągnięte do zwykłego elektrycznego dzwonka przyklejonego taśmą do fotela Eda. Nietrudno było się domyślić, że gdy dostrzeże Centrum Obywatelskie i spikuje na nie w samobójczym ataku, uczyni to z dłonią na białym guziku, a tuż przed uderzeniem w ziemię

przyciśnie go. Bim-bom, dzień dobry, czy pana żona używa kosmetyków Avon?

Przerwij te przewody. Przerwij je, Ralph!

Wspaniała rada - tyle że ma jedną drobną wadę. Przebywając na tym poziomie, Ralph nie był w stanie przerwać nawet pajęczyny. Musiałby wrócić w krainę Krótkoterminowych. Już gotów był to uczynić, kiedy cichy, znajomy głos wymówił jego imię.

[Ralph.]

Głos z prawej strony? Niemożliwe! Przecież po jego prawej ręce nie było nic z wyjątkiem pustego fotela drugiego pilota, burty kabiny i mnóstwa ciemnego wieczornego powietrza Nowej Anglii.

Przez bliznę na ramieniu Ralpha przebiegł jakby lekki prąd.

[Ralph?]

Nie patrz. Nie zwracaj uwagi na ten głos. Zignoruj go.

Nie potrafił go zignorować, nie potrafił mu się oprzeć. Zawładnęła nim wielka, nieustępliwa siła i zaczęła odwracać mu głowę. Walczył świadom, że samolot zniża lot coraz szybciej, ale nic a nic mu to nie pomogło.

[Ralph, spójrz na mnie. Nie bój się.]

Resztką sił próbował sprzeciwić się głosowi, lecz daremnie. Głowa obracała mu się nadal i nagle stwierdził, że patrzy na matkę - matkę, która dwadzieścia pięć lat temu umarła na raka płuc.

Bertha Roberts siedziała na bujaku jakieś półtora metra za miejscem, gdzie jeszcze przed chwilą była burta samolotu, unosząc się w powietrzu przeszło półtora kilometra nad ziemią, robiąc na drutach i bujając się w fotelu. Na nogach miała kapcie, które podarował jej na pięćdziesiąte urodziny - z prawdziwym futerkiem z norek, bardzo eleganckie - ramiona zaś osłaniał jej różowy szal, spięty starym znaczkiem z napisem „Zwycięz z Wilkiem”.

Rzeczywiście. Używała ich jak biżuterii - taki śmieszny drobiazg. Całkiem zapomniałem.

Nie zgadzało się tylko jedno - oczywiście jeśli pominąć fakt, że nie żyła, że unosiła się w powietrzu i leniwie bujała w fotelu półtora kilometra nad ziemią - a mianowicie jaskrawoczerwony kawał koca na jej kolanach. Ralph nigdy nie widział matki robiącej na drutach, nie był nawet pewien, czy

umiała robić na drutach, a tym właśnie wypełniała sobie teraz czas. Igły śmigały w powietrzu.

[Mamo? Mamo? To naprawdę ty?]

Igły zamarły, głowa uniosła się. Tak, to na pewno była jego matka, w wersji, którą

widował jako nastolatek. Wąska twarz, wysokie, inteligentne czoło, piwne oczy, siwe włosy spięte na karku w ciasny kok, wąskie usta sprawiające wrażenie surowych... póki się nie uśmiechnęła.

[Ralphie Roberts! Zdumiewa mnie, że w ogóle zadajesz takie pytanie.]

Przecież nie sposób uznać tego za wyczerpującą odpowiedź! Już otwierał usta, żeby to głośno powiedzieć, lecz w ostatniej chwili zdecydował, że - przynajmniej na razie - lepiej milczeć. Po prawej ręce matki pojawił się nagle jakiś niewyraźny, mleczny kształt, który ściemniał i na jego oczach zmienił się w zabójcowany na wiśnię regał na pisma, który zrobił jej na zajęciach z prac ręcznych w ostatniej klasie liceum, zapchany egzemplarzami *Rider's Digest* i *Life*. Ziemia także zaczęła znikać, przykryta brązowymi i ciemnoczerwonymi kwadratami, które pojawiły się najpierw pod fotelem, a potem rozbiegły we wszystkich kierunkach jednocześnie. Rozpoznał je natychmiast: linoleum na, kuchennej podłodze domu na Richmond Street na Mary Mead, domu, w którym dorastał. Zrazu widział jeszcze przez nie ziemię, regularne prostokąty pól i - całkiem niedaleko - przecinającą Derry rzekę Kenduskeag, ale nie trwało to długo. Niewyraźna owalna plama, jakby obłoczek dymu, zmieniła się w angorskiego kota matki imieniem Futzy, który, zwinięty na parapecie, przyglądał się przez okno mewom krążącym nad starym wysypiskiem na Pustkowiach. Futzy zdechł mniej więcej w czasie, kiedy Dean Martin i Jerry Lewis przestali kręcić wspólnie filmy.

[Ten starzec miał rację, chłopcze. Nie powinieneś wtykać nosa w sprawy Długoterminowych. Masz słuchać matki i trzymać się z dala od tego, co cię nie obchodzi. Uważaj, kiedy mówię]

„Masz słuchać matki. Uważaj, kiedy mówię!” Te słowa doskonale sumowały uprawianą przez Berthę Roberts sztukę i naukę wychowania dzieci. Oczywiście! Niezależnie od tego, czy po obiedzie kazała ci czekać godzinę na kąpiel, czy też dopilnować, żeby ten stary złodziej Butch Bowers nie nałożył do koszyka zgniłych ziemniaków, po które posłała cię do sklepu, jej monologi zaczynały się zawsze od słów: „Masz słuchać matki”, a kończyły słowami: „Uważaj, kiedy mówię!”

A jeśli nie słuchałeś matki, jeśli nie uważałeś, kiedy mówi, musiałeś stawić czoło Gniewowi Matki i niech cię Bóg ma w swojej opiece.

Igły znów zamigotały. Czerwona wełna przesuwiała się między palcami, które również sprawiały wrażenie czerwonych. Pewnie złudzenie. A może farba na wełnie nie była tak całkiem sucha... może to ona zabarwiła mu palce.

Jemu? Co za idiotyczny błąd. Jej, oczywiście!

Tylko że...

No, z kącików jej ust wyrastały kępkі włosów. Długich. Takich... nieprzyjemnych. Kiedyś ich nie było. Meszek tak, ale wąsy? Nie, to coś zupełnie nowego.

Nowego? Nowego? O czym ty w ogóle myślisz! Umarła w Los Angeles dwa lata po zabójstwie Roberta Kennedy'ego, więc na litość boską, co może być w niej nowego?

Z dwóch stron fotela rozkwitły ściany tworząc kuchenny kąt, w którym spędzała zawsze tyle czasu. Na jednej ze ścian wisiał obraz; Ralph doskonale go pamiętał. Obraz przedstawiał rodzinę - tatę, mamę, dwójkę dzieci. Jedli posiłek: chleb, kukurydzę i najwyraźniej dzielili się ze sobą wrażeniami minionego dnia. Żadne nie widziało, że w pokoju, oprócz nich, znajduje się jeszcze piąta osoba: mężczyzna o jasnej brodzie i długich włosach, ubrany w białe szaty, stojący w kącie i przyglądający się im uważnie. „Chrystus, niewidzialny gość” - głosił podpis. Tylko że na obrazie Chrystus, którego zapamiętał Ralph, był łagodny i jakby nieco zawstydzony tym, że złapano go na podsłuchiwanie, ten zaś wyglądał na chłodnego sędziego, szykującego się właśnie do wydania wyroku, najprawdopodobniej skazującego. I rumieńce miał jaskrawe, jakby się wściekał, jakby usłyszał coś, co wprawiło go w straszny gniew.

[Mamo, czy ty...?]

Matka odłożyła druty na czerwony koc, taki dziwnie lśniący czerwony koc i podniosła dłoń uciszając go.

[Żadne „mamo „, Ralph. Słuchaj matki i uważaj, kiedy mówię. Trzymaj się od tego z daleka. Za późno na mieszanie się w cudze sprawy, na psucie i wtrącalstwo. Możesz tylko wszystko pogorszyć.]

Głos był w porządku, ale twarz wydawała się zła i stawała się jeszcze gorsza. Była to głównie kwestia skóry. Gładka, całkowicie pozbawiona zmarszczek skóra była jedyną słabością Berthy Roberts... a tymczasem skóra stwora na fotelu wydawała się chropawa, nie, więcej niż chropawa. Wydawała się

łuskowata! I te zgrubienia po obu stronach szyi... jak wrzody. Na ich widok na Ralpa spadło...

(zdejmij go dla mnie, Johnny, proszę, zdejmij go dla mnie...)

strasznego wspomnienie. I...

Aura. Gdzie jest jej aura?

[Nie o moją aurę teraz chodzi i nie o tę grubą dziwkę, z którą się włączysz... chociaż założę się, że Carolyn przewraca się w grobie.]

Usta kobiety

(nie kobiety, ten stwór to nie kobieta)

siedzącej na bujanym fotelu wcale już nie były małe. Dolna warga rozciągnęła się, urosła, zwisała. Sprawiało to wrażenie ponurego uśmiechu. Przedziwnie znajomego ponurego uśmiechu.

(Johnny on mnie gryzie gryzie mnie...)

W długich wąsach wyrastających z kącików ust też było coś tak przerażająco znajomego.

(Johnny proszę te czarne oczy te straszne czarne oczy)

[Johnny nic ci nie pomoże, chłopcze. Nie pomógł ci wtedy i nie jest w stanie pomóc ci teraz.]

Oczywiście. Starszy brat Ralph, Johnny, zmarł sześć lat temu. Ralph niósł nawet trumnę na jego pogrzebie. Zabił go atak serca, być może tak przypadkowy, jak ten, który powalił Billa McGovern. I...

Ralph obrócił się w lewo, lecz kabina po stronie pilota znikła także, a wraz z nią Ed Deepneau. Na ich miejscu pojawił się stary piec na drewno i gaz, na którym matka gotowała w domu na Richmond Street (nigdy nie polubiła tego zajęcia i zawsze kiepsko jej szło), oraz łuk prowadzący do jadalnego. Przez łuk widział klonowy stół, na nim szklany dzbanek wypełniony obrzydliwie jaskrawoczerwonymi różami, a każda róża wydawała się mieć twarz... nalaną krwią twarz...

Przecież nic tu się nie zgadza. W domu nigdy nie było róż, miała uczulenie na kwiaty, a na róże najgorsze. Kiedy tylko znalazła się obok nich, zaraz kichała jak szalona. W tym dzbanku widywałem właściwie tylko „indiański bukiet”, a to przecież nic innego jak jesienne trawy. Teraz widzę róże, bo...

Spojrzał na siedzące w fotelu stworzenie, na czerwone palce, które złączyły się już w coś przypominającego raczej płetwy. Spojrzał na czerwoną błyszczącą masę spoczywającą na kolanach stwora i blizna na ramieniu znów dała o sobie znać. Jakby przebiegł przez nią lekki prąd.

Na litość boską, co tu się właściwie dzieje?

Lecz przecież doskonale widział, co tu się właściwie dzieje. Wystarczyło spojrzeć najpierw na tę czerwoną masę, później na obraz przedstawiający zaczerwienionego z wściekłości, złowrogięgo Chrystusa przyglądającego się rodzinie przy kolacji, żeby wiedzieć, co tu się właściwie dzieje.

Nie był oczywiście w starym domu na Mary Mead i nie całkiem był w samolocie.

Był na dworze Karmazynowego Króla.

Rozdział 10

Ralph nie myślał, dlaczego właściwie to robi. Wsunął dłoń do kieszeni bluzy i ujął spoczywający w niej kolczyk Lois. Własna ręka wydała mu się daleka, obca, jakby należała do kogoś innego. Zdał sobie sprawę z czegoś wyjątkowo interesującego - przez całe życie, aż do dziś, nigdy tak naprawdę się nie bał. Dosłownie nigdy. Oczywiście, często wydawało mu się, że się boi, ale było to tylko złudzenie, choć raz prawie się rzeczywiście przestraszył, a mianowicie tego dnia w bibliotece, kiedy Charlie Pickering dziabnął go nożem pod pachą i powiedział, że wypruje mu flaki na podłogę. W porównaniu z tym, co czuł teraz, tamto jednak wydawało się wyłącznie chwilową przykrością.

Pojawił się zielony człowiek... sprawiał wrażenie dobrego, ale mogę się mylić.

Miał nadzieję, miał szczerą nadzieję, że Lois się nie pomyliła. Bo ten zielony człowiek był teraz jego jedyną nadzieją.

[Ralph! Opanuj się! W tej chwili! Kiedy matka do ciebie mówi, masz na nią patrzeć! Siedemdziesiątka ci stuknęła, a zachowujesz się jak przekorny szesnastolatek!]

Obrócił się w stronę stwora o czerwonych płetwach, siedzącego w bujanym fotelu. Zaledwie przypominał jego matkę.

[Nie jesteś moją matką, a ja ciągle znajduję się w samolocie.]

[Ależ nie, chłopcze. Popelniasz błąd myśląc, że jesteś w samolocie. Wystarczy jeden krok poza moją kuchnię i... będziesz spadał bardzo długo.]

[Możesz dać sobie spokój. Widzę, czym jesteś.]

Stwór przemówił bełkotliwym, zdławionym głosem, który zmienił kręgosłup Ralpha w cienką linię lodu.

[Wcale nie! Być może wydaje ci się, że widzisz, ale nie ma w tym za grosz prawdy. I nie chciałbyś mnie zobaczyć bez przebrania. Uwierz mi, Ralph, z całą pewnością nie chciałbyś zobaczyć mnie bez przebrania.]

Przerażony bardziej niż kiedykolwiek Ralph zdał sobie nagle sprawę, że stwór, który był jego matką, zmienił się w wielką samicę suma, potwora z dna błotnistych stawów z zębami błyszczącymi w otwierającym się i zamykającym rytmicznie pysku i wąsami zwisającymi prawie na szal, który miał nadal na sobie. Strzela na jego szyi otwierały się i zamykały niczym ostrza nożyc, ukazując nagie, różowe mięcho. Widział, jak okrągłe, niemal fioletowe oczy rozsuwają się... i jak zamierają wreszcie po bokach raczej niż z przodu

łuskowatego pyska.

[Nie waż się ruszyć nawet paluszką, Ralph. Prawdopodobnie i tak zginiesz w eksplozji, niezależnie od tego, na jakim jesteś poziomie - fala uderzeniowa rozchodzi się tu równie dobrze jak w budynku - ale ta śmierć będzie znacznie lepsza od śmierci z mojej ręki.]

Sum rozwarł pysk koloru krwi, w którym błyszcząły ostre zęby, a za zębami pulsowało ciało pełne wstrętnych flaków i obrzydliwych narośli. Chyba się z niego śmiał.

[Kim jesteś? Czy jesteś Karmazynowym Królem?]

[Tak mnie nazywa Ed. Ty jednak powinieneś nazwać mnie po swojemu, prawda? No, to pomyślmy. Jeśli nie chcesz, żebym był mamą Roberts, ochrzczij mnie Królem Ryb. Pamiętasz Króla Ryb z radia, prawda?]

Tak, oczywiście, pamiętał... lecz prawdziwy Król Ryb wcale nie występował w „Amos i Andy” i właściwie nie był królem, lecz Królową, żyjącą na Pustkowiach.

Pewnego letniego dnia siedmioletni wówczas Ralph Roberts wędkował wraz ze swym bratem Johnnym i udało mu się złowić w Kenduskeag wielką rybę - a były to czasy, kiedy to, co złowiło się na Pustkowiach, można było bezpiecznie jeść. Poprosił brata, żeby mu zdjął z haczyka miotającą się konwulsyjnie rybę, lecz brat odmówił, z wyższością powołując się na to, co nazwał „pierwszym przykazaniem wędkarza”: dobry wędkarz sam wiąże własne muchy, sam wykopuje dżdżownice i sam zdejmuje z haczyka własne ryby. Dopiero później przyszło

Ralphowi do głowy, że Johnny być może ukrywał wówczas przed nim swój własny strach przed wielkim, w jakiś sposób niepojętym stworzeniem, które młodszemu braciszкови udało

Sie Wyciągnąć Z błotnistych, ciemnych *niczym szczyńny wód Kenduskeag.*

W końcu jednak Ralph zdobył się na odwagę i złapał ruchliwego suma, śliskiego, łuskowatego i drażniącego dłoń wszystko naraz. Kiedy już trzymał go w garści, John dołał oliwy do ognia, ostrzegając go zduszonym głosem, żeby uważał na wąsy. „Są trujące, wiesz? Bob Thernault powiedział, że jeśli cię zranią, dostajesz paraliżu i resztę życia spędzasz w wózku inwalidzkim. Więc lepiej uważaj, Ralph”.

Ralph kręcił rybą na wszystkie strony, starając się wydobyć haczyk, który uwiązał gdzieś w głębi czarnych wilgotnych trzewi, i nie skaleczyć się przy tym wąsami (nie wierzył w opowieść o truciźnie, a jednocześnie wierzył w nią bez zastrzeżeń). Przez cały czas świadom był ruchu skrzeli, wpatrzonych w siebie ślepi oraz rybiego smrodu, z każdym oddechem coraz głębiej wnikał mu w płuca.

W końcu poczuł, jak gdzieś w głębi suma coś się przerywa, coś puszcza, i haczyk

zaczął wychodzić. Z kącików rozdziawionego, poruszającego się rytmicznie pyska zdychającej ryby popłynęła świeża krew. Westchnął z ulgą, lecz - jak się okazało - przedwcześnie. W momencie gdy haczyk wreszcie wyszedł, sum potężnie machnął ogonem, a jednocześnie ręka, którą Ralph trzymał żyłkę, osunęła się i zakrwawiony pysk zamknął mu się na dwóch palcach.

Czy czuł wówczas ból? Jaki ból? Wielki? Niewielki? Żaden? Nie pamiętał. Pamiętał za to stuprocentowo autentyczny wrzask przerażenia brata, a także własną, równie autentyczną pewność, że oto płaci za rybie życie dwoma palcami.

Pamiętał też, że wrzeszczał, że potrząsał ręką, że błagał Johnny'ego o pomoc, ale Johnny cofał się, blady jak śmierć, z ustami zaciśniętymi w wyrazie obrzydzenia, a on tylko wymachiwał dłonią, choć sum nie puszczał, tylko wąsami

(zatrutymi wąsami resztę życia spędzę w wózku inwalidzkim)

smagał mu przegub i gapił się na niego czarnymi ślepiami.

W końcu walnął nim w drzewo. Sum padł na trawę, ciągle się rzucając, więc go przydepnął, i wtedy stało się najgorsze. Sum wyrzygał pyskiem flaki, z miejsca zaś, w którym ciało otwarł obcas jego buta, wypłynęła krwawa ikra. Dopiero wtedy Ralph zdał sobie sprawę, że to był nie Król, lecz Królowa Ryb.

Przeniósł wzrok z leżącego w trawie obrzydliwego potwora na zakrwawioną rękę i zawył jak upiór. Kiedy Johnny położył mu dłoń na ramieniu, pragnąc go uspokoić, Ralph uciekł. Biegł przez całą drogę do domu. *Do* wieczora nie opuścił swojego pokoju. Dopiero po roku zjadł kawałek ryby, a nigdy w życiu nie ruszył już suma i nawet na niego nie spojrzął.

[Ralph!]

Był to głos Lois... ale taki daleki. Taki straszliwie daleki.

[Musisz coś zrobić. Musisz coś zrobić natychmiast. Nie daj im się!]

Dopiero teraz Ralph pojął, że za koc na kolanach matki wziął otulającą Karmazynowego Króla krwawą ikrę, a zza tej żywej zasłony wysuwał ku niemu łeb sam Król. Pysk drżał mu w parodii troski.

[Coś ci się stało, Ralphie? Paluszek boli? Powiedz mamie!]

[Nie jesteś moją matką.]

[Nie? Więc będę Królową Ryb. Będę dumna i będę blada. Będę karać i będę rządzić! Mogę być, kim tylko zechcę. Zmiana kształtów to stary, szanowany zwyczaj tu, w Derry, choć być może nie zdajesz sobie z tego sprawy.]

[Znasz zielonego człowieka, z którym spotkała się Lois?]

[Ależ oczywiście. Znam wszystkich sąsiadów.]

Lecz w rybim pysku Ralph dojrzał zdumienie.

Temperatura ramienia podskoczyła mu jeszcze odrobinę. Nagle uświadomił sobie, że gdyby tu była Lois, prawdopodobnie nie zdołałaby go zobaczyć. Królowa promieniowała pulsującym, coraz silniejszym światłem i światło to powoli go ogarniało. Choć czerwone, a nie czarne, ono także było torbą śmierci. Ralph właśnie dowiadywał się, jak to jest, kiedy otoczy cię pajęczyna utkana z najgorszych strachów i najstraszniejszych wspomnień. Pajęczyna, z której nie sposób się wydostać i której nie sposób rozciąć, tak jak rozciął torbę otaczającą obrączkę Eda.

Jeśli w ogóle mam uciec, muszę pobiec przed siebie jak najszybciej potrafię i przerwać ją z drugiego końca.

W dłoni nadal trzymał kolczyk. Obrócił go tak, że nagi szpikulec sterczał mu między palcami, które sum próbował odgryźć przed sześćdziesięciu trzema laty.

Potem odmówił krótką modlitwę, nie do Boga jednak, lecz do zielonego człowieka Lois.

Sum jeszcze bardziej wychylił się z bujaka; pysk miał skrzywiony w komiksowym, kpiącym uśmiechu. Obnażył przy tym zęby dłuższe i ostrzejsze niż przed chwilą. Na końcach jego wąsów Ralph dostrzegł krople bezbarwnego płynu.

Trucizna, pomyślał. Resztę życia spędzę w wózku inwalidzkim. Jezu, jestem przerażony, jestem cholernie, śmiertelnie przerażony!

Lois, krzyząc z bardzo, bardzo daleka: *[POŚPIESZ SIĘ! MUSISZ SIĘ POŚPIESZYĆ!]*

Gdzieś - znacznie bliżej - krzyczał chłopiec, chłopiec krzyczał i machał ręką z palcami we wnętrzościach cholerniej ciężarnej ryby, która nie miała zamiaru ich puścić.

Sum pochylił się jeszcze bliżej. Zaszleścił szlafrok, który miał na sobie. Perfumy matki, Saint Elena, zmieszały się z ohydny rybim smrodem.

[Oczekuję, że misja Eda Deepneau zakończy się powodzeniem, Ralph. Oczekuję, że chłopiec, o którym opowiedzieli ci przyjaciele, umrze w ramionach matki, i oczekuję, że umrze na moich oczach. Pracowałem bardzo ciężko tu, w Derry, i nie sądzę, bym oczekiwał zbyt wiele. Wygląda jednak na to, że powinienem skończyć z tobą jak najszybciej...]

Ralph postąpił krok w stronę tego straszego smrodu. Widział już kształt ukryty za kształtem matki, za kształtem Królowej, widział błyszczącego mężczyznę, czerwonego mężczyznę

o chłodnych oczach i bezlitośnie zaciśniętych wargach, mężczyznę przypominającego Chrystusa... ale tego, którego oglądał przed chwilą, a nie tego z obrazka w kuchni.

W czarnych, pozbawionych powiek oczach Królowej...

i w zimnych oczach ukrytego w niej mężczyzny... pojawił się wyraz zdumienia.

[Co ty wyprawiasz! Odczep się ode mnie! Chcesz resztę życia spędzić w wózku inwalidzkim?]

[Potrafię wyobrazić sobie gorsze rzeczy, przyjacielu. Przecież już nigdy w życiu nie zagram na pierwszej bazie!]

Głos uniósł się, stał się głosem jego matki... kiedy była zła, bardzo zła.

[Masz słuchać matki, chłopcze! Masz słuchać matki i uważać, kiedy mówię!]

Zapamiętane z dzieciństwa polecenia, wydawane głosem tak niesamowicie podobnym do głosu matki, sprawiły, że zawahał się na moment, oprzytomniał jednak natychmiast. Królowa wtuliła się w fotel, pod starym szlafrokiem widać było jej drgający ogon.

[Co ty wyprawiasz!?!]

[Właściwie nie wiem, ale może chcę cię pociągnąć za wąsy? Sprawdzić, czy są prawdziwe?]

Ralph przywołał na pomoc całą siłę woli, dzięki której nie uciekł jeszcze z krzykiem, i wyciągnął prawą rękę. W dłoni, jak niewielki ciepły kamyk, zaciskał kolczyk Lois. Czuł też bliskość samej Lois; wchłonał przecież tyle jej aury, że być może Lois była już częścią jego samego? W każdym razie jej bliskość koła, uspokajała.

[Nie! Nie ośmielisz się! Zostaniesz sparaliżowany!]

[Sumy nie są jadowite. To tylko historia wymyślona przez dziesięcioletniego chłopca, który w dodatku był bardziej przerażony niż ja sam!]

Sięgnął po wąsy dłonią, w której ukrył otwarty kolczyk. Wielki łuskowaty łeb cofnął się - Ralph z góry wiedział, że się cofnie - po czym zaczął się rozplýwać i zmieniać, a wokół niego pojawiła się czerwona aura. Gdyby cierpienie i ból miały kolor, pomyślał Ralph, byłaby nim ta właśnie czerwień. Lecz nim zaszły dalsze zmiany, nim mężczyzna, którego widział teraz wyraźnie - wysoki i potwornie, fascynująco przystojny, jasnowłosy i czerwonoooki - przestąpił przez lśniącą granicę iluzji, którą na niego rzucił, Ralph uderzył ostrym szpikulcem kolczyka wprost w wyłupiaste rybnie oko.

Sum wydał z siebie przerażający, wibrujący dźwięk (przypominał śpiew cykady) i próbował się cofnąć. Gwałtownie machał ogonem z furkotem wentylatora, w który wpadł kawałek papieru. Obsunął się w bujaku, zmieniającym się właśnie w coś w rodzaju tronu wydrążonego w bladuróżowym kamieniu. I nagle ogon znikł i znikła Królowa i na tronie siedział sam Karmazynowy Król z przystojną twarzą, skrzywioną w grymasie bólu i zdumienia. Jedno jego oko płonęło na czerwono

jak oko rysia, drugie świeciło upiornym, wielobarwnym blaskiem diamentu..

Lewą ręką Ralph sięgnął po koc ikry, zdarł go i po drugiej stronie pustki, po drugiej stronie torby śmierci nie zobaczył nic z wyjątkiem czerni. Droga wyjścia.

[Zostałeś ostrzeżony, ty Krótkoterminowy sukinsynu! Sądziysz, że dam się ciągnąć za wąsy? No, to zobaczymy. Po prostu... zobaczymy.

Karmazynowy Król znów wychylił się z tronu, usta miał rozdziawione. *Ralph zwalczył pokusę Cofnięcia pUStej teraz* dłoni i pchnął nią w czekającą na nią gębę, gotową ją pochłonąć jak pysk suma dawno, dawno temu, na Pustkowiach.

Coś - nie ciało jednak - najpierw otarło się i popęzło mu po ręce, a potem zaczęło ją kąsać niczym końskie muchy. Jednocześnie poczuł ukąszenia zębów... nie, klów! Lada chwila Karmazynowy Król przegryzie mu nadgarstek, pożre dłoń!

Zamknął oczy i natychmiast odnalazł ów wzór myśli, tę głębię koncentracji, które pozwalały poruszać się między poziomami; ból i strach najwyraźniej nie były tu przeszkodą. Tym razem jednak jego celem nie było wzlecieć lub opaść, lecz nastawić. Kloto i Lachesis umieścili mu w ramieniu pułapkę. Teraz nadszedł czas jej uruchomienia.

Mrugnięcie w głowie. Blizna na ramieniu natychmiast rozjarzyła się do białości, przekraczając masę krytyczną; żar nie oparzył go, wypromieniował z ciała rozszerzającą się kulą. Ralph był też świadom zielonego błysku; przez moment miał wrażenie, że wokół niego wybuchło Szmaragdowe Miasto Oz. Ktoś - lub coś - straszliwie wrzasnął. Ten wrzask doprowadziłby go do szaleństwa, gdyby trwał długo. Na szczęście jednak urwał się w tępy, donośnym huku. Ralphowi kojarzył się z wybuchem fajerwerku, który wrzucił kiedyś do metalowej rury kanalizacyjnej.

I nagle moc wybuchła wokół niego wachlarzem wichru i blednącego zielonego światła. Przez ułamek sekundy widział niewyraźny, zniekształcony obraz Karmazynowego Króla, już nie przystojnego i nie młodego, lecz starego, potwornego, bardziej nieludzkiego niż najdziwaczniejsze ze stworzeń, jakie kiedykolwiek przekroczyły w tę czy w tamtą stronę krótkoterminowy poziom istnienia. Nagle coś się otwarło ponad ich głowami, ujawniając ciemność przeszywaną niespokojnymi błyskami i punktami kolorów. Wiatr wydawał się wciągać Karmazynowego Króla w tę ciemność jak liść w przewód kominowy. Barwy się rozjaśniły; Ralph musiał się odwrócić i zakryć dłonią porażone oczy. Pojął, że oto otworzyło się przejście między poziomem, na którym się znajdował, i niewiarygodną wręcz liczbą poziomów ponad nim. Pojął także, że gdyby zbyt długo wpatrywał się w rosnący blask, w

[światło śmierci]

wirujące kolory, śmierć nie byłaby już najgorszą rzeczą z tych, które mogłyby mu się przydarzyć, lecz najlepszą. *Zamknął nie tylko oczy - zamknął także umysł.*

A w chwilę później wszystko się skończyło. Znikł stwór, który przedstawił się Edowi jako Karmazynowy Król, znikła kuchnia starego domu przy Richmond Street, znikł bujany fotel matki. Ralph klęczał znów w powietrzu niespełna dwa metry w prawo od dziobu cherokee z rękami podniesionymi do twarzy - takim gestem dziecko osłania się na widok okrutnego ojca. Spojrzał między kolanami, w dół... i dokładnie pod sobą dostrzegł Centrum Obywatelskie wraz z parkingiem. Zrazu myślał, że oczy płatają mu figła, bowiem oświetlające parking lampy sodowe wydawały się rozbiegać, trochę jak tłum bardzo wysokich i bardzo chudych ludzi, którzy zaczynają się rozchodzić, bo skończyła się największa atrakcja wieczoru. I sam parking też... on też... rósł.

Nie, nie rośnie, pomyślał chłodno. Zbliża się. Zaczął się ostatni lot kamikaze.

Ralph trwał tak, nieruchomy, oczarowany. Stał się oto mityczną istotą, umieszczoną gdzieś między człowiekiem a Bogiem. Bogiem oczywiście nie był (żaden Bóg nie mógł być tak przerażony i tak zmordowany), ale z pewnością był także przykutym do ziemi człowiekiem. Leciał, naprawdę leciał; widział wokół niczym nie ograniczoną ziemię i...

[RALPH!]

Krzyk Lois podziałał na niego jak strzał za plecami. Uchylił się i w chwili gdy oderwał wzrok od hipnotyzującego obrazu zbliżającej się ziemi, odzyskał zdolność ruchu. Powstał, ruszył w stronę samolotu. Szedł zwyczajnie, normalnie, jakby przechodził z pokoju do pokoju we własnym domu. Wiatr nie wiał mu w twarz, nie poruszył nawet włoska na głowie, a kiedy zahaczyło go wirujące śmigło, nie doznał krzywdy, podobnie jak nie doznałby jej dym.

Przez chwilę widział bladą, przystojną twarz Eda - twarz wędrowca, który przybył pod drzwi starej gospody w poemacie zawsze doprowadzającym Carolyn do łez - ale zamiast wcześniejszej litości i żalu teraz czuł tylko gniew. Wprawdzie Ed Deepneau, podobnie jak on, był tylko pionkiem przesuwany po szachownicy, lecz skierował samolot na gmach pełen prawdziwych ludzi. Niewinnych ludzi. W jego nieruchomej jak kamień, obojętnej twarzy, w pełnych oszołomienia oczach było przecież coś dziecinnego, przekornego, złośliwego. Przechodząc przez ścianę kadłuba, Ralph zdążył jeszcze pomyśleć: „Sądzę, że mimo wszystko zdajesz sobie sprawę z tego, jakie zło masz zamiar wyrządzić. Sądzę także, że mógłbyś wyrwać się spod jego wpływu... *Przecież panowie K. i L. powiedzieli wyraźnie, że zawsze możemy wybierać. Jeśli się nie mylili, to do diabła, ty też jesteś winien!*”

Przez moment głowa Ralpha sterczała jeszcze nad kokpitem, a potem klęknął jak

poprzednio. Centrum Obywatelskie było tak blisko, że poza nim w szybie nie widział nic więcej. Zdał sobie sprawę, że już za późno, by powstrzymać Eda przed zrobieniem czegokolwiek.

Ed zerwał dzwonek przyklejony taśmą do oparcia fotela. Trzymał go teraz w zaciśniętej garści.

Ralph sięgnął do kieszeni. Chwycił pozostały mu kolczyk, zamknął go w dłoni tak, że ostry szpikulec zameczka sterczał mu między palcami. Wokół drugiej dłoni zwinął przewody prowadzące od kartonowego pudła do dzwonka, po czym zamknął oczy, skoncentrował się i spróbował przywołać uczucie napinania, którego doznał wcześniej. Nagle żołądek podszedł mu do gardła; zdążył jeszcze pomyśleć: „Jezu, toż to ekspresowa winda!” i już znajdował się na poziomie Krótkoterminowych, tam gdzie nie ma ani bogów, ani diabłów, ani łysych doktorków z magicznymi nożycami i skalpelami, ani aur. Tu nie przechodzi się przez ściany, tu nie wychodzi się cało z katastrofy samolotowej, tu człowiek jest widzialny... i tu Ed właśnie go zobaczył.

- Ralph? - powiedział nieprzytomnym głosem człowieka, który budzi się z głębokiego snu. - Ralph Roberts? A właściwie to co ty tu robisz?

- Och, akurat byłem w pobliżu i pomyślałem sobie, że wpadnę z wizytą. Przyjacielską wizytą.

Mówiąc to zacisnął zwiniętą dłoń na przewodach i wyrwał je z pudła.

- Nie! - wrzasnął Ed. - Tylko nie to! Wszystko popsujesz!

Oczywiście, pomyślał Ralph, wyciągnął rękę i złapał za drążek cherokee. Lecieli najwyżej trzysta pięćdziesiąt metrów nad centrum, być może niżej. Nadal nie wiedział, co właściwie znajduje się w pudle na siedzeniu drugiego pilota, sądził jednak, że to ten „plastik”, którego zawsze używali terroryści w filmach z Chuckiem Norrisem i Stevenem Segalem. Plastik jest podobno dość odporny na wstrząsy-pewnie znacznie stabilniejszy od nitrogliceryny w „Cenie strachu” Clouzota - ale przecież nie pora teraz sprawdzać, jak wierna wobec rzeczywistości jest ewangelia według św. Hollywoodu. A poza tym nawet odporny na wstrząsy środek wybuchowy wybuchnie pewnie i bez detonatora, jeśli spuścić go z wysokości przeszło trzech kilometrów.

Odchylił drążek w lewo do oporu. Centrum Obywatelskie pod nimi zaczęło się powoli obracać, jakby umieszczone było na gigantycznej osi.

- Nie, sukinsynu! - wrzasnął jeszcze raz Ed i nagle coś w rodzaju młotka walnęło Ralpha w bok, niemal go paraliżując i prawie całkiem odbierając dech. Dłoń ześlizgnęła mu się z drążka, a tymczasem Ed uderzył go po raz drugi, tym razem pod pachą. Udało mu się

odzyskać kontrolę nad samolotem, szarpnął drążek, i centrum, które prześlizgnęło się już w stronę krawędzi szyby, obracając się powoli, wróciło na jej środek.

Ralph chwycił drążek. Ed oparł mu dłoń na czole i pchnął mocno.

- Czemu nie potrafiłeś pilnować własnych spraw! - warknął. - Czemu uparłeś się wtrącać! - Podwinął wargi, wyszczerzył zęby we wściekłym grymasie. Samo zdumienie, że ktoś pojawił się w lecącym samolocie, powinno go sparaliżować, ale jakoś nie sparaliżowało.

Oczywiście, że nie! Przecież to szalowiec!

I nagle Ralph wrzasnął panicznie „wewnętrzny” głosem.

[Kloto! Lachesis! Pomóżcie, na litość boską!]

Nic. Nie odczuł nawet, by krzyk ten się z niego wydostał. Bo

i czemu miałby to odczuć? Znajdował się na poziomie Krótkoterminowych, a to znaczyło, że zdany jest wyłącznie na siebie.

Od Centrum Obywatelskiego dzieliło ich niespełna trzysta metrów. Ralph widział wyraźnie każdą cegłę, każde okno, każdą stojącą na zewnątrz osobę... Prawie rozpoznawał, kto niesie transparent, a kto nie. Ludzie patrzyli w niebo ciekawi, co też tam robi ten zwariowany samolot. Na ich twarzach nie było jeszcze strachu, ale za dwie - trzy sekundy...

Znów skoczył na Eda, ignorując paraliżujący ból w boku. Zamachnął się prawą pięścią, kciukiem podparł ostry czubek kolczyka, starając się jak najbardziej wysunąć go pomiędzy palców.

Stary Kawał z Kolczykiem zadziałał przeciw Karmazynowemu Królowi, lecz Ralph był wówczas wyżej, no i lepiej wykorzystał element zaskoczenia. Tym razem też wymierzył w oko, ale Edowi udało się uchylić w ostatniej chwili i ostrze tylko skaleczyło mu twarz tuż nad kością policzkową. Machnął ręką, jakby oganiał się od uprzykrzonej muchy. Lewą dłonią nadal zaciskał drążek*

Ralph rzucił się na drążek. Pięść Eda trafiła go w czoło nad lewym okiem i odrzuciła na fotel drugiego pilota. Kabinę wypełnił czysty i wysoki dźwięk, jakby ktoś uderzył w znajdujący się między nimi kamerton. Świat poszarzał i rozmył się jak na gazetowej fotografii.

[RALPH! POŚPIESZ SIĘ!]

Krzyczała Lois, wyraźnie przerażona. Wiedział, czego się boi. Czas już mu się kończył. Zostało jakieś dziesięć, najwyżej dwadzieścia sekund.

Zaatakował znowu, tym razem jednak jego celem nie był ani Ed, ani drążek, lecz przyklejona nad wysokościomierzem fotografia Helen i Natalie. Zerwał ją, podniósł w górę, zaczął gnieść w palcach...

Nie wiedział, jakiej reakcji oczekiwał, ale reakcja Eda Deepneau prześcignęła jego najśmielsze marzenia.

- Oddaj je! - wrzasnął Ed i zapominając o drążku, rzucił się do wzniesionej ręki. W tym momencie Ralph dostrzegł w nim to, co widział już wcześniej - tego dnia, kiedy Ed pobił żonę - człowieka głęboko nieszczęśliwego, przerażonego tym, że rządzą nim siły nie do opanowania. Łzy nie tylko błyszczały mu w oczach, lecz także ciekły po policzkach.

Czyżby płakał cały czas?

- Oddaj je! - wrzasnął znowu Ed i Ralph już wcale nie był pewien, czy to on jest adresatem tego żądania. Być może jego były sąsiad krzyczał do istoty, która wtargnęła w jego życie, rozejrzała się dookoła sprawdzając, czy teren bezpieczny, a potem po prostu je przejęła. Kolczyk Lois lśnił w policzku Eda jak barbarzyński ornament pogrzebowy. - Oddaj je! - wrzasnął. - One są moje!

Ralph trzymał pogniecioną fotografię tuż poza zasięgiem wymachujących panicznie rąk. Ed podskoczył w fotelu, pas bezpieczeństwa wbił mu się w żołądek i w tym momencie Ralph walnął go ze wszystkich sił w grdykę. Jabłko Adama ustąpiło mu pod dłonią, poczuł satysfakcję i obrzydzenie...

Ed padł z powrotem na fotel, cios rzucił go prawie na ścianę kokpitu. Oczy miał wywalone, pełne bólu, urazy i zdumienia. Złapał się za gardło, dławił się wydając odgłosy maszyny powoli, lecz nieuchronnie oddającej ducha.

Ralph niemal położył się na nim, a tymczasem Centrum Obywatelskie skoczyło już ku przedniej szybie. Pchnął drążek w lewo i znajdujący się pod samolotem - dokładnie pod samolotem - gmach znów odpłynął ku krawędzi szyby, która też dożywała swych ostatnich chwil - ale odpływał powoli, tak strasznie powoli.

Nagle w kabinie rozszedł się jakiś zapach - słaby, słodkawy, znajomy zapach. Nim Ralph się zorientował, skąd go zna, coś przykuło całą jego uwagę.

Dostrzegł wózek lodziarza, który jeździł czasami po Harris Avenue, podzwaniając wesoło srebrnym dzwoneczkiem.

Boże! - pomyślał bardziej zdumiony niż przerażony. Skończę zamrożony w chłodziarce pełnej moich ulubionych lodów!

Słodki zapach stał się znacznie silniejszy, a kiedy jakieś dłonie złapały go za ramiona, uświadomił sobie, że to przecież zapach perfum Lois Chasse.

- Rusz się! - wrzasnęła Lois. - Ralph, idioto, musimy...

Nic nie myślał, działał całkowicie instynktownie. Coś zacisnęło mu się w głowie, poczuł mrugnięcie i końcówkę zdania usłyszał w ów niesamowity, przenikliwy sposób, jakby

odbierał bardziej myśli niż słowa.

[...się unieść. Odepchnij się nogami.]

Za późno! - pomyślał, ale zrobił, co kazała. Oparł stopy o przekrzywioną tablicę instrumentów pokładowych i odepchnął się od niej. Poczul, jak wraz z Lois wznoszą się w górę

kolumny istnienia. Cherokee spadał, a jego otulała moc Lois, ciągnęła go niczym sprężyna. Przez chwilę miał mdlące uczucie, że leci w dwóch kierunkach naraz.

W ostatniej chwili dostrzegł jeszcze skulonego pod ścianą kabiny Eda, lecz już poza realną rzeczywistością. Znikła burzliwa, żółtoszara aura i znikł Ed, pogrzebany w torbie śmierci - czarnej jak północ w piekle.

A oni już nie tylko lecieli, lecz także spadali.

Rozdział 11

Tuż przed wybuchem Susan Day stała pośrodku audytorium Centrum Obywatelskiego, w kręgu jaskrawego światła. Ostatnie kilka sekund wspaniałego, prowokacyjnego życia przeżyła mówiąc: „Nie przybyłam do Derry, by was uzdrowić, nie przybyłam do Derry, by was pouczać, nie przybyłam do Derry, by was oskarżać. Jestem tu po to, by z wami płakać. Znaleźliśmy się w sytuacji, która przekroczyła granice polityki. Nie istnieje prawo do przemocy, przed przemocą nie wolno uciekać w poczuciu, że miało się rację. Przybyłam tu prosić, byście odłożyli na bok poglądy i retorykę i pomogli sobie nawzajem znaleźć sposób, w jaki możecie pomóc sobie nawzajem. Odwróćcie się od złudy...”

Wielkie okna południowej części audytorium rozbłysły nagle oślepiającym blaskiem, a potem prysły do wewnątrz.

Cherokee nie trafił w wózek lodziarza, ale go to nie uratowało. Wykonawszy ostatnie pół zwrotu, samolot uderzył w parking jakieś osiem metrów od ogrodzenia, przy którym nieco wcześniej tego dnia Lois przystanęła, by poprawić opadające majtki. Skrzydła oderwały się od kadłuba, tablica instrumentów oraz fotele pilotów odbyły ostateczną, krótką podróż w głąb kabiny pasażerskiej, zbiornik paliwa strzelił z furią butelki szampana podgrzanej, w kuchence mikrofalowej. W powietrze poleciały odłamki szkła. Ogon samolotu wygiął się ponad kadłub jak żądło zdychającego skorpiona, wbijając się

w dach półciężarówki Dodge z wymalowanymi na boku słowami: CHROŃCIE PRAWO KOBIET DO WYBORU. Rozległ się ostry trzask spadającego z wysokości żelaznego złomu.

- Co za cho... - zdumiał się jeden z gliniarzy na posterunku przy granicy parkingu. Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Plastik wyleciał z kartonowego pudła niczym gula szarej flegmy i uderzył w resztki tablicy instrumentów, najeżonej pozrywanymi przewodami elektrycznymi jak jeż igłami, eksplodując z rozdzierającym uszy hukiem, wysmażając tor wyścigów konnych Bassey Park, sam parking zaś zmieniając w pandemonium białego światła i latających odłamków. Johnem Leydeckerem, który stał pod betonowym frontonem centrum pograżony w rozmowie ze stanowym gliną, rzuciło w otwarte szeroko drzwi. Przeleciał przez korytarz, wyrznął w ścianę w głębi i padł na odłamki szkła z gabloty, w której przechowywano puchary za zwycięstwa w powożeniu zaprzęgami. Miał chłop szczęście; jego towarzysza podmuch rzucił na słup między dwójgiem drzwi wejściowych i dosłownie go

przepełnił.

Tak naprawdę rzędy samochodów osłoniły Centrum Obywatelskie przed skutkami strasznego podmuchu, lecz szczęście to oceniono dopiero znacznie później. W środku siedziało dwa tysiące ludzi ogłuszonych, niepewnych, osłupiałych. Nie dowierzali własnym oczom: głowa najsłynniejszej amerykańskiej feministki odcięta odłamkiem szkła lądowała w szóstym rzędzie niczym dziwaczna biała kula do gry w kręgle w przyklepionej blond peruce.

Wpadli w panikę dopiero, gdy zgasło światło.

Panikę przypłaciło życiem siedemdziesiąt jeden osób, zdeptanych przez rzucający się do wyjścia tłum. Następnego ranka *News* otrąbiły tę „niewiarygodną tragedię” na pierwszej stronie, czterdziestoośmiopunktowym wzniosłym tytułem. Ralph Roberts mógłby wyjaśnić redaktorom, że w gruncie rzeczy mogło być gorzej. Tak, nawet dużo gorzej.

Siedząca na północnym balkonie, mniej więcej w środkowym rzędzie, kobieta nazwiskiem Sonia Danville - z jej twarzy schodziły właśnie sińce po pobiciu, które po raz ostatni, zdecydowanie ostatni, zaaplikował jej mąż - obejmowała ramieniem synka Patricka. Patrick trzymał na kolanach plakat, na którym Roland, burmistrz McCheese i Ham-włamywacz tańczyli boogie, ale pokolorował na nim wyłącznie złote łuki, a potem odwrócił plakat na czystą stronę. Nie, nie znudziły go kredki, wręcz przeciwnie - nabrał ochoty na własny rysunek, a kiedy nachodziła go ta ochota, co zdarzało się dość często, Patrick po prostu nie potrafił się jej oprzeć. Przez cały dzień nie schodziło mu z pamięci to, co zdarzyło się w piwnicy domu „Na Zboczu”: dym, żar, przerażone kobiety, aniołowie, którzy przyszli im na pomoc. Pomysł na obrazek zaćmił te nieprzyjemne myśli i Patrick zabrał się z entuzjazmem do pracy. Pochylił się nad kawałkiem papieru i już wkrótce czuł się tak, jakby żył wewnątrz świata, który tworzył kredkami.

Był zdumiewająco dobrym rysownikiem, choć miał zaledwie cztery lata (Sonia mówiła o nim czasami „mój mały geniusz”), i jego rysunek o niebo przewyższał gotowy plakat do kolorowania po drugiej stronie kartki. Nim zgasły światła, stworzył dzieło, z którego mógłby być dumny utalentowany uczeń pierwszego roku akademii sztuk pięknych.

Pośrodku kartki papieru wznosiła się wieża z czarnego, jakby pokrytego sadzą kamienia, otoczona polem róż tak czerwonych, że wydawały się krzyczeć. Z boku, przed wieżą, stał mężczyzna w spranych dżinsach. Na jego płaskim brzuchu krzyżowały się dwa pasy, dwa olstra zwisały mu z obu boków poniżej bioder. Ze szczytu wieży, z nienawiścią i strachem, wpatrywał się w rewolwerowca człowiek w czerwonej szacie. Jego zaciśnięte na parapecie dłonie także wydawały się czerwone.

Obecność Susan Day, która siedziała za mównicą i słuchała wstępnego,

przedstawiającego ją wystąpienia, wręcz sparaliżowała Sonię, jednak przy ostatnich słowach zerknęła na dzieło syna. Od dwóch lat wiedziała, że Patrick jest, jak to określił psycholog dziecięcy, „cudownym dzieckiem”, czasami wmawiała sobie nawet, że przyzwyczała się już do jego skomplikowanych rysunków i rzeźb z plasteliny, które nazywał swoją Glinianą Rodziną. Może zresztą - do pewnego stopnia - rzeczywiście się do nich przyzwyczała, ale ten rysunek wywołał u niej nieokreślony niepokój, który nie mógł być tylko emocjonalną pozostałością tak wyczerpującego dnia.

- Kto to jest?-spytała pokazując małą postać, zazdrośnie gapiącą się w dół z najwyższego okna wieży.

- To Czerwony Król - wyjaśnił Patrick.

- Ach tak, Czerwony Król, rozumiem. A ten człowiek z rewolwerami?

W tym momencie przedstawiająca honorowego gościa Roberta Harper uniosła ramię (na którym miała czarną, żałobną opaskę) i wskazała gościa.

- Przyjaciółki, oto Susan Day! - krzyknęła.

Patrick Danville próbował odpowiedzieć matce na drugie pytanie, ale jego odpowiedź utonęła w ryku tłumu.

- Nazywa się Roland, mamó. Czasami mi się śni. On i Król.

Oboje siedzieli teraz w ciemności, w uszach im dzwoniło, a w głowie Soni dwie myśli ściagały się jak szczury wewnątrz obracającego się koła: „Czy ten dzień nigdy się nie skończy, wiedziałam, że nie powinnam go tu przyprowadzać, czy ten dzień nigdy się nie skończy, wiedziałam, że nie powinnam go tu przyprowadzać, czy ten...”

- Mamó, zgnieciesz mi obrazek - zaprotestował Patrick. Głos miał lekko zdyszany i Sonia zorientowała się, że jego także może zgnieść. Rozluźniła uścisk. Z rozwierającej się pod nimi czarnej dziury, w której siedzieli ludzie wystarczająco zamożni, by pozwolić sobie na większy, piętnastodolarowy „datek”, dobiegły ją strzępy krzyków, beładnych słów, urywanych pytań. Nagle ktoś ochryple krzyknął z bólu, aż się wzdrygnęła.

Budynkiem wstrząsał tępy grzmot, który rozległ się po pierwszym wybuchu. Pomniejsze odgłosy - trzaski wybuchających jak fajerwerki samochodów na parkingu - wydały się przy nim drobne, nieważne. Czowała jednak, jak przy każdym jej syn drży leciutko.

- Spokojnie, Patricku - powiedziała. - Coś się stało, ale chyba na zewnątrz. - Dzięki Bogu wpatrywała się w lunę za oknem, nie widziała więc, jak głowa jej idolki spada z ramion.

Dowiedziała się jednak właśnie, że piorun uderza czasami dwukrotnie w to samo miejsce.

Nie powinnam go tu przyprowadzać, nie powinnam go tu przyprowadzać, nie

powinnam...

Na dole zaczynała się panika. Jeśli i ona wpadnie w panikę, razem z tym tu młodym Rembrandtem znajdą się w poważnych kłopotach.

Ale nie mam zamiaru wpadać w panikę. Nie po to wyrwałam się śmierci dziś rano, żeby teraz wpaść w panikę. Niech mnie diabli, jeśli wpadnę w panikę.

Ujęła rękę synka - tę, w której nie ścisnął obrazka. Bardzo chłodną rękę.

- Czy anioły znów przyjdą nas ocalić? - spytał chłopiec. Głos drżał mu lekko.

- Nie. Tym razem będziemy chyba musieli sami sobie poradzić. I poradzimy. No... przecież nic się nam nie stało, prawda?

- Oczywiście - przytaknął Patryk, mocno się do niej przytulając. Przez jedną straszną chwilę była pewna, że zemdleła i że będzie musiała go wynosić na rękach, ale wyprostował się niemal natychmiast. - Książki spadły mi na podłogę - oznajmił. - Nie chcę ich tu zostawić, zwłaszcza tej o chłopcu, który nie może zdjąć kapelusza. Wychodzimy, mammo?

- Tak. Gdy tylko ludzie przestaną biegać tam, na dole. Tu jest ciemno, ale w korytarzu będą światła, takie na baterie. Kiedy powiem, wstaniemy i pójdziemy schodami do drzwi. Pójdziemy spokojnie. Pamiętaj: spokojnie! Nie mogę cię nieść, ale będę szła zaraz za tobą i będę trzymała ci dłonie na ramionach, dobrze? Rozumiesz, Pat?

- Dobrze, mammo. - O nic nie pytał, nie płakał, nie krzyczał. Dał jej tylko książki, żeby były bezpieczne. Rysunek nadal zaciskał w ręczce.

Przytuliła go i pocałowała.

Czekali siedząc na balkonie jeszcze jakieś pięć minut, w każdym razie Sonia zdążyła powoli policzyć do trzystu. Kiedy doszła do stu pięćdziesięciu, czuła już, że miejsca wokół niej są puste, ale rozkazała sobie poczekać jeszcze trochę. Oczy powoli przyzwyczyły się do ciemności, widziała tyle, by nabrać pewności, że na zewnątrz coś płonie, lecz po drugiej stronie gmachu. Mają szczęście. Słyszała nawet zbliżające się syreny samochodów policyjnych, wozów straży pożarnej i karettek.

Poderwała się z miejsca.

Ruszamy. Idź tuż przede mną.

Patrick Danville ruszył przejściem między rzędami, czując na ramieniu mocną, pewną dłoń matki. Poprowadził ją schodami w stronę żółtych świateł palących się słabo na ścianie północnego korytarza. Przystanął tylko raz kiedy dostrzegł w ciemności czarny kształt biegnącego w ich kierunku człowieka. Dłoń matki mocno zacisnęła się na jego ramieniu.

- Cholerni przeciwnicy aborcji! - wrzasnął biegnący mężczyzna. - Pieprzone zakochane w sobie guwna! Pozabijałbym *ich wszystkich!*

Znikł, a oni ruszyli schodami. Sonia wyczuwała teraz w swoim synu spokój, stanowczy, skoncentrowany brak strachu. I w tym momencie ogarnęła ją fala wielkiej miłości do tego chłopca, a także nieoczekiwany lęk. Taki inny był ten jej synek, taki niezwykły... Lecz świat nie kocha podobnych mu ludzi... Świat próbuje się ich pozbyć, jak chwastów z ogrodu.

W końcu znaleźli się w korytarzu. Kilka głęboko zszokowanych osób z tępyimi oczami i rozdziawionymi gębami laziło po nim w tę i we w tę, Sonia zaledwie na nich spojrzała. Popchnęła Pata w stronę schodów. Trzy minuty później, nie draśnięci nawet, oboje wyszli w rozjaśnioną blaskiem pożarów noc, a na wszystkich poziomach Wszechświata sprawy zarówno Celu jak i Przypadku potoczyły się znów swoim torem. Światy, przez chwilę drżące na orbitach, krążyły teraz po nich jak zawsze, a na jednym z tych światów mężczyzna imieniem Roland przewrócił się w śpiworze z boku na bok i usnął spokojnie pod niebem pełnym innych gwiazd.

Po drugiej stronie miasta, w parku Strawforda, drzwi przenośnej toalety otworzyły się z łomotem. Wylecieli przez nie w chmurze dymu objęci mocno Lois Chasse i Ralph Roberts. Ze środka rozległ się trzask samolotu uderzającego o ziemię, a potem huk wybuchającego plastyku, W błysku białego światła niebieskie ściany wybrzuszyły się, jakby walnęła w nie mocarna pięść. W sekundę później usłyszeli znów tę samą eksplozję, tym razem przetaczającą się po mieście; była słabsza, lecz jakby bardziej rzeczywista.

Lois potknęła się o własne nogi i padła na ziemię z krzykiem, w którym brzmiała ulga. Ralph wylądował obok niej, podparł

się rękami, usiadł. Z niedowierzaniem przyglądał się centrum, które otaczała zaciśnięta na horyzoncie pięść ognia. Fioletowy guz wielkości obrotowej klamki w drzwiach rósł mu na czole, tam gdzie trafiła go pięść Eda, i nadal odczuwał ból w boku, choć wyglądało na to, że żebra ma całe, acz nieco sfatygowane, *[Lois, nic ci nie jest?]*

Przez moment Lois patrzyła na niego nic nie pojmującym Spojrzeniem, a potem zaczęła się macać po twarzy, szyi i ramionach. Było w tym coś tak słodkiego i tak doskonale pasującego do „tej naszej Lois”, że Ralph się roześmiał. Nic nie mógł na to poradzić.

Odpowiedziała mu niepewnym uśmiechem.

[Chyba nic. Właściwie jestem nawet pewna, że nic]

[Po coś tam laźła? Mogłaś zginąć.]

Lois, która sprawiała wrażenie nieco odmłodzonej (do czego najprawdopodobniej przyczynił się pijaczek, znajdujący się we właściwym miejscu we właściwym czasie), spojrzała mu w oczy.

[Może i jestem staroświecka, ale jeśli się spodziewasz, że następne dwadzieścia lat spędzę, mdlejąc i zażywając sole jak najlepsza przyjaciółka bohaterki w tych historycznych romansach, które bez przerwy czyta Mina, to lepiej znajdź sobie inną przyjaciółkę!]

Ralph gapił się na nią przez chwilę, a potem pomógł jej wstać i mocno ją przytulił. Odwzajemniła jego uścisk. Była nieprawdopodobnie ciepła, nieprawdopodobnie rzeczywista. Przez moment porównywał samotność z bezsennością - obie jednakowo ciche i zdradzieckie, obie z czasem coraz silniejsze, obie dzielą zamiast łączyć, obie towarzyszki rozpacz, przeciwniczki miłości - a potem przegonił te myśli i pocałował Lois.

Kloto i Lachesis stali na szczycie wzgórza prawie nieprzytomni ze zdenerwowania, niczym dwaj robotnicy, którzy całą bożonarodzeniową premię postawili na boksera bez szans na zwycięstwo. Widząc Ralphi i Lois stojących czoło w czoło, wpatrzonych w siebie niby zakochane nastolatki, pobiegli ku nim. Po przeciwnej stronie Pustkowi syreny wyły jak w złych snach. Kolumna ognia, znacząca miejsce ostatniego spoczynku szaleństwa Eda Deepneau, była zbyt jaskrawa, by patrzeć na nią bez mrużenia oczu. Ralph słyszał też ciche trzaski wybuchających samochodów. Pomyślał o swoim staruszkul oldsie, porzuconym przy drodze gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc. No i bardzo dobrze. Za stary jest, żeby prowadzić.

Kloto: *[Nic wam się nie stało?]*

Ralph: *[Nie, nic. Lois mnie wyciągnęła. Ocaliła mi życie.]*

Lachesis: *[Tak. Widzieliśmy, jak cię ratuje. Postąpiła bardzo odważnie.]*

A także bardzo niezrozumiale, prawda, panie L.? - pomyślał Ralph. Na własne oczy widzieliście to, co zrobiła, podziwiacie to, co zrobiła... ale chyba nie macie zielonego pojęcia, jak i dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Moim zdaniem, dla pana i pańskiego przyjaciela słowo „ocalenie” jest niemal tak obce i niezrozumiale jak słowo „miłość”.

I po raz pierwszy poczuł coś w rodzaju litości do małych łysych doktorków i pojął ironię ich życia: rozumieli, że Krótkoterminowi, których życie przyszło im odbierać, płoną wewnętrznym ogniem, ale w najmniejszym nawet stopniu nie rozumieli istoty tego ognia, nie pojmowali uczuć, którymi kierowali się ich podopieczni, i czynów - czasami szlachetnych, czasami podłych - które z tych uczuć wynikały. Panowie K. i L. byli niczym bogaci, lecz nieśmiali Anglicy epoki wiktoriańskiej studiujący mapy przywiezione przez badaczy i odkrywców z podróży.najczęściej właśnie przez nich opłacanych. Ci filantropi wymanikiurowanymi paznokciami wodzili po papierowych rzekach, z których prądem nie mieli nigdy popłynąć, i papierowych dżunglach, w których nigdy nie mieli zapolować. Żyli w pełnej niedowierzania niepewności i mylili ją z wyobraźnią.

Kloto i Lachesis wciągnęli ich do służby szorstko i skutecznie, nie pojmowali jednak związanych z tą służbą radości ryzyka i smutku utraty. Z uczuć znali wyłącznie paraliżujący strach - potrafili tylko bać się, że Ralph i Lois rzucą wyzwanie ulubionemu chemikowi Karmazynowego Króla i za swoje starania oberwą niczym dwie podstarzałe muchy packą. Mali łąsi doktorkowie żyli długo, ale - mimo bajecznie kolorowych aur - ich życie musiało być po prostu szare. Z bezpiecznej przystani ramion Lois Ralph wpatrywał się w ich gładkie, dziwnie dziecięce twarze, wspominając, jak bardzo był przerażony, kiedy dostrzegł ich po raz pierwszy przed domem May Locher.

Doktorkowie patrzyli mu w oczy niepewnie, lecz nie chciało mu się rozpraszać tej niepewności. Wydawało mu się w jakiś sposób słuszne, że czuli teraz to, co on czuł bardzo długo.

[Tak, jest bardzo odważna. Bardzo ją kocham. Będziemy żyli szczęśliwie, póki...]

Przerwał. Lois drgnęła; z rozbawieniem i lekką ulgą zorientował się, że niemal zasnęła mu w ramionach.

[Póki co. Ralph?], [Póki... sama dokończ. Jeśli urodziłeś się Krótkoterminowym, zawsze jest jakieś „póki” i to chyba w porządku.]

Lachesis: *[Cóż, to chyba znaczy, że nadszedł czas pożegnania.]*

Ralph uśmiechnął się mimowolnie wspominając stary serial radiowy „Samotny jeździec”, którego niemal każdy odcinek kończył się jakąś wersją tego powiedzenia. Wyciągnął rękę do Lachesisa i z gorzkim rozbawieniem stwierdził, że łysek uchylił się przed jego dotknięciem.

[Zaczekajcie, panowie... nie śpieszymy się.]

Kloto, z więcej niż odrobiną rezerwy: *[Czy coś jest nie tak?]*

[Chyba nie, ale dostałem w łeb, dostałem w żebra, a w dodatku o mało się nie usmażyłem, więc chyba mam prawo się upewnić, czy to rzeczywiście koniec. Więc... czy to rzeczywiście koniec? Czy waszemu chłopcu nic już nie grozi?]

Kloto, z uśmiechem i wyraźną ulgą: *[Jest bezpieczny. Czyżbyś tego nie odczuł? Za osiemnaście lat, tuż przed śmiercią, chłopiec ten ocali życie dwóch mężczyzn, którzy inaczej z pewnością by umarli... a jednemu z nich nie wolno umrzeć, jeśli ma być zachowana równowaga między Celem i Przypadkiem]*

Lois: *[Dobrze, wszystko jedno. Chcę tylko wiedzieć, czy możemy już z powrotem stać się zwykłymi Krótkoterminowymi?]*

Lachesis: *[Nie tylko możecie, lecz wręcz musicie. Gdybyście z Ralphem zostali tu, na górze, odrobinę dłużej, nie zdołalibyście już zejść niżej.]*

Ralph poczuł, jak Lois mocniej się do niego przytula.

[To by mi się wcale nie podobało.]

Doktorkowie wymienili między sobą szybkie, zdumione spojrzenia mówiące wyraźnie: „Jak komuś może się tu nie podobać?”, po czym znów zwrócili się ku nim.

Lachesis: *[Naprawdę musimy już iść. Przykro mi, ale...]*

Ralph: *[Weźcie jeszcze na wstrzymanie, panowie. Na razie nigdzie nie idziecie.]*

Patrzyli na niego niepewnie, podczas gdy on powoli podwinął rękaw bluzy - jej mankiet był sztywny, być może zabrudzony rybią ikrą, ale o tym nie chciał teraz myśleć - i pokazał im nierówną bliznę na ramieniu.

[Dajcie spokój tym żalonym spojrzeniom, panowie - wyglądacie, jakbyście cierpieli na zatwardzenie. Chcę wam tylko przypomnieć, że daliście mi słowo. Nie wazcie się o tym zapomnieć.]

Kloto, z wyraźną ulgą: *[Możesz na nas liczyć, Ralph. Obietnica nie zostanie zapomniana^*

Dopiero teraz Ralph ośmielił się uwierzyć, że wszystko naprawdę się skończyło. I choć zakrawało to na szaleństwo, gdzieś w głębi serca czuł żal. Prawdziwe życie - życie takie, jakie było poniżej tego poziomu - wydawało mu się złudzeniem. Doskonale rozumiał słowa Lachesisa. Rzeczywiście, gdyby zostali tu jeszcze trochę, już nigdy nie zdołaliby powrócić do zwykłej, normalnej egzystencji.

Lachesis: *[Naprawdę, musimy już iść. Niech wam się dobrze wiedzie, Ralpie, Lois. Nigdy nie zapomnimy przysługi, którą nam wyświadczyliście.]*

Ralph: *[A czy mieliśmy wybór? Czy rzeczywiście mieliśmy wybór?]*

Lachesis, bardzo cicho: *[Przecież ci to tłumaczyliśmy, prawda? Krótkoterminowi zawsze mogą wybierać. Dla nas to przerażające... a także piękne.]*

Ralph: *[Powiedzcie, panowie... czy wy podajecie sobie ręce?]*

Zaskoczeni doktorkowie znów wymienili zdumione spojrzenia. Ralph wyczuł, że porozumiewają się między sobą czymś w rodzaju telepatycznych bazgrołów. Kiedy z powrotem na niego spojrzeli, mieli na twarzach identyczne nerwowe uśmiechy - uśmiechy dwóch bardzo młodych chłopców, którzy są pewni, że jeśli tym razem nie zdecydują się na przejażdżkę największą kolejką górską w wesołym miasteczku, nigdy nie będą mężczyznami.

Kloto: *[Wielokrotnie byliśmy świadkami tego obyczaju, ale nie, nigdy nie podawaliśmy sobie rąk.]*

Ralph zerknął na Lois. Uśmiechała się, ale w oczach miała łzy. Wyciągnął rękę do Lachesisa, który sprawiał wrażenie odrobinę mniej nerwowego z tej dwójki.

[Graba, panie L]

Lachesis przyglądał się jego dłoni tak długo, że Ralph był niemal w stu procentach pewien, iż nigdy się nie zdobędzie na jej uściśnięcie, choć najwyraźniej miał na to wielką ochotę. W końcu nieśmiało wyciągnął drobną dłoń, która cała znikła w uścisku Ralpha. Ich aury zetknęły się, zmieszały. Ciało Ralpha przeszył słaby prąd, a przed oczami zobaczył zmieniające się błyskawicznie, piękne srebrne wzory, odrobinę przypominające japońskie ideogramy na chuście Eda.

Dwukrotnie, powoli i uroczyście, potrząsnął ręką doktorka, na którego gładkiej twarzy obawa ustąpiła miejsca szerokiemu, trochę zwariowanemu uśmiechowi. Odwrócił się do partnera.

[Podczas tej ceremonii w ogóle nie kontroluje swej mocy! Czulem ją! To cudowne!]

Kloto też wyciągnął rękę. W momencie gdy Ralph miał ją ująć, zamknął oczy, jakby spodziewał się bolesnego zastrzyku. Lachesis tymczasem ścisnął dłonie Lois z szerokim uśmiechem wodewilowego tancerza, któremu biją brawo, prosząc o bis.

Kloto uczynił bohaterski wysiłek i formalności stało się zadość. Jego uścisk był niespodziewanie mocny.

[Lekko i spokojnie, panie K.]

Doktorek rozwarł garść. Milczał, jakby szukał właściwych słów.

[Dziękuję, Ralph. Zrobię, co mi się podoba i jak mi się podoba.]

Ralph wybuchnął śmiechem. Kloto, obracający się ku Lois, uśmiechnął się zdziwiony i został mocno klepnięty w ramię.

[Doskonale, panie K.! Prawdziwy z pana mężczyzna!]

Wreszcie Ralph mógł znów objąć Lois. Spojrzał na doktorków pytająco.

[Jeszcze się spotkamy, prawda, panowie?]

Kloto: *[Tak.]*

Ralph: *[Świetnie, doskonale. Najlepiej za jakieś siedemdziesiąt lat. Zapiszcie sobie w kalendarzykach, chłopcy, dobrze?]*

Odpowiedzieli mu uśmiechami polityków, co go szczególnie nie zdziwiło. Skłonił się im lekko i patrzył, jak powoli idą w kierunku toalet. Lachesis otworzył drzwi nieco pochylonej toalety dla mężczyzn, Kloto drzwi do toalety dla kobiet. Lachesis uśmiechnął się i pomachał im ręką. Kloto uniósł nożyce w nieco niesamowitym salucie.

Ralph i Lois odmachali im.

Doktorkowie weszli do toalet i znikli w nich.

Lois wytarła zapłakane oczy i spojrzała na Ralpha.

[Koniec, prawda? To wszystko?]

Ralph skinął głową.

[Co teraz zrobimy?]

Podał jej ramię.

[Czy wolno mi odprowadzić panią do domu?]

Lois przyjęła je wdzięcznie, z uśmiechem.

[Oczywiście, proszę pana.]

Opuścili park Strawforda. Na krótkoterminowy poziom wrócili, wchodząc w Harris Avenue, gdzie gładko wślizgnęli się na swoje właściwe miejsce w hierarchii świata. W rzeczywistości nie byli nawet świadomi tego, co się stało, póki się to nie stało.

8

Derry jęczało w panice i pociło się z podniecenia. Wyły syreny, z okien na piętrach ludzie wrzeszczeli do stojących na chodnikach przyjaciół, a na każdym rogu ulicznym stały grupki obserwujących pożar po drugiej stronie doliny.

Ralph i Lois nie zwracali uwagi na tłumy i krzyki. Wchodzili na Milowe Podejście coraz to bardziej i bardziej świadomi zmęczenia przygniatającego ich coraz to niżej i niżej do ziemi niczym dokładane na plecy worki z piaskiem. Plama białego światła - parking przed „jabłuszkiem” - wydawała się nieprawdopodobnie wręcz daleka, mimo że dzieliły ich od niej zaledwie trzy przecznice.

Co gorsza, od rana temperatura obniżyła się o dobre parę stopni, wiał silny wiatr, a żadne z nich nie było ubrane na tę pogodę. Prawdopodobnie nadchodziła pierwsza jesienna wichura. Babie lato w Derry skończyło się bezpowrotnie.

Z przeciwka zbliżali się do nich szybko Faye Chapin, Don Veazie i Stan Eberly, zmierzając najwyraźniej do parku Strawforda. Na szyi Faye'a wisiała lornetka, której Stary Dor używał czasami do obserwacji lądujących, kołujących i startujących samolotów. Don, krępy i łysiejący, siedł pośrodku; analogia doprawdy sama się narzucała. Trzy Fujary Apokalipsy, pomyślał Ralph i uśmiechnął się.

- Ralph! - wykrztusił Faye. Oddychał szybko, niemal się dusił. Wiatr zwał mu włosy na czoło; odrzucił je z oczu niecierpliwym gestem. - To cholerne Centrum Obywatelskie po prostu wyleciało w powietrze! Ktoś zbombardował je z małego samolotu. Słyszeliśmy, że zginęło tysiąc osób!

- My też to słyszeliśmy - zgodził się poważnie Ralph. - Właśnie wracamy z parku. Jest stamtąd wspaniały widok przez dolinę, wiesz?

- Chryste, oczywiście, że wiem, przecież całe życie tu przeżyłem, nie? A gdzie wy

właściwie idziecie? Chodźcie z nami!

- Mamy zamiar obejrzeć telewizję u Lois. Pewnie coś powiedzą. Może dołączymy do was później.

- Dobrze, będziemy... Jezu Chryste, Ralph, coś ty zrobił ze swoją głową?

Na moment Ralph zapomniał języka w gębie - co właściwie zrobił ze swoją głową? - a potem niczym w koszmarze zobaczył wyszczerzone zęby i szalone, oczy Eda. „Nie, nie, nie! Wszystko zepsujesz!”

- Biegliśmy, żeby mieć lepszy widok i wpadł na drzewo - wtrąciła Lois. - Ma szczęście, że nie trafił do szpitala.

Don roześmiał się, ale trochę nieszczerze, jak ktoś, kto ma na głowie ważniejszą sprawę. Faye w ogóle przestał zwracać na nich uwagę. W odróżnieniu od Stana... Stan wcale się nie śmiał. Przyglądał się im uważnie, zdumiony i wyraźnie zaciekawiony.

- Lois? - wtrącił.

- Co takiego?

- Wiesz, że masz trampek przywiązany do przegubu? Lois spojrzała na swoją rękę. Ralph spojrzał na jej rękę.

Lois jako pierwsza oderwała od niej wzrok i uśmiechnęła się do Stana szerokim, olśniewającym uśmiechem.

- Ależ oczywiście! Interesujące, prawda? To taki amulet na szczęście... amulet naturalnej wielkości.

- Ach tak, oczywiście. - Ale Stan wcale nie patrzył już na przegub Lois, tylko na jej twarz. Ralph zaczął się zastanawiać, jak wyjaśnią wszystko wszystkim jutro rano, kiedy znikną przyjazne cienie między latarniami.

- Chodźcie! - zniecierpliwiał się Faye. - No, idziemy!

Odeszli pośpiesznie (na odchodnym Stan obrzucił ich jeszcze jednym podejrzliwym spojrzeniem). Ralph nadśłuchiwał przez chwilę. Był prawie pewny, że usłyszą zaraz radosne „juhuuu!” Dona.

- Ależ się głupio wyrwałam - westchnęła Lois. - Ale przecież musiałam im coś powiedzieć, prawda?

- Doskonale sobie poradziłaś, kochanie.

- Cóż, wystarczy, że otworzę usta, i już się z czymś wrywam. To jeden z moich wielkich talentów. Drugi to pochłonięcie pudełka czekoladek przed telewizorem podczas dwugodzinnego filmu. - Odwiązała trampek Helen, przyjrzała mu się w zadumie. - Jest już bezpieczna, prawda?

- Tak. - Ralph sięgnął po trampek i w tym momencie uświadomił sobie, że przecież trzyma coś w lewej ręce. Zaciśkał palce tak długo, że z trudem je teraz rozwierał, a kiedy mu się wreszcie udało, dostrzegł na skórze ślady wbitych w nią

paznokci. I chociaż jego obrączka nadal znajdowała się na swoim zwykłym miejscu, obrączka Eda znikła. Wydawało mu się, że pasuje doskonale, a mimo to najwyraźniej udało się jej zsunąć w ciągu ostatniej półgodziny.

A może nie? - powiedział jakiś głos i Ralph z rozbawieniem zdał sobie sprawę, że tym razem nie był to wcale głos Carolyn. Tym razem w jego głowie przemawiał głos Billa McGovern. - Może wcale się nie zsunęła, tylko znikła? No wiesz, puf, była i nie ma.

Nie sądził jednak, by obrączka Eda tak po prostu znikła. Miał wrażenie, że została w niej zaklęta moc, która wcale nie musiała umrzeć z Edem. W końcu pierścień, który znalazł Bilbo Baggins (i - niechętnie - przekazał swemu wnukowi Frodowi), znał sposoby, by przenosić się tam, gdzie sam chciał... i kiedy chciał. Być może obrączka pod tym względem wcale tak bardzo się od niego nie różniła. Zanim jednak przemyślał to sobie dokładnie, Lois przehandlowała swój trampek na to, co trzymał w zaciśniętej garści: kawałek sztywnego, pogniecionego papieru. Żywa ciekawość na jej twarzy znikła, zastąpiona namysłem.

- Pamiętam to zdjęcie - powiedziała. - Duża odbitka stała u nich na półeczce pod kominkiem. Oprawili ją w ozdobną złotą ramę. Uważali za coś wyjątkowego.

Ralph skinął głową.

- A tę najwyraźniej nosił w portfelu, a potem przykleił w samolocie nad tablicą przyrządów. Gdy mu ją zabrałem, zlał mnie na kwaśne jabłko i nawet się nie zadyszał. To była ostatnia rzecz, jaka mi przyszła do głowy zanim padłem: zabrać mu to zdjęcie. I wtedy zapomniał o Centrum Obywatelskim. Ostatnie słowa, które przy mnie powiedział, brzmiały: „Oddaj je, są moje”.

- Powiedział to do ciebie?

Ralph wsunął trampek do kieszeni. Potrząsnął głową.

- Nie. Chyba nie.

- Helen była dziś w Centrum Obywatelskim, prawda?

- Tak. - Przypomniał sobie, jak wyglądała w domu „Na Zboczu”: blada twarz, zaczerwienione od dymu oczy. „Jeśli nas teraz powstrzymają, wygrali”, powiedziała. „Nie rozumiesz?”

Teraz zrozumiał.

Wyjął zdjęcie z dłoni Lois, zgniótł je na powrót i skręcił w stronę kosza na śmieci stojącego na rogu Harris Avenue i Kossuth Lane.

- Zrobimy im inne zdjęcie... zdjęcie, które powiesimy na ścianie nad naszym własnym kominkiem. Nie takie... uroczyste. A to... tego nie chcę.

Rzucił zdjęcie do kosza, łatwy rzut, najwyżej pół metra, ale wiatr wybrał sobie ten, akurat moment, by powiać mocniej, i zgnieciona fotografia Helen i Natalie, przyklejona przedtem w samolocie, w którym zginął Ed, uleciała na jego skrzydłach. Ralph i Lois wpatrywali się w lecący w niebo kawałek papieru jak zahipnotyzowani. Lois pierwsza oderwała od niego wzrok. Zerknęła na Ralpha. Na ustach miała ledwie widoczny uśmiešek.

- Czyżbyś oświadczył mi się w ten niedbały sposób, czy też może ze zmęczenia mam halucynacje?

Ralph chciał odpowiedzieć, ale uderzył w nich kolejny podmuch wiatru, tym razem tak silny, że oboje zamknęli oczy. Kiedy je otworzył, Lois już brnęła pod górę Milowym Podejściem.

- Wszystko jest możliwe - powiedział. - Teraz to wiem.

W pięć minut później w zamku u bramy domu Lois Chasse zazgrzytał klucz. Oboje weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi, pozostawiając za nimi wietrzną, kłótniową noc. Ralph zatrzymałby się w dużym pokoju, ale gospodyni nie zawahała się nawet przez chwilę. Poszła do sypialni, nie ciągnąc go wprawdzie za rękę, lecz wyraźnie gotowa to uczynić, gdyby się opierał.

Spojrzał na nią. Odpowiedziała mu spokojnym spojrzeniem... i nagle znów poczuł mrugnięcie. Aura rozkwitła wokół niej jak szara róża, najpierw stulona wokół ciała, lecz odrastająca już, uzdrawiająca się.

[Lois, jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?]

[Oczywiście! A myślałeś, że po tym, co przeżyliśmy, poklepię cię po główce i wyślę do domu?]

I nagle uśmiechnęła się kpiącym, przekornym uśmiechem.

[Czy ty naprawdę myślisz, Ralph, że tej nocy pójdziemy na całość? Tylko mów prawdę. I pod żadnym pozorem nie waż się prawić mi komplementów!]

Zastanowił się, roześmiał, objął ją mocno. Wargi miała słodkie, lekko wilgotnym skórka dojrzałej brzoskwini.

Pocałunek odczuł całym ciałem, ale przede wszystkim ustami, którymi wstrząsnął jak prąd elektryczny. Kiedy wreszcie przestali się całować, był podniecony bardziej niż kiedykolwiek... a także dziwnie, strasznie zmęczony.

[A jeśli powiem „tak”? Co będzie, jeśli powiem, że chcę pójść na całość?]

Lois zrobiła krok wstecz i przyjrzała mu się krytycznie, jakby próbowała ocenić, czy

się przechwalała - jak to zwykle mężczyźni - czy też mówi serio. Jednocześnie rozpiniała guziki bluzki. Kiedy zaś zaczęła ją zdejmować, Ralph odkrył rzecz cudowną: odmłodziła. Nie wyglądała wprawdzie na lat czterdzieści - nawet w oczach kogoś obdarzonego wyjątkową wyobraźnią - ale na pięćdziesiąt z pewnością. Zdrowe, zwykle pięćdziesiąt. Oczywiście sprawił to pocałunek, a prawdziwie zabawne było to, że chyba nie zdawała sobie sprawy, iż Ralph pomógł jej teraz, tak jak wcześniej pomógł jej pijaczek. W gruncie rzeczy nie było w tym nic złego.

Skończyła przegląd, pochyliła się i pocałowała go w policzek.

[Myślę, że będziemy mieli jeszcze wiele nocy, żeby pójść na całość. Dziś... dziś jednak po prostu się wyśpimy.]

Lois chyba się nie myliła. Pięć minut temu był więcej niż chętny - zawsze uwielbiał fizyczny akt miłości, a od dawna nie miał okazji. Na razie jednak ochota znikła. Nie żałował tego ani trochę. W końcu wiedział przecież, na rzecz czego ją poświęca.

[Doskonale, kochanie. Dziś będziemy spać.]

Lois poszła do łazienki. Usłyszał szum prysznica, a w kilka chwil później Lois zaczęła myć zęby. Miło było pomyśleć, że w ogóle ma zęby. Tymczasem zdołał się rozebrać, choć obolałe żebra nie ułatwiały sprawy. Udało mu się jednak pozbyć bluzy McGoverna, a także butów. Właśnie zmagał się z paskiem od spodni, kiedy Lois wyszła z łazienki. Włosy związane miała w koński ogon, twarz jej lśniła. Ralpha zaskoczyło jej niezwykle piękno. Nagle poczuł się za wielki, za głupi i - tak, oczywiście - za stary, żeby coś tu zdziałać. Lois miała na sobie różowy szlafrok; czuł perfumy, których użyła, i był to piękny zapach.

- Pozwól, że ci pomogę - powiedziała i rozpięła mu pasek, zanim wykrztusił choćby słowo. Nie było w tym nic erotycznego. Postępowała według wszelkich zasad obowiązujących dobrą żonę, która w ciągu długich lat małżeńskiego pożycia wielokrotnie pomagała mężowi ubrać się i rozebrać.

- Opuściliśmy się - powiedział Ralph. - I tym razem nawet nie czułem kiedy.

- Ja tak. Byłam pod prysznicem. Mówiąc szczerze, bardzo mnie to ucieszyło. Trudno jest myć głowę przez aurę.

Za oknem wiał wiatr potrząsając domkiem i grając żalobną melodię na rynnach. Spojrzeli przez okno, i chociaż oboje byli na krótkoterminowym poziomie, Ralph nagle poczuł, że Lois dzieli jego myśli. Gdzieś tam, na dworze był Atropos, niewątpliwie niezbyt zachwycony tym, jak ułożyły się sprawy, i niewątpliwie w formie, przygięty, lecz nie złamany, zwyciężony, lecz przecież nie pokonany. Od dziś będą go zwać Jednouchym, pomyślał Ralph i zadrżał. Wyobraził sobie łyska nr 3, który śmiga pośród przerażonych,

podnieconych mieszkańców Derry niczym uwolniony z więzów praw fizyki asteroid, ukryty, lecz obserwujący świat, kradnący pamiętki, przecinający wstążki... innymi słowy - szukający ulgi w uczciwie wykonywanej pracy. Całkiem nieprawdopodobne wydało mu się, że jeszcze niedawno siedział na tym stworze, ciął go jego własnym skalpelem. Jakim cudem zdobył się na odwagę? Doszedł do wniosku, że wie, co to był za cud. Chodziło przede wszystkim o kolczyki z diamentami, które udało się zdobyć temu potworowi. Czy Atropos wiedział, że kradzież kolczyków była jego największym błędem? Chyba nie. W końcu okazało się, że łysy doktor nr 3 mniej wie o tym, co skłania ludzi do działania, niż doktorkowie 1 i 2.

Ralph obrócił się do Lois. Chwył jej dłoń.

- Zgubiłem twoje kolczyki - wyznał. - Tym razem chyba na dobre. Przepraszam.

- Nie musisz mnie za nic przepraszać. Przecież raz je straciłam, pamiętasz? I nie boję się już Harolda i Janet, bo mam przyjaciela, który mi pomoże, kiedy pojawią się ludzie pragnący nadużyć mego zaufania albo mnie przestraszyć. Czy może się myłę?

- Nie mylisz się. Masz przyjaciela i pomoże.

Lois objęła go, przytuliła, pocałowała. Najwyraźniej nie zapomniała tego, czego nauczyła się w życiu o całowaniu - wręcz przeciwnie, posiadała ostatnio wiedzę całkiem nową.

- Wskakuj pod prysznic - rozkazała.

Miał jej właśnie powiedzieć, że w chwili kiedy poleje się ciepłą wodą, natychmiast zaśnie, ale pośpiesznie zmienił zdanie, słysząc jej słowa:

- Nie obraż się, ale cały śmiesznie pachniesz, a już zwłaszcza

twoje ręce. Mój brat Vic tak pachniał, kiedy cały dzień patroszył złowione ryby.

W pięć minut później Ralph siedział w wannie. Piana z mydła sięgała mu powyżej pasa.

Kiedy po kąpieli wrócił do sypialni, zastał Lois dosłownie pogrzebaną w dwóch puchatych poduszkach. Widoczna była wyłącznie jej twarz, i to tylko od nosa w górę. W samych gatkach błyskawicznie przemierzył dystans dzielący drzwi od łóżka, boleśnie świadom wrażenia, jakie mogą sprawić jego chude nogi i brzuszek. Odrzucił kołdrę i wślizgnął się pod nią, posapując lekko, kiedy chłodna powłoczka zetknęła się z ciepłą skórą.

Lois natychmiast przysunęła się na jego stronę i objęła go mocno. Zanurzył twarz w jej włosach. Wreszcie mógł się rozluźnić. Tak dobrze było trzymać ją w ramionach, podczas gdy za oknem wiał wiatr, od czasu do czasu potrząsając okiennicami.

W rzeczywistości czuł się jak w niebie.

- Dzięki Bogu za to, że znów mam w łóżku mężczyznę - powiedziała Lois już prawie przez sen.

- I dzięki Bogu za to, że tym mężczyzną jestem ja - odparł, prowokując ją do śmiechu.

- Żebra w porządku? - spytała jeszcze. - Mam wstać i znaleźć ci aspirynę?

- Nie. Rano pewnie będą boleć, ale na razie wystarczyła ciepła woda. - A skoro już wspomniał, co może lub nie „może) zdarzyć się rano, musiał zadać jeszcze jedno pytanie, pytanie, które chyba cały czas czekało, żeby ktoś wreszcie je zadał. - Lois?

- Hmmm?

Oczami wyobraźni Ralph dostrzegł samego siebie, jak budzi się w ciemności, zmordowany, lecz bynajmniej nie śpiący (jest to niewątpliwie najokrutniejszy paradoks świata). Wyobraził sobie także cyferki na zegarku, przeskakujące z 3.47 na 3.48 i wskazujące tę mroczną godzinę duszy F. Scotta Fitzgeralda, która trwa wystarczająco długo, by zbudować piramidę Cheopsa.

- Jak myślisz, prześpimy tę noc?

- Oczywiście - odparła bez wahania. - Moim zdaniem prześpimy ją aż do rana. W chwilę później udowadniała już własne twierdzenie.

Ralph pozostał przytomny jeszcze przez jakieś pięć minut i wdychał mieszankę wspaniałych zapachów jej skóry, rozkoszując się zmysłową gładkością jedwabiu pod dłońmi, zachwycony bardziej tym, że znalazł się właśnie tu niż tym, co go tu doprowadziło. Przepęłniało go proste i głębokie uczucie, które łatwo rozpoznał, lecz którego przez dłuższy czas nie potrafił nazwać.

Za oknem wiał wiatr, a on pomyślał, że może na świecie nie ma nic lepszego niż leżeć w ciepłym łóżku, trzymając w ramionach kobietę, podczas gdy za oknem spokojnej przystani szaleje taki wiatr.

Nie - jedna rzecz była jednak od tego jeszcze lepsza - uczucie zasypiania, łagodnego pogrążania się w ciepłej, dobrej nocy, ześlizgiwania się z prądem nieznanego na podobieństwo łodzi wypływającej z przystani w pogodny, słoneczny dzień i ruszającej z prądem przyjaznej, powolnej rzeki.

Wiele rzeczy składa się na świat Krótkoterminowych, pomyślał *jeszcze*, ale z nich wszystkich najlepszy jest sen.

Wiatr powiał znowu, ale tym razem jego śpiew wydał mu się daleki, bowiem niósł go już powolny prąd. Udało mu się wreszcie zidentyfikować uczucie, które go ogarnęło, gdy Lois objęła go i zasnęła łatwo i ufnie jak dziecko. Nazywano je wieloma słowami: spokój, spoczynek, spełnienie - lecz teraz, słysząc wiatr i westchnienie śpiącej głęboko Lois, miał wrażenie, że to, czego oboje doznają, trudno nazwać. To można tylko czuć. To jakaś nowa jakość, aura, może nawet zupełnie inny sposób życia, życia w barwie spoczynku, życia w

kolorze ciszy, która następuje po wypełnieniu przez człowieka trudnego, lecz koniecznego zadania.

Kiedy wiatr powiał znowu, przynosząc na swych skrzydłach wycie dalekich syren, Ralph już go nie słyszał. Spał. Raz przyśniło mu się, że musiał pójść do łazienki, co być może wcale nie było snem. Raz przyśniło mu się także, że słodko i powoli kochał się z Lois i być może to także nie było snem. Jeśli śnił coś jeszcze, to budząc się nie pamiętał swych snów, ale przecież nie obudził się ani o drugiej, ani o trzeciej. Oboje spali - czasami razem, czasami oddzielnie - aż do siódmej wieczorem w sobotę, czyli co najmniej dwadzieścia dwie godziny.

Lois przygotowała śniadanie o zachodzie słońca: wspaniałe wyrośnięte wafle, boczek, domowe frytki. Kiedy była w kuchni, Ralph próbował ćwiczyć swój prywatny, umysłowy, ukryty głęboko mięsień - ten, który odpowiadał za uczucie mrugnięcia - nie udało mu się jednak go poruszyć. Lois także nie, choć próbowała, a Ralph założyłby się o milion, że przez moment uniosła się w górę i widział przez nią kuchenkę.

- No i bardzo dobrze - powiedziała, stawiając talerze na stole.

- Pewnie masz rację - przytaknął, ale mimo wszystko czuł się tak, jakby zgubił obrączkę, którą dostał od Carolyn, a nie obrączkę odebraną Atroposowi. Jakby znikła bez śladu drobna, lecz ważna część jego życia.

Po dwóch nocach mocnego, nieprzerwanego snu aury także zaczęły blednąć. W następnym tygodniu znikły i Ralphowi wydawało się nawet czasem, że wszystko, co przeżył, było wyłącznie dziwnym snem. Oczywiście wiedział, że nie był to sen, ale coraz trudniej było mu uwierzyć w to, co wiedział. Co do blizny na ramieniu, ciągnącej się od nadgarstka do łokcia, to czasami miał wrażenie, że to stara blizna, pamiątka z czasów, gdy nie miał jeszcze siwych włosów i gdy w głębi serca uważał, że starość to legenda, sen, coś, co przytrafia się ludziom przeciętnym... ale nie jemu.

EPILOG

NAKRĘCANIE ZEGARA ŚMIERCI (II)

*Oglądam się przez ramię i widzę ów kształt
więc biegnę, biegnę, jak ktoś, kto nocą
w lesie, usłyszy dźwięk stóp, zatrzyma się, nadstawi ucha
i zamiast ciszy słyszy stworzenie ciche.*

*Co może zrobić? Nic tylko uciec. Ścieżką, na ślepo bieć, potykając się, smagany
gałęziami, a stwór jest coraz bliżej
nie śpieszy się jednak, nie dyszy, lecz rozkoszą/e trwogą ofiary.*

Stephen Dobyns: „Pościg”

*Gdybym miał skrzydła, uniósłbym cię na nich Gdybym miał forszę, kupiłbym ci to
cholerne miasto Gdybym miał siłę, może bym cię przeniósł? Gdybym miał latarnię, tobym ci
zaświecił, Gdybym miał latarnię, tobym ci zaświecił.*

Michael McDeromott: „Latarnia”

1

Drugiego stycznia 1994 roku Lois Chasse została Lois Roberts. Mężowi oddał ją jej syn, Harold. Żona Harolda nie uczestniczyła w ceremonii; leżała w Bangor przykuta do łóżka bardzo podejrzanym, zdaniem Ralpha, atakiem bronchitu. Ralph zachował jednak swoje podejrzenia dla siebie, bowiem nieobecność Janet Chasse bynajmniej nie sprawiła mu przykrości. Pierwszym družbą pana młodego był detektyw John Leydecker, nadal z ręką w gipsie, ale poza tym«bez urazów po akcji, która omal go nie zabiła. Przez cztery dni leżał wprawdzie w szpitalu pogrążony w śpiączce, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że należy do szczęściarzy. Oprócz stanowego gliniarza, z którym rozmawiał w momencie wybuchu, zginęło jeszcze sześciu policjantów, w tym dwóch z zespołu, do którego osobiście dobierał ludzi.

Druhną panny młodej była jej przyjaciółka, Simone Castonguay, na weselu zaś pierwszy toast wygłosił mężczyzna, który zwykł był mawiać o sobie, że wcale nie jest podobny do wyżła. Trigger Vachon, bez sensu, lecz z głębi serca, też wtrącił swoje trzy grosze, a zakończył życzenia następująco: „Niech ta dwójka dożyje stu pięćdziesiątki, nie znając ani reumatyzmu, ani zatwardzenia”.

Kiedy Ralph i Lois opuszczali weselną salę, z włosami pełnymi ryżu rzucanego przede wszystkim przez Faye'a Chapina oraz innych Pierników z Harris Avenue, podszedł do nich starzec z książką w ręku. Głowę otoczoną miał delikatną aureolą siwych włosów. Uśmiechał się szeroko.

- Wszystkiego najlepszego, Ralph - powiedział. - Wszystkiego najlepszego, Lois.

- Dziękujemy, Dor - odparł Ralph.

- Brakowało nam ciebie - dodała Lois. - Czyżbyś nie dostał zaproszenia? Faye twierdzi, że ci je wręczył.

- Oczywiście, że mi je wręczył. Oczywiście, oczywiście. Ale nie chodzę na śluby, jeśli nie odbywają się na świeżym powietrzu. Zbyt na nich tłoczno. Zbyt duszno. A pogrzeby są jeszcze gorsze. Proszę, to dla was. Nie zapakowałem jej, mam artretyzm i moje palce nie nadają się do tak delikatnej roboty.

Ralph wziął od niego książkę. Nazywała się „Spotykając bestie”. Zobaczył nazwisko poety: Stephen Dobyns, i zadrżał, choć nie był całkiem pewien dlaczego.

- Dziękuję - powiedział.

- Nie jest tak dobra jak jego późniejsze wiersze, ale mimo to dobra. Dobyns to świetny poeta.

- Będziemy je sobie czytać w miodowym miesiącu - obiecała staruszkowi Lois.

- To doskonały czas na czytanie poezji. Być może najlepszy. Jestem pewien, że będziecie bardzo szczęśliwi.

Z tymi słowami odszedł, ale zatrzymał się jeszcze i obrócił.

- Zachowaliście się wspaniale. Długoterminowi są z was bardzo zadowoleni.

Ruszył przed siebie i teraz już się nie zatrzymał. Lois spojrzała na Ralpha.

- O czym on mówi? Wiesz?

Ralph potrząsnął głową. Nie wiedział, nie na pewno, choć miał wrażenie, że powinien wiedzieć. Znów poczuł coś w bliźnie na ramieniu - coś w rodzaju dokuczliwego podskórnego swędzenia.

- Długoterminowi - powtórzyła Lois. - Może miał na myśli nas, wiesz?, W końcu nie jesteśmy przecież tacy młodzi.

- Najprawdopodobniej tak, rzeczywiście - zgodził się, lecz wiedział, że Lois się myli. Z jej oczu wyczytał, że ona sama, choć może nie całkiem świadomie, zdaje sobie z tego sprawę.

Tego samego dnia, dokładnie w chwili gdy Ralph i Lois mówili sobie „tak”, pewien pijaczek o zielonej aurze - pijaczek, który naprawdę miał wuja w Dexter, choć wuj nie widział

swego upadłego siostrzeńca od dobrych pięciu lat - spacerował sobie po parku Strawforda, mrużąc oczy i chroniąc je od blasku słońca na śniegu. Szukał zwrotnych butelek i puszek. Chciał ich znaleźć tyle, żeby starczyło na pół litra whisky, ale w gruncie rzeczy zadowoliliby go pół litra taniego wina.

Niedaleko przenośnej toalety dla mężczyzn dostrzegł jakiś błysk. Prawdopodobnie promień słońca odbił się po prostu od kapsła do butelki, ale tego rodzaju rzeczy koniecznie trzeba sprawdzać, bo przecież zawsze może to być dziesięciocentówka... Choć pijaczkowi wydawało się, że ten błysk jest taki bardziej złoty...

- Dobry Jezu! - krzyknął, chwytając obrączkę, która jakimś cudem znalazła się na śniegu. Szeroką obrączkę, prawie na pewno złotą. Obracał nią, by zobaczyć, co zostało wygrawerowane wewnątrz.

HD-ED 8-5-87.

Pół litra? Nie, dzięki tej cudownej obrączce kupi sobie litr! Kilka litrów! Kupi sobie litrów na kilka tygodni!

Przebiegając przez skrzyżowanie Witcham i Jackson, pijaczek nie obejrzał się i nie zobaczył autobusu zielonej linii. Kierowca dostrzegł go, nadepnął na hamulec, ale autobus poślizgnął się na lodzie.

Pijaczek w ogóle nie pojął, co się dzieje. W jednej chwili rozważał, co woli: old crow czy old granddad, w następnej znalazł się w ciemności, która czeka nas wszystkich. Obrączka potoczyła się ulicą i znikła w kratce ścieku. Wpadła do kanału i pozostała tam długo, bardzo długo... lecz nie na wieczność. W Derry wpadające do kanału przedmioty w końcu zawsze się pojawiają... najczęściej w nieprzyjemny sposób.

Ralph i Lois nie żyli długo i szczęśliwie.

W świecie Krótkoterminowych nie ma w ogóle takiej rzeczy jak długo, szczęśliwe czy nieszczęśliwe. Kloto i Lachesis bez wątpienia doskonale zdawali sobie sprawę z tego faktu.

Mimo wszystko oboje żyli szczęśliwie przez jakiś czas. Żadne z nich nie powiedziało wprost, że przeżywa najszcześniejsze chwile życia - oboje mieli już przecież za sobą inne związki i wspominali swych nieżyjących pierwszych małżonków z szacunkiem i miłością - ale w głębi serca uważali je za najszcześniejsze. Ralph nie był wcale pewien, czy jesienna miłość jest

miłością najwspanialszą, jednak był głęboko przekonany, że to miłość najłagodniejsza... i najpełniejsza.

„Ta nasza Lois” - powtarzał często i śmiał się, a Lois udawała, że się na niego gniewa, ale zawsze było to tylko udawanie, bo widziała, jak błyszczą mu oczy, kiedy mówił te

słowa..

Pod choinkę, na ich pierwsze wspólne Boże Narodzenie, dostał od Lois maleńką wyżliczkę.

- Podoba ci się? - spytała go zdenerwowana, niepewna. - Kochana Abby mówi, że nigdy, ale to nigdy, nie powinno się dawać w prezencie zwierząt... ale ona tak cudownie wyglądała - w oknie sklepu zoologicznego... Była taka smutna... Jeśli ci się nie podoba, jeśli nie chcesz przez resztę zimy wychodzić z nią na spacer... po prostu powiedz, znajdziemy kogoś...

- Lois - powiedział unosząc brew i miał nadzieję, że udało mu się zrobić to w najlepszy ironiczny McGovernowski sposób - mówisz bez sensu.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Zdarza ci się to, kiedy jesteś zdenerwowana, ale dziś nie masz żadnego powodu do zdenerwowania. Zakochałem się w tej dziewczynie od pierwszego wejrzenia.

I wcale nie przesadzał. Rzeczywiście, od pierwszego wejrzenia zakochał się w czarnej podpalanej wyżliczce.

- Jak ją nazwiemy? - spytała jeszcze Lois. - Masz jakiś pomysł?

- To przecież jasne. Rosalie.

Ostatnie pięć lat okazały się także dobre (w zasadzie) dla Helen i Nat. Przez pewien czas obie mieszkały w skromnym mieszkaniu we wschodniej części miasta. Pensja bibliotekarki wystarczała im na życie i na nic więcej. Ich domek na Harris Avenue został wreszcie sprzedany, ale całą sumę pochłonęły zaległe rachunki. Jednak w czerwcu 1994 roku Helen dostała pieniądze z ubezpieczenia, a przywiał je wiatr, który nazywał się John Leydecker.

Firma ubezpieczeniowa Great Eastern odmówiła początkowo wypłaty ubezpieczenia Eda Deepneau, twierdząc, że popełnił on samobójstwo. Później jednak, zgrzytając swymi

zbiorowymi zębami i burcząc pod zbiorowym nosem, zgodziła się na układ pod warunkiem, że sprawa nie trafi do sądu. Przekonał ich do tego kumpel od pokera Johna Leydeckera, niejaki Howard Hayman. W przerwach między kolekcjonowaniem karet i dobieraniem do trójki Hayman był prawnikiem uwielbiającym szarpać towarzystwa ubezpieczeniowe.

Leydecker spotkał się z Helen - po dłuższej przerwie - właśnie w domu Ralpa i Lois, w lutym 1994 roku. Helen zafascynowała go i oczarowała („Ale nie była to całkiem miłość”, powiedział im później. „No i dobrze, biorąc pod uwagę jak ułożyły się sprawy”), więc poszedł z nią do Haymana. Uważał, że firma ubezpieczeniowa kantuje ją bezczelnie. „Był

szaleńcem, nie samobójcą” - twierdził jeszcze długo po tym, jak Helen wręczyła mu kapelusz i wskazała drzwi.

Wobec groźby procesu i obietnicy, że Hayman potrafi przedstawić ich na rozprawie jako okrutników, którzy na podobieństwo kapitana Haka wysyłają za burtę śliczną Wendy, szefowie Eastern złamali się i wręczyli Helen czek na siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Późną wiosną 1994 roku Helen wydała większość tych pieniędzy na kupno domu przy Harris Avenue. Dom stał o trzy działki zaledwie od poprzedniego, naprzeciw domu Harriet Bennigan.

- Nigdy nie czułam się dobrze tam, po wschodniej stronie - wyznała Helen Lois w listopadzie tego samego roku. Wracaly z parku. Natalie spała smacznie w wózekczku, prawie jej nie było. Tylko zaczerwieniony nosek i chmurka pary ze spokojnego oddechu wydobywały się spod wielkiej narciarskiej czapki, którą Lois zrobiła dla niej na drutach. - Harris Avenue nawet mi się śniła. Szaleństwo, nie?

- Sny nigdy nie są szalone - odparła Lois.

Helen i John Leydecker spotykali się przez całe lato, lecz ani Ralph, ani Lois nie byli szczególnie zdziwieni, kiedy ich randki skończyły się jak nożem uciął po Dniu Pracy. Nie zdziwiło ich także to, że Helen zaczęła nosić mały różowy trójkąt przy skromnej, zapiętej pod szyję bluzce bibliotekarki. Nie zaskoczyło ich to być może dlatego, że starych ludzi nic nie dziwi, a być może dlatego, że nieświadomie nadal odbierali otaczające wszystko aury; aury, które otwierały jaskrawo i kolorowo oświetloną drogę do tajemnego miasta ukrytych znaczeń, niejasnych motywów, niejawnych zdarzeń.

Teraz, kiedy Helen powróciła na Harris Avenue, Ralph i Lois często opiekowali się Natalie i robili to z największą przyjemnością. Nat była dla nich dzieckiem, które mogliby mieć, gdyby pobrali się trzydzieści lat wcześniej. Nawet najchłodniejsze, najchmurniejsze zimowe dni rozjaśniały się i ciepłały, kiedy Nat, w różowym pikowanym kombinezonie i z dyndającymi przy łapkach rękawicami wyglądająca jak miniatuurka reklamy opon Michelina, wpadała do nich krzycząc radośnie: „łalf i Roliss! Przyszłam z wizytówką!”

W czerwcu 1995 roku Helen kupiła mocno używane volvo. Na bagażnik nalepiła plaketkę ze słowami: KOBIETA POTRZEBUJE CHŁOPA JAK RYBA ROWERU. I to także nie zdumiało Ralpha, choć na widok owej nalepki zawsze czuł niesmak. Myślał nawet czasami, że najbardziej złowrogi spadek, jaki Ed pozostawił żonie, uwidaczniał się w tych kilku kwaśnych i wcale nie tak dowcipnych słowach. Na ich widok przypominał sobie Eda Deepneau siedzącego bez koszuli w strumieniu wody z ogrodowego spryskiwacza, z okularami na nosie, na których rozmazywała się kropla krwi. Ed pochylał się wówczas,

spojrzał na niego swymi szczerymi, inteligentnymi oczami i powiedział, że kiedy głupota dosięga określonego dna, nie da się z nią żyć.

A potem to dopiero wszystko się zaczęło, myślał czasami Ralph. Czym było to wszystko, nie pamiętał, i chyba dobrze. Luki w pamięci nie przeszkadzały mu jednak sądzić, że Helen została oszukana i że biegnie z puszkami przywiązanymi do ogona, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że ma ogon i że ktoś przywiązał do niego puszki.

W miesiąc po tym, jak Helen kupiła sobie volvo, Faye Chapin dostał ataku serca akurat wtedy, kiedy przygotowywał grafik Turnieju Pasa nr 3 i zestawiał pary. Zabrano go do szpitala Derry Home, gdzie umarł siedem godzin później. Ralph odwiedził go tuż przed końcem i kiedy zobaczył numer sali, w której leżał Faye - 315 - doznał gwałtownego uczucia deja vu. Przede wszystkim dlatego, że w sali na tym samym korytarzu zakończyła życie Carolyn; dopiero później przypomniał sobie, że w sali 315 umarł Jimmy V. Wraz z Lois odwiedził Jimmy'ego tuż przed końcem; Jimmy chyba ich rozpoznał, choć Ralph wcale nie był tego pewien, bo wspomnienia z czasów, kiedy po raz pierwszy zwrócił uwagę na Lois, pozostały na zawsze zamglone, niepewne. Przypuszczał, że częściowo to sprawa miłości, a częściowo starzenia się. Ale największą winę za luki w pamięci przypisywał jednak bezsenności - dokuczyła mu przez kilka miesięcy po śmierci Carolyn, choć przecież sama się wyleczyła, co w końcu nie zdarza się tak rzadko. Mimo wszystko nie potrafił obronić się przed wrażeniem, że coś

(dzień dobry, mężczyzno, dzień dobry, kobieto, czekaliśmy na was)

bardzo, ale to bardzo niezwykłego zdarzyło się w tej szpitalnej sali i kiedy ujął suchą, bezwładną dłoń Faye'a Chapina, kiedy z uśmiechem spojrzał w jego przerażone, błędne oczy, przez głowę przemknęła mu bardzo dziwna myśl: Stoją tu, w kącie, i patrzą na nas.

Rozejrzał się dookoła. Oczywiście, w kącie nie było nikogo, ale przez chwilę... dosłownie przez chwilę...

Życie w latach 1993-1998 biegło, jak biegnie zawsze życie w miastach podobnych do Derry: liście, zielone w kwietniu, w październiku spadały z drzew sztywne i poźółkłe, w połowie grudnia ludzie przywozili choinki, które w połowie stycznia wywoziły śmieciarki, z pasmami sreberek wiszącymi nadal na gołych gałęziach. Dzieci przychodziły na ten świat, starcy odchodzili z tego świata, a czasami z tego świata odchodzili nie tylko starcy.

Minęło w Derry pięć lat strzyżenia i utrwalania trawników, pięć lat gwałtownych burz i równie gwałtownych balów maturalnych, pięć lat kawy i papierosów, cudownych steków u Parkera i cudownych hot dogów na boisku Małej Ligi. Chłopcy i dziewczęta zapadali na szczenięcą miłość, pijacy wypadali z samochodów, krótkie spódniczki popadały w

zapomnienie. Ludzie naprawiali dachy domów i wjazdy do garażów. Starych oszustów strącano ze stołków, które w wyborach oddawano młodym oszustom. Tak się toczyło życie, na ogół niezbyt zadowalające, często okrutne, zazwyczaj nudne, a od czasu do czasu cholernie zabawne. Mijał czas, lecz w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło - a w każdym razie nic ważnego. Wczesną jesienią 1996 roku Ralph był święcie przekonany, że ma raka jelita grubego. W jego stolcu pojawiało się coraz więcej i więcej krwi i kiedy w końcu zdecydował się na wizytę u doktora Pickarda (niechlujnego i wesołego następcy doktora LJtchfielda), piastował w głowie wizję chemoterapii i wiszących nad szpitalnymi łózkami kroplówek. Zamiast raka doktor Pickard rozpoznał jednak hemoroidy, które, według jego godnego upamiętnienia sformułowania, „wyszły z siebie”. Ralph dostał receptę na czopki, z którą poszedł zaraz do „Szczęścia w pigułce”. Joe Wyzer przeczytał ją i uśmiechnął się szeroko.

- Cholerna sprawa - powiedział - ale rak bije ją na łeb, nie?

- Nawet o tym nie pomyślałem - stwierdził godnie Ralph. Pewnego dnia zimą 1997 roku Lois uparła się zjechać z ich

ulubionej górki w parku Strawforda na plastikowych saneczkach Nat Deepneau. Poleciała szybciej „niż świnia bez spadochronu”, przynajmniej według świadectwa Dona Veaziego, który przypadkiem był akurat na miejscu, i wyrznęła w plastikową ścianę toalety dla kobiet. Stłukła sobie przy tym kolano i krzyż i choć Ralph wiedział, że nie powinien okazywać jej, najłagodniej mówiąc, braku współczucia, całą drogę do szpitala ryczał ze śmiechu. Z całej siły próbował się opanować, ale na próżno, bo Lois, mimo bólu, także śmiała się do łez. Siniał się, aż łzy ciekły mu z oczu i zaczął się poważnie obawiać, że może dostać zawału. Lois wyglądała dokładnie jak „ta nasza Lois”, kiedy jechała w tej cholernej, kręcącej się w kółko miednicy z nogami skrzyżowanymi wzorem jakiegoś pieprzonego jogi z tajemniczego Wschodu, a w kibelkę wyrznęła tak, że się prawie przewrócił! Na wiosnę wydobrzała, choć kolano bolało ją w deszczowe noce, a poza tym męczył ją Don Veazie, przy każdym spotkaniu pytający, czy ostatnio nie rozjechała przypadkiem jakichś kibelków.

8

Zwykle życie, toczące się tak jak toczy się życie, czyli najczęściej między wierszami i na marginesach. Według tego czy innego proroka liczy się przecież wyłącznie to, czego dokonamy robiąc inne plany, a życie Ralpa Roberta, przynajmniej

w tym czasie, było takie doskonale właśnie dlatego, że nie robił innych planów. Przyjaźnił się nadal i z Joem Wyzerem, i z Johnem Leydeckerem, ale przez cały czas najlepszym jego przyjacielem była żona. Prawie wszędzie chodzili razem, nie mżeli przed sobą tajemnic, a klócili się tak rzadko, że słowo „nigdy” byłoby bliższe prawdy. Ralph miał

także wyżlicę imieniem Rosalie, bujany fotel, który należał niegdyś do pana Chasse, a teraz był jego własny, oraz codzienne niemal wizyty Natalie, która mówiła im już „Ralph i Lois” zamiast „Łalf i Roliss”. Zmiany tej nie powitali bynajmniej z radością. I, co być może najważniejsze, zdrowie mu dopisywało. Żył życiem Krótkoterminowego, pełnym krótkoterminowych radości i krótkoterminowych trosk, radował się nim i nurzał w nim z głową aż do połowy marca 1998 roku, kiedy to obudził się pewnego dnia, spojrzął na zegarek przy łóżku i odkrył, że jest za jedenaście szósta rano.

Leżał nieruchomo obok Lois, nie chcąc jej obudzić. Zastanawiał się, co obudziło jego.

Przecież wiesz, Ralph.

Nie. Nie wiem.

A właśnie że wiesz. Słuchaj.

Słuchał więc. Słuchał bardzo uważnie. Po dłuższej chwili usłyszał wreszcie ten dźwięk, usłyszał dobiegające ze ścian ciche tykanie zegara śmierci.

Następnego ranka obudził się za trzynaście, a kolejnego za piętnaście szósta. Zima urodziła się, dorosła i zestarzała, nadeszła wiosna, a on każdej zimowej i każdej wiosennej nocy budził się coraz wcześniej. W maju tykanie zegara śmierci słyszał już wszędzie, ale pojmował, że pochodzi ono z jednego miejsca i z niego odbija się w całym świecie, że jest jak sztuczka dobrego brzuchomówcy. Kiedyś dobiegało z Carolyn, teraz jego źródłem był on sam.

Nie czuł ani odrobiny tego strachu, który opanował go, gdy był pewien, że ma raka, nie popadł też ani odrobinę w depresję, którą pamiętał ze swego pierwszego ataku bezsenności. Łatwiej się męczył, za to trudniej mu było się skoncentrować i zapamiętać nawet bardzo proste rzeczy, przyjął jednak to, co się stało, z największym spokojem.

- Dobrze śpisz? - spytała Lois pewnego dnia. - Masz wielkie sińce pod oczami.

- A wszystko przez te okropne narkotyki.

- Bardzo śmieszne, ty stary głupolu. Wziął ją w ramiona. Przytulił.

- Nie martw się o mnie, kochanie - powiedział. - Śpię dokładnie tyle, ile trzeba.

W tydzień później budząc się dwie po czwartej, czuł pulsujące ciepło w ramieniu; ciepło pulsujące w rytm tykania zegara śmierci, które odpowiadało, oczywiście, rytmowi bicia serca. Nowe w tym nie było jednak serce, a przynajmniej miał wrażenie, że nie serce; nowe było wrażenie, że w ramię wszyto mu rozgrzany drut.

To blizna! - pomyślał, a potem: nie, to obietnica. Zbliża się czas dotrzymania obietnicy.

Jakiej obietnicy, Ralph? Jakiej obietnicy?

Tego jednak nie wiedział.

Pewnego dnia na początku czerwca panie Deepneau wpadły do nich z wizytą opowiedzieć o wycieczce, którą zrobiły sobie z „ciocią Melanie”, kasjerką z banku, wielką przyjaciółką Helen. Helen i ciocia Melanie brały udział w jakiejś feministycznej konferencji, podczas gdy Nat zaprzyjaźniała się z co najmniej miliardem nowych kolegów i koleżanek w centrum opieki nad dziećmi. Ciocia Melanie pojechała później do Nowego Jorku i Waszyngtonu na inne feministyczne konferencje, panie Deepneau zaś pozostały na kilka dni w Bostonie i po prostu zwiedzały miasto.

- Poszliśmy do kina na film! - oznajmiła Natalie. - Rysunkowy! W tym filmie były zwierzęta i one... mówiły] - To ostatnie słowo wypowiedziała z szekspirowską wręcz dostojnością. „Móóówiiliły”.

- Filmy z mówiącymi zwierzętami są fajne, prawda? - poparła ją Lois.

- Tak! I dostałam nową sukienkę!

- Bardzo ładna - stwierdziła Lois. Helen tymczasem przyglądała się Ralphowi.

- Dobrze się czujesz, stary przyjacielu? Błado mi wyglądasz i nie powiedziałeś „buuu!”

- Nigdy nie czułem się lepiej - zapewnił ją Ralph. - Myślałem o tym, jak fajnie wyglądacie obie w tych czapczkach. Dostałyście je na Fenway Park?

Zarówno Helen jak i Nat miały na głowie czapczki bostońskich Czerwonych Skarpet. W Nowej Anglii, zwłaszcza przy cieplej pogodzie, takie czapki spotykało się bardzo często - Lois powiedziałaaby „często jak kocie kupy” - ale ich widok na tych dwóch głowach wypełnił serce Ralph'a szczególnym, głębokim niepokojem, zwłaszcza że towarzyszył im obraz, którego nie potrafił zrozumieć; obraz parkingu i ulicy przed „Jabłuszkiem”.

Helen tymczasem zdjęła czapczkę i przyglądała się jej uważnie.

- Aha - powiedziała. - Poszliśmy na mecz, ale wytrzymałyśmy tylko trzy rzuty. Mężczyźni rzucający piłki, mężczyźni łapiący piłki... mam wrażenie, że ostatnio brakuje mi jakoś cierpliwości do mężczyzn i ich piłek. Ale te czapki bardzo się nam podobają, prawda, Nat?

- Tak. - zgodziła się natychmiast Natalie, a kiedy następnego ranka Ralph obudził się minutę po czwartej, blizna pulsowała mu cienką linią ciepła, a zegar śmierci wydawał się przemawiać, wypowiadając jedno dziwne, obco brzmiące imię: Atropos, Atropos, Atropos.

Znam je.

Doprawdy, Ralph?

Tak. Miał zardzewiały skalpel, paskudne skłonności, nazywał mnie Krótkim i zabrał...

zabrał...

Co zabrał, Ralph?

Powoli *przyzwyczajal* się do tych milczących dyskusji; wydawało mu się, że owe obce głosy odbiera w głowie niczym piracką stację radiową, która nadaje wyłącznie nad ranem, kiedy leżał z otwartymi oczami przy śpiącej żonie, czekając na wschód słońca.

Co zabrał? Pamiętasz?

Nie spodziewał się nawet, że będzie w stanie odpowiedzieć na to pytanie; na pytania zadawane przez głos z zasady nie znał odpowiedzi. Dziwne, ale tym razem było jednak inaczej.

Ależ oczywiście. Kapelusz Billa McGovern! Atropos zabrał kapelusz Billa, a kiedyś nawet tak go rozwścieczyłem, że odgryzł kawałek ronda.

Co to za jeden? Kim jest ten Atropos?

Tego już nie był taki pewien. Wiedział tylko, że ma on coś wspólnego z Helen, właścicielką czapeczki bostońskich Czerwonych Skarpet, i że ma zardzewiały skalpel.

Już niedługo, myślał Ralph Roberts, leżąc w ciemności, wsłuchany w ciche, równe, dobiegające ze ścian tykanie zegara śmierci. Wkrótce dowiem się wszystkiego.

W trzecim tygodniu tego niezdolnie upalnego czerwca znów zaczął widzieć aury.

Skończył się czerwiec, nadszedł lipiec. Ralph coraz częściej wybuchał płaczem, przeważnie bez najmniejszego powodu. Dziwne to było, bo nie cierpiał na depresję, nie był rozczarowany życiem, a jednak wystarczyło, by na coś spojrzął - na przykład na samotnego ptaka lecącego wysoko na niebie - a serce krajało mu się z żalu i smutku.

Już prawie koniec - powiedział jego wewnętrzny głos, który nie był ani głosem Billa, ani Carolyn, ani nawet jego młodszego „ja”; był to głos całkowicie obcy, choć wcale nie obojętny. I dlatego jesteś smutny. To całkiem normalne-być smutnym, kiedy wszystko się kończy.

Nic się nie kończy! - krzyknął w rozpaczliwym sprzeciwie. Dlaczego miałyby się kończyć? Po ostatnim badaniu doktor Pickard powiedział, że jestem zdrowy jak koń. Jestem zdrowy! Nigdy nie czułem się lepiej!

Milczenie. Wszechwiedzące milczenie.

- Doskonale - powiedział Ralph głośno pewnego poranka, pod koniec lipca. Siedział na ławce niedaleko miejsca, w którym do 1985 roku stała wieża ciśnień, zniszczona podczas wielkiej burzy. U podstawy wzgórza, koło poidła dla ptaków, młody człowiek (najwyraźniej obserwator ptaków, i to bardzo poważny, sądząc po zawieszanej na szyi lornetce i stosie

leżących obok niego na trawie książek) notował coś w zeszycie, który wyglądał na dziennik. - Doskonale, to powiedz mi, dlaczego wszystko się kończy? No, dlaczego?

Odpowiedź nie przyszła natychmiast, ale nie przejmował się, był skłonny czekać. Zrobił sobie dość długi spacer w upalny dzień i był zmęczony. Co rano budził się około wpół do czwartej. Znow zaczął chodzić na wyczerpujące spacer, choć nie miał nadziei, że dzięki nim będzie spał lepiej lub dłużej. Uważał je raczej za ostatnie pielgrzymki do ulubionych miejsc Derry, z którymi się żegnał.

Ponieważ nadszedł już prawie czas wypełnienia obietnicy - powiedział głoś. Jednocześnie blizna na ramieniu zaczęła pulsować znajomym ciepłem. Tej, którą złożono tobie, i tej, którą ty złożyłeś.

- Jaka to była obietnica? - spytał podniecony. - Proszę, jeśli rzeczywiście złożyłem obietnicę, to dlaczego jej teraz nie pamiętam?

Poważny obserwator ptaków usłyszał go i spojrzał na szczyt wzgórza. Dostrzegł mężczyznę, który siedział na ławce i najwyraźniej rozmawiał sam ze sobą. Usta poważnego obserwatora ptaków skrzywiły się w wyrazie obrzydzenia, a przez głowę przeleciała mu myśl: „Mam nadzieję, że umrę, zanim się tak zestarzeję. Serio, już lepiej byłoby nie żyć”. Po czym poważny obserwator ptaków wrócił do obserwacji ptaków i robienia notatek.

A głęboko w głowie Ralpha pojawiło się nagle uczucie zaciskania, uczucie mrugnienia i choć nie ruszył się z ławki, poczuł, że mimo to unosi się do góry... szybciej i wyżej niż kiedykolwiek...

Przecież to nieprawda - powiedział głoś. Kiedyś byłeś znacznie wyżej niż dziś, Ralph... i *Lois* też. Wkrótce znów tam dotrzesz. Wkrótce będziesz gotów.

Poważny obserwator ptaków, nieświadom tego, że żyje w centrum olśniewającej ciemnozłotej aury, rozejrzał się uważnie dookoła, prawdopodobnie, żeby sprawdzić, czy sklerotyczny starzec ze stojącej na szczycie wzgórza ławki nie skrada się ku niemu z ostrym narzędziem w ręku. To, co zobaczył, sprawiło, że jego usta, mocno zaciśnięte w wyrazie bardzo niesympatycznym, ułożyły mu się w pełen niedowierzania uśmiech. Oczy mu się rozszerzyły, a w jego aurze pojawiły się niebieskofioletowe kolce. Ralph zdał sobie sprawę, że to oznaka szoku.

Co mu się stało? Co on takiego widzi?

Nie było to właściwe pytanie. Chodziło nie o to, co chłopak

widział, lecz czego nie widział. Nie widział Ralph, bowiem Ralph znalazł się tak wysoko, że zniknął z tego poziomu - stał się wizualnym odpowiednikiem niesłyszalnego dla ludzkich uszu tonu, który wydaje gwizdek na psy.

Gdyby tu teraz byli, zauważyłbym ich z łatwością.

Kogo, Ralph? Kogo byś zauważył?

Klota. Lachesisa. I Atroposa.

I nagle fragmenty łamigłówek, o wiele łatwiejszej, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka[^] złożyły się w całość.

Ralph, szeptem: [*O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże.*]

W sześć dni później obudził się piętnaście po trzeciej rano i wiedział, że nadszedł czas spełnienia obietnicy.

- Poszedłbym do „Jabluska” po lody - powiedział pewnego dnia. Była prawie dziesiąta. Serce biło mu o wiele za mocno, a myśli głużył szum straszliwego, paralizującego strachu. Nigdy w życiu nie miał mniejszej ochoty na lody, ale ta chęć wydała mu się rozsądną i prawdopodobną wymówką, by pójść do sklepu. Był początek sierpnia i zdaniem meteorologów temperatura po południu przekroczyć miała trzydzieści parę stopni, na wieczór zaś zapowiadano burze.

Wieczne burze nic go jednak nie obchodziły.

W drzwiach kuchennych, na gazetach, stał regał na książki. Lois malowała go na czerwono. Kiedy na nią patrzył, wstała z klęczek, przyłożyła dłonie do kręgosłupa i wyprostowała się powoli. Usłyszał lekki trzask w jej krzyżu.

- Pójdę z tobą. Jeśli dalej będę oddychała farbą, wieczorem rozboli mnie głowa. W ogóle nie wiem, dlaczego uparłam się malować w taki duszny dzień.

Ostatnią rzeczą, o jakiej marzył, była obecność Lois pod sklepem.

- Nie musisz, kochanie. Przyniosę ci te kokosowe na patyku, które tak lubisz. Nie zabieram nawet Rosalie, jest tak duszno. Dlaczego po prostu nie posiedzisz sobie na ganku?

W taki upał każde lody spadną z patyka, zanim doniesiesz je do domu. Dobrze, chodźmy, póki po tej stronie ulicy jest jeszcze cień...

Przerwała. Uśmiech znikł jej z ust, na twarzy pojawiło się przerażenie, a w szarej aurze, która odrobinę tylko pociemniała przez te wszystkie lata, kiedy Ralph jej nie widział, pojawiły się chmurki świecących na czerwono węgielków.

- Ralph, co się stało? Co ty naprawdę masz zamiar zrobić?

- Nic-powiedział, ale blizna płonęła mu pod skórą, a głośne tykanie zegara śmierci dobiegało zewsząd, dosłownie zewsząd. Przypominało mu, że się umówił. Że musi dotrzymać obietnicy.

- Wszystko. Coś jest nie tak, coś jest nie tak od dwóch czy trzech miesięcy, a może dłużej. Jestem głupia, wiedziałam przecież, że źle się dzieje, ale nie chciałam się przyznać, że

wiem, nie chciałam ze strachu. Miałam prawo się bać, prawda? Miałam prawo się bać?

- Lois...

Nagle Lois rzuciła się ku niemu, prawie na niego skoczyła, jakby zapomniała, że boli ją krzyż. Złapała go za prawe ramię, przytrzymała je, wbiła oczy w bliznę...

Blizna pulsowała jaskrawą czerwienią.

Przez moment Ralph miał jeszcze nadzieję, że to kolor aury i że Lois nie będzie w stanie go zobaczyć. Kiedy jednak spojrzała mu w twarz, oczy miała okrągłe, przerażone i było w nich coś jeszcze. Coś jak zrozumienie.

- O mój Boże - szepnęła. - Ci ludzie z parku. Mieli śmieszne imiona... Kłotek... Łaszek... jeden z nich rozciął ci rękę. O Boże, Ralph, co ty masz zamiar zrobić!?

- Spokojnie, kochanie, nie przejmuj się...

- Jak śmiesz żądać, żebym się nie przejmowała! - krzyknęła mu w twarz. - Nie wolno ci, słyszysz? Nie wolno!

Pośpiesz się - napomniął go wewnętrzny głos. Nie masz już czasu, żeby tak stać i dyskutować z nią, coś już zaczęło się dziać i być może zegar śmierci, który słyszysz tak wyraźnie, tyka nie tylko dla ciebie.

- Muszę iść - powiedział i podreptał w stronę drzwi. W zdenerwowaniu nie dostrzegł czegoś charakterystycznego, niezwykłego; Sherlock Holmes na pewno by tego nie przegapił: pies, który powinien był czekać, pies, który poważnym, głębokim szczeknięciem wyrażał swoje niezadowolenie zawsze, gdy słyszał w domu podniesione głosy, tym razem nie zaszczekał. Rosalie nie było na jej miejscu, w korytarzyku przy drzwiach... same drzwi zaś stały otworem.

W tym momencie Ralph nie myślał jednak o Rosalie. Czuł się tak, jakby brnął po kolana w smole. Wydawało mu się, że nie dotrze na ganek, nie wspominając już o sklepie. Serce próbowało wyskoczyć mu z piersi, oczy paliły.

- Nie! - krzyknęła Lois. - Ralph, proszę, nie. Nie zostawiaj mnie!

Pobiegła za nim, złapała go za ramię. Nadal trzymała w ręku pędzel, na koszulę padły mu drobne krople czerwonej jak krew farby. Płakała teraz, twarz miała tak przeraźliwie, bezbronne smutną, że serce mu niemal krwawiło. Nie chciał jej tak zostawić. Nie był pewien, czy może ją tak zostawić.

Obrócił się, obiema rękami ujął ją za ramiona.

- Lois, muszę iść.

- Przestałeś sypiać - Lois mówiła bez ładu i składu, w pośpiechu. - Wiedziałam, wiedziałam, że oznacza to coś złego, ale przecież nie szkodzi, przecież możemy uciec,

wyjechać, już teraz, weźmiemy Rosalie, szczoteczki do zębów i...

Zacisnął dłonie. Lois przerwała, patrzyła tylko na niego oczami wilgotnymi od łez, usta jej drżały.

- Lois, posłuchaj mnie. Ja to muszę zrobić!

- Straciłam Paula! - zawyła. - Nie mogę stracić i ciebie! Ja tego nie przeżyję! Ralph, ja tego nie przeżyję!

Przeżyjesz, pomyślał. Krótkoterminowi są znacznie twardsi, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Nie mają wyboru, muszą.

Poczuł, że po policzkach spływają mu łzy. Miał wrażenie, że są to raczej łzy zmęczenia niż żalu. Gdyby potrafił jej jakoś wyjaśnić, że niczego nie można już zmienić, że tylko będzie mu ciężiej...

Odsunął ją na długość ręki. Blizna na ramieniu pulsowała mocniej niż zwykle, a poczucie, że czas ucieka bezlitośnie, stało się wręcz nie do zniesienia.

- Jeśli chcesz, możesz przejść ze mną kawałek - powiedział. - Być może pomożesz mi nawet zrobić to, co powinienem zrobić. Przeżyłem swoje życie, Lois, i było to dobre życie, a ona nie przeżyła jeszcze niemal nic, i niech mnie diabli, jeśli pozwolę sukinsynowi zabrać ją tylko dlatego, że ma ze mną rachunki do wyrównania...

- Jakiemu sukinsynowi, Ralph? Na litość boską, o czym ty w ogóle mówisz?

- Mówię o Natalie Deepneau. Natalie ma umrzeć dziś rano, tylko że ja na to nie pozwolę.

- Nat? Jezus Maria, przecież nikt nie ośmieli się skrzywdzić Nat.

Była tak oszołomiona. Wyglądała na stuprocentową „tę naszą Lois”... lecz czy coś się nie kryje pod tą maską? Czy przypadkiem nie kalkuluje, nie układa sobie czegoś w głowie? Według niego tak. Według niego tylko udaje zdumioną. Potrafiła przecież przez lata oszukiwać McGoverna - jego zresztą także - udając głupszą, niż jest, i oto ma do czynienia z kolejną błyskotliwą wersją jej gry.

Tak naprawdę chce go tylko zatrzymać. Bardzo kocha Nat, ale wyboru między mężem a mieszkającą po sąsiedzku dziewczynką po prostu nie uznaje za wybór. Wiek, sprawiedliwość nie mają dla niej najmniejszego znaczenia; nie w tej sprawie. Ralph jest jej mężczyzną i tylko to się liczy.

- Nie uda ci się - powiedział łagodnie, wyzwolił się z jej objęć i ruszył w stronę drzwi.

- Złożyłem obietnicę, a teraz zaczyna mi brakować czasu.

- Więc ją złam! - krzyknęła, a w jej głosie było tyle strachu, tyle wściekłości, że go to przeraziło. - Niewiele pamiętam z tego, co się wówczas działo, ale pamiętam, że zostaliśmy

wplątani w coś, co o mało nas nie zabiło... i to z powodów, których wcale nie rozumieliśmy. Złam obietnicę, Ralph! Lepsze to, niż złamać mi serce!

- A co z małą? I jeśli już o tym mówimy, co z Helen? Helen żyje tylko dla niej. Czy nie zasługuje na to, by dostać ode mnie coś więcej niż tylko złamaną obietnicę?

- Nie obchodzi mnie, na co zasługuje Helen! Nie obchodzi mnie, na co zasługują obie!
- krzyknęła z wściekłością, lecz zaraz umilkła i twarz się jej zmieniła. - Nie, oczywiście, że nie, obchodzi mnie to, nawet bardzo. Ale co z nami, Ralph? Czy my się nie liczymy?

Jej oczy, piękne, czarne, jakże wymowne hiszpańskie oczy, wpatrywały się w niego z błaganiem. Gdyby patrzył w nie choćby chwilę dłużej, zapłakałby i... zrezygnował, więc odwrócił wzrok.

- Zrobię, co muszę zrobić, kochanie. Nat dostanie to, co my już mieliśmy: siedemdziesiąt lat życia, siedemdziesiąt lat dni, siedemdziesiąt lat nocy.

Lois patrzyła na niego żałośnie, ale nie próbowała go już zatrzymywać. Rozplakała się tylko.

- Głupi staruch - powiedziała. - Głupi złośliwy staruch.

- Chyba masz rację - powiedział, dotknął palcem jej brody, uniósł głowę. - Ale jestem głupim złośliwym staruchem, który dotrzymuje danego słowa. Chodź ze mną. Proszę.

- Dobrze. - Lois prawie nie słyszała własnego głosu. Skórę miała zimną jak lód, jej aura niemal cała była czerwona. - Co się stanie? Co ma się stać?

- Wpadnie pod zielonego osobowego forda. Jeśli nie zajmę jej miejsca, samochód rozsmaruje ją po Harris Avenue... na oczach Helen.

Ruszyli w górę ulicy, ku „Jabluszkę”; Lois najpierw szła wolno, zostawała w tyle, podbiegała do Ralpa i znów zwalniała, ale dała spokój, widząc, że nie nabierze się na takie sztuczki. Po drodze opowiedział jej, co wiedział, czyli niewiele. Lois mgliście pamiętała dziurę pod starym dębem - przez cały czas, aż do dziś, wierzyła, że kiedyś jej się to śniło - ale przecież nie była świadkiem ostatecznej rozprawy z Atroposem. Szczegóły poznała dopiero z jego ust i dopiero teraz dowiedziała się, jaką śmierć wybrał dla Nat szalony doktorek, na wypadek gdyby on, Ralph, nie przestał włączyć mu w drogę. Dowiedziała się także, jak dwaj dobrzy łysi doktorkowie obiecali mu, że w tym szczególnym przypadku decyzja Atroposa zostanie anulowana, a Nat ocaleje.

- Mam wrażenie... że wtrącił się tu ktoś bardzo blisko... góry... gmachu... Wieży... o której bez przerwy nam opowiadali. Może nawet... ktoś z samej... góry. - Ralph dyszał, z trudem wymawiał pojedyncze słowa, a serce biło mu mocno, jak nigdy przedtem, ale była to chyba wyłącznie wina szybkiego marszu w upale, bo już nie bał się tak strasznie. Rozmowa z

Lois na coś się jednak przydała.

Widział już „Jabluszek”. Na przystanku autobusowym, pół przecznicy za sklepem, stała wyprostowana niczym generał przyjmujący defiladę pani Perrine. Z ramienia zwisała jej siatkowa torba na zakupy. Przystanek wyposażony był w wiatę rzucającą przyjemny cień, pani Perrine całkowicie ignorowała jednak jej istnienie. Nawet w oślepiającym blasku słońca widział, że jej aura ma ten sam co pewnego październikowego wieczora 1992 roku kolor szarego munduru kadeta West Point. Helen i Nat nie było jeszcze na miejscu.

- Oczywiście, że go poznałam - oznajmiła później dziennikarzowi *Derry News* pani Perrine. - Czy sprawiam na tobie wrażenie osoby nie w pełni sił umysłowych, młody człowieku? Może sklerotyczki? Znałam Ralpa Roberta ponad dwadzieścia lat. Był dobrym człowiekiem. Nie ta klasa, oczywiście, co jego żona, Carolyn - Carolyn pochodziła z Satterwaite'ów, Satterwaite'ów z Bangor - ale mimo to był bardzo dobrym człowiekiem. Od razu poznałam też kierowcę tego zielonego auta, tego forda. Pete Sullivan przynosił mi gazety przez sześć lat. Dobrze pracował. Ten nowy, chłopak Morrisonów, zawsze wrzuca je w grządki albo na dach ganku. Pete prowadził samochód matki, no i ledwie co dostał prawo jazdy, na okres próbny. Mam nadzieję, że nie weźmie sobie za bardzo do serca tego, co się stało. To dobry chłopak i przecież niczemu nie zawinił. Wszystko widziałam i mogłabym to powtórzyć pod przysięgą.

Pewnie uważasz, że gadam od rzeczy? Nie, nie zaprzeczaj, czytam z twojej twarzy równie łatwo, jak z tej twojej gazety. Nic nie szkodzi, powiedziałam już prawie wszystko, co miałam do powiedzenia. Od razu się zorientowałam, że to Ralph, ale teraz powiem coś, co z pewnością źle napiszesz... jeśli w ogóle umieścisz to w swoim artykule. Prawdopodobnie nie. Wiesz, on wziął się znikąd i uratował tę dziewczynkę.

Esther Perrine przeszywa pełnego szacunku młodego reportera godnym spojrzeniem, przeszywa go spojrzeniem, jak kolekcjoner motyli przeszywa szpilką motyla, któremu przedtem zaaplikował chloroform.

- Nie chodzi mi o to, że wyglądało, jakby wziął się znikąd, młody człowieku, choć niewątpliwie tak właśnie napiszesz.

Nie spuszczać wzroku z jego twarzy, pani Perrine pochyla się w stronę młodego reportera i powtarza:

- On wziął się znikąd i uratował tę małą dziewczynkę. Rozumiesz mnie? On wziął się znikąd.

Wiadomość o wypadku dostała się następnego dnia na pierwszą stronę *Derry News*. Esther Perrine wypowiedziała się tak barwnie, że jej wypowiedź przytoczono w całości.

Fotograf

gazety, Tom Matthews, zrobił jej nawet zdjęcie, na którym wyglądała kubek w kubek jak mama Joad z „Gron gniewu”. Jej wypowiedź i zdjęcie opatrzone tytułem: BYŁO TAK, JAKBY POJAWIŁ SIĘ ZNIKĄD, TWIERDZI NAOCZNY

ŚWIADEK WYDARZEŃ. Pani Perrine przeczytała ten tytuł. Ani trochę się nie zdziwiła.

- W końcu dostałem, czego chciałem - mówił Ralph - ale chyba wyłącznie dlatego, że doktorkom... oraz ich szefom, dla kogo tam z górnych pięter pracują... rozpaczliwie wręcz zależało na powstrzymaniu Eda.

- Górne piętra? Jakie górne piętra? Czego?

- Nieważne. Zapomniałaś, ale nawet gdybyś pamiętała, nic by to nie zmieniło. Chodzi o to, że zależało im na powstrzymaniu Eda nie dlatego, że gdyby trafił w Centrum Obywatelskie, zabiłby tysiące ludzi, tylko dlatego, że wśród tych tysięcy była jedna osoba, która absolutnie nie mogła zginąć... ich zdaniem, oczywiście. Kiedy zrozumieli, że cenię swoje dziecko równie wysoko jak oni swoje, zawarliśmy umowę.

- I wtedy rozcięli ci rękę, prawda? I wtedy złożyłeś tę swoją obietnicę? Tę, o której mówiłeś przez sen. Rzucił jej zdumione, wzruszająco chłopięce spojrzenie. Lois nie spuściła wzroku.

- Tak - powiedział w końcu, ocierając dłonią czoło. - Chyba tak. - Powietrze ciążyło mu w płucach jak opilki metalu. - Życie za życie. Taka była umowa. Ja za Natalie. I...

[Hej! Nie próbuj uciekać, suko! Przestań albo ci nakopię!]

Umilkł, słysząc ten piskliwy, zły, straszliwie znajomy głos, którego nie słyszał nikt z ludzi znajdujących się akurat na Harris Avenue - nikt oprócz niego. Spojrzał przez ulicę.

~- Ralph, co...

- Ciii...

Pociągnął ją, aż oparli się o zeschnięte z upału żywopłot przed domem Applebaumów. Nie pocił się już grzecznie, wręcz przeciwnie, ciało zalewała mu śmierdząca ciecz, gęsta jak olej silnikowy. Czuł każdy gruczoł pompujący mu w krew co tylko się dało. Gacie skryły mu się w szparze między pośladkami. Smak języka w ustach był niczym smak przepalonego bezpiecznika. 646

Lois spojrzała tam, gdzie patrzył.

- Rosalie! - krzyknęła. - Niedobry, niedobry pies. Co ty wyprawiasz?

Czarny podpalany wyżeł, którego dała Ralphowi w prezencie na ich pierwszą wspólną Gwiazdkę, siedział (choć określenie „kulił się” znacznie lepiej oddawałoby istotę rzeczy) na

chodniku przed domem, w którym Helen i Nat mieszkały aż do chwili, gdy Edowi definitywnie odbiło. Choć była z nimi przez lata, dziś po raz pierwszy Rosalie nr 2 skojarzyła się Lois z Rosalie nr 1, kulawą bezpańską suką, zabitą przez samochód wieczorem tego dnia, kiedy Ralph trafił w parku na siedzącą na ławce, zrozpaczoną i wyplakującą sobie oczy Lois Chasse. Rosalie nr 2 była najwyraźniej sama, lecz nie złagodziło to wcale nagłego ukłucia strachu, które poczuła w sercu.

Co ja zrobiłam? - pomyślała. Boże, co ja zrobiłam!

- Rosalie! - krzyknęła. - Do nogi, Rosalie!

Pies usłyszał ją, wyraźnie widziała, że ją usłyszał, ale ani drgnął.

- Ralph, co się tam właściwie dzieje?

- Ciii - powtórzył Ralph.

W tym momencie Lois zobaczyła coś i przestała oddychać. Niewypowiedziana nadzieja, że to wszystko to tylko urojenia jej męża, jakieś wspomnienie tego, co raz już się zdarzyło, znikła, bo pies miał już towarzystwo.

Sześćioletnia Natalie Deepneau, ze skakanką zarzuconą na prawe ramię, dotarła do kresu swej drogi. Zatrzymała się i spojrzała na dom, w którym kiedyś wprawdzie mieszkała, ale którego w ogóle nie pamiętała. Patrzyła na trawnik, na którym jej półnagi ojciec, nie oznaczona karta, Ed Deepneau, siedział kiedyś wśród rozbijających promienie słońca na tęczę bryzgów wody z ogrodowego spryskiwacza, słuchając Jefferson Airplane, a na okrągłych okularach a la John Lennon rozmazywała się plamka krwi. Nat opuściła wzrok na chodnik i wesoło uśmiechnęła się do Rosalie, dyszącej i przyglądającej się jej żalonymi przerażonymi ślepiami.

Atropos mnie nie widzi, pomyślał Ralph. Skoncentrował się na Rosie... i na Nat oczywiście... i nie widzi mnie. Nagle wszystkie elementy łamigłówek złożyły się w ohydny

całość. Dom był na miejscu i na miejscu była Rosalie, na miejscu był też Atropos z nakrytą łysą pałą wyglądający niczym bystrzak reporter z filmu z lat pięćdziesiątych, który mógł wyreżyserować na przykład Ida Lupino. Tylko że tym razem na swojej łysej pale nie miał panamy z nadgryzionym rondem, lecz czapczkę bostońskich Czerwonych Skarpet, za małą nawet na jego małą głowę, czapczkę zapiętą z tyłu na ostatni guzik, tak żeby pasowała na główkę dziecka, które ją przed nim nosiło.

Do kompletu potrzebny nam tylko gazeciarz Pete i przedstawienie zakończy się właśnie tak, jak powinno, pomyślał Ralph. Ostatnia scena „Bezsenności czyli Krótkoterminowego Życia na Harris Avenue, tragikomedii w trzech aktach”. Obsada kłania się i rządkiem wychodzi za kulisy.

Rosalie nr 2 bała się Atroposa dokładnie tak, jak bała się go Rosalie nr 1, i głównym powodem, dla którego szalony łysy doktorek nie dostrzegł jeszcze Ralpa i Lois było to, że gorączkowo próbował nie dopuścić do jej ucieczki, dopóki nie będzie całkowicie gotowy. Nat pojawiła się wreszcie, Nat ruszyła chodnikiem w stronę najukochańszego psa na świecie, skakanka

(raz dwa trzy pchły na spacer szły)

wisiała jej na ramieniu, wyglądała nieprawdopodobnie pięknie i nieprawdopodobnie krucho w marynarskiej bluzeczce i szortach, związane w kucyki włosy podskakiwały przy każdym kroku.

To się dzieje za szybko, pomyślał Ralph. To wszystko dzieje się o wiele za szybko.

[Wcale nie, Ralph. Pięć lat temu świetnie sobie poradziłeś i teraz też poradzisz sobie doskonale. Dotrzymaj słowa!]

Brzmiało to trochę jak głos Klota, ale Ralph nie miał czasu obrócić się i sprawdzić. Od strony lotniska bowiem jechał już zielony ford, jechał powolutku, boleśnie wręcz ostrożnie, co zwykle oznacza, że za kierownicą siedzi albo ktoś bardzo stary, albo bardzo młody. Mógł sobie jechać ostrożnie, ale mimo wszystko był to niewątpliwie ten samochód, a brudna torba śmierci oblepiała go jak całun.

Życie jest jak koło, pomyślał jeszcze Ralph i nagle przyszło mu do głowy, że użył tego porównania nie po raz pierwszy. Człowiek ma nadzieję, że pozostawił coś za sobą, ale prędzej czy później to coś pojawia się znowu. Pojawia się znowu, na dobre i złe.

Rosalie podjęła kolejną nieudaną próbę wyrwania się na wolność; Atropos szarpnęła nią, aż czapka spadła mu z głowy. Nat klękła obok psa. Poklepała go po łbie.

- Zgubiłaś się, malutka? - spytała. - Sama tu przyszłaś? Nic się nie stało, odprowadzę cię do domu. - Przytuliła psa, jej rączki przeniknęły przez ramiona Atroposa, jej słodka buzia znalazła się o centymetry zaledwie od jego ohydnej uśmiechniętej twarzy. Wstała. - Chodź, piesku. No, chodź, kochanie.

Rosalie ruszyła grzecznie, przy nodze; obejrzała się jeszcze na uśmiechniętego potwora i pisnęła niepewnie. W tej chwili na drugiej stronie Harris Avenue, przed „Jabluszkciem” pojawiła się Helen i tak spełniła się wizja, którą pokazał Ralphowi Atropos. Bowiem Helen trzymała w dłoni chleb, na głowie zaś miała czapeczkę Czerwonych Skarpet.

Ralph przytulił Lois i pocałował ją mocno.

- Kocham cię z całego serca - powiedział. - Pamiętaj.

- Wiem, że mnie kochasz - odparła spokojnie. - I dlatego nie mogę ci na to pozwolić.

Jej ramiona objęły jego szyję jak żelazne obręcze; poczuł ucisk jej piersi, kiedy

nabierała w płuca tyle powietrza, ile tylko mogło się w nich zmieścić.

- Wynoś się, ty cholerny sukinsynu! - krzyknęła. - Nie widzę cię, ale wiem, że tu jesteś! Wynoś się! Zostaw nas w spokoju!

Nat stanęła jak wryta, patrząc na Lois rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Rosalie też się zatrzymała i postawiła uszy.

- Nie wychodź na ulicę, Nat! - krzyknęła Lois. - Nie... I nagle w ramionach splecionych na karku Ralpa trzymała

puszkę, w zaciśniętych w śmiertelnym uścisku ramionach nie trzymała nic. Ralph rozwiął się jak mgła.

Atropos z niepokojem spojrział w stronę, skąd dobiegł jej krzyk. Dopiero teraz dostrzegł ich, stojących po przeciwnej stronie ulicy i - co więcej - zorientował się także, że Ralph go widzi. Oczy mu się rozszerzyły, wargi podwinęły w nienawistnym grymasie. Jedną ręką sięgnął do blizn na tył głowy - blizn, które pozostawił na niej jego własny skalpel - w instynktownym, obronnym geście, spóźnionym o pięć lat.

[Pieprz się, Krótki! Ta mała dziwka jest moja!] Ralph widział Nat, zdumioną, niepewnie przyglądającą się Lois. Słyszał, jak Lois krzyczy, ostrzega Nat, by nie wychodziła na ulicę. Potem usłyszał jeszcze dobiegające go z bliska słowa Lachesisa:

[W górę, Ralph! Tak wysoko, jak tylko potrafisz!] Ralph poczuł w głębi głowy jakby ściśnięcie, żołądek podjechał mu do gardła i nagle cały świat pojaśniał, wypełniając się barwami. Na pół zobaczył, na pół odczuł, jak ramiona i splecione dłonie Lois opadają, pozbawione oporu ciała, które przed chwilą trzymały, i nagle zaczął się poruszać. Coś go od niej odciągało niby nacisk silnego prądu i zrozumiał, choć nie miał ochoty rozumieć, że jeśli rzeczywiście istnieje jakiś Wyższy Cel, właśnie znalazł się w jego objęciach i właśnie spływa z nim... do końca.

Nat i Rosalie stały dokładnie przed domem, w którym Ralph mieszkał wraz z Billem McGovernem, nim go sprzedał i przeniósł się do Lois. Dziewczynka spojrzała niepewnie na krzyczącą coś do niej kobietę, z wahaniem podniosła rączkę i pomachała jej.

- Wszystko w porządku! - krzyknęła. - Widzisz, jest ze mną! - Poklepała psa po głowie. - Nie martw się, przeprowadzę go przez ulicę! - Zrobiła krok naprzód i zawołała do matki: - Mamo, nie mogę znaleźć czapeczki! Chyba ktoś mi ją ukradł!

Zielony ford jechał wprost na nią, ale powolutku i na razie wcale nie wyglądało to szczególnie groźnie. Ralph rozpoznał kierowcę od razu; od razu uwierzył swoim zmysłom, ani przez moment nie podejrzewał się o halucynację, bo w tej jednej chwili wydało mu się całkowicie sensowne i oczywiste, że za kierownicą zielonego forda siedzi jego dawny

gazeciarz.

- Natalie - krzyknęła Lois. - Natalie, nie! Atropos podbiegł i klepnął Rosalie nr 2 po zadzie. [*Uciekaj, kundlu. Już! Zanim się rozmyślę.*]

Rosalie szczerknęła i teraz biegła ulicą wprost pod koła samochodu, prowadzonego przez szesnastoletniego Pete'a Sullivana, szalony doktorek zaś zerknął na Ralpa, szczerząc zęby w tryumfalnym uśmiechu.

Natalie w ogóle nie dostrzegła zbliżającego się samochodu, patrzyła w zaczerwienioną, przerażoną twarz Lois. W końcu dotarło do niej, że nie chodzi tu o Rosalie, tylko o coś zupełnie innego.

Pete zauważył biegnącego psa, ale nie dziewczynkę. Szarpnął kierownicą, ratując życie Rosalie; przez ten manewr jednak maska forda wycelowała w dziecko. Za przednią szybą samochodu Ralph dostrzegł dwie przerażone twarze. Miał wrażenie, że pani Sullivan krzyczy.

Atropos podskakiwał jak szaleniec; wstrętne parodia radosnego tańca.

[*/ masz, Krótki! Głupi siwek/ Mówilem, że cię załatwię!*]

Niczym na zwolnionym filmie Helen wypuściła z ręki chleb.

- Nat uważaaaaj! - krzyknęła.

Ralph biegł. Znów pojawiło się znajome uczucie, że porusza się, wyłącznie myśląc o ruchu. Skoczył z wyciągniętymi rękami świadom bliskości nadjeżdżającego samochodu, który oślepił go jaskrawymi promieniami słońca odbitymi od czarnej torby śmierci, a jednocześnie zacisnął umysłowy mięsień i po raz ostatni opadł na poziom krótkoterminowy.

Znalazł się w świecie uszytym z przeraźliwych dźwięków: krzyku Helen przeplatane go krzykiem Lois, przeplatane go piskiem opon forda, przeplecionymi niczym trującym bluszczem radosnymi wrzaskami Atroposa. Przez moment widział szeroko rozwarte niebieskie oczy Nat, a w następnym ułamku sekundy pchnął ją z całej siły w pierś i brzuch, aż poleciała z wypiętą pupą i wyciągniętymi przed siebie rękami i nogami. Wylądowała na pupie w ulicznym kanale, objając kość ogonową o krawężnik, ale poza tym nie uszkodzona. Gdzieś z daleka dobiegł go szaleńczy, pełen niedowierzania, pełen furii wrzask Atroposa.

W następnej sekundzie uderzył go dwutonowy, nadal jadący dobre czterdzieści kilometrów na godzinę ford, i wszystkie dźwięki ucichły. Ralph wzleciał w powietrze powoli (w każdym razie wydawało mu się, że leci powoli) ze znakiem firmy Ford odbitym na policzku i ciągnącą się za nim złamaną nogą. Miał jeszcze czas, by zobaczyć na asfalcie swój poruszający się cień w kształcie litery „X”, miał jeszcze czas, by zobaczyć wokół siebie mgiełkę drobnych czerwonych kropelek i pomyśleć, że Lois bardziej niż sądził ochlapała go

farbą. Miał jeszcze czas, by zobaczyć Nat siedzącą w kanale, szlochającą, lecz całą i zdrową... i wyczuć za nią Atroposa, który tańczył z wściekłością po chodniku i wygrażał pięściami.

Jak na sklerotycznego starego przygłupa poradziłem sobie chyba całkiem nieźle, pomyślał. No, a teraz przydałaby mi się drzemka.

Spadł na ziemię z obrzydliwym trzaskiem. Pęknięcie podstawy czaszki, złamanie kręgosłupa, płuca przebite potraskanymi żebrami, zmiążdżona wątroba, oberwane, podziurawione wnętrzności.

Nie czuł bólu.

Nic go nie bolało. Nic a nic.

Lois nigdy nie zapomniała głuchego łomotu, z jakim jej mąż powrócił na Harris Avenue, nigdy nie zapomniała krwawych plam, które pozostawiło jego toczące się po ulicy ciało. Chciała krzyknąć, ale zabrakło jej odwagi. Ukryty gdzieś głęboko, lecz wyraźnie słyszalny głos prawdy powiedział jej, że jeżeli krzyknie, szok, przerażenie i upał powalą ją na ulicę, a gdy odzyska przytomność, Ralph będzie już poza jej zasięgiem.

Więc zamiast krzyknąć pobiegła, gubiąc pantofel, zaledwie świadoma tego, że Pete Sullivan wysiada właśnie z samochodu, który zatrzymał się niemal dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś inny samochód, także ford, ford Joego Wyzera stanął przejechawszy Rosalie nr 1. Była też świadoma - zaledwie - że Pete krzyczy.

Dobiegła do Ralpha, upadła przy nim na kolana. Dostrzegła, że uderzenie zielonego forda zmieniło go jakoś, że jego ciało nie jest jak ciało, które tuliła do siebie przed chwilą. Ale Ralph oczy miał otwarte, błyszczące, przytomne.

- Ralph?

- Tak - powiedział silnym głosem. - Tak, Lois. Słyszę cię. Chciała go objąć, lecz zawahała się pamiętając, że ofiar

wypadków nie powinno się ruszać, bo może to pogorszyć ich stan. Spojrzała na niego uważnie i widząc krew spływającą z kącików ust i to, jak leżał - jakby górna i dolna część ciała nie były sztywno połączone - pomyślała, że pogorszyć jego stanu z pewnością nie można. Pochyliła się więc i przytuliła go mocno, wdychając zapach nieszczęścia: woń krwi i słodkokwaśny odór acetonu w oddechu, odór wypalanej adrenaliny.

- Oczywiście musiałeś postawić na swoim, co? - powiedziała. Pocałowała go w policzek, w zakrwawione brwi, w krwawe czoło, z którego wisiała oddarta skóra. Rozplakała się. - Tylko spójrz na siebie! Podarta koszula, podarte spodnie... wydaje ci się, że ubrania rosną na drzewach, czy co?

- Nic mu się nie stało? - usłyszała za plecami głos Helen. Nie odwróciła się, ale

widziała cienie na ulicy: Helen obejmującej płaczącą córkę, Rosalie stojącej posłusznie przy jej prawej nodze. - Ocalił życie Nat, a ja nawet nie widziałam, skąd się wziął. Proszę, Lois, powiedz, że nic mu...

Cienie przesunęły się. Helen przeszła na miejsce, z którego mogła widzieć Ralpha, wtuliła twarz córki w bluzkę i krzyknęła przeciągle.

Lois pochylona nad Ralphem gładziła dłońmi jego policzki. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo pragnęła zrobić to razem z nim... pragnęła, tak, ale w końcu okazał się dla niej za szybki. W końcu zostawił ją samą.

- Kocham cię, kochanie - powiedział Ralph. Podniósł prawą rękę i pogładził ją po policzku, tak jak ona gładziła jego. Próbował podnieść też lewą, ale lewa leżała tylko na chodniku i drgała.

Lois ucałowała jego dłoń.

- Jak też cię kocham. Zawsze cię kochałam. Tak bardzo cię kochałam.

- Musiałem to zrobić. Rozumiesz?

- Tak. - Nie wiedziała, czy rozumie, czy kiedykolwiek zrozumie... ale wiedziała, że jej mąż umiera. - Oczywiście, rozumiem.

Westchnął ochryple - twarz jej owiała fala słodkiego zapachu acetonu - i uśmiechnął się.

- Pani Chasse? To znaczy, pani Roberts, chciałem powiedzieć. Czy panu Robertsowi nic się nie stało. Niech pani mi powie, że panu Robertsowi nic się nie stało!

- Nie podchodź, Pete - powiedziała Lois, nie odwracając się. - Nic mu nie jest. Podarta koszula i spodnie, to wszystko... prawda, Ralph?

- Oczywiście. Dasz mi szkołę...

Przerwał i spojrzał w lewo. Nikogo tam nie było, ale mimo to się uśmiechnął.

- Lachesis!

Wyciągnął drżącą, okrwawioną dłoń. Lois, Helen i Pete Sullivan widzieli, jak ta dłoń poruszała się w powietrzu w górę i w dół, w górę i w dół. Ralph obrócił wzrok w prawo. Powoli, bardzo powoli przesunął rękę w tym kierunku. Przemówił, lecz mówił już ledwie słyszalnie.

- Cześć, Kloto. Pamiętaj... koniecznie pamiętaj... to... nie... boli. Prawda?

Wyglądało na to, że czegoś słucha, a potem uśmiechnął się.

- Jasne - szepnął. - Co chcesz i jak chcesz.

Jego dłoń znów poruszyła się w powietrzu, po czym opadła mu na pierś. Przyglądał się żonie gasnącymi niebieskimi oczami.

- Słuchaj! - Mówił z wysiłkiem, ale w oczach miał jeszcze ogień, przykuł jej wzrok. - Każdego dnia, kiedy się budziłem przy twoim boku, było tak, jakbym budził się młody... i widział coś, czego nigdy w życiu nie widziałem. - Próbował podnieść dłoń, jeszcze raz dotknąć jej policzka, ale zabrakło mu sił. - Każdego dnia!

- Ja też... ja też budziłam się młoda...

- Lois?

- Co?

- To tykanie... - przerwał, przełknął i powtórzył, wymawiając słowa z ogromnym, nieludzkim wysiłkiem. - To tykanie...

- Jakie tykanie?

- Nie... nic. Umilkło. - Uśmiechnął się promiennie... i umilkł.

Kloto i Lachesis stali, patrząc na kobietę, która płakała nad zwłokami leżącego na ulicy mężczyzny. W jednej ręce Kloto trzymał nożyce, drugą podniósł do oczu. Przyglądał się jej z namysłem.

Jego dłoń błyszczała, płonęła aurą Ralpa.

Kloto [*Jest tu... w tym... jakie to wspaniałe!*]

Lachesis podniósł prawą rękę. Tak samo jak lewa ręka jego partnera, ona też otoczona była niebieską aurą, tłumiącą ich własną zielonożółtą aurę.

[*Tak. To był wspaniały człowiek.*]

Kloto: [*Czy damy go jej?*]

Lachesis: [*A potrafimy?*]

Kloto: [*Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać*^

Podeszli do Lois. Przyłożyli jej do policzków dłonie, którymi potrząsnął Ralph.

- Mamusiu! - krzyknęła Natalie Deepneau. Podniecona i zdenerwowana dziewczynka powróciła do dzieciennego języka. - Co to za małe ludziki? Dlaczego dotykają Roliss?

- Cicho, skarbie. - Helen znów przytuliła ją do piersi. Obok Lois Roberts nie było przecież żadnych ludzików, ani dużych, ani małych. Samotnie klęczała na ulicy, obok ciała mężczyzny, który uratował życie jej córki.

Lois nagle podniosła głowę. Patrzyła przed siebie wielkimi zdumionymi oczami, czując coś wspaniałego

(*światło niebieskie światło*)

spokój, taki spokój. Harris Avenue znikła. Lois znajdowała się w jakimś mrocznym miejscu pachnącym słodko sianem i krowami, ciemnym miejscu, którego ciemność przesywały setki cienkich promieni światła.

Lois nigdy nie zapomniała tej gwałtownej radości, która ją wówczas ogarnęła, czystej i gorącej jak płomień, ani wrażenia, że oto widzi świat, jakim chciał jej go pokazać Ralph, świat, w którym - w mroku - istnieje olśniewające światło... Przecież w szczelinach tego świata widziała właśnie jego blask...

- Czy pani mi zdoła wybaczyć? - szlocha! Pete Sullivan. - O Boże, czy pani mi kiedyś wybaczy?

- Ależ oczywiście, oczywiście - odparła spokojnie. Przesunęła dłonią po twarzy Ralpha i zamknęła mu oczy, a potem już tylko siedziała, trzymając jego głowę na kolanach, i czekała na policję. Miała wrażenie, że Ralph śpi. I dopiero teraz dostrzegła, że długa biała blizna na jego prawym ramieniu znikła, jakby jej nigdy nie było.